karol wędziagolski

pamiętniki





Pamięci Alfreda Jurzykowskiego i Zygmuntowi Koszutskiemu, których szlachetna życzliwość umożliwiła napisanie tej książki.

Autor

karol wędziagolski

pamiętniki

wojna i rewolucja * kontrrewolucja * bolszewicki przewrót * warszawski epizod

GRYF
warszawska oficyna wydawnicza
1989

Z SERII:

OBLICZA ROSJI

Tom 2

Opracowanie graficzne J. Z.

Wyd. I - Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1972

Wyd. II - Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1987

Wyd. III /pierwsze krajowe/ - Gryf Warszawska Oficyna Wydawnicza 1989 r.



Książkę tę napisała Barbara Toporska na podstawie zbioru esejów, przeplatanych wspomnieniami, układając z tego pamiętnik chronologiczny, przeplatany dokonanym przez siebie wyborem najciekawszych, jej zdaniem, refleksji publicystycznych na temat bolszewickiej rewolucji, przekładając "wędziagolski" na polski i uzupełniając relację odnośnikami. Na jej życzenie jej nazwisko nie zostało uwidocznione na książce, ponieważ wydawca nie chciał zwlekać z drukiem w oczekiwaniu na konieczną jej zdaniem autoryzację autora wspomnień.

Oryginał pracy Wędziagolskiego pt. "Wojna i rewolucja" znajduje się w archiwum Instytutu im. Józefa Piłsudskiego w Ameryce.

J. Mackiewicz, B. Toporska - "Droga Pani", Kontra, Londyn 1984

Część I

WOJNA I REWOLUCJA

NIEFRASOBLIWE POCZĄTKI

LIPIEC (starego stylu) 1914 roku, jak zwykle pogodny i upalny, rozpoczął się w Petersburgu pod znakiem ogórkowej nudy, urozmaicanej od kilku dni niegroźnymi — jak się wydawało — awanturami strajkującego proletariatu stolicy.

Trochę bardziej ożywiło się po przybyciu wysokiego gościa z Francji, aczkolwiek barykady z wagonów tramwajowych, powywracanych do góry kołami w poprzek wielu ulic na przedmieściach, psuły nieco nastrój uroczystości na cześć prezydenta Raymond Poincaré. „Stan wzmocnionej ochrony", zarządzony w stolicy i okręgu stołecznym, też nie dodawał uroku sojuszniczym manifestacjom. Lecz w centrum miasta, na wspaniałych pałacowych bulwarach panował spokój, przeto programowa barwność alianckiej gościnności i serdeczności niczym nie była zmącona. W pałacach przyjmowano i bawiono się, symulując wielkoświatową obojętność dla burzącej się czerni. I tak to sobie trwało, trochę dramatycznie, na zewnątrz niefrasobliwie i całkiem dyplomatycznie, już przy odgłosie pomruków nadciągającej nawałnicy, będących echem kilku strzałów w dalekim Sarajewie. Coraz bardziej gorączkowe i sprzeczne telegramy roznosiły po świecie złe nowiny. Pogodnym niebem leciały tam i z powrotem dyplomatyczne noty, krzyżując się w obojętnym błękicie, lub goniąc jedna drugą, raz warkliwymi słowami o ojczyźnie i honorze, to znów frazesami o pokoju, dla pokoju, w imię pokoju, w obronie powszechnego pokoju...

Gdyby w owym czasie zwykły szary człowiek ulicy zapytał, czemu wybuchła wojna, gdy wokół wszyscy wzywali do pokoju, i otrzymał odpowiedź, że wojny pragnął cesarz Niemiec, albo kanclerz Austro-Węgier, albo stryj rosyjskiego cara (W. Ks. Mikołaj), albo — jak niektórzy twierdzili —

piękne czarnogórskie królewny, podniecające mężów do obrony pokrzywdzonej Serbii, nie przyjąłby takiego wyjaśnienia za przekonywające. Ponad wszystkim bowiem panował nastrój mistycznego urzeczenia, że wojna musi być, gdyż staje się z wyroku losu. W metafizyczne pochodzenie wojny wierzono niemal powszechnie. Dla Polaka była ona wysłuchaniem modlitwy Mickiewicza „o wojnę ludów".

A jednak ogłoszenie mobilizacji wywołało wstrząs. W osobisty los każdego mężczyzny w wieku poborowym i jego całej rodziny wtargnął nieustępliwy przymus obowiązku, który był dotychczas dalekim paragrafem, niemal abstrakcją, a naraz stawał się brutalną przemocą, wywracającą normalny porządek prywatnego życia kilkudziesięciu milionów ludzi. Z dnia na dzień przestawała istnieć ich dumna nietykalność i w oczach miała maleć ich umowna wartość według dotychczasowego wysokiego kursu ustalonego przez wiek XIX. Pomimo to, wielu się spodziewało, że wojna ta zwiastuje lepsze jutro. Tylko nieliczni przeczuwali już wtedy, że rozpoczął się nowy i krwawy rozdział historii, jako wstęp do epoki, którą wkrótce kilku szaleńców proklamuje jako epokę powszechnej szczęśliwości i sprawiedliwości. Tymczasem ta, która przemijała przypieczętowana czarnym słowem m o b i l i z a c j a na czerwonych obwieszczeniach rozklejanych na ścianach domów, była etapem budowania szczęśliwości względnej, czyli realnej i prawdziwej, gdyż inna nie istnieje.

Naraz i dla mnie rozpoczął się nowy etap życia, przekreślający na zawsze wszystko, co było przedtem.

Przydzielono mnie do sztabu XVIII Korpusu Armii w randze wojskowego urzędnika ostatniej czy przedostatniej klasy.

Dość łatwo i szybko poradziłem sobie z moją urażoną ambicją, dotkniętą nie tyle w osobistych aspiracjach, co bardziej z szacunku dla kilku pokoleń polskich, i jednego rosyjskiego, huzarów, którzy chyba stęknęli w swoich grobach na taki despekt wnuka, prawnuka i praprawnuka. Pokonałem szybko wyrzuty huzarskiego honoru przewagą moich demokratycznych i radykalnych argumentów i psychoanalitycznie wywnioskowałem, że widocznie nie jestem stworzony

na bohatera. Wobec czego nie należy na przekór naturze, a być może i woli Opatrzności, dążyć aby nim zostać.

Nie bardzo wysiliłem się na mój wojskowy ekwipunek. Do cywilnych czarnych spodni dokupiłem gotową wojskową kurtkę ochronnego koloru z przepisowymi naramiennikami z jedną gwiazdką, lecz za to srebrną; następnie na Aleksandrowskim Rynku (petersburski Kercelak) kupiłem czapkę, bardzo wojacką i twarzową, a tuż obok wytargowałem za jednego rubla wspaniałą teatralną szpadę (pochwę i gardę bez klingi). Tak przefasonowany i uzbrojony zameldowałem się mojemu szefowi, pułkownikowi Słonimskiemu *(iz Polakow — prawosławnyj)*, dość sympatycznemu administracyjnemu oficerowi o wytwornych manierach petersburskiego światowca. Z kolei przedstawiłem się moim nowym kolegom, oficerom i wojskowym urzędnikom, wszystkim starszym ode mnie rangami, co zresztą w późniejszych stosunkach służbowych, a tym bardziej pozasłużbowych, nie miało odgrywać żadnej roli na moją niekorzyść. Towarzysko bowiem stałem od nich wszystkich wyżej jako szlachcic starego rodu, syn ziemianina i wychowanek elitarnego korpusu kadetów.

Pakując rzeczy, załadowałem do walizki na wszelki wypadek cywilny garnitur, myśląc o możliwych spotkaniach z krewnymi i rodakami. Cywilna marynarka w porę zastosowana mogłaby zapobiec powstawaniu kłopotliwych tematów i pretensji, że w tak historycznej chwili występuję w ubogiej szacie i pospolitej roli kancelaryjnego gryzipiórka zamiast na czele jakiegoś szwadronu cesarskiej gwardii w mundurze lejb-ułańskim czy lejb-kirasjerskim. Napisałem pożegnalne listy do najbliższych, odbyłem kilka sentymentalnych spotkań, wysłuchałem gorących zaklęć wierności do grobu, a ponieważ nie było dokładnie sprecyzowane do czyjego grobu, wziąłem to na siebie, i jakoś w końcu lipca (starego stylu) wyjechałem „na wojnę". Przedświtną godziną wysunęliśmy się cichutko którymś numerowanym eszelonem, naładowanym sztabem i korpusowymi instytucjami, z bałtyckiego dworca kolejowego w kierunku Narwy.

Nie wiedziałem, że opuszczam Petersburg jako miejsce

mego stałego zamieszkania na zawsze. Po ośmiu latach pobytu równie barwnych, jak ważnych dla dojrzewania mojej prawdziwej osobowości.

23 i 37 dywizje naszego Korpusu stanęły w bojowym pogotowiu na bałtyckim wybrzeżu. Chyba w przewidywaniu nieprzyjacielskiego desantu... Po cichu szemraliśmy, że zamiast zwyciężać starego austriackiego cesarza, popijać węgrzyna i czarować piękne Wiedenki pętamy się wzdłuż tych piaszczystych wydm w oczekiwaniu wroga, który by musiał postradać wpierw rozum, nim by tu do nas przypłynął. Tymczasem zawzięcie wojowaliśmy piórami, nadrabiając wszystkie mobilizacyjne i organizacyjne niedociągnięcia, a wieczorami i nocami zwiedzaliśmy ciekawe zakątki starożytnej Narwy. W małych, lecz schludnych, estońskich garkuchniach zajadaliśmy, na świat cały sławne narwskie węgorze, popijając gorzałką w filiżankach od kawy, gdyż od pierwszego dnia wojny w całej Rosji obowiązywała surowa abstynencja.

Nasz parotygodniowy narwski postój nie zaznaczył się żadnymi bojowymi wyczynami, jeśli nie liczyć codziennych zwycięstw pewnego wielkiego księcia, bliskiego kuzyna cara, przydzielonego do naszego sztabu dla zaznajomienia się ze sztuką wojenną. W dużym otwartym Mercedesie wielki książe co noc wywoził z pobojowiska paru skromnych nocnych lokali zawojowane przez siebie młode i piękne niewiasty, oczywiście przyjezdne z niedalekiej stolicy, dziewczęco wesołe i doszczętnie nagie. Ponieważ od nas do wielkiego księcia i jego branek było dalej niż do księżyca, obserwowaliśmy z dużą obojętnością tryumfy wielkoksiążęcego oręża; wysłuchując jedynie ubolewań podległych nam ciurów, że byłoby lepiej, gdyby owe niewiasty były nieco oszczędniejsze i nie rozrzucały w przejeździe wzdłuż ulic niezmiernie cnotliwego i konserwatywnego grodu części swoich toalet i najintymniejszej garderoby, którą później policjanci zbierali na oczach zgorszonych przechodniów.

Takie to właśnie były nasze „pierwsze boje". Lermontowskie *„schwatki bojewyje"*.

POLSKA

Nasz narwski postój trwał parę tygodni. W drugiej połowie sierpnia wyruszyliśmy dalej. Nikt z nas oczywiście, prócz sztabowej zwierzchności, nie wiedział dokąd, lecz gdy minęliśmy Ługę, Psków i Dźwińsk, nie trudno było się domyśleć, że jedziemy na któryś odcinek zachodniego frontu. Gdy nasz sztabowy eszelon stanął na dworcu w Wilnie, doznałem wzruszenia dawnych chłopięcych lat, kiedy to po długich miesiącach roku szkolnego wracałem tędy do domu. Smutno popatrzyłem na tor kolejowy, wykręcający w lewo w górę w kierunku Porubanka i żałośnie myślałem, że oto jestem o godzinę drogi do swoich w Jaworowie, i że ubezwłasnowolniony mijam ich, jadąc na cudzą wojnę, tyle samo z własnej chęci, co te huczące pociągi, śpieszące na Grodno, Białystok i dalej, dalej...

Ponieważ nigdy przedtem nie zdarzyło mi się bywać dalej na zachód niż Landwarów, więc gdy za Grodnem otworzyły się widoki okolic odmiennych od naszych podwileńskich, inne i z charakteru topograficznego, i z tego niewyrażalnego „czegoś", co raczej się czuje niż rozumie, nie odchodziłem od okna w korytarzu, wchłaniając ducha ziemi nieznanej mi a serdecznie bliskiej. Zwróciło to uwagę mojego nowego i sympatycznego kolegi, porucznika gwardyjskiej artylerii Mirowa. Mirow chętnie rozmawiał ze mną po polsku, matka jego była petersburską Polką. Z wyglądu i manier było widoczne, że należał do dobrego towarzystwa stolicy, był łatwy i miły w obcowaniu, przy tym, bystry, a że wyraźnie gustował w moim towarzystwie, więc częściej i chętniej z nim przestawałem, niż z innymi kolegami.

— Ale pan przywarł do tego okna!... — rzucił wesoło w przejściu.

Bardziej uroczyście niż należało odpowiedziałem, że się

zachwycam nowymi dla mnie widokami mojej ojczyzny.

Mirow, jakby zdziwiony, zatrzymał się, rzucił okiem przez okno, uważnie mi się przyjrzał i z tłumionym zniecierpliwieniem pouczał:

— Pańską ojczyzną jest cała Rosja. I tutaj jest ta sama Rosja. Czemu pan nie zapomni wreszcie o tej ojczyźnie, która jest fikcją, świeckim dodatkiem do katolickiej mszy świętej, romantycznym konwenansem bez realnego pokrycia?

Najpierw zaskoczony, za chwilę oburzony, odruchowo chciałem rąbnąć faceta w ucho, jednak się powściągnąłem; odpowiedziałem zimno i już po rosyjsku:

— Nie, panie Mirow. Nie zapomniałem i nie zapomnę z wielu przyczyn, o których z panem nie mam ochoty dyskutować. Oprócz jednej: wczorajsza odezwa wielkiego księcia i naczelnego wodza rosyjskiej armii do wszystkich Polaków, i do mnie w ich liczbie, przypomniała Rosjanom, że moja ojczyzna nie jest fikcją, romantycznym konwenansem bez realnego pokrycia. I nie mogę zrozumieć dlaczego ta odezwa nic nie mówi również panu, jeśli już nie z tego powodu, że jest pan synem Polki, to choćby dlatego, że autorem manifestu uznającego suwerenność Polski jest naczelny wódz armii, której pan jest oficerem.

— Tak, tak — odpowiedział Mirow. — Wszystko to brzmi bardzo wzniośle, ale „*wygowarywajetsia Oksford a piszetsia Kembrydż*", i zapewniam pana, że rosyjski policjant, który z górą sto lat stał na ulicach Warszawy, będzie stał drugie sto lat na tym samym miejscu. Więc ja, Mirow, współczuję wszystkim romantykom, którzy piękne frazesy biorą za rzeczywistość i chcieliby odwrócić żelazne koło historii.

— Na szczęście nie potrzebuję uczyć się histori od porucznków polowej artylerii... Nawet pod protekcją rosyjskich policjantów na rogach ulic Warszawy — odpowiedziałem znowu po rosyjsku i już wyraźnie obraźliwym tonem.

— Pan mnie obraża! — zawołał.

Sprawa oparła się o szefa sztabu korpusu, pułkownika Dawydowa, którego Mirow prosił o pozwolenie wyzwania mnie na pojedynek.

— Poruczniku, czy jest pan szlachcicem? — spytał Da-

wydow po wysłuchaniu sprawozdania Mirowa.

— Tak jest, panie pułkowniku.

— Więc możemy porozmawiać o tym nieprzyjemnym wydarzeniu nie służbowo na razie i po szlachecku, dla lepszego wzajemnego zrozumienia...

— Tak jest, panie pułkowniku. Zgadzam się najchętniej.

— Więc niech pan posłucha co ja o tym myślę. Gdyby pan nie był porucznikiem Jego Cesarskiej Mości, to bym wprost powiedział, żeś pan postąpił jak bęcwał *(ostołop)*. Przecież tego, że on jest Polakiem i że przejeżdżamy przez Polskę *„nie wyrubisz toporom"*. Nie dokonały tego sto kilkadziesiąt lat naszych rządów i polityka rusyfikacyjna, a pan tego dokonasz? Krótko mówiąc, ja bardzo pana proszę zakończyć to głupie zajście natychmiast i po szlachecku. Czy zdaje pan sobie sprawę, jakby wyglądał wasz pojedynek? Pan by się bił za Rosję, a on za Polskę. Nonsens!

Rozmowę tę powtórzył mi słowo po słowie sam Mirow. Tegoż samego wieczoru przyszedł do mego przedziału z teką pod pachą i prosił, bym zapomniał o tej „głupiej historii", którą sprowokował. Ekskuzując się rozwlekle, wciąż popatrywał na tekę, jakby spychając ciężar kłopotliwego tematu na jakiś przedmiot w niej zawarty. Wreszcie wypatroszył z niej owinięty w bibułę kształt, wymiarami zbliżony do trzycalowego pocisku, prosząc bym nie odmówił mu satysfakcji zapicia jego niezręczności szklanką dobrego Martela.

Kiedy nazajutrz zameldowałem się u szefa sztabu, by mu w jakiś sposób wyrazić uznanie i opowiedziałem jak się rzecz skończyła, Dawydow zauważył sucho i ze sztuczną surowością: Dobrze, że pan mi opowiada o tym koniaku prywatnie i poufnie. Bo po pierwsze abstynencja jest urzędowo nakazana, a po drugie, czemu z tym trzycalowym szkłem nie przyszliście do mnie... też prywatnie?

Do Mirowa nie zachowałem cienia żalu. Wiedziałem już, że ludzie pod wpływem chwilowego impulsu mówią często rzeczy, które nie świadczą ani o ich przekonaniach, ani o ich intencjach, ani o inteligencji czy głupocie, po prostu nie świadczą o niczym. Pomimo to pozostał we mnie jakiś cierń.

Zdałem sobie sprawę, że incydent z sympatycznym półkrwi Polakiem obudził w moim sercu więcej wątpliwości, niż kilkunastoletnie obcowanie z Rosjanami w kadeckim korpusie i Petersburgu.

Później przez kilka dni była Warszawa, nieznana mi dotychczas polska stolica.

Po granitowych wspaniałościach Petersburga wydała mi się smutną i biedną, jakby sztucznie zatrzymaną w rozwoju pamiątką przeszłości i drogocenną dla serca zgubą, odnalezioną po latach w wieloplemiennym obozie imperium. Wzruszała i rozczarowywała jednocześnie.

Widok prawosławnego soboru na Placu Saskim wprost mnie oszołomił. Wydał mi się nie tylko gwałtem nad artystyczną proporcją architektury miasta. Wzniesienie tego domu niewątpliwie Bożego z intencją wcale nie boską jakiejś symbolicznej „czapki Monomacha", uszytej na wyrost w ideologicznej Kałudze czy innej Tule, którą przykryto polską stolicę dla niepoznaki, aby się wydawała rosyjskim gubernialnym miastem, wywoływało protest, już nie tylko polski lecz ludzki, i wzbudzało pogardę dla bezmyślności w huligańskim stylu.

Nie byłem przecież polskim szowinistą. Podobny zarzut uznałbym za pozbawiony sensu. Przeciwnie, z przekonania i sentymentu byłem Polakiem o wyraźnie prorosyjskiej orientacji, uzgodnionej moralnie i politycznie z propolską orientacją moich przyjaciół Rosjan.

Odwiedziłem na Pradze moją siostrę Rutkowską i jej miłą i kochaną gromadkę. Spotkałem się z przyjaciółmi z Petersburga, z panem Henrykiem Tennenbaumem, panem Wiewiórskim, z Kazimierzem Barańskim, Kazimierzem Mayznerem, Lucjanem Altbergiem, Bolesławem Drozdowiczem i kilkoma innymi, już całkowicie ogarniętymi gorączką wielkich wydarzeń i jeszcze większych spodziewań, aczkolwiek w bardzo odmiennych orientacjach.

Kazimierz Mayzner zabrał mnie do Aleksandra Świętochowskiego, który od razu mnie rozgrzeszył. — Nie jest hańbą — orzekł — nosić rosyjski mundur, gdy jest wojna z Niem-

cami. — W godzinę po nas przyszedł ktoś przemykający się do brygady Piłsudskiego. Mocno argumentował za „centralną" orientacją, i nie oglądając się na mój „moskiewski" mundur, walił jak z Werndla*) w rosyjską potęgę. Pozostałem nieprzekonany, chociaż bardzo przejęty pięknym patosem legionisty (był to ktoś znaczny, którego jednak ani wówczas, ani później nie udało mi się zidentyfikować). Ja broniłem swego „aktywizmu", obiecując z przekonaniem, że rewolucja wszystko odmieni w stosunkach polsko-rosyjskich. Na wyrzuty strzelca o niedostatecznym uświadomieniu narodowym grzecznie się odgryzłem, że nie od dziś jestem uświadamiany antyrosyjsko, i że wcale nie zruszczenie, lecz moja rewolucyjność jest powodem, że w obecnej sytuacji politycznej taktycznie pozostaję na prorosyjskich pozycjach.

Chociaż nigdy nie należałem sam do partii SDKP i L moje ówczesne poglądy były pod niewątpliwym wpływem internacjonalizmu moich bliskich znajomych: Komorowskiego, Fabierkiewicza, Sonje Jabłońskiego (syna Stanisława Patka) i Matuszewskiego. Wprawdzie ich strachami przed reakcyjnością polskiego integralizmu zbytnio się nie przejmowałem, byłem przecież gorącym przeciwnikiem polskiego, szlacheckiego konserwatyzmu.

Nie zabrakło mi w Warszawie również i krotochwilnych wątków. Z rodzonym bratem Bronisławem, dowódcą jednej z sybiryjskich dywizji, chwilowo obecnym w Warszawie, spotkać mi się nie zdarzyło, przypadkowo natomiast dowiedziałem się z niemałym zdziwieniem i zgorszeniem, że to właśnie Bronisław którejś nocy, wracając do siebie po dobrej kolacji, omylił hotelowe piętro, wszedł do „swojego" pokoju i w ubraniu rzucił się na łóżko, w którym niewinnie spoczywała pani M., żona ziemianina z Suwalszczyzny. Z czego wynikła oczywiście wielka i nieprzyjemna awantura. Pani M. przywołała histerycznie służbę, zbiegł się cały personel, groziła, że uda się osobiście do wielkiego księcia ze skargą, że już minęły czasy znęcania się nad Polakami...

*) Typ karabinu używanego w armii austriackiej w latach 1867-88. Nazwa od fabrykanta broni i konstruktora: Józef Werndl ((1831-99) — przyp wyd.).

Bronisław widocznie nie wiele zrozumiał, gdyż na boku zapytał szefa recepcji: „Wszystko to bardzo wzniośle i cnotliwie, ale dlaczego ta baba weszła do mego łóżka?"

Mimo mego rzekomego „zruszczenia", właśnie ówczesna Warszawa zrobiła na mnie wrażenie miasta nazbyt przejętego militarnymi sprawami rosyjskiego zaborcy, jakby już zgodnie z wielkoksiążęcą odezwą do Polaków te sprawy stawały się wspólnymi. Po salonach i kawiarniach, po szynkach i handelkach z ożywieniem i życzliwie komentowano aspekty wojny i nie tyle polityczny sens wielkoksiążęcego manifestu „zgody", ile anegdotyczną charakterystykę formalnego autora tego dokumentu. Groźny olbrzym (2,05 m), bijący ponoć po twarzy generałów i pułkowników, zbyt wielu zachwycał. Popularność jego, tak górnolotnie przypominająca Polakom, że „jeszcze nie zardzewiał grunwaldzki miecz", szerzyła się w pospólstwie, w mieszczaństwie i częściowo w arystokracji. Czuło się jednak, że ta popularność satrapy pochodziła nie tyle z ducha tego miecza, ile raczej z mordobijnej anegdoty. Nie dogadzało to wszystko mojemu radykalizmowi i — jak mi się wówczas wydawało — mojej petersburskiej wielkoświatowości. Gdy się więc przekonałem, że inteligencja w swej znakomitej większości jest również obojętna dla frazeologii obcego hetmana i wschodnich jaskrawości jego obyczajów, poczułem się z pewną dumą wśród swoich i bliskich. Ocenialiśmy właściwą miarą pompatyczny ton tej koniunkturalnej „gramoty", która istotnie mogłaby być historyczną, gdyby nie była po cygańsku chytrą, bo podpisaną nie przez monarchę, lecz przez naczelnego wodza, którego obietnice monarcha już nazajutrz może uznać za nieobowiązujące.

★ ★ ★

Aż którejś nocy znów cichaczem wyruszyliśmy w świat, tym razem w kierunku Dęblina.

Pułki naszych dywizji zostały śpiesznie rzucone w lukę, spowodowaną przerwaniem frontu na polskim odcinku. Sytuację szybko opanowano, i wojska naszego korpusu przerzucono z Dęblina nad Nidę. Sztab stanął kwaterami w Busku.

Któregoś listopadowego dnia wezwał mnie pułkownik Dawydow i poufnie zakomunikował, że wywiad ustalił obecność po drugiej stronie Nidy strzeleckich batalionów polskich. Że z dowództwa południowo-zachodniego frontu nadszedł rozkaz natychmiastowego wieszania jeńców-legionistów, obywateli państwa rosyjskiego, lecz że rozkaz ten już został odwołany przez Naczelne Dowództwo. Dawydow wymownie i serdecznie uścisnął mi rękę.

BYĆ DOBRZE URODZONYM NIE JEST ŹLE

W grudniu zaszły zmiany w moim osobistym losie, bardzo pomyślne.

Dowódca naszego korpusu, bardzo już stary i konserwatywny baron von Krusenstern z okolicznościowej rozmowy z Dawydowem dowiedział się, że jestem bratem Mikołaja Wędziagolskiego, oficera lejbgwardii kirasjerskiego pułku Jego Cesarskiej Mości, a więc podwójnym wnukiem baronówny von Brunoff z domu (mój dziad był ożeniony ze swoją cioteczną siostrą), rodzonej bratanicy hrabiego Filipa Brunoffa, ambasadora carskiego przy królu Anglii (Filip Brunoff otrzymał od Aleksandra II tytuł hrabiowski za dyplomatyczne zasługi) i poza tym, że jestem również bliskim krewnym generała-adiutanta von Fossa, atamana dońskiego kozackiego wojska z nominacji cara, czy coś w tym rodzaju. Dla starej ekscelencji mego dowódcy korpusu za dużo było tych *vonów*, by w jakiś sposób nie zareagować.

Von Krusenstern kazał mnie wezwać do siebie, trochę przepytywał o obecnych koneksjach papy i mamy i — krzywiąc się na mój urzędniczy uniform — grzecznie przypomniał, że gdy był młodym oficerem, wiele nasłuchał się huzarskich legend o moim dziadku huzarze, znakomitym karciarzu i zawadiace. Chcąc w jakiś sposób ulżyć memu upośledzeniu, zaproponował mi bardziej samodzielną funkcję doglądania siedmiu konnych transportów korpusowych i w związku z tym zakup pszenicy, żyta i owsa od okolicznych ziemian, dostawy do młynów, remont dróg i mostów w rejonie korpusu.

Odetchnąłem pełną piersią. Oznaczało to bowiem koniec wegetacji w roli kancelaryjnego gryzipiórka.

Wybrałem sobie kwaterę w Staszowie przy wielkim młynie, w domu starego i bardzo szanownego Izraelity, właści-

ciela młyna. Już na wstępie gospodarz gościnnie mnie zapewnił, że w jego domu niczego mi nie zbraknie, chyba ptasiego mleka, które — jak to zaznaczył z sympatycznym akcentem — łatwo jest zastąpić starą pejsachówką.

Służbowe stosunki i łączność z transportami ustaliłem w ciągu kilku dni. Wezwałem dowódców transportów do Staszowa, oczarowałem ich doskonałym śniadaniem, podgrzanym wybornym specjałem z piwnicy mego gospodarza. Byli to przeważnie panowie już po czterdziestce, chorążowie rezerwy, dość przyjemni ludzie. Dowódcą jednego transportu był baron Hahn, innego — chorąży Cziczerin, *privat-docent* dorpackiego uniwersytetu, bliski krewny późniejszego bolszewickiego ministra, jeszcze innego — aktor miejskiego teatru w Pskowie, i tak dalej. Wszyscy z wyjątkiem Hahna, ziemianina i właściciela pięknych Zielonych Jezior pod Dźwińskiem, mieli jedną wspólną cechę: nie posiadali najmniejszego gospodarskiego doświadczenia i byli zdani na łaskę swoich wachmistrzów, niesłychanych spryciarzy i drapichrustów. W ciągu następnych dni zlustrowałem stan transportów, tzn. żołnierzy, koni i wozów. Co do ludzi nie miałem żadnych wątpliwości, że są urodzonymi złodziejami i łazikami. Byli to rezerwiści z Mołdawii, słynnej pod tym względem na całą Rosję. Co do koni było oczywiste, że gdybym przybył o parę tygodni później, połowa powyzdychałaby z głodu i chorób. Każdy transport liczył przeciętnie 150 parokonnych wozów, tereny operacji były porozrzucane dość szeroko. Wpoiłem w świadomość oficerów i żołnierzy, że moje oko doświadczonego gospodarza nawet z dala będzie czuwać nad praworządnością zaszczytnej służby transportowej.

W armii w polu po dłuższym postoju to jak w małomiasteczkowym światku: wszyscy o wszystkich wszystko wiedzą. Więc fakt życzliwości dla mnie dowódcy korpusu, w szeptanych i przesadnych wersjach o niebezpiecznych dla otoczenia moich koneksjach i stosunkach, znakomicie podparł mój autorytet. A były to czasy, gdy dowódca korpusu zgodnie z ustawodawstwem wojennym był panem życia i śmierci każdego żołnierza, oficera i urzędnika wojskowego do

rangi kapitana włącznie. Mógł każdego kazać rozstrzelać bez sądu. Oczywiście tego rodzaju wypadki prawie się nie zdarzały, lecz się zdarzać mogły.

Dopiero w drugiej dekadzie grudnia mogłem się sam po raz pierwszy wybrać w teren w celu zakupu zboża na większą skalę. Najbliżej były Kurozwęki, własność pana Pawła Popiela, odległe od Staszowa o 6 kilometrów.

Był to prawdziwy mały zamek, na oko starożytny i obronny, otoczony fosami, wypełnionymi ponurą wodą, połyskującą odwieczną nieruchomością. Z daleka widniał duży staw na tyłach dość niekształtnej budowli, ułożonej z surowego kamienia, już w wielu miejscach wykruszonego i połatanego bądź partiami dużej staroświeckiej cegły, bądź nowoczesnym betonem.

Po omówieniu tematów zbożowych i uradowaniu pana Popiela wiadomością, że wojsko płaci o kilkanaście procent wyższą cenę od rynkowej, miałem już się żegnać, gdy do kancelarii nadbiegł służący i zameldował, że pani dziedziczka prosi na śniadanie.

Ze zrozumiałą ciekawością przebyłem kilka uroczystych komnat na dole, gęsto pozawieszanych wielkimi portretami, następnie bardzo wąskimi i dziwacznie pokręconymi schodami weszliśmy na piętro do dużej antyszambry, skąd do sali jadalnej, gdzie nas spotkała i przywitała pani zamku.

Była to osoba we wczesnym średnim wieku, młodo wyglądająca, uprzejma i swobodna, jakby zachęcająca obcego, by w jej towarzystwie czuł się przyjemnie i swojsko. I rzeczywiście, już w parę minut rozmawiało się z nią jak z miłą znajomą. Nastrój prysł po drugim kieliszku wódki, mówiąc nawiasem, wypitej przeze mnie ze smakiem, co wywołało dyskretną lecz wyczuwalną dezaprobatę pani domu. Odbudowałem jak umiałem nadwątlone dobre pierwsze wrażenie, mówiąc o portretach zamkowych z erudycją jak na urzędnika wojskowego wcale nieprzeciętną. Zacząłem również pleść o malarstwie religijnym, nim się spostrzegłem z przerażeniem, że w tej dziedzinie moja słuchaczka może być moim profesorem. Co rychlej wycofałem się więc z niebezpiecznego tematu, napomykając skromnie, że przez kilka lat uczęszcza-

łem, aczkolwiek nie za często, jako wolny słuchacz do Petersburskiej Akademii Sztuk Pięknych w klasie rzeźby. Wówczas pani z pobłażliwym uśmiechem zachęciła nas do powtórzenia kolejki starki i kazała służącemu napełnić nasze kieliszki po raz trzeci. Zrozumiałem, że rzeźbiarze mają u niej opinię marną, traktuje się ich jednak z pewną tolerancją. Z dalszego ciągu konwersacji wynikło, że pani Popiel była również erudytką w dziedzinie zagadnień religijnych. O historii Kościoła, o herezjach i wojnach religijnych miała więcej do powiedzenia, niż niejedna pani domu o domowej służbie. A śniadanie wypadło zgodnie z maksymą, która ostrzega, że im pani domu jest większą sawantką, tym w domu dają gorzej jeść.

Z kolei wybrałem się do dóbr ziemskich Sichów. Majątek i cukrownia były w owym czasie własnością ks. Macieja Radziwiłła, pod zarządem pana Psarskiego, dyrektora cukrowni i administratora dóbr.

Pan Psarski przyjmował interesantów w myśliwskim domu, gdzie się mieściły również biura, a ponieważ w chwili mojego przybycia zajęty był w cukrowni, służący poprosił mnie do poczekalni, która była również rodzajem łowieckiego muzeum. Wszystkie ściany od góry do dołu były obwieszone rogami jeleni, dziczymi głowami i żuchwami oraz innymi trofeami myśliwskimi fauny miejscowej, jak również rozmaitego rodzaju akcesoriami łowieckimi. Było tam niemało wspaniałych i ciekawych dla mnie okazów, więc rozglądałem się po sali z dużym zainteresowaniem.

W rogu tego muzeum już się ktoś wcześniej usadowił, jak sądziłem, czekając również na przyjęcie. Był w rosyjskim mundurze Czerwonego Krzyża, bardzo malowniczym i z odznakami wysokiej cywilnej rangi na złotem szytych naramiennikach. Ukłoniłem się przepisowo i skromnie usiadłem w przeciwnym rogu. Osoba wyglądała na cudzoziemca. W średnim wieku wytworny pan, czarniawy na twarzy, średnio postawny, byłem przekonany, że to Rosjanin z południowych okolic Rosji. Toteż zdziwiłem się niemało, gdy się do mnie zwrócił w tak straszliwie łamanej ruszczyźnie,

że mną aż pokręciło. Pytał czy jestem tu w sprawach kwaterunku.

Na chybił trafił odpowiedziałem po polsku, że przyjechałem tu do administratora dóbr w sprawie zakupu zboża. Tamten żwawo się poruszył, przesiadł o kilka foteli bliżej i zapytał, gdzie się nauczyłem tak biegle po polsku.

— Jestem Polakiem w mundurze rosyjskim, jak i szanowny pan — odpowiedziałem.

Wówczas przesiadł się on na fotel tuż obok mego, a podając rękę coś mruknął niewyraźnie. Kiedy również półgębkiem wymieniłem swoje nazwisko, prosił o jego powtórzenie i z ożywieniem zakomunikował, że u swoich krewnych na Litwie poznał był swego czasu kogoś tego samego nazwiska, znakomitego w tamtych stronach rolnika. Wyjaśniłem, że to zapewne mój daleki krewny, którego jednak osobiście nie znam. Nazwisko nasze nie posiada imienników wśród szlachty, wokół Wędziagoły natomiast, starożytnego gniazda rodu, wielu Izraelitów przybrało sobie zawołanie pochodne od nazwy dość dużego miasteczka. Mój rozmówca przytaknął, że zdarza się to i z innymi nazwiskami, lecz że nie wyraził przy tym zwykłego szlacheckiego ubolewania, poczułem się socjal-demokratycznie usatysfakcjonowany.

Rozmowa potoczyła się o tym owym, jak w wagonie, bardzo powściągliwie o wojnie, jeszcze oględniej o odezwie Wielkiego Księcia do Polaków, bardziej rzeczowo i szczegółowo o myśliwstwie, chociaż z punktu domyśliłem się, że nieznajomy myśliwym nie był. Spytałem wreszcie czy on także czeka na pana Psarskiego.

— Nie, na nikogo nie czekam.

To mnie się nie spodobało. Wciąż miałem bowiem wrażenie, że rozmawiam z cudzoziemcem. Raz po raz obcy akcent, a niektóre sformułowania różniły się od potocznego polskiego i ziemiańskiego języka.

— To co pan tu robi? — rzuciłem dość prostacko.

— Mieszkam.

— Aaa, to rozumiem teraz, czemu mnie pan pytał o kwaterunek! Bał się pan, że zabiorę mu pokój...

— Ależ nie! Mam jeszcze parę pokoi.

— Rekwiruje pan tu cały dom?... A może jest pan tu dzierżawcą?... Także nie?... Więc w takim razie kim pan jest, jeśli mi wolno zapytać?

— Proszę bardzo. Jestem po prostu właścicielem.

Na szczęście porwał mnie tak serdeczny śmiech, że w nim utonęło moje skonfudowanie. Radziwiłł zaraził się nim także, a gdy nadszedł dyrektor Psarski, niezmiernie nobliwie wyglądający starszy pan, książe przedstawił mnie jako swego rodaka z Litwy i kuzyna dobrego znajomego, którego często spotykał w Kiejdanach.

Prezentacja, tak wyraźnie przesadzona, została jeszcze podniesiona tegoż samego popołudnia w salonie państwa dyrektorstwa Psarskich:

— Pozwólcie — zwrócił się pan Psarski do żony, dwóch córek i syna — przedstawić sobie pana Wędziagolskiego, przyjaciela naszego księcia.

Panienki obrzuciły mnie i mój mundur nieufnie, spojrzały porozumiewawczo na siebie, i jedna o wyglądzie czarnej pantery wycedziła w kierunku ojca:

— Szersze masy ludowe pragnęłyby się dowiedzieć od jak dawna nasz książę jest zaszczycony przyjaźnią pana Wędogłobskiego?

Odszczeknąłem czarnej panience grzecznie:

— Nic nie wiem o zacytowanym Głobowędskim, lecz co się tyczy mnie, Karola Wędziagolskiego herbu Pomian z Jaworowa z przyległościami, to się przedstawiłem księciu przed godziną.

Śmiech powszechny był wstępem do wielomiesięcznej i bardzo przyjaznej znajomości, zapoczątkowanej doskonałą kolacją z wódką w proporcjach znacznie liberalniejszych niż w Kurozwękach. Nie minęło jednak paru kwadransów pokolacyjnej pogawędki w salonie, gdy z piętra zleciała jak burza ta, co chciała mnie Wędogłębskim pognębić, z jakimś grubym foliałem w ręku, już ze schodów wołając:

— Ale o przyległościach tego Jaworowa historia milczy!

Dynamiczna osóbka, bardzo sceptycznie usposobiona do wojennych znajomości z rosyjskimi mundurami, zdążyła w Słowniku Geograficznym odkopać potrzebne informacje i

przygwoździć nieścisłość moich hipotecznych zeznań. Wśród ogólnej wesołości przyznałem się szczerze i ze skruchą do nagannej pokusy podmalowania Jaworowa aluzją do jego niewymiernej przestrzenności, by całość moich personaliów, badanych przez uroczego prokuratora, wypadła lepiej.

Mój Boże! Działo się to w grudniu 1914 roku. A w grudniu 1954, w salonie państwa Zygmuntowstwa Koszutskich w Sao Paulo w Brazylii poznałem młodego inżyniera Psarskiego, na którego rzuciłem się z żarem niewygasłych wspomnień: — Czy jest pan synem dyrektora sichowskiej cukrowni?
— Nie, panie, jestem jego wnukiem.
Czterdzieści lat wypadło mi z rachunku rzeczywistości.

BOŻE NARODZENIE

W naszej rodzinie święta Bożego Narodzenia były uroczystością nie tylko religijną, lecz również rodzinną, jak w większości polskich rodzin. Ze wszystkich stron naszego ówczesnego świata, z Petersburga, Kaukazu, Mandżurii, a w jednym wypadku nawet z Japonii, co nie było takie łatwe, coś mocniejszego od przestrzeni, trudów i kosztów podróży niosło pamiętliwe serca i lekko wycudzołożone dusze w jednym i tym samym kierunku — tak to trwało latami: w dniu Wigilii stary dom ożywiał się niezmiernie hałaśliwą obecnością maminych, papinych, a przede wszystkim jaworowych synów i córek, a było tego sporo.

Toteż w pierwszym roku wojny, gdy już się zbliżały święta, starałem się o nich nie myśleć, nie pamiętać o tym Bożym Narodzeniu, bodaj że pierwszym w życiu poza domem. Któregoś takiego dnia, kiedy nie po naszemu wolno, jakby z namysłem prószył śnieg, raczej śnieżyk, po pięć gwiazdek na minutę, wybrałem się o wczesnej godzinie na swojej szlachetnej chabecie w daleką drogę, mając na widoku realizację umów zbożowych z ziemianami w okolicach Opatowa.

Droga była daleka, lecz pociągała perspektywą długiej samotności i satysfakcją sportową, jak każda droga, choćby najdalsza, jeśli koń dobry. Mróz parostopniowy, prawdziwie „polski", lekko ściskał, wcale nie dokuczał, podniecając zaledwie obieg krwi, śnieg prószył w bezwietrznym nieruchomym powietrzu wyraźnie zamyślony, usposabiając i mnie do niespiesznych medytacji.

Pomimo że należałem do pokolenia spod znaku Maxa Stirnera, Schopenhauera, a przede wszystkim Nietzschego, którzy nas pouczali z wysokości zimnego rozumu o nicości wzruszeń, cech słowiańskiej ułomności ducha, pozostaliśmy

ułomnymi. Nie potrafiliśmy oprzeć się wpływom naszej przyrody, a może i wpływom naszej drogiej matki, która — nie powiem, że wszystkimi Niemcami — ale szalonym Fryderykiem pogardzała i pewnego razu chlebowy piec w oficynie kazała nim napalić. Zdarzyło to się w wyniku krótkiego spięcia, które nastąpiło kiedy zacny hreczkosiej z sąsiedniego powiatu oświadczył się o rękę mojej młodszej siostry. Siostra, wybitna nietzscheanistka — za żadne skarby. Nawet płakać nie chciała, tak ją wzdęła pogarda i odraza, bo tamten biedak nie miał zielonego pojęcia o Zaratustrze. A matka znowuż z prawdziwie żywiołową odrazą myślała o tym naszym mędrcu, który jej dzieciom w głowach poprzewracał, a że w piekarni palił się właśnie piec na czeladny chleb, Zaratustra z wielotomową asystą został odeslany prosto w czeluście płomieni. Sprawa hreczkosieja poszła w zapomnienie, a dobra mama kupiła dla swej córki w zamian dumań „wariata nad Engadyną Górną" — „365 obiadów" pani Ćwierciakiewiczowej. Na razie córka sarkastycznie odrzuciła rekompensatę, lecz gdy intelektualna duma wywietrzała w zdrowym powietrzu Jaworowa, zreflektowała się i po pewnym czasie strzeliła serią doskonałych śniadań i ustrzeliła dla hymenu kochanego przez nas wszystkich Litwinów, galileusza Tadeusza Argasińskiego. (Późniejszego podpułkownika Legionów.)

Tak sobie marząc rozproszonymi wątkami myśli pomieszanych z krotochwilą, wjechałem w dziwną okolicę.

Z lekko ośnieżonego wzgórza sterczały ku niebu ruiny ogromnej budowli. Poszczerbione ściany i baszty szczerzyły się wykruszonymi krużgankami, łukami, sklepieniami i wnękami, szkicując żałobnymi szczegółami najcudniejsze architektoniczne kształty straszliwego trupa. Setki okien, rozstawionych w najczystszej palladiańskiej proporcji, ziały trzechsetletnią pustką, a z niezliczonych sal i amfilad pałacu-zamku*) wyzierała śmierć. W zachwycie stawałem przed tym cudem feodalnym, wjeżdżałem w dziedzińce, zjeżdża-

---

*) Autor opisuje ruiny barokowego zamku Ossolińskich w Ujeździe, w powiecie opatowskim. Zamek nosi nazwę Krzyżtopór. (Przyp. wyd.).

łem do ponurych piwnic, wypatrując ducha przeszłości w obrazie teraźniejszej ruiny. Już przestawałem panować nad wzruszeniami, już traciłem poczucie aktualnej rzeczywistości, gdy oto wychynęła niepostrzeżenie i stanęła obok konia niezupełnie zwyczajna postać. Wysoki i bardzo szczupły człowiek w chłopskim kożuchu, z bardzo śniadą twarzą o niezwykle szlachetnych i rasowych rysach pod czarną baranią czapką, którą właśnie grzecznie uchylał, wpatrywał się we mnie z fascynującą uwagą, ale też z dużą życzliwością. Polsko-rosyjskim wolapiukiem przedstawił mi się jako sołtys wsi, z dziada pradziada tutejszy mieszkaniec.

Z podziwem wpatrywałem się w senatorską twarz chłopa, w jego postać tak bardzo pasującą do zamku, myśląc w skrytości „ach, człowieku, czy nie jesteś ty prawym dziedzicem tego jaśnie oświeconego cmentarzyska! ... Brakuje ci sobolowej delii, złotej ramy i stygmatu śmierci w czarnych jarzących się oczach, byś pozostał na wieczne czasy duchem tych ruin. Ale jeśli nie jesteś ich władcą, to jesteś i pozostaniesz ich własnością..."

W pobliżu tych wspaniałych szczątków, jakby przylepiona do nich w bezruchu nędzy, próchniała uboga wieś, kupa najpospolitszych krzywych i bezładnie rozrzuconych chałup. Opodal widać było duży dwór, zupełnie jednak pozbawiony zwykłej dworskiej dekoracyjności, tak zwyczajnej u nas na Litwie i tak prawdziwie jaśniewielmożnej na Ukrainie.

Od grzecznego sołtysa dowiedziałem się, że jest to Ujazd, majątek pana Wilhelma Orsettiego, że jaśnie pan jest w domu, gdyż jaśnie państwo dopiero co wrócili z kościoła i bodaj że siadają do stołu, bo to już czas.

Podjechałem pod dom, oddałem konia chłopakowi, który się nawinął, służbiście obiecując konia oprowadzić, wytrzeć i postawić w stajni, sam zaś pomaszerowałem do dworu. W obszernym hallu spotkał mnie służący w liberii, fałszywie przymilający się facet, pomógł mi rozebrać się, drżącymi rękami ulokował na stoliku rewolwer, szablę postawił w kącie i łabędzim ruchem obu rąk wskazał mi drogę do salonu, a sam znikł. Z głębi domu dolatywały głosy pań i panów, liczne, młode, wesołe, potężniejące w wybuchach powszech-

nego śmiechu, który łamiąc się w suchych ścianach starego domu na kaskady i echa, dosięgał mojej dość melancholijnej jaźni, jak kołatka nawołując bym się rozchmurzył i nie psuł dobrym ludziom świątecznego nastroju.

Już wiedziałem, że jest to pierwszy dzień Bożego Narodzenia.

Do salonu wpadł, tocząc się nie tyle z rozpędu co z nerwowego podniecenia, pan domu, pięćdziesięcioletni jegomość, jakby wycięty z obrazków Andriollego, usiłujący symulować swobodę, lecz najwidoczniej zaskoczony i jakby zastrachany. Łamaną ruszczyzną, jeszcze gorszą od radziwiłłowskiej, zadeklarował z miejsca, że jest szczęśliwy witania w swoim domu rosyjskiego oficera. Odpowiedziałem chłodno entuzjaście, że jestem Polakiem, i proponuję rozmowę po polsku dla lepszego zrozumienia. Ekskuzowałem się, że jest mi przykro, iż podczas wojennej pospolitości zapomniałem o pierwszym dniu Święta, więc możemy odłożyć konferencję o zbożu... Lecz Orsetti, słysząc, że to ma być o zbożu, w oczach rozkwitł, zajaśniał, i prawie że na mnie krzyknął, że tego nie można odkładać.

— Mnie już szambelan Karski uprzedzał, że szanowny pan pułkownik jest delegowany przez dowództwo do zakupu zboża, sprawa ważna i pilna!

A poza tym — nalegał — muszę zaszczycić jego dom i spożyć ze wszystkimi gośćmi świąteczny obiad, do którego całe towarzystwo właśnie zasiadło.

O dobrym obiedzie marzyłem po trzydziestokilometrowym rajdzie. Nie wdawałem się więc w wyjaśnienia różnic między pułkownikiem a gubernialnym sekretarzem, bo ostatecznie ani mnie to ziębiło ani grzało, a skoro jemu to robi przyjemność, niech sobie ją ma przy święcie. Jednakże perspektywa ukazania się wśród obcych i przyzwoitych ludzi w sali jadalnej w długich butach i w idiotycznym mundurze ni psa ni wydry była żenująca. Lecz obserwując emocje pana Orsettiego, wypisane na jego obliczu, odgadywałem jak szczerze by się zasmucił moją odmową, oczywiście nie z powodu „niezaszczycenia", co odsunięcia zbożowych transakcji. Bez ceregieli więc ruszyliśmy w kierunku jadalni.

Z upodobania do krotochwili od wczesnych lat lubowałem się w uroczystościach wszelkich wejść i prezentacji. Zawsze bardzo uważnie obserwowałem wchodzących, nie szczędząc im w duchu uszczypliwych, najczęściej socjalnemokratycznymi gustami dyktowanych, uwag. U szlachty kresowej, poczuwającej się do jakiejś mitycznej równości z arystokracją, ceremoniał ten miał specjalne znaczenie. Będąc sam „wchodzącym", czułem się przede wszystkim szlachcicem kresowym.

Wszedłem więc godnie i nie śpiesząc, zrobiłem ogólny ukłon, nie za niski lecz i nie nazbyt godny, ukłon wzoru cesarskich kadetów, pielęgnowanego pieczołowicie w korpusie, przy czym błyskawicznie stwierdziłem, że liczne towarzystwo przy stole wygląda niezmiernie sympatycznie; przeważała młodzież. Lecz nie migawkowa fotografia okolicznościowa była wydarzeniem chwili. Wśród kilku młodych pań ujrzałem twarz, jakby z dawna znaną, czy w snach zapowiedzianą, czy przed wiekami w innym wcieleniu rzeczywistą i najdroższą, a oto odnalezioną a tak straszliwie daleką. Jej uważne spojrzenie, jakby zdziwione, czy pytające, cofnęło się w pośpiechu, zasłaniając się cieniem zimnej obojętności dla obcego.

Po obejściu dookoła stołu i wymienieniu ze wszystkimi biesiadnikami uścisku rąk, powściągliwego wobec pań, bardziej serdecznego wobec męskich prawic, usiadłem koło pani Orsetti, która mi z miejsca oświadczyła, że jest również kresowianką z Wołynia, zna Rosję, a jej brat Stanisław Gutowski jest w rosyjskiej służbie dyplomatycznej. Moja replika, że pana Gutowskiego miałem okazję poznać w Petersburgu w salonie pani Władysławowej Żukowskiej, żony posła do Dumy i znakomitego ekonomisty, zrobiła dobre wrażenie. Tymczasem przerwane moim wejściem rozmowy toczyły się dalej. Ktoś z młodych, chcąc mnie włączyć w ogólny nurt konwersacji, a przy tym czegoś się o intruzie w rosyjskim mundurze dowiedzieć, zaczął od stereotypowych pytań o pogodzie, o drodze, by zagadnąć chytrze czy lubię wieś. Już miałem wypowiedzieć co lubię i tym samym uchylić zasłony z nad „kto jest kto", gdy pani domu pośpieszyła

z jakąś odciągającą uwagą, zapewne w gościnnej trosce zaoszczędzenia mi konfuzji, o ile jestem z tej wsi już wydziedziczonym, albo jeszcze nie zaszczyconym towarzyskimi przywilejami z jej posiadania. Mimo tej interwencji odpowiedziałem zwięźle, że jestem urodzony i wychowany na wsi, nie zapominając dodać, że na wsi moich rodziców. Moja deklaracja wywołała wymianę kilku szybkich spojrzeń, nie dość jednak szybkich dla mego rysiego oka.

Pan Wilhelm Orsetti tymczasem, czy to pod wpływem świątecznego nastroju, czy może podniecony obecnością gościa w intratnej misji, zaczął wręcz celować w pomysłach i wypowiedziach, różniących się z sobą tylko tym, że były coraz bardziej *mal à propos*. Więc perorując wzniośle do panów z sąsiedztwa o mojej handlowej misji, zaznaczył, że wojsko zamierza płacić ziemianom cenę wyższą od rynkowej i w tym miejscu zrobił wymowną pauzę, wycelowaną wprost we mnie. Nie chcąc dobrym ludziom skąpić powodów do dobrego humoru i trzymać w zawieszeniu, powiedziałem, że jeśli gatunek ziarna dobry, to różnica z cenami giełdowymi może osiągnąć 13%.

Pan Orsetti tryumfująco spojrzał wokoło, jakby się chełpiąc gościem w mundurze, i nie mogąc sobie poradzić z emocją, zakrzyknął:

— O, to my szanownego pana ozłocimy!

Na chwilę oczy co przytomniejszych świadków tej handlowej promesy wpadły dyskretnie do talerzy w oczekiwaniu na moją reakcję. Lecz kiedy odpowiedziałem wesoło, że złota nie da się ozłocić, pokrywając wyskok gospodarza żartem, wszyscy odetchnęli z ulgą i homerycki śmiech zatuszował ryzykowną sytuację. Orsetti jednak nie schwycił melodii. Spłoszonymi oczami obiegł towarzystwo, a gdy się połapał, że wszyscy zgodnie weselą się jego kosztem, żaczął mnie bardzo zawile przepraszać, dopiero dobijając siebie ostatecznie.

Tymczasem nienajgorszy obiad trwał, stając się coraz przyjemniejszą biesiadą, a obecność moja nie miała już cech inwazji obcego w intymną sąsiedzką gromadę. Popijano nieszkodliwego Ponte Caneta, gdy Orsetti naraz powstał z kielichem w ręku, emanując natchnionym patosem i rozpoczął

rozwlekły toast ku czci przyszłego króla polskiego, wielkiego księcia Miko... W tym momencie coś swawolnego uwięzło elektorowi w gardle, nim kandydatura została dokładnie obwołana. Skorzystało z tego natychmiast kilku panów i ja w ich liczbie, by zaznaczyć naszą niewzruszoną wierność republice. Przy czym pozwoliłem sobie odwołać się do mojej wielkoksiążęcej litewskiej odrębności: Carskie rządy przenigdy nie odstąpią polskiemu królowi, nawet z ich rodu, Wielkiego Księstwa, a bez Litwy ja się nie godzę na króla i zakładam uroczyste veto.

Między mną a młodymi przy stole nawiązał się wyczuwalny alians. Niestety kosztem kochanego gospodarza. Miałem zresztą wrażenie, że u wszystkich obecnych odpadła wszelka wątpliwość co do mego towarzyskiego standartu. Pozostał jeszcze do ustalenia na miligramometrze snobomierza stopień mojej towarzyskiej pozycji w miejscu stałego zamieszkania. A więc ile sympatyczny młodzieniec posiada włók, sam, czy jego papa? Czy się urodził i wychował w pałacu, czy we dworze? Ilu hrabiów ma wśród bliższej i dalszej paranteli, i jakie współczesne koligacje ze „światem" wyznaczają jego miejsce w szlachecko-ziemiańskiej społeczności?... Zapewne wśród obecnych wszystkie te kwestie w aspekcie intelektualnym uznane już były za przebrzmiałe; czasy stawały się przepisowo demokratyczne. Nie miało to jednak praktycznego znaczenia, gdy w grę wchodziła obrona elitarnej odrębności, dla schyłkowego okresu całkiem umotywowana.

Nie kwapiłem się do sukcesów na polu towarzyskim wygrywaniem legend o powiatowych blaskach mego rodu. Bardziej niż skrupuły socjalnego demokraty (bez partyjnego przydziału) zadziałał tu węch puszczański:: wystałością rycerskiej krwi nie nadrobisz-że brakujących morgów do tutejszej fortuny, idącej w tysiące! By jednak jakoś zabłysnąć i wyodrębnić się, przybrałem styl petersburskiego „schyłkowca", jako najodpowiedniejszy kontrast w otoczeniu bardzo konserwatywnych i niewątpliwych karmazynów. Nowoczesność budzi zawsze zaciekawienie, jeśli nie aprobatę. Całkowicie natomiast zataiłem moje socjaldemokratyczne aspi-

racje i asocjacje, przez poczucie dobrego smaku zapewne, aby nie wywoływać niepotrzebnego dysonansu.

Wkrótce się pokazało, że prawie wszyscy panowie byli myśliwymi; to znaczy bażanty, kuropatwy, zające, a wszystko w tysiącach. Dopiero zacząłem ich gnębić rudnickimi łosiami, dzikami i głuszcami, pardwami w dziśnieńskim powiecie i polowaniami na północ od Petersburga na niedźwiedzie. Podniosło to mój prestiż nadzwyczajnie. Dla pań, a zwłaszcza dla tej jednej, zaprodukowałem się z zupełnie innej beczki, też nie po śledziach, cytując co krótsze paradoksy Oskara Wilde'a, lub rozsnuwając z oszukańczym wzruszeniem nad lekko ośnieżoną Radomszczyzną wigwamowe dymy Oregonu w cudnych oktawach Pieśni Hayawaty.

Wreszcie stał się późny wieczór, wszystkie sprawy najważniejsze i błahe zbliżały się zwykłą drogą ku zakończeniu. Z dziedzicem Ujazdu umówiłem się, że pojutrze przyszlę konne transporty po pszenicę razem z pieniędzmi, które wypłaci dowódca kolumny. Pan Orsetti był wzruszony i uszczęśliwiony, więc żegnał mnie jak syna, po którym dziedziczy.

Z młodymi pożegnałem się „na dowidzenia". Piękna panna z miłej czwórki rodzeństwa, reprezentująca w zastępstwie rodziców dom w sąsiedztwie, zaprosiła mnie na ostatni dzień grudnia. Uśmiechała się przy tym trochę dziwnie, lekko drwiąco, lecz zachęcająco, jakby to miało znaczyć, że wie już doskonale jak wielką przyjemność sprawi mi ta wizyta. Cóż pocznę: jeśli wie, to niech wie, ale trochę mi się nie podobało takie jasnowidzenie. Hamując się, podziękowałem z godnością wytrawnego oszusta, gdyż czułem jak przeze mnie galopuje dzika radość, aż w głowie dzwoni. To niezawodnie dzwoniły złotem kute kopyta niejakiego rumaka, pędzącego w poetyckim galopie ku temu co się nigdy nie miało zdarzyć.

TRUP W LESIE

Po paru dniach wypadło mi znowu wybrać się w teren. Od samego rana nie umiałem sobie wytłumaczyć nagłej zmiany nastroju, jakiegoś bezprzyczynowego ni to przygnębienia, ni to rozdrażnienia. Koń osiodłany już stał przed gankiem, już byłem gotów jechać w długą drogę do Łoniowej, majątku hr. Moszyńskiego, gdzie należało sfinalizować większą transakcję zbożową, a ja wbrew przyzwyczajeniu marudziłem w kwaterze, to szukałem rękawiczek, zatkniętych za pas, to sprawdzałem już nie wiem po raz który broń, pieniądze i papierosy, i zachowywałem się tak niezwyczajnie, że ordynans Jewsiejew, bardzo do mnie przywiązany i jak na petersburskiego ślusarza przeczulony, radził mi wyjazd odłożyć. W rzeczy samej czułem się źle, coraz gorzej, jak bym był chory, chociaż mój wzrastający niepokój nic z samopoczuciem fizycznym nie miał do czynienia. Zaczynałem też uświadamiać sobie, że się coś dzieje poza granicami codziennego porządku rzeczy, że moje nerwy reagują na jakąś ostrzegawczą sygnalizację, której mój rozum nie jest w stanie odszyfrować.

Jak już wspomniałem, miałem jechać do Łoniowej, odległej o 25 km od Staszowa, do której droga prowadziła przez radziwiłłowskie lasy, głębokie i puste na przestrzeni kilku kilometrów. Sztab korpusu przydzielił mi dwóch dońskich kozaków dla bezpieczeństwa mojej osoby i dla ochrony od możliwego rabunku znacznej kwoty pieniężnej, którą zazwyczaj ze sobą woziłem dla uproszczenia transakcji zbożowych. Przeciętnie miewałem ze sobą koło stu tysięcy rubli, suma na owe czasy przed dewaluacją pokaźna. Jednak dotychczas unikałem wyjeżdżania w teren w asyście moich kozaków, ni to z braku do nich zaufania, ni to by nie psuć sobie ich

obecnością wszystkich uroków samotności. Więc i tego dnia wybrałem się samotnie.

Droga na lasy była mało jeżdżona i pusta. W ciszy zimowego południa starałem się rozwikłać zawiłości moich nastrojów i niepokojów, nad którymi dominowała odraza. Mimo że postanowiłem zebrać się do kupy, jechałem roztargniony niemal do granic nieobecności, a droga, śnieg i sama jazda ginęły wśród postrzępionych wątków sugestii czy złych przeczuć. Ocknąłem się na jakieś trzysta metrów od ściany lasu po prostej jak strzelił drodze, wbiegającej w bór posrebrzoną śniegiem trybą. Wpatrzony w jej daleką perspektywę, pochwyciłem naraz w jednym mgnieniu wzroku migawkowe smugi dwu cieniów, szarpniętych w poprzek szafirowej bieli w głębi lasu. Nie od razu zrozumiałem, że to dwóch konnych przeleciało dukt z prawa na lewo. Właściwie nie kojarzyłem sobie tego widzenia, które uznałbym łatwo za przywidzenie, z nasileniem mego zdenerwowania. Czułem, że coś się we mnie wzbrania od wjazdu w las, paraliżuje nerwy rąk, ściągających cugle, w płucach między oddechami staje alarmującą pustką. Serce w skroniach wystukiwało jakieś ostatnie sygnały, domagające się przetasowania na nowo talii losu, w którą ktoś podstępnie śmiertelną czarną dziesiątkę w sąsiedztwo karowego waleta wsunął.

Nic nie rozumiejąc, przed samą ścianą lasu zjechałem z drogi.

Wąską ścieżką gajowych, przepatrujących złodziei, przegalopowałem brzegiem boru ze dwa kilometry, aż do następnej wjazdowej drogi w lasy i w cudowny sposób odmieniony, wyzwolony ze wszystkich ponurości, lekki na duchu pogrążyłem się w złotawą przepaść oczu, które mam jutro ujrzeć. Nie śpiesząc się przyjechałem do Łoniowej, gdy krótki dzień już się zmagał z wczesnym zimowym zmrokiem.

Spotkał mnie pan Moszczyński, dziedzic pięknej fortuny i intelektualista, o którym już coś słyszałem od Psarskich. Wkrótce się przekonałem, że to spotkanie należało do najciekawszych w moim życiu. Nie wiedziałem co więcej podziwiać w tym osiemdziesięciokilkoletnim fenomenie: żywość umysłu i pamięci, ujmujące obejście, wiedzę, oryginalność i

trafność sądów w sprawach teraźniejszych, czy umiejętność nadawania sprawom przeszłym kolorów życia, jakby były współczesnością. Stary pan się rozgadał, a ja słuchałem go jak urzeczony.

Później podano kolację w wielkiej jadalnej sali, w której wszystko odbywało się tak dziwnie uroczyście i cicho, jakby szeptem. Nie brzęknął talerz, nie zadzwoniło srebro, ani zagrały kryształowe kieliszki, i nawet nasze przyciszone głosy zdawały się być bardziej podobne do myśli niż zwykłej rozmowy. Pan domu zdawał się przy tym wyraźnie cieszyć nie tylko z mojej uwagi i pojętności, ale także widokiem pałaszowania przeze mnie doskonałej pieczeni i ochoczości, z jaką raz wraz przychylałem sobie kielich z takim burgundem, o jakiego istnieniu nie miałem dotychczas pojęcia.

Aż zrobiło się późno i brązowa kolumna pod ścianą rozważnie i cicho wyszeptała północ.

Dziesięciominutowa rozmowa z administratorem w sprawie zboża zakończyła moją wizytę. Byłem wzruszony, że stary pan wyprowadza mnie aż na ganek i nie zdziwiłem się, że w pałacowej sieni zdjął z sarniego rogu dżokejkę. Na dworze gęsta wpółodwilż zmagała się z mroźną wilgocią ziemi i nieba. Było czarno, a do Staszowa dwadzieścia kilka kilometrów. Już miałem się po raz wtóry żegnać, gdy przed kolumnami ganku w nikłym blasku stajennych latarni spostrzegłem dwa osiodłane konie, niecierpliwie przestępujące z nogi na nogę.

— Odprowadzę pana kawałek.

I tak jak stał, jak był ze mną w salonie i w jadalni, w staroświeckim surducie tylko, suchy i potężnie stary, lekko wsiądł w siodło z podstawionej garści stajennego i nim się obejrzałem, ginął przede mną w mroku nocy.

Zrównaliśmy się za dworem na szerokiej drodze, gdzie czarność była już nieco przejrzystsza. Sucho brzęknęły o siebie w ciemności strzemiona, a niezmordowany starzec znów opowiadał o dawnych dziejach, napomykając bardzo oględnie o swoim królewskim przodku, równie witalnym jak on, lecz jakże duchowo różnym. Odwalił ze mną osiem kilometrów drogi aż do lasu, a gdy od borów pociągnęło

ściszonym szumem, jak głębokim sennym oddechem nocy, i zimniejsze podmuchy rozwiały mgłę, że zrobiło się widniej, wstrzymał konia.

— Tu się rozstaniemy. Miło mi było poznać pana, a staremu samotnikowi spędzić parę godzin z młodzieńcem, który umie słuchać...

Tymczasem odmieniła się scena nocy. Na przetartym niebie już widać było dyszel Wielkiego Wozu, wskazujący prosto na Staszów. Jechałem stępa, rekapitulując wrażenia ze spotkania i kilkugodzinnego obcowania z człowiekiem o tak przedziwnej żywotności umysłu i sprawności fizycznej. Mimo woli myślało się o tym Auguście Mocnym, aż tak mocnym, że jego praprawnuk odmachuje zimową północą w pokojowej surducinie dwadzieścia kilometrów konno, by młodemu gościowi, mającemu skłonność do przesadnego kwalifikowania swoich hartów, nie wydawało się, że jest tak wielkim zuchem.

Jechałem wielkim lasem. Od góry i od spodu dwie szarawe smugi nieba i ziemi prowadziły konia, stąpającego ostrożnie po skrzepach podmarzniętej grudy. Musiałem gdzieś blisko, może tuż obok, przejeżdżać koło miejsca zbrodni.

Nazajutrz rano nadjechał ze sztabu esauł z czterema kozakami, kazał skuć moich dońskich „strażników" wzajemnie za ręce, i puściwszy aresztowanych przodem, odjechał z powrotem. Niezwykle tragiczny był widok tych ludzi, maszerujących przodem przed prowadzonymi luzem ich końmi.

Na rozprawie sądu polowego wyszło na jaw, że moi kozacy już od dawna postanowili zapolować na mnie „na zasiadkę". Uskutecznić to mieli w radziwiłłowskim lesie, lecz im się to nie udało, gdyż — jak zeznali — *„jeho wysokorodije"* był chytry. Nawinęła się natomiast inna okazja, zamordowali i obrabowali przechodzącego Żyda z Opatowa. Traf chciał, że książęcy gajowy spod gęstego jałowcowego krzaku przyglądał się z przerażeniem ponurej scenie. Morderców znał osobiście ze spotkań w Staszowie, więc śledztwo nie natrafiło na trudności. Pomimo naiwnego i szczere-

go przyznania się do winy sąd skazał obu morderców według surowego prawa wojennego.

Miałem się cieszyć z ocalenia? Niewątpliwie cieszyłem się, choć było mi żal i tego, kto swoim życiem opłacił za mnie krwawy rachunek ciemnym mocom, i tych nie bardzo zorientowanych w zawiłościach prawa prostaków, których jedno prawo zachęcało do zabijania ludzi za rzeką na pozycjach, a drugie karało najsurowiej za to samo w lesie. Zakopano ich w obcej niepoświęconej ziemi. Na prośbę dowódcy ich sotni nad Don posłano zawiadomienie: „*pogibli w boju*".

NOWY ROK I POŻEGNANIE

31 grudnia 1914 wybrałem się w gościnę, jako zaproszony przez piękną pannę na bożonarodzeniowym obiedzie w Ujeździe u państwa Orsettich.

Znowu kopyta ostrokutej kobyły, szczerbiąc oblodzoną drogę, wydźwaniały metronomiczny wtór do trzydziestu tysięcy metrów podróżnych myśli, znów jęczały i syczały w drutach pocztowych dalekosiężne wieści, jedyne i monotonne towarzyszki podróży. Daleko, daleko od lewej strony stroszyły się na zachodnim widnokręgu ciemne garby Świętokrzyskich Gór, okryte ośnieżonym i rozczochranym kożuchem lasów. Na prawo jak okiem sięgnął leciała pod horyzont bezbarwna równina mazowiecka, gdzie niegdzie podpierając kępami topoli lub rzędami wierzb przydrożnych, to szare, to przetarte do bladego błękitu, niebo. Z pejzażem harmonizowała jego cisza.

Parę słów o tej ciszy:

W samotności człowiek dojrzewa, jak leśna paproć w nocy. W samotności nabierają właściwego znaczenia myśli i wrażenia, gdzieś-kiedyś posiane, a zapomniane w rozgwarze szumnych i tłumnych dni. W samotności one się odnajdują i gromadzą, dołączając jak zaoszczędzony grosz do podstawowych rezerw ludzkiej duszy. Samotności nie znoszą i unikają jej ci, co w sobie nie rosną, utracjusze, którzy nic nie gromadzą, mówiąc trywialnie wszyscy ci, którzy się z sobą nudzą. Wiem, że te mądre maksymy są wszystkim dobrze znane, przytaczam je dla dopełnienia realistycznego obrazu minionej epoki, w której człowiek częściej przyjaźnił się z ciszą, chociaż była to już epoka schyłkowa, powolnymi aie długimi krokami zmierzająca do przemian, które zmieniając nawyki, sposoby bycia i upodobania, zmieniały do gruntu kształty indywidualnej duszy i jej związki z otoczeniem

na rzecz kolektywnego współżycia, cokolwiek ono w różnych szerokościach geograficznych znaczy.

Długim godzinom ciszy, tamtej ciszy z lat młodych, zawdzięczam, że dziś reaktywizuję przeszłość w drobiazgowy sposób, ze wszystkimi mało znaczącymi szczegółami, które jednak mi się dziś składają na ubogi lecz najdroższy staroświecki skarbczyk. Widzę więc znów przed sobą zaśnieżoną długą aleję lipową, szereg olbrzymów w dwurzędowym szyku godnie maszerujących ku białemu dworowi. Widzę siebie, wjeżdżającego w obszerny dziedziniec, otoczony gospodarskimi zabudowaniami. Za nim szeroka biała przestrzeń zasypanych śniegiem klombów i kwietników, a dalej biały dom, pół pałac, pół dwór w chropawej ramie zimowych drzew.

Spotyka mnie jak dawnego i dobrego znajomego gromadka strasznie swojskich ludzi, których swojskość jest odmianą doskonałej salonowości, nie mającej nic wspólnego z chaotyczną jowialnością hałaśliwych entuzjastów gościnności z innych środowisk. Zostałem autorytatywnie polecony rodzicom: małej i szczupłej pani, i bardzo wytwornemu, a jednocześnie niezwykle szlagońskiemu papie. Jestem również przedstawiony dalszemu rodzeństwu, jeszcze jednej siostrze i jeszcze jednemu bratu. A potem dwa dni gościny i trzy wieczory minęły szybko, jak mija wielkie święto. W atmosferze serdecznej zażyłości moja pierwsza wizyta wydawała się być dziesiątą, gdy moje późniejsze dziesiąte wywoływały wspomnienia i wrażenia, że moja pierwsza miała miejsce w zamierzchłej przeszłości. Tak szybko zostały przebyte wszystkie dystanse regionalnej i światopoglądowej obcości w niekończących się rozmowach ze wszystkimi i o wszystkim, bynajmniej nie pryncypialnych, ani nie podtrzymywanych sztucznie. I milczeliśmy wcale niekłopotliwie, gdy tak wypadło, że wszyscy naraz i każdy z osobna zamyślił się nad czymś swoim.

Wreszcie któregoś smutnego lutowego zmierzchu wpadłem do moich przyjaciół z niewesołą nowiną: Odwrót na całym odcinku polskiego frontu.

Pod sekretem, którego powagę tuszowałem dowcipem, wy-

jawiłem moim nowym bliskim, że za kilka dni będą już tu cesarskie lub cesarsko-królewskie wojska. Pojedynczo i wszechstronnie zostało mi nakazane, bym natychmiast po wojnie odnalazł drogę w te strony, z czego ucieszyłem się bardzo, nie nazbyt manifestując z czyich ust rozkaz sprawił mi największą radość. Nazajutrz, późnym świtaniem, wracałem sztabowym autem, gnębiąc akcelerator, jakby wóz był odpowiedzialny za brutalny powiew rzeczywistości na delikatny kwiat uczuć, zakwitły smutnym oczarowaniem, jakby w przeczuciu ich nieurodzajności.

Po rozbitej i wyboistej szosie, jeszcze oblodzonej lecz już podmokłej, wściekle się toczył zły i rykliwy *Pierce Arrow*, a spod jego kół bryzgało straszliwie na wszystkie strony zimowe błoto. Rzadko spotykani ludzie z przerażeniem zeskakiwali z drogi na pola, nabożnie się żegnając, jakby ujrzeli złego ducha.

ODWRÓT

Długimi drogami, niekończącymi się bezdrożami, dniami i nocami, z krótkimi postojami w zachlastanych wojennym brudem miasteczkach i w cholerą zarażonych wsiach i osadach, maszerowała rosyjska piechota i ciągnęła artyleria i tabory, jakby pełzła apokaliptyczna stonoga bez początku i końca. Żołnierze buciorami, konie kopytami rozorywali czarnoziemne błoto, po kolana głębokie. Armaty coraz częściej i głębiej więzły w rozchlapanym, rozmokłym gruncie, niemal wynoszone wysiłkiem setek ramion przy akompaniamencie straszliwych wrzasków i plugawych a wymyślnych przekleństw. Konie tuliły uszy i przysiadały na zadach. Ludzie, nieprzytomni ze zmęczenia, brnęli zmąconymi szeregami, zobojętniali na szał i wyzwiska podoficerów, usiłujących utrzymać wojskowy szyk wobec sztabowych aut, co raz wraz przemykały, raczej przepełzały środkiem bezdroża i miotały w tłum pieszych rozrzedzonym błotem. Towarzyszyły już temu jeszcze ściszone złorzeczenia żołnierzy, zmuszonych cisnąć się w coraz głębszą maź.

Wielkie przemarsze zwłaszcza w odwrocie są prawdziwą plagą wojny, wywołują u wszystkich jednakową do niej odrazę i nienawiść. Tej reakcji żaden urzędowy patos i patriotyczne podniety zaradzić nie mogą. Przeciwnie, słowa, które pobudzić mogłyby do bohaterskich zrywów w śmiertelnym zagrożeniu bitwy, stają się obce i nawet nienawistne wobec fizycznego wyczerpania do granic bezwładu.

Jak przemajaczone w gorączce mijały noce na wozach lub w ohydnych chałupach, dni wlokły się i obracały jak wozowe koła w roztopach. Błogosławiona wódka lała się naczczo, w południe i w nocy, a obojętny czas zawisł — zdawało się — w bezruchu, jak nieodczarowane przekleństwo losu nad ludźmi i nad dniami jednakowo mglistymi, wilgotnymi i zim-

nymi. Ludzie dziczeli. Cały widnokrąg życia zaciągnął się mściwą nudą i już takim zmęczeniem, które porażało każdą odporność rozumu, sumienia i woli.

Tak w skrócie wyglądał każdy odwrót, każda dyslokacja, a było tego bez liku.

Później stawał bezruch nad frontem na całe tygodnie i ustalała się rutyna przyziemnego życia z dnia na dzień, w której już na spokojnie rdzewiała i próchniała od wewnątrz wrażliwość dla wszystkich wzniosłych pojęć o ofierze i obowiązku. W okopach wybierano wszy, a w słoneczną pogodę suszono ubrania i sparciałą bieliznę, i z nudów oddawano strzały w kierunku przeciwnika.

W monotonię, w zmęczenie, w beznadziejność wojna wsiewała pierwsze ziarna buntu.

NA WARIATA

Nad nami oficerami i wojskowymi urzędnikami, oddalonymi o kilka lub kilkanaście kilometrów od okopów, i ich, bądź co bądź, hazardowej rozrywki — niebezpieczeństwa kalectwa lub śmierci od zabłąkanej kuli, czas stawał jak jesienna chmura. W godzinach wolnych od służby starszyzna generalska i pułkownikowska grywała godnie w winta, bardziej postępowi snobizowali się brydżem, od kapitana w dół rżnięto w baka i zapijano się wódką. W tych warunkach moje osobiste życie, którego w żaden sposób nie umiałem dopasować do rzeczywistości, stawało się niepostrzeżenie pasmem rozmaitych i niespodziewanych kryzysów. Latem 1915 roku widocznie już dopełniły się nieznane miary, popadłem w zupełny rozstrój nerwowy. Straciłem apetyt do jedzenia i do rozmów z kolegami, pogrążałem się coraz głębiej w apatię, jak topielec w swoją wodę. Na domiar niepomyślności, będąc w służbowej delegacji, ległem na ciężką hiszpankę, która już zaczynała swój morderczy marsz przez Europę. W międzyczasie sztab przeniósł się na inne kwatery, pozostałem sam jeden w dziurze hotelikowej małego miasteczka, z temperaturą powyżej 39 stopni.

Kiedy się jakoś wygrzebałem i wylizałem i po paru tygodniach wróciłem do sztabu, skierowano mnie natychmiast do korpusowego ambulatorium. Tu sam mój wygląd wzbudził wśród wielkich doktorów wymowne milczenie i współczujące kiwanie głowami, co zakończyło się diagnozą, niezupełnie dla mnie zrozumiałą, lecz zaakceptowaną przez moich zwierzchników, że muszę być natychmiast odesłany na tyły dla klinicznego leczenia systemu nerwowego. Przykre to mi się nie wydawało, dopóki przyjazny mi starszy felczer, też socjalista, nie poinformował mnie w trybie socjalistycz-

nej poufności, że to ma być... lecznica psychiatryczna w Kijowie. Inaczej mówiąc — dom wariatów.

Ponieważ jednak Opatrzność zaopatrzyła mnie w szczęśliwe usposobienie, więc w głębi świadomości czy duszy, mniejsza: mądrej czy głupiej, kpiłem sobie z tej psychiatrycznej lecznicy wbrew wszystkim przystawianym opiekunom, rozumując może jak prawdziwy wariat: „któż może wiedzieć lepiej ode mnie, że wariatem nie jestem?!". Przyczaiłem się więc nie jak wariat, lecz jak spryciarz, i zwyczajem puszczańskim udając, że o niczym nie wiem, obiecywałem sobie po cichu w odpowiedniej chwili i okazji zmienić decyzję mędrców korpusowych na coś bardziej rozsądnego. Spokojnie więc i prawie wesoło wyjechałem z Seletyna do Kijowa z pismem sztabu w zalakowanej kopercie, jako wejściowym glejtem do domu wariatów.

Dokładnie w rocznicę wybuchu wojny po czterech dniach uciążliwej podróży końmi, autem i koleją dotarłem do pięknego Kijowa, huczącego w tym czasie zespołowymi i pojedynczymi głosami tyłowego wesela, humoru i radości życia.

Ulice, restauracje i sklepy wprost zatłoczone były przez tysiące młodzieńców w przepięknych mundurach „ziemskich huzarów", jak w owym czasie nazywano urzędników parawojennych organizacji, czyli dekujących się w ten sposób cywilów, uzbrojonych od stóp do głów, omalże w karabiny maszynowe. Za nimi, raczej przed nimi, setki wielmożów sztabowych, generałów, pułkowników i adiutantów, gęsto przeplatanych kwiatami miłosierdzia, wykwitającymi spod eleganckich twarzowych stroików najpiękniejszych pań i panienek, poświęcających się miłości bliźniego. A dokoła nich słońce, muzyka, tańce, szampan, szał, słowem — prawdziwy raj Mahometa, czarowny zlot hurysek i odalisek, najsłodszy winograd wojny, czerpiący niewidzialnymi ssawkami, jak wampiry krew, pożywne dla siebie soki kwitnięcia z dalekich, gnilnych okopów, z zawszonych baraków, z ofiar życia i beznadziejnej nędzy tych, którym od urodzenia karta nie szła.

Jak leśna kuna pojmana żywcem w puszczy, przywieziona w worku i wypuszczona w tym salonie wielkoświatowego

szczęścia, spozierałem dziko dokoła, usiłując zrozumieć, pogodzić się i wybaczyć... I nie potrafiłem ani zrozumieć, ani wybaczyć. Widocznie byłem zbyt osłabiony na umyśle po hiszpance, by zimnymi argumentami rozumu pokonać gorący sprzeciw sumienia i bunt serca. Nienawidziłem i pogardzałem.

* * *

W kancelarii kliniki dla nerwowo chorych dyżurny lekarz, wybitnie ormiańskiego typu pan po czterdziestce, otworzył zalakowaną kopertę. Widocznie przeczytał coś niepokojącego w piśmie korpusowego lekarza, bo spojrzał na mnie badawczo spod okularów wzrokiem trochę zażenowanym a tak wyraźnie fałszywym, aż po mnie ciarki przeszły; wydało mi się, że tak się właśnie patrzy na prawdziwych wariatów. Głosem niepewnym, kłamliwym i sztucznie czułym, jakby obłaskawiającym i usypiającym podejrzliwość wariata, zapewnił mnie, że będzie mi tu bardzo dobrze, że to nie na długo, a...

— tymczasem zechce pan złożyć na przechowanie swoje dokumenta, pieniądze i broń.

Głupio się zachował dyżurny lekarz. Przed zrobieniem mi tej propozycji powinien sprowadzić sobie ze czterech facetów do pomocy. Natychmiast wykorzystałem strategiczny błąd przeciwnika. Szybko, jak w natchnieniu, jak na prawdziwego wariata przystało:

podsunąłem się bliziutko, pochyliłem się do twarzy lekarza, która wnet zbladła i strzeliła do mnie błyskawicą przerażonych spojrzeń, i najuprzejmiejszym głosem, tak zwanym po rosyjsku *„zaduszewnym"*, zaproponowałem, by mi wystawił dokument podróżny, opiewający że klinika wysyła mnie po chorobie na wieś, na wypoczynek do majątku moich rodziców w powiecie wileńskim.

Gdy zdumiony moją bezczelnością doktor rzucił się w tył, na ślepo szukając ręką guzika dzwonka na biurku, ja grzecznie okryłem dzwonek moją lewą dłonią, jednocześnie sięgając prawą do kieszeni spodni i ujmując głowicę mego 9 mm potworka, przemówiłem jeszcze bardziej serdecznie, chociaż z twardymi akcentami gracza przygotowanego na wszystko:

— Panie doktorze, proszę na chwilę sobie wyobrazić, że ja nie jestem wariatem, a tylko wyczerpanym długą chorobą i zmęczonym wojną człowiekiem, jak tysiące innych. Ja mogę doskonale wydobrzeć u siebie na wsi, a w pańskim szpitalu oszaleję na pewno. Proponuję panu uczciwą i rozsądną likwidację cudzego głupstwa, spreparowanego kosztem mojego losu, mojego życia, a być może pańskiego też. Proszę mi w tym dopomóc.

— Ależ ja nie mogę, moim obowiązkiem...

Przerwałem mu w pół słowa: — Proszę mi nie mówić o obowiązku, proszę mi wystawić potrzebny dokument podróży. Chociażby dla uniknięcia rozpaczliwego odruchu samoobrony z mojej strony — powiedziałem groźnie. — Oczywiście, rad bym pana przekonać, że jestem ofiarą, nazwijmy to, formalistycznej obojętności. Jestem w rosyjskiej armii z obcego środowiska, narodowego i socjalnego — ciągnąłem, obserwując go pilnie, bo jeśli Ormianin, kombinowałem, niedawne represje rządu w stosunku do Kościoła ormiańskiego mogły zagrać na moją korzyść.

Jakoż nie omyliłem się. Lekarz, na którego twarzy jeszcze przed chwilą strach walczył z poczuciem obowiązku, jakoś się w sobie rozprostował, spojrzał na mnie po ludzku, a pod wpływem moich politycznych aluzji, oszczędnych w słowach a żarliwych w tonie, nawet uśmiechnął się życzliwie. Wówczas, nie zwalniając dzwonka i nie wyjmując prawej ręki z kieszeni, opowiedziałem mu przebieg mojej hiszpanki. Tymczasem on, najbardziej naturalnie w świecie, zabrał się do wystawiania mi dokumentu podróży, popartego bardzo naukową motywacją. Nie zaniedbał przepytywać mnie przy tym, jakie mogę mieć warunki rekonwalescencji u siebie na wsi. A podając mi papier, dodał: — Jestem najzupełniej przekonany, że postępuję słusznie. Trzytygodniowy pobyt na wsi zrobi panu lepiej niż trzyletnia kuracja tutaj. Żegnam, i życzę powrotu do zdrowia. Będę wdzięczny za kartkę z informacją jak się pan czuje. To i dla mojego lekarskiego sumienia ma znaczenie.

Mocno uścisnęliśmy sobie dłonie. Byłem tak wzruszony z wielu powodów, że dopiero na ulicy dotarł do mnie sens

słów: *t r z y l e t n i a k u r a c j a*. Więc na trzy lata chcieli mnie tam zapakować?!

Ominęło mnie wielkie nieszczęście. Tak wielkie i odrażające, że naraz owładnęła mną histeryczna panika. A nuż lekarz symulował tylko życzliwość! A nuż zarządził już za mną pościg! Będę strzelał, niewątpliwie będę strzelał, chociaż nie jestem wariatem! ... Tylko z wielkim trudem udało mi się zapanować nad roztrzęsionymi nerwami.

TRUP W HOTELU

Znowu nadarza się okazja do opowiedzenia jednej sceny z mojego życia, której przebieg pogłębił i ugruntował we mnie przekonanie o istnieniu we mnie jakiegoś nadzmysłu, chroniącego mnie przed obcą złą wolą, gdy ta sięgà po moje życie.

Na pociąg pośpieszny Odessa-Petersburg było już za późno, więc wybrałem się na poszukiwanie noclegu. Ciasnota w tym czasie w Kijowie była straszliwa. Gdzieś musiały się przytulać do siebie te lumpen-militarne mrowia obojga płci. Wszystkie hotele, pensjonaty, zajezdne domy, domy schadzek i zwykłe lupanary były przepełnione, wprost nabite jak beczki śledziami; porównanie o tyle ścisłe, że z wielu tych podrzędniejszych bił smród właśnie śledzi, brudu i zatłoczenia. Wreszcie jakaś poczciwa dusza wskazała mi zajazd na Bibikowskim Bulwarze, już w okolicach towarowego dworca, ostrzegając zresztą przed złodziejami. Tam znalazłem pokój, mało podobny do normalnego hotelowego, lecz przynajmniej nie za bardzo cuchnący zapachami tego rodzaju przytułków.

Zmordowany i wyczerpany przejściami w szpitalu wariatów, nie odczuwałem żadnej ochoty do spędzenia wieczoru w okolicach Kreszczatyku i Carskiego Sadu, gdzie ucztowano i pito do białego rana. Pozostałem w zajeździe, wykąpałem się na stojąco w brudnym korycie, które kiedyś było wanną, i wcześnie położyłem się do łóżka, bocząc się ze wstrętem od popluskwionych ścian.

Ponieważ od urodzenia jestem tchórzem, zawsze przygotowanym do obrony mojego marnego żywota, mam od dawna we zwyczaju lokowanie broni na noc nie pod poduszką, jak to czypnią odważni lecz niezbyt mądrzy, a pod kolanami, jak to mają we zwyczaju bandyci i prawdziwi tchórze. Bo gdy padnie chamski rozkaz „ręce do góry!", jest mało praw-

dopodobne, żeby cham pozwolił na sięganie drżącymi rękami pod poduszkę. Gdy natomiast rewolwer czy pistolet z nabojem w lufie leży pod kolanami, jakże marny jest los faceta, do którego ma się pierwszy i decydujący strzał. Byle pamiętać przytomnie o podniesieniu lewą ręką prześcieradła i koca (ruch usprawiedliwiony niby to spełnianiem rozkazu), żeby się nie zadusił eżektor, a można wystrzelać cały magazyn nie wydostając nawet broni na zewnątrz. Wszystkie próby i ćwiczenia zostały dokonane w czasach zamierzchłych, poprzedzających rewolucję 1905 roku.

Pod drzwiami była dość szeroka szpara. W drzwiach nie było zasuwki, jedynie klucz w bardzo prymitywnym zamku. Przywiązałem klucz do klamki kawałkiem sznurka, zapobiegając w ten sposób wyłuskanie klucza z zamku na podsuniętą pod drzwi gazetę i otworzenie nim drzwi od zewnątrz.

Te śmieszne zabiegi robiłem automatycznie, bez żadnego namysłu czy zamysłu, machinalnie, jak podświadome odruchy, które — jeśli nie znajdą usprawiedliwienia — zbywa się właśnie określeniem: śmieszne.

I oto jest już późna noc.

Śpię uwikłany w jakieś wątki, ledwie pofastrygowane ściegami dziennej logiki, gdy naraz słyszę wyraźnie głos mej matki: „Karol, Karol!". Budzę się zawsze w mgnieniu chwili, z miejsca przytomny, i jak to mają w zwyczaju leśne zwierzęta, nie ruszam się, nie rzucam, nie zmieniam pozycji, tylko patrzę, słucham i wgarniam w siebie rzeczywistość. Tak i tym razem zachowuję się podstępnie spokojnie, uważnie słucham, patrzę i widzę: wysoki księżyc w pełni zalewa mały pokój niebieskawym światłem, cisza wokół naładowana lunatycznym napięciem, a w tej ciszy i jasności porusza się w drzwiach klamka, bezdźwięcznie i powolnie z jakąś złowrogą rozwagą. Pod klamką wisi na sznurku wyłuskany z zamku klucz. Jak błyskawica przecina myśl postanowienie. Nie trzeba strzałów, niech zły człowiek odejdzie, nie trzeba zwycięskiego finału, po którym nastąpi policyjne dochodzenie, przegląd dokumentów w komendanturze i nieuniknione informacje w klinice. Niech idzie do stu diabłów!

Wystarczyło głośne chrząknięcie. Ruch klamki zamarł i

szmer pośpiesznych kroków na palcach wsiąkł w fałszywą ciszę nocnego korytarza.

Nazajutrz dziki wrzask hotelowej służącej przeraził już zbudzonych i obudził jeszcze śpiących. W czwartym pokoju ode mnie w zakrwawionym łóżku leżał kapitan miejscowej intendentury z podciętym gardłem. Morderca podszedł do pokoju zamkniętego na klucz, wyłuskał go z zamku, otworzył drzwi, przerżnął krtań śpiącego człowieka prawie do kręgosłupa i dla pewności wbił nóż po rękojeść w okolicy serca.

Podobno poważnie się obłowił.

Tak oto po raz drugi w stosunkowo krótkim czasie ktoś inny zapłacił za mnie mój śmiertelny rachunek. Jak w lesie pod Staszowem, jak w parę lat później w Dońskim stepie pod Zwierowem, jak wkrótce po tym na stacji Koziatyń, i w kilku innych jeszcze wypadkach o mniej wyraźnie ujawnionej działalności sygnalizujących odbiorników mojego psychicznego organizmu.

Cóż więc dziwnego, że nie lekceważę „tajemniczych znaków"? Że przeciwnie uważam, iż to rozum na skutek długowiecznego urzeczenia pozytywizmem zamknął sobie drogę do szerszej rzeczywistości, co daje o sobie raz po raz znać szeptem „w obcej mowie" przeczuć, zamiast się kusić o jej poznanie.

* * *

Nazajutrz wspaniały petersburski kurier gnał na północ, grzmiąc żelazem wśród wodnych i sennych poleskich nizin, ledwie co sto kilometrów wstrzymując na minutę swój najzupełniej przedwojenny i luksusowy bieg. W wagonach cisza i odosobnienie, zagwarantowane szacunkiem służby dla uprzywilejowanych pasażerów, zwłaszcza dla jednego, nieskąpego, któremu źle z oczów patrzy, jakby był zamożnym dezerterem. Posuwiste i łagodne kołysanie doskonale zresorowanego wozu i bezgraniczna perspektywa leśnowodnego świata koiły nerwy. Dramatyczne przeżycia ostatnich dni traciły na swej dokuczliwej ostrości.

Trzy tygodnie cudownej kuracji, zapisanej samemu sobie wbrew zimnej i podłej urzędowej nauce, minęły jak trzy

chwile, wypełnione radością obcowania z najdroższymi ludźmi, wśród najdroższych okolic globu, pod najżyczliwszą opieką serdecznego, wczesnojesiennego słońca. I nikt się tu nie gorszył, że ja, dorosły mężczyzna, dopełniam sobie program nieprzerwanego szczęścia w realizacjach zamysłów godnych kilkunastoletniego wyrostka na szkolnych wakacjach. Potem odeski kurier porwał opalonego ozdrowieńca znów na obcą wojnę. Ale już w zdrowym zespole duszy i ciała, naładowanych fluidami Jaworowa, zakrzewiła się zdrowa ciekawość do dalszego ciągu własnych losów, co było nieomylną wskazówką, że mądre zdrowie wróciło na dobre.

SELETYŃSKA NIMFA

Sztab korpusu odnalazłem w tym samym Seletynie, małej osadzie w głębi gór, nad szumiącą Suczawą.

Rosyjscy chłopi, proletariat stolic i miast, gospodarscy synowie ziem dawnej Rzeczypospolitej, tytularni dziedzice „Grunwaldzkiego Miecza", zalegali leśne i skaliste zbocza Popa Iwana i Czarnej Hory w płytkich okopach, niemalże pozbawionych komunikacji z tyłami. Dojazd polowych kuchen był utrudniony, a w dżdżyste dni całkiem niemożliwy. Żołnierze sarkali. Tymczasem zanosiło się na stabilizację frontu, nadciągała górska jesień, rozkazy z dowództwa nakazywały oszczędność naboi i pocisków. Pomimo że w nizinach dopiero kończyło się lato, tutaj w sercu Karpat dzień zaczynał się późno, trwał krótko i przeważnie ponuro. Tuż za oknami wojennych baraków bez przerwy huczała Suczawa, już wybrzękła jesienną wodą i szumem. Spodem dolin wałęsały się zimne mgły. Słońce nawet w pogodę ukazywało się późno, dopiero po dziesiątej, spoza wysokich szczytów na wschodzie, by jeszcze przed czwartą zapaść za innym szczytem z przeciwnej strony.

Zdarzało mi się w godzinach wolnych od papierowej wojny łazić samotnie po górskich wertepach, po ścieżkach dzików i sarnich przełazach. Było odludno i odwiecznie. I zdawało mi się, że poddając się tutejszej samotności trwania, zatracając się w pustce prawie do granic czucia własnej egzystencji odnajduję jakieś mgliste tropy utraconych istnień czy obrazów. Bo nie raz jeden serce drgnęło na widok okolicy w ramie nieznanej, a tak przecież bardzo znajomej perspektywy. Może wrosła w jakąś ziemską duszę, zbójecką czy niedźwiedzią, i przekazana mi została do mego wewnętrznego widnokręgu, zakrytego przed wzrokiem tymczasowego trwania przelotną niepamięcią...?

Stany takie i chwile, kuszące obietnicą przekroczenia trójwymierności dla wiecznej i powszechnej egzystencji, nie odciągały mnie od doczesnych zainteresowań. Rozglądałem się za myśliwską okazją, jak ongiś może mój czworonożny praszczur, i również jak on wypatrywałem słodkich tajemnic niedźwiedzicy.

Tymczasem w górach kończyła się wczesna jesień. Zazłociły się buki i graby, poszycie krzaków zaciągnęło gęstą rdzą. Coraz melancholijniej spływały nad przepaście i doliny kolorowe liście. Tylko jodły ostro czerniały w górze, przesłaniane mgłą i niskimi obłokami, leniwie włóczonymi po zarośniętych szczytach i wśród nagich skał, gdzie nieruchomiały na długo. We dnie cisza stawała się jak nie z tego świata. Noce, zwłaszcza księżycowe, mijały widmowo, mącąc bezsenne majaczenia młodej krwi. W pełnię zdawały się odbywać czary i w zachwycenie podpełzał strach, czy wszystko w pięknie obrazu jest prawdziwe. W tych zmaganiach fantazji z realizmem, wrażeń irracjonalnych z pospolitymi znów powracało poczucie zrośnięcia z tutejszą pradawnością.

Aż wreszcie najciemniejszą bezksiężycową nocą zaryczały jelenie. Nadeszła myśliwska okazja.

★ ★ ★

Któregoś popołudnia, pogodnego lecz już nasyconego smutkiem za umierającym życiem, błądziłem o kilkanaście kilometrów od kwatery w poszukiwaniu nowoprzybyłej polowej piekarni, gdzieś zagubionej w górach.

Na wąskim jezdnym tropie, wpartym jedną stroną w bazaltowy bok skały, a drugą pochyloną ku przepaści, spotkałem posłankę łaskawego losu. Tubylczą dziewczynę, na oko jeszcze półludzką dziczkę, wprawdzie już nie nagą, lecz ledwo ogarniętą łachmanami, z daleka cuchnącymi dymem kurnej chaty, a może jeszcze nie chaty, lecz skalnej pieczary, jakich nie brak było w okolicy.

Spoza strzępów szmaty, która była chustą, błysnęły najpierw ku mnie przerażone źrenice łasicy, pojmanej we wnyki, czarne i złe. Omiotła nimi błyskawicznie skąpy teren, w pierwszym odruchu gotowa do ucieczki. Ale wnet instynkt ludzkiej samiczki pokonał górską kozicę. Wpierw fałszywy

uśmiech, za chwilę po umorusanej twarzy zadrgały wstępne błyski płci, jak tęczowe cienie na topionym srebrze. Zahaczona zmysłową przynętą, emanującą z mego nieprzytomnego głodu, zrozumiała sens wydarzenia i oceniła je właściwie. Staliśmy wpatrzeni w siebie bez słowa, lecz już zmysłowo zczepieni, łapiąc rytm oddechu w bezładnym łomotaniu zaskoczonego serca. W oczach zaczęła się zmieniać z płochliwego zwierzątka w kobietę. Już ustąpiła jej obronna dzikość, już uderzyła we mnie zaczepnymi uśmiechami, to zuchwałymi, to dziecinnie nieśmiałymi, a w głębi czarnych oczu zapalały się skry tak straszliwie uwodzące i niewspółmierne do wpółdziecinnej urody, świeżej i czystej pod plamami sadzy, jak lustro krynicy w zachwaszczonym bagnie moczaru. W układzie przyjemnych rysów, niemal klasycznie prawidłowych, nieskoszlawionych nędzą i prostactwem Bóg wie jakiej rasy, paliły się wilgotną czerwienią wpółotwarte usta.

Chociaż byłem oszołomiony i wpółprzytomny, dostrzegałem, że i ją rozpala krew. Przerywanym oddechem i łykaniem śliny tłumiła niecierpliwość na moją powolność, aż wreszcie wypełniła się jej jakaś miara i stała się odważna i czynna. Leniwym ruchem górskiej ladacznicy odsłoniła łachman chusty. Poprzez strzępy rozchełstanego kaftanika wyskakiwały teraz co chwila, jakby żywe swoim własnym życiem, małe zawadiackie piersi, strzelające śliską nagością śmiesznie zadartych do góry sutek, nadmiernie nabrzmiałych w otoku matowych brązowych obręczy. Podskakiwały i drgały nerwowo w synchronizacji z gorączkowymi ruchami płuc, czy może z tajemnymi refleksami rozwydrzonej macicy.

To wszystko trwało krótko, znacznie krócej niż się opowiada.

Przygoda śpiesznie podążała ku grzesznej realizacji. Ale to nie tylko głód podniecał żywych. Wszystko wokół co odwieczne zatchnęło się w skupieniu starczej przychylności, ciekawości i zachęty. Grobowa cisza paraliżowała wszelkie względy, odgradzała od konwencjonalnych nawyków. Nie było myśli, nie było obaw, ludzka sprawa była jasna, jak słońce nad skałami. I był zachwyt, że to już wystarczy sięg-

nąć ręką po tę drogocenną cielesną znajdę, jak po diament w żwirze górskiego osypiska.

Oglądając się na przepaść, zlazłem z kobyły, a nim zdążyłem zrobić krok ku niej, ona już zgarnęła się w sobie ruchem płaza, gotującego się do skoku, rzuciła się ku mnie, przylgnęła rozpalonym ciałem, oplatając mnie chciwymi rękami w pasie, jakbym był wiązką treściwej paszy.

— *Chlib mais? Hrosi mais?*

I tyle tylko było słów wstępnego romansu.

Nazywała się z ruska Tania. Z jej bełkotu w jakiejś nieludzkiej gwarze zrozumiałem, że wyszła na mnie na tym górskim łowie z pobliskiej Dziczej Wierszy, gdzie jej samotna chałupinka zagubiona w plątaninie urwisk uchowała się od żandarmskiej dosięgliwości dwóch potężnych armii. Wpółdzikie szesnastoletnie Boże dziecko, bez ojca, bez matki, bez wiary i obyczaju, ukryta na bezludziu i od najwcześniejszych lat opanowana przez dziada czy pradziada, górskiego fenomena biologii, osiemdziesięcioletniego samca, dozorującego swojego stada, w którym była tylko jedna samica, rodzona wnuczka.

Wkrótce się dowiedziałem przez mojego wszystko wiedzącego i widzącego ordynansa Jewsiejewa, że ta górska kozica kooperuje od dłuższego czasu omal z całą naszą 37 Parkową Brygadą. Lecz Tania instynktem widocznie odgadła, że tym razem spotkała ją inna, bardziej serdeczna, bardziej własna przygoda, a pod względem „*zachar, chlib, hrosi*" znacznie korzystniejsza. A może z innych pobudek potrafiła zasugerować mnie wzruszającą wyłącznością.

Żołnierze, wśród których Jewsiejew miał wielu znajomych z Petersburga, poufnie zlecili powiadomić mnie życzliwie, że wieczorowe i nocne wycieczki w góry są niebezpieczne, a również z tego powodu niewłaściwe, że to nie jest „*barskoje dieło* mieć aż tylu szwagrów sołdatów".

Zawadiacko pocieszałem się w duchu, że jeszcze się taki „szwagier" nie narodził, który by mi w drogę wchodził, a tym bardziej nastraszył, i jeździłem sobie znów, i znów pod

Dziczą Wierszę, zawożąc moje skromne dary w cukrze, chlebie i hroszach. Aż pewnej nocy...

Wąska górska droga biegnie kapryśnymi skrętami, to skrzy się w blaskach pełnego księżyca, to zimno szarzeje pod skalnymi załomami, gdzie górskie przeciągi zwiały śnieg. Zza ostrego zakrętu wyłania się ku mnie rozległa śnieżna polana, spadająca ku mojej drodze z dalekiej leśnej ławy. Jasna w księżycu, aż oczy bolą patrzeć. Po prawej — puste urwiska schodzącego stromo do głębin. W ciszy nocy i ziemi *staccato* kopyt o kamienny tor drogi razi, ogłusza i zdradza. Naraz od samotnego szałasu na siano, czerniejącego w środku polany w odległości paruset metrów, błysnęło kilka ogników, i tuż za tym ćmaknęły gdzieś w pobliżu niecelne kule. Rykoszety zawyły ostrzegawczo i uroczystą ciszę rozdarły i rozstrzępiły wielokrotne echa. Rozhuczało i rozdudniło się po górach, po skałach, od szczytów w głąb najdalszych dolin, stopniowo rozpraszając się gdzieś na krańcach nocnego świata w długim, szumiącym szepcie groźby.

Dla świętego spokoju poprosiłem przy szaszłyku oficerów parkowej brygady, by zarządzili wśród swoich żołnierzy większą tolerancję. Na co kapitan Reys, znany weredyk, rzucił zjadliwie:

— Żądaj tolerancji nie tylko od żołnierzy...

— Aaa, o tym nie pomyślałem — odparłem uszczypliwie. (Co nie wiadomo co miało znaczyć.)

Z tolerancją czy bez niej, monotonia mego obozowego życia została przerwana. A jak to często bywa w kartach i powtarza się w życiu, jedna szczęśliwa okazja otwiera serię.

POKER

Zaopatrzenie frontu pogarszało się przez cały rok, a ku jego końcowi groziło katastrofą, obnażając całą przerażającą nieudolność przedwojennej i wojennej administracji. Brakowało wszystkiego: artyleryjskich pocisków; nabojów karabinowych; środków sanitarnych; furażu dla koni itd.

Z pułków i artyleryjskich brygad szły coraz rozpaczliwsze telegraficzne i telefoniczne alarmy do sztabów dywizji, te z kolei ponaglały dowództwa korpusów — bezskutecznie. W sztabach armii, w ich sekcjach rozdzielczych zapanował wreszcie całkowity chaos: łatano braki jak popadnie. I coraz częściej się zdarzało, że nie hierarchia potrzeb, lecz dobra wola kwatermistrzostwa armii, osobiste stosunki z generałami, dowodzącymi w polu, a także prawo bezwładu i ślepy wypadek decydowały o użyciu tych nędznych resztek, przysyłanych na front. Rozpoczynała się demoralizacja korpusu oficerskiego i żołnierskich mas już z najbardziej trującego źródła: odrazy i pogardy dla tych wszystkich, którzy w ich oczach byli odpowiedzialni za działanie maszyny wojennej.

Na ponaglenia z frontu sztaby odpowiadały papierowymi morałami, nakazującymi cierpliwość, a czasem nawet... samozaradność.

Samozaradność w głębi Karpat Skalistych, w bagnach Polesia i na zdewastowanych roczną wojną północnych terenach kraju! A jakże. Głodującym koniom zalecano więc dawać siekaną jedlinę, bateriom przydzielano liczone pociski, zaś żołnierzom w kompaniach wydawano po dziesięć karabinowych nabojów na dobę. Konie chorowały i padały, artyleria nie strzelała, a w kompaniach szykowano na wypadek ataku kamienie i kłonice.

Pewnego dnia w naszym korpusowym sztabie stwierdzo-

no kilka wypadków nadużycia ze strony sztabu armii przy podziale zaopatrzenia na naszą niekorzyść. Chociaż to robiło złą krew, może gniew rozszedłby się po kościach, gdyby nie nastąpiło zbyt brutalne przejęcie całego pociągu z furażem dla naszego korpusu i skierowanie go w rejon sąsiada. Dowódca korpusu wściekł się, szef sztabu szalał, tylko jeden starszy oficer sztabowy płk von Lampe błagał o zreflektowanie i powstrzymanie się od zbyt gorących reakcji. W ten sposób doszło do tego najniewiarygodniejszego rozkazu, jaki może być wydany w wojsku.

Mam się udać natychmiast na naszą transportową bazę w Czerniowcach z plutonem żołnierzy z wyboru szefa wywiadu w celu dokonania tam każdym sposobem, podstępem a nawet siłą, możliwie bez rozgłosu, rekwizycji pierwszych pociągów z furażem i artyleryjską amunicją. Po przestawieniu ich na nasze tory transporty należy skierować pod ochroną naszych żołnierzy do stacji wyładowania naszych dywizji. O każdorazowym wykonaniu i przebiegu operacji mam natychmiast donieść przez umyślnego posłańca.

Rozkaz był ściśle poufny. Mój bezpośredni zwierzchnik, zacny pułkownik Słonimskij, przekazując mi go, nie patrzał mi w oczy. Był grudniowy wieczór. W kwaterze operacyjnego oddziału sztabu obecna przy tym starszyzna miała miny zwarzone i skonfudowane. Ja zaś przesadnie pomyślałem, że dosięgła mnie karząca ręka losu za to, że mu się wywinąłem tak zgrabnie z domu wariatów w Kijowie. Jeśli mnie aresztują na dworcu w Czerniowcach przy rabunkowej operacji, w najlepszym wypadku moje oficjalne niedawne wariactwo będzie mi policzone jako okoliczność łagodząca, i tym razem zamkną mnie tam na dobre.

W parę godzin później, już zupełną nocą odjechałem na czele bandy rabusiów, podskakujących wesoło we wnętrzach dwóch okrytych brezentami ciężarówek. Ja sam na przodzie w otwartym Oplu czułem się jak Stieńka Riazin, wyruszający na grabież bogatych skarbów cara-batiuszki.

I tak się zaczął mój czerniowiecki poker, zawrotna kariera małego, niemal najmniejszego urzędniczyny w sztabie korpusu, który miał się stać wkrótce naczelną polityczną figu-

rą armii, prawie milionowej jednostki, składającej się z kilku korpusów i kilku luźno przydzielonych dywizji.

Dojeżdżając do Czerniowiec nie tylko miałem zamiar, ale rozumiałem konieczność zmodyfikowania danej mi dyrektywy gwałtu. Uważałem ją za haniebną, prostacką i bezsensowną. A co najważniejsze — grożącą mi osobiście ciężkimi konsekwencjami. Trzeba było coś wymyślić, co by przynajmniej na jakiś czas zabezpieczało mi i mojemu popędliwemu dowództwu spokój, no i jakieś rezultaty. A więc najpierw należało się rozejrzeć.

Żołnierze wybrani przez szefa wywiadu nie byli pierwszymi lepszymi z brzegu kompanijnej masy. Bóg raczy wiedzieć i departament Ochrany, ilu z nich przedtem pełniło zaszczytną służbę szpiclów i policyjnych agentów w żandarmskich dywizjonach i cyrkulach. Było mi na rękę, że orientowali się doskonale w zawiłościach prawa i bezprawia, a także nie byli skorzy do wywoływania pospolitych awantur. Każdemu z nich mogłem dać i właśnie dałem zadanie o charakterze szpiclowskim. Gdzie? co? kto? i jakie pociągi z czym i kiedy są spodziewane na punkcie rozdzielczym. Sam też udałem się niezwłocznie na stację towarową, zdawszy na Jewsiejewa wszystkie kłopoty z wyszukaniem mieszkania dla mnie, zaprowiantowania i kwaterunku dla mego rozbójniczego plutonu. Bez trudu i zwłoki porobiłem bardzo przyjemne znajomości z urzędnikami kolejowymi, pracującymi dla wojska. Z najpotrzebniejszymi z nich zjadłem doskonałe śniadanie w przedmiejskiej karczemce, z rozmachem zbójnickim obficie i rozmaicie zakrapiane. Za parę rubli zdobyłem dla siebie i mojej sprawy milion amperów gorącej życzliwości prostych i łatwych ludzi, stając się dla nich „swoim" człowiekiem i „*rubacha-parniem*", z którym i na jutro zapowiadały się smakowite uczty i interesujące pogwarki na temat wojny, dziewczynek i wódki, a głównie niesprawiedliwości wojennego prawa w stosunku do wojskowych urzędników kolejowych.

Najważniejszą z kolei sprawą było dowiedzieć się dokładnie, kto z imienia a także z charakteru pełni funkcję tego anegdotycznego psa przy sztabowym rozdzielczym młynie?

Ku mojej prawdziwej radości dowiedziałem się już po kilku godzinach, że jedynym *psem*, wykonywującym dyspozycje sztabu armii, jest *praporszczyk* rezerwy Nikołajew, znany z żółci, jak również przypisywanych mu czerwonych poglądów, których ponoć nie ukrywał, gustując w przygodnych a gorących dysputach na tematy śliskie a wołające o pomstę ludu.

„Mój Boże — myślałem ze wzruszeniem, kierując się pod ten *młyn* — któż głębiej i serdeczniej potrafi odczuć i zrozumieć uczucia i myśli bojownika o prawdę i sprawiedliwość, niż ja?!" Wybrałem się w przedwieczorną godzinę, kiedy serca są usposobione do marzeń, a kłopoty pracy już są za plecami. „Komuż łatwiej ode mnie pozyskać sympatie upośledzonego przez los idealisty? Mnie, oczywiście, uciemiężonemu Lachowi i zaszeregowanemu rewolucjoniście!"

Słońce zimowe chyliło się ku zachodowi, jak mówią poeci, gdy z wiarą i nadzieją wchodziłem do kancelarii rozdzielczego punktu. I rzeczywiście. Jemiołuszki w grudniu tak skwapliwie nie rzuciłyby się na jarzębiny, jak Nikołajew na moje czerwone przynęty. Były podle spekulacyjne, to prawda, niemniej treściwe i nieudawane. Moja inteligenckość, przy podkreślaniu ideowej solidarności, były specjalnie miłe duszy małego urzędnika moskiewskiego *pocztamtu*, tak bardzo pokrzywdzonej przez dyskryminacje klasowe i służbowe.

Nikołajew był płytki i rozbrajająco nierozgarnięty. Problem rewolucji niemal całkowicie mieścił się w kółku jego osobistych urazów. Obojętność ludzką dla siebie i swego losu traktował jako obrazę ideałów wolności, równości i braterstwa. Ale ta jego dziecinna naiwność wzbudzała ku niemu większą sympatię niż sztampowy radykalizm jego nieskomplikowanych socjalnych i politycznych poglądów. Po paru godzinach rozmowy już miałem w Nikołajewie większego przyjaciela, niż sztab armii lojalnego wykonawcę swoich dyspozycji. Oczywiście zaprosiłem go na kolację, podlaną dobrą czerniowiecką śliwowicą. Zgodność naszych poglądów na smutną wojenną i polityczną rzeczywistość, zgodność naszych nadziei na przyszłość były na takiej ideologicznej wy-

sokości, wobec której pospolite szczegóły spraw transportowych i drobne odchylenia od dyspozycji sztabu armii wyglądały śmiesznie prozaicznie i nikczemnie burżuazyjnie.

Realizacja mego planu znalazła się na pomyślnych torach. Zdawałem sobie sprawę, że jest to zastąpienie hałaśliwego gwałtu, który mi zlecono, dyskretnym i nie głupio obmyślanym złodziejstwem.

Tymczasem już stanęła noc, gdy mój poczciwy Jewsiejew, zaniepokojony moją całodzienną bezdomnością, odnalazł mnie i zameldował, że znalazł przytułek i mogę udać się do „domu" i odpocząć po trudach i libacjach.

I oto znów moją ścieżkę w gęstwinie pospolitych dni przeciął ślad kobiety. I nie byle jakiej.

— Co to znaczy takie wyróżnienie: „nie byle jakiej"? — ma prawo spytać czytelnik tej intymnej opowieści z lat dawnych.

Wyjaśniam: nie byle jaką jest ta kobieta, którą się po pięćdziesięciu latach wspomina z takim samym podziwem i wzruszeniem jak po tygodniu rozstania.

Byłem bardzo sfatygowany, toteż bardzo skwapliwie udałem się za Jewsiejewem pod drzwi przyjemnej i samotnej willi i nieśmiało do nich zapukałem. Dom stał po przedmiejskiej stronie pasażerskiego dworca, dość duży ogród i cisza zupełna o tej późnej godzinie. Jak mi się często zdarzało obserwować w różnych miastach, okolica po drugiej stronie kolejowych nasypów wydawała się należeć do innego miasta.

Po chwili drzwi otworzyła wysoka młoda panienka. Od pierwszego rzutu oka cała jej postać uderzała typową panieńskością. Nie próbuję nawet definiować co to znaczy, bo tego zrobić się nie da. Nie istnieją bowiem chyba żadne standartowe cechy owej panieńskości, niezależnej od stanu cywilnego kobiety.

W ramie otwartych drzwi wydawała się ładna, choć wcale nie uderzająco piękna. Właśnie ładna i rewelacyjnie przyjemna. Wrażenie to pochodziło głównie od jakiegoś sprężonego potencjału wesołości, co się był czaił za sztywną maską konwenansu, koniecznego przy spotkaniu z nieznajomym. Wy-

dawało się przecież, że zaraz, za chwilę pęknie to sztuczne napięcie powagi i ze ślicznych ust parsknie tak zaraźliwa wesołość, iż postronnemu a już urzeczonemu świadkowi tej dziecinnej maskarady nie pozostanie nic innego, niż chwycić dziecko w ramiona i wycałować do utraty tchu w płucach. A przypuszczalnie i w sercu.

Zagapiony w te niespodziewane uroki, wybełkotałem w najbardziej bezsensownym strzępie mojej zapomnianej niemczyzny, jak idiota:

— *Guten Abend, sprechen Sie deutsch?*

Obserwowałem przy tym z przerażeniem, że w masce dziewczyny pęka nie tylko sztuczna sztywność, lecz także zapalają się kpiące błyski.

— *Jawohl, aber* ja mówię także po polsku, ...ska jestem, panie generale.

Kpiną zapchała mnie, gdzie chciała, jak kobyłę w rajtszuli na ostrym munsztuku. Ale nie na długo było jej przewagi. Po chwili zdurnienia czy oczarowania, wróciła mi pewność siebie razem z wymownością. Żartobliwy ton, który zainicjowała, otworzył mi łatwą drogę do flirtu, o tysiąc mil skracając konwencjonalną obcość. Z satysfakcją notowałem skry niepokoju w berylowych oczach, jeszcze przed chwilą tak pewnych siebie pod dumnie zrośniętymi brwiami, lecz nie decydowała się na odwrót.

— To jest pański pokój, panie pułkowniku...

— Dziękuję hrabiance. Jak tu miło i ładnie, i och! jak przyjemnie, że widzę w salonie fortepian. Muzykalność... Romantyczność...

— Czy nie są to przedwczesne wrażenia pana kapitana? Muzykalność i romantyczność od dłuższego czasu zapadły w drzemkę w tym domu. Ale my z siostrą będziemy naprawdę rade, jeśli panu rodakowi będzie się tu mieszkało dobrze. Muzykalnie i romantycznie... Czy ma pan wszystko ze sobą? Jeśli panu czego brak, służę, może pan sobie czegoś życzy?

— Czy mnie czego brak, czy ja sobie życzę?...

Spojrzała na mnie jak pasterka, której w oddali ukazał się wilk.

I tak się *to* zaczęło. *To*, co zmienia monotonię i nudę w radość życia i szczęście.

★ ★ ★

Tymczasem po drugiej stronie najcudniejszego wydarzenia, po dziennej stronie rzeczywistości, sprawy potoczyły się lepiej, niż mogłem przypuszczać w najśmielszych moich marzeniach. Cicho, najciszej, bez żadnego gwałtu, skandalu i rozgłosu, już w czwartym dniu mojej misji potoczyły się w góry dziesiątki tysięcy pudów furażu i dwa transporty z amunicją. I to nawet nie dojeżdżając do Czerniowiec. Moi wywiadowcy je wytropili, a uprzejmość Nikołajewa skierowała zawczasu na linię objazdową przez Storożyniec i następnie do stacji wyładowań dla naszych dywizji. Co więcej, mój wywiad zaczął przy okazji wykrywać „zagubione" transporty. Chodzi o to, że ani przelotność przyfrontowych linii, ani pojemność mijanek nie odpowiadały potrzebom wzmożonego ruchu pociągów. Do tego dochodził bałagan administracji, potęgowany systemem doraźnych załatwień w trybie pilnym. O żadnym prawidłowym rozkładzie dostaw nie było więc już mowy, zdarzało się natomiast coraz częściej, że niektóre transporty dla zwolnienia linii przesuwano na boczne i zapasowe tory pobudowane na prędce w polu, i tam zatarasowane pustymi zestawami wagonów towarowych tkwiły bezużytecznie całymi tygodniami. W narastającym chaosie żadna urzędowa kontrola (prócz mojej sportowej i złodziejskiej) ogarnąć tego dokładną ewidencją nie była już w stanie.

Ten stan rzeczy był mi niezmiernie na rękę. Co pewien czas wyławiałem z chaosu coś, co nam nie było potrzebne, i donosiłem o tym oficjalnie do sztabu armii. W ten sposów łącznie z moimi wspólnikami od złodziejstwa stanąłem na czele samorzutnej organizacji, wyspecjalizowanej w odszukiwaniu zawieruszonych i zapomnianych transportów. Po pewnym czasie moja misja stała się nie tylko legalna, ale nadto sztab armii na wniosek moich przełożonych uznał moje zasługi i odznaczył mnie jakimś zupełnie przyzwoitym orderem.

KTO WINIEN?

Tymczasem na całym terenie imperium społeczne organizacje, jak Związek Ziemstw, Związek Miast a głównie Wojenno-Przemysłowy Komitet pod przewodnictwem Aleksandra Guczkowa, niezmiernie dynamicznego i bardzo popularnego człowieka w opozycyjnym społeczeństwie, którym już była cała Rosja, przejęły szeroki odcinek wojennej produkcji i poprawa w zaopatrzeniu armii stała się widoczna i efektywna. Pomoc aliantów również wzrosła. Usprawniła się jednocześnie służba transportowa. Nie poprawiły się natomiast nastroje.

Cały rok 1915 przeminął pod znakiem klęsk na północnym i środkowym froncie. Tylko nasz południowo-zachodni front trwał w bezruchu, zawdzięczając słabości austro-węgierskiej armii, zdanej coraz bardziej na pomoc niemiecką. W masach żołnierskich, dla których obiecywane zwycięstwo oznaczało koniec wojny, powrót do domów i do normalnego ludzkiego życia, entuzjazm dla owego zwycięstwa gasł w miarę przesuwania się terminu jego urzeczywistnienia w coraz dalszą przyszłość. Z dnia na dzień, a dni tych było wiele i długich, i miało być jeszcze więcej, pragnienie pokoju za wszelką cenę, wypierało wolę zwycięstwa. A im bardziej taki pokój za wszelką cenę wydawał się niemożliwy, albowiem sprzeczny z wolą cara, rządu i społeczeństwa, tym urodzajniejszy stawał się grunt dla krzewienia mściwych nastrojów w masach żołnierskich. Przeciw władzy i przeciw społeczeństwu, to jest tym wszystkim, co reprezentowali jakiś potencjał polityczny.

Tymczasem od tego społeczeństwa, od inteligencji w dół, przenikała inspiracja rewolucyjna. Żołnierz wprawdzie nie potrzebował jej dla odczucia gorzkiego zawodu, gdy zamiast obiecywanych zwycięstw przyszły klęski. Nieudolność do-

wództwa traktował jako osobistą krzywdę. Materiał oskarżycielski do nienawistnego rozpamiętywania trafiał do niego z zewnątrz. Pod postacią niezaprzeczalnych faktów i jadowitej plotki. Kadry oficerskie i podoficerskie, na których spoczywa odpowiedzialność za „morale" wojska, nie mogły i nie umiały przeciwstawić się rozkładowym nastrojom. Należy przy tym pamiętać, że elita wojska, jej ideologiczny element, zawodowi oficerowie i podoficerowie rosyjskiej armii, zostali w pierwszym okresie wojny w 60-80% wybici, lub wycofani z szeregów jako inwalidzi, na skutek bezmyślnego szafowania ich życiem. Ci z rezerwy, co zajęli ich miejsce, byli integralną cząstką inteligencji rosyjskiej, coraz bardziej radykalnej i rewolucyjnej, już nie tylko w imię demokratycznych wolności, czy marzeń o socjalizmie, lecz wobec beznadziejnej nieudolności carskiego rządu — w imię miłości ojczyzny. Wygrać wojny nie można bez usunięcia tych, co ją przegrywają. Im bardziej rozpowszechniał się ten pogląd, tym bardziej zaskorupiała się reakcja. Dla jednych wszystko co pochodziło od monarchy i jego rządu było i być musiało absolutnym złem, dla drugich wszystko, na co padł cień postępu, zbrodnią. Przebieg wojny zaostrzał polaryzację i przesunął układ sił na niekorzyść tych drugich. Według księcia Mieszczerskiego, reakcjonisty, redaktora monarchicznego „Grażdanina" w przeddzień rewolucji aż 80% inteligencji rosyjskiej stanowili liberałowie i zwolennicy socjalizmu. A szukając poparcia w masach, masach żołnierskich przede wszystkim, nie orientowali się, że wprawdzie znajdą tam podatny grunt dla anarchicznego buntu, ale nie znajdą tworzywa dla demokratycznego rozwoju. Wyidealizowany „głos ludu" okazał się głosem tłuszczy, który przesądził o losach rewolucji marcowej.

Ale nie wybiegajmy naprzód! Prasa liberalna na razie podstępnie i w anonimowym zawoalowaniu stawała się rozgłośnią plotek i ech ulicznych, nieprawdopodobnych wymysłów i haniebnych oszczerstw, byle by one były jak najbardziej kompromitujące tron i rząd, byle by przepaść między rządem a społeczeństwem stawała się coraz większa. Kampanii prasowej towarzyszyła propaganda szeptana. Łatwo i chęt-

nie uwierzono w „zbrodnie" carowej, w zdradę jej rzekomo proniemieckiej partii, powtarzano ze smakiem bezsensowną bzdurę o specjalnym podziemnym kablu z cesarskiego pałacu do głównej kwatery cesarza Wilhelma. Przeciwstawiać się tym bredniom w imię zdrowego rozsądku oznaczało w pewnych kołach to samo, co zdradzać dobrą, patriotyczną, a nawet świętą sprawę postępu i rewolucji.

Inne sensacje, już nacechowane rynsztokową pikanterią, szerzyły się jak trąd, i nie było tak nieprawdopodobnego głupstwa i tak dziwacznej rewelacji, szeptanej, czy głośno opowiadanej, lub w przenośnych aluzjach pisanej i drukowanej, która by nie wzbudzała posłuchu nie tylko w ulicznym tłumie, lecz również w inteligencji.

Inteligencja łącznie z pospólstwem wierzyła wszystkiemu, bo sama stawała się pospólstwem.

W tym czasie w okopach krążyły już z rąk do rąk tysiące odbitek nikczemnych fotomontaży, świetnie technicznie wykonanych, przedstawiających carową i jej cztery córki w najbardziej sprośnych scenach z Rasputinem, na tle łaźni, w zupełnym obnażeniu wszystkich postaci, w kolejnej i haniebnej intymności matki i córek z „opatrznościowym" starcem. Miliony prostaków uwierzyło, bo nieuwierzyć nie umiało, w autentyczność tych dokumentów. A kiedy uwierzyli otworzyła się przed nimi przepaść. Gdy mistyczna aureola nad pomazańcami bożymi rozwiała się w *„pochabnej"* mgle burdelu, w prostackich duszach stała się katastrofa największa, jaka się może w duszach wydarzyć po obaleniu wczorajszych bogów.

Groźny pomruk, jeszcze tłumiony i przyduszony strachem, potoczył się po eurazyjskiej równinie, odbijając się ustokrotnionym echem przerażenia i gniewu.

Jeśli IM wolno tak, to nam wolno wszystko.

CARSKA RODZINA

Kim byli ci tragiczni ludzie, wyniesieni na czoło dziejowego dramatu, którzy wbrew własnej woli stali się przyczyną gigantycznego konfliktu, nie rozumiejąc jego znaczenia i nie przeczuwając krwawego finału?

Carowa Aleksandra, obca duchem, krwią i obyczajem narodowi i państwu, którego z kaprysu losu stała się imperatorową, całkowicie pozbawiona wyczucia interesów Rosji poza losem tronu i dynastii, obawiała się więcej niż przegranej wojny pałacowego zamachu i detronizacji cara, ojca jej ukochanych dzieci. Powszechna i wciąż wzrastająca popularność dotychczasowego naczelnego wodza, wielkiego księcia Mikołaja, człowieka ograniczonego, lecz obdarzonego niezachwianą wolą i imponującego gestami prawdziwego władcy, niepokoiła ją, gniewała, napawała strachem i nienawiścią do mężowskiego stryja. Jak się zdaje, obawy carowej, gdyby mogły się ziścić, mogłyby także uratować monarchię w Rosji.

Carowa z namiętnością samicy, broniącej swego gniazda, z pasją histeryczną tak długo judziła swego cara-małżonka przeciw stryjowi, tak długo przekonywała go o potrzebie przejęcia na siebie naczelnego dowództwa, aż dopięła swego. Pomimo opozycji własnych ministrów, większości krewnych, nawet życzliwych ostrzeżeń alianckich ambasadorów, na przekór opinii, car przejął od wielkiego księcia Mikołaja Mikołajewicza naczelne dowództwo nad armią.

Car Mikołaj, który nie wierzył nikomu, zaufał natchnieniu swojej jedynej przyjaciółki. Ignorując dobrze znany mu fakt, że wówczas poważnym źródłem natchnień carowej była przekupna wola ciemnego mużyka i niezwykłego czarownika, fenomenalnego Rasputina. Jedynego na świecie człowieka w jej przekonaniu, który mógł uratować zdrowie i życie nieuleczalnie choremu następcy tronu. Car nie wierzył, bo nie chciał wierzyć ostrzeżeniom, że za Rasputinem w głębokim

eleniu stali ideologiczni, czy płatni szermierże idei separatycznego pokoju z Niemcami. Po skrupulatnym badaniu komisji śledczej Tymczasowego Rządu nie ulega już dziś wątpliwości, że nie wiedziała o tym również carowa. Nie wiedziała, może dlatego że się tym nie interesowała, a była zbyt mało inteligentna i rozgarnięta w sytuacji, żeby zrozumieć zbawienne znaczenie przerwania wojny, które by z dziką radością zostało powitane przez kilkanaście milionów żołnierzy na froncie. Jest jednak wysoce wątpliwe czy car by jej sugestii w tej sprawie uległ. Mikołaj II był gorącym patriotą i dżentelmenem na tronie. Marzył o wawrzynach Aleksandra I, pogromcy Napoleona, a zdradę aliantów uważał za hańbę własną i narodu. Nie posiadał żadnej cechy samodzierżcy, nie nadawał się na monarchę rosyjskiego imperium, tak potężnego na zewnątrz i od tak dawna rozdzieranego od wewnątrz różnorakimi konfliktami. Jeszcze w większym stopniu ten miękki i układny pułkownik gwardii był pozbawiony cech naczelnego wodza, nie mówiąc już o zawodowych kwalifikacjach w wojnie z najlepszą armią świata.

Później, ostatni car Rosji już zdetronizowany, pozbawiony wolności i bezczeszczony na każdym kroku przez swój własny upodlony naród, wykaże olbrzymią moralną siłę i jako były monarcha, i jako obywatel i Rosjanin, i jako prawdziwie wielki pan wobec hołoty. Będąc więźniem już bez skry nadziei dla siebie i własnej rodziny, odrzuci pomoc niemieckiego cesarza, usiłującego przez swoją dyplomację i tajnych agentów wyhandlować jego życie i wolność u rządu komisarzy ludowych w Moskwie. W najcięższych dniach wypełnianych znęcaniem się małpoludów nad nim i jego najbliższymi, wśród zniewag rozbestwionej tłuszczy, były car pokona w sobie pogardę dla Rosjan, wszystkich Rosjan, by uchować miłość dla Rosji, swojej ojczyzny, którą widocznie kochał bardziej niż życie.

ZABÓJSTWO RASPUTINA

Gdy repartycja na Czerniowieckiej bazie osiągnęła już rutynę porządku i legalności w przeładunkach na górskie dojazdowe linie, mój dalszy pobyt w Czerniowcach w oczach mego dowództwa nie posiadał żadnego celu. Moje osobiste cele, zresztą nikomu nieznane, nie mogły wchodzić w rachubę wojny, a moja sytuacja niemal uprzywilejowana już wywoływała zawiść i inspirowała podejrzane intryżki, wyraźnie mi nieprzyjazne.

Wróciłem do sztabu, który ciągle jeszcze tkwił w Seletynie. Wjechałem na beczce dobrego wina i na paru skrzynkach doskonałej czerniowieckiej śliwowicy, więc jednak powitano mnie jak marnotrawnego brata, który się nawrócił.

Bezbarwnie mijało lato 1916. Później kolorowo i smutno długo trwała jesień, moja najdroższa pora, karmiąc duszę żałosnymi pociechami nad nieudanym i bezsensownym życiem. Później nocne przymrozki, forpoczty wczesnej zimy, zaczęły odmieniać widoki leśnych i skalnych okolic, a wysoko w górach coraz częściej przerywał się śnieg, utrudniając komunikację z okopami po krętych ścieżkach i dróżkach, potęgując w żołnierzach na pozycjach świadomość bezsilnych skazańców, odciętych od świata i życia. Znów nuda stawała się powszechną zmorą, znów marniała nadzieja, że coś się przecież zmieni i odmieni martwą kolejność jednostajnych dni i długich nocy. Czas toczył się rozmyślnie wolno, aż dotoczył się do grudnia. I oto naraz trzasnęła dziwna wieść, i jedna za drugą potoczyły się nowiny, oszałamiające treścią i fantastycznym scenariuszem.

Któregoś dnia, już po wieczornej odprawie u szefa sztabu i szefów poszczególnych służb, rozeszła się wpierw na ucho przekazywana wieść, że w Petersburgu zamordowano „starca“ Rasputina.

Poruszenie wywołał nie tylko sam fakt uśmiercenia oso-

bistości powszechnie i lekkomyślnie uważanej za źródło wszelkich nieszczęść kraju, lecz niewiarygodny i zdumiewający szczegół, że mordercami wszechpotężnego czarownika i ulubieńca rodziny cesarskiej była grupa ludzi z najbliższego otoczenia cara: książe Jusupow, ożeniony z rodzoną jego siostrzenicą, wielki książe Dymitr, bliski kuzyn cara i jego ulubieniec oraz najbardziej monarchiczny poseł w Dumie Włodzimierz Puryszkiewicz. A więc nie socjaliści ani rewolucjoniści, nie „inorodcy" i buntownicy, nie Polacy i nie Żydzi, przysłowiowi winowajcy, wrogowie państwa i tronu, ale najbliżsi i dziedziczni stróże ich bezpieczeństwa dokonali zabójstwa carskiego tajnego radcy, uzdrowiciela jego jedynego syna, obrażając powagę majestatu i uczucia carowej, wierzącej bez zastrzeżeń w świątobliwość „koniokrada".

Wielką nowinę, zrazu szeptaną na ucho, potem półgłosem i zupełnie głośno, potwierdziły po kilku dniach przychodzące do nas z opóźnieniem gazety. Na żądanie cenzury zamiast nazwiska zamordowanego użyto naiwnego kryptonimu „osobistość". Wszystkie natomiast szczegóły mordu były podane dokładnie, z odrażającymi scenami trucia, bicia, kopania butami i strzelania, bez wymieniania na razie sprawców egzekucji.

Nie przypuszczam by wielu Polaków, zwłaszcza młodszych wiekiem, znało opis zabójstwa Rasputina, przeto w skrócie podaję relację głównego organizatora i wykonawcy zamachu księcia Feliksa Jusupowa hr. Stenbock Fermora. Takie było brzmienie całego nazwiska owego niezwykłego młodzieńca, dziedzica największej w Rosji fortuny, według ówczesnego szacunku większej i płynniejszej niż majętności cara.

Rasputin został zaproszony przez Jusupowa do jego pałacu na Mojce na rzekomo przyjacielską ucztę z udziałem interesujących dam, na co Rasputin był niezmiernie łasy. Najpierw był truty cjankali w ciastkach, które z apetytem zjadł, później w winie, które wypił, a gdy z przerażeniem stwierdzono, że trucizna nie działa, został zmasakrowany uderzeniami jakiegoś żelaza w głowę, laną gumą i obcasami butów. Gdy jednak po pewnym czasie okazało się, że Rasputin żyje, czołga się ku drzwiom, wreszcie podnosi się i ucie-

ka z pałacu i już jest na dziedzińcu, Puryszkiewicz dwoma celnymi strzałami z pistoletu unieruchomił czarownika na śniegu. Jak się później okazało, i tym razem życia go nie pozbawił. Rzekomy trup Rasputina wywieziono w aucie wielkiego księcia Dymitra, wspólnika morderstwa, i wrzucono do przerębli w odnodze Newy. Sekcja zwłok, wyłowionych przez carską policję, wykazała, że płuca były pełne wody, a więc Rasputin jeszcze oddychał.

Ujawnienie tych szczegółów wywoływało, niezupełnie mieszczące się w granicach pozytywizmu, wrażenia. Zjadł kilka ciastek, naładowanych najstraszniejszą, piorunnująco działającą trucizną, w ilości wystarczającej do wytrucia całego ogrodu zoologicznego — i nic...? Trochę się zarumienił na twarzy, a popijając niesmaczny specjał książęcym winem, także zatrutym, podśpiewywał rzekomo wesołe kuplety, raz po raz domagając się ukazania zapowiedzianych dam... Później dostał żelazem po głowie i to nie raz, gdyż bijący działali już w stanie nieprzytomnego przerażenia, że mają do czynienia z zaczarowaną bestią. Później, jak wyżej, zobaczono go uciekającego w drzwiach, oglądającego się dziko i wygrażającego mordercom: „wszystko powiem Alisie!" (carowej). I dopiero strzały Puryszkiewicza. I też nie śmiertelne.

Pomiędzy oficerami na ogół cieszono się ze śmierci „koniokrada". Tym bardziej że według powszechnej opinii car niechętnie i z zastrzeżeniami odnosił się do „świątobliwego starca" i tolerował jego obecność w pałacu tylko przez wzgląd na zdrowie syna i mistyczne urzeczenie swojej małżonki. Takie mieliśmy wiadomości od oficerów gwardii, zbliżonych do cara. Według tych samych źródeł, car wysłuchał raportu o wydarzeniu nie tylko obojętnie, ale z oznakami jakby satysfakcji. Miał nawet pogwizdywać.

Starsi oficerowie sztabu wróżyli możliwe zmiany w kierunku parlamentaryzmu. Młodsi nie wysilali się zbytnio na horoskopy polityczne. Najbardziej usposobieni praktycznie spośród nich przepowiadali liberalizację dyscypliny, myśląc konkretnie o pokerze, odwołaniu prohibicji i podniesieniu gaż. O ile bowiem przedłużająca się wojna zmieniała pros-

taków w człeko-zwierzęce manekiny, wyzbyte wszelkich nadziei z nią związanych, w półinteligentach, do których należała większość oficerskiej młodzieży i wszyscy wojskowi urzędnicy, wyrobiła samoobronne instynkty koncentrowania się na sprawach niefrasobliwych, ułatwiających przetrwanie. Więc służba, wódka, karty i dziwki. Zresztą kobiety stawały się chorobliwą chimerą, gdyż ich nie było, zaś te, które w drodze wyjątku ukazywały się na scenie wojennego życia, były albo nietykalnym serwitutem sztabowej arystokracji, albo, jak Tania, zdobycznymi ofiarami sołdackiej tłuszczy.

W okopach, na pozycjach frontowych, mentalność oficerów była oczywiście zupełnie różna. Jak różni się prawdziwe poświęcenie od jałowej nudy, jak różni się życie w napięciu pod codzienną groźbą śmierci lub kalectwa od codziennej monotonii bezpiecznego trwania. W tym miejscu należy odnotować, że idealizm i heroizm frontowego oficerstwa już nie mógł porwać mas żołnierskich, gdyż ów heroizm i ów idealizm, używane powszechnie jako argument za kontynuacją wojny „aż do zwycięstwa", budziły niechęć, sprzeciwy i opór, które po rewolucji doprowadziły do tylu krwawych epilogów.

Miałem okazję stwierdzić, że wiadomość o śmierci Rasputina przyjęta została przez żołnierzy bez zbytniego entuzjazmu. Dla jednych było to tylko nowym motywem do rozpamiętywania grzechów „rozpustnej" carycy z chłopskim faworytem, a szczegóły morderstwa, dokonanego przez jaśnie-panów, pogłębiały przekonanie, że „ci tam na górze" nie są nic więcej warci od „wyzyskiwanego" ludu. Inni myśleli z goryczą, że ot, panowie usunęli jedynego chłopa, który miał wpływy na carskim dworze. A jeszcze inni wiedzieli ponadto, że chciał zrobić pokój z Niemcem, a może by i potrafił w jakiś sposób wojnę zakończyć i w jakiś sposób zwolnić chłopów do domu, do ludzkiego życia, do bab, do bezpieczeństwa, ale panowie do tego nie dopuścili. Dla wszystkich śmierć Rasputina była jakimś dopełnieniem miary.

. . .

DWA EPIZODY — DWA EPILOGI

Po kilku dniach poruszenia zabójstwem Rasputina w naszym głuchym zakątku między górami, a zapewne wszędzie indziej na froncie, znów się rozpoczął okres zautomatyzowanej nudy. W tym nastroju wypadki bez znaczenia stawały się wydarzeniami. Opowiem o dwóch, które poza jednością miejsca i czasu kojarzą się tylko na zasadzie nieobliczalności epilogów, tkwiących już w innej epoce. Najpierw jednak, a może w międzyczasie, były święta Bożego Narodzenia, były i minęły niepostrzeżenie, najbardziej pogańskie ze wszystkich dotychczasowych, wyzute dla mnie ze wszystkich nastrojów rodzinnych i religijnych.

Rotmistrz Klim, jakoby Polak, był sztab-oficerem dla zleceń przy sztabie naszego korpusu. Ponieważ — pomimo mojej cywilnej rangi — pełniłem obowiązki oficera dla zleceń, rotmistrz był moim przełożonym, a ja jego podwładnym. Czy to z tytułu wspólnych obowiązków służbowych, czy ze względu na pochodzenie, rotmistrz Klim darzył mnie życzliwą uwagą i widoczną sympatią. Co prawda od rotmistrza barona Czerkasowa, mojego towarzysza wypraw myśliwskich, dowiedziałem się poufnie, że rtm. Klim do niedawna służył w korpusie żandarmerii w okręgu warszawskim. Nie było to zachętą do bliższej komitywy. Polak w żandarmerii? W dodatku w okręgu warszawskim...? Jednak wobec mojej dużej obojętności dla tego rodzaju metamorfoz nie zastanawiałem się głębiej, co mogło być przyczyną tej mimikry. Być może, pod wpływem wielkoksiążęcej odezwy do Polaków z początku wojny nastąpiło w nim wzniosłe przeobrażenie z „katolika" w Polaka... Zawsze rozmawialiśmy ze sobą po polsku, zresztą głównie z jego inicjatywy. Mówił bardzo piękną polszczyzną, oczywiście lepiej ode mnie, bo nie używał rusycyzmów, co było moim powszednim grzechem,

bardziej z karygodnego niedbalstwa niż z kresowej nieświadomości. W ciągu kilku miesięcy przyzwyczaiłem się do grzecznego oficera, chociaż nigdy nie przekroczyłem granic towarzyskiej rezerwy.

Aż tu pewnego ranka rotmistrz wyzbył się dekoracyjnej polskości, a co ważniejsza i dobrych manier, prowokując moją równie prostacką reakcję.

Było tak. Wstawaliśmy koło szóstej, by na siódmą być już w biurze sztabowym przy pracy. Właśnie goliłem się, gdy przybiegł do mnie sztabowy ordynans, meldując, że rtm. Klim wzywa mnie do biura. Dochodziła szósta. — Powiedz rotmistrzowi, że za chwilę skończę się ubierać i przyjdę do biura.

Nie minęło pięciu minut, już stałem goły nad balią, gdy bez pukania wpadł do mojej izby sam rotmistrz, i z miejsca, chociaż po polsku, prawie krzyknął:

— Co pan sobie myśli!... Przecież to służba...

— Ja myślę sobie, panie rotmistrzu — odpowiedziałem rozmyślnie spokojnie, bo mnie ponosiły już jaworowskie diabły, więc prowokująco spokojnie i dobitnie, osłaniając wstydliwie bardziej intymne partie mego ciała, cyzelowałem — że byłoby najwłaściwiej, gdyby pan rotmistrz sobie poszedł z mojego prywatnego mieszkania. Za parę minut zamelduję się w sztabie.

Wówczas w polskim baranku obudził się lew rosyjskiej żandarmerii, który nie wiedząc co odpowiedzieć, ryknął już po rosyjsku:

— Proszę rozmawiać ze mną w języku państwowym! Czy pan zdaje sobie sprawę, że mnie pan obraził, że obraził pan swego zwierzchnika przy pełnieniu służbowych obowiązków?

Znów odpowiedziałem prowokująco zimno i — jak to u nas w korpusie kadetów nazywano w nieco zrusyfikowanej francuszczyźnie — *„de la montagne"*, a w dodatku w dalszym ciągu po polsku: — Moje poranne ablucje nie należą do moich służbowych obowiązków, przewidzianych w urzędowym rozkładzie czasu. Nie mam zamiaru i nie widzę celu obrażania pana, lecz istotnie nie z mojej winy wytworzyła się dość kłopotliwa sytuacja. Z której jedynym wyjściem są

jednak drzwi. Dlatego błagam pana, by pan wyszedł jak najprędzej. — A potem po rosyjsku, o parę tonów wyżej: — Niech pan rotmistrz *potrudzi się* wyjść z mojego pokoju.

Zostałem oczywiście wezwany do szefa sztabu. Nie był nim już Dawydow, lecz równie mi życzliwy były — jak ja — wychowanek korpusu kadetów. Mrużąc ironicznie jedno oko, chyba na dowód potraktowania głupiego zajścia w specyficznym aspekcie i lekko krzywiąc się w pogardliwym uśmiechu oficera cesarskiej gwardii, zmuszonego parać się żandarmskimi konfliktami, sucho i sztucznie służbowo, acz wcale nie groźnie powiedział:

— Pan sobie pozwolił wyrzucić za drzwi sztab-oficera dla zleceń i swojego zwierzchnika...

— Tak jest, panie generale. Ze swojego prywatnego pokoju o godzinie kwadrans przed siódmą.

Opowiedziałem dokładnie ze wszystkimi szczegółami i tonacjami, jak się odbyła cała sprawa, na co generał przeszedł z oficjalnego tenoru na poufny i bardzo przyjacielski bas:

— Jestem zmuszony ukarać pana trzydniowym aresztem, domowym oczywiście, lecz niech pan sobie zapamięta, że pański „rodak" główny nacisk w oskarżeniu kładł na to, iż śmiał mu pan wskazać drzwi po polsku wówczas, gdy on już rozmawiał z panem po rosyjsku. Radzę panu na przyszłość bardziej oględnie zawierać bliższe znajomości z nieznanymi sobie ludźmi, tylko z tytułu ich doskonałej znajomości polskiego. Niech pan wie i nie zapomina, że w *Carstwie Polskom* prawie każdy nasz oficer specjalnej służby świetnie mówił po polsku.

Wszystko zrozumiałem i zapamiętałem, tylko w lata później nie mogłem oprzeć się zdziwieniu, spotykając pana Klima w mundurze polskiej kawalerii w randze majora.

Pewnego dnia poprosiłem szefa sztabu o pozwolenie lotu nad austriackie pozycje w samolocie pilotowanym przez kapitana Olechnowicza, znakomitego pilota, a mojego młodszego kolegi z kadeckiego korpusu. Napompowany głupimi naukami przez „znawców" strachliwie umówiłem się z Olechnowiczem, by mnie natychmiast wysadził, skoro się pokaże, że mój organizm nie nadaje się do latania.

Po starcie z prymitywnego lotniska między górami może bym nie odczuł żadnych sensacji, gdyby nie sugestie wszystko wiedzących. Gdy mi od zmiany ciśnienia lekko ścisnęło się serce, dałem sygnał pilotowi w przekonaniu, że to już się zaczyna atak sercowy. Olechnowicz po okrążeniu doliny wylądował i kazał mi iść do wszystkich diabłów, cytując z pogardą wiersz Gorkiego: *„rożdionnyj połzat' — letat' nie możet . . .“* Czułem się jak obity pies.

W dwadzieścia trzy lata później, gdy już liczyłem sobie okrągłych 54 lat, kupiłem samolot i w ciągu paru dni nauczyłem się latać. Mój kochany instruktor, kapitan pilot Imiela, wcale nie podzielał opinii Olechnowicza, że jestem skazany tylko na czołganie się po ziemi. Byłem zaledwie ósmym właścicielem prywatnego samolotu w ojczyźnie najlepszych pilotów świata i najmłodszym pilotem w klasie sześćdziesięciolatków. Pamiętam w czasie nauki na wysokości tysiąca metrów, jak kapitan Imiela podpatrzył przez lustro instruktorskie, że się trzymam za nos, nie opuszczając go przez dłuższy czas. Zapytany przez kapitana odpowiedziałem również pytaniem: — A czy jest tu coś solidniejszego, za co by się można trzymać?

REWOLUCJA

Nastaniet god, Rossiji czornyj god
Kogda cariej korona upadiot
Zabudiet czerń k nim preżniuju lubow
I piszczej mnogich budiet smiert' i krow'.
Lermontow, 1827 r.

Nastaniet god, Rossiji czornyj god
Czerty jewo użasno strogi
No nie odnie wojny triewogi
Niesiot on ludiam na ziemle.

Nie tolko budiet on woitiel
No ispołnitiel Bożjich kar
On sowierszit kak pozdnij mstitiel
Dawno zadumannyj udar.
Tiutczew, w I połowie XIX w.

Czyż wobec tak dalekosiężnego jasnowidzenia mistycznych poetów nie wydaje się wiarygodne, że Rasputin rzeczywiście przepowiedział carowej: „Waszego panowania tyle, ile mego życia". A przy innej okazji miał jej powiedzieć: „kiedy ujrzycie mój dom rodzinny, śmierć Wasza będzie już blisko".

W trzy miesiące od dnia śmierci czarownika skończyło się panowanie caratu, a od chwili ujrzenia domu jego do śmierci cesarskiej rodziny pozostało pół roku.

★ ★ ★

Nadszedł wreszcie ten dzień wymarzony i przeklęty, zapowiedziany tylokrotnie przez poetów, proroków i filozofów, dzień o podwójnym obliczu, dzień pozornie sprawiedliwy i błogosławiony jako świt ku powszechnemu szczęściu, gdy

był w rzeczywistości zmierzchem przed straszliwą nocą, unicestwieniem wszelkich nadziei.

W tej godzinie, gdy w Petersburgu już się odbywało tragiczne misterium, kiedy w carskim pociągu w Pskowie car Wszechrosji zrzekał się tronu ojców w imieniu własnym i syna, w naszej górskiej kotlinie, za górami za lasami, w naszym małym świecie miał miejsce tragiczny wypadek, pieczętujący małą symboliczną pieczęcią z ludzkiej krwi wielką i krwawą chwilę przełomu dwóch epok.

Przed wieczorem urzędnik wojskowy Kiesariew uderzył w twarz młodego żołnierza Morozowa.

Radca nadworny Kiesariew był ode mnie starszy wiekiem i rangą, lecz nasze funkcje w sztabie były równorzędne. Ponieważ jednak był zawodowym urzędnikiem wojskowym z wieloletnim stażem i doskonałym znawcą praw i przepisów, traktował mnie po mentorsku lub wręcz uszczypliwie, nadto próbował mnie skompromitować i poniżyć w oczach moich zwierzchników i kolegów, a gdy mu się to nie udało, a nawet spowodowało odwrotny skutek: to on dostał ostrą naganę za szykanowanie mnie od moich przyjaciół, barona Czerkasowa, adiutanta dowódcy korpusu, i ppłk Kisielowa, zawziął się na mnie w nienawiści, sycącej się i podsycającej wszystkie antagonizmy epoki. On to był prawowiernym gospodarzem spraw rosyjskich, gdy ja przybłędą, cieszącym się nieusprawiedliwionymi przywilejami.

Kiesariew pochodził z popowskiej rodziny, co w Rosji nie tylko nie dawało żadnych przywilejów, lecz przeciwnie obniżało pozycję towarzyską. Moja polskość, mój katolicyzm, moje szlachectwo, a przede wszystkim moja kadecka przeszłość, zapewniająca mi pozycję towarzyską, dla niego nawet w marzeniach niedostępną — wszystko to mierziło Kiesariewa, aktywnego członka pogromowej antypolskiej i antyżydowskiej organizacji pod bluźnierczym wezwaniem „Michała Archanioła". Do tego dołączyła się ogólna dla mnie życzliwość wszystkich bez wyjątku od generałów do żołnierzy. Więc w sadyźmie, z jakim Kiesariew stosował kary za najmniejsze uchybienia służbowe, było demonstracyjne przeciwstawianie się mojemu sposobowi bycia z żołnierzami.

Potępiał je otwarcie i piętnował głośno, jako podejrzaną demokratyczność i polską rewolucyjność. I oto nadeszła chwila, gdy ten obrońca ustroju i ojczyzny uderzył w twarz żołnierza Morozowa za jakiś mały błąd w maszynopisie urzędowego pisma.

Morozow miał dziewiętnaście lat, pochodził z przyzwoitej mieszczańskiej rodziny w Moskwie, był dobrze ułożony i uprzejmy. Zanosząc się nerwowym łkaniem wybiegł do izby pisarskiej. Wszyscy świadkowie tej dzikiej sceny byli oburzeni do głębi, ale w rosyjskim wojsku żadne interwencje *ad hoc* nie były przewidziane przez prawo, a tym bardziej przez zwyczaj. Mordobicie żołnierzy przez oficerów, jeszcze pospolite w ubiegłym wieku, było już karalne.

W ponurym nastroju zasiedliśmy do kolacji.

W izbie było wprost duszno od sprężonych nastrojów i uczuć nie posiadających żadnego sposobu rozładowania. Jeśli nienawiść i pogarda emanują jakąś energię, to w ten ohydny wieczór kolacyjny Kiesariew był ciężko przywalony naszą nienawiścią i pogardą.

Za oknem zaturkotała bryczka, podjeżdżająca po Kiesariewa. Mieszkał dość daleko. Wstał, nikomu się nie ukłonił, nie odezwał się słowem, narzucił płaszcz i wyszedł. Po chwili pod samym oknem trzasnęły dwa rewolwerowe strzały, z którymi zlał się ludzki krzyk, w jakimś nienaturalnie długim i wcale nie tragicznym „ohohohohooo..."

Wszystkich poderwało z miejsc. Wszyscy prócz mnie i kapitana Renartena rzucili się do okna, niektórzy wybiegli na dwór.

Zabili Kiesariewa!

Posłano po lekarza i po wóz sanitarny, gdyż ofiara dawała jeszcze znaki życia. Po paru minutach większość stołowników wróciła do przerwanej kolacji. Poprzedni nastrój przygnębienia zupełnie znikł, kończono posiłek z apetytem, jakby go dopiero zaczynano, żywo dzieląc się wrażeniami przebytych chwil.

Obok jadalni była izba pisarska, do której drzwi były szeroko otwarte. Naraz poprzedzany krzykami przerażenia żołnierzy wpadł do niej z dziedzińca Morozow, upiornie wyglą-

dający, jak szczuty zwierz, widmo rozpaczy, czy nieprzytomnej pomsty, stanął w naszych drzwiach z naganem błędnie latającym mu w ręku w kierunku siedzących przy stole i dzikim głosem krzyknął: — Bratcy, to ja zabiłem!...

Latający nagan zmiótł pod ściany wszystkich stołowników, prócz jednego, który jeszcze dzikszym głosem wrzasnął: „Morozow!!!“ W tej chwili chłopak poderwał broń do skroni, padł strzał, Morozow zachwiał się, krew zalała mu twarz, zwisło oko, w tej chwili strzelił po raz drugi z wyraźnie już nie kierowanej broni, trafiając się w pachwinę, a osuwając się na podłogę, już zupełnie nieprzytomny strzelił jeszcze raz sobie w brzuch.

Żył jeszcze pół godziny.

Kiesariew dostał dwie kule na wylot przez płuca. Po trzech miesiącach wrócił ze szpitala do pracy w sztabie. Już była rewolucja, jednak jeszcze w okresie idyllicznym, jeszcze hamującym samosądy, więc sądzony przez trybunał rewolucyjny za uderzenie żołnierza w twarz został skazany na trzy miesiące więzienia. Karę odbywał w Kijowie, z którego już nie wrócił. Przyjaciel Morozowa dopilnował wyjścia Kiesariewa z bramy więzienia, przestrzelił go przez te same płuca z rewolweru po Morozowie i tym razem zabił.

★ ★ ★

I oto nazajutrz po tak niezwykłym w wojsku wypadku szyfrowany telegram naczelnego dowództwa przyniósł do nas wieść, że car Wszechrosji zrzekł się tronu przodków w imieniu własnym i swego syna na korzyść wielkiego księcia Michała, swojego brata, który korony nie przyjął, i cesarstwo rosyjskie z godziny na godzinę stało się republiką.

ZGUBNE HASŁO WOJNY „DO ZWYCIĘSKIEGO KOŃCA"

Już od dłuższego czasu dochodziły do nas ze stolicy i głębi Rosji złe i niepokojące wieści. U szczytu, w najwyższym ośrodku dyspozycji panowała bezradność i niemoc. Car, rząd i te sfery, z których car co parę miesięcy, a bywało, i co parę tygodni powoływał coraz innych ludzi na stanowiska ministrów, już nie trzymali steru państwa. Wszystkie sprawy toczyły się jakby własnym wczorajszym rozpędem i wszyscy rozumieli, że długo tak trwać nie może. Zbiorową psychikę czy może podświadomość opanowywało przekonanie, że przewrót jest nieunikniony. Krążyły głuche wieści, chciwie chwytane i skwapliwie kolportowane, że sojusznicy i życzliwi obserwatorzy zza morza, poufnie ośmielają „miarodajne" sfery społeczne do bardziej zdecydowanych kroków. Wojenni alianci i przyjaciele zza morza kierowali się być może nie tyle życzliwą wiarą w wyzwolenie geniusza narodowego rosyjskiego spod ucisku absolutyzmu, ile wojenną potrzebą zachowania alianta w trudnej wojnie, bardziej uwikłanego na razie w zmagania wewnętrzne, niż w efektywną walkę z zewnętrznym wrogiem. Nie wiedzieli, że liberalna lewica, składająca się z ziemiańskiej i urzędniczej szlachty, zawodowej inteligencji i szeregu znakomitych intelektualistów o światowej sławie, była całkowicie odizolowana od mas, idealizowanych przez siebie według recepty „głos ludu, głos Boga". Że temu ludowi nie potrafiła narzucić swojej woli, a tym bardziej przeciw niemu wystąpić zbrojnie, już nie tylko dla ratowania siebie przed zagładą, ale w obronie swoich społecznych, politycznych i ustrojowych koncepcji. Wreszcie życzliwi przyjaciele Rosji zza morza, którzy w obaleniu bezwolnego samodzierżcy upatrywali sposób na wyzwolenie potężnego potencjału wojennego sojusznika, nie zdawali sobie

sprawy, że wola kontynuowania wojny do „zwycięskiego końca“ będzie zgubą dla rosyjskiej demokracji, przesądzi o jej niechlubnym końcu.

Do naszego sztabu zaczęły napływać teraz gromadnie depesze. Adresowane nową modą „*wsiem, wsiem, wsiem* ...“ donosiły, że stała się „wielka i bezkrwawa“ rewolucja i że władzę państwową objął Komitet Dumy Państwowej. Od tej chwili przeróżne komunikaty stadami nalatywały na front. Każda partia polityczna, nawet poszczególne organizacje społeczne usiłowały nawiązać i ustalić bezpośrednią łączność z armią, częściowo z rewolucyjnego obowiązku, bardziej może ze strachu, jak się armia zachowa. W tonie wszystkich komunikatów i odezw górowała radosna pewność, że po nocy niewoli wreszcie i nieodwołalnie nadszedł świt dla wszystkich pokrzywdzonych i uciemiężonych. Przy czym wszyscy patrioci tyłowi pocieszali armię w okopach, że wojna będzie prowadzona do zwycięskiego końca z prawosławną Ają Sofią i Bosforem — i zostanie wygrana. Tam daleko wolność miała być drogą do zwycięstwa w wojnie, gdy żołnierze w okopach rozumieli wolność jako zapowiedź końca wojny, niechby przegranej.

Już w kilka dni później dowiedzieliśmy się z cyrkularnych depesz, przekazywanych wszystkimi środkami łączności wojskowej, że w stolicy obok Tymczasowego Rządu powstał „*Sowiet sołdackich i roboczich dieputatow*“ na razie jako rewolucyjna reprezentacja „przodującego“ proletariatu Petersburga. „Sowiet“ przywłaszczył sobie rychło, zresztą bez przeszkód z niczyjej strony, atrybuty najwyższego wszechrosyjskiego trybunału rewolucyjnego, orzekającego we wszystkich sprawach i kontrolującego rządy „burżuazyjnej demokracji“. W ten sposób Komitet Dumy i wyłoniony z niego Tymczasowy Rząd demokratycznej republiki, niemalże od dnia jej narodzenia, zostały sklasyfikowane jako instytucje podejrzane, nie zasługujące na całkowite zaufanie wielkich rewolucyjnych mas.

W pierwszym okresie po rewolucji marcowej trudno było uchwycić prawdziwy obraz zmian w psychice żołnierskich mas. Zmiany stawały się codziennie, lecz nieznaczne i do-

tyczyły przede wszystkim ustosunkowania się do pospolitych spraw materialnego i dyscyplinarnego sołdackiego bytu. Dziejowe, historyczne znaczenie wydarzenia ani nie było tak bardzo interesujące, ani dostępne rozumieniu ciemnych mas. Była to sprawa „pańska". Sprawa natomiast końca wojny obok wzrastającego poczucia bezkarności za różnorakie sposoby przeciwstawienia się jej zantagonizowały inteligencką warstwę narodu i jego ciemne masy.

„Jeśli rewolucja zrobiona została w imieniu ludu — rozumowano po ziemiankach i w okopach — musi jak najszybciej zakończyć tę wojnę, od której lud najdotkliwiej cierpi. Jak to panowie zrobią, nie nasza już rzecz".

Tymczasem „panowie" wzywali coraz bardziej patetycznie do zwycięskiej wojny. Kompromitowało to w oczach żołnierzy autorytet demokratycznych stronnictw, tym bardziej że i socjaliści, tzw. „eserzy" (socjaliści-rewolucjoniści) i socjalni demokraci („mienszewicy"), przeciwnicy bolszewików, również wzywali żołnierzy do „wojny do zwycięskiego końca". Wprawdzie nie tylko w imieniu ojczyzny, lecz z przesuniętym akcentem na rewolucję światową. Nie było wielu, dla których to hasło wydać by się mogło bardziej atrakcyjne niż powrót do domów.

Tylko Lenin i jego towarzysze, chociaż nie wszyscy, zrozumieli od razu, jak pozyskać masy w początkowym „neutralnym" okresie. Rzucili hasło: „Pokój natychmiastowy, wojna pałacom, pokój chatom!". W późniejszym, decydującym okresie dodali jeszcze parę niemniej zachęcających, wśród których „grab zagrabione!" wydało się najbardziej przekonywające.

U szczytów nowonarodzonej republiki wysilano się więc na coraz patetyczniejszą frazeologię, demokratyczną i patriotyczną, która żołnierzy tylko ekscytowała przeciw oficerom, zaś u oficerów wywoływała sprzeciw i kpiny. Rychło też odczytywane odezwy do żołnierzy spotykały się z ośmieszającymi replikami: „Jeszcze wczoraj do tego samego nawoływał car, więc po co było robić rewolucję?" „Jeśli panowie i oficerowie chcą wojować, to niech wojują sami, nam trzeba wracać do domów, pańską ziemię dzielić i po ludzku

z babami spać" Niezależnie od tego jakich przekonań byli oficerowie, w oczach żołnierzy uchodzili w czambuł za ich wrogów, za zwolenników „wojny do zwycięskiego końca", chociażby już z tego powodu, że otrzymywali wysokie pobory, które z końcem wojny ulegną znacznemu obniżeniu.

W pierwszym okresie po przewrocie konflikty wynikające ze sprzecznych zapatrywań na pokój i wojnę miały charakter dyskusyjny, jeszcze pokojowy, choć już drażniący, lecz wkrótce do bardziej gorących patriotów i zwolenników prowadzenia wojny zaczęto strzelać, jako do wrogów ludu i oczywistych kontrrewolucjonistów. Pomagała temu probolszewicka prasa, pomagały „przemiany rewolucyjne", zachodzące w kraju. Zbliżał się okres wyborów do Konstytuanty. Setki tysięcy partyjnych propagandystów, „pogłębiających rewolucję", prześcigało się w demagogii, niekoniecznie zgodnej z wytycznymi własnych partii, by jak najwięcej przyobiecać dla zdobycia największej ilości głosów. Rozhuśtywane propagandą masy rozumiały „wyrównanie wiekowych krzywd" jako zachętę do pomsty na swych prawdziwych i wyimaginowanych krzywdzicielach. U żołnierzy narastało coraz namiętniejsze pragnienie rewanżu na oficerach, silniejsze od rozumu i sumienia, a często i od uczuć osobistej ludzkiej przyjaźni. Dochodziło do sporadycznych na razie osobistych i zbiorowych porachunków, zawsze bezsensownych i coraz częściej krwawych, już grożących perspektywą masowej rzezi wczorajszych panów sołdackiego życia i sołdackiej śmierci.

Z tygodnia na tydzień roty, pułki i dywizje przestawały istnieć jako wojskowe jednostki na potrzebę wojny, stając się rozpasjonowanymi gromadami na poły demagogów na poły anarchistów. W imię sprawiedliwości żądano podziału między żołnierzy kompanijnych sum pieniężnych i rabowano składy, kradziono co się da, sprzedawano broń i rynsztunek za pieniądze, za wódkę, za papierosy.

I *oto w tym niemal katastroficznym stadium na jedną* chwilę przed tragicznym kryzysem zaistniała nowa inwencja u źródła rewolucji, uważana przez jej przeciwników za szaleńczą, w rzeczywistości zaś na jakiś czas zbawienna, gdyż zahamowała i rozładowała zbrodniczy dynamizm mas.

WOJSKOWE KOMITETY REWOLUCYJNE

Z Petersburga nadeszła instrukcja, autoryzowana przez naczelne dowództwo, o powołaniu do życia „wojskowych rewolucyjnych komitetów", złożonych z wybranych przez żołnierzy delegatów, zwanych *deputatami.*

Nowy pomysł parlamentaryzacji anarchii, może nawet wymyślony u góry w celu jej pogłębienia, zlokalizował w sposób paradoksalny jej żywiołowy rozpęd w ramach organizacji, dając na jakiś czas szanse opanowania chaosu tuż nad brzegiem przepaści. Ci, którzy wówczas i później piętnowali wojskowe komitety rewolucyjne jako zorganizowane ogniska buntu i anarchii, zapominają, że powstały wtedy, kiedy już rozkaz oficera stracił wszelką wartość, a dyscyplina wojskowa została doszczętnie zniszczona. W tej sytuacji komitety powstrzymywały rozpad armii. Żołnierze, wybierając spośród siebie „najlepszych" do doglądania swoich nowych praw i przywilejów, czuli się zwolnieni z dochodzenia „sprawiedliwości" na własną rękę. Oczywiście, te nowe instrumenty rządów gminu nie stały na tym samym obywatelskim poziomie, co angielska Izba Gmin. W paradoksalny jednak sposób na tych deputatów żołnierskich wybierano na ogół nie największych krzykaczy i awanturników, jak można się było spodziewać po psychozie ogólnego zdziczenia, ale rzeczywiście najlepszych, najpoważniejszych, z zachowaną zdolnością rozsądnego myślenia. Być może zresztą, że to atmosfera kolegialnych obrad pobudzała do rozwagi, wyzwalała chłopską trzeźwość i poczucie odpowiedzialności.

Struktura tego nowotworu rewolucji przewidywała, że wszystkie jednostki, poczynając od kompanii, szwadronu i baterii, idąc w górę do pułków, dywizji i korpusów, wybierają w powszechnym, itd... głosowaniu swoje własne komitety deputowanych z szerokimi uprawnieniami admini-

stracyjnymi, politycznymi i dyscyplinarnymi w zarządzie wojskiem na froncie. Dywizyjne i korpusowe komitety wyłaniały przedstawicieli do Komitetu Armii. Teoretycznie strategia miała być całkowicie wyeliminowana z kompetencji Komitetu, ale tylko teoretycznie, bo jak oddzielić decyzje strategiczne od politycznych i administracyjnych, gdy jednocześnie Sztab Armii pozbawiono wszelkiej egzekutywy?

Na razie jednak rozpoczęły się wybory, absorbując na pewien czas emocje i psychiczną uwagę żołnierzy atrakcyjnością nowego zjawiska. W sposób „*kulturnyj*" obiecywano sobie poszerzenie prerogatyw, być może, aż do granic decyzji o zakończeniu wojny.

Niestety, zetknięcie się obozu rewolucyjnego w postaci komitetów wojskowych z obozem zachowawczym, reprezentowanym przez dowództwa wszystkich stopni, w codziennej politycznej pracy ku utrzymaniu jakiego takiego porządku w armii na tle psującego się wokół życia wykazało jak dalece panowie generałowie i oficerowie sztabowi nie dorośli do trudnego zadania. Bo jeśli nawet organizacja wojskowych komitetów rewolucyjnych stawiała na głowie strukturę wojska, to w danym okresie powstrzymywała katastrofalny rozpad armii, ze wszystkimi przerażającymi skutkami zbiorowego bestialstwa, tuż na granicy krwawej rozprawy mas żołdactwa z oficerami. To, co się mogło dokonać w ciągu paru tygodni, zostało przyhamowane na przeciąg kilku miesięcy, dając wiele niewykorzystanych możliwości ludziom dobrej i rozsądnej woli dla ujęcia chaosu w karby.

PRIKAZ NR 1

Sytuację pogorszył osławiony *„prikaz Nr 1"*. Wydany i ogłoszony jednocześnie z instrukcją o powołaniu wojskowych komitetów rewolucyjnych. Miał on rzekomo regulować stosunki między żołnierzami i oficerami. W rzeczywistości *„prikaz Nr 1"* stał się w rozumieniu tłumu urzędowym i oficjalnym usprawiedliwieniem wszelkich zbrodniczych i anarchicznych wyczynów zdziczałego żołdactwa w stosunku do oficerów i podnietą do zupełnego zaprzepaszczenia dyscypliny wojskowej, jako przeżytku kontrrewolucyjnej przeszłości.

Jak do wydania tego obłąkańczego dokumentu dojść mogło? Inspirację przypisywano bolszewikom, czego wykluczyć nie można. Zrodził go jednak przede wszystkim strach rewolucyjnych cywilów, by żołnierzom w pewnej chwili nie przyszło do głowy lub nie przypadło do zmiennego gustu poprzeć swoimi karabinami taką czy inną kontrrewolucję, a może restaurację monarchii, wciąż jak zmora wiszącej nad rewolucyjnymi szczytami w Petersburgu. Nadanie żołnierzom niezwykłych i dziwacznych praw i przywilejów było inteligencką próbą wkupienia się w łaski sołdackich mas w obawie o trwałość ich rewolucyjności.

W miarę bowiem jak rozwój wypadków rozczarowywał inteligencję do rewolucji, gasił jej pierwotny i niemal powszechnv entuzjazm, a niezłomna wiara, że wystarczy obalić cara, a wszystko już będzie dobrze, zaczynała chwiać się w obliczu anarchii, wzrastał w obozie republikańskim strach przed kontrrewolucją, ekscytowany do form maniactwa, który oślepiał i znieczulał na niebezpieczeństwo bolszewizmu.

„Prikaz Nr 1" całkowicie przekreślał wszelką zależność żołnierzy od oficerów. Wprowadzono do sztabów armii,

frontu i naczelnego dowództwa komisarzy wojennych o bardzo szerokich pełnomocnictwach. Ci nominaci rządu musieli posiadać aprobatę petersburskiego sowdepu, gdzie już rej wodzili, aczkolwiek ciągle na czele bolszewickiej mniejszości, Zinowjew i Trocki. Nowa instrukcja przewidywała wprawdzie jakieś uprawnienia fachowe dla oficerów, jednak jej demagogiczny ton podsycał i rozdmuchiwał odwieczny ogień nienawiści chłopów do panów, żołnierzy do oficerów, odświeżał pamięć okrucieństw pańszczyźnianego prawa rekruckiego, które zależnie od samowoli panów skazywało poddanych na dwadzieścia pięć lat służby w wojsku, odświeżał wszystkie przeszłe krzywdy, a jednocześnie obsypywał żołnierzy przywilejami, w dużej mierze niewykonalnymi, co na każdym kroku prowokowało konflikty i coraz ostrzejsze zatargi między podkomendnymi i dowódcami. O ograniczeniu dawnych uprawnień oficerskich „prikaz Nr 1" mówił w sposób prowokacyjny; o nowych obowiązkach oficerów w sposób — demagogiczny. Ta instrukcja dla wojska, *„zołotaja hramota"*, jak ją sarkastycznie nazywali oficerowie, nie brała 'ko jednego pod uwagę: potrzeb wojny, którym zarówno oficerowie jak żołnierze powołani byli służyć.

W rzeczy samej: po wprowadzeniu „prikazu Nr 1" w życie, wojsko przestało być instrumentem do obrony kraju przed zewnętrznym wrogiem, żołnierze przestali być żołnierzami, a stali się uzbrojoną milionową czernią, podniecona do ekscesów różnorodnej natury. Zaś wiele tysięcy obywateli rosyjskich w oficerskich mundurach przestało czuć się równoprawnymi obywatelami. Z rosyjską skłonnością do krańcowości uważali siebie za skazańców pokutujących za niezawinione winy przeszłości. O ile po przewrocie duża część korpusu oficerskiego dzieliła z klasą inteligencji wiarę w przyszłość ojczyzny, jeśli zachowała nadzieje czy złudzenia w stosunku do republiki wbrew przerażającej rzeczywistości, to po opublikowaniu tego prikazu nastąpił kategoryczny rozbrat z rewolucją. Skazani przez nowe prawo na codzienne szykany i poniżenia, nigdy nie pewni swego życia, co odważniejsi wyżywali się w otwartej pogardzie dla

chamów-żołnierzy, inni zamykali ją w sobie wraz z nienawiścią do ludu i inteligencji.

Powtarzano słowa opuszczonego przez wszystkich w dniu abdykacji cara: „wszędzie podłość i zdrada...". Oficerowie dodawali: „...i samobójcza głupota".

★ ★ ★

Głupia współczesna plotka przypisywała autorstwo tego prikazu Kiereńskiemu. W rzeczywistości zaś ten obłędny manifest zredagował poseł do Dumy Sokołow, członek petersburskiego Sowdepu, socjalista i teoretyk rewolucyjnej filozofii stosowanej. Kiereński chciał, lecz nie potrafił czy nie zdążył zapobiec jego rozpowszechnieniu. Wyszedł on bowiem z Petersburskiego *Sowietu Sołdackich i Raboczich Dieputatow*, a ani Kiereński ani rząd nie mogli w owym czasie zdobyć się na dyskwalifikację inicjatywy Sowdepu w obawie przed jego wpływami na masy robotnicze i dwustutysięczny garnizon Petersburga, uzbrojony i najbardziej zdemoralizowany element proletariacki w stolicy.

NIECO O SOBIE

Czy to wskutek zmęczenia wojną, czy znudzenia rewolucją tak dalece inną, niż ta, o której marzyło się przez lata, nastąpił we mnie przełom, którego natury nie mogłem na razie zrozumieć. Ze zdziwieniem stwierdziłem w sobie zupełny brak ochoty do zaangażowania się w realizację ideałów, które od szesnastego roku mojego życia wbrew wszystkim niesprzyjającym warunkom, pochodzenia, tradycjom stanowym i na przekór klimatowi kadeckiego korpusu pociągały mnie do rewolucji. Zwątpiłem w swój niezależny bezpartyjny socjalizm, a widząc na własne oczy jego żałosną mistyfikację, uświadamiałem sobie moją obcość w stosunku do doktrynalnych projekcji pięknych idei na tło bardzo brzydkiego życia. Niemniej i wbrew emocjonalnemu rozczarowaniu rewolucją usiłowałem uczciwie przekonać się do każdego jej skażonego kształtu, jako skutecznego środka likwidacji starego, głupiego i gnijącego ustroju. Nie mogłem zresztą nie myśleć o tym, co wydawało mi się oczywiste, że chociaż t a k a rewolucja nie prowadzi do szczęścia Rosjan, to przecież przed Polską otwiera jedyną osiągalną drogę ku wolności.

Mówię o swoich osobistych zawodach, wcale nie odczuwając żadnej skruchy za błędy młodości. Podnoszę ważną kwestię, dotychczas nie rozwiązaną uczciwie i obiektywnie, co jest lepsze lub gorsze: powolna ewolucja życia zbiorowego, hamowana przez najgorszych i najgłupszych wsteczników, czy rewolucja jednym zamachem obalająca wczorajsze zło i tysiącem skutków rujnująca jutrzejsze życie? Po pierwszych doświadczeniach stwierdziłem tyle tylko, że wojna i rewolucja, wprzęgnięte do jednego dyszla, żadnego triumfalnego wozu historii nie pociągną. Demokracja będzie z niego wyrzucona do rowu.

Gdy zrozumiałem, że nadchodzi okres rozczarowań do złotych snów młodości o powszechnej wolności, równości i braterstwie, odizolowałem się od wszelkiego kolektywu, tak towarzyskiego jak i społecznego, by w samotności i spokoju wytyczyć dla siebie perspektywę jutra. Jeśli idealistyczna zawiodła, to musi znaleźć się jakaś praktyczna. Żyć trzeba, a umierać z powodu rozczarowań jakoś nie widziało mi ani potrzebne ani umotywowane. Z dnia na dzień stałem się odludkiem, zresztą wcale nie tragicznym.

I właśnie w tym okresie odosobnienia często wracałem do problematu: ja i Rosjanie. Wiązało mnie z nimi prawo długoletniej, lecz niewątpliwie przymusowej kolokacji. Przez setki, a może i tysiące Rosjan, których znałem, z którymi kolegowałem w szkole, z którymi pracowałem, przyjaźniłem się, obcowałem towarzysko, czy robiłem rewolucję, ustalił się w biegu długich lat uczuciowy serwitut. Zawsze jednak pamiętałem (bo czyż można było o tym zapomnieć?), że to tylko gwałt historii, nie zaś moja wola, był źródłem narzuconego współżycia. Ale dopiero po rewolucji, gdy uczucia w bardziej wyraźnym klimacie natrafiały na pokusy bardziej szczegółowych analiz, zacząłem coraz wyraziściej czuć, że należę do innego, całkiem odmiennego ludzkiego szczepu, prawdziwie mojego własnego.

Widocznie do głosu doszedł rasowy instynkt. Nigdy przedtem nie byłem, nie czułem się tak daleki od ich rosyjskich spraw, ich uniesień, optymizmów, czy pesymizmów, sukcesów, czy porażek i wszystkich innych spraw opętanego motłochu i roztargnionej elity. A mimo to rozumiałem, że kataklizm rosyjski zatacza tak szerokie kręgi, że wydostać się z nich nie można sposobem samoizolacji, że rewolucja rosyjska nie może nie wpłynąć na losy świata, a więc i Polski, a więc i na los mój. Doszedłem do wniosku, że nie powinienem ulec emocjonalnej odrazie do tego, co się wokół mnie działo, że nie należy wyłączać się całkowicie z biegu smutnych zdarzeń.

Jednak przez jakiś czas jeszcze pozostawałem tylko widzem.

★ ★ ★

Z niejakim zdziwieniem zanotowałem, że na tle coraz wy-

raźniejszego antagonizmu żołnierzy w stosunku do oficerów stosunek żołnierzy do mnie stawał się coraz demonstracyjniej przyjazny. A przecież byłem nie tylko zrównany formalnie we wszystkich prawach z oficerami; swoim wyglądem, manierami i sposobem bycia wyróżniałem się, kiedy korpus oficerski sprościał, jako człowiek z kulturalnego i przyzwoitego środowiska, co we współczesnej chłopskiej wrażliwości kojarzyło się ze znienawidzonym pojęciem — *barin*.

W obozach, składach, parkach, w rezerwowych postojach, wszędzie gdzie co pewien czas wypadało mi bywać, widziałem przed sobą wesołe, życzliwe gęby i najbardziej starorężymnie wyprężone postacie znajomych i nieznajomych żołnierzy. Rozumiałem oczywiście, że to dojrzały zasiewy mojej trzechletniej najpospolitszej grzeczności, ludzkości i uczynności do wszystkich, z kim mi wypadło mieć taką czy inną styczność. Ponieważ mój styl był jakby dalszym ciągiem stylu panującego na jaworowskim dziedzińcu, nie było w nim żadnej sztuczności. Ludzie to czuli i jeszcze w czasach, kiedy to nie było ważne, ustaliła się o mnie opinia, wyróżniająca mnie z szeregu oficerów i urzędników wojskowych, przeważnie wielkich brutali w stosunku do żołnierzy. Ci, którym zdarzyło mi się załatwić życzliwie jakąś kłopotliwą sprawę służbową bez ubliżania cnocie matki, czy też prywatną żołnierską, to list do rodziny, czy przeczytać list od żony, to wypalić okolicznościowo przyjacielskiego papierosa nad Suczawą, dyskutując rzeczowo z tulskim mużykiem o osobliwościach tulskich antonówek (jak wiadomo, nie mających sobie równych), czy fachowo opowiedzieć coś rybakowi znad Wołgi o trockiej sielawie, wszyscy oni, zresztą zawsze dla mnie w jakimś stopniu interesujące postacie, roztrąbili później między swoimi towarzyszami i *ziemlakami*, oczywiście z dużą przesadą, legendę o niezwykle grzecznym wojskowym urzędniku, legendę która ni z tego ni z owego oparła się złowrogiemu klimatowi rewolucji.

To co mnie cieszyło i wzruszało wywoływało u moich kolegów ironiczne przycinki i dezaprobatę. Najgłupsi z nich oskarżali mnie wprost, że zabiegam o łaski pospólstwa i za-

chowuję się jak przestraszony rewolucją burżuj.

Co miałem robić? Oskarżenia i kpiny obracałem w żart, na szykany nie reagowałem. O tym że mój stosunek do żołnierzy nie wymagał żadnych koniunkturalnych korektur, wiedziałem sam najlepiej. O tym, że nie uległem rewolucyjnej panice świadczyły moje... irchowe rękawiczki. Zanim je czule wspomnę, kilka uwag o dyscyplinie w wojsku rosyjskim.

Była wzorowana na szkole pruskiej. Stosunek zwierzchników do podwładnych był przepisowo i celowo surowy, zimny i często nieludzki. W ostatnim dziesięcioleciu XIX wieku złagodzono wprawdzie wojenne i dyscyplinarne kary, lecz zimna nieprzystępność oficerów pozostała, uważana za konieczność dla utrzymania karności wśród żołnierzy. Reszta — jak w każdej organizacji o strukturze hierarchicznej — zależała od rodzaju ludzi, sprawujących władzę zwierzchnią.

Wśród oficerów zawodowych carskiej armii nie brakło ludzi szlachetnych i niegłupich. Pochodzili przeważnie z kulturalnych rodzin i uprzywilejowanych środowisk i nie bawiła ich dyscyplinarna przewaga nad prostakami. Od dziecka byli przyzwyczajeni do rozkazywania służbie swoich rodziców, a później służącym w korpusach kadetów. Posłuch podwładnych był dla nich zjawiskiem powszednim i pospolitym, więc nie wzbudzał żadnych słodkich dreszczów, w istocie swej, patologicznych emocji. Nie potrzebowali wyżywać się we władzy nad podkomendnymi. Znęcanie się nad ludzką godnością jest zazwyczaj miarą służalczości małych dzierżymordów przed większymi i największymi.

Lecz tych kulturalnych kadrowych oficerów wystrzelano niemal co do nogi w pierwszym i drugim roku wojny. Honor rycerski, archaicznie pojmowany, nakazywał im iść zawsze na przodzie, czy to na ogień karabinów maszynowych, czy na druciane zasieki i pola minowe. Ci, którzy po nich przyszli, byli już zupełnie innymi ludźmi i na swoją miarę korzystali z prawa panowania człowieka nad człowiekiem.

IRCHOWE RĘKAWICZKI

Jedną z bardziej charakterystycznych cech rosyjskiej inteligencji, wyznającej demokratyczny światopogląd, było przyjęcie mody, nakazującej abnegację i niedbalstwo w ubiorze i manierach. Człowiek przyzwoicie ubrany, a — broń Boze — elegancki i wytworny, był piętnowany przez inteligencki tłum zwłaszcza na uniwersytetach, jako „arystokrata", reakcjonista i wróg ludu. Nic dziwnego przeto, że po rewolucji, gdy wygląd stał się wykładnikiem społecznych i politycznych przekonań, każdy elegancki szczegół ubrania, a szczególnie wszelkiego rodzaju dystynkcje, wywoływały podejrzliwość, odrazę, a wkrótce prowokowały awantury i samosądy. W masach żołnierskich specjalną odrazę budziły oficerskie epolety. Tkane złotem i srebrem, wraz z postępem rewolucyjnego zdziczenia coraz częściej stawały się obiektem napaści. Epolety zrywano z mundurów, a „winnych" ich posiadania znieważano, a nierzadko i mordowano. Na szczęście większość oficerów pozycyjnych nosiła szlify ochronnego koloru, uszyte z tego samego materiału co bluzy czy kurtki. Gwiazdki rang były znaczone zwykłym chemicznym ołówkiem, więc nie rzucały się w chore żołnierskie oczy. Z tego powodu im bliżej okopów, akty gwałtów zdarzały się rzadziej.

Moje epolety i gwiazdki świeciły po dawnemu i najzupełniej kontrrewolucyjnie w psychopatyczno-radykalne oczy, nie wzbudzając jednak żadnych wrogich reakcji.

Od dłuższego czasu pełniłem obowiązki zawiadowcy korpusowego sztabowego garażu. Przy pracy, inspektując sztabowe wozy, bywałem ubrany byle jak. Lecz poza garażem starałem się wyglądać wzorowo, aby dać przykład podkomendnym i mieć prawo wymagać od nich żeby nie wyjeż-

dżali służbowo w tym samym ubraniu, w którym przed chwilą leżeli pod maszyną.

W cywilu nigdy nie należałem do elegantów. Po rewolucji — jakbym dostał bzika. Czy to z nudy, czy z przekory obudziły się naraz we mnie nowe zamiłowania. Każdy szczegół mego ubrania stał się przedmiotem dziwacznej staranności. W garażu wprowadziłem za zgodą szefa sztabu obowiązek używania przez kierowców rękawiczek przy wyjeździe. Kierowca, podający maszynę przed sztab, musiał być w brązowych skórzanych rękawiczkach. Ja sam używałem irchowych, cytrynowobiałych, wybitnie szykownych i co dzień dziewiczo świeżych. Żołnierze trochę się najpierw podśmiewali, bardziej spoufaleni ze mną sprawdzali spod oka czy rzeczywiście są codziennie świeże, wreszcie wynikła z tego lokalna moda, widocznie silniejsza od rewolucyjnej psychozy, bo nawet gdy padł blady strach na epolety, białe kołnierzyki i inne szczegóły „pańskiego“ stroju, głos ludu ustami mojego ordynansa zapewnił mnie, że mogę się nosić jak dotychczas, jak najbardziej elegancko.

NIE MA TANI

W tym czasie, gdy rewolucja już się toczyła, mówiąc obrazowo, coraz bardziej zbałwanioną i mętną powodzią, słońce zaczynało mocniej przypiekać w południowych godzinach, mimo że od wieczora do późnego rana powietrze tężało przymrozkami, szkląc drogi i kałuże i posrebrzając wszystkie widoki nietrwałymi szronami. Nocami w ciemnych głębinach nieba jeszcze po zimowemu jarzyły się gwiazdy i po zimowemu słyszało się szepty i szelesty, niewątpliwie kosmiczne, raz wraz jednak już zagłuszane solowymi i chóralnymi głosami powracającego ptactwa.

Przychodziła znów wiosna ta sama i bliska co przez wszystkie lata dzieciństwa i młodości, a może jeszcze bardziej i serdeczna w ucieczce od rozhukanego żywiołu. Niemal świadomie wpadłem w sentymentalizm i prawie dziecinne nastroje. Młody księżyc nieśpiesznie wędrował nad skalnymi i leśnymi garbami... Może właśnie mojej żywej i czułej wrażliwości na przyrodę zawdzięczam, że udało mi się w tym okresie utrzymać jaką taką równowagę duchową. Gdy stawało się zbyt ciasno i niewygodnie wśród plątaniny myśli, uciekałem od nich fizycznie, jechałem w góry. W zupełnej ich pustce i ciszy wyzbywałem się wszystkich niepokojów, łączących mnie z rzeczywistością, opuszczało mnie poczucie teraźniejszości, jak kurz strząsałem z siebie psychiczne i mentalne zaśmiecenia zbiorowością. Znów stawałem się odbiorcą przestrzeni i planów, na których tle wojna i rewolucja nabierały najwłaściwszego dla nich kształtu w najwłaściwszych proporcjach: obojętnej, przypadkowej i krótkorwałej tymczasowości.

Prowadzony od wewnątrz zmysłem kosmicznej wspólnoty rozpoznawałem w skałach moje rówieśnice, a w ich kamiennej ciszy nabierały znaczenia wszystkie głosy w nieznanej

mowie. Wychodziłem ze swojej trójwymiarowości, łączyłem się ze swoją pradawnością, włączałem w nieskończoność czasu i przestrzeni, radując się cudem. Świadomości prawdziwej, a nie znającej kresu, egzystencji.

Nie była to fantazja, ale realne przeżycie. Stawałem się pojemnym bez granic nawet nie tracąc poczucia swojego tymczasowego tu i teraz. Było mi, jakby glob ziemski wyrastał ze mnie, a nie ja z niego.

* * *

Na Dziczej Wierszy, gdzie tak niedawno bytowała skolektywizowana Messalina gór, pustka.

Samotna chałupinka stoi, jeszcze bardziej samotną i nędzna. Wewnątrz na glinianym toku skorupy garnków, pomiędzy którymi błyska plugawym realizmem połamana artyleryjska ostroga. Na kulawym zydelku ślady myszy. W miejsce rozbitej szybki, wtłamszone szczątki huculskiej spódnicy. Cisza tutejsza straszy. Niepodobna się w nią wsłuchać, by nie wywołać ataku przerażenia. Chociaż w tym osierociałym przytułku chyba i złe duchy się nie trzymają.

Znacznie później dowiedziałem się, że dziki żywot Tani i dziada został rozbity jak ich gliniane garnki. Tanię zabrali sołdaty dla własnej wygody w dolinę, a dziad przepadł bez wieści. Może chciał bronić swego stada i dostał kulę między łopatki.

A jeszcze później doszła mnie wieść, że Tania, pomimo wszystko, urodziła syna. Podobno miał mieć szare oczy. Z kilkudziesięciu i jednego, każdy kto miał szare oczy mógł mieć powody do wzruszeń. Lecz takich było kilkunastu.

MAŁŻEŃSTWO Z REWOLUCJĄ Z PRZYPADKU

Był u nas żołnierz nazwiskiem Dorosz, chłop spod Zamościa, a może Krasnostawu. Piastował stanowisko stajennego i stangreta. Konie mierzynki, polską modą strzyżone, doskonale utrzymane przez gospodarnego Dorosza, wyglądały jak cugowe ze stajni co najmniej dziesięciowłókowego magnata.

I oto któregoś wieczoru, gdy słońce już wsiadało na Popa Iwana, znów mnie pociągnął nastrój wiosny, że nie mogłem wysiedzieć w kancelarii. Wymyśliłem jakiś powód i kazałem Doroszowi zaprząc do bryczki, by z pierwszymi cieniami szczytów posunąć na zachód, bliżej pozycji, gdzie albo słonka pociągnie, albo cietrzew zagra przed nocą.

Na wybieraniu się spełzło do zmroku.

Gdy mijaliśmy wielką kantynę, jakąś szopę po austriackiej administracji, moją uwagę zwróciły kupy żołnierzy i oficerów, kręcących się tu i tam, wchodzących do środka, to wychodzących, widocznie czymś bardzo przejętych i rozgorączkowanych.

Zapytałem Dorosza co się stało, czy ma stać, na co on z większym jak na furmana podnieceniem odpowiedział że to właśnie te wybory do rewolucyjnego komitetu. Tu do korpusowego, a następnie będą do Komitetu Armii w Czerniowcach.

— U nas mówią, że to niedobrze, że pan nie uważa na te wybory. Mówią ludzie, że gdyby pan zechciał, to wszyscy wybieraliby pana i do korpusowego komitetu i do Czerniowiec.

Czerniowce?! Wielki Boże. Z dźwięku słowa zapaliły się gorące wspomnienia i nie iskra, ale ogień buchnął w gorącym popiele.

— Dorosz, stań. Zaczekaj tu na mnie, skoczę zobaczyć co się tam dzieje.

Nie wiedziałem i nie przeczuwałem, że w tej chwili rozpoczął się nowy rozdział mojego życia. Który na długie lata, bodaj na życie całe nadał zupełnie inny niż dotychczas kierunek wszystkim jego kolejom i wydarzeniom.

Duży barak był pełny po brzegi, może z tysiąc żołnierzy może więcej, a między nimi to grupami, to w pojedynkę widziało się oficerów, na oko ze sto kilkadziesiąt osób. Wszystko się tłoczyło w miejscu w ciągłym ruchu, wyraźnie już czymś podnieconych. Karbidowe samochodowe latarnie, ustawione pośrodku i w rogach baraku, rzucały natrętne i rażące oczy blaski na wielką kupę ludzkich głów, z których błyskały ciekawe, rozognione i już najczęściej gniewne spojrzenia. Na prowizorycznym wzniesieniu stał stół, przy którym prezydował pułkownik generalnego sztabu von Lampe, jak zwykle opanowany, spokojny i grzeczny. Obok niego siedzieli dwaj oficerowie, mi nieznani, po drugiej stronie szofer naszego garażu i radiotechnik, obaj żołnierze. Stanowili oni prezydium wielkiego wyborczego zgromadzenia korpusu.

Wepchnąłem się w tłum. Siedzących miejsc nie było, wszyscy stali. Właśnie przemawiał jakiś oficer. Nie znałem go więc spytałem szeptem pierwszego z brzegu sąsiada, kto to jest. Odpowiedział ironicznym szeptem, że to rotmistrz taki a taki z kawaleryjskiej rezerwowej dywizji, delegat oficerski.

Ta informacja już mnie zelektryzowała w przykry sposób. Dlaczego delegat tylko oficerski?

W szybkich skrótach pomyślałem że jeśli się zapowiada i utrzyma *modus* delegatów oficerskich osobno i żołnierskich osobno, to się zawiążą dwa zorganizowane obozy i chyba tylko zupełnie ślepy nie widzi i nie rozumie, że walka między nimi będzie nieunikniona, a biorąc pod uwagę już rozpalone nienawiści i pasje, nie trudno przewidzieć jakiego rodzaju będzie to walka i jaki będzie miała przebieg. Każdemu przytomnie myślącemu wynik tej walki z użyciem karabinów i granatów nie mógł wydawać się niepewny.

Przecisnąłem się do prezydialnego stołu, możliwie jak naj-

bliżej, wspomagany już przez kilku żołnierzy, którzy mnie poznali. Lampe uprzejmie kiwnął mi głową na przywitanie, i natychmiast po raz drugi, jakby aprobując moją obecność, a odgadując moje znaki, że proszę o głos, coś szepnął sąsiadom na prawo i lewo i wpisał moje nazwisko na listę mówców.

Tymczasem gorący rotmistrz, ponoszony odrazą, obrazą i gniewem na rewolucję i nietajoną pogardą dla rewolucjonistów, jakby oni tu byli tylko hańbiącym wyjątkiem, ział w słowach tak szczerych i tak burzliwych, że było wprost nie do wiary, że to przemawia nie prowokator. Rotmistrz po prostu wzywał korpus oficerski do samoobrony z bronią w ręku. Mówił:

— ... w chwili, gdy się wszystko wali *k czertiam*, gdy się wszyscy łączą w obronie swoich klasowych praw i zawodowych interesów, oficerowie, zepchnięci przez wyzwoloną z dyscypliny *sołdatczynę* do poziomu jakichś pariasów, czy zbrodniarzy, powinni natychmiast zorganizować się i zmobilizować bojowo, by bronić resztek posiadania swojego stanu i domagać się równouprawnienia, gdyż... — zakończył z gorzkim patosem — oficerowie też są ludźmi.

Ten, niezupełnie przytomny pod wpływem poczucia niezawinionych krzywd, człowiek nawoływał do walki z prochem przy pomocy zapalonych żagwi.

Gdy skończył swoje histeryczne i roztrzepotane krzywdami przemówienie, z gromady oficerów i urzędników wojskowych posypały się nie nazbyt zdecydowane oklaski, gdy jednocześnie w tłumie żołnierzy rozległy się przytłumione śmieszki i ożywione, wesołe raczej niż mściwe, przygaduszki, wybitnie sołdackimi dowcipami zaprawione.

Po chwili wszedł na trybunę zażywny podpułkownik, komendant korpusowej polowej piekarni, pęczniejący piekarnianym dosytem, czerwony na pucołowatej twarzy, i z miejsca zakrzyknął w tonacji, zdradzającej alkoholowy podkład, aż karbidowe światła zadrgały:

— My nie pozwolimy obrażać nasz mundur oficerski!

I tyle było jego interwencji, a w całym baraku wybuchła taka wesołość, że w niej utonęły bez śladu brawa solidaryzującej się części wiecowników.

Pułkownik von Lampe spojrzał na mnie bezradnie a wymownie, a gdy się uciszyło, zapowiedział:

— Głos ma kolegialny asesor...

Na chwilę zrobiło się cicho, ale gdy kolegialny asesor wszedł na trybunę, od kupy korpusowych szoferów, obozowych furmanów i, o dziwo, od tłumu artylerzystów 37 Parkowej Brygady, niedawnych współzawodników o przychylność pięknej Tani, posypały się gęste, głośne i zachęcające oklaski.

Zdawałem sobie sprawę, że jeśli zamierzam kogoś czegoś nauczyć i do czegoś przekonać, to przede wszystkim nie mogę tego kogoś zniechęcać, a broń Boże, obrażać zbyt przekonywującym argumentem. Nawet głupków, mimo że potężnie prowokują. Nie wiedziałem jak wybrnę, mając przed sobą dwie strony o tak odmiennym poziomie i kierunku uczuć, bo nie myśli; pokonywała je powszechna bezmyślność. Nie zalecało się wkupywać w sympatię i łaski żołnierzy, powtarzając rewolucyjne dusery płynące z Petersburga, bo odwrócą się z miejsca oficerowie i już żaden najmądrzejszy argument do nich nie znajdzie drogi. Nie była również to odpowiednia chwila na wyrazy współczucia dla martyrologii oficerów, w owe czasy prawdziwie bohaterskiej kasty narodu wystawionej na ciężką próbę, bo się zrewoltuje pugaczowski instynkt żołnierzy i oni z kolei zamkną się na głucho przed najrozumniejszymi nawet wywodami, odrzucając je jak postny kapuśniak w dniu wielkiego święta rewolucji. Więc jak?

Trzeba było wystrzelić tak, by nikogo nie ominąć i nikogo nie zrazić stronniczością. Skierowałem mój apel do chłopskiego rozumu panów oficerów i do chłopskiej rozwagi żołnierzy przy obliczaniu strat i zysków. Sugerowałem jednym i drugim, by mój głos zrozumiano i przyjęto, jak strzał wartownika na trwogę z wysuniętej w nieznane placówki, skąd zbliża się największy wspólny wróg, największe niebezpieczeństwo — walki dwóch obozów, uzbrojonych i już podnieconych szałem. Ostrzegałem, że taka walka grozi zagładą obydwóch. Wzywałem raczej serdecznie niż po mentorsku, żeby się nie oskarżali wzajemnie, nie szukali winnych wśród

bliskich i żywych, gdyż winni od dziesiątków i setek lat leżą w grobach. Namawiałem, by wszyscy zrozumieli dobrze, że rewolucja jest faktem, który się stał, i nie ma widoków, by się odstał, a więc równie próżne są żale, utyskiwania i bezpłodne skargi na rewolucję i na chorobliwe zjawiska jej towarzyszące. Chorobę trzeba leczyć, perswadowałem, a wymyślania nie są lekarstwem, przeciwnie — w wielu wypadkach potęgują chorobę. Mówiłem o nowych czasach, wymagających od wszystkich ludzi w jednakowym stopniu dobrej i rozumnej woli w układaniu nowych stosunków między ludźmi. Tylko na płaszczyźnie stosunku człowieka do człowieka, niezależnie od klasy, z jakiej się wywodzi, i pozycji, jaką zajmuje, może być uczciwe i rozsądnie rozwiązany aktualny problem wzajemnych stosunków między oficerami i żołnierzami.

Pod żadnym pozorem — gordłowałem — nie można dopuścić do powstania dwóch obozów. Kastowe wybory pogrzebałyby i bez tego słabą nadzieję wyjścia z chaosu na jakąś drogę prawdziwej współpracy. Zachęcałem, by panowie oficerowie wybierali na delegatów do wspólnej organizacji najroztropniejszych i najsprawniejszych żołnierzy, zaś żołnierzom radziłem wybierać najsurowszych lecz „sprawiedliwych" oficerów. (W owym czasie pojęcie „sprawiedliwego" oficera nie straciło jeszcze swojej uczuciowej wagi.) Na ostatek instynkt podpowiedział mi, że to gorące przemówienie należy zakończyć żartem. (Późniejsza praktyka rewolucyjnego mówcy nauczyła mnie, że każde przemówienie do prostych ludzi musi być zakończone czymś wesołym, by niezależnie od celu i treści przemowy, słuchacze chociaż trochę mogli się pośmiać. Przemówienie bez wesołego zakończenia jest jak chłopski pierścionek bez kolorowego szkiełka, czyli tak zwanego *„wesołego oczka"*.) Dla kolorowego oczka dodałem, że może dobrze byłoby wybrać do komitetu armii podpułkownika z polowej piekarni, by biednym deputatom w Czerniowcach nie zbrakło chleba.

Wśród śmiechu na sali płk von Lampe zarządził wybory, po czym zamknął wiec.

Jak obiecywał Dorosz, zostałem wybrany do korpusowego

komitetu, a także jako jeden z czterech deputatów do komitetu armii w Czerniowcach. Tej samej jeszcze nocy wyjechaliśmy sztabową półciężarówką do Czerniowiec, jako spóźnieni deputowani sztabu XVIII Korpusu do Komitetu 8 Armii, który już od tygodnia w Czerniowcach urzędował.

* * *

Trzęsąc się z zimna w budce szoferskiej, oddawałem się introspekcyjnym rozważaniom jakimi dziwnymi drogami błądzi ludzki szary los, od jakich egoistycznych pobudek, samolubnych odruchów i intymnych uczuć zależą tak zwane ważne decyzje w sprawach nic wspólnego nie mających z intymnością. Cieszyłem się wstydliwie, że nikt nie wie i nigdy się nie dowie o prawdziwych i decydujących powodach mojego niespodziewanego nawrotu do sprawy rewolucyjnej, wciąż mi dalekiej i we własnym przekonaniu — beznadziejnej. Dość powierzchowną satysfakcję z rewolucyjnego awansu, który tak wypadkowo wyskoczył z doroszowskiej bryczki, neutralizowała i znacznie jaskrawiej naturalizowała wielka radość powrotu do samotnej willi za dworcem kolejowym. A gdy wyrzuty obywatelskiego sumienia zaczynały zbyt dokuczać i już trochę nudzić, przerywałem psychoanalizę. Przyjmowałem postawę widza w teatrze, zachęcając siebie samego: „graj, bracie, dalej, a ja sobie popatrzę i posłucham, jak ci idzie".

Wczesnym rankiem nieśmiało zapukałem do cichego domu. Rezerwat czułej pamięci miał się wzbogacić o jeszcze jeden nawrót do małego szczęścia, posiadającego tę osobliwą cechę, że póki ono trwa, starczy za wielkie, za największe. Krótkie i gorące jego chwile zaczęły mijać się z zimną dzienną rzeczywistością, w którą musiałem iść już w obcym dla siebie wcieleniu.

I szedłem bez wahania, bo tak nakazywało prawo czasu.

PRÓBUJĘ GASIĆ POŻAR SZKLANKĄ WODY

To, co zastaliśmy w Czerniowcach, nie tylko nie rokowało żadnych nadziei, lecz wprost przerażało. Jakbym się znalazł o parę pięter wyżej w rewolucyjnym domku z kart. Widać stąd było dalej i dokładniej, jak sprawy rewolucji toczą się ku własnej i ogólnej katastrofie.

Sztab armii systematycznie, złośliwie i zaciekle sabotował każdą, nawet najbardziej umiarkowaną i korzystną inicjatywę rewolucyjnego komitetu; komitet zaś czynił wszystko, tylko jeszcze bardziej po prostacku, by wśród generalicji i oficerów sztabu wzbudzić do rewolucji jeszcze większą odrazę.

Rewolucyjny komitet sztabu armii składał się z 60 deputowanych, w tym 14 oficerów. Z punktu zajął nieprzejednanie wrogie stanowisko w stosunku do całego sztabu armii, wyróżniając szczególnym odium gen. Kaledina, starego dońskiego kozaka, reagującego na komitet rewolucyjny, jak na bandę drapichrustów, przez niedopatrzenie policji hulających na wolności. Mniej może wrogo, ale równie nieufnie odnoszono się do gen. Romanowskiego; w stosunku natomiast do gen. hr. Geydena i rtm. hr. Benkendorfa nienawiść wszystkich członków komitetu, nie wyłączając oficerów, dominowała nad wszystkim. Tych dwóch, nieuleczalnie usztywnionych z racji swojego hrabiostwa, służby w cesarskiej gwardii, pogardy dla chamów i absolutnego przekonania, że jeszcze tydzień-dwa i jubel czerni się skończy, było prawdziwie złymi duchami sztabu armii. Mniejsza bowiem o to czy ustawa powołująca rewolucyjne komitety była dobra i rozumna, czy zła i szkodliwa, skoro zatwierdzona została przez Naczelne Dowództwo, posiadała moc obowiązującą. Tymczasem sztab armii prowokująco rozmyślnie ją ignorował. Do najpospolitszych szykan należało utrudnianie komiteto-

wi łączności z dywizjami i pułkami przez aparaty Huguesa, odmawianie aut dla wyjazdów członków komitetu w sprawach ich działalności, wreszcie kwestionowanie na każdym kroku jego uprawnień.

Odbywały się jednak wspólne posiedzenia.

Przed naszym przyjazdem odbyły się już trzy i wszystkie miały niezmiernie burzliwy, lub wręcz ordynarny przebieg. Kilku z nas przytomniejszych zrozumiało, że jeśli ten stan potrwa jeszcze kilka dni, to z rzekomej kooperacji starorezymowego sztabu armii z rewolucyjnym komitetem wyniknie strzelanina na większą skalę.

Na kolejnym posiedzeniu, w którym brałem już udział, byli obecni: gen. Romanowski, szef sztabu armii, gen. hr. Geyden, kwatermistrz sztabu, rtm. hr. Bekendorf i szef wojskowej komunikacji, generał, którego nazwisko wypadło mi z pamięci; siedział milczący, jakby nieobecny, pogrążony we własnych myślach, emanujących melancholią. Zebranie odbyło się w inscenizacji, demonstracyjnie podkreślającej obraźliwą niedbałość gospodarzy (sztab armii). Duży ciemny i zadymiony pokój w wielkim pałacu, kulawy stół, powalany atramentem i w wielu miejscach przypalony śladami menażek z ognia, kilkanaście krzeseł... Na przywitanie nikt nikomu ręki nie podał, nikt nikomu się nie ukłonił i nie powiedział najpospolitszego „dobry wieczór".

Jeśli dotychczas w zetknięciu z Rosjanami nie odczuwałem narodowej i obyczajowej odrębności, to patrząc na tę degenerację elementarnych form obcowania ludzi z ludźmi, zrozumiałem, jak bardzo są mi oni obcy i jak droga jest mi moja narodowa i obyczajowa inność. Jakby dwa dzikie szczepy ze Złotego Wybrzeża spotkały się w krzakach, dla wzajemnego wyplucia sobie w oczy wszelkich paskudztw, najbardziej obraźliwych.

Wydało mi się trochę dziwne, że zebranie, tak obrażające ludzką przystojność, zachowało jakieś formy udawanego parlamentaryzmu. Na przewodniczącego został proszony przez wszystkich gen. Romanowski, jako najstarszy rangą i stanowiskiem.

Wkrótce poprosiłem go o udzielenie mi głosu.

Z lekka ironicznie popatrując na moje urzędnicze epolety, uprzejmie zapytał o moje nazwisko. — To pan już współpracował z nami na terenie Czerniowiec...?

— Tak jest, panie generale — odpowiedziałem krótko i rozpocząłem moją rewolucyjną karierę.

Zaskakując sztabowych jaśnie panów najbardziej salonowymi intonacjami, zachowując wszystkie formy nowej wojskowej dyscypliny, i ciesząc towarzyszy deputatów stanowczością legalnych postulatów komitetowego widzimisię, pozwoliłem sobie bardzo krytycznie ocenić przebieg dotychczasowych narad i podać w wątpliwość ich sens. „Jeśli mamy się tu spotykać dla wygrażania pięścią przed nosem — mówiłem grzecznie modulując — to nasze zebrania nie posiadają żadnej wartości, przeciwnie są szkodliwe i bardzo ryzykowne, gdyż nigdy nie wiadomo, czym się mogą skończyć". Zwracając się do hr. Geydena, zauważyłem uprzejmie, bez żadnej ironii: „Pan hrabia (po rosyjsku mówi się wprost „graf", bez „pan") wczoraj zagroził naszemu towarzyszowi i delegatowi komitetu aresztem przez sztabowych żandarmów. Czy panu i panom generałom się nie wydaje, że taka groźba jest raczej stylistyczną, choć nieco archaiczną, przyprawą do trywialnego konfliktu generała z podwładnym, niż zapowiedzią konkretnych sankcji? Przecież pan hrabia się orientuje w jakich czasach żyje i działa, więc wie, że sztabowi żandarmi, jako żołnierze rewolucyjnej armii na jedno skinienie delegata Nikolskiego aresztowaliby pana hrabiego ze wszystkimi przewidzianymi, a co gorsza, nieprzywidzianymi przez rewolucyjny obyczaj skutkami, które — jak wszystkim wiadomo — są, niestety, bardzo nieobliczalne i nieobyczajne".

Z kolei powołałem się na legalizm rewolucyjnych komitetów, omówiłem punkt po punkcie jego uprawnienia, po czym przekonywałem moich towarzyszy, że uprzejmość obowiązuje w równej mierze rewolucyjnych delegatów, co panów generałów. Zwróciłem im uwagę, że jesteśmy reprezentantami rewolucji republikańskiej w skali rosyjskiej, a jak się spodziewają nasi rewolucyjni wodzowie, być może, i światowej, więc nie jest celowe ani godne zużywanie energii na tereno-

we rozgrywki. Przełomowa chwila wymaga od nas umiejętności i rozwagi raczej budowniczych, wyzwolonych z namiętności i cech powiatowych trybunów. Trzeba po gospodarsku realizować ideały rewolucji, nie niszczyć ustrojowego aparatu wojska, a korzystać z niego oględnie, zawsze pamiętając, że przebudujemy ducha sił zbrojnych republiki w okresie, gdy trwa wojna z zewnętrznym przeciwnikiem i wewnętrznymi wrogami nowego ustroju. Nowe prawo pozostawia dowództwu wszystkich stopni sprawy strategiczne i bojowe, rezerwując dla nas kierownictwo życiem społecznym i politycznym żołnierskich mas. W wypadku konfliktu strategii z polityką dobra wola obu stron wskaże sposób kompromisowych rozwiązań i temu przede wszystkim powinny służyć nasze wspólne narady.

Moje racje i oracje zostały przyjęte przez wszystkich z dużym zdziwieniem, ale i z niemniejszym zainteresowaniem. Towarzysze byli wyraźnie ukontentowani podniesieniem ich rangi wobec przeciwników, zaś na twarzach generałów widać było różne refleksy wrażeń. Przede wszystkim z oblicza i całej postaci Geydena, nieco mniej Benckendorfa, spełz wyraz pogardliwej ironii, rysy twarzy więdły i wiotczała muskulatura. Na twarzy gen. Romanowskiego natomiast krzepł wyraz spokojnej i bardzo życzliwej uwagi, ciekawość i jakby zaskoczenie nowością.

Moi koledzy, zwłaszcza socjaldemokrata — mienszewik dr med. Lazarson, popatrywali na mnie z respektem i życzliwością; nawet porucznik Nikolski, demagog i pospolity awanturnik, wydawał się urzeczony moją wzmianką o jego rewolucyjnej przewadze nad staroreżymnym hrabią i generałem. Nikolski też pierwszy uprzejmie kiwnął głową, gdyśmy się zbierali ku wyjściu, i w stronę kontrrewolucyjnych generałów powiedział „do widzenia". Wszyscy się ze wszystkimi pożegnali ukłonami, bez podawania sobie rąk, ale też bez manifestowania wrogości.

Na ulicy dr Lazarson szepnął: — „Nasi towarzysze potrzebują też moralnej opieki i kierownictwa nie tylko taktycznego, ale i obyczajowego. Mam nadzieję, że przy współudziale pana podniesiemy ich uświadomienie i zneutralizuje-

my wpływ proletariackich i chłopskich afektów, które na razie bez reszty składają się na ich światopogląd polityczny. Czyli emocjonalny groch z kapustą, nad którym góruje nieufność chłopów do panów.

— Gdybyż tylko nieufność, panie doktorze...

Później, idąc samotnie do mojej willi, absolutnie i celowo zakonspirowanej przed wszystkimi, układałem sobie plan mojej pacyfikacyjnej misji. Uprzykrzyła mi się świadomość, że angażuję się w sprawy, które mnie z gruntu nie interesują. Moje wystąpienie i cały dalszy jego ciąg w przyszłości traktowałem, jako obowiązek przechodnia przy pożarze cudzego domu. Myślałem sobie wszakże przy tym, że zaniedbywanie osobistych zysków, jakimi rewolucja premiuje swoich szermierzy i wspólników, i wyrzekanie się z nią wspólnictwa, wtedy gdy ona już się dokonała, chociaż w kształcie niespodziewanie potwornym, jest niczym innym niż inteligencką skazą, ozdobioną nikomu niepotrzebnym blaskiem bezinteresowności. Może dlatego „nasza" rewolucja była tak nieoporna, że ją zdmuchnęła jak pianę z kufla piwa „ich" rewolucja, która stała się całkowicie i żywiołowo ich własnością, wliczając w to wszystkie premie i zyski. Po ludzku, pospolicie i realnie.

ODPRĘŻENIE

Postanowiłem rozmówić się z gen. Romanowskim w cztery oczy, by łącznie z nim ułożyć całokształt tej dziwacznej współpracy kontrrewolucji z rewolucją. Moje wczorajsze wrażenia dawały mi niejakie podstawy do przypuszczeń, że uda mi się z nim dogadać.

Nie omyliłem się. Trzydziestoparoletni generał sztabu generalnego był wykształconym, wszechstronnie oczytanym człowiekiem, obeznanym ze współczesnymi zagadnieniami politycznymi i społecznymi, z europejskim socjalistycznym ruchem, więc rosyjską rewolucyjną rzeczywistość ujmował inteligentnie i na czerwone płachty rewolucji reagował całkiem inaczej niż inni panowie generałowie. Niezależnie od swoich przekonań monarchicznych, z którymi się nie ukrywał, wcale nie uważał rewolucji li-tylko za bunt hołoty. Rewolucja jest buntem hołoty, powiedział mi, wtedy tylko, gdy da się poskromnić. Skoro jednak hołota zwycięża poskromicieli, bunt staje się rewolucją, historycznym faktem, z którym nie liczą się tylko bardzo głupi ludzie. Romanowski doskonale orientował się w przyczynach rewolucji rosyjskiej, w przyczynach jej degeneracji i w tym, jak już niewiele pozostało środków do opanowania anarchii.

Rozmowa nasza dotyczyła głównie znormalizowania stosunków między komitetem a sztabem armii i — jak się spodziewałem — nie była ani trudna ani kłopotliwa. Anarchia była jednakowo groźna dla „mojej" rewolucji, jak dla „jego" armii. Prosił mnie też gorąco, bym kontynuował swoją niewdzięczną misję mediatora. Zgodziłem się, lecz postawiłem swoje warunki. Nie tyle pryncypialne, co taktyczne. Zażądałem usunięcia ze wspólnych narad hr. Benkendorfa, a co się tyczy hr. Geydena, którego obecność jako generała kwatermistrza jest konieczna, to prosiłem by się nie odzywał

wcale, nawet na zaczepki „moich" prostaków. Prosiłem również Romanowskiego, by od dziś nasze wspólne sesje odbywały się w bardziej przyzwoitym pomieszczeniu sztabowego pałacu, nie zaś w kredensowym pokoju w pobliżu kuchni.

Generał na wszystko przystał bez wahania.

Na pożegnanie uścisnęliśmy dłonie z całą serdecznością, jaka łączy ludzi, których wielka burza niesie w nieznane w tej samej dziurawej łodzi.

Wracając ze sztabu trochę myślałem, a trochę czułem, że podejmuję się podwójnej dywersji. Wierzyłem, chociaż nie nazbyt mocno, że przysłużę się w ten sposób jednocześnie kontrrewolucji i rewolucji. Myślałem, że walka z kontrrewolucją ma taki sam sens, jak walka z rewolucją; lecz ze złem rewolucji trzeba walczyć po to, aby wygrać, a nie dla samej satysfakcji walki.

Tegoż wieczoru przyszliśmy na narady do sztabu w ośmiu.

Weszliśmy do gmachu w milczeniu i z rewolucyjną rezerwą. Gościnnie uśmiechnięty dyżurny adiutant, rozdzwoniony huzarskimi ostrogami i służbiście uprzejmy, wprowadził nas do dużej pięknej sali. omal nie wspaniałej Pośrodku wielki stół, okryty zielonym suknem, dokoła głębokie fotele, co już samym kształtem ociężałym a szanownym zdawały się usposabiać do głębokich myśli i poważnych nastrojów. Przed każdym miejscem na stole leżały arkusze czystego papieru i ołówki (nie brakło również czerwonych), zachęcające do notowania. We właściwych odstępach stały karafki z wodą na srebrnych tacach, a obok nich piękne rżnięte szklanki i kilka ciężkich brązowych popielniczek. Całość robiła wrażenie sali kongresowej.

Widziałem i czułem jak szybko ustępuje rewolucyjny zamróz z niedoświadczonych prostych serc moich towarzyszy, olśnionych niewidzianym dotychczas przepychem, i to przygotowanym na ich przyjęcie. Dr Lazarson uporczywie łowił mnie wzrokiem, lecz nie dałem się złowić. Równocześnie z nami wszedł na salę szef sztabu armii gen. Romanowski w asyście dwóch wyższych oficerów. Wszyscy wszystkim grzecznie się ukłonili i w uroczystym milczeniu zajęli miejsca. Dla

dodania sobie fasonu palacze zapalili, nie pytając starszych o pozwolenie.

— Tematem naszych rozmów na dziś — rozpoczął Romanowski swobodnym i życzliwym tonem — obok kilku bieżących spraw mniejszej wagi byłoby ustalenie proceduralnego porządku naszej współpracy... — Po czym Romanowski powtórzył swoimi słowami, tyle że piękniej, wszystkie moje argumenty za koniecznością znalezienia *modus vivendi* dla współdziałania dowództwa armii z rewkomami, współpracy bez precedensu w historii i bez zaplecza w tradycyjnych nawykach. Mówił, że obu stronom powinien przyświecać wspólny cel — dobro armii i zachowanie jej zdolności obronnej. Nie ukrywał, że sytuacja jest groźna. „Zarówno sztab armii pod wieloma względami nie jest już sztabem, jak komitety rewolucyjne nie są już reprezentacją wzburzonych mas; jesteśmy raczej przednią strażą ogniową, powołaną do gaszenia groźnego pożaru". Obiecywał lojalną współpracę i prosił o taką samą. Apelował w imię spraw wyższej wagi o wyzbycie się przesądów klasowych i animozji stanowych, źródeł szkodliwych tarć i konfliktów. Wreszcie zaproponował żeby komitet deputowanych najpierw legalizował swoje postulaty, po czym uzgadniał je ze stanowiskiem sztabu przez swoje prezydium.

Komitetowi delegaci topnieli w oczach, jak lód na słońcu. Obrady poczyły się spokojnie i rzeczowo. Pożegnanie w uroczystej sali było jeszcze bardziej na poziomie kongresu niż powitanie. Każdy każdemu uścisnął kordialnie prawicę (prócz Geydena, który o parę chwil wcześniej wyniósł się bez pożegnania) a kilku żołnierzy nie mogło się powstrzymać, by zamiast zwykłego „do widzenia" nie powiedzieć na pożegnanie dziarskiego starореżymnego „Szczęśliwie pozostać, panie generale".

Przy wyjściu dr Lazarson szepnął mi na ucho: — Jeszcze parę takich konwentykli, a boję się, że zostanę kontrrewolucjonistą.

Nie wiedziałem jeszcze wtedy, że Romanowski jest poetą. Wiedziałem, że grał. Dyrygował sobą bez błędu, jakby mu

ktoś partyturę przed oczami trzymał. W labiryncie wrogości, nieufności i głupoty sterował psychologicznym sterem, aż dopiął swego przynajmniej o tyle, że wśród wczorajszych antagonistów zdobył sympatię i zaufanie. Kto wie, może jemu się roił Termidor? Może byłem świadkiem jak uczył się na poczekaniu ujarzmiania zrewoltowanych dusz, by w potrzebie im rozkazywać? Jednego obaj nie przeczuwaliśmy: że za parę lat dosięgnie go w Konstantynopolu fanatyczna kula monarchisty, dla którego Romanowski, znakomity generał i ideowy monarchista, stał się. przez współpracę z nami, zdrajcą.

Na razie wydawało się, że na wewnętrznym froncie 8 Armii nastąpił pokój. Niestety nie na długo. W kilka dni potem wybrano mnie prezesem rewolucyjnego komitetu. I mściwy los właśnie na mnie zwalił obowiązek rozplątywania poważnych powikłań, dodając do spreparowanej przeze mnie i Romanowskiego beczki miodu kubek dońskiego kozackiego dziegciu.

TOWARZYSZE Z REWKOMU

Wybór na prezesa komitetu był dla mnie całkowitą niespodzianką. Najszczerzej pragnąłem uchylić się od tego zaszczytu, ale gdy gromada pod wpływem przebiegłego i namiętnego mącenia w głowach przez dr Lazarsona o moich rewolucyjnych cnotach, nacisnęła, musiałem się poddać. Sprawa była o tyle pilna, że dotychczasowy prezes spowodował w szynku grubszy ideologiczny zatarg z jakimś eserem, wpierw na tematy partyjne, później osobiste. Nie mogąc dialektycznie ugruntować swoich socjaldemokratycznych racji w głowie socjalrewolucjonisty, rąbnął w nią kuflem od piwa, po czym powstała powszechna batalia w lokalu, z niemałym wysiłkiem zlikwidowana przez żandarmerię.

Parę słów o narodowościowym składzie naszego rewkomu: Polaków było dwóch, ja i pewien ponury i zawzięty bolszewik. Typ krwiożerczy, milkliwy i niezmiernie prostacki, przyczajony jak ryś na sarnę w oczekiwaniu na swój czas. Ten rodak nienawidził mnie jak mało kto w życiu. Za demokrację, którą pogardzał w ogólności jak wszyscy z zakonu Lenina, i za demokrację w szczególności, gdy połączona była ze szlacheckim pochodzeniem; za to szlacheckie pochodzenie; za dobre maniery i grzeczność; a głównie za życzliwość do ludzi. „Jaką to drogą i w jakim tajemniczym celu — zapytał mnie kiedyś zjadliwie — znalazłem się po stronie rewolucji, pochodząc, jak dokładnie wiadomo, z klasy najpodlejszych krwiopijców i wrogów ludu pracującego?“ Odpowiedziałem mu poufnie i błagając o największy sekret, że to car rosyjski płaci mi grubą forsę przez bank holenderski, zaś szlachta wileńskiego powiatu przysyła mi co miesiąc wędzone kiełbasy z chłopskich wątróbek i kaszanki z krwi proletariackiej.

Rodak był ode mnie mądrzejszy. Cierpliwie czekał na swój

czas. Nasuwa się porównanie z dobrym gospodarzem, ufnie spoglądającym na dojrzewające w słońcu czerwcowym żyto, już po krasowaniu, gdy ziarno nabiera w oczekiwaniu lipcowego żniwa. Lipcowe żniwo bolszewikom się nie udało, za to w październiku zebrali spóźniony lecz obfity urodzaj.

Było kilku Ukraińców. Porucznik Bojko, zastępca prezesa komitetu, żołnierz Nietiosin, późniejszy po mnie prezes komitetu, a w rok później mój dobry opiekun, gdy musiałem ukrywać się przed Niemcami w zadnieprowych pobrzeżnych łozach pod Kijowem. Przyjaźniłem się również z zaporoskim szlachcicem z Połtawszczyzny, Łoszczyńskim, starym podoficerem w kompanii karabinów maszynowych, a późniejszym moim pomocnikiem na stanowisku wojennego komisarza Tymczasowego Rządu w 8 Armii. Poza tymi trzema było jeszcze kilku „chochłów", w owym czasie zupełnie zasymilowanych z rosyjską masą komitetu.

Por. Bojko był mi wiernym przyjacielem i prawdziwym towarzyszem w najbardziej dramatycznych chwilach naszego wspólnego losu. Na posiedzeniach komitetu siadywał zwykle obok mnie i był bardzo pomocny w utrzymywaniu burzliwych sesji w jakim takim ładzie. Gdy wypadały rzadkie okresy spokoju i wystarczała rutyna w prowadzeniu zebrań, Bojko szeptał mi w uszy niezłośliwe wyrzuty za krzywdy ludu ukraińskiego z rąk szlachty polskiej, na co ja wychodziłem z atutowego wspomnienia rzezi humańskiej, którą on natychmiast rekontrował pacyfikacjami Jaremy... I tak sobie szeptaliśmy pogodnie o burzliwych i krwawych dziejach przeszłości, jakby świadcząc sobie wzajemnie, że historia nie konserwuje namiętności uczuć i waru krwi. Wszystko przemija. Prawdziwą rzeczywistością jest przemijanie.

Było wśród nas również kilku Żydów. Dr Lazarson reprezentował socjaldemokratyczny umiar, bardziej zgodny z kulturą swojej rasy niż z Marxem. Doktor posiadał nieprzeciętną inteligencję, którą spopularyzował sotnik Chadżarow, tytułując go według czarnosecinnej modły „Mędrcem Syjonu". Życzliwy dla wszystkich, wyrozumiały dla głupich, zawsze spokojny, metodyczny Lazarson cieszył się sympatią i szacunkiem większości członków komitetu.

Innym zupełnie typem był Dawid Poradowski, podoficer piechoty, kawaler żołnierskiego krzyża św. Jerzego, urodzony junak i *„rubacha-pareń"*. Odeski Żyd, na wskroś przesiąknięty odeskim klimatem żydowsko-rosyjskiej niefrasobliwości, zuchowatości i humoru. Paradowski był wzorem męskiej urody. Wysoki, szczupły, wysportowany, bystry w ruchach fizycznych i moralnych odruchach, jakby zawsze pod działaniem sprężonych sił mięśni i ducha, był niepowtarzalną osobowością. Doskonały mówca, oczywiście odważny i niezależny w sądach, był postrachem towarzyszy z ciągotkami ku bolszewikom i anarchistom. Jednych i drugich tępił nielitościwie ostrym i niewybrednym słowem, tuż na granicy mordobicia. Chociaż miał za sobą sześć klas gimnazjum, celowo trzymał się w fasonie sołdackim, z czego umiejętnie wyciągał wszelkie korzyści.

Paru jeszcze Żydów żołnierzy nie wyróżniało się niczym szczególnym z szarej masy komitetowych deputatów.

POWODUJĘ ODWOŁANIE GEN. KALEDINA

Wreszcie przyszła bieda.

W 37 dywizji XVIII Korpusu tłum żołnierzy w bestialski sposób zamordował pułkownika sztabu generalnego, przypadkowo przejeżdżającego przez miejsce postoju rezerwowego pułku. Historia i scena tego dramatu była prawie na owe czasy banalna.

Pod wieczór, we wsi gdzie stał rozlokowany pułk, wzdłuż podeschniętej drogi rozsiadła się gromada żołnierzy, gdy inni walęsali się kupami jej środkiem. Gdy nadjechało sztabowe auto, żołnierze, według nowego obyczaju, nie chcąc wykazać się jeden przed drugim służbistym pośpiechem wobec panów oficerów, demonstracyjnie symulowali zupełną obojętność na sygnały kierowcy, tak że auto musiało się wreszcie zatrzymać. Wówczas w otwartym wozie stanął w całej okazałości pułkownik sztabu generalnego, w błyszczących, srebrem tkanych epoletach, przy wspaniale dekoracyjnych akselbantach, i dopiero chlusnął w żołnierzy stekiem najobrzydliwszych wyzwisk, a wśród nich — od zbuntowanych *rabów* i bolszewickiej *swołoczy*.

Pułkownika zastrzelono na miejscu, skłuto i rozszarpano, już martwego skopano buciorami i wrzucono do rowu. Przed śmiercią zdążył oddać kilka strzałów, które zabiły jednego żołnierza a trzech ciężko raniły.

Oczywiście kreowano ich na ofiary, wzywające o pomstę rewolucji. Agenci bolszewiccy umiejętnie podsycali podniecenie i otwarty bunt groził resztkom ładu, z takim trudem utrzymywanego przez deputatów pułkowych i dywizyjnych komitetów, a także przez tych prawdziwie bohaterskich oficerów, posiadających jeszcze jaki taki autorytet wśród żołnierzy. Już następnego dnia w innym pułku tej samej dywizji strzałami w plecy zamordowano dwóch oficerów. Spraw-

cy pozostali „nieznani", chociaż wiedzieliśmy i wszyscy wiedzieli, że sprawcy byli wszystkim doskonale znani.

Rozdzwoniły się na alarm i trwogę polowe telefony, Huguesy nie milkły, poruszenie stawało się powszechne i bliskie już paniki, a ostrość widzenia i trafność decyzji zostały niebezpiecznie nadwyrężone. I wówczas stała się rzecz najgłupsza. Dowódca armii, stary kozak generał Kaledin, wydał szefowi sztabu armii rozkaz wysłania w rejony oddziałów „winnych niesubordynacji" pułku dońskich kozaków, pod dowództwem takich samych jak Kaledin reakcyjnych oficerów, z surową instrukcją ukrócenia anarchii siłą, przy pomocy kozackich karabinów maszynowych.

Szef sztabu gen. Romanowski w tejże chwili powiadomił mnie o tym telefonicznie, zapytując czy ja, w imieniu komitetu, nie mogę wskazać żadnych innych sposobów likwidacji kryzysu i czy się nie obawiam, że dyspozycja starego dowódcy armii może wywołać jeszcze większe nieszczęście, którego znaczenia i granic nie da się przewidzieć. Odpowiedziałem mu, że bojowy animusz gen. Kaledina w najlepszym razie wywoła wojnę domową w 8 Armii, w najgorszym zaś może spowodować przyłączenie się kozaków do piechoty ze wszystkimi skutkami, z rzezią oficerów i likwidacją frontu włącznie. Powiedziałem, że dyspozycje Kaledina uważam za szaleństwo i dowód jego niepoczytalności i proszę, a nawet żądam wstrzymania rozkazu na dwie godziny, aż zdążę porozumieć się ze sztabem Południowego Frontu przez mojego zwierzchnika, komisarza rządu przy dowództwie frontu, by prosić dowódcę o odwołanie rozkazu Kaledina.

W godzinę po tym kilka sztabowych aut z członkami naszego komitetu gnało w zagrożone rejony, zaś po dwóch godzinach dowódca frontu gen. Brusiłow odwołał rozkaz Kaledina; a już nazajutrz Naczelne Dowództwo na wniosek rewolucyjnego komitetu 8 Armii, popartego przez komisarza frontu i jego dowódcę, odwołało gen. Kaledina. Tego samego wieczoru stary i nic nie rozumiejący człowiek odjechał z Czerniowiec nad swój Don. W rok później zastrzelił się w swym atamańskim pałacu, gdy pojął, że jego dońscy kozacy też go opuścili dla rewolucji.

UŚMIERZAM KONTRREWOLUCYJNE KNOWANIA HRABIEGO BENKENDORFA

Minęło kilka tygodni w gorączkowej i niełatwej pacyfikacji nastrojów, wzburzonych wypadkami w 37 dywizji. Gen. Romanowski wyjechał z Czerniowiec do kwatery głównej naczelnego wodza. Przyduszone przez niego na jakiś czas kontrrewolucyjne inicjatywy podjął najgłupszy reakcjonista, rtm. hr. Benkendorf. Doszły nas wieści, że on to stanął na czele kontrrewolucyjnego spisku, aby „zrobić porządek" z naszym rewkomem. „Podobno" saperzy są też przeciwnikami rewolucji, a ściślej mówiąc naszego komitetu, w którym — ich zdaniem — zadekowały się ciemne mużyki z piechoty i pobierają generalskie uposażenia. „Podobno" oficerowie III kawaleryjskiego korpusu pod dowództwem barona Piotra Wrangla są już przygotowani do likwidacji naszego komitetu. „Podobno" gen. Romanowski ma już nie wrócić do sztabu. Słuchy obrastały plotkami, wzniecały podniecenie, a przede wszystkim strach, który wielkimi oczami dostrzegał otoczenie reakcyjną zmową i podpowiadał niektórym, że tylko szybka ucieczka z miasta do którejś przyfrontowej dywizji może nas uratować od niechybnej zguby, a rewolucję od kontrrewolucji.

Dla moich pacyfikacyjnych zamiarów ten powiew paniki był bardzo użyteczny. Za jednym zamachem chciałem uwolnić komitet od wpływów nazbyt radykalnych elementów, a jednocześnie dać po palcach Benkendorfowi i jego kontrrewolucyjnej kompanii. Gra była jednak dość niebezpieczna. Nie obawiałem się wprawdzie by Benkendorf z kupą swoich półgłówków mógł restaurować kontrrewolucję na dłuższy czas, lecz mogło mu tego czasu starczyć na definitywne pozbycie się nas wszystkich. Wiedziałem także, że mogę w każdej chwili wezwać do Czerniowiec pierwszy z

brzegu zrewolucjonizowany pułk piechoty, który by radykalnie uspokoił amatorów restytucji starego porządku, lecz łatwo sobie było wyobrazić, co by się wówczas stało z hr. Benkendorfem i jego przyjaciółmi. Zdawałem sobie również sprawę, że każdy nasz rewolucyjny pułk chętnie wejdzie do pięknego miasta z *„cujką"* w nieograniczonej ilości i niezwykłe przystępnymi kobietami, lecz żaden by później z Czerniowiec nie wyszedł ani z własnej ochoty, ani z nakazu rewolucyjnej dyscypliny.

Aż oto zgłosili się do mnie dwaj wysłannicy z dywizjonu sztabowej żandarmerii komunikując, że do sztabu wzywa się żołnierzy w pojedynkę i grupami, bada ich stosunek do detronizacji cara, do Komitetu Dumy Państwowej, do Tymczasowego Rządu Republiki, do petersburskiego sowdepu, a szczególnie do naszego komitetu. Przy czym łży się naszych deputowanych jako dezerterów, nierobów i hultajów, zapowiadając naszą szybką likwidację i podsuwając pomysł przyłączenia się do takiej patriotycznej rozprawy.

Zobowiązałem żandarmów do powtórzenia ich rewelacji przed całym komitetem na ogólnym zebraniu, które natychmiast zwołałem. Jak było do przewidzenia, przebieg jego był burzliwy. Zażądano zdania sprawy z moich ugodowych wystąpień w sztabie. Przyjęto wyłuszczone przeze mnie wyjaśnienia i racje bez większego entuzjazmu, większość pesymistycznie pokiwała głowami, niezłomni przeciwnicy generałów oceniali je krytycznie, ze strony domorosłych robespierów padł wniosek natychmiastowego zastrzelenia kilku najwybitniejszych sztabowych reakcjonistów, oczywiście z Geydenem i Benkendorfem na czele. Wniosek ten jednak nie był nawet poddany pod głosowanie. Później była dyskusja na temat sytuacji międzynarodowej, gdyż był to nieodwołalny punkt porządku dziennego na każdym zebraniu rewolucyjnych komitetów czy sowdepów, niezależnie od ich poziomu. Moje opinie podobały się, i — jak zapewniał dr Łazarson — podniosły mój autorytet w opinii deputatów i zneutralizowały złe wrażenie, wynikłe z mojego kompromisowego stanowiska w stosunku do sztabu. Ja i paru moich najbliższych kolegów uważaliśmy, że mimo krytyki pozostawiono

mi nadal wolną rękę w polityce ze sztabem, skoro żadna uchwała w tej sprawie nie zapadła.

Wobec tego uradziliśmy w kilku poufnie, że nie jest wskazane podnosić rzuconej nam przed oczy hrabiowskiej rękawicy. Zdecydowaliśmy się natomiast na małą zbrojną demonstrację w charakterze umoralniającego nacisku na twarde głowy sztabowych sowizdrzałów.

Prezydium naszego rewkomu wystosowało do generalnego kwatermistrza sztabu armii pilne pismo, żądając bezzwłocznego wydania do naszej dyspozycji stu karabinów, dwóch *luisów* z odpowiednią ilością amunicji, a prócz tego dwóch skrzynek granatów „Nowickiego". Pismo nasze skierowaliśmy jednak nie do kwatermistrzostwa, lecz wprost do rewolucyjnego komitetu sztabu generalnego. Po godzinie sztabowa ciężarówka przywiozła nam broń i amunicję.

Jednocześnie puściliśmy w okolicę naszego sztabu jak najczerwieńszą wieść, że komitet zamierza przystąpić do generalnej sanacji stosunków sztabowych w celu radykalnej izolacji wszystkich źródeł i elementów antyrządowej i antyrepublikańskiej inicjatywy i w celu zapobieżenia niebezpieczeństwu żywiołowych i anarchicznych odruchów mas na rozmaitego rodzaju prowokacje i zaczepki awanturniczych i nieodpowiedzialnych osobistości w sztabie 8 Armii. Gdy generał kwatermistrz zobaczył nasze pismo kwitujące odbiór broni, chociaż też hrabia i reakcjonista, lecz bardziej przytomny od swego kuzyna Benkendorfa, przestraszył się i potrafił przekonać swoich niezłomnych, by zaprzestali zabawy z ogniem w prochowni.

W kilka dni później powrócił gen. Romanowski, a rtm. Benkendorf i paru młodych entuzjastów restauracji opuściło sztab na zawsze.

Na jakiś czas nastał spokój.

SAWINKOW

Tymczasem inne wydarzenia zajęły naszą uwagę.

Na moje zaproszenie przybył w odwiedziny do naszego rewkomu Borys Sawinkow, wojenny komisarz Tymczasowego Rządu w sąsiadującej z nami 7 Armii.

Niecodzienna postać Sawinkowa była przeze mnie wielokrotnie i wielostronnie opisywana. Ale że sawinkowskie „od-do" jest bardzo rozległe i bardzo różne w różnych płaszczyznach, ile bym razy o nim pisał, wspominając go w takim czy innym wcieleniu, nie bałbym się być nudnym, tak fascynująca bowiem była to indywidualność. Churchill w swych pamiętnikach zalicza Sawinkowa do wybitnych osobistości epoki. Sawinkow był istotnie nie tylko wybitnym człowiekiem i znanym na cały świat rewolucjonistą; jego bardzo skomplikowana osobowość była jakby symbolem, czy syntezą zbiorowej duszy rosyjskiego inteligenta, który całe życie poświęcił rewolucji, nim ona się nie stała, i z niezwykłą namiętnością aż do ofiary z życia ją zwalczał, kiedy się dokonała.

Imię Sawinkowa przed rewolucją było sztandarem walki najbardziej krwawej, na śmierć a nie na życie, z caratem w imię rewolucyjnego socjalizmu. Działalność jego z tego okresu pozostawiła krwawy ślad i mieszało się tam wszystko: poświęcenie, bohaterstwo, podstęp, okrucieństwo i zbrodnia. Po rewolucji ten niezwykły człowiek stał się rzecznikiem obrony ojczyzny, jej honoru i potęgi, wzorem patriotycznego przestawienia rewolucyjnych celów na drugi plan, nie wahającym się walczyć znowu na śmierć nie na życie z bolszewicką rewolucją w imię demokratycznej republiki.

Miało to być w moim życiu drugie spotkanie z Sawinkowem. Pierwsze przed ośmiu laty zaaranżował nas wspólny znajomy, gorliwy soc-rewolucjonista, w nadmorskim parku w Petersburgu. Chodziło o zwerbowanie mnie do terrorystycznej grupy eserów, którym przewodził wówczas Sawinkow obok niesławnej pamięci Azefa. Odmówiłem. Terror był sprzeczny z moją wiarą, nie odpowiadał mojej naturze, nawet nie pasował do moich tradycji i obyczajów my-

śliwskich, wzbraniających dżentelmenowi polowania na „zasiadkę", czy „wychodnego", jak to robili chłopscy kłusownicy. Próbowałem również popisać się przed głośnym rewolucjonistą samodzielnością myślenia. Dowodziłem więc, że terror jest błędem partii, rodzajem skazy psychicznej, neuropatycznym odruchem słabszego, wywodzącym się z dostojewszczyzny, najbardziej szkodliwym dla rewolucji i najbardziej demoralizującym rewolucjonistów, w których wzniosłe powołanie gorąco wierzę.

„Ależ z pana numerek" rzucił Sawinkow mi wtedy po polsku na pożegnanie. Rozstaliśmy się przecież przyjaźnie w ów piękny wieczór jesienny, a spotkanie po ośmiu latach było bardzo serdeczne, z czego wnioskowałem, że Sawinkow dobrze mnie zapamiętał.

Ale Sawinkow nie przyjechał tylko dla przywitania znajomego kiedyś młodzieńca i nie w celu zaprezentowania się jako dygnitarz triumfującej rewolucji. Na zwołanym przeze mnie zebraniu najbardziej rozgarniętych członków naszego komitetu zażądał byśmy przez mobilizację wszystkich korpusowych i dywizyjnych komitetów poparli przed rządem republiki i kwaterą główną inicjatywę „jego grupy" powołania na dowództwo 8 Armii gen. Korniłowa, niedawno zbiegłego z niewoli austriackiej, a obecnie głównodowodzącego wojskami petersburskiego okręgu i garnizonem stolicy. Jakie miał plany? Z tego, co mówił, wywnioskowałem, że Korniłowa predestynuje do roli tego, który śmiałym uderzeniem na wroga potrafi przywrócić prestiż armii, po czym brutalną siłą stłumić po dyktatorsku rewolucyjną anarchię.

— Chyba nie jesteście ślepi — mówił — i widzicie, że w obecnym stadium rewolucji armia rosyjska jest na równi pochyłej ku samozatraceniu. Cała rewolucja stała się obecnie permanentną anarchią. Chyba rozumiecie, że zwycięstwo nieprzyjaciela w tych warunkach jest kwestią tygodni, może dni, a zgodzicie się ze mną towarzysze, że zwycięskie austro-węgierskie bagnety nie będą utrwalać zdobyczy naszej rewolucji. Na tych bagnetach oprze się najczarniejsza rosyjska reakcja i najkrwawsza kontrrewolucja. Towarzysze! Pragnę, byście zrozumieli, że droga do zbawienia rewolucji i urato-

wania jej cennych zdobyczy prowadzi przez ratunek naszej ojczyzny, a ten ratunek przyjść może tylko od was... Chodzi o odrodzenie bojowej zdolności i wartości naszej armii w rękach rozumnych, zdecydowanych i uczciwych ludzi, którzy potrafiliby tchnąć w nią ducha walki. Zwycięskie uderzenie na nieprzyjaciela, już również wyczerpanego wojną, zdobędzie honory pokój dla Rosji i wawrzyny chwały dla młodej republiki. Jeśli uderzenie na jednym odcinku frontu będzie zwycięskie, to ruszy cały front, a wówczas szlachetne pierwiastki duszy rosyjskiej wezmą górę nad tchórzostwem, zmęczeniem, upodleniem, niewiarą, nad tym wszystkim, co zdegradowało dwudziestomilionową rosyjską armię, że nie przedstawia dziś ona żadnej bojowej wartości...

— Towarzysze! Wybraliśmy was, bo wasza 8 Armia, dzięki waszej pracy, może służyć za przykład innym. I wybraliśmy Korniłowa, bo jest to człowiek i żołnierz prawy, światły i nieustraszony. Jeśli on jako dowódca waszej armii przy waszym współudziale nie zdoła odrodzić kwalifikacji bojowych wojska, wówczas możemy naszą narodową i rewolucyjną sprawę uważać za przegraną. Wzywam was, towarzysze...

Sawinkow był sugestywnym mówcą i dobrym organizatorem. Zresztą kim Sawinkow był, a kim nie był...? Ten w oczach jednych zbrodniarz, a w oczach innych bohater, człowiek czynu, który zarażał innych siłą własnych przekonań, nigdy w głębi nie był wolny od wątpliwości nie tylko sumienia, ale przede wszystkim rozumu. Dowiedziałem się o tym znacznie później, gdy poznałem go bliżej. Na razie rzuciliśmy się w wir działania. Pod wpływem gorących odezw Rewolucyjnego Komitetu Armii do komitetów niższych stopni i do żołnierskich mas, na Naczelne Dowództwo i petersburski Sowdep spadła istna nawałnica depesz i pism, żądających nominacji generała Korniłowa na dowódcę naszej armii. Głos wojska dotarł do Tymczasowego Rządu, przemógł opór bolszewickich elementów w Sowdepie, i wkrótce po wizycie Sawinkowa spotykaliśmy uroczyście z rewolucyjną pompą nowego dowódcę armii, po raz pierwszy w historii nowoczesnego wojska obieralnego i narzuconego od dołu.

KORNIŁOW

Ławr Gieorgiewicz Korniłow, syn chłopa z Zakaspijskiego stepu, generał-lejtnant rosyjskiej armii, wybitny oficer generalnego sztabu, wsławiony w młodości oficer wywiadu na terenie Afganistanu, Beludżystanu i Indii, gdzie z powodzeniem tropił wojskowe i polityczne poczynania Anglii, przedstawiał się niepozornie i pospolicie. Niskiego wzrostu, szczupły, płaski, jakby zasuszony w zielniku. Ciemna twarz o wybitnie mongolskich rysach sprawiała wrażenie rzeźby w kamieniu meteorytu. Tylko małe szczupłe oczka świdrowały zaczepnie i mądrze ludzi i świat wokół. Miał lat 49.

Rewolucyjny Komitet Armii w pełnym składzie powitał generała najserdeczniej, jako swego dowódcę, kreowanego na mocy nowego rewolucyjnego prawa. Przemówił oficer, przemówił żołnierz, i chociaż żaden z nich żadnym akcentem nie uchybił autorytetowi dowódcy, Korniłow sam nie omieszkał z punktu podkreślić, że obieralny wódz nie będzie narzędziem w ręku swoich wyborców.

— Jeśli myślicie i spodziewacie się, że będę malowanym dowódcą — powiedział na wstępie, błyskając żółtymi kłami przez wykrzywione w chińskim uśmiechu wąskie usta — to się mylicie. Jeśli oczekujecie, że będę pogłębiał rewolucję, *jak to Petersburski Sowdep nakazuje, to się łudzicie.* Będę wszystkimi siłami dążył do uzdrowienia armii, którą rozwaliła rewolucja. Będę żądał od wszystkich najszybszego osiągnięcia bojowego pogotowia wojska, by uderzyć na wroga, zwyciężyć, lub zginąć.

Nie wszystkim przypadły do rewolucyjnego gustu te twarde słowa. Tu i tam ktoś syknął cicho: kontrrewolucja. Większość jednak, jakby się w sobie rozprostowywała, myśląc z ulgą: nareszcie.

Korniłow pozostawił gen. Romanowskiego na stanowisku

szefa sztabu armii i niezmiernie go polubił. (Nie rozstał się z nim aż do swojej śmierci, która dosięgła go w rok później pod Jekaterinodarem już jako wodza kontrrewolucyjnej Ochotniczej Armii.)

Korniłow reformował armię i szalał.

W sztabie armii zaszły bardzo pożądane zmiany, gen. hr. Geyden poszedł do rezerwy, wielu dowódców dywizji za nim. Korniłow tworzył w pośpiechu nową bojową elitę. Jego rewolucyjność polegała na tym, że przy nominacjach nie decydowały ani stosunki, ani wysługa lat, ani nawet ranga, ale tylko osobiste walory kandydata, jego odwaga przede wszystkim. Sam codziennie jeździł na pozycje, łaził po okopach, mówił, groził i przekonywał. W tchórzy sypał piorunami gniewu, onieśmielał błyskawicami ze swych skośnych oczu i ludzie mimo woli zaczynali się poddawać urokowi tego prawdziwego ducha wojny. Widząc go chodzącego po brustwerach okopów, jak wodził na pokuszenie nieprzyjacielskie kule, ulegali czarom i zaczynali wierzyć w czary. Już powstała legenda, że kule się go nie imają. Wydawało mi się, że Korniłow świadomie dąży do skobielewskiej sławy, i grając na wschodnim mistycyzmie, wypatruje odważnych jak on kandydatów do ról współczesnych Mininów i Pożarskich.

Korniłow pogardzał rewkomami, ale konferował przyjaźnie z ich deputatami. Przemagając wstręt do rewolucyjnych gębaczy, właśnie od nich wymagał, by poparli przed wstydliwym rewolucyjnym Rządem Tymczasowym jego żądanie o przywrócenie w wojsku kary śmierci za bunt i zdradę. W tym żądaniu poparł go Sawinkow, a także inny wojenny komisarz, Krestiński (brat bolszewika). Komisarz przy Naczelnym Dowództwie okazał przychylność raczej chwiejną. W końcu jednak Korniłow wymógł na rządzie republiki przywrócenie normalnego wojennego prawa, stając się w Peresburskim Sowdepie symbolem reakcji i kontrrewolucji.

Inne były reakcje przytomniejszego z odurzeń rewolucyjnych społeczeństwa. W ciągu niewielu tygodni mówiło się o nim i pisało w demokratycznej prasie coraz więcej i z coraz większym entuzjazmem. Stał się nadzieją, legendą, mężem

opatrznościowym, którego już zaczynano kochać, błogosławić... Ale także obawiać się, przeklinać i nazywać zdrajcą rewolucji.

W wojsku tymczasem Korniłow grał i zgrywał się w roli epickiego bohatera, nie gardząc teatralnymi gestami np. rozrywania na piersiach bluzy z krzykiem opętańca: „strzelajcie tchórze w moją pierś!...". Ział, pienił się, bożył, aż wreszcie tchnął ducha w zmierzwiałe serca. Na krótko wzniecił bojową wolę walki dla zwycięstwa. I kiedy rzucił swoją armię do ataku, rozdarł austriacki front jak zmurszałą kurtynę starego cyrku, wziął masy jeńców, broni i zaopatrzenia, i na parę dni stał się bożyszczem.

Lecz sztuczny ogień w sercach przymusowych bohaterów zgasł szybko, zwłaszcza, że go pomagano gasić. Przede wszystkim nie sprawdziła się przepowiednia Sawinkowa, że inne armie także ruszą. Mówiono, że bezczynność sąsiednich armii spowodowana była nie tylko przez opór zanarchizowanych żołnierzy ale także przez zawiść dla wschodzącej sławy chłopskiego generała wśród arystokratycznych dowódców. Z Petersburskiego Sowdepu zaś zaterkotały depesze, i najbardziej „rewolucyjnie uświadomione" dywizje 8 Armii odmówiły wykonania następnego bojowego rozkazu, żądając od Korniłowa przedyskutowania politycznej i strategicznej sytuacji na międzydywizyjnym wiecu z udziałem deputatów z Petersburskiego Sowdepu. Ofensywa została wstrzymana, patriotyczny zapał rozproszony, rozpęd zahamowany i rewolucyjne morze zwyciężyło.

Mimo to Sawinkowi udał się następny plan. Wypromowania Korniłowa na naczelnego wodza a siebie na ministra spraw wojskowych. I znowu nasz komitet mobilizował „głos ludu — głos Boga", przyczyniając się walnie do realizacji zamysłu.

Był to już wprawdzie czas, gdy premier Tymczasowego Rządu, idealista Aleksander Kiereński, przejrzał na tyle, by zrozumieć, że jego rewolucyjny idealizm nie posiada żadnego pokrycia w wytworzonej rzeczywistości. Wtedy to właśnie rzucił ów historyczny frazes o zbuntowanych niewolnikach. Tzn. o tych masach, którym zaufał, które wielbił i któ-

re go adorowały. Już było jednak tak źle z republiką, demokracją i Rosją w ogóle, że Rząd Tymczasowy zdobył się na to, na co by się w innych okolicznościach nie zdobył. Zamianował Korniłowa wbrew woli Petersburskiego Sowdepu. Nie pomogły zaklęcia Trockiego, nie pomogły kpiny Lenina, że „burżuazyjna demokracja" dobrowolnie podstawia kark pod stopy rosyjskiego Bonapartego. Sawinkow nie otrzymał pełnych praw i tytułu ministra, ale został „zarządcą" ministerstwa spraw wojskowych, a tytularnym ministrem pozostał premier Kiereński. W owym czasie Sawinkow nie cieszył się już pełnym zaufaniem w partii socjal-rewolucjonistów. do której obaj z Kiereńskim należeli. Uszczuplonej nominacji Sawinkowa nie należy jednak tłumaczyć jako ustępstwa wobec jemu niechętnych, a przeciwnie jako ustępstwo wobec panicznych nastrojów, że tylko „mocny" człowiek może toczącą się po równi pochyłej rewolucję ratować. Takim niewątpliwie Sawinkow był.

„Zarządca" z miejsca zaczął się rządzić jak prawdziwy gospodarz, nie bardzo oglądając się na formalne ograniczenia swoich praw, zwłaszcza przy inicjatywach odmiennych od linii politycznej premiera. Kiereński wzdrygał się przed „antydemokratyczną' rozprawą z partią bolszewików, gdy Sawinkow widział w nich największe dla Tymczasowego Rządu niebezpieczeństwo. Konspirując więc z konieczności przed kolegami z gabinetu swój zamysł, dążył do oddania pod sąd wszystkich członków rady i prezydium Sowdepu, czyli bolszewików, pod zarzutem, że są na żołdzie niemieckiego sztabu generalnego.

W tym celu mianował Burcewa, wsławionego dekonspiratora agentów i prowokatorów policji carskiej, szefem wywiadu i kontrwywiadu ministerstwa. Nominacja Burcewa wywołała duży niepokój, ale pożądanych dla Sawinkowa skutków nie przyniosła. W tym czasie było już dość głośno o tym, że Lenin i jego towarzysze pobierali niemieckie pieniądze, efekt tych rewelacji był jednak nieznaczny, gdy zarzuty i oskarżenia o zdradę stały się powszechną połajanką między przeciwnikami politycznymi. Sawinkow szukał przekonywających pozorów, które pozwoliłyby mu aresztować bolsze-

wickich przywódców chociażby na kilka dni, zamierzał wysanować szybko Sowdep, w którym zresztą nie stanowili większości, lecz którym rządzili, po czym miało nastąpić wzmocnienie władzy rządu. Burcew natomiast, zwolennik ortodoksyjnej czystości metod, wciąż szukał dowodów prawdy, ignorując jej pozory, nie rozumiejąc, lub nie chcąc zrozumieć intencji Sawinkowa.

A czas działał na korzyść bolszewików.

MOJA PROMOCJA NA KOMISARZA 8 ARMII

W tym czasie moi komitetowi koledzy zdecydowali się również na samodzielną inicjatywę polityczną i zażądali od ministra Sawinkowa i od Petersburskiego Sowdepu, którego byłem członkiem *ex officio*, jako prezes rewolucyjnego komitetu, zamianowanie mnie komisarzem Tymczasowego Rządu 8 Armii.

Decyzja komitetu została gorąco poparta przez naszego nowego dowódcę, którym po odejściu Korniłowa na naczelne dowództwo został gen. Sokownin, i przez nowego kwatermistrza sztabu armii gen. Bazarewskiego, mojego starszego kolegę z kadeckiego korpusu. Te generalskie protekcje na wysokie rewolucyjne stanowisko mogły mi tylko w opinii Petersburskiego Sowdepu zaszkodzić, więc na moją prośbę zostały przesłane tylko do Sawinkowa, jako korespondencja poufna.

Tymczasem na opór natrafiłem właśnie tam, gdziem się mógł najmniej spodziewać, a na uprzejmość tam, gdzie spodziewałem się oporu.

Sawinkow lubił by go słuchano, lecz sam nie bardzo lubił ulegać cudzym inicjatywom. Więc owszem, mianował mnie wojennym komisarzem, ale nie w 8 Armii, lecz w tak zwanej *„osoboj"*, gdzie przed kilku dniami rozbestwiony kilkutysięczny tłum żołnierzy rozdarł bagnetami na strzępy wojennego komisarza armii Lindego i kilku oficerów, którzy bohatersko rzucili się mu na ratunek. (Borys Pasternak w „Doktorze Żiwago" opisał dokładnie ów dziki samosąd.) Właśnie do tej armii skierował mnie Sawinkow, mając widocznie grubo przesadzone mniemanie o mojej misyjnej ofiarności dla rewolucji i o moich pacyfikacyjnych zdolnościach w radzeniu sobie z kupami zanarchizowanych morderców.

Oczywiście, grzecznie odmówiłem zaszczytnej nominacji.

Moi komitetowi towarzysze, pomni swych niewątpliwych zasług przy obu nominacjach Korniłowa, poczuli się dotknięci odmową wyrównania rachunków wdzięczności z ministrem Sawinkowem. Znów poleciały depesze i zastukały Huguesy — bezskutecznie. Sawinkow nie miał zwyczaju się cofać. Mianował mnie wprawdzie wkrótce komisarzem rządu 8 Armii, ale w innych okolicznościach i z innych pobudek, o czym będzie niżej.

Gdy to się już stało i udałem się do Petersburskiego Sowdepu dla zalegalizowania mojej nominacji, bo taki ustalił się prawem kaduka porządek, dowiedziałem się w komisji dla spraw personalnych, że większość jest przeciwna mojej kandydaturze ze względu na moje pochodzenie klasowe, a tylko Trocki, który jest przewodniczącym komisji i zna mnie osobiście, jest po mojej stronie. Poradzono mi, bym się do niego zgłosił.

Trockiego poznałem przed paru miesiącami, gdy się prezentowałem w Petersburskim Sowdepie, jako jego członek. Wszyscy bowiem prezesi rewkomów 15 armii wchodzili automatycznie w skład Petersburskiego Sowdepu. Trocki wówczas sam się zbliżył do naszej frontowej grupy, rozpytując szczegółowo i inteligentnie o nastroje w armii. W lot chwytał potrzebne mu informacje, raz po raz przerywając dowcipami przydługie i beztreściwe wywody mniej doświadczonych w zdawaniu sprawy towarzyszy żołnierzy.

Tym razem rozmawiał ze mną w swoim gabinecie prawie kwadrans... o polowaniu. Był namiętnym myśliwym z południa Rosji, a zupełnie nie orientował się w myśliwskiej epice północy, której byłem nienajgorszym znawcą. Czas leciał i dopiero przy pożegnaniu, gdy uścisnął prawdziwie po myśliwsku moją dłoń, zapewnił, że moją sprawę sam załatwi na plenarnym zebraniu, więc bym spokojnie wracał do armii. I rzeczywiście załatwił, ni mniej ni więcej jak zapewnieniem, że jestem „indywidualnym" bolszewikiem.

★ ★ ★

Protekcja Trockiego nie została pogrzebana w niepamięci. Kiedy 18 września 1939 roku pierwsza banda bolszewickich łapaczy przetrząsała dom w Jaworowie, jej przywódca z

miejsca pytał służbę, gdzie się ukrywa ów „niebezpieczny trockista"

Wyobrażam sobie, że Trocki musiał być trochę speszony, gdy w parę dni po październikowym przewrocie wydawał rozkaz łapania żywym lub martwym owego „indywidualnego bolszewika" wraz z jeszcze bardziej indywidualnym soc-rewolucjonistą Sawinkowem, gdyśmy zaczęli wcale nie indywidualnie, a zgoła kolektywnie ryć w jego i Lenina doświadczalnym ogródku.

Nie wyprzedzajmy jednak zbyt daleko wypadków.

NARADA PAŃSTWOWA W MOSKWIE

Na razie wezwany zostałem przez Sawinkowa do Moskwy na słynną Naradę Państwową.

Było to wkrótce po tym, jak bolszewicki pucz „lipcowy" spalił na panewce. Rząd Kiereńskiego miał okazję rozprawić się ostatecznie z partią Lenina, zwyciężyła przecież cnotliwość szlachetnych doktrynerów, płoszących się przed użyciem siły, niby przed grzechem śmiertelnym przeciw demokracji. Zresztą wierzono, że najświętszego ołtarza rewolucji należy bronić wspólnie przed kontrrewolucją. Niewystrzelony bolszewicki nabój pozostał w lufie do następnego razu. Sawinkow i Korniłow rozumieli to dokładnie, a wyczuwając w nastrojach kulturalnego społeczeństwa poparcie, dążyli — niezupełnie tymi samymi drogami i z niezupełnie tymi samymi planami na dalszą przyszłość — do wyrzucenia tego naboju z lufy przed próbą ponownego użycia.

Moskiewska Narada Państwowa, oficjalnie zwołana z inicjatywy rządu, w rzeczywistości została wymuszona na rządzie przez przedstawicieli oświeconego społeczeństwa, w intencjach wręcz przeciwnych rządowi i socjalistom. Zainscenizowana odświetnie, jako wielki wszechrosyjski wiec tysięcy delegatów, rządu, w obecności korpusu dyplomatycznego, przedstawicieli krajowej i zagranicznej prasy — stała się areną ostatniej publicznej walki między rewolucyjną demagogią a rozpaczliwą wolą patriotów, wołających o opamiętanie w imię ginącej ojczyzny. Gdy socjalistyczni rzecznicy rządu wzywali o ratunek rewolucji i demokracji, przeważająca większość autorytatywnych przedstawicieli kulturalnego społeczeństwa przypominała tragiczną sprawę państwa i wojny, domagając się od rządu wykonywania przede wszystkim obowiązków obywatelskich, nie zaś partyjnych i doktrynalnych. Z głosami tymi solidaryzowała się już całkowicie cała

bezpartyjna inteligencja i cała myśląca Rosja, wytrzeźwiona z rewolucyjnego durmanu pierwszych tygodni i miesięcy rewolucji. Więc chociaż namiętne hałasy socjalistów usiłowały zagłuszyć każdy rozsądny głos i każdą użyteczną myśl, klimat Narady ukształtował się według patriotycznej odpowiedzialności, budząc niejaki optymizm na przyszłość.

Bohaterem Narady stał się Naczelny Wódz gen. Korniłow. Z rozpaczliwą odwagą i z akcentami groźby rzucił swoje *memento mori* pod nogi rządowi republiki, pod czerwone sztandary rewolucji i prosto w oczy skrajnym jej rzecznikom.

„...Nie rewolucję trzeba „pogłębiać", ojczyznę trzeba ratować, którą utracono z oczu w nieprzytomnej pogoni za zdobyczami rewolucji".

„...Rosjanie! Jako naczelny wódz sił zbrojnych mówię wam w oczy, bez przesady ale i bez osłonek, bez kłamliwych akcentów zastraszenia, mówię tragiczną prawdę: Ojczyzna jest nad brzegiem przepaści. Jeśli się nic nie zmieni, w ciągu paru tygodni przestaną istnieć siły zbrojne, które mają bronić przed wrogiem dróg do wnętrza kraju. Z tych sił zbrojnych pozostaną tylko zbrojne bandy rozbójników, uciekających przed nieprzyjacielem i plądrujących swój kraj"

„...Wzywam was wszystkich do opamiętania, wzywam rząd republiki do ujęcia steru władzy mocną i nietrwożliwą dłonią! ... I to od zaraz, od już! ...".

Wszyscy obecni wyczuli w ostatnim zdaniu niedopowiedzianą groźbę: „bo jeśli rząd tego nie uczyni, zrobię to ja".

Wystąpienie Korniłowa wywołało huragany owacji. Miały one specjalną wymowę na tle pogłosek, wypowiadanych bądź to w formie życzeń, bądź w formie informacji, że zamach stanu naczelnego wodza będzie ratunkiem Rosji. I jeśli Korniłow z takim planem się nie nosił przed Moskiewską Naradą, lub doświadczał wahań i wątpliwości, to teraz, w gorącej atmosferze ogólnej adoracji, miał prawo uważać, że posiada całkowite poparcie moralne całej elity rosyjskiego społeczeństwa.

Przemówienia Kiereńskiego były również oklaskiwane entuzjastycznie. On bowiem również nawoływał do obrony państwa, a obrazy rosyjskiej rzeczywistości, które rzucał przed

oczy całej Rosji, nie były malowane na różowo. Jednak w wypowiedziach Kiereńskiego świetny mówca i aktor dominował nad mężem stanu. Ten urodzony trybun, gdy mówił, gdy zapewniał, że rząd pokona anarchię i knowania przeciw rewolucji tak z lewa jak z prawa, porywał ku sobie nawet przeciwników, aczkolwiek nie na długo. Przeto i premier rządu schodzi z trybuny jako triumfator, co szerszej opinii publicznej dało podstawę do mniemania, że premier i naczelny wódz idą ku jednemu celowi: ratowania ojczyzny.

Dla bardziej wyrobionych politycznie obserwatorów wypowiedzi Korniłowa i Kiereńskiego nie wiele miały wspólnego w intencjach mimo prawie tych samych sformułowań i słów. Zresztą Kiereński wyżywał się bez reszty w mowach. Korniłow był człowiekiem czynu.

NIEUDANY ZAMACH STANU

Wkrótce po Moskiewskiej Naradzie zostałem wezwany przez ministra Sawinkowa do kwatery głównej naczelnego wodza do Mohylewa nad Dnieprem.

Już w parę godzin po przybyciu zorientowałem się, że Korniłow kończy przygotowania do marszu na stolicę. Innego mniemania był wojenny komisarz Kwatery Głównej, czyli oko i ucho i ręka Kiereńskiego przy naczelnym dowództwie, Włodzimierz Stankiewicz. Kowieński szlachcic z dziada pradziada i urodzenia, Rosjanin i socjal-rewolucjonista z wyboru, docent uniwersytetu i idealista. Stankiewicz wybitnie nie nadawał się do żadnej roli w gorącyih wydarzeniach rewolucji. Zdecydowany przeciwnik bolszewików, wcale się nie czuł ich wrogiem. Był natomiast nieprzyjednanym wrogiem każdej reakcji, co było typowe dla ówczesnej rosyjskiej inteligencji rewolucyjnej. Odniosłem wrażenie, które zresztą potwierdzali inni, że Stankiewicz był przekonany, że wódz naczelny i premier przygotowują się zgodnie do ukrócenia szkodliwych wpływów partii Lenina na bieg spraw rewolucji. Przy czym Stankiewicz zastrzegał się przeciw zbyt ostrym środkom prewencyjnym przeciw bolszewikom, jako kolidującym z jego idealistycznym pojmowaniem wolności i obsesyjnym strachem przed kontrrewolucją.

Zgoła inaczej oceniał przygotowania naczelnego wodza zastępca Stankiewicza, bystry i zdolny porucznik rezerwy Fiłonienko. Według mojej oceny szczery a ukryty kontrrewolucjonista, był całą duszą po stronie prawdziwych zamiarów Korniłowa, może nawet bliżej i bardziej w nie wtajemniczony niż Sawinkow. Lecz ponieważ z charakteru i typu swojej niezależnej inteligencji nie nadawał się na bezwzględnie oddanego sojusznika, więc w okresie przygotowań do marszu na stolicę był przede wszystkim uważnym obserwa-

torem i graczem, pilnie zaglądającym w karty nie tyle swoim przeciwnikom co partnerom. Gdy w ciągu ostatnich dni i godzin przed wybuchem „buntu" nabrał przekonania, że zamach naczelnego wodza nie może się udać, Filonienko zmienił swój kurs o 180 stopni. Jak stary ćwik przed naciskającą sforą gończych dokonał wolty i na przedpolu stolicy bez wielkiego wysiłku unieszkodliwił rzekomo kontrrewolucyjne pułki Korniłowa. W rzeczywistości był to sołdacki motłoch, zbolszewiczały jak cała ówczesna armia rosyjska.

Kiereński twierdził, że Korniłow jako naczelny wódz nadużył zaufania jego i rządu, realizując wojskowy bunt, którego cele były na zewnątrz patriotyczne i republikańskie, zaś w istocie na wskroś kontrrewolucyjne i antydemokratyczne. Korniłow natomiast i Sawinkow stwierdzali, że Kiereński był dokładnie powiadomiony o zamiarach naczelnego wodza wojskowej demonstracji w celu wyzwolenia rządu i republiki od destrukcyjnych wpływów bolszewików i Petersburskiego Sowdepu, tej ekspozytury demagogii i anarchii w wojsku, wśród proletariatu i nieuświadomionych mas chłopskich. Według ich świadectwa premier początkowo zaaprobował przedsiębrane środki, lecz w ostatniej chwili przeraził się i zamiast poprzeć swoim autorytetem zbrojne wystąpienie przeciw anarchii i bolszewickiej subwersji, uczynił wszystko, by generalski „bunt" stłumić. I rzeczywiście stłumił go w ciągu kilkunastu godzin, pozostawiając w ręku Lenina i towarzyszy nabitą broń, wycelowaną przede wszystkim w siebie, w swój rząd i w demokratyczną republikę rosyjską.

W późniejszym czasie Kiereński ukuł historyczny slogan, który brzmiał efektownie dla wszystkich obcych i dalekich od terenu wydarzeń, a nie mógł przekonać nikogo, kto je z bliska widział, że „gdyby nie było buntu Korniłowa w sierpniu, nie nastąpiłoby powstanie bolszewików w październiku".

Kiereńskiemu można odpowiedzieć, że gdyby stłumienie powstania bolszewików w lipcu było rozumnie wykorzystane dla obrony i wzmocnienia demokratycznego ustroju, nie byłoby buntu Korniłowa w sierpniu. Przy tym Kiereński niesłusznie odmawia bolszewikom polityczno-ideowego programu i dynamizmu w dążeniu do przechwycenia władzy.

Korniłow i Sawinkow zeszli z tego świata przekonani, że gdyby Kiereński nie rzucił swego osobistego i urzędowego autorytetu pod nogi marszu na Petersburg, anarchia zostałaby ukrócona, partia bolszewicka zmieciona, Petersburski Sowdep, jako trybuna bezkarnej demagogii i nadrzędny organ sabotażu, przestałby istnieć. Jako świadek wydarzeń mam powody przypuszczać p r a w i e tak samo jak Sawinkow i Korniłow. Moje zastrzeżenia dotyczą dalszych perspektyw. Jeśli w tym czasie ci dwaj zgodnie demonstrowali przekonanie, że ratują demokrację razem z Kiereńskim, to przecież z powodzenia takiej akcji militarnej musiałyby wyniknąć i inne polityczne konsekwencje. Prawdopodobnie doszłoby do zlikwidowania rządu Kiereńskiego i tej demokracji, którą reprezentował, to znaczy socjalistycznej. Z tym nie mógłby się zgodzić Sawinkow, socjalista-rewolucjonista. Wprawdzie w tym okresie niewiele goy już wiązało z własnym obozem, ślepym na niebezpieczeństwo rozkładu wojska i państwa, wszakże musiał sobie zdawać sprawę w jakim kierunku i w jakiej skali zwycięstwo generała wpłynęłoby na los rosyjskiej rewolucji i jego własny.

Korniłow bowiem, chociaż chłop z pochodzenia i przeciwnik Mikołaja II, całkowicie solidaryzował się z rosyjską liberalną demokracją, zdecydowanie wrogą socjalizmowi, zwłaszcza w wydaniu rosyjskich inteligenckich utopistów. Więc nie tylko można było się spodziewać, ale wręcz uważać za nieunikniony konflikt między Korniłowem a Sawinkowem, dwoma mocnymi indywidualnościami, z których jeden był socjalistą, a drugi zaliczał tych socjalistów do takich samych wrogów swojej ojczyzny i demokracji, jak bolszewicy.

Nie ma powodów przypuszczać, że Kiereński tego nie rozumiał.*)

  

*) Po upływie pół wieku Kiereński zrozumiał jednak i co innego. W r. 1967 na zapytanie korespondenta „US News and World Report", który z nim robił wywiad z okazji 50-lecia rewolucji lutowej, „czy było coś takiego, co można byłoby zrobić, a czego Pan zaniechał, dla ratowania demokracji w Rosji?" Kiereński odpowiedział: „Popełniłem błąd w odniesieniu do rokoszu Korniłowa". (przyp. wyd.)

Nim się to wszystko stało i nie stało, pozostawiając pole dla li-tylko spekulatywnych dociekań, dowiedziałem się od Korniłowa, że zostałem wezwany do kwatery głównej, by objąć stanowisko politycznego komisarza przy gen Wranglu, desygnowanym pierwotnie na operacyjnego dowódcę rebelii. Że jednak gen. Wrangel mną pogardzał jako prezesem rewolucyjnego komitetu i moją kandydaturę z oburzeniem odrzucił, nie pozostawało mi nic innego niż zadeklarować, że mimo adoracji dla cnót rycerskich generała barona tak dalece nie doceniam jego politycznych kwalifikacji, że sam musiałbym się uchylić od zaszczytu tej nominacji. Dyskontując moje przywileje u Korniłowa, mego wczorajszego dowódcy armii, zaryzykowałem wyłuszczenie wątpliwości, czy gen. Wrangel jako dowódca operacji o wybitnie politycznym charakterze okazałby się na wysokości zadania. Rozmowa odbyła się w obecności Sawinkowa. Korniłow nic mi nie odpowiedział, tylko wymienił z nim porozumiewawcze spojrzenie i posłuchanie zakończył.

Od gen Romanowskiego, mojego dobrego znajomego z 8 Armii, a obecnie generała-kwatermistrza naczelnego dowództwa, dowiedziałem się, że wojska przeznaczone do operacji są już w wagonach.

Gdy następnie spotkałem Sawinkowa, zapytałem go uszczypliwie, czy pułki tych dywizji, które mają maszerować na stolicę są odpowiednio wyselekcjonowane z masy zbolszewiczałego wojska i kto decydował o wyborze oddziałów. Gen. Romanowski, oddany Korniłowowi, czy też głównodowodzący Północnego Frontu, gen. Czeremisow? Który, o ile mi wiadomo, ma swoje własne i różne od korniłowskich widzimisię i cele.

Moje wątpliwości Sawinkow uznał za usprawiedliwione. Rychło też dowiedzieliśmy się, że żadna selekcja i przygotowanie nie miały miejsca, podobno z powodu pośpiechu. Że gen. Czeremisow (czytaj: jego kwatermistrz gen. Baranowskij, szwagier, czy krewny Kiereńskiego) wysłał do dyspozycji naczelnego dowództwa pierwsze z brzegu dywizje, wcale się nie interesując stopniem ich użyteczności. Czyli nikomu ze starych carskich sztabowców nie przyszło do głowy, że dwie

dywizje i pułki jazdy zarażone rewolucyjną psychozą są mniej warte niż batalion umiejętnie przygotowanych żołnierzy, których z piętnastomilionowej armii nie trudno było wybrać i urobić.

Moje uwagi zastanowiły Sawinkowa, który ponuro się zamyślił, jakby zapadł w sobie, żeby po chwili powiedzieć z rezygnacją: „Korniłow jest jeden, generałów wielu, i każdy z nich co innego myśli, albo nie myśli wcale, kontentując się nienawiścią do rewolucji i pogardą do rewolucjonistów. Może wielu pogardza i Korniłowem. On to przecie w imieniu rewolucji aresztował ich najjaśniejszą panią i rodzinę cara .. Niewątpliwie ma pan rację, obawiając się ich generalskiej złej woli Byłoby tragiczne, albo tragikomiczne, gdyby ci ludzie planowali swoją kontrrewolucję w oparciu o zrewoltowanych i nawpół zbolszewiczałych żołnierzy. No, ale Korniłow nie ma już wyboru. My zapewne też. Zobaczymy" — zakończył Sawinkow chmurnie, a zasępił się jeszcze bardziej, gdy mu powiedziałem, że moim zdaniem, nic z tego zamachu prócz kompromitacji nie wyjdzie. Nie mogłem się przy tym oprzeć pokusie rewanżu za nominację, której nie przyjąłem, do „specjalnej" armii. Opowiedziałem mu, że my w 8 Armii już nie od dziś przygotowujemy elitarną grupę wojska, i nie małego wojska, bo cały korpus w składzie trzech dywizji, i jesteśmy pewni, że gdy te wojska będą potrzebne — nas one nie zawiodą. Widząc zainteresowanie Sawinkowa, wyłożyłem, jak immunizujemy chłopski rozum i wrażliwość na propagandę, obiecującą socjalistyczny czy bolszewicki raj, jak jednocześnie stwarzamy w miarę możności warunki zwykłego sołdackiego dobrobytu, i kusimy małym rajem w najbliższej przyszłości, perspektywą garnizonu stolicy, którą może wypadnie nam zająć rewolucyjnie i demokratycznie. Scharakteryzowałem generałów Bazarewskiego i Szyllinga oraz szereg oficerów, z którymi pracujemy zgodnie w wysiłku stworzenia zdyscyplinowanej republikańskiej i demokratycznej jednostki.

Sawinkow jakby ożył. W przypływie dobrego humoru nie omieszkał, swoim zwyczajem, mnie ukąsić. „Ależ z pana

kowarnyj)* rewolucjonista". Niezwłocznie podyktował depesze do sztabu 8 Armii, do Ministerstwa i do Petersburskiego Sowdepu o zamianowaniu mnie wojennym komisarzem Tymczasowego Rządu w 8 Armii.

---

*) Chytry, przebiegły.

ODJAZD DO PETERSBURGA

Korniłow w otoczeniu wyższych oficerów sztabu żegnał ministra Sawinkowa na dworcu kolejowym, jakby podkreślając jednomyślność jutrzejszego zamachu z przedstawicielem rządu i słynnym rewolucjonistą w jednej osobie. Może w celu rozładowania zbyt wysokiego napięcia historycznej chwili Korniłow, ściskając moją dłoń na pożegnanie, pochylił się ku mnie i szczerząc tekińskie kły, szepnął znacząco:

— Do widzenia, lecz proszę pamiętać, że jeśli złowię pana po drugiej stronie barykady... każę powiesić.

Pochyliłem z szacunkiem głowę i odpowiedziałem w tej samej tonacji:

— Dziękuję, lecz jeśli ja złowię pana generała wśród kontrrewolucjonistów, to ukryję od socjalistów i zaproszę na *czaszku czaju*.

Korniłow ryknął śmiechem. Sawinkow i panowie świta ze zdziwieniem popatrywali to na Korniłowa, to na mnie, ciekawi co wywołało tak niezwykłą wesołość u raczej ponurego zazwyczaj generalissimusa.

★ ★ ★

Wagon ministra, mała stara salonka, został doczepiony do innego pośpiesznego pociągu.

Prócz Sawinkowa, Burcewa, dwóch służbowych oficerów i mnie, nikogo więcej nie było, więc każdy z nas miał swój przedział i miłą perspektywę samotności i wypoczynku. Po niezmiernie emocjonujących dniach najpierw w Moskwie, później w Mohylewie, gdzie się dosmażała „ruska kasza" jutrzejszejszego politycznego poczęstunku, chciało się uporządkować myśli, skontrolować je na zimno, bez przeczuć i metafizyki, zważyć szanse zamierzenia, czy szanse na cud wprowadzenia ładu do rewolucyjnej zawieruchy.

Ale zmęczenie zwyciężało. Już dobroczynny sen zaczynał przyćmiewać ostrość wrażeń, jeszcze bardziej plątać myśli i łagodzić konflikt pesymizmu z optymizmem, gdy naraz się ocknąłem, przywołany do przytomności niezwykłym i niepokojącym rzucaniem wagonu, bliskim wykolejenia. Pociąg mknął prawdziwie po kuriersku. Spojrzałem przez okno: kilka ciężkich pulmanów na przodzie toczyło się równo i posuwiście, podczas gdy nasz ostatni wagon chwiał się na boki, jakby nim zamiatano tory. Zrobiło mi się głupio, gdyż nie wiadomo, czego się było spodziewać w najbliższej sekundzie. Wyszedłem z przedziału, a raczej wylawirowałem wśród pijanego zataczania się wozu, i trafiłem na scenę, która wraziła mi się w pamięć, jako charakterystyczna dla Sawinkowa.

Jego adiutant, rtm Kuzmin Karawajew, usiłując przekrzyczyć hałasy dygocącego wagonu, wołał w uszy ministra, że to oczywiście i niewątpliwie jest zamach na jego życie i — nie czekając na reakcję Sawinkowa — rzucił się ku hamulcowi. Zanim jednak zdążył zerwać plomby, Sawinkow wrzasnął aż rotmistrz przysiadł: — Nie ruszać!! — A ja pomyślałem, że Sawinkow znowu igra z losem... Nadbiegł wreszcie zawezwany starszy konduktor i zapewnił, że wagonowi nic nie grozi, że to „już z nim tak zawsze, zanim się nie rozchodzi" I rzeczywiście wagon spokorniał, i wszystko wróciło do stanu normalnego.

Tylko ja nie wróciłem do rozpoczętego snu. Sawinkow zaprosił mnie na rozmowę.

Przegadaliśmy z sobą parę setek kilometrów, zbliżając się do siebie z dość daleka Głównym tematem były oczywiście wojna i rewolucja Sawinkow zadawał treściwe i rozumne pytania, sprawdzał u mnie swoje obserwacje i wnioski, współczuł z tragedią rosyjskiego oficerstwa, starał się przeniknąć psychikę żołnierskich mas, w jednej tylko sprawie nie spytał o moją opinię, w tej najważniejszej: o wojnę „do zwycięskiego końca" Zaryzykowałem niepytany wyrazić moje najgłębsze przekonanie, że sterować rewolucją ku demokracji pod prąd anarchii i jednocześnie prowadzić wojnę do zwycięskiego końca nie potrafi ani żaden Korniłow, ani żaden Kie-

reński, ani oni obaj razem. Sawinkow wysłuchał mnie cierpliwie, pomilczał, wreszcie o ton zimniej powiedział: — Być może ma pan rację, ale nie wolno o tym myśleć i mówić.

(Nie próbowałem o tym mówić z nikim, aż dopiero w kilka tygodni później, zapytany o to urzędowo prze następnego ministra wojny, gen Wierchowskiego, kategorycznie odpowiedziałem na klawiszach Huguesa, że jedynym, chociaż spóźnionym, środkiem dla stłumienia anarchii w wojsku może być tylko natychmiastowy pokój, z dziś na jutro, za każdą cenę, która wypadnie i tak, moim zdaniem, najtańsza dla ratowania demokratycznej rewolucji.)

W jakiejś chwili wszedł do przedziału Burcew, którego mało znałem, i z miejsca stał się nieobecnym. Ponury, milczący, pogrążony w myślach. Wiedziałem, że był zawziętym rewolucjonistą, więzionym przez rząd cara, zsyłanym na Syberię, później wieloletnim emigrantem. Po rewolucji marcowej*) stał się, jak Sawinkow, bardziej patriotą niż rewolucjonistą, znienawidził bolszewików, i już do końca życia — znowu na emigracji — miał gromadzić materiały, oskarżające ich o zdradę i kolaborację z niemieckim sztabem generalnym.

Sawinkow wyraził nadzieję, że zdoła przekonać rząd, iż oskarżenie bolszewików przed trybunałem będzie najskuteczniejszym uderzeniem w leninowską partię. Dyskretnie pomyślałem, że w niedawnej przeszłości, w czasie rosyjsko-japońskiej wojny, „amerykańscy sympatycy rosyjskiej rewolucji" doręczyli partiom rewolucyjnym za pośrednictwem słynnego Ciliacusa milion złotych franków, z którego sto tysięcy zainkasowała bojowa organizacja partii S-R, socjal-rewolucjonistów. Nie wypadało mi oczywista zapytać Sawinkowa, czy on wie to co wszyscy wiedzieli, że mianowicie pieniądze nie pochodziły od „amerykańskich sympatyków".

Tak to się dziwnie plecie...

I zdarzyło się, że tym samym pociągiem jechał do Petersburga mój starszy brat Bronisław, dowódca którejś sy-

*) „Lutowej" wg starego stylu (przyp. wyd.)

beryjskiej dywizji strzelców, mój polityczny antagonista, i jak się wkrótce dowiedziałem, czynny członek kontrrewolucyjnej oficerskiej organizacji. Cel naszej podróży właściwie był wspólny. Mieliśmy obaj wystąpić w historycznym zamachu naczelnego wodza tylko w odmiennych rolach. Ja jako rewolucja, on — kontrrewolucja.

Bronisław był przeciwnikiem zawziętym. Z okna swojego wagonu widział nas wsiadających do pociągu, długo namyślał się nad taktyką naszego spotkania, wreszcie przysłał do mnie konduktora z kartką, bym się niezwłocznie stawił w jego wagonie. Trudno, starszy brat.

Tym razem Bronisław nie wdawał się w ideologiczne wstępy. Krótko zaproponował mi nie głupi a tajny *gentlemen's agreement*, brzmiący: „jeśli was będą wieszać, lub kupami rozstrzeliwać — ja ciebie ratuję, jeśli wy nas — ty mnie. Zgoda?".

Chociaż wiedziałem na pewno, że oni nas ani wieszać, ani rozstrzeliwać nie będą mieli okazji, musiałem dać starszemu bratu złudzenie honorowej ugody, więc z humorem przystałem na braterską reasekurację, ostrzegając jednak, by on i jego wspólnicy zachowali ostrożność ze wszelkiego rodzaju obciążającymi pozorami, jak broń i piśmienne rozkazy. Wyżsi dowódcy — kpiłem — mają zwyczaj zachowywać je „dla historii". a z tego ich interesu nie będzie żadnej historii, co najwyżej histeria zwycięzców nad nimi. Bronisław, który w roli setnika oficerskiej grupy stołecznej miał włączyć się do działań Korniłowa w celu nadania im kontrrewolucyjnego kierunku, najpierw się obraził, jednak przytomnie przyznał, że nic prócz dwóch skrzynek ręcznych granatów z sobą nie wiezie. Ponieważ miał stanąć w „Reginie" jak i ja, prosiłem, żeby swoje skrzynki natychmiast przesłał do mojego pokoju. Jak na zawziętego kontrrewolucjonistę zbyt może pochopnie na to się zgodził. Na tym stanęło.

— To znaczy, miły bracie, rodzinna jaworowska siuchta jest jak opoka, której nie zwyciężą żadne rewolucyjne i kontrrewolucyjne siły i ideologie.

Stwierdzenie przeze mnie tego amoralnego faktu zamiast pogrążyć nas w wyrzutach napełniło nasze serca tą samą i taką samą otuchą i znakomicie wpłynęło na nasze humory. Rosjanin powiedziałby: „Oto przykład prawdziwie polskiego *kowarstwa*".

KLĘSKA KORNIŁOWA

Powstanie, czyli tzw. w oficjalnej nomenklaturze „bunt" gen. Korniłowa, odbył się przepisowo po generalsku i po rosyjsku. Nawet znacznie mniej dramatycznie niż bunt gwardii w 1825 roku. Może zresztą przesadzam, kwalifikując nieudolność przygotowania i wykonania zamachu jako zjawisko typowo rosyjskie i generalskie. lecz tak mi ono się wtedy z bliska przedstawiało.

Moje obawy, wyrażone w rozmowie z Sawinkowem, co do wartości oddziałów przydzielonych na chybił trafił do tej politycznej operacji, sprawdziły się co do joty. Dołączył się do tego sabotaż kolejarzy. Pociągi z wojskiem Korniłowa były co kilka kilometrów zatrzymywane i przetrzymywane na rozmyślnie zatłaczanych torach, i najostrzejsze i doraźne represje komendantów eszelonów nic wskórać nie mogły wobec kreciej roboty fachowców. Transport kolejowy był w tym czasie już bolszewickim frontem. Nie sposób było posuwać się do celu, stosując terror. Trzeba by strzelać do każdego kierownika ruchu na oczach wojska, żeby jechać dalej. Żółwie tempo operacji, która miała poderwać swoim dynamizmem, widoczna dla każdego żołnierza bezsilność dowódców wobec oporu kolejarzy, do reszty zdemoralizowało wojsko. Wtedy to Fiłonienko, zastępca wysokiego komisarza rządu przy kwaterze głównej, widząc niemrawość generalskiego puczu, któremu jeszcze wczoraj sprzyjał, rzucił się z chmarą wyg wiecowych na czołowe korniłowskie oddziały tuż przed rogatkami stolicy i w ciągu paru godzin zlikwidował ich wątpliwy bojowy potencjał.

Kiereński zaś rzucił na stół gry swoją kartę, która w owym czasie była jeszcze atutem, nie tak jak w parę miesięcy później, w październiku, gdy już nie znaczyła nic. *Obrona demokratycznych zdobyczy rewolucji*. Ta

karta Kiereńskiego zapewne była niespodzianką dla Korniłowa, co też nie świadczyło dobrze o jego politycznym talencie przewidywania. Wśród radykalnego odłamu społeczeństwa podniesiono alarm. Socjaliści w przestrachu zmobilizowali wszystko co było pod ręką, to znaczy anarchiczny żywioł mas pod hasłem: Wszyscy do walki z szalonym generałem, który zdradził rewolucję! Brzmiało to już bardzo podobnie do bolszewickiego hasła: Wszyscy do walki z rządem, którego wódz naczelny jest zdrajcą rewolucji!.

Tymczasem likwidacja generalskiego powstania nastąpiła szybko i od strony wojskowej niemal na wesoło. Bataliony poszły do koszar, ciesząc się z tak obiecującego kwaterunku. Cała gra została zakończona bez wystrzału z wyjątkiem jednego. W gabinecie Kiereńskiego zastrzelił się gen. Krymow, wysłannik naczelnego wodza do premiera. Należy przypuszczać, że gen. Krymow istotnie zastrzelił się sam. To jeszcze był okres schyłkowego romantyzmu. Ale strzał w gabinecie Kiereńskiego dał początek plotce, że to oficerowie premiera zastrzelili zbyt gorąco argumentującego generała. W pewnych środowiskach ta plotka była na rękę Kiereńskiemu, gdyż nad postacią człowieka stale oskarżanego o miękkość na chwilę zapaliła aureolę rewolucyjnej surowości.

Nie broniący się i nie broniony przez nikogo poszedł do więzienia naczelny wódz rosyjskiej armii i najwybitniejsi jej generałowie: Denikin, Romanowski, Dragomirow, Łukomski, Markow i wielu innych. Bramy Bychowskiego więzienia zamknęły się za ofiarami własnej lekkomyślności i ignorancji w sztuce polityki i intrygi, niewątpliwie jednak najprzyzwoitszymi ludźmi i najlepszymi dowódcami, jakich armia posiadała. Przegrali dobrą sprawę i o to można ich winić. Cała kulturalna Rosja okryła się żałobą.

Nowe i pomyślne perspektywy otworzyły się natomiast przed bolszewikami, chociaż w zupełnie innym sensie, niż to opiewał slogan Kiereńskiego. Stłumienie Korniłowskiego powstania, które było podjęte w imię dobra demokracji i republiki, a zostało naświetlone zgodnie tak przez rząd jak przez bolszewików jako zbrodnia i zdrada, stało się usankcjonowaniem anarchii. W ten sposób każda próba ukrócenia

rozbestwionych, rozagitowanych mas skazana została na piętno kontrrewolucyjnej zdrady. Agitacja bolszewicka zaś umiejętnie podsycała masy do gwałtów i aktów zdziczenia. Bolszewicy do chwili zagarnięcia władzy i narzucenia żelaznego jarzma, ani słowem nie przypominali masom o jakichkolwiek obowiązkach obywatelskich, narodowych, żołnierskich, o jakiejkolwiek demokratycznej, republikańskiej czy socjalistycznej cnocie. Grab, ratuj, zabijaj bezkarnie — w popularyzacji tych haseł przejawiała się diabelska mądrość Lenina w oszukiwaniu pospólstwa „na danym etapie".

Cóż pozostawało więc „na danym etapie"? Z obowiązku świadka ówczesnych wydarzeń odważam się twierdzić, że być może tylko przywrócenie monarchii z jednoczesną reformą rolną mogłoby skutecznie przedziwdziałać bolszewizmowi. Postać ludowego i sprawiedliwego cara miała o wiele większe szanse uśmierzenia rozhuśtanych mas, niż korniłowska republika, oficersko-ziemiańska kontrrewolucja, nie mówiąc o demokracji Kiereńskiego, której w decydującej chwili nie bronił nikt prócz paru setek kobiet w mundurach i chłopców ze szkół wojskowych. Ale zabrakło odważnego kandydata na tron, i nikt nie zdobył się na jedyne zbawcze w wytworzonej sytuacji hasło: Władza — carowi, ziemia — chłopom. I ... rokowania pokojowe.

Na poparcie mojego świadectwa przytoczę niezwykłą wypowiedź, bo pochodzi od człowieka, który walce z caratem poświęcił całą młodość i wiek męski, znaczną fortunę, osobiste ludzkie szczęście. Który przeszedł pod carską szubienicą, był eserowskim terrorystą, był więźniem i wygnańcem, jednym z przywódców partii socjalistów-rewolucjonistów, lecz że był typowym rosyjskim inteligentem, miał odwagę ogłosić przy końcu swego życia poglądy całkowicie sprzeczne z tymi, dla których całe życie ponosił ofiary. A także całkowicie przeciwstawne tym, które zaczęły wchodzić w modę w świecie, w jakim się znalazł. Mówię o Ilji Bunakow Fondaminskim. Znałem go i ceniłem jako człowieka o wybitnej inteligencji i nieposzlakowanej etyce. Otóż w styczniu 1929 r. na zebraniu socjal-rewolucjonistów w Paryżu naj-

starszy wiekiem Bunakow Fondaminski wygłosił referat o rewolucji Marcowej 1917 r., w którym m.in. powiedział:

„Moskiewska państwowość opierała się nie na sile i nie na ujarzmieniu ludu przez władzę, lecz na oddaniu i miłości tego ludu do nosiciela tej władzy. Zachodnie republiki opierają się na uznaniu przez lud, ale żadna republika na świecie nie była tak bez zastrzeżeń uznana przez swój naród, jak samodzierżawna moskiewska monarchia. Lewicowe partie przedstawiały carską władzę, jak obecnie przedstawiają bolszewicką. Ja, stary bojowy terrorysta, mówię, że to było kłamstwo. Samodzierżawie nie było gwałtem, jego podstawą była miłość ludu. Przecie Rosja jest państwem Wschodu. Monarchia była teokracją, car pomazańcem Bożym".

(„Dwugławyj Orioł" z dn. 29.II.1929)

MOJE KOMISARSKIE URZĘDOWANIA

Wróciłem do 8 Armii, promowany na wojennego komisarza rządu.

W tym czasie na skutek cofnięcia się frontu Czerniowce zostały ewakuowane, a sztab armii przeniósł się do Mohylewa nad Dniestrem.

W moim osobistym życiu doznałem więc znów bolesnej straty, jednej z tych, których osobliwością jest okrutny ból rozstania, co się cudownie zagaja w kolorowy romans wspomnień.

Podziwiam i bardzo szanuję tych wszystkich, którym problematy ideologiczne i sprawy publiczne przesłaniają osobiste, ale im nie bardzo wierzę. Może to epoka spod znaku uspołecznienia i publicystyki sprawia, że tak mówią i piszą, lecz czy nie myślą i czują tak samo jak ja, zwykły i normalny żywy człowiek? Co do mnie, nigdy w tej materii nie okłamywałem siebie, może innych — lecz powściągliwie Bo dla mnie cały obszar życia razem ze wszystkimi sprawami kosmosu, ludzkości, narodu, społeczności i mojej gminy jest wyraźnie i egoistycznie podporządkowany hierarchii spraw osobistych, własnych, oczywiście pod kontrolą przyzwoitości, którą można nazwać etyką. Tak i wtedy. Nosiłem po Czerniowcach serdeczną żałobę nie z powodu złego obrotu spraw rewolucji i wojny, gdyż cień bliższej żałoby przesłonił mi najjaskrawsze widoki i rewolucji i wojny.

W Mohylewie nad Dniestrem nastał dla mnie najcięższy okres. Podporządkowana mi sieć komisarska armii, rewolucyjny nowotwór, była niewątpliwie raczej złośliwym dziwolągiem. A jednak, gdy dziś z perspektywy dalekiej przypominam tamte czasy, mogę powiedzieć, że wśród moich to-

warzyszy „deputatów" było wielu uczciwych, rozsądnych, a przede wszystkim odważnych ludzi.

Moje komisarskie urzędowanie polegało z jednej strony na codziennej walce z sabotażem dowództwa i elementów reakcyjnych, z drugiej zaś — na codziennym przeciwdziałaniu zarazie anarchii. Wbrew wszystkim przedrewolucyjnym spodziewaniom na twórczą pracę w imię wolności, równości i braterstwa nie było ani miejsca ani czasu. Raczej ciągłe manewrowanie i skromne zadowolenie ze skromnych wyników. Nie poczuwam się do żadnych zasług, gdyż nie jestem Rosjaninem, jednak nie mogę przemilczeć faktu, że w ówczesnych warunkach udało nam się zorganizować w 8 Armii korpus dobrego wojska w składzie trzech wypróbowanych dywizji. A jakie to były warunki zilustruję na przykładach.

Któregoś dnia gen. Bazarewski, kwatermistrz sztabu 8 Armii, omawiając ze mną sytuację w poszczególnych oddziałach, mimochodem nadmienił, że gdybym mógł się wybrać do paru najgorszych pułków pewnej przyfrontowej dywizji, to może udałoby mi się spacyfikować stan prawie otwartej wojny między oficerami a żołnierzami. Ponieważ miał do naszej armii przyjechać Sawinkow, jeszcze wówczas minister spraw wojskowych, przeczekałem parę dni, po czym wybraliśmy się we dwójkę w odwiedziny do owych „zakażonych" pułków.

W tym czasie na froncie panowała całkiem pokojowa cisza. Na całego odbywało się bratanie z niemieckimi żołnierzami. Z tamtej strony oczywiście za wiedzą i z instrukcjami wywiadowczymi niemieckiego dowództwa, z naszej — spontaniczne i ideologiczne. I oto raz rosyjscy panowie oficerowie postanowili owo bratanie się wykorzystać dla... urządzenia sobie zabawy kosztem rewolucji. Towarzysze z dywizyjnego komitetu ostrzegali nas, że w tym celu oficerowie niemieckiej baterii zostali powiadomieni przez „bratających się" o naszym przybyciu. I rzeczywiście: gdy nasze dwa auta wjechały w zonę obstrzału, zawyły i zatrzeszczały nad nami szrapnele, zresztą niecelne, zapewne wskutek szybkiej jazdy w kierunku strzałów. Lecz przykre musiało być zdziwienie wesołków, gdy bateria już z własnej nieprzyjaciel-

skiej inicjatywy po pewnym czasie ostrzelała kilkutysięczny wiec. Obstrzał trwał krótko. Zauważyłem, że ze strony oficerów bardziej obserwowano nas podczas jego trwania, niż słuchano co mówiliśmy do zbałamuconych żołnierzy. W pewnej chwili spostrzegłem, że jestem obserwowany także przez Sawinkowa. W momencie nasilenia gwizdów i trzasków nad naszymi głowami zaproponował mi papierosa, zapytując czy mam zapałki. Może bym nie potrafił opanować lekkiego drżenia ręki, gdybym w przelocie nie zauważył drwiących i badawczych spojrzeń starego terrorysty i zawodowego gracza ze śmiercią. Złym ruchem twardej ręki podsunąłem pod papierosa Sawinkowa płonącą zapałkę. Ambicja jest też emocją dostatecznie silną, by pokonać wrażliwość nerwów na szrapnele... Sawinkow, zapalając papierosa dłużej niż trzeba, powściągliwie się uśmiechnął. W parę miesięcy później powiedział mi ze śmiechem, że obserwował wtedy u mnie i docenił „refleksy szlacheckiego honoru".

Szkoda, że to wystawienie nas na próbę opłacone zostało kalectwem kilku zranionych żołnierzy.

Po wiecu, na którym zapadły prawomyślne rezolucje, dowódca pułku w imieniu panów oficerów zaprosił nas na „skromne żołnierskie śniadanie". Wódka i nienajgorsza zakąska inspiruje wzajemną życzliwość, więc i tym razem jedzono i pito w atmosferze coraz serdeczniejszej plemiennej i tradycyjnej gościnności, aż dowódca pułku, młody i sympatyczny kapitan, zwracając się do „Pana Ministra" wzniósł toast „za zdrowie naszych miłych gości". Brzmiało to dość paradoksalnie wobec niedawnej artyleryjskiej szykany, ale nie było wątpliwości, że toast pochodził już z innego planu, ze szczerego i wcale nie politycznego serca.

Sawinkow, jakby tylko na to czekał, by wystąpić z krótkim przemówieniem na cześć „bohaterskich oficerów naszej armii, najwierniejszych obrońców ojczyzny i jej honoru". Mówił, jak bardzo dobrze rozumie ich obecną ciężką sytuację, jak współczuje i ocenia ich martyrologię, obiecywał, że uczyni wszystko, aby w republikańskim prawodawstwie oficerowie odzyskali należne im miejsce i szacunek, na jaki zasługują

jako prawdziwi rycerze, ofiarni obrońcy „najdroższego i wspólnego nam skarbu, jakim jest ojczyzna".

Gdy skończył wezwaniem „w wasze ręce, panowie!", zapanowało uniesienie.

Sawinkow umiał mówić. Bardzo rzadko podnosił głos, i często używał niesamowitego szeptu, jaki niewątpliwie był dziełem sztuki, jednak zawsze wydawał się pochodzić ze wzruszenia. To co mówił działało najpierw na wrażliwość słuchaczów, budząc żywy oddźwięk uczuciowy, by rzeczowy stawał się tym bardziej przekonywujący. Młodzi reakcjoniści ze zdziwieniem słyszeli od rewolucyjnego ministra słowa, których się nie spodziewali. Zamiast oczekiwanych nawoływań do „pogłębiania rewolucji i demokracji" — „rycerze, obrońcy ojczyzny, bohaterowie."...

Kilku starszych popuściło łezkę.

Sawinkow wówczas z głupia frant zapytał, czy Niemcy często niepokoją strzelaniną, tak jak dziś?

— Ależ gdzież tam — padła odpowiedź młodego praporszczyka. — Po co mają sobie psuć bratanie!...

Dopiero teraz nastąpiła lekka konsternacja. Dowódca pułku i kilku oficerów połapało się najwidoczniej w intencji zapytania Sawinkowa. Pospuszczali głowy i miało się wrażenie, że żałują swego konceptu napędzenia strachu rewolucjonistom za skórę, który stał się huligańskim wybrykiem.

* * *

W rezerwie 8 Armii daleko od pozycji stały dwie dywizje piechoty, całkowicie zdemoralizowane i rozbestwione w takim pijaństwie, o jakim normalni ludzie nie mają wyobrażenia. W Sorokach, w Bielicy i we wszystkich mniejszych miasteczkach, gdzie znajdowały się składy spirytusu, żołnierze i miejscowa ludność rozbijała je, by pić, pić, pić na umór. Częste wypadki śmierci nie tylko nie pobudzały do opamiętania, przeciwnie podniecały do powszechnego zatracenia się w bachicznym uniesieniu. Pito z butelek, z wiader, z dojnic, sam widziałem babę, która piła z lewatywy, zaś tam gdzie przy rozbijaniu składów spirytus płynął rynsztokami, pito z rynsztoków i kałuż, czerpano ze zlewów, wyrywano sobie z rąk każde naczynie, walczono na pięści

i drągi, byle pić i pić na umór, na śmierć. Pili wszyscy, starzy, młodzi, kobiety, dzieci, nawet świnie na rynku miasteczkowym siorpały płynącą ciecz. Upijano się masowo, chorowano tysiącami, dziesiątki umierały w męczarniach, reszta patrząc nieprzytomnym wzrokiem na chorych i umierających połykała ognistą śmierć, żeby za chwilę paść w konwulsjach lub śmiertelnym porażeniu.

Jak pożar stepu szerzyła się plaga, coraz bardziej zbliżając do frontu, zarażając i bez tego już chore okopy wojny, zaniepokojone i podniecone słuchami o płynących rzekach spirytusu. I wydawało się, że nie ma siły, aby ten pożar ugasić.

A jednak taka siła istniała. Były nią, przygotowane w innym, politycznym celu, wyborowe republikańskie wojska, o których mówiłem Sawinkowi.

Trzy pułki 65 dywizji XVII Korpusu wyprowadzono z okopów, zachęcono moją obietnicą wysokiej i kuszącej nagrody (Petersburg) i rzucono na karną rozprawę przeciwko rozpełzłym pijanym kupom, pozbawionym opieki oficerów, których wpierw żołnierskim samosądem uwięziono. Pijane gromady włóczyły się po wsiach i miasteczkach, karabiny i rynsztunek wojenny zwalony na kupy piętrzył się na placach i w ogrodach miejskich, czy wygonach wiejskich, jak opałowe drzewo, a dokoła odbywały się bachiczne uczty, gdy po rowach i wśród krzaków dziko rżała wolna miłość.

Widok tego „nieprzyjaciela" nie wzbudził w naszych żołnierzach ani współczucia, ani rewolucyjnej i klasowej solidarności. Karna ekspedycja dokonała się szybko i nadspodziewanie sprawnie. Niestety, było dość dużo strzelania, w wiele wypadkach skutecznego, co dowodzi, że nasi żołnierze w powietrze nie strzelali. Wszystkie ośrodki zarazy zostały opanowane, pijane zgraje doprowadzone do przytomności i jakiegoś porządku, zaś ostatnie składy spirytusu jakimś cudem jeszcze nie tknięte — doszczętnie zniszczone. Nie obeszło się bez pożarów i ofiar ludzkich w płonących chatach. Oficerowie zostali zwolnieni z aresztów, sporo natomiast żołnierzy przytrzymano do sądu. Otrzeźwionych powołano do okopów, zaś pacyfikacyjnym pułkom rozdano spo-

re ilości wódki i pozostawiono w rezerwie dla przyszłych celów sanacyjnych już w skali państwowej.

Awantury na tyłach armii ustały, jakby je wicher zmiótł. Przez pewien czas, niestety, niezbyt długi, miało się wrażenie, że okręgi wczorajszego szału zostały całkowicie opanowane duchem staroreżymnej dyscypliny. Oczywiści — były to tylko złudzenia. Ognisko zarazy było gdzie indziej i jej chorobotwórczym bakteriom nie mogła przeciwdziałać mała inicjatywa o charakterze lokalnym.

— W 8 Armii kontrrewolucja już się właściwie dokonała — skonstatował z tragiczną nutą w głosie pewien mój dobry znajomy, duchowy wnuk hetero-socjalistycznej „babuszki rosyjskiej rewilucji" Katarzyny Breszko-Breszkowskiej, stojącej na straży jej ideologicznej czystości. Strach przed kontrrewolucją oślepiał i zaślepiał nawet skądinąd inteligentnych i rozsądnych ludzi.

★ ★ ★

Korpus pod dowództwem gen. Wrangla stawał się z każdym dniem coraz bardziej niepokojącym terenem konfliktów między oficerami i żołnierzami, i powodem poważnych trosk w sztabie armii, ale głównie moich.

Wojenny komisarz korpusu raz po raz wzywał mnie do aparatu Huguesa i na jego klawiaturze wystukiwał swoje żaie i strachy. Oficerowie w zbrojnym pogotowiu, żołnierze takoż, wzajemne prowokacje i wygrażania, słowem konwulsje wariatów z odwiedzionymi spustami karabinów w ręku i z granatami za pasem. Komisarz korpusu nic nie mógł zdziałać, bo dowództwo traktowało go jako rewolucyjnego przybłędę i żadnej służbowej łączności z nim nie uznawało. A żołnierze odgrażali się, że jeśli sztab armii lub komisarz rządu nie zlikwidują prowokacji oficerów, to oni zlikwidują ich sami sposobem rewolucyjnym.

Po bezowocnych próbach porozumienia się z gen. Wranglem, który mną pogardzał, zażądałem od dowódcy 8 Armii usunięcia gen. Wrangla z dowództwa korpusu. Tegoż samego dnia odjechał on do Kijowa, do rezerwy okręgu, po czym oficerowie jakby nieco oprzytomnieli. Po pewnym czasie sytuacja w korpusie została jakby zaklajstrowana.

Inaczej nie umiałbym tego określić, gdyż poprzednia dekompozycja była zbyt głęboka.

* * *

Nazywała się Jewgienia Bosz. Była młoda, niezmiernie efektowna, i była jednocześnie wyjątkowo dynamiczną agentką bolszewicką. Poza tym pozbawiona wszelkich moralnych hamulców awanturnica, poświęcająca chętnie swoje niepospolite wdzięki służbie dla leninowskiej doktryny. W tym czasie gdy panom socjalistom spędzało sen z oczu widmo kontrrewolucji, bolszewicka propaganda i prowokacja miała jeden cel na oku: kompromitowanie w oczach mas wszystkich demokratycznych partii z rządem republiki na czele.

Z Jewgienią Bosz kooperowali dwaj porucznicy, partyjni bolszewicy, a zdaniem moich towarzyszy członkowie monarchicznej organizacji, działający dywersyjnie w obozie bolszewickim ku zgubie obozu rządowego i ku chwale jego cesarskiej mości. Nie pamiętam ich nazwisk. chociaż zaleli mi za skórę więcej niż dziesięciu Wranglów. Ta trójka narobiła wiele szkód i rychło przekroczyła granice mojej cierpliwości. Sztab armii przez kurtuazję dla mnie, a w rzeczywistości bardziej ku swojej wygodzie, nie przedsiębrał żadnych kroków. Postanowiłem w porozumieniu z moim przyjacielem, prezesem rewkomu Nietosinem i dowódcą naszej specjalnej szturmowej drużyny aresztować całą trójkę, poruczników oskarżyć o dezercję a ponadto wszystkich troje o działalność na szkodę armii.

Pani Bosz umknęła, uprzedzona przez któregoś z amantów, wśród których byli i nasi ludzie. Poruczników osadzono w miejskim więzieniu.

Jak na nieszczęście rozchorowałem się na ostry *colitis*. Lekarz sztabowy twierdził, że zostałem podtruty, co nie było nieprawdopodobne, gdyż córka właściciela domu, w którym wynajmowałem pokój, była burżuazyjną sympatyczką bolszewików i przyjaciółką Bosz. I oto któregoś dnia odbieram telefon od Nietiosina, że tłum żołnierzy szturmuje więzienie w celu odbicia bolszewickich poruczników. A moich pomocników akurat w mieście nie ma.

Zwlokłem się więc z łóżka w zamiarze udania się do ko-

szar naszych szturmowców, by na ich czele wjechać na karki awanturników. Po chwili jednak zrobiło mi się wstyd, że się boję. W tym czasie byłem głupio zarozumiały co do wagi mego osobistego autorytetu. Zawezwałem auto i pojechałem sam.

Gdy mój otwarty wóz wjechał na dziedziniec więzienny i przepychał się przez gęsty tłum, na chwilę ustały wrzaski i przeleciało szeleszczącą falą: „*Kamisar... kamisar...*". Ale zaraz z dalekich szeregów przejęto inicjatywę:

— *Otwori tiurmu!*

— Jeśli nie zwolnisz, sami zwolnimy naszych towarzyszy!

— *Won z komisarom!*

Chociaż były to na razie pojedyncze krzyki, czuć było wyraźne solidaryzowanie się z nimi całego tłumu, już przed tym zagitowanego. Jewgienia Bosz wiedziała, co trzeba robić i jak robić. Jej instruktorzy byli w tłumie.

Stanąłem oparty plecami o więzienne drzwi i próbowałem mówić. Obok mnie trząsł się więzienny strażnik, któremu przed pół godziną wyłamano zewnętrzną bramę. Czułem się fatalnie fizycznie i psychicznie.

— Precz!... Won!!... Dosyć!!! — rozległo się po moich pierwszych zdaniach, tłum jednak ich nie poparł masowo, przeciwnie okrzykom agitatorów wtórowały głosy zniecierpliwienia: — Dajcie mówić komisarzowi!

Tymczasem jednak z tyłu tak zaczęto napierać na stojących przede mną, że rozumiałem: jeszcze chwila, a wywalą drzwi razem ze mną.

Lecz właśnie w tej chwili od wjazdowej bramy powiało jakimś zamieszaniem, i naraz zagrzmiał czyjś potężny ryk, a przez tłum zaczął się przepychać olbrzym z dwoma rewolwerami w uniesionych rękach.

— *Razojdiś, swołocz!...*

To Paradowski.

Niesiony wewnętrzną burzą, sam jeden, w żołnierskiej bluzie rozchełstanej na piersiach, wsparty swoją odeską hucpą i natchniony oburzeniem przyjaciela, sprawiał wrażenie nieprzytomnego i strasznego.

— *Wy mierzawcy!...* Do was przyjechał człowiek i to-

warzysz wkuć w wasze tępe łby zrozumienie, że jeśli nie będziecie szanować rewolucyjnego prawa, to jutro kontrrewolucyjne bizuny wypiszą na waszych zadkach... Swołocz... Won stąd natychmiast!... Żeby waszego smrodu tu nie zostało!... Precz... już, już, bez oglądania się... won!

I tłum rozpływał się i rozsypywał, jak fala na płyciźnie.

Oczywiście mogło być inaczej. Tysiąc razy bywało inaczej. Nie jest możliwe ustalenie jakiejś reguły, decydującej w konfliktach jednostki z masą.

KONIEC MOJEJ KARIERY KOMISARZA TYMCZASOWEGO RZĄDU

XVII Korpus piechoty, który od dłuższego czasu był terenem naszych usiłowań eliminacji z niego wszystkich czynników rozkładowych, oficjalnie przygotowywał się jako uderzeniowa grupa w wypadku przerwania frontu przez nieprzyjaciela. Nieoficjalnie liczyliśmy na to, że zastąpi zbolszewiczały garnizon petersburski.

Dowódcą Korpusu był gen. Szylling, młody i dzielny oficer, który wcale nie podzielał generalskiej pogardy dla demokracji i użytecznych zdobyczy rewolucji.

Sztab armii zgodnie i uczciwie pracował ze mną i z niektórymi członkami rewolucyjnych komitetów nad uodpornieniem wojska na bolszewicką infiltrację. Najlepsze stosunki ułożyły się i najlepsze dały wyniki w przodującej 65 dywizji, nad którą czuwał szczęśliwie dobrany korpus oficerski z gen. Kirejem na czele, doskonałym artylerzystą i najbardziej oryginalnym człowiekiem pomiędzy rosyjskimi generałami. Doskonale wprawdzie zdawałem sobie sprawę, że przychylni mi panomie generałowie mają nieco inne niż ja wyobrażenie o perspektywach przyszłości w wypadku osiągnięcia głównego celu. O tym celu nigdy z żadnym z nich nie wdawałem się w rozmowy, z wyjątkiem gen. Bazarewskiego. Jego inteligencja, jak również wspólna przeszłość kadecka, która nadała ton naszej zażyłości, były dla mnie gwarancją, że mnie nie zdradzi, nawet w wypadku taktycznej czy programowej rozbieżności naszych planów.

— Rób jak uważasz za słuszne — powiedział mi. — Broń Kiereńskiego, czy wspomagaj Sawinkowa, tylko pamiętaj, że najważniejszą pozycją do zdobycia jest uwolnienie centralnego rządu z sowdepskiej niewoli. Jeśli omylisz się ty,

czy twój Sawinkow, czy Kiereński i jego socjaliści, uczynią to za was inni.

Z moimi planami musiałem niestety ukrywać się także przed moim bezpośrednim zwierzchnikiem, komisarzem Frontu, i przed wysokim komisarzem Kwatery Głównej, wiedząc z góry, że nie tylko nie znajdę u nich zrozumienia i poparcia, ale mogę trafić pod sąd trybunału rewolucyjnego.

W tym czasie odbywały się gorączkowe przygotowania do wyborów do Konstytuanty. Z powodu mego *colitis* nie mogłem osobiście występować na przedwyborczych wiecach. Moi najserdeczniejsi przyjaciele natomiast łamali sobie głowy, w jaki sposób udałoby się wystawić kandydaturę osoby tak popularnej, jak ja, która do żadnej politycznej partii nie należy. Sądzę, że w końcu by coś wymyślili i swego dopięli, gdyby nie moje otwarte i oficjalne wystąpienie przed ministrem spraw wojskowych w kwestii wojny. Wszyscy bowiem moi przyjaciele byli zwolennikami hasła Tymczasowego Rządu „wojny do zwycięskiego końca".

Tymczasem zbliżał się październik.

Sawinkow już nie był ministrem wojny, premier Kiereński przyjął na siebie naczelne dowództwo sił zbrojnych. W tamtym ostatecznym okresie przed katastrofą obstąpiły Kiereńskiego najbardziej doktrynerskie postacie rewolucji. Nieufni, bez woli i maluczcy duchem, im bardziej nieudolni, tym wznioślej brzmiały frazesy ich rewolucyjnego idealizmu. Frazes i dbałość o niepokalaną czystość linii partyjnej przesłaniały rzeczywistość.

Po Sawinkowie mianowano ministrem spraw wojskowych młodego i zdolnego gen. Wierchowskiego. Rozpoczął on urzędowanie od zbierania ścisłych informacji o tym, co się w wojsku dzieje. Nie ufając urzędowym wyobrażeniom o sytuacji, wzywał po kolei do aparatu Huguesa komisarzy wojennych rządu wszystkich piętnastu armii i przepytywał o stan rzeczy oraz o możliwości ich naprawy. Gdy kolej przyszła na mnie, odpowiedziałem bez wahania: — Armia już nie jest wojskiem. Uzbrojone watahy ani bić się nie chcą ani nawet słuchać tych, co ich do tego namawiają. Nie chc i już nie zechcą. Kilkanaście milionów ludzi marzy o porzu

ceniu okopów. Rosnąca z dnia na dzień anarchia grozi zbrojną inwazją na własny kraj. Moim zdaniem tylko natychmiastowy pokój, pokój za wszelką cenę, cenę honoru, utraty terytoriów i kontrybucji, i przystąpienie do natychmiastowej demobilizacji i odbierania broni może jeszcze dać dowództwu niejaką szansę ujęcia w karby zdziczałych hord. — Mówiłem ministrowi, że daleki jestem od chęci zgęszczania czarnych kolorów, i sam pragnę się łudzić, że jakiś cud spowoduje przemianę. Lecz uważam, że łudzić się mam prawo tylko na własny użytek, a nie mam prawa łudzić ministra rządu rachubami na cud. Zaznaczyłem z determinacją, że z decyzją nie należy zwlekać. Pozwoliłem sobie na udzielenie rady niezwłocznego zabezpieczenia całego przyfrontowego pasa i wszystkich węzłowych stacji przez użycie elitarnych szturmowych jednostek, które istnieją już w każdej armii i są do tego celu przygotowane. Zabezpieczenie tyłów przed rabunkiem band, powstałych z samorzutnie demobilizujących się oddziałów jest zadaniem nie cierpiącym zwłoki.

Moja rozmowa z ministrem nie mogła pozostać tajemnicą. Wstęgę z jej tekstem dyżurny oficer przekazał do sztabu, odpis do naszego komitetu. W bezkrytycznej akustyce panującej frazeologii wojny „do zwycięskiego końca" moja odpowiedź ministrowi rządu musiała zabrzmieć jak sygnał zdrady. „Pokój z dziś na jutro" było hasłem, którym szermowali bolszewicy. Jedni więc popatrywali na mnie jak na wariata, inni jak na zdrajcę, i ludzie odsunęli się ode mnie. Zresztą ja sam nie starałem się z nikim spotykać, bo czułem, że czas rozmów przeminął. Kogóż mógłbym przekonać, że to nie ja jestem wariatem?

Nazajutrz otrzymałem od ministra Wierchowskiego wezwanie stawienia się w ministerstwie w Petersburgu. Z powodu choroby nie mogłem wyjechać natychmiast, a gdy ruszyłem w podróż, nie wiedziałem, że mnie ubiegnie bolszewicki Październik.

Nie znałem i osobiście nie poznałem nigdy Wierchowskiego. Dopiero znacznie później dowiedziałem się, że Wierchowski całkowicie podzielał moje opinie. Pokój, odrzucany przez patriotyczne pustosłowie, jako „nikczemny", jako „zdra-

da aliantów" i „zdrada Rosji", byłby śmiesznie niską ceną, jaką by młoda demokracja zapłaciła za swoje istnienie, za czas na zalizywanie ran po przegranej wojnie i po problematycznym zwycięstwie rewolucji.

W nocy z 22 na 23 października wyjechałem służbowym autem z Mohylowa Podolskiego do Petersburga. Towarzyszył mi mój wierny ordynans Jewsiejew. Wóz prowadził szofer Malejew, mój dawny żołnierz i człowiek zaufany.

Część II

BOLSZEWICKI PRZEWRÓT

Rewolucja, to znaczy nie ta zwykła zmiana dynastii czy reforma, ale prawdziwa rewolucja, wcale nie wysuwa najlepszych ludzi. Prawdziwa rewolucja zawsze trafia do rąk zapamiętałych fanatyków i obłudnych tyranów. A sumienni, sprawiedliwi, szlachetni, ludzcy i szczerzy wśród uczestników wyzwoleńczego ruchu stają się nie wodzami rewolucji, lecz jej ofiarami.

J. Conrad, „W oczach Zachodu".

WODEWILOWA UWERTURA TRAGEDII

OSTATNIA odsłona tragedii demokratycznej republiki rosyjskiej rozpoczęła się w dniu 25 października (starego stylu) i trwała 6 dni. Stała się ona również wstępem do długoletniego dramatu świata, który trwa do dziś i nikt nie wie, kiedy się skończy i czym się skończy.

Wszystko odbyło się w sposób dziwny, niemal dziwaczny, chwilami trącący farsą.

Zamach stanu był zapowiedziany z dokładnością prawie godziny i przygotowywany na oczach wszystkich. Tymczasem rząd nie zrobił nic, aby mu zapobiec. Był przekonany, że kolejna „awantura" skończy się bez następstw. Był zaskoczony nie puczem, ale jego wynikiem. Jak zresztą wszyscy, z większością KC bolszewickiej partii włącznie. Jeden Lenin wierzył w zwycięstwo, ale i on się omylił. Wbrew jego oczekiwaniom nie poparły go spontanicznie masy. Tymczasowy Rząd Kiereńskiego upadł, bo go nikt nie bronił. Przez siedem miesięcy władzy chylił się stale ku upadkowi, jak krzywa budowla, lub na złych fundamentach wzniesiona. Bolszewickie „zwycięstwo" było pchnięciem padającego. Gdyby w październiku nie uderzyli bolszewicy, to w listopadzie czy grudniu zamach stanu zrobiliby inni, może generałowie, może Sawinkow (niezawodnie), może tak samo słabi jak bolszewicy, lecz również silniejsi od rządu. Jakiś nowy Korniłow, na przykład gen. Czeremisow, głównodowodzący Północnym

Frontem, młody, dzielny i bardziej przebiegły od Korniłowa, mógł spróbować zmobilizować monarchistów łącznie z rozczarowanymi do rewolucji liberałami i zmusić wielkiego księcia Mikołaja Mikołajewicza, najpopularniejszego wśród pospólstwa, do skrzyknięcia ochotników pod jego przewodem i sprawienia krwawej łaźni tak bołszewikom, jak mieńszewikom, kadetom (konstytucyjni demokraci) i wszystkim republikanom, którymi zanarchizowany lud w głębi swych serc pogardzał nie mniej niż wielki książe.

Gdyby...

Lew Trocki pisał:

„Światowa historia zna niemało przewrotów i powstań. Ale pamięć na próżno usiłuje odnaleźć w historii drugie takie powstanie klasy uciemiężonej, które by było, tak jak nasze, z góry zapowiedziane, wyznaczone na dokładną datę i we właściwym terminie wykonane, a przy tym zwycięskie. Zapowiedziawszy dzień przewrotu, otwarcie, na oczach rządu i społeczeństwa przygotowaliśmy zbrojną siłę dla jego dokonania".

Wszystko prawda, tylko z „przygotowywaniem zbrojnej siły" Trocki grubo przesadził. W rzeczywistości i bez *licentia poetica* zwołanie paru tysięcy lumpenproletariatu stolicy i kilkuset marynarzy floty wojennej mogło być dokonane w ciągu paru godzin. Takie były bowiem realne siły bołszewików, które weszły do walki. Na sto tysięcy marynarzy i na milionową masę petersburskiego proletariatu była to garstka. Garstka ta w ciągu kilku dni październikowej rewolucji walczyła nie tyle bohatersko, co wybitnie niezdecydowanie Robiło to wrażenie jakiejś dziwacznej wojennej gry, gdzie strzelano wprawdzie ostrymi nabojami, ale jakby pojednawczo i z wyczekiwaniem, wcale nie przepisowym dla „walki", w stronę paruset kozaków gen. Krasnowa, nazywanych „korpusem". Bo na całe rewolucyjne imperium tylko jeden kozacki generał stanął w obronie rewolucyjnego Rządu Tymczasowego, już zresztą po tym jak został on aresztowany przez bołszewików w Zimowym Pałacu, a jego premier i naczelny wódz szukał schronienia poza Petersburgiem. O rozmiarach tej walki „na śmierć i życie", której heroizm wyolbrzymiają

komunistyczni dziejopisarze, świadczą cyfry: poległo w niej 17 kozaków Krasnowa i kilkudziesięciu czerwonogwardzistów i marynarzy. Chociaż zwycięska — rewolucja październikowa wykazała słabość bolszewików.

Więc jak do tego zwycięstwa doszło, jak dojść mogło?

Rząd Kiereńskiego zawisł w próżni. Zgubiła go powszechna neutralność.

MASY

Rząd i prorządowe partie operowały nie prawdziwymi, lecz fałszywymi pozycjami w rachunku codziennych realii. Zestawiono siły słabego liczebnie przeciwnika z odpowiednią pozycją własnych sił, entuzjastycznie mierzonych wynikami demokratycznych wyborów. Istotnie masy te w niedawnych wyborach do Konstytuanty głosowały głównie na prorządową partię eserów, i partie koalicyjnego rządu zdobyły ponad 80% głosów, podczas gdy bolszewicy zaledwie 13%. Czyż jednak nie była wskazana największa ostrożność w ocenie głosów mas, gdy z góry było wiadomo, że te masy politycznego wyrobienia nie miały? Również bez zbytniej dialektyki wodzowie marcowej rewolucji mogli rozumieć, że proletariackie i ludowe masy, tak namiętnie przez nich błagane o zachowanie się przy rewolucyjnym stole przyzwoicie, zachowały się przy wyborach przyzwoicie i wybrały do Konstytuanty gospodarzy stołu. Więcej dla owej przyzwoitości, niż z przekonań.

Nie brano również pod uwagę dynamizmu bolszewickiej demagogii, która tym masom o wiele bardziej trafiała do rozumu i upodobania, niż wzniosłe i cnotliwe wywody „panów" demokratów. „Pokój chałupom, wojna dworom i pałacom, cała ziemia chłopom, cała władza w dyspozycji chłopskich, robotniczych i żołnierskich rad" — to chwytało i upajało coraz więcej. A w dodatku — koniec z wojną! I do tego hasło od zaraz, na dziś: „rabuj, bo co rabujesz, było zrabowane, to nie grzech, ale sprawiedliwość! ..."

„Jego Cesarska Mość lud rosyjski", jak z sarkazmem pisał Szulgin (ten sam, co w Pskowie ułożył tekst abdykacji dla Mikołaja II) wyżywał się poza lokalami wyborczymi w rozkoszy niszczenia i mordowania, urągając garstce inteli-

gencji, od stu lat gloryfikującej „lud apostolski" (*„narod Bogonosiec"*).

W przełomowych dniach października proletariackie i żołnierskie masy nie poparły jednak bolszewików. Wbrew temu co zapowiadał Lenin, który zresztą nie omieszkał proletariatu stolicy zaopatrzyć w broń. Proletariat ogłosił neutralność. Nie z braku zdecydowania, ale ze strachu o własną skórę. Lud nie wyciągnął broni zza pazuch, bo był zbolszewiczały tylko do granicy ryzyka. Ryzykować nie chciał.

I stało się jasne, że nie ryzykował „gniewu ludu" Sawinkow, kiedy w sierpniu zażądał od Kiereńskiego aresztowania wszystkich członków komitetu centralnego bolszewickiej partii z Leninem i Trockim na czele i oddania ich pod sąd Rewolucyjnego Trybunału. Lud palcem by nie ruszył w ich obronie. Wówczas jednak Kiereński, z niezwykłą u niego stanowczością, powiedział: n i e. Nastąpiła dymisja Sawinkowa. A prostacy, nie pozbawieni zmysłu praktycznego w kraju, gdzie wszyscy od wszystkich brali pieniądze lewą ręką, wykonując jakieś prawo — prawą, wobec nowego dowodu nietykalności „zdrajców", sami zaczęli kpić z tej zdrady pobierania niemieckich pieniędzy i powtarzali ze smakiem za Leninem: „Głupi daje, mądry bierze, a opryszek na barykadach więcej wart od Plechanowa na trybunie".

ELITA

Ci, którzy od przeszło stu lat idealizowali lud, czyli ta prawdziwa i specyficzna „inteligencja rosyjska", nie zabiegali o praktyczną stabilizację nowych form państwowych i swoją w nich pozycję. Zdawali się być całkowicie pochłonięci troską o dochowanie wierności ideałom „bezkrwawej rewolucji", więc przede wszystkim trosce o ustrzeżenie władzy przed pokusami siły. Zamiast objąć przewodnictwo nad masami, ująć anarchię w karby a motłoch za kark, inteligencja rosyjska szła za masami, jak skazaniec przykuty do swojej taczki, nawet gdy rozumiała, że idzie po fałszywej drodze i w roli dla siebie niewłaściwej. Było w tym jakieś mistyczne urzeczenie, obce rozsądkowi i silniejsze od instynktu, jakiś nakaz pokornej uległości wobec wyroków losu czy historii.

Być może, wiele tłumaczą genealogie. Byli to, rzec można, „dziedziczni" liberałowie rosyjscy, wyrośli z tradycji dekabrystów i szlachetnych reform cara Aleksandra II. Byli to spadkobiercy romantycznej ideologii rosyjskiej arystokracji, ziemskiej szlachty i urzędniczej elity, z niemal wszystkimi Rurykowiczami na czele, z wieloma panami z nowszej arystokracji, wychowani w duchu wolnościowych dążeń. Wielu z nich należało do intelektualnej elity europejskiej, bardzo wielu przy głębokiej miłości ojczyzny czuło się bardziej Europejczykami niż Rosjanami, doskonale orientując się we wszystkim co europejskie, i nieporadnie błąkając się we wszystkim co rosyjskie.

Dla ścisłości należy odnotować, że inteligencja rosyjska jako odrębna klasa w okresie rewolucji 1917 roku nie była już w swoim składzie duchowym tą nawskroś „rosyjską inteligencją" z początków XIX wieku. Była już w dużym stopniu zmieszana z asymilującym się elementem obcym, często wrogim, jak Polacy, Gruzini, Żydzi. Dopływ nowych przybyszów ze

stanu mieszczańskiego i z proletariatu też w coraz większym stopniu rozrzedzał i degenerował świadomość dawnej inteligencji, jako klasy walczącej przeważnie bezinteresownie i *wbrew* swoim interesom klasowym o postęp i ideały wolności.

Pierwotne dziedzictwo okazało się jednak dość silne. W krytycznym i ostatecznym okresie, gdy należało walczyć już po prostu w obronie swego nagiego życia, inteligencja rosyjska manewrowała niemrawo i nieudolnie o zachowanie swoich ideałów, a jak się to z bliska często wydawało, więcej w trosce o uszanowanie ideałów wroga, a przede wszystkim w obawie o jego bezpieczeństwo. Byle nie splamić sobie rąk „krwią ludu".

RZĄD I SPOŁECZEŃSTWO

Natychmiast po Marcowej Rewolucji 1917 roku w całej Rosji a zwłaszcza w Petersburgu ustalił się sztuczny klimat radości i fałszywego optymizmu. Wszyscy jakby się umówili radować, choć rzecz jasna, że nie wszyscy mieli ku temu powody. Książe Kirył na czele oddziału gwardii morskiej przymaszerował do gmachu Dumy Państwowej, która w ciągu pierwszych dni była centrum nie tyle dyspozycji, co ekspozycji rewolucyjnego oszołomienia, by na jej ręce złożyć swoją czołobitność dla „wielkiej i bezkrwawej rewolucji" Demokracja stała się dyktatorem mody. Najwyżsi wodzowie armii spieszyli zgłosić swoją solidarność z rewolucją. W najekskluzywniejszych salonach należało do towarzyskiej nieprzyzwoitości wątpić w demokrację. I stało się, że ta rewolucja, która wyzwolić miała myśli i słowa spod ucisku carskiej cenzury, zapędziła je w o wiele gorszą niewolę, która szeregiem bezmyślnych, bezkrytycznych *tabu* oplotła i uwikłała wszystkich wyzwolonych, ograniczając wolność krytycznej myśli przymusem rewolucyjnego optymizmu i przymusem stadnych reakcji. Rewolucyjny optymizm stawał się dogmatem, obowiązującym tak rząd jak społeczeństwo, przybierając dla pierwszych na dłużej, dla drugich na krócej, cechy religijnej wiary, z „niebem", „piekłem" i katechizmem. A w miarę jak skutki rewolucji okazywały się coraz bardziej opłakane a przymus rewolucyjnej wiary trwał — także z obsesją wietrzenia odstępców: kontrrewolucji.

To pewna, że przybywało zwolenników kontrrewolucji. Przed Październikiem było już tak źle, że niemal całe społeczeństwo, to znaczy ci wszyscy, co byli zdolni do myślenia w kategoriach społecznych i państwowych, bardziej nienawidziło „kiereńszczyznę", niż bało się bolszewików. Bolszewików się bano, ale nie brano ich poważnie. Ich rządy zda-

wały się skazane na krótkotrwałość. Społeczeństwo więc zachowało w dniach przewrotu złośliwą neutralność.

Gdy w lipcu 1917 roku bolszewicy po raz pierwszy wyszli na ulicę, jakby dla generalnej próby sił, byłem przypadkowo w Głównym Sztabie w Petersburgu, mając tam do załatwienia różne sprawy służbowe. Ze zdziwieniem przyglądałem się wówczas bardzo podnieconym i wesołym twarzom sztabowych oficerów, jakby zachwyconych tym co się dzieje na mieście. Zapytałem dobrego znajomego, starszego pana i rozsądnego — zdawało się — człowieka, z czego panowie generałowie i pułkownicy tak się cieszą? Usłyszałem szczerą odpowiedź:

— Mój panie, jakże wy wszyscy się nie orientujecie w najprostszych, rzec by się chciało: banalnych, schematach. Nie rozumiecie, że im wam, demokratom, jest gorzej, tym dla nas lepiej. Bolszewicy dziś zaduszą waszego Kiereńskiego razem z demokracją, a jutro my ich powywieszamy na latarniach i wreszcie będzie spokój i porządek.

Za spokojem i porządkiem tęsknili już nie tylko ludzie ze skrajnej reakcji. Umiarkowanie radykalna i liberalna burżuazja marzyła teraz o dyktaturze jakiegoś dzielnego generała, niechby nawet z restauracją monarchii; albo o rządach demokratycznej „mocnej ręki", niechby nawet socjalistycznej, byle zdolnej ukrócić rozwydrzenie czerni i przywrócić codziennemu życiu ład i bezpieczeństwo. Tego bez radykalnego usunięcia ze sceny bolszewickiej partii nikt nie był w stanie zrobić. Właściwie los republiki marcowej został przesądzony z chwilą, gdy Lenin z towarzyszami prawem kaduka zajął pałac byłej kochanki cara, Krzesińskiej, i z pałacowego balkonu zaczął kierować motłochem.

Źródłem zła był także pomysł, mniejsza z czyjej inspiracji: bolszewickiej, socjalistycznej, czy utopijnej, wprowadzenia do olbrzymiego imperium demokracji bezpośredniej. Wszyscy ogarnięci zostali szałem „działalności", nie wyłączając najdrobniejszych funkcjonariuszy, poganiaczy bydła, komendantów wojskowych piekarni itp. Wszystkich tych ludzi, którzy dotychczas nienagannie wypełniali służbowe obowiązki, ogarnął szał „wyłaniania", „zawiązywania", „wyznaczania", „po-

woływania" tysięcy „komitetów", „komisji", „związków" i przede wszystkim — rad. Wszyscy też zaniedbali z miejsca wykonywania swoich obowiązków, wyzwolili się z nich, jak leniwy i chytry koń z chomąta na rzecz wielkiej polityki, która z dziś na jutro stała się przywilejem wszystkich, indywidualnym prawem i własnością każdego, nadobowiązkiem, zwłaszcza najgorszych i najgłupszych. Naiwni i patetyczni inteligenci rosyjscy powitali ten stan rzeczy jako budzącą się wszechrosyjską demokrację. W rzeczywistości było to wprowadzenie stanu zamieszania, rozgardiaszu i anarchii.

W miarę jak rewolucja się „pogłębiała" z troskliwej obawy inteligencji i rządu przed kontrrewolucją, mnożyły się coraz liczniejsze zastępy *aktywistów*, tych prawdziwych mikrobów śmiertelnej choroby dla organizmu społecznego. W miarę ich ilościowego przyboru obniżał się poziom „narad" i „dyskusji", podczas gdy przeciwstawienie się jawnym banialukom i bezsensownym „postulatom" groziło oskarżeniem o kontrrewolucję i reakcję, którym szafowano proporcjonalnie do głupoty prowodyrów. Pod uświadamiającym wpływem „aktywistów rewolucji" ciemne masy rozpalały się nienawiścią do swoich „ciemiężycieli", a także „rozwiązywały" aktualne problemy polityczne w skali ogólnokrajowej i światowej. Najdziwaczniejsze uchwały i rezolucje tysięcy komitetów i sowdepów, układane przez ludzi, z których nie wszyscy umieli czytać, przesyłano telegraficznie do najwyższych instancji republiki.

Byłoby pół biedy, gdyby te wypociny ciemnoty podawano do wiadomości członków rządu w charakterze „doradczym". Niestety, one zalecały, nakazywały, żądały i były traktowane poważnie. Cichym lecz prawdziwym dramatem wysokich departamentów aż do ministrów włącznie było stałe pertraktowanie z „wolą ludu", tak aby jej nie uchybić.

Przytoczę autentyczny wypadek, a nie jakiś kawał zmyślony przez reakcyjnych facecjonistów. Sekcja Spraw Międzynarodowych Delegatów Robotniczych Szkłowskiej Miejskiej Rzeźni zażądała od ministra spraw zagranicznych w Petersburgu surowej nagany i ostrego napomnienia Jego Królewskiej angielskiej Mości za skazanie tubylca w Singapore na karę

chłosty za złodziejstwo w portowych składach... I minister nie był w stanie zignorować opinii Szkłowskiej Rzeźni, i był zmuszony wdać się w telegraficzne dyskusje o stronie ideologicznej i dyplomatycznej sprawy z komitetem wykonawczym w Szkłowie, aż ktoś doradził wezwanie dwóch członków „sekcji spraw międzynarodowych" ze Szkłowa do stolicy i w ten sposób udało się przełożyć sprawę na właściwy tor. Zazwyczaj bowiem wszyscy deputaci, wzywani do Petersburga, do miejsc swojej dotychczasowej działalności na prowincji nie wracali, znajdując jakieś szersze pola dla swoich rewolucyjnych talentów, a same sprawy traciły na aktualności.

(Bolszewicy, jak wiadomo, zachowają wszystkie formy bezpośrednich rządów ludu, tylko to, co było w praktyce marcowej republiki demokratycznym absurdem, zmienią w złowrogą fikcję. Ciemne masy w dalszym ciągu będą układać rewolucje, żądać, uchwalać, potępiać, a przede wszystkim dziękować towarzyszom u władzy za „zajęcie słusznego stanowiska" czy to w sprawie kukurydzy, czy Pasternaka — pod dyktando partyjnych politruków, będących z reguły funkcjonariuszami organów bezpieczeństwa, co znakomicie wpływa na prawomyślność ludowej jednomyślności.)

W okresie przed przewrotem bolszewickim nie brakło przytomnych ostrzeżeń na mównicach i w prasie, wytykających permanentny proces ubezwłasnowolnienia Tymczasowego Rządu przez Petersburski Sowdep, w którym bolszewicy, nie posiadając większości, moralnie dominowali sposobem przelicytowywania wszystkich popularnych haseł demokracji. Delegaci bolszewickiej partii w Sowdepie z dynamicznym jak wulkan Trockim i przebiegłym Zinowiewem, opierając się na swoim niewątpliwym autorytecie w masach stołecznego proletariatu i zbolszewiczałego garnizonu stolicy, terroryzowali większość, składającą się z trwożliwych socjalistów i zahukanych demokratów. Tym się tłumaczy, że Sowdep, posiadający swoich delegatów w Tymczasowym Rządzie w osobach nie tylko ministrów, lecz Kiereńskiego, premiera i naczelnego wodza w jednej osobie, ubezwłasnowolniał rząd, trzymający się kurczowo fikcji, że partia bolszewicka repre-

zentuje „przeciwników politycznych", a nie wrogów demokratycznej republiki. Wrogowie — to monarchiści i kontrrewolucjoniści. Ponieważ rząd był koalicją socjalistów różnej maści i tzw. „cenzusową demokracją", na którą mogły wywierać wpływ rosnące antyrządowe nastroje w społeczeństwie — w przekonaniu socjalistów kontrrewolucyjne i reakcyjne — prace rządu paraliżowała wzajemna nieufność i ludzie, którzy sprawowali władzę, albo nie byli w stanie jej wykonywać zgodnie z nakazem rzeczywistości, albo byli szczerze przekonani, że to tylko wrogowie rewolucji lub przewrażliwieni pesymiści widzą rzeczywistość w tak czarnych kolorach.

Borys Sawinkow za próbę ratowania rewolucji i republiki przed jej rzeczywistymi i oczywistymi wrogami został napiętnowany przez swoją socjalistyczną partię i przez wszystkie bratnie, z bolszewicką — rzecz jasna — na czele, jako reakcjonista, kontrrewolucjonista, bonapartysta i wróg ludu pracującego.

PO DRUGIEJ STRONIE BARYKADY

Tymczasem po drugiej stronie barykady, już coraz wyższej, lecz jeszcze pokojowej, Lenin, wbrew temu co pisali w kilkanaście lat później bolszewicy dziejopisarze, prawie samotnie walczył z własnymi towarzyszami z KC o decyzję i termin powstania. W mowach i pismach napastował przeciwników i nastawał na dokonanie przewrotu przed ogólnokrajowym Zjazdem Sowietów, czyli Rad (w owym czasie jeszcze demokratycznych, z przedstawicielami z rządowych socjalistycznych partii), który miał się odbyć w pierwszej połowie listopada. Natrafił na zdecydowaną opozycję wśród najbliższych przyjaciół. Kamieniew i Zinowiew, członkowie „komitetu siedmiu" (Bubnow, Lenin, Trocki, Sokolnikow, Kamieniew, Zinowiew i Stalin), w ostrych słowach ostrzegali przed zbrojnym wystąpieniem, które nie posiadając żadnych szans powodzenia, może przesądzić nie tylko o losie partii i rewolucji rosyjskiej, lecz również wyrządzić niepowetowane straty rewolucji światowej.

Lenin, ukrywający się przed spodziewanym aresztem lub zamachem na swoje życie to w Finlandii, to w Smolnym Instytucie, rzucał się jak tygrys w klatce, żądał wyrzucenia z partii opornych, przekonywał i dowodził, że właśnie nastala najpomyślniejsza chwila dla pochwycenia władzy z na wpół sparaliżowanych rąk Tymczasowego Rządu.

Jak widzimy, i w bolszewickiej partii, pomimo że predominowały w niej elementy obce, Polacy, Żydzi i Gruzini, występowały objawy niezdecydowania tak — zdaje się typowe — dla rosyjskiej mentalności. I tu, jak i gdzie indziej, w chwili przełomowej decydowała albo wola jednego człowieka, albo przypadek.

Po oczyszczeniu sowieckiej historiografii z mętów kolektywnych ambicji widać jasno, że to Lenin sam, prawie że sa-

motnie, przeforsowywał swą decyzję, walcząc z opinią na peryferiach partii, przechytrzając neurastenię polskiego Dzierżyńskiego, żydowski rachmistrzowski geniusz Trockiego, Swierdłowa i Uryckiego, odgryzając się na prawo i lewo, stosując swoją taktykę podchodzenia przeciwników, która już się stała jego pasją, jego przyrodzeniem, jak płeć, jak zboczenie. Jeden Lenin z całego zespołu partyjnych przywódców trafnie ocenił sytuację polityczną i instynktem tygrysa uchwycił właściwą chwilę dla skoczenia ofierze do gardła.

Takich wodzów demokracja nie posiadała. Wszyscy przeciwnicy Lenina po drugiej stronie barykady, ciągle jeszcze pokojowej, obarczeni byli skazą humanizmu, wzdragającego się przed bezwzględnością w dążeniu do realizacji swoich prawd. Po stronie demokracji jeden tylko człowiek mógłby się przeciwstawić Leninowi w walce z wyrównanymi szansami. Był nim Borys Sawinkow, odsunięty i zwalczany przez socjalistyczną demokrację ku jej zgubie.

GENERALICJA — CZYLI LOSY NASZYCH WYBOROWYCH DYWIZJI

Poza politycznymi partiami, poza socjalistami i demokratami różnych odcieni, usiłującymi do końca wierzyć w trwałość demokratycznej republiki, nad którą już zawisła bolszewicka kłonica, istniały inne czynniki w dyskretnym cieniu od jaskrawej rewolucyjnej koniunktury. W kulturalnym społeczeństwie pozostawała jakby na uboczu pewna grupa, dotychczas odseparowana od niego neutralnością munduru, przez rewolucję odosobniona i upokorzona, do której w miarę pogarszania się sytuacji zwracały się nadzieje zrozpaczonych obywateli. Generalicja i korpus oficerski, okryty dotychczas niemal żałobą, poniewierany i szykanowany, budził spodziewania, że ze strony wojska musi wreszcie nastąpić jakieś decydujące posunięcie, jakaś zdecydowana inicjatywa, jakieś powtórzenie buntu Korniłowa w lepszym i mądrzejszym wykonaniu. Samoobronny instynkt podsuwał nadzieję powszechnej krucjaty przeciw rozbestwionej czerni czy to w imię demokracji, czy sponiewieranej ojczyzny, czy tylko w obronie własnej.

Te nadzieje mogłyby się okazać niepłonne, gdyby się znalazł choć jeden człowiek w generalskim mundurze, który by zrozumiał, że do walki z bolszewizmem i anarchią nie wystarczy sama pogarda dla demokracji i nienawiść do zdziczałego pospólstwa.

Generał Czeremisow wydawał się desygnowany do odegrania historycznej roli klasycznego zbawcy ojczyzny. Młody, inteligentny, wzór rycerskich cnót i wojennych umiejętności, dowódca olbrzymiego Frontu Północnego, wysunięty na to stanowisko właśnie przez rewolucję, chociaż nie był ani demokratą, ani socjalistą, ani nie należał do rasy zarażonej tzw. „kiereńszczyzną". Zdawało się więc, człowiek ze-

słany przez Opatrzność, przy którym mógłby się zjednoczyć — przynajmniej w pierwszej krytycznej chwili — cały naród.

W pierwszych dniach października, a więc na parę tygodni przed bolszewickim przewrotem, do rejonu Północnego Frontu zaczęły przybywać eszelony naszego XVII Korpusu w składzie trzech dywizji piechoty z brygadami artylerii i wszystkimi pomocniczymi formacjami. Gen. Czeremisowi dokładnie było znane dyskretne przeznaczenie tej dużej i troskliwie przez nas przygotowanej grupy wyborowego wojska. Oficerowie i żołnierze 35, 65 i Finlandzkiej dywizji po trzyletnim odsiedzeniu w okopach wielkiej wojny, dobrze wiedzieli po co idą i dokąd idą, i co to dla nich osobiście znaczy w zwykłym ludzkim, codziennym rozumieniu. Żołnierze tych dywizji, immunizowani starannie i odporni na bolszewickie oklepanki, szli ochotnie rozbrajać łazików z petersburskiego garnizonu, dekujących się z tytułu „obrońców rewolucji", by zająć ich ciepłe miejsce. Zresztą tytuł „obrońców rewolucji" był haniebnie skompromitowany zwłaszcza w oczach 65 dywizji, pacyfikującej niedawno rozpite żołdactwo w Besarabii, gdyż podczas karnej akcji pijany motłoch bronił się właśnie tytułem „obrońców rewolucji". Czego nie przewidzieliśmy — to dywersji ze strony najmniej oczekiwanej, a mianowicie gen. Czeremisowa.

Wojska XVII Korpusu nie tylko nie zostały na czas podwiezione pod stolicę i tam zgrupowane, jak o tym było przekonane dowództwo 8 Armii, ekspediujące je na Północ, lecz przeciwnie, przy pomocy osławionego „Wikżelu" (Wszechrosyjski Wykonawczy Komitet Kolejarzy) rozproszone, zatrzymywane i przetrzymywane w zimnych wagonach, źle zaprowiantowane i wciąż rozmyślnie przesuwane tu i tam.

Gen. Czeremisow sabotował naszą inicjatywę, ponieważ... pochodziła ze źródeł demokratycznych i rewolucyjnych, które uważał za wrogie.

Było może zrozumiałe, że ambitny wódz kilkumilionowego Północnego Frontu mógł sobie nie życzyć, by na czele niezawodnej militarnej siły powstanie bolszewików tłumili obcy mu z ducha ludzie (Sawinkow). Nic wszakże nie stało na przeszkodzie, żeby gen. Czeremisow sam na czele naszych

dywizji wkroczył do stolicy i zrobił tam swój porządek. Zamiast tego zrobił wszystko, by zmarnować korpus wyborowego wojska, i — nie grając — przegrać wielką kartę, która mu sama w ręce wpadła.

Historycy i pamiętnikarze tamtego okresu popełniają błąd, oskarżając tylko Kiereńskiego za zaprzepaszczenie socjalistycznej, demokratycznej i patriotycznej rewolucji. Czeremisow, ulegając reakcyjnej inspiracji, zaszkodził sobie i swojej ojczyźnie. W historii o tym głucho, pozostają tylko domysły i rozważania co Czeremisow miał na celu, co zamierzał i dlaczego zamiaru nie wykonał... Odpowiedź nie jest trudna, gdyż postawa gen. Czeremisowa nie była odosobniona. Wielu było takich a już zwłaszcza wśród generalicji, co życzyło rządowi zasłużonego końca, łudząc się, że po jego obaleniu dadzą sobie z bolszewikami łatwo radę.

Wybierali więc neutralność.

A po przeciwnej stronie, w obozie socjalistycznym, obawiano się zdecydowanej akcji przeciw bolszewickim zamachowcom w obawie przed wzmocnieniem reakcji. Książę Ceretelli, jeden z przywódców socjal-demokracji, był nawet autorem sloganu, że kto walczy z bolszewikami — walczy o restytucję monarchii.

I tym sposobem doszło do tego, że z bolszewikami nie walczył nikt.

W FILMOWYM SKRÓCIE

Film kilku dni bolszewickiego „Października" składał się z następujących obrazów:

W mieście od kilku dni wzrasta nastrój naprężenia i wyczekiwania. 24 października (starego stylu) nie ma już wątpliwości, że zapowiedziane powstanie bolszewików wybuchnie lada chwila.

Rząd Tymczasowy pod przewodnictwem Aleksandra Kiereńskiego obraduje w nocy z 24 na 25 w Zimowym Pałacu, dawniejszej rezydencji cara, nad sposobami udaremnienia zbrodniczego zamiaru bolszewickiej partii zagarnięcia w drodze gwałtu władzy państwowej i dokonania zmiany ustroju republiki.

Pałac ochraniają niezbyt liczne i nie nazbyt zdyscyplinowane warty junkrów Konstantynowskiej Szkoły Artylerii i placówki kobiecego ochotniczego batalionu im Boczkarowej (formacja ta, która miała okazać prawdziwie bohaterską postawę w obronie legalnego rządu, nie wzbudzała w oczach współczesnych ani podziwu ani zaufania). Gapie, których pod pałac przygnała ciekawość, szepczą, że zły to omen, skoro rządu republiki mają bronić słabe niewiasty.

Dokoła pałacu panuje nienaturalnie ożywiony ruch. Cywile i wojskowi, pojedynczo i w małych grupach, krążą, przystają, rozglądają się niepewnie na wszystkie strony, jakby wyczekując na coś czy pragnąc sprawdzić, czy rząd jeszcze istnieje. Junkrowie na warcie pełnią służbę od niechcenia, wiele osób prawie bez przeszkód wchodzi i wychodzi, po kątach pałacu drzemią zluzowani wartownicy, skwaszeni, źle zaprowiantowani i całkowicie obojętni na „awantury między socjalistami".

Kilkaset metrów od Zimowego Pałacu, tuż za Nikołajewskim mostem, zakotwiczyły dwa krążowniki „Aurora" i „Zaria

Swobody", a obok nich transportowiec min „Amur", ruchome fortece Lenina. Newa jest, jak zwykle o tej porze, ponura i wzburzona. Działa pokładowe są skierowane na pałac. Wszyscy w Petersburgu oddawna wiedzą, że ta groźna trójka pancernych olbrzymów jest bazą zamachowców. Że bolszewicy nie są tak bardzo pewni zwycięstwa, świadczy ich zapobiegliwość. „Aurora" staje tuż przy ulicy i marynarze przerzucają na chodnik mostki. Ludzie mówią, że po nich będą bolszewiccy wodzowie rejterować w odwrocie

Na zewnętrznej redzie petersburskiego portu stoi poważna armada statków wojennych Bałtyckiej Floty. Obradujące na nich komitety rewolucyjne, mimo nieukrywanych sympatii do bolszewików odmawiają jednak zgody na awanturę zbrojnego powstania i ogłaszają neutralność.

„Poważą się? Czy nie poważą?" Gdy już ostatni cień wątpliwości znika, rząd wydaje polecenie dowódcy Petersburskiego Okręgu Wojennego zgniecenie buntu siłą. Jednak jak zgodnie stwierdzają naoczni świadkowie wydarzeń, m.in. ambasador brytyjski Buchanan, socjalistka i pisarka Kuskowa, poetka Zinida Gippius (żona D. Mereżkowskiego), W. Nabokow (ojciec autora „Lolity") adwokat Winawer, jeden z wybitniejszych członków konstytucyjno-demokratycznej partii, francuski pisarz Georges Annet, francuski generał Noulens i wielu innych — nikt nie zauważył nigdzie śladów jakichkolwiek przygotowań, przemarszów wojska i podobnych.

Głównodowodzący stołecznym okręgiem, płk Połkownikow, oficer generalnego sztabu i doński kozak, też widocznie miał jakiś swój własny plan, jak gen. Czeremisow, i zgodnie z duchem czasu równie nie sprecyzowany, gdyż nigdy się nie zrealizował. Więc nie wiadomo czy nie zechciał, czy nie potrafił „zgnieść buntu", jak się tego słusznie spodziewał po nim Kiereński. Już gdy się wszystko waliło, płk Połkownikow ukarany został aż ... dymisją. Zwolnił go minister Kiszkin, zastępujący premiera Kiereńskiego, gdy ten już odjechał do Gatczyny, rzekomo do wojsk wiernych rządowi.

Tymczasem z minuty na minutę pogarsza się sytuacja. Z rachunku wciąż ubywa spodziewanych obrońców. Większość

szkół wojennych ogłasza n e u t r a l n o ś ć. Wszystkie pułki kozackie, poza jedynym Krasnowa, ogłaszają n e u t r a l n o ś ć. Rozwydrzony i zbolszewiczały Petersburski Garnizon (około dwustu tysięcy ludzi) nie staje po stronie bolszewików, ale też ogłasza n e u t r a l n o ś ć. Komitety rewolucyjne tych wszystkich formacji w wielu wypadkach nawołują przy tym rząd do „pokojowego załatwienia konfliktu z partią bolszewicką". Tak w żargonie deputatów żołnierskich uprawnionych do decydowania w sprawach politycznych przez tenże Tymczasowy Rząd, nazwano zbrojny bunt przeciw rządowi i ustrojowi państwa.

Na marginesie wypada odnotować, że niemal wszystkie szkoły junkrów i młodzież oficerska pogardzały Kiereńskim za jego rzekomą „zdradę" wobec wystąpienia Korniłowa w sierpniu. Młodzież wojskowa uważała, że gen. Korniłow, jako naczelny wódz, miał prawo i obowiązek bronić armię przed anarchią, której patronował Petersburski Sowdep i bolszewicka partia.

25 października wieczorem Kiereński przekazuje czynności premiera ministrowi Konowałowowi, którego już nazajutrz zastąpił minister Kiszkin. Sam zaś wyjeżdża z Petersburga „na spotkanie" rzekomo spieszących z odsieczą wojsk wiernych rządowi.

W rzeczywistości żadnych wiernych wojsk nie ma i nikt pod stolicę nie spieszy. O naszym XVIII Korpusie ani Kiereński, ani nikt z jego otoczenia nie wiedział, jak się wkrótce przekonałem. Cała ta legenda o wojskach spieszących na ratunek rządowi była jedną z wielu współczesnych bajeczek dla podnoszenia na duchu bezradnych i bezwolnych. Już od miesięcy Olimp rewolucyjny żył tylko tym co pocieszało, starając się nie widzieć, nie słyszeć, nie wiedzieć i nie myśleć o tym co mogło niepokoić, alarmować i pomniejszać optymizm. Im bardziej ponura stawała się rzeczywistość, tym więcej krążyło dobrych nowin, pomyślnych słuchów, ścisłych informacji z „najwiarygodniejszego źródła", zatrutego najczęściej prowokacją obok wyzutej z logiki i sensu fantazji.

Jedynym wojskiem „spieszącym na pomoc rządowi" był batalion cyklistów na stu kilkudziesięciu rowerach. Lecz i

ten nie dojechał. Zatrzymał się o 70 kilometrów przed Petersburgiem w oczekiwaniu na przybycie „komentatorów politycznych", którzy mieli „przedyskutować" z cyklistami konieczność dochowania wierności dla demokracji. Ten krotochwilny batalion został wysłany przez Kwaterę Główną Naczelnego Wodza dla obrony tegoż naczelnego wodza. Uświadamiacze polityczni nie przybyli, gdyż w międzyczasie sami ogłosili neutralność.

Wyjazd Kiereńskiego wart jest opisu.

Zaczyna się szukanie samochodów dla premiera i jego otoczenia. Tam gdzie być powinny, nie ma, zniknęły, szuka się więc po całym mieście. Któryś z przybocznych oficerów zagarnia wóz sekretarza ambasady Stanów Zjednoczonych pod amerykańską banderą. Jeden samochód nie rozwiązuje jednak problemu. Mniej ma szczęścia płk Poradiełow, kwatermistrz sztabu Petersburskiego Okręgu Wojennego; wraca z niczym. Dowódca Okręgu (przed dymisją) płk Połkownikow poddaje myśl, żeby prosić o pożyczenie auta któreś poselstwo. Wobec czego adiutant porucznik Knirsza zwraca się do włoskiego poselstwa, bez powodzenia. W międzyczasie komendant stołecznej policji, książę Sidamon Eristow, który się również wybrał na poszukiwania, przyprowadza dwa samochody. W ostatniej chwili odnajduje się także auto Ministerstwa Wojny. Samochody już stoją przed wewnętrznym pałacowym gankiem, jednakże odjazd nie może nastąpić, gdyż w bakach okazuje się za mało benzyny. Znów więc niezmordowany por. Knirsza wyskakuje w dorożce na miasto, i po pewnym czasie przywozi bańkę benzyny. Już można ruszać, ale nowe zatrzymanie. Nikt z obecnych nie zna dokładnie bezpiecznej marszruty przez labirynt ulic wielkiego miasta ku Pskowskiej szosie.

Szczegóły te znam z opowiadania Borysa Sawinkowa. Historyk Miełgunow w swojej książce „*Kak bolszewiki zachwatili włast'*" je potwierdza.

MOJE SPOTKANIE Z KIEREŃSKIM

Wezwany do Petersburga, jechałem dwa dni i dwie noce po jesiennych rozdrożach. W Newlu zlustrowałem dwa pułki naszej 65 dywizji, stwierdzając z przerażeniem, że zabiegi gen. Czeremisowa w celu obniżenia wartości naszego wojska już dały wyniki. Żołnierze byli zdezorientowani, zniechęceni, zniecierpliwieni bezsensownym przesuwaniem eszelonów z miejsca na miejsce, brakami zaprowiantowania i zabezpieczenia wagonów przed chłodami.

W Pskowie dowiedziałem się o dokonanym przewrocie, o aresztowaniu rządu przez zamachowców, a także: że premier Kiereński jest na wolności i z zewnątrz organizuje odsiecz. W dalszej drodze ustaliłem, że Kiereński znajduje się w Gatczynie.

Jak się później dowiedziałem, moje przybycie do Gatczyny poprzedziła wiadomość ze sztabu Północnego Frontu, podana przez komisarza frontu, Wojtinskiego. W opinii Wojtinskiego nie byłem osobą zasługującą na zaufanie w ogóle, jako obcy klasowo i narodowo, a tym bardziej na zaufanie Kiereńskiego z powodu mojej zażyłości z Borysem Sawinkowem.

Wojtinski był ortodoksyjnym rewolucjonistą i demokratą-dziwolągiem. Z natury swojego radykalizmu predestynowany na stuprocentowego bolszewika, bolszewikiem formalnie nie był, należąc do którejś z partii socjalistycznych. Wypełniony był po brzegi patologicznym strachem przed kontrrewolucją, widział ją tam gdzie jej śladu nie było, i węszył za nią z prawdziwie małomiasteczkową pasją. Nawet po dokonanym przewrocie bolszewickim główne niebezpieczeństwo stanowiła, jego zdaniem, reakcja, a przy końcu krótkiego i niesławnego oporu namawiał do ugody z bolszewikami Kiereńskiego, z którym był w bliskiej przyjaźni.

Nic jeszcze nie wiedząc o tym nieprzychylnym awizowaniu mego przybycia, meldowałem się u naczelnego wodza przygotowany na nieprzychylność. Moje wspólne z Sawinkowem wystąpienie, przynaglające Rząd Tymczasowy o przywrócenie kary śmierci na froncie za przestępstwa natury wojskowej, a jeszcze wcześniej nasze zabiegi o nominację gen. Korniłowa najpierw dowódcą 8 Armii, później naczelnym wodzem, były Kiereńskiemu dokładnie znane i nie mogły być dodatnią rekomendacją dla mojej osoby. Co do mnie — na pewno nie należałem do adoratorów Kiereńskiego. Wszyscy moi przyjaciele polityczni uważali go za człowieka nieodpowiedniego, albo za przeciwnika, za fatalną emanację ducha sowdepów, za winowajcę wszystkich nieszczęść, jakie spadły na rewolucję i demokrację. Myślałem inaczej — i do dziś uważam za niesprawiedliwe te sądy historyczne, które całą winę przerzucają na Kiereńskiego.

Kiereński ze swoim sztabem stanął w pałacu starej cesarzowej, wdowy po Aleksandrze III.

Wszedłem do wielkiej sali, by się meldować naczelnemu wodzowi, wprowadzony przez jego adiutanta, rtm. Swistunowa. Kiereński wpół leżał na kanapie. Otaczało go kilka osób, lecz on robił wrażenie nieobecnego myślami i duchem. Wstrzymałem się z przepisowym meldunkiem, jakby manifestując zdziwienie, że meldunek wprawdzie podwładnego, lecz wysokiego urzędnika nowego ustroju, zwierzchnik ma przyjąć w pozycji leżącej. Trwało to chwilę. Kiereński powstał, z widocznym wysiłkiem i niechęcią, ciągle z wyrazem całkowitego wyłączenia się z tego co się wokół dzieje.

Przepisowo zameldowałem o swoim przybyciu do dyspozycji, komunikując jednocześnie, że czołowe eszelony XVII Korpusu piechoty 8 Armii, której jestem wojennym komisarzem Tymczasowego Rządu znajdują się obecnie na kolejowych liniach między Ługą a Pskowem i są do dyspozycji naczelnego wodza, jako wojska wierne rządowi republiki.

W ponurej ciszy sali i całego pałacu, pełnego szeptów, jakby mysich pisków po kątach, i niepokoju ludzi bezbronnych, opuszczonych, skazanych na klęskę, mój meldunek

człowieka jeszcze nie pokonanego, wypowiedziany o pół tonu głośniej, niż by wystarczało, zagrzmiał jak archanielska pobudka do walki. Kiereński, naraz zbudzony od wewnątrz, żywo się ku mnie posunął, kordialnie potrząsnął moją prawicę i zażądał szczegółów i wyjaśnień. Niecierpliwie kazał obecnym oficerom pozasłaniać ciężkimi portierami okna, za którymi wśród ciemności jesiennej nocy trzaskały karabiny i terkotały kulomioty. Nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że ich odgłos irytuje Kiereńskiego w chwili stosownej do poddania się nowemu optymizmowi. Nie hamując dobrego humoru, natychmiast wydał rozkaz skierowania XVII Korpusu pod stolicę. Dyspozycje, dotyczące transportu miały być przekazane przez Kwaterę Główną Północnego Frontu, czyli przez gen. Czeremisowa. Po czym gościnnie polecił służbowemu oficerowi zainstalować mnie w pałacu, wraz z moimi ludźmi.

Byłem bardzo zmęczony.

Dwutysięczny bez mała, kilometrowy rajd, prawie bez wypoczynku, wyczerpał nawet moją przysłowiowo końską odporność. Tym bardziej, że byłem po długiej chorobie. W drodze, zwłaszcza na Czernihowskiej szosie, dziesiątkami kilometrów prostej jak strzelił, gładkiej jak posadzka, zresztą klinkierowanej, jedynej bodaj tego rodzaju w Rosji, gdy widziałem, jak szofer Malejew zasypia, chwytałem kierownicę na setki kilometrów i... też zasypiałem. Wrzask nad uchem ordynansa Jewsiejewa budził mnie do przytomności, gdy wóz już sunął tuż nad rowem.

Toteż natychmiast po wejściu do przydzielonej mi komnaty, gdzie już czekał na mnie mój dobry Jewsiejew, by ściągnąć ze mnie buty i zabrać ubranie, chciałem rzucić się na wspaniałe łoże, pamiętające niedawnych, a ileż wytworniejszych ode mnie, użytkowników, gdy nerwowy stuk do drzwi i wejście Borysa Sawinkowa spędziło mi sen z oczu i znieczuliło na fizyczne zmęczenie.

JESZCZE O SAWINKOWIE

Z każdym moim przypomnieniem Sawinkowa jest tak jak było przy każdym z nim spotkaniu. Pierwszym refleksem mózgu jest potrzeba uchwycenia jego tożsamości: *kim był, kim jest naprawdę?* I — zwykłą koleją rzeczy — natychmiast obstępują, tłoczą się jedna przez drugą zasłyszane opinie, sprzeczne, namiętne, kategoryczne, najczęściej rozbieżne z moimi własnymi wrażeniami i z faktami, jakie znałem.

Przez tysiące ludzi, którzy go znali, Sawinkow był uważany za zimnego ideowca, obcego wszystkim słabostkom i sentymenom. Opinie towarzyszów partyjnych i politycznych przyjaciół często się pokrywały z opiniami wrogów, różniąc się tylko w barwie głosu, jakim podziwiano, czy potępiano bezwzględność i fachowość dokonywanych przez niego, lub pod jego kierownictwem zamachów. Więc „człowiek, któremu ręka nie drgnie, gdy ma zabić wroga".

Inni odmawiali mu wszelkiej ideowości, brali go za zuchwałego i pozbawionego skrupułów awanturnika. Jeszcze inni — za demona terroryzmu. Byli tacy, co zapominając o długich i niebezpiecznych latach rewolucyjnej działalności, widzieli w nim tylko karierowicza rewolucji, żądnego władzy. Dla kołtunerii był „żydowskim parobkiem", dla reakcji — „żydo-masonem". Przez Żydów natomiast był dla odmiany podejrzewany o antysemityzm, mimo że w powtórnym małżeństwie był ożeniony z piękną i przemiłą panią Eugenią z domu Zilberberg, a ostatnim, fatalnym romansem jego życia była pani Derenthal, też Żydówka. Ona to go właśnie w prawdziwie demoniczny sposób oddała w ręce agentów bolszewickiego Czeka.

Mówiąc o tym rzekomym antysemityzmie Sawinkowa, muszę podkreślić, że należał on do tego rodzaju ludzi, którym

nie tylko obce są wszelkie rasowe czy narodowe uprzedzenia, ale którzy po prostu nie pojmują, że ktoś inny może odczuwać swoją odrębność z racji pochodzenia Kochał Rosję, lubił Polskę, pogardzał Rosjanami, nie bardzo lubił Polaków, uważał siebie za frankofila. Wydaje mi się jednak, że gdzieś poza emanacją inteligenckich i politycznych konwenansów, Francuzów też zbyt wysoko nie cenił W Paryżu przemieszkał szmat życia i czuł się tam prawdziwie w domu. Cieszyły go rozrywki, głównie wyścigi, dobra, niedroga kuchnia i przebywanie w stolicy świata, gdzie mógł się intelektualnie wyżywać w codziennych spotkaniach z wielkim światem literackim, artystycznym i politycznym Przez swoją działalność rewolucyjno-terrorystyczną był związany z całym szeregiem rewolucjonistów-Żydów, z niektórymi z nich, jak Rutenberg, Bunakow-Fondaminski, węzłami przyjaźni na całe życie. Być może, nie lubił głupich Żydów, lecz jeśli to ma być tytuł do antysemityzmu, to świadczę, że był w równym stopniu antyfrancuzem, antyanglikiem, a przede wszystkim antyrosjaninem.

Jekatierina Breszko-Breszkowska, Wiktor Czernow i wielu podobnych im cenzorów partyjnej i rewolucyjnej czystości uważali Sawinkowa za „w gruncie rzeczy" kontrrewolucyjnego dekadenta na gościnnych występach w rewolucji, w której wyżywać się miały jego dekadenckie skłonności do zaglądania w męty i otchłanie duszy ludzkiej, zwłaszcza rewolucyjnej. Bo Sawinkow był również bardzo poczytnym literatem Krytyka zaliczała go do szeregu zdolnych i bardzo oryginalnych pisarzy Jego psychologiczne studium „Blady koń" przez dłuższy czas było modną lekturą w sferach najbardziej chciwych literackich nowinek i sensacji Było to w okresie, gdy „postępowe" a kulturalne społeczeństwo rosyjskie oscylowało między rewolucyjnym radykalizmem społecznym a anarcho-indywidualizmem. Sawinkowskie zapuszczanie literackiej sondy w błąkającego się w niezdecydowaniu rosyjskiego ducha odpowiadało i jednym i drugim, poza ortodoksyjnymi stróżami linii partyjnej. Sawinkow-pisarz, Sawinkow-człowiek nie czuł się skrępowany przez politycznego Sawinkowa-marksistę i dociekliwości umysłu nie poświęcał dla

katechizmu walki klas. Nie tylko bolszewicy, lecz najzwyklejsi tępacy wietrzą zawsze w takich postawach jakąś zdradę.

Na codzień i w bliskim obcowaniu Sawinkow był łatwym, interesującym a bezpretensjonalnym towarzyszem. Trudno uwierzyć, by przy swojej inteligencji był całkowicie wyzbyty ambicji wielkiego człowieka, jeśli je wszakże miał, to ukrywał je tak dobrze, że nie zdradził ich nigdy żaden niekontrolowany odruch. Miał przy tym duże poczucie humoru, które w dziwny sposób potęgowało się w okolicznościach, jakie zazwyczaj u zwyczajnych ludzi wywołują nastroje bardziej serio: niepokój i strach.

★ ★ ★

Sawinkow wszedł do pokoju, najserdeczniej się przywitał, po paru konwencjonalnych zdaniach zapytał wprost, po co przyjechałem. Z mapami rozłożonymi na stole zapoznawałem Sawinkowa z planami o spodziewanej dyslokacji poszczególnych eszelonów XVII Korpusu. Najbardziej interesowały go nastroje wśród niższych oficerów i żołnierzy Opowiedziałem mu więc o czym rozmawiałem z żołnierzami naszej 65 dywizji, podczas dokonanego przeze mnie przeglądu dwóch pułków. Że życzyłem im, by jak najszybciej wykurzyli ze stolicy 200.000 darmozjadów i dekowników, którzy tam od dłuższego czasu siedzą pod opieką Petersburskiego Sowdepu, opierając się wysłaniu na front. Że żądałem od nich, by po zajęciu stolicy wyrzucili na łeb z koszar, z kancelarii i biur wałęsających się tam cywilów, oczyścili koszary z pluskiew, śmiecia i bolszewickich mącicieli, a w mieście zaprowadzili przepisową służbę garnizonową i wartowniczą. Że w zamian obiecałem im w imieniu Rządu Republiki dobry wikt, nowe mundury, urlopy do domów i wszystkie legalne przywileje, należne bohaterskim obrońcom ojczyzny po trzech latach siedzenia w okopach.

— A nie zapomniał pan przypomnieć im o obowiązkach „pogłębiania rewolucji i demokracji"? — spytał Sawinkow z udanym zdziwieniem.

Udając, że nie zauważyłem ironii pod niewłaściwym adresem, odpowiedziałem, co on wiedział może lepiej, że kon-

kretne korzyści bardziej przemawiają do przekonania chłopom, niż pańskie patetyczne oklepanki wiecowe, które już wywołują zgagę. Przeszliśmy do charakterystyki dowódcy korpusu, gen. Szyllinga.

Już dość długo trwała nasza rozmowa, gdy Sawinkow, jakby po chwili wahania i zniżając głos, zaczął mówić, że nasze sprawy stoją bardzo źle, prawie beznadziejnie, że nikt nie chce bronić Tymczasowego Rządu, że kozacy generała Krasnowa już się zszeptują między sobą, a młodzi oficerowie wręcz zuchwale patrzą w oczy swego dowódcy, nie rozumiejąc, czemu mają się bić „za Kiereńskiego" Sawinkow komunikuje mi w zaufaniu, że dojrzała w nim decyzja usunięcia Kiereńskiego i otaczających go komisarzy, namawiających go do kapitulacji i porozumienia z bolszewikami. Uważa, że należy natychmiast stworzyć wojskowy rząd z którymś z poważnych socjalistów na czele, takich, co do których istnieje pewność, że nie pójdą na pokojowe ugody z Trockim i Leninem. Wysuwa nazwiska Plechanowa i Czajkowskiego, w razie ich wahania lub odmowy, gotów jest sam objąć kierownictwo nowego rządu pod haslem ratowania ojczyzny. — Jak ja się na to zapatruję?

Nie byłem zaskoczony rewelacjami Sawinkowa i jego decyzją przewrotu pałacowego. Wiedziałem, że już jako minister wojny a także po swojej dymisji pracował w jedynym rozsądnym kierunku koncentracji zdrowych sił w wojsku i społeczeństwie dla ratowania nie „rewolucji i demokracji", jak krzyczeli histerycznie wokół wszyscy z rządem na czele, ale dla ratowania państwa i ojczyzny przed bolszewickim niebezpieczeństwem. Jeszcze przed dymisją wskazywał na nieodzowną potrzebę przywrócenia dyscyplinarnych praw dowódcom w armii, ograniczenia prerogatyw rewolucyjnych komitetów wszystkich stopni, zmiany uprawnień wojennych komisarzy w wojsku i rozpędzenia Sowdepu, głównej trybuny bolszewickiej demagogii, paraliżującej wszelkie poczynania rządu. Prócz Sawinkowa nikt śmiertelnego zagrożenia od strony bolszewizmu nie dostrzegał.

W dalszym ciągu rozmowy Sawinkow potwierdził moje

spostrzeżenia, o co najmniej dziwnej taktyce gen. Czeremisowa. Posiada wiadomości — mówił — że gen. Czeremisow na lewo porozumiewa się, nawet umizga, do wyraźnie już bolszewizujących komitetów rewolucyjnych Północnego Frontu, a jednocześnie konspiruje na prawo z organizacjami monarchistów w Moskwie. Z tego lawirowania korzyść mają tylko bolszewicy.

★ ★ ★

Szybko mijały godziny nocy i rozmowa przeciągnęła się do świtu. Przed udaniem się na krótki wypoczynek ustaliliśmy, że jest wskazane do projektowanego przez Sawinkowa wojskowego rządu powołać gen. Szyllinga, dowódcę XVII Korpusu. O ile, oczywiście, uzna on celowość pałacowej rewolucji robionej w Gatczyńskiej oficynie. Przed południem mieliśmy pojechać na „front" walki, to znaczy pod Carskie Siolo, odległe o pół godziny jazdy, gdzie toczyła się ostatnia wielka bitwa o los rosyjskiej demokracji. Postanowiliśmy rozmówić się z gen. Krasnowem, gdyż bez jego pomocy projektowana izolacja premiera i naczelnego wodza oraz jego komisarzy była nie wykonalna technicznie z braku ludzi. Ani Sawinkow, ani ja nie posiadaliśmy pod ręką nawet tych kilkunastu zaufanych, potrzebnych do wystawienia wart. Nie dysponowaliśmy także środkami transportowymi dla wywiezienia aresztowanych z Gatczyny, by nie zostawić ich na pastwę bolszewikom.

W naszych planach było natychmiastowe wycofanie się na południe razem z kozakami Krasnowa dla zerwania wszelkiej łączności z wrogiem aż do połączenia się z pierwszymi oddziałami XVII Korpusu Koncentracja wojsk nastąpić miała w możliwie najbliższej odległości od stolicy, skąd dowództwo rozpoczęłoby realizację strategicznego planu jej zajęcia. Zdawaliśmy sobie sprawę, że tylko szybkość realizacji naszego zamierzenia i późniejsze powodzenie mogą usprawiedliwić w przyszłości zbrodnię zamachu stanu. Miałem także na względzie jak najrychlejsze odizolowanie naszych wojsk od destrukcyjnych wpływów sztabu Północnego Frontu, od demoralizującej propagandy tzw. „neutralnych" jednostek i ich rewolucyjnych komitetów.

Nie mieliśmy zamiaru powtórzenia fatalnego błędu gen. Korniłowa w sierpniu.

Na tym stanęło.

GENERAŁ KRASNOW ODMAWIA

Niskie i blade północne słońce dobiegało południa, gdy adiutant Sawinkowa, rtm. Kuźmin Karawajew, zapukał do moich drzwi, pytając czy już jestem gotów do wyjazdu. Zszedłem do samochodu, przy którym już się kręciło dwóch osobników w półwojskowych mundurach. Przedstawili się. Jeden jako kpt. Koźmin, zastępca dowódcy Petersburskiego Okręgu Wojennego; wyglądał jak najbardziej żałośnie. Drugi mały, fatalnie pokręcony we wszystkich płaszczyznach, z oczami odrażająco wybałuszonymi, nazywał się Siemionow i był komisarzem rządu jakiejś formacji (później się dowiedziałem, że był blisko z Kiereńskim). Panowie ci z miejsca poprosili mnie o zabranie ich na „front" Pogadując o pogodzie, zaglądaliśmy sobie w oczy badając dusze, aż zszedł Sawinkow, a dowiedziawszy się, że ci dwaj mają z nami jechać, szepnął mi po polsku do ucha: „Aniele, stróżu mój ..."

Pojechaliśmy na ów wielki front. Carskie Sioło grzmiało. Bynajmniej jednak nie za sprawą czerwonej gwardii, marynarzy, czy kozaków gen. Krasnowa. Piekielna kanonada była dziełem „neutralnych" kibiców miejscowego garnizonu. Walili w powietrze dla zaznaczenia, że czuwają nad zgłoszoną neutralnością, demonstrując siłą neutralnego ognia jej wagę dla walczących stron. Nabojów rzeczywiście nie oszczędzali.

Wyglądało to wszystko na jakąś niezwykłą i niewiarygodną hecę. Opodal, na prawie że otwartej przestrzeni paru kwadratowych kilometrów postrzeliwały ku sobie z rzadka i z bezpiecznej odległości trzy, cztery tysiące przeciwników, gdy tuż obok w granicach miasta dwadzieścia tysięcy, a może i więcej, nie bijąc się z nikim, gorączkowo strzelało w okna Pana Boga, trzaskiem i hukiem ogłuszając uszy.

Gen. Krasnowa odnaleźliśmy na kolejowym dworcu, gdzie znajdował się jego polowy sztab. Kozacki generał, którego

poznałem osobiście w pierwszym roku wojny jako prawie że młodego oficera, sprawiał obecnie wrażenie starego, złamanego, udręczonego człowieka. Wysłuchał relacji Sawinkowa o położeniu politycznym i inercji Kiereńskiego z opadniętą w dół głową, jak się słucha wiadomości o śmierci. Zapytany czy zechce przyjąć aktywny udział w naszym zamiarze, wycofać się z beznadziejnej pozycji pod Carskim Siołem, połączyć z korpusem gen Szyllinga i maszerować na Petersburg — długo milczał, choć wcale nie robił wrażenia, że się namyśla, i w końcu powiedział:

— Panowie. Kozacy są zmęczeni. Jeśli nie walką, to stanem pogotowia. A bardziej od zmęczenia wyczerpani są świadomością zupełnego osamotnienia. Jak może być inaczej? — mówił beznamiętnie, lecz z goryczą i rezygnacją. — Jak można wierzyć w słuszność sprawy, której kazano im bronić, w prawo strzelania do braci, skoro widzą, tak samo jak ja, tak samo, jak wszyscy oficerowie, że nikt nas nie popiera, nikt nie spieszy z pomocą... Wiem to, czuję, że oni już nie chcą strzelać do swoich, już są bliscy do opowiedzenia się za neutralnością, jak wszyscy dokoła... Więc ja nie mogę na domiar wszystkich nieszczęść, jakie na nich spadły, wciągać ich w niezrozumiałą dla nich zawiłą ideję nowego buntu przeciw legalnej władzy. Zresztą nie mogę wydawać rozkazu, ryzykując, że go nie usłuchają.

I na ostatek generał, jakby wyczerpując temat, dodał:

— Pozycja pod Carskim Siołem jest nie do utrzymania. Jesteśmy ze wszystkich stron otoczeni wrogą neutralnością. Boleśniej ona rani, niż kule nieprzyjaciela, i bardziej niszczy żołnierskie morale, niż najwymyślniejsza propaganda przeciwnika. Nocą wycofuję się z pola i odchodzę na Gatczynę.

Nie mieliśmy nic do powiedzenia.

★ ★ ★

Gen. Krasnow prócz swojego generalstwa i pięknej bojowej karty dowódcy konnicy, był już wówczas dość znanym pisarzem beletrystycznym. Jego „Amazonka Pustyni", mniej znana niż późniejsze wielkie dzieła „Od dwugłowego orła do czerwonego sztandaru" i „Rosja za kolczastymi ostami", jest pełna egzotycznego romantyzmu i poetyckiego uroku.

Mówiło się później że to właśnie staroświecki romantyzm literacki przesłaniał mu widzenie politycznych realiów, kiedy w roku 1918 był atamanem przez pewien czas całkowicie niezależnej Dońskiej Republiki. Krasnow nie przejdzie do historii, jako szczęśliwy polityk. Jego próby szukania pomocy przeciw bolszewikom najpierw w cesarskich Niemczech, później hitlerowskich skończyły się niesłychaną klęską. Po drugiej wojnie światowej został wydany przez Aliantów Sowietom i powieszony w Moskwie na Krasnej Płoszczadi, jako zdrajca ojczyzny. Nie zwyczajnie, bo za żebra.

MOJE OSTATNIE CHWILE Z „KIEREŃSZCZYZNĄ"

Nasza rozmowa z gen. Krasnowem była najzupełniej poufna i nie mieliśmy wątpliwości, że generał oficerskiego słowa dotrzyma. Inaczej rzecz się przedstawiała z młodymi oficerami, towarzyszącymi Sawinkowowi z powodów nie bardzo dla mnie zrozumiałych. Przyznał, że uważał za wskazane kilku z nich powiadomić o możliwym kryzysie, niezależnie od walki z bolszewikami, a wymagającym zdecydowania i odwagi. Być może któryś z nich nie potrafił powściągnąć się od niedyskretnych aluzji, że coś się sensacyjnego kroi, w rozmowach z oficerami z otoczenia Kiereńskiego.

Z Carskiego Sioła wyjechaliśmy już po ciemku, razem z naszymi nieproszonymi pasażerami, Koźminem i Siemionowem. Milczeliśmy wszyscy. Nie wiem, o czym myślal Sawinkow i nasi towarzysze podróży, ja natomiast myślałem, że wiem przynajmniej, co mam z sobą robić. Oglądany na własne oczy epilog walki, której prawie nie było, unicestwił moje wahania i wątpliwości.

Packard mknął w ciemną noc, aż nagle w dalekosiężnych światłach latarni zamajaczył na podśnieżonej szosie łańcuch uzbrojonych ludzi.

— Bolszewicy ... — wycharczał przerażony Siemionow.

— Nasi — zreflektował go Koźmin

Tymczasem tamci, nie próbując odgadnąć, czy my „nasi", czy nie „nasi", dali niecelną salwę. Małejew nacisnął gaz do deski, oślepił dalekosiężnym reflektorem, i przelecieliśmy obok nierozpoznanych wojaków jak widmo, dopędzani ćmakaniem niecelnych kul jakichś bardzo upartych a kiepskich strzelców.

Wieczorem Kiereński nie był już dla mnie tak wylanie uprzejmy jak poprzedniego dnia. Oficerowie z jego otoczenia omijali mnie z daleka, jak trędowatego.

Ze sztabu Północnego Frontu coraz to nadchodziły wiadomości o trudnościach z transportem eszelonów XVII Korpusu. Winę składano na „Wikżel". Może to właśnie ta okoliczność wpłynęła na oziębienie gościnności dla mnie w sztabie naczelnego wodza... Mały komisarz Siemionow, który zaczął traktować mnie protekcjonalnie, chyba z tytułu swej poufałości z Kiereńskim, wziął mnie w pewnej chwili na koleżeńską indoktrynację, i odwołując się do mojej rozwagi i niewątpliwej solidarności z demokracją, wyliczał przede mną po mentorsku na palcach wszystkie nieszczęścia, jakie spaść mogą na demokrację i rewolucję z ewentualnych nieobliczalnych posunięć Sawinkowa. Sawinkow, powiadał, jest niewątpliwie zasłużonym rewolucjonistą, ale ulega ostatnio wpływom kontrrewolucji. Nie zasługuje więc już na zaufanie, a tym bardziej na posłuch i współdziałanie.

Odpowiedziałem Siemionowowi spokojnie, lecz twardo, bo uważałem, że już nie czas na grzeczności; że myślę i radzę wszystkim myśleć z największym pośpiechem o nieobliczalnych skutkach dla rewolucji i nieszczęściach dla demokracji, jakie już spadły z nieprzyjemnego faktu zwycięstwa bolszewików. — Jest to najpoważniejszy temat do rozmyślań bez zwłoki, bo czasu pozostało niewiele — zakończyłem i pożegnałem mentora.

Nazajutrz doświadczyłem innych zabiegów ze strony komisarzy Siemionowa i Wojtinskiego, które miały na celu izolowanie mnie od Sawinkowa. Może bym o nich nie wspominał ze względu na moją skromnę osobę i na poziom tych zabiegów, gdyby nie były tak bardzo charakterystyczne dla dogorywającej „kiereńszczyzny". Oto jak je opisuje historyk rosyjski Mielgunow w swojej źródłowej książce „*Kak bolszewiki zachwatili własť*":

> „Wojenny komisarz Tymczasowego Rządu Więdziagolski, który przybył do Gatczyny 28 października (?) z zawiadomieniem o posuwaniu się na północ całego korpusu, był zaskoczony, że w Gatczynie nie miano pojęcia o dyzlokacji wojsk Północnego Frontu. Również było bardzo charakterystyczne, że Wędziagolskie-

go, podejrzanego o bliskie stosunki z Sawinkowem, starano się odsunąć od jakiegokolwiek kierownictwa. Zamianowano go więc nasamprzód komisarzem pancernego pociągu (który istniał tylko w fantazji panów komisarzy, otaczających Kiereńskiego — przypisek mój) ... Następnie zaproponowano mu wyjazd do Estonii na stanowisko komisarza rządu w tej prowincji, a następnie delegowano go jako agitatora do jakichś oddziałów z rozluźnioną dyscypliną, przy czym Wojtinski nie omieszkał zastrzec, że jeśli te oddziały wykażą nazbyt prawicowe usposobienie, to należy im nastąpić na ogon".

Relacja ta, oparta na świadectwie prof. P. Milukowa (*„Rossija na pierełomie"*) jest na ogół ścisła. Istotnie w ciągu paru dni posypały się na mnie nominacje jedna za drugą. Rzecz charakterystyczna, że tym wszystkim, którzy wysilali się nad sposobem rozłączenia mnie z Sawinkowem i XVII Korpusem nie wpadło do głowy zapytać dlaczego nie podporządkowałem się poprzedniej nominacji. Rozgardiasz był już kompletny.

W końcu, uświadamiając sobie, że w ostatnim akcie niewątpliwie wielkiego dramatu, ale też niewątpliwie sfuszerowanego przez miernych aktorów, nie mam nic do roboty, postanowiłem działać na własną rękę. Zamach stanu, wobec stanowiska gen Krasnowa, zawisł w powietrzu. A w gatczyńskim pałacu było coraz duszniejsze powietrze. Zameldowałem się u Kiereńskiego — względy dyscypliny służbowej jeszcze obowiązywały — z prośbą o pozwolenie na powrót do mojej 8 Armii, w rzeczywistości do XVII Korpusu. Kiereński znów popadł w stan prostracji, więc zignorował sprzeciwy swoich doradców i kazał adiutanturze wystawić mi odpowiedni dokument.

Z dokumentem podróży w ręku, udałem się na górę do Sawinkowa, by mu zakomunikować o mojej decyzji natychmiastowego odjazdu na południe. Starałem się go przekonać, że powinien zrobić to samo. Jutro, może dziś w nocy, stać się może za późno. Tajemnicze kontakty Wojtinskiego i Siemionowa z jakimiś ciemnymi figurami, które na kilo-

metr czuć Smolnym Instytutem (sztab bolszewicki), o czym mnie informował ordynans Jewsiejew, mający oczy i uszy zwrócone na kuchenne schody pałacu, wróżyły rychłą kapitulację. Najwyższy czas wycofać się na „z góry przygotowane pozycje". Sawinkow bez namysłu przyznał mi rację. Kazałem szoferowi Malejewowi szykować Packarda do dalekiej drogi. Wyjechać mieliśmy o zmroku.

Z okien pałacowego skrzydła przyglądał się krzątaninie Malejewa i Jewsiejewa przy samochodzie wielki książę Michał Romanow, brat Mikołaja II, któremu car w akcie abdykacji przekazywał tron. Gdy na chwilę zszedłem na dziedziniec, podszedł do mnie sekretarz wielkiego księcia, Johnson, Anglik, zapytując w jego imieniu czy mógłbym wielkiego księcia zabrać ze sobą.

Stanąłem przed trudnym problematem.

Od dziecka uczono mnie: „nie bądź świnią, jeśli nie musisz!" Pomyślałem z przykrością czy nie jest to właśnie wypadek, gdy muszę być świnią. Osobiście, oczywiście i bez namysłu byłbym zdecydowany zabrać wielkiego księcia. Ale Sawinkow...? Długoletni szef terrorystycznej organizacji, polujący na życie cara i mordujący mu najwierniej oddanych...? Odpowiedziałem, że nie mogę sam decydować. Jadę z Sawinkowem, odpowiedź przyniosę za chwilę.

Pan Borys przyjął pytanie czy zgodzi się jechać obok „generała" Romanowa, formalnie ostatniego cara Wszechrosji, jak uderzenie pałką po głowie. Jednakże bez namysłu i wahania, a z czarującym uśmiechem powiedział krótko: — Oczywiście. Przecież nie możemy go tu zostawić.

Czułem, jakby się koło mnie przesunął cień dawnego, rycerskiego wzoru życia. Pomyślałem, niby z innego planu: „Obcy, surowi i wrodzy byli carowie. Walczyło się z nimi na śmierć za krzywdy, lecz nie można im odmówić, że do nich należała epoka honoru i dobrego smaku".

Z Sawinkowem wielki książę nie pojechał. Widocznie nie każdy sposób ratowania życia mógł zaakceptować. W rok później on i Johnson dostali naganowe kule w potylice.

Dochodziła północ, gdy cicho wysunęliśmy się z bramy pałacu w kierunku... donikąd.

W POSZUKIWANIU XVII KORPUSU

Pochłonęła nas zimna, wilgotna i mglista noc. „Neutralne" wojska garnizonu w Gatczynie, bardziej niebezpieczne dla podróżujących niż dla wojujących stron, chwalić Boga, opieszale wykonywały wartowniczą służbę zbrojnej neutralności. Wszystkie rogatki były opuszczone przez straże, za to przy wszystkich przydrożnych szynkach grzmiało bujne życie, gdyż tam się decydowały sprawy wielkiej polityki i już bezapelacyjnie triumfowały nowe upajające slogany.

Nie wiedzieliśmy, że wyprzedzamy zaledwie o parę godzin ucieczkę Kiereńskiego w przebraniu, i że za parę godzin kozacy gen. Krasnowa poddadzą się zwycięskiemu bolszewickiemu dowództwu.

Zaszyci w ciepłe kożuchy, to zapadaliśmy w niespokojną nerwową drzemkę, to zbudzeni podrzutem resorów zamienialiśmy kilka słów o wrażeniach ostatnich dni, unikając rozmowy o jutrze. Ługę, powiatowe miasto pogrążone w ciemnościach, mijaliśmy już po północy Na ulicach nie było żywej duszy, żadnej straży ni wart, tylko dworzec kolejowy świecił z daleka, płonął łunami i huczał wzmożonym ruchem pociągów.

Na chwilę stanęliśmy przy wojskowej platformie. Rtm. Karawajew pobiegł na dworzec dowiedzieć się od dyżurnego ruchu o czołowe eszelony XVII Korpusu. Po dłuższym oczekiwaniu zjawił się, niosąc odpis depeszy generalnego kwatermistrza Północnego Frontu, który powołując się na rozkaz komisarza rządu Wojtinskiego nakazywał wstrzymanie ruchu wszystkich rządowych wojsk poprzednio skierowanych na Petersburg, a przede wszystkim wycofanie naszych oddziałów na południe, do rejonu Pskowa. Kierownik ruchu i zawiadowca stacji zakomunikowali rotmistrzowi, że właśnie parę godzin temu ostatni eszelon naszej 35 dywizji odszedł z powrotem na południe.

Sawinkow przyjął wiadomość spokojnie, pochylił się ku mnie i półgłosem zacytował Puszkina: „...*tak tonut maleńkije dieti*..."

Szofer Malejew zapytał służbiście dokąd jechać. Sawinkow spojrzał na mnie, ja spojrzałem na niego i powiedziałem zdecydowanie, przesłaniając tonem blagę treści: — Do Pskowa! (Zdawałem sobie sprawę, że w Pskowie też nie dogonimy uciekającego czasu. Ale dla nas nie było już żadnego kierunku. Albo nazad do Gatczyny, a z Gatczyny do Petersburga, do Smolnego Instytutu a nazajutrz pod ścianę, albo do Pskowa. jako że to przed siebie i prosto.)

Za Ługą szosa, jak strzelił, wpada w Nowgorodzkie puszcze, las trwa przez dziesiątki kilometrów, ani domostw, ani ruchu na drodze, cisza i noc, tylko w światłach reflektorów rzut białej szosy w kudłatym obramowaniu lasu, posrebrzonego obficie śnieżną szadzią. Powoli sen nas zmorzył. Obudziła nas cisza i bezruch. Dokoła samochodu chodził Malejew, zabijając zmarznięte ręce; robił wrażenie desperata. Gdym zapytał co się stało, odpowiedział z rozpaczą w głosie, że prawa tylna opona nawaliła, a ze skrzynki zniknął lewar do podźwignięcia wozu i nie ma sposobu zmienić koła. A dokoła bagna i lasy, i całkowity paraliż na drogach, spowodowany widocznie zamieszaniem rewolucyjnym.

Stoimy bezradnie, wiedząc, że czekanie na nic się nie przyda.

Nagle Sawinkow zapytuje mnie o coś i ruchem głowy wskazuje przed siebie. W dużym oddaleniu raz w raz błyskają i gasną niebieskie ogniki, jakby ktoś z oddali sygnalizował nam coś w nieznanym kodzie. Rotmistrz Kuźmin-Karawajew wnioskuje pośpiesznie, że to auto, Sawinkow skłania się do ręcznej latarki, ja stawiam na zająca, ale Malejew, doświadczony kłusownik spod Wałdaja stwierdza autorytatywnie, że to dwa łosie stoją na szosie i popatrują na nas. Tylko oczy łosia, mówi, świecą na taką odległość i tak niebiesko, ciut — fioletowo.

Latarka, zając, czy łoś... a może auto, a może wróg... mimowolnie pomyślałem o naszej obronności. Nie przedstawiała się zbyt imponująco. Dwa pistolety i szabla rotmistrza.

Szabla!!!

Oczywiście chwytam szablę. Kazałem sobie poświecić ręczną latarką po lesie, wybrałem śmigłą brzozę na cztery-pięć cali grubą, ściąłem ją jak wprawny drwal, oczyściłem z gałęzi i tym zaimprowizowanym lewarem podnieśliśmy wóz i trzymaliśmy go tak długo, aż rezerwowe koło zostało wmontowane.

Aktywność tej sceny w połączeniu z poczuciem dokonania czegoś użytecznego i pomyślnego po raz pierwszy od chwili opuszczenia Gatczyny dodała obiegowi naszej krwi życia i odrobiną optymizmu rozjaśniła nastrój beznadziejności i niewiary.

W Pskowie, jak było do przewidzenia, po XVII Korpusie nie zostało ani śladu.

W OBRĘBIE WIELKIEJ I MAŁEJ ZDRADY

W świetle białego rana oglądaliśśmy ulice starożytnego Pskowa, zmodernizowane straszliwym niechlujstwem.

Stanęliśmy w hotelu, by chwilę wypocząć, coś zjeść i doprowadzić swój wygląd do porządku przed zamierzoną wizytą u gen. Czeremisowa. Przygotowaliśmy dla głównodowodzącego drażliwe pytania — jak powiedział Sawinkow — dla historii. O powodach rozproszenia naszego XVII Korpusu; o powodach zaniedbania opieki nad transportami i zaopatrzeniem; o stworzenie warunków, w których z taką pieczołowitością przysposobione wyborowe kadry ulec musiały zwątpieniu w celowość zamiarów ich dowództwa i destrukcyjnym wpływom wrogiej propagandy. Chcieliśmy z bliska spojrzeć w oczy człowiekowi, który miał w owym czasie największe możliwości pokonania bolszewików. Chcieliśmy również się dowiedzieć co generał myśli o dokonanym bolszewickim przewrocie i z jakich dotychczasowych swoich obowiązków rezygnuje wobec faktu likwidacji legalnego rządu.

Gen. Czeremisow odmówił jednak przyjęcia Sawinkowa, jako osoby postronnej, jako że Sawinkow nie był już ministrem. Wobec czego ja się też uchyliłem od złożenia wizyty. Nie byłem zainteresowany historią, a przekonany, że rozmowa będzie banalna, fałszywa i nie doprowadzi do żadnego celu. Wobec czego Sawinkow uparł się o przywołanie do aparatu Huguesa generał-kwatermistrza Barańowskiego, jak powiadano, szwagra, czy krewniaka Kiereńskiego. Wszystkie nasze pytania utrwaliliśmy na wstędze, którą Sawinkow zabrał ze sobą i ogłosił później we francuskiej prasie, oskarżając dowódcę Północnego Frontu o rozmyślne przeciwdziałanie obrony legalnego rządu, do czego miał w dyspozycji trzy dywizje wypróbowanego i wyborowego wojska.

Ponieważ ani Czeremisow ani Baranowski nie mogli nic wiedzieć o niedoszłym zamachu w Gatczynie, Sawinkow, powołując się na całkowitą solidarność z Kiereńskim, tak uporczywie domagał się widzenia z Baranowskim, że ten w końcu nas przyjął. Wykrętnie, ale w przejrzystych aluzjach dał nam do zrozumienia, że wszystkie dyspozycje powodujące rozproszenie XVII Korpusu wydawane były na osobisty rozkaz gen Czeremisowa.

W ten sposób nasza misja w Pskowie skończyła się na zebraniu garści materiałów „dla historii".



Sawinkow uznał za konieczne powiadomić swoich ludzi w Petersburgu o wypadkach ostatniej doby. Wobec tego rtm. Kuźmin-Karajew odjechał do Petersburga pierwszym pociągiem, jaki się nadarzył, gdy my tymczasem odbywaliśmy swoje historyczne wywiady.

O zmroku zjedliśmy marny obiad w hotelu przy zwykłym akompaniamencie rewolucji. Miasto drżało od karabinowej strzelaniny we wszystkich kierunkach, wybitnie rozrywkowej, bo żadnego nieprzyjaciela nie było w pobliżu. Na dworze ciemniało, wiało przelotnym śniegiem i beznadziejną nudą. Udawaliśmy jeden przed drugim, że myślimy co robić dalej, gdy w rzeczywistości wszystkie perspektywy przepadły w nicość. Uważałem zresztą, że decyzja o naszym wspólnym losie należy do Sawinkowa, gdyż z chwilą niemożności nawiązania kontaktu z XVII Korpusem wszelkie elementy mojej inicjatywy zostały wyczerpane. Nie wypadało mi poza tym w nowej a trudnej sytuacji sugerować starszemu i bardziej doświadczonemu człowiekowi moich idei i planów, niezależnie od tego, że ich nie posiadałem. Ale gdybym nawet posiadał, wątpię, czy bym ryzykował w hazardowej grze, gdzie stawką była głowa każdego z nas.

— Dokąd jedziemy, pora już nam ruszać — powiedziałem, gdy zauważyłem że w rogu sali restauracyjnej paru jakichś facetów nazbyt uważnie nas obserwuje.

Sawinkow dość długo się namyślał, wreszcie spytał czy możemy mieć całkowite zaufanie do szofera Malejewa. Był za-

skoczony, gdy mu bez namysłu odpowiedziałem, że nie możemy.

Malejew był żołnierzem przydzielonym do garażu XVIII Korpusu w Seletynie, gdzie przez dłuższy czas byłem jego bezpośrednim zwierzchnikiem. Ufał mi całkowicie i bez zastrzeżeń i później, gdy był przydzielony do mnie w 8 Armii i nie potrzebował o niczym myśleć prócz o Packardzie i mało czym się interesował poza służbą. Lecz obecnie po dłuższej podróży przez zbałwanione rewolucyjne morze, po tym co widział w Gatczynie, Carskim Siole, po tym co się nasłuchał od zrewoltowanych koleżków, Malejew mógł już niczemu i nikomu nie wierzyć, nawet mnie. Biorąc to pod uwagę, doszedłem do niepomyślnego dla nas wniosku, że Malejew w każdej chwili może nas zdradzić, doskonale zresztą się orientując, kim według bolszewickiej miary jest mój towarzysz podróży.

I bodaj dokładnie tak się stało w godzinę później.

Uradziliśmy tedy, że bezpieczniej będzie próbować dostać się do Petersburga koleją, w zatłoczonym wagonie, niż zjeżdżać do stolicy autem. Wydałem odpowiednie polecenia Malejewowi, który miał nas odwieźć na dworzec, a z Packardem wracać do 8 Armii. Potem słuchałem jeszcze wywodów Sawinkowa o konieczności i znaczeniu zwalczania bolszewickich wpływów wśród proletariatu siłą moralnego autorytetu starych i zasłużonych dla rewolucji socjalistów. Tak jakby proletariat w dzisiejszym stadium euforii interesował się moralnymi autorytetami.

Około godziny 18 Malejew zameldował się z autem przed hotelem.

Ledwo wyszliśmy na ganek z podręcznymi walizkami, przystąpiło do nas czterech typów w półwojskowych mundurach, żądając okazania dokumentów.

Sawinkow ku mojemu przerażeniu spokojnie i bez pośpiechu sięgnął prawą ręką do lewej górnej wewnętrznej kieszeni, gdzie miał pistolet. Nim jednak zdążył wydostać broń, ja w gwałtownym natchnieniu głupoty, to znaczy bez udziału myśli i rozwagi, bo na nie nie było czasu, rzuciłem się na czterech sukinsynów i wyplwałem na nich cały repertuar

obelżywych i strasznie rewolucyjnych słów ze współczesnego rynsztoku rosyjskiej prozy, wobec których staroreżymne uchybienie cnocie matki brzmiałoby jak raczej serdeczny objaw złego humoru.

— Dokumenty! — ryczałem jak nieprzytomny — a kto was... tacy i tacy i tacy... upoważnia by mnie, członka Petersburskiego Sowietu i mojego towarzysza od lat dziesiątków walczącego o rewolucję pytać o dokumenty, wy!... itd, itd — usiłowałem zgnębić prostaków, którzy chyba już nie wiedzieli, czy na samego Trockiego nie wpadli. Potok moich nieprzytomnych wrzasków i potrząsań pięścią przed zdetonowanymi gębami przerwał spokojny głos Sawinkowa:

— Towarzysze, przygotujcie swoje służbowe mandaty Porządek rewolucyjny musi być zachowany. My okażemy nasze, tylko wrócimy i zabierzemy od portiera.

Przez błysk sekundy i mnie się wydawało, że jakieś nasze dokumenty są u jakiegoś portiera, tak była sugestywnie rozegrana scena, więc gdy bęcwały odurzone mocną dawką mego autentycznego oburzenia i autorytatywnym spokojem Sawinkowa przychodziły do siebie na ganku, nam wystarczyło tych kilka minut ich transu, by przez ogrodowe drzwi wyjść na zawsze z hotelu, porzucając Packarda, nasze bagaże i kożuchy, w miłej nadziei, że przypadną poczciwemu Malejowowi.

Sawinkow, depcąc po ciemku po sterczących głąbach ściętej kapusty, dowcipkował z mego występu, trawestując ostatnie słowa Nerona: „Jaka szkoda, że taki wielki aktor jest zmuszony uchodzić kapuścianymi ogrodami od swoich oczarowanych słuchaczy...".

Ale wesoło nie było.

Nie było oczywista mowy o odjechaniu z dworca kolejowego. Niezawodnie już wszystkie wejścia i wyjścia były obstawione przez łapaczy. W pociągach też zapewne zarządzono poszukiwania za „wrogami ludu", co wobec koniunkturalnych nastrojów podróżującej publiczności, czyli chłopów i dezerterów, nie wróżyło dla nas pomyślnych szans. Postanowiliśmy przenocować gdzie się da, i dopiero jutro-pojutrze łapać petersburski pociąg na najbliższej podmiejskiej stacji.

Przenocowaliśmy w bezpiecznym miejscu, które się nazywało „Hotel London", i jak każdy „Hotel London" w Rosji było podrzędnym lupanarem. Zła sława tych przybytków szła w parze z całkowitą obojętnością administracji dla moralności klientów, przebywających tu z zasady „incognito". Już zasypiając, w tej zawsze dziwnej dla mnie chwili, gdy realne życie wymija się z małą śmiercią snu, ujrzałem twarz Malejewa i zrozumiałem, że on nas zdradził, i że już żałuje, i może cierpi.

PETERSBURSCY DEMOKRACI PO PRZEWROCIE

Do Petersburga przyjechaliśmy późnym wieczorem. Był to *już chyba 1 listopad (starego stylu).*

Z Dworca Warszawskiego wyszliśmy bardzo zawile klucząc przez bagażową bramę, gdyż Sawinkow przewidywał, że perony i wyjścia dla publiczności już się znajdują pod obserwacją. Na ulicach latarnie ćmiły oszczędnościowym półświatłem, co było dla nas pomyślną okolicznością. Zdobyłem się na dowcip i zaproponowałem hotel Regina. Seniorem portierów był sympatyczny Polak i warszawiak, pan Władysław, na którego liczyłem, że nam ułatwi pobyt i w szczegółach koniecznej mimikry może służyć użyteczną radą. Sawinkow przyjął projekt z entuzjazmem

Komunikacja tramwajowa prawie nie funkcjonowała, większość dorożkarzy była zajęta na wiecach i w karczmach sprawami państwowymi, jednak szczęśliwie trafiliśmy na mniej uświadomionego dryndziarza, który żwawo poruszył lejcami i zaćmakał na ledwie żywą szkapę, gdy usłyszał nazwę dobrego hotelu. Bez przygód dojechaliśmy na miejsce.

Portier-rodak przyjął nas z prawdziwą serdecznością, której towarzyszył smutny uśmiech współczucia. Z moich min, a może intuicyjnie wyczuł, że wolimy mniej reprezentacyjne pokoje, i ulokował nas w dwóch, znajdujących się obok siebie, tuż przy bagażowych schodach na ostatnim piątym piętrze. Sawinkow w doskonałej warszawskiej polszczyźnie, ozdobionej biletem z portretem Katarzyny (setka) polecił się przyjaźni dobrego człowieka, ja zaś na pytanie, jak ma nas zameldować położyłem dyskretnie palec na ustach, na co on życzliwie kiwnął głową i z hałasem zatrzasnął księgę przyjezdnych.

Pierwsza noc w jaskini szakali wydała nam się idealna. Spaliśmy wyśmienicie w wygodnych i czystych łóżkach, mi-

mo że całą noc przygrywała nam zwykła symfonia wolności: strzały karabinowe na mieście i rewolwerowe we wspaniałej sali restauracyjnej Reginy Jak się dowiedzieliśmy później, to delegaci łotewskich bolszewików spisywali punkt po punkcie dekret o unicestwieniu niemieckich baronów w Kurlandii, zapijając każdy punkt kiepską wódką, ale za to szklankami od piwa.

Nazajutrz z rana, próbując telefonicznych kontaktów, byliśmy przyjemnie zdziwieni, że telefony funkcjonują sprawnie.

Nie miałem żadnego własnego programu aż do 4 listopada, terminu, umówionego jeszcze przed przewrotem, przybycia moich przyjaciół z 8 Armii. Towarzyszyłem więc wszędzie Sawinkowowi. W ciągu pierwszego dnia nawiązał całą sieć kontaktów. Podziwiałem jego energię, zimną krew, upór i humor. Świetnie się ucharakteryzował na zupełnie kogoś innego, aż portier, nasz przyjaciel, mruczał z aprobatą: — Dobrze, bardzo dobrze... — zapisując wreszcie nasze fałszywe nazwiska do rejestru. Ja też uzyskałem fałszywe dokumenty, tylko nie widziałem żadnej potrzeby charakteryzacji, jako osobistość znacznie mniej popularna od Sawinkowa.

Drugiego dnia pobytu złożyliśmy wizytę na jakimś konspiracyjnym strychu przewodniczącemu sabotażowego komitetu, W. D. Nabokowowi (ojciec autora „Lolity“). Był on wybitnym przedstawicielem partii konstytucyjnych demokratów (w skrócie: kadetów). On to nam zakomunikował, że na południu Rosji, nad Donem, zapoczątkowana została zbrojna antybolszewicka akcja, która ma być oparta na bardzo szerokiej podstawie porozumienia wszystkich „zdrowych“ sił, włączając demokrację, przeciw „uzurpatorom“. Sawinkow spytał, czy mieńszewicy (socjal-demokraci) i eserzy (socjal-rewolucjoniści) będą też mile widziani? Nabokow uśmiechnął się, jakby trochę z góry, i odpowiedział, że jeśli chodzi o dowódców kontrrewolucyjnego ruchu, generałów Aleksiejewa i Korniłowa, to nie może być co do tego żadnej wątpliwości, co się zaś tyczy szeregowców nowopowstającej armii, patriotycznych ochotników, w 99% oficerów, to esdecy i eserzy mogą być nie tylko źle widziani, ale też rozstrzeliwani.

Sawinkow przyjął spokojnie do wiadomości przewidywania

Nabokowa, wyrażając jedynie ubolewanie, że tego rodzaju emocje, zresztą całkiem zrozumiałe, mogą szkodzić sprawie, z której należałoby przynajmniej na razie wyeliminować wszystko prócz wspólnego celu walki z bolszewikami. — Socjalista z karabinem w szeregu antybolszewickim jest lepszy od każdego wielkiego księcia w monarchicznej proklamacji — zakończył, trawestując znane powiedzenie Lenina.

Wcześniej niż to było umówione przyjechali z Południowo-Zachodniego Frontu moi przyjaciele z 8 Armii, sotnik Chadżarow i trzej towarzysze z rewolucyjnego komitetu: dr Lazarson, mieńszewik, i dwóch żołnierzy eserów, z których starszy, Kołosow, był moim zastępcą w Petersburskim Sowdepie na czas sprawowania przeze mnie funkcji komisarza rządu w 8 Armii. Nie miałem wątpliwości co do poglądów i usposobienia tych ludzi. Wszyscy byli najmocniej przekonani, że przewrót bolszewicki jest zbrodnią przeciw wolności, demokracji i ojczyźnie. Że przeto nieubłagana walka z bolszewikami jest obowiązkiem wszystkich.

Lazarson i Kołosow skontaktowali Sawinkowa z kilkoma członkami Petersburskiego Sowdepu, ludźmi pewnymi i niezależnie myślącymi. Ci, niestety, stwierdzili, że wśród niebolszewickich elementów w Sowdepie nastąpił po zwycięskim przewrocie zdecydowany zwrot na ich korzyść. Sotnik Chadżarow przygotował dla Sawinkowa wielkie konspiracyjne zebranie zarządu „Sojuza Kazaczich Wojsk", organizacji „neutralnej" w czasie przewrotu, lecz już gotowej do walki, gdy zarysowały się jej perspektywy.

Sawinkow niezwykłym urokiem swojej całej postaci i zaraźliwym dynamizmem w nienawiści do bolszewików pociągał ku sobie nawet ludzi całkowicie obcych ideowo, często wręcz wrogich. Byli oficerowie carskiej gwardii, z którymi koleGowałem w szkole kadeckiej, mówili mi w koleżeńskim zaufaniu: „No tak, to zawodowy rewolucjonista, były terrorysta, wróg naszego monarchy, ale dziś jest najbardziej wartościowym dla nas sprzymierzeńcem w walce z bolszewikami, jako fachowiec konspiracyjnej roboty, której my się dopiero musimy uczyć".

Mniej owocne były spotkania i rozmowy z wodzami rosyjskiego socjalizmu. Plechanow, obok Lenina współtwórca

bolszewickiej frakcji, zrobił na mnie wrażenie człowieka o niewzruszonej wzniosłości myśli i uczuć, ale pozbawionego całkowicie daru praktycznej inwencji. Przystąpił do rewolucji w białych i niepokalanych szatach kapłana idei, a gdy się przekonał że jego towarzysze zmieniają to w rzeźnię, przeszedł demonstracyjnie do opozycji .. proklamując pozbawiony politycznego znaczenia socjalizm z podtytułem: narodowy.

Obecnie zaś poza moralnym oburzeniem humanisty żadnego programu działania nie miał.

Ceretelli, pierwszorzędna gwiazda na rosyjskim socjalistycznym firmamencie, też jaśnie panicz i socjalistyczny pięknoduch, już nie głosił, że walka z bolszewizmem jest walką o restaurację monarchii. Obecnie całkowicie popierał konieczność zgniecenia siłą bolszewickiej zdrady, z trochę spóźnioną ku temu energią i determinacją. Obiecał nam poparcie swoich partyjnych towarzyszy na Kaukazie. Dał nam tzw. „jawki" (kontakty), a na pożegnanie wygłosił coś w rodzaju odczytu o Gruzji, prosząc by nie zapominać, że jego ojczyzna była już zorganizowanym, chrześcijańskim państwem, kiedy na terenach obecnej Rosji koczowały dzikie i walczące ze sobą plemiona Słowian, Chazarów, Pieczyngów, Mongołów i dziesiątki innych szczepów pogańskich i barbarzyńskich. I że tak było przez całe pięćset lat, nim książę Włodzimierz pod przymusem nie ochrzcił całej tej barberii.

Burcew, z rewolucyjnej tradycji eser, z ducha swoich upodobań — grabarz eserowskiej sławy, złośliwy szperacz w zakamarkach partyjnej moralności, demaskator sprzedajności i zdrady, na starość stracił wiarę w rewolucję. Trudno żeby jej nie stracił, prześwietlając mroki konspiracyjnych poczynań i wynaturzenia ludzkich sumień u rewolucjonistów. Nie ufał nikomu, podejrzewał wszystkich z wyjątkiem chyba jednego Sawinkowa. Stał się odludkiem, więc użytecznym być nie mógł. Solennie obiecał Sawinkowowi zakończyć badanie materiałów, obciążających Lenina o pobieranie pieniędzy z generalnego sztabu niemieckiego. Nie miało to już dla nas żadnej wartości, gdyż z tymi oskarżeniami i kulturalne społeczeństwo i masy były już osłuchane, a i Lenin im nie za-

przeczał tylko mówił, że na nie „pluje". „Pluję na oskarżenia Burcewa, pluję na pieniądze. Nigdy nie miałem zwyczaju pytać, skąd są pieniądze na rewolucję, na moje proklamacje, na prasę i broń palną. Największy rosyjski burżuj, Sawa Morozow, dał nam milion rubli. Dawali i inni. Wiem, że pieniądze są z jakiejś mennicy, a z jakiej — nic mnie nie obchodzi".

W międzyczasie politycznych spotkań Sawinkow, zadufany po uszy w doskonałość swojej charakteryzacji, włóczył mnie ze sobą wszędzie, gdzie trzeba i nie trzeba, po pracowitym dniu zamawiał stolik na ogólnej sali w którejś z najbardziej uczęszczanych przez bolszewickich półpanków restauracji, gdzie spożywaliśmy nienajgorsze jeszcze kolacje, zapijając doskonałym, zrabowanym z petersburskich pałacy, winem. Oglądaliśmy z ciekawością zagranicznych gości i naganną odwagą straszliwą bolszewicką hołotę. Przysłuchiwaliśmy się ich chełpliwym wywnętrzaniom, a nastrój prostackiego triumfu był tak prowokujący, że Sawinkow zwierzył mi się z ochoty zaintonowania na cały głos *„Boże, caria chrani..."*. Obserwując pogardliwe miny mego towarzysza, myślałem, że dopiero przy ostatniej figurze rewolucyjnego kadryla, jaką był bolszewicki przewrót, ocknął się w nim urodzony szlachcic rosyjski i bierze górę nad rewolucjonistą.

W MOSKWIE, CZYLI JESZCZE JEDEN WARIANT PRZEGRYWANIA DO BOLSZEWIKÓW

Obładowani poleceniami, adresami, wskazówkami i szyframi wyruszyliśmy któregoś (którego dokładnie — nie pomnę) listopadowego wieczoru do Moskwy. Pociąg był pośpieszny, wagon był sypialny, zarezerwowany całkowicie dla cudzoziemców, bolszewickich dygnitarzy i dowódców wojskowych. Sawinkow jako angielski dziennikarz, ni to Mac Cormick ni to Mac Kinley, ze swoim polskim kolegą, Grabowskim. W owym czasie bolszewicy honorowali jeszcze „zgniły Zachód", zwłaszcza w osobach ludzi piszących. Podróż nasza minęła więc bez żadnych przykrych niespodzianek w pokrzepiającym śnie i w czasie normalnym, jakby to była starореżymowa podróż w ciągu staroreżymowej nocy, nie zaś czerwonej, z krwawego dziś na jeszcze bardziej złowieszcze jutro. Minęła jeszcze jedna chwila złudzeń na sfałszowanym zegarze rzeczywistości ku pokrzepieniu neutralnych obcokrajowców.

Na dworcu w Moskwie rzeczywistość dała znać o sobie niezwłocznie, nasamprzód długą listą nazwisk „Wrogów ludu pracującego". Nasze prawdziwe nazwiska figurowały w niej prawie na czele, z ogólnym dość dokładnym rysopisem. Brzmiało to górnie i chlubnie: „Władze centralne w Petersburgu nakazują ujęcie groźnych kontrrewolucjonistów, wrogów robotniczo-włościańskiego państwa..." Sawinkow po przeczytaniu obwieszczenia uśmiechnął się szeroko i powiedział głośno: — Dobrze, że to nie ja. Ale gdzie będziemy w takim razie dziś nocować?

W Moskwie na całego trwała jeszcze walka. List gończy trochę nadwątlił wiarę w nasze dokumenty, i hotele nie wydały nam się bezpieczne. Sawinkow zdecydował, że nic nam nie pozostaje innego, niż narażać przyjaciół. Wybór padł na państwo T. T., zamożnych Żydów, od dawna sympatyzujących z rewolucją i rewolucjonistami, spokrewnionych

z kilku wybitnymi eserami, a z Sawinkowem związanych długoletnią zażyłością.

Po długim czekaniu na dorożkę wjechaliśmy wreszcie w strzelającą i palącą się tu i ówdzie Moskwę. Działa grzmiały rzadko, kulomioty i karabiny trzaskały ze wszystkich stron. Mimo to dobroduszny dorożkarz, pomachując bacikiem, zdawał nam spokojnie sprawę z przebiegu walk, bez tego, żeby się angażować po którejś stronie. My zaś, już przyzwyczajeni do huraganowego ognia neutralnych kibiców, nie przejmowaliśmy się zbytnio, ufając zresztą, że dorożkarz w swoim własnym interesie potrafi ominąć ogniska prawdziwej walki.

Państwo T. T. (po z górą pół wieku mogę już chyba nie ukrywać ich nazwiska: Turmakin) przyjęli nas z entuzjazmem najbliższych krewnych, także mnie, którego widzieli po raz pierwszy, co było miarą ich serdeczności i przyjaźni dla Sawinkowa. Oczywiście, dokładnie zdawali sobie sprawę, czym im groziła taka gościnność, ale od dawien dawna nawykli do wspomagania prześladowanych rewolucjonistów, co rzeczy koleją stawali się dziś kontrrewolucjonistami.

Dostaliśmy pokój z osobnym wejściem, sąsiadujący przez ścianę ze wspaniałym apartamentem. Służba nie miała do niego dostępu. Byliśmy obsługiwani przez pana Turmakina i jego siostrę, miłą i ładną panienkę, która nam dla urozmaicenia grzmiącej nad miastem monotonni wygrywała w salonie za ścianą cygańskie romanse i staroświeckie piosenki. Jedną z nich o wąsatych huzarach pamiętaliśmy długo i nuciliśmy ją często w naszej późniejszej wędrówce przez świat.

O wychodzeniu na miasto nie było mowy. Wiedzieliśmy dokładnie co się dzieje, a działo się to już w tym stadium, kiedy wynik był przesądzony. Nuciliśmy więc sentymentalne piosenki o czarnych oczach, miłości straconej i smutku minionych dni, a duszą byliśmy już nad Donem, nie przeczuwając, że i tam, jak w piosence o huzarach, również będzie to samo: „*...i nie snitsa siedym komandiram, czto tworitsa u nich pod oknom*".

★ ★ ★

Lenin był przekonany, że przewrót w Moskwie dokona

się sprawniej niż w Petersburgu, tymczasem i tu się pomylił. Walki w Moskwie trwały dłużej i kosztowały niewspółmiernie więcej ofiar. Bucharin szacował je na 5 tysięcy zabitych, według innych opinii, i prawdopodobniejszych, w Moskwie zginęło około dwóch tysięcy po obu stronach walczących łącznie. Do tego dochodzą olbrzymie straty w spalonych i zbombardowanych gmachach.

Na długo przed bolszewickim zamachem stanu, w konspiracyjnym sztabie bolszewickiego dowództwa w Moskwie, w największym sekrecie nawet przed swoimi, dokonywało się techniczne i strategiczne przygotowywanie do przewrotu pod kierunkiem, podobno, samego Lenina. Plan powstania miał być wzorowy i wzorcowy. Takim był w teorii i tak wyglądał w praktyce na stronicach sowieckiej historii. W rzeczywistości było zupełnie inaczej.

W rzeczywistości:

Butyrski rejon, rzekomo najbardziej bolszewicki, wystawił w decydującej chwili aż... 20 czerwonogwardzistów z aż... 7 karabinami. W miejsce spodziewanych stu tysięcy.

Aktyw moskiewskiej organizacji partyjnej nie osiągnął nawet minimum wojennego pogotowia w wyznaczonym terminie.

Rolę Petersburskiego Sowdepu odgrywał w Moskwie bolszewicko-mieńszewicki WRK (Wojenno-rewolucyjny komitet), od którego rejonowi delegaci otrzymali dyspozycje wyprowadzenia z koszar w pierwszym dniu powstania jak największej ilości żołnierzy i skierowania ich pod rozkazy WRK. Lecz i tu przygotowania zawiodły, a zwyciężyła chytra chłopska ostrożność. Tow Mostowienko z WRK znalazł w 193 pułku piechoty, uważanym za przodująco bolszewicki, zamiast 4.000 „pewnych" 300 chętnych, którzy jednak nie w nocy, jak było nakazane, a dopiero następnego ranka wystąpili, po długich deliberacjach, z koszar, i bynajmniej nie okazywali entuzjazmu do walki.

To samo powtórzyło się w 55 i 56 pułkach z niewielką różnicą w cyfrach, a w atmosferze takiego samego niezdecydowania.

„Żywiołowy odruch mas ludowych", po którym tyle się

spodziewano, także nie nastąpił. Proletariat na razie tylko z wielką ciekawością i niewątpliwą życzliwością dla bolszewików, ale neutralnie, wyczekiwał komu się najpierw noga powinie.

Plan Lenina nakazywał wszystkim bolszewickim siłom skoncentrowanym w Moskwie wystąpić jednocześnie z pierwszymi strzałami w Petersburgu. Natychmiastowy atak miał być przypuszczony na Komisariat Rządu, Dowództwo Okręgu i wszystkie siedziby organizacj społecznych, skupiających siły demokratyczne i prorządowe. Tymczasem ani 25 października ani dni następnych powstańcy nikogo nie atakowali, bo nie mieli czym.

W WRK, gdzie rej wodzili bolszewicy, zapanowało przygnębienie. Wytworzyła się większość za koniecznością likwidacji „całej awantury", nie mającej widoków powodzenia. 9 głosami przeciw 5 postanowiono rozpocząć pertraktacje ze sztabem Moskiewskiego Okręgu Wojennego, nominalnym ośrodkiem legalnego rządu i demokracji.

Te pertraktacje, a raczej czas na nich zdobyty, ocaliły bolszewików od moskiewskiej klęski.

Dowódcą Moskiewskiego Okręgu Wojennego, czyli głównym obrońcą rządu republiki przed bolszewickim zamachem, był płk Riabcow, mieńszewik, którego najbliżsi towarzysze partyjni zasiadali w WRK obok bolszewików, strzelających do wojsk rządowych. Znakomicie ułatwiało to „pertraktacje". Zilustruję to na przykładzie jednego z wielu mętnych i dwuznacznych komunikatów, które podczas przewrotu wydawał Riabcow:

> „Jako dowódca sił zbrojnych okręgu ogłaszam, że żadne pogromy, żadna anarchia nie będą tolerowane. Sił mam dostatecznie. Anarchia zostanie zdeptana".

Ani słowa o zbrojnym powstaniu przeciwko rządowi.

Inny przykład: do Moskwy przybywa konspiracyjnie delegat nieistniejącego już Tymczasowego Rządu, wiceminister Prokopowicz, i zapytuje Riabcowa, dlaczego pozwolił zająć bolszewikom Kreml. Płk Riabcow posłusznie odpowiedział, że jako żołnierz musi wykonywać rozkazy władz państwo-

wych, a ponieważ wyraźnego rozkazu do walki nie otrzymał, Kreml zajęli powstańcy. Prokopowicz wydał rozkaz odebrania Kremla, i tego samego dnia Kreml został odebrany.

Demokraci w Moskwie byli o tyle bardziej aktywni, niż petersburscy, że przynajmniej stworzyli tzw. Komitet Bezpieczeństwa Publicznego, ostro, przynajmniej w słowach, występujący w obronie republiki przeciw „zdrajcom" i „uzurpatorom". W pierwszych dniach powstania, które zawiodło, przewaga Komitetu wydawała się tak pewna, że jego delegaci bardziej zdawali się przejęci demokratyczną troską, by bolszewików zbyt surowo nie karać, niż stłumieniem buntu. W komisjach „porozumiewawczych" — i takie bowiem zaistniały — Bucharin, Nogin, Murałow, Malenkow targowali się z Komitetem Bezpieczeństwa, czy WRK (sztab buntu) ma być wydany prorządowcom i na jakich warunkach kapitulacji. Poza tym płk Riabcow codziennie porozumiewał się jawnie i tajnie ze swoimi towarzyszami mieńszewikami z WRK nad sposobami „zakończenia konfliktu" tzn. pogodzenia buntowników z władzą. Bo w WRK zasiadali także mieńszewicy (socjal-demokraci), chociaż ich partia oficjalnie popierała Tymczasowy Rząd Kiereńskiego.

Tymczasem powstanie ślimaczyło się, ale trwało. Ten sam Riabcow nie zezwolił na tworzenie się wyłącznie oficerskich ochotniczych oddziałów z kilkudziesięciu tysięcy oficerów i junkrów ze szkół wojskowych. Zapewne słusznie obawiał się o los i bezpieczeństwo bolszewickich i probolszewickich powstańców, rozumiejąc, że tak jak się rzeczy miały, wystarczyłoby jednego batalionu, zdecydowanego walczyć do zwycięstwa, by moskiewski bunt stłumić w ciągu dni lub godzin. Płk Riabcow, dowódca Okręgu Moskiewskiego, oficjalnie i pozornie nie uchylił się od ciążącego na nim obowiązku obrony legalnego rządu, ale uczynił wszystko co było w jego możliwościach, by w Moskwie ten rząd został przez bolszewików obalony.

Tak jak powstanie w Petersburgu, także nie mające zbyt wielkich szans powodzenia, uratował dowódca Północnego Frontu, gen. Czeremisow, monarchista, tak powstanie

w Moskwie, skazane przez samych jego wodzów na likwidację, ratował wszystkimi sposobami nowoczesnego wallenrodyzmu płk Riabcow, socjal-demokrata.

Na tym się jednak dziwy sytuacji nie wyczerpały. W tym samym czasie gdy Komitet Bezpieczeństwa Publicznego niezdecydowanie ostrzeliwał się i pertraktował z powstańcami, do Moskwy przybył wysłannik dońskiego atamana Kaledina, kpt. Sokołow, proponując natychmiastową zbrojną pomoc przeciw bolszewikom. Kpt. Sokołow zameldował się w prawicowym Komitecie Działaczy Społecznych, będącym ekspozyturą moskiewskiej burżuazji, milionerów, fabrykantów, zamożnej zawodowej inteligencji, słowem tych ludzi, których życiu i mieniu bolszewizm zagrażał bezpośrednio. Komitet Działaczy Społecznych uchylił się jednak od przyjęcia tak cennej pomocy, jako pochodzącej ze źródła wybitnie „reakcyjnego".

(Kiedy w parę tygodni później, w grudniu 1917 r., gen. Aleksiejew, twórca Ochotniczej Armii nad Donem, wysłał zaufanych emisariuszy do Moskwy w celu otrzymania od wielkich przemysłowców i wielkich reakcjonistów pieniężnej pomocy na zbrojną walkę z bolszewikami, zamiast oczekiwanych milionów, zebrano zaledwie kilkaset tysięcy zdewaluowanych rubli.)

W tym samym mniej więcej czasie, gdy burżuazja moskiewska odrzuciła ofertę pomocy „reakcyjnego" atamana, zażądał jej ostatni naczelny wódz rosyjskiej republiki, gen. Duchonin. Ataman Kaledin, stary generał carskiej armii, oddepeszował mu, co następuje:

„Wysłanie wojsk kozackich stanęłoby w sprzeczności z uchwałami Dońskiego Kozackiego Kruga, które wymagają niezwykłej i wyjątkowej potrzeby, uznanej za taką przez kozactwo. Według naszych wiadomości powstanie bolszewickie chyli się ku upadkowi".

Ataman Kaledin wojsk nie wysłał, czyli nie usłuchał rozkazu zwierzchnika, wcale nie z powodu uchwał „Kruga", ale że nie chciał bronić rządu, którego był nieprzejednanym wrogiem.

Czyli: walczyć z bolszewikami — tak, ale nie wspólnie z

Kiereńskim; walczyć z bolszewikami — tak, ale nie wspólnie z reakcją; a także: walczyć z bolszewikami — tak, ale nie za bardzo, nie skrzywdzić ich, nie upokorzyć.

Z ulicy, od proletariatu te inteligenckie wahania i niezdecydowanie tłumaczono sobie inaczej: słabością. Prorządowcy nie są w stanie poskromić buntu — a więc są słabi. Tłum jest zawsze przeciwko słabym, z tłumu słabość wygląda śmiesznie, pogardy godna, albo dobicia. Proletariat i masy żołnierskie w moskiewskich garnizonach ociągały się z poparciem powstania dopóki nie wierzyły w zwycięstwo bolszewików. Gdy sytuacja stawała się niepewna, powstanie przedłużało się, przybór wolontariuszów zaczął się zwiększać, podnosząc ducha powstańców i siłę ich ognia. Aż któregoś dnia gromada artylerzystów podwiozła baterię dział pod lokal WRK i stamtąd dała kilka salw do budynku *Gradonaczalstwa* (urząd naczelnika miasta), skąd po chwili wyrzucono białą chorągiew i załoga się poddała.

Od tej chwili przez dni następne bolszewikom przybywało baterii, które grzmiały już na całego i w centrum i na peryferiach miasta, jeśli nie w kierunku wroga, to na wiwat, a masy w huku tych bolszewickich dział usłyszały zwycięstwo i ruszyły dla dobijania słabszego już nie setkami, a tysiącami.

A gdy WRK zrozumiał, że się wreszcie przełamała bierność mas, przerwano wszelkie pertraktacje, wykpiono porozumiewawcze komisje i w ciągu kilku dni zdobyto Moskwę ku chwale Marksa a nieszczęściu ludzkości.

Obficie polała się krew. Od kul junkierskich i oficerskich ginęli powstańcy, od granatów i kulomiotów bolszewickich ginęli obrońcy republiki, marcowej rewolucji, i ci, którzy jednej i drugiej nienawidzili.

Coraz wyżej wzbierała obopólna nienawiść walczących stron. O poddawaniu się już nie było mowy. Śmierć od kul była lżejszą i godniejszą od powolnej śmierci w torturach i pohańbieniu, bestialskie znęcanie się nad pojmanymi żywcem weszło do repertuaru wojny domowej, terror stał się narzędziem politycznego oddziaływania na masy.

W Petersburgu mordowano uzbrojonych, częściej bezbron-

nych ludzi, zwłaszcza kobiety w uniformach z batalionu Boczkarowej, i na tym się na razie skończyło. W Moskwie ryczały armaty, ogień bateryjny pokrywał całe dzielnice, niszcząc gmachy i domy, ze wszystkich stron trajkotały karabiny maszynowe, a całe miasto przeorywały „fronty"

Dopóki walki trwały, nasi gospodarze, uczciwi i nawskroś demokratyczni ludzie, jeszcze się łudzili, że sprawiedliwość i demokracja zwyciężą. Nie dzieliliśmy ich złudzeń. Nie potrzebowaliśmy znać sił przeciwnika, wystarczyło, że znamy słabość naszych obrońców, wzajemnie skłóconych, wzajemnie nieufnych, aż do chwili ostatecznej zagłady niezdolnych do stworzenia antybolszewickiego frontu, do uznania w niebezpieczeństwie bolszewizmu sprawy nadrzędnej jednako dla socjalistów, co monarchistów, zwolenników Kiereńskiego i jego przeciwników. Przymusowa nasza bezczynność sprzyjała refleksji. Sytuacja materialnie i moralnie przygnębiająca, sprzyjała pesymizmowi. Dzieląc się pesymizmem, zmuszaliśmy się wzajemnie do krytycznego wglądu nie tylko w skutki, co przede wszystkim przyczyny kompromitującego finału rewolucji i demokracji. Stąd się rodziła potrzeba korekty zarówno taktyki i strategii działania, jak i podstawowych jego założeń. Wszystkimi myślami i nadziejami wyrywaliśmy na południe.

POKÓJ LUDZI ZŁEJ WOLI

Wreszcie w jakimś dniu ustał huk armat, zamilkły kulomioty i karabiny, wielkie miasto przestało huczeć wojną. Ludzie zaczynali nieśmiało wychylać się z domów, ukradkiem a podejrzliwie lustrując się wzajemnie, jakby wypatrując wśród siebie zwycięzców i zwyciężonych. Ze wszystkich stron dymiły pożary, i ogólny widok z okien domów i duszy ludzi był ponury, trwożny. Ulicami śródmieścia raz wraz przelatywały ciężarówki, wyładowane po brzegi stojącymi triumfatorami, których znalazło się znacznie więcej niż było walczących. Gęby straszne, wzrok dziki i suknie plugawe, miny wesołe jakąś specjalnie odrażającą mimiką radości.

W naszym gościnnym pokoju myśli o wielkiej polityce ustąpiły miejsca pożądaniu wielkiego nażarcia się Spiżarnia i kredens państwa Tumarkinów wyczerpały się po kilku dniach bez dopływu nowych rezerw. Pocieszano się, że chłopi okoliczni zwabieni ciekawością i względną ciszą tylko patrzeć, a dostarczą wszystkiego Czekano również. że nowy bolszewicki zarząd miasta zajmie się organizacją aprowizacji. Czekano, rozmawiając tylko o jedzeniu i ekscytacja głodem działała jak narkotyk.

Około południa przyszła pierwsza dobra wiadomość. Ideowi przyjaciele pana Borysa obiecali dostarczyć o zmroku czegoś do zjedzenia. O jego pobycie w Moskwie i jego kryjówce powiadomiono tylko kilku ludzi, jak mur pewnych. Wówczas jeszcze tacy istnieli. Z biegiem każdego następnego miesiąca epidemia zdrady, która się dopiero rozpoczynała, zdrady ze strachu, z podłości, czy właśnie od zarażenia zdradą, niszczyła w równym stopniu bezpieczeństwo jak zaufanie do tych, których się uważało za przyjaciół. W lat siedem później najbliższy przyjaciel Sawinkowa, najzaufańsi to-

warzysze z konspiracji i kobieta, którą kochał, wciągnęli go wspólnie w pułapkę bolszewicką.

Zaczynamy szykować się do podróży nad Don. Zbieramy informacje niepewne i sprzeczne o ruchu kolejowym i o tym, jak się pod nową władzą jeździ. Ukazują się dzienniki. Demokratyczne również, „*Russkije Wiedomosti*" i „*Własť Narodu*", z wymyślaniami na „uzurpatorów". Ale przede wszystkim, jak na wyrój, miasto jest zarzucone wszelkiego rodzaju bolszewickimi „prawdami" i „izwiestiami".

O komunizmie na razie ani słowa. Hasłem dnia jest „cała władza radom". lecz wiadomo, iż w tych radach (sowietach) *wsia własť bolszewikam*. Lewe skrzydło eserów, tzw. „maksymaliści", poszło na współpracę, niektórzy mieńszewicy, jak w dniach powstania, również. Ich niedawni partyjni towarzysze z dwóch socjalistycznych partii chodzą jeszcze wolno, ale już z etykietką „odstępców" i „zdrajców proletariatu" Po całym mieście odbywają się łapanki według rozdzielnika: „białogwardiejec", „burżuj", „kontrrowolucjonista". Zagraniczników podobno jeszcze nie ruszają. Staramy się więc jakby zapomnieć o sobie i wżyć w łgarstwa naszych fałszywych paszportów. Rozmawiamy przeważnie po polsku. Służba u państwa Turkinów o naszym pobycie nic nie wie. Ja w to nie wierzę, ale milczę. Ileż to razy w życiu złudzenia pomagają przetrwaniu, gdy prawda jest bezużytecznym garbem.

Następuje kilka spotkań z intelektualistami. Zła i bezsensowna rozmowa z Bierdiajewem. Znakomity filozof, były socjalista, obecnie natchniony prorok religijnego odrodzenia szuka w bolszewiźmie twórczych pierwiastków rosyjskiego ducha i — licząc na przychylność Opatrzności Boskiej dla nowych władców — przewiduje świetlaną przyszłość ojczyzny przez odrodzenie w Prawosławiu (w kilka lat później został wygnany przez bolszewików z kraju wraz z innymi „zdrajcami proletariatu").

Sawinkow, jako stały współpracownik „*Russkich Wiedomostiej*" zaopatruje się w grubszą gotówkę w kasie tego bogatego wydawnictwa. Grożę mu, że jeśli się ze mną nie podzieli, będę zmuszony udać się do bolszewickiego sztabu po

moją komisarską gażę i po zaliczkę na koszty podróży nad Don. On mi radzi pożyczyć u Aleksandra Lednickiego, wielkiego moskiewskiego Polaka i jak dotychczas półoficjalnego opiekuna polskich interesów. Kończy się na większej pożyczce u przypadkowego, lecz niezmiernie zasobnego, gościa i przyjaciela naszych gospodarzy.

Wreszcie nadchodzi informacja, że pojutrze ma odejść do Kijowa pociąg pośpieszny z sypialnym wagonem. Przez życzliwych zdobywamy bilety. Następuje wzruszająca chwila pożegnania z naszymi odważnymi gospodarzami. Smutne są wszystkie pożegnania, zwłaszcza te, przy których na przekór ustom serce szepce że „na zawsze“, a zwłaszcza z tymi, których się witało jako wybawicieli od bezdomności, a zostawia na niepewny los.

O zmroku, prawie bez rzeczy, gdyż ich od Pskowa już nie posiadamy, idziemy pieszo na dworzec, nucąc sentymentalną piosenkę o huzarach.

Część III
KONTRREWOLUCJA

KIJOWSKI PRZEDSIONEK

JUŻ NIE SKLEJĘ, jaki w tym czasie w Kijowie panował reżym. Podróż zamiast kilkunastu godzin trwała trzy dni. Dokuczał głód, przygnębiał widok oberwańców, zapewne bezpłatnych pasażerów przepełnionego pociągu, którzy jednak do przedziału z „inostrancami" włazić jeszcze się nie ważą. Kontrola paszportów, raz w Moskwie, raz w drodze i w Kijowie na dworcu nie była jeszcze groźna.

Ulice Kijowa przetłoczone publicznością, co drugi przechodzień — oficer bez naramienników. Przed głównym hotelem na Kreszczatiku stoi „lichacz", luksusowa dorożka, koń kłusak, wysokiej krwi. Dowiaduję się, że dorożkarzem jest pułkownik generalnego sztabu, podobno na służbie wywiadowczej. Jakiego wywiadu? — nikt nie wie. Na chodnikach — kobiety i kobiety, prawdziwych pań prawie że się nie spotyka, za to panienek do wszystkiego obficie. Już się zaczyna szerzyć zaraza, czy mania wszelkiego rodzaju „centrów", „sztabów", wywiadów i kontrwywiadów, jako objaw moralnej degeneracji, złośliwego syfilisu ludzkich sumień, niszczącego i deprawującego młode pokolenie jak narkotyki. Marzeniem tych panienek jest przypięcie się do któregoś z konspiracyjnych biur, organizacji, gdyż to pociąga romantyką przygody, a jednocześnie wyzwala z krępujących dotychczas obyczajów i tradycji staroreżymnej przyzwoitości.

Panienki, mniej chłopcy, a nawet panie z porządnych mieszczańskich i inteligenckich domów, zaczynają śnić o służbie w „razwiedkach", więc podaż jest ogromna, lecz i popyt nie mały. Z oddalenia czasu wydaje mi się, że syntezą porewolucyjnego okresu jest WYWIAD-KONTRWYWIAD. Może się mylę, ale wówczas, obserwując z bliska i wielostronnie objawy tej psychozy, urobiłem sobie przekonanie, że w całej masie wypadków zbrodnie rewolucji i kontrrewolucji rodziły się z teorii i praktyki fachu szpiegowskiego, te-

go najpodlejszego z fachów, w którym pobudki ideologiczne odgrywają najczęściej podrzędną rolę, lub zgoła rolę maski dla pragnących się wyzwolić z hamulców etycznych.

Sklepy komisowe, które widzi się na każdej prawie ulicy, to także nowy znak czasu w okresie masowego przewłaszczenia dóbr ziemskich. Sprzedaje w nich się wszystko: i to co udało się ocalić ludziom uprzywilejowanym wczoraj a dziś upośledzonym, i to co ludziom wczoraj upośledzonym a dziś uprzywilejowanym udało się zrabować.

W znacznie szerszym zakresie rozwija się działalność najbardziej rzutkich obywateli wszystkich ras i stanów w kierunku wykorzystania naiwności i nieporadności dekretów, cyrkularzy, obwieszczeń, odwołań praw i prawideł, regulujących funkcjonowanie przemysłu i handlu. Zerkając lękliwie na radykalną ludową władzę, pulsują gorącą krwią koniunktury wyrosłe, jak grzyby po deszczu, rozmaite „centra" — centro-cukier, centro-żelazo, centro-masło, centro-krupa itp. — i żywe złoto przelewa się w bajecznych fortunach przez kieszenie mistrzów czynu. Pewna bardzo popularna kawiarnia na Kreszczatiku w poufnym slangu panów zdobyła nazwę „centro-d . . y".

Zakwita i rozkwita szmugiel na wszystko. Wielka ilość i rozmaitość nowopowstających granic i stref, ich ruchomość i zmienność, otwiera szerokie pole dla szmuglerów, kombinatorów i ryzykantów. Życie miasta tętni inicjatywą i dynamizmem awantury, nurt przemian podnieca do aktywności i staje się coraz bardziej bystry, a wszystkie prawdziwe kształty spraw i „interesów" przykrywa genialna mimikra, przystosowująca się do każdego z kolejnych reżymów, orientacji, okupacji, których w niedługim czasie miało przyjść i przeminąć tak wiele.

Dobrze jest mieć wszędzie przyjaciół, zwłaszcza zamożnych, a cóż dopiero cukrowników, i do tego Bałachowskich! Znów dom — jak rodzinny. Opieka, izolacja, informacja z najlepszych źródeł i całkowite bezpieczeństwo, a w dalekim Paryżu — co także krzepi — Monsieur Petit, francuski minister ożeniony z Bałachowską. W Kijowie czujemy się

pewniejsi, więc Sawinkow nawiązuje luźny, raczej grzecznościowy kontakt z ukraińskimi eserami, ja zaś wykorzystuję bardzo egoistycznie kilkudniowy pobyt w mieście, gdzie mam wielu znajomych i jeden bardzo osobisty sentyment. Pokazuję się jednak tylko kilku osobom, nie chcąc narażać rodaków na przymus trzymania języka za zębami.

Staramy się wczuć w emocje i zrozumieć polityczną egzotykę siczowniczych czubów, i tu różnimy się w ocenie nowego dla nas zjawiska, jakim jest *samostyjność* Ukrainy. Ja do niego podchodzę z głębokim wzruszeniem i poczuciem całkowitej solidarności, podczas gdy Sawinkow odnosi się do owego samostanowienia z koniunkturalną tolerancją i wymownym, chociaż dyskretnym humorem. Tymczasem ocieramy się co dzień o chwackie i nazbyt zawadiackie rzesze zbiegów ze wszystkich frontów, legalnych dezerterów i pętających się znikąd do nikąd mołojców w poszukiwaniu właściwego dla siebie przydziału. Z nich to powstaną bandy rozlicznych atamanów i *bat'kiw*, by samowolą i anarchią, poza wszelką państwowością i prawem, zalać krwią i zapalić ogniem pożarów piękną *„neńkę"* Ukrainę

Szybko przeminęły krótkie dni gościny u państwa Bałachowskich. Kijów nie wróżył dla nas na czas dłuższy ani bezpieczeństwa, ani nie obiecywał politycznych korzyści dla naszych kontrrewolucyjnych planów. Wyjechaliśmy więc niebawem i po kilku dniach odrażającej pod każdym względem podróży, wciąż jeszcze w pierwszej klasie, lecz na każdej stacji już zatłaczanej i zawszawianej przez wędrujące we wszystkich kierunkach tłumy koczowników, wylądowaliśmy wreszcie w Rostowie nad Donem.

PRZEPRAWA NA STRONĘ „BIAŁĄ"

Rostow grzmiał bolszewickim, rewolucyjnym świętem. Ulice były wprost zablokowane kupami wałęsających się sołdatów, kozaków i cywilnego pospólstwa. Wszystkie miejskie sale zapchane niekończącymi się wiecami. Karczmy i herbaciarnie rozbrzmiewały muzyką, pieśniami i pijanymi wrzaskami triumfującej hołoty. Strzelaninie na wiwat w powietrze i sufity towarzyszył brzęk tłuczonego szkła i powszechny ryk szczęścia. Kupy stoją przed propagandowymi plakatami nowej władzy i nowych źródeł społecznej inicjatywy, chłonąc słowa nowej moralności, mądrości i sprawiedliwości. Przed jednym tłoczy się wyjątkowo gęsty tłum, wyjątkowo głośno manifestując aprobatę *„ludu-bogonosca"*. Plakat głosi:

„...burżuazja zagarnęła najpiękniejsze i najlepsze kobiety! Od dziś one należą do nas...".

Tymczasem wszystko dokoła, ulice, domy, dziedzińce, lokale publiczne toną w straszliwym brudzie, bezładzie i jakby już zupełnie nieprzytomnym wrzasku. Sawinkow złośliwie zauważa, że zewnętrzne cechy miasta Rostowa napełniają go rozrzewniającym uczuciem pewności, że znajduje się w Rosji.

Zainstalowaliśmy się w obskurnym hoteliku z dala od centrum miasta i na uboczu, marząc o kilku godzinach snu po śmierdzącej i prawie bezsennej podróży. Przed tym jednak każdy z nas miał coś do zrobienia. Ja załatwiłem ważną sprawę naszej podróży do Nowoczerkaska. Na Rostow posiadałem tzw. *„jawkę"* do ludzi pewnych, chociaż zupełnie prostych. Te *jawki*, które w chwili doręczania mi wydawały się prawie bez znaczenia, okazały się najważniejsze i nieodzowne przy przeprawie z bolszewickiego Rostowa do kontrrewolucyjnego kozackiego Nowoczerkaska. Pomiędzy Rostowem, nieprzytomnie czerwonym, a patriarchalnym No-

woczerkaskiem przechodziła linia biało-czerwonego podziału, już nazywanego frontem, pilnie i ostro strzeżonym przez obydwie strony. Bardzo zależało nam na pewnym i dobrym przewodniku. Wszelkiego rodzaju komplikacje w podróży groziły nam bowiem i po tej i po tamtej stronie kłopotliwymi wyjaśnieniami, a — jak wiadomo — każdy kłopot w owych czasach prowadził do pewnej instytucji, o krótkim, jak przedśmiertna czkawka zawołaniu: CZEKA z jednej strony, a po drugiej — do białogwardyjskiej „kontrrazwiedki" która też sympatyczna i bezpieczna nie była.

Marszruta przekradania się przez front została przeze mnie uzgodniona z poleconym mi mieszczaninem z przedmieścia Rostowa, nie kozakiem, ale tzw. *inogorodnim*. Podjął się nas przewieźć nocą swoim wozem, tuż przed świtem, kiedy czerwone warty zmaga sen.

Sawinkow tymczasem przez swojego współpartyjnika, byłego komisarza rządu na miasto Rostow, wojskowego lekarza Grigoriewa, człowieka świetnie poinformowanego we wszystkich intymnościach nowego reżymu, zgromadził poważny materiał politycznych i wojskowych informacji, niewątpliwie niezmiernie cennych dla dowództwa po stronie białej.

Długie i cierpliwe są jesienne noce nawet na południu Rosji. Świt nastaje późno i ciemność opiekuńczą kurtyną osłania ciemne sprawy takich jak my włóczęgów.

Około trzeciej po północy zbudziło mnie ciche stukanie chropowatego kciuka w nasze drzwi. Na ulicach pusto, zimno, mgliście i półciemno. We mgle gdzieniegdzie majaczą ruchome cienie spóźnionych i niezmordowanych prostytutek. We wszystkich karczmach i „czajnych" pijana cisza. Pracowity dzień jest skończony i „nasza jest noc" wyczerpana do dna. Śnieg wbity w błoto i ściśnięty lekkim przymrozkiem tłumi hałasy tarantasu, który na gołych kamieniach mógłby grzmieć jak na alarm.

Wilgotne zimno przejmuje do kości, lecz Bogu dzięki: jedziemy. Dokumenty (oczywiście fałszywe) mamy w prawych kieszeniach płaszczy, w lewych broń. Tuż za miastem

z miejsca wpadamy w krzaki, wśród których kołujemy przez dłuższy czas, jakby bez sensu. Ciemność od góry jest prawie czarna, od dołu ciemnoszara. Z powietrza coś leci w oczy, ni to mgła, ni rzadki śnieżek. Czas coraz dokuczliwiej się dłuży. Niewesołe myśli zapychają senną głowę, lecz na wykrotach i wybojach jakby się wytrząsały, zwalniając miejsce dla zawziętej czujności.

Po paru godzinach krążenia i dudnienia po gołym stepie, wjeżdżamy w wysokie zarośla. Zaczyna świtać i robi się widno na krótki strzał. Wreszcie w pewnej chwili, jakby zawczasu wypełnionej nerwowym naprężeniem, woźnica wygina się do nas w tył i szepce przerażony:

— *Płocho diało... ich zastawa.*

We mgle, porysowanej niewyraźnie rzadką drągowiną, ujrzeliśmy przed sobą trzech oberwańców z wycelowanymi w nas karabinami. Ochrypły i drżący ze strachu głos wyszczekał:

— *Wyłezaj i pokaži dokumienty!*

Z mściwą determinacją wygramoliliśmy się z wozu i zaczęliśmy się zbliżać, pogadując dla niepoznaki głośno i pokojowo. Szedłem pierwszy, za mną Sawinkow, obaj z przygotowanymi dokumentami, ale w lewych kieszeniach płaszczów.

Jakieś kilka kroków przed oberwańcami uprzejmie zacząłem: — *A wot i naszi doku...* — lecz w tej półsekundzie, gdy z dopowiedzeniem słowa wyciągałem rękę z rewolwerem, który w niej bez żadnej przesady i przechwałki był niezawodną i szybką bronią, usłyszałem za sobą, jak syczenie hartowanego żelaza, szept Sawinkowa po polsku:

— Nie strzelać. To nasi.

Istotnie był to pierwszy posterunek kozackiej stanicy, pierwszej, która się oparła czerwonym z Rostowa. Byłem oszołomiony. Rozumiałem, co by znaczyło moje zwycięstwo nad trzema dziadami, pilnującymi granicy. Bystrość Sawinkowa uratowała nie tylko ich życie, ale przede wszystkim nasze przed niesławną i głupią śmiercią na staniczej szubienicy.

Widocznie Sawinkow rozpoczął szczęśliwą serię, gdyż w

stanicznym sztabie natknęliśmy się zaraz na jego szefa, podpułkownika X, który go powitał z wielką i głośną radością. X bowiem był komendantem ochrony sztabu 7 Armii w tym czasie, gdy Sawinkow był jej wojennym komisarzem. Stąd znał poglądy Sawinkowa na rewolucję i jego wrogi stosunek do bolszewizmu. Nieraz słyszał jego patriotyczne przemówienia do żołnierzy, więc widział w nim nie byłego terrorystę i rewolucyjnego trybuna, ale mądrego i przewidującego męża stanu. Czuł do niego sympatię, która u ludzi tego typu graniczy z adoracją, niezmiernie pamiętliwą i serdeczną.

Zostaliśmy więc z miejsca zweryfikowani bez konieczności legitymowania się, co ze względu na fałszywe dokumenty mogło nie być specjalnie łatwe.

Przybycie nasze uznano za wyczyn, zaś poufne wiadomości uzyskane przez Sawinkowa w Rostowie, o decyzjach bolszewickiego frontu przeciw kontrrewolucyjnym stanicom i dokładną listę kozackich zdrajców uznano za niezmiernie cenną przysługę i zasługę, za co, po skomunikowaniu się z Nowoczerkaskiem, obiecano Sawinkowowi, a przez kurtuazję i mnie, honorowe kozactwo stanicy.

(Obietnicy dotrzymano. Lecz patenty z podpisami i pieczęciami, wysłane w swoim czasie niezbyt pewną drogą, trafiły do rąk jakiegoś bolszewickiego *komandira;* mówiono nam później, może dla pocieszenia, że do Wasilewskiego, późniejszego sowieckiego marszałka. Istotnie pocieszaliśmy się, że nasze patenty popsuły humor czerwonemu wodzowi, który na pewno wolałby mieć w ręku nie dokumenty, ale nas samych.)

Przenocowaliśmy w stanicy, podejmowani wprzódy obfitą w jadło i napoje kolacją w domu pułkownika X. Pito nasze zdrowie doskonałym cymlańskim winem, a na pohybel bolszewików — monopolową wódką w proporcjach odpowiednich do intencji.

Dom pułkownika był pełen drobiazgów o wybitnie polskim pochodzeniu. Gospodarz domu opowiadał, że wiele z tego pochodzi z okresu najdawnieszych wojen, jako trofea zabrane od zwyciężonych Lachów, ale Sawinkow mrug-

nął na mnie porozumiewawczo w pewnej chwili i dyskretnie podsunął do obejrzenia srebrny kubek, na którym jak wół stało wytłoczone: *A.D. 1857, Janiszewski. Wilno 34.* Na ścianie w symbolicznym skrzyżowaniu z „*diedowską*" szablą wisiała polska karabela z XVIII w. No cóż, historycznie i ładnie. Sawinkow zaczynał prowokacyjnie raz wraz przeplatać na wesoło rosyjski polskim, a lekkie tematy poważnymi i niezmiernie romantycznymi wątkami polsko-rosyjskiego plemiennego „braterstwa". W pewnej chwili zrobiło się aż gorąco od wylewu braterskich sentymentów w tym kozackim domu. Jako jedynemu przedstawicielowi tak serdecznie fetowanej nacji trudno mi było w pojedynkę odpowiadać na każdy, coraz bardziej serdeczny i historyczny, toast propolski. Wśród biesiadników zaczęły przeważać nastroje na rzecz autonomii Polski i nie wiadomo do czego by doszło, gdyby bodaj najstarszy przy stole kozak, ledwie już ruszając ociężałym językiem, nie zreflektował obecnych dość słusznym ostrzeżeniem:

— Nu da, ty im *awtonomju*, a oni za dubeltówki i „do lasu".

W końcu stanęło na tym, że „*s awtonomijej nado podożdat'*". Nie protestowałem, a Sawinkow na mnie mrugał, żebym nie popadł w depresję z powodu tej zawieszonej autonomii. Nie traciłem nadziei, że ją jeszcze odwieszą, gdyż biesiada osiągnęła już ten punkt każdej rosyjskiej biesiady, kiedy wylewność uczuć i pragnienie ofiary przekracza granice wszelkich konwencji, nawet granice narodowego egoizmu.

O jakiejś nieuświadomionej porze rozeszliśmy się, lecz — jak się okazało — bez świadomości kierunku. Zbudziłem się wcześniej od innych na progu domowej kaplicy. Policzyłem to za dobry znak, mimo że kaplica była schizmatycka, a więc nie bardzo miła mojemu Panu Bogu.

WIECZORNE DZWONY

Do Nowoczerkaska przybyliśmy pod wieczór.

Zapadał cichy i pogodny zimowy zmrok, nasiąknięty prawosławną uroczystością soboty. Poważnie huczały wielkie dzwony soboru, przewodząc gromadzie jakby spłoszonych podzwaniań mniejszych dzwonów, wzywających wiernych na sobotnie całonocne nabożeństwo.

Nawykły od dzieciństwa do wsłuchiwania się w muzykę cerkiewnych dzwonów, z przykrością stwierdziłem, że nowoczerkaskie dzwony biją smutno, żałobnie i jakby pożegnalnie. I zorze wieczorne nad stepem dopalały się jak na trwogę, łącząc minorową muzykę ziemi ze złowróżbną kolorowością nieba w jedną symfonię jakichś ostrzeżeń przed jutrem. Wydawało mi się, że nad tym nieznanym mi miastem tężało jakieś mistyczne skupienie.

Wszystko inaczej, niż w sąsiednim Rostowie! Ludzie inni, nastrój ogólny zupełnie inny, zatroskany, poważny, jak bywa w domu przed wyprowadzeniem zwłok zmarłego.

Na ulicach kozacy i nieliczni żołnierze w przepisowo zapiętych płaszczach, wszyscy czymś zajęci, lub gdzieś śpieszą. Nie widać wałęsających się kup łazików, gryzących siemki i odrażająco hałaśliwych. Karczmy zamknięte, w *czajnych* podają tylko zwykłą herbatę, pitą do siódmych potów pod dźwięki starego gramofonu, podobne raczej do jęków cyrkularnej piły na opornych sękach sosny, niż do piosenki, w której „Marusia się otruła...“. Cywilna ludność ubrana schludnie, bulwary podmiecione. Znikąd nie słychać karczemnych ryków, wieczór tchnie powszechną uprzejmością, spokojem i złudnym bezpieczeństwem. Czasem dalekie echa strzałów przypominają, że jest wojna i że będzie wojna.

Z rzadka na kościstym dońcu przecwałuje ulicami ordynans lub przemaszeruje oddział zbyt młodo i zbyt inteli-

gentnie wyglądających żołnierzy. Ich twardy krok w kierunku atamańskiego pałacu, wzorowa doskonałość szeregów, idealna przepisowość ekwipunku i czyste, ciemne błyski na stali bagnetów na chwilę rozradują serca. Lecz tylko na chwilę. Bo są wśród nich prawie dzieci. Kadeci od czwartej klasy w górę, gimnaziści, studenci i junkrowie młodszych kursów szkół wojskowych, wszystko przybysze z północy, wszyscy przemienieni w żołnierzy ochotników. Czyż trzeba było dopuścić do tego, żeby ich wzywać na ratunek zbeszczeszczonej i splugawionej ojczyzny? Jutro będą bohaterami pierwszego i drugiego „lodowego" pochodu przez Dońskie i podgórskie zimowe stepy, pojutrze tułaczami świata, lub domownikami bezimiennych mogił przydrożnych.

Kontrrewolucyjny ład i spokój Nowoczerkaska zaledwie cienką powłoką krótkotrwałej koniunktury przykrywa burzenie krwi i ducha młodego pokolenia stanicznych kozaków. *Codziennie przybywają z frontu wielkiej wojny młodzi*, przywożąc do starych patriarchalnych kozackich domostw zarazę złego czasu, zaćmienie umysłów i sumień, mikroba zwątpienia i niewiary we wszystko, co było chwałą i świetnością od wieków aż do wczorajszego dnia.

W stanicach, to tu, to tam zakwitają, jak wysypka śmiertelnej choroby, czerwone ogniki tej straszliwej zarazy, która obiecuje wszystkim szczęście, odmianę losu i wolność, wolność, nieograniczoną wolność. Od południowych stanic, co bliżej Rostowa, lecą na północ w głąb Dońskiej ziemi urzekające wieści o nowym życiu, nowej sprawiedliwości, według której — jak mówią słowa internacjonału — kto był niczym, *budiet wsiem*.

Jeszcze stanicami rządzą starzy kozacy. Jeszcze w radach stanicznych zasiadają wyłącznie wiernopoddani wczorajszego cara, prawosławni chrześcijanie, synowie, wnukowie sławnych zdobywców kozackiej chwały. Jeszcze w domach wśród świętych ikon wiszą carskie wizerunki na ścianach, a ludzie bijąc modlitewne pokłony wzywają prawosławnego Boga o karę na przeklętych Lachów, Żydów, socjalistów i studentów, którzy cara zrzucili i diabelski bunt

w kozackich sercach rozpalili. Jeszcze starzy i młodzi zasiadają wspólnie do obficie zastawionych stołów; ale przeważnie już nie ma między nimi zgody ani zrozumienia. Jeszcze ten sam chleb „cichego" Donu żywi starych i młodych, już jednak są to dwa obce i prawie wrogie sobie światy.

Zainstalowaliśmy się w prywatnym domu przyjaciół naszych przyjaciół, ściślej przyjaciół pana Borysa i sympatyków partii S-R. Ze względu na bezpieczeństwo od kuchennych schodów było to dla nas pomyślną okolicznością.

W obszernym domu parterowym zajęliśmy dwa pokoje obok siebie. I tak się rozpoczęło nasze kilkutygodniowe bytowanie nad cichym Donem, który już w tym czasie tylko udawał ciszę. Po rewolucji nigdy już cichym być nie miał. Ucichł dopiero po straszliwej krwawej pacyfikacji, lecz wówczas przestał być dawnym kozackim Donem, bo był cmentarzem.

KONTRREWOLUCYJNE AFRONTY I FRONTY

Do Nowoczerkaska w owym czasie zjechała wielka gromada ludzi, niewątpliwie reprezentujących staroreżymną elitę wojskowych i polityków. I codziennie przybywało ich coraz więcej. W wagonach, na furmankach, nawet pieszo zbiegali z obszarów objętych władzą „rządu robotniczych i chłopskich mas". Ciągnęli nad Don rosyjscy panowie, poprzebierani za proletariuszów, kwiat rosyjskiej arystokracji, inteligencji i przemysłowej magnaterii. Ciche stepowe miasto, bardziej podobne do ogromnej wsi, z godziny na godzinę zmieniało wygląd swoich ulic, budząc niepokój w miejscowych ludziach, że ten gwiaździsty zjazd obcych w celach imperialnych ściągnie na miasto i kraj nieszczęście czerwonego odwetu.

Zaś dla nas, uchodźców z trochę innego środowiska, wystarczyło kilku godzin obserwacji uzupełnionych informacjami naszego socrewolucyjnego gospodarza domu, żeby zrozumieć, że jesteśmy w całkiem obcym i zapewne wrogim dla nas klimacie.

Nazajutrz rankiem północno-wschodni wiatr sypnął śnieżną zamiecią na kozacką stolicę, napędzając razem ze śniegiem z poduralskich stepów niewesołe nastroje i pesymistyczne myśli. Około dziesiątej wybraliśmy się z grzecznościową powitalną wizytą do atamana Kaledina, gospodarza Dońskiej ziemi. W atamańskim pałacu przyjął nas sympatyczny peterburżanin, sotnik kozackiej gwardii Paniutin, bawił nas w ciągu pół godziny salonową rozmową o niczym, wreszcie grzecznie i współczująco oznajmił nam w imieniu atamana, że ten nas przyjąć nie może z powodu nawału pracy i braku czasu.

— *Ponimaju* — krótko i ze zrozumieniem powiedział Sa-

winkow, serdecznie potrząsając dłoń lekko skonfundowanego oficera.

Wróciliśmy do domu, by ustalić kolejność dalszych wizyt, najstosowniejszą dla tworzącej się Restauracji, nie posiadającej jeszcze protokółu z wyraźnie określonym starszeństwem instytucji i osób. Od kilku tygodni pracowali tu nad organizacją Ochotniczej Armii generałowie Aleksiejew i Korniłow, przy czym pierwszy objął zwierzchnictwo administracyjne i polityczne, a drugi wojskowe. Byli tu także generałowie Romanowski, pełniący obowiązki szefa sztabu Korniłowa, Dragomirow, Mikołaj syn Judy Iwanow, słynny z niefortunnej wyprawy na zbuntowany Petersburg w lutym na czele kawalerów orderu św. Jerzego, Dienikin, Markow, Łukomski — wszystko wielkie i głośne nazwiska wsławionych w wojnie wodzów carskiej armii. Generałowie Wrangiel i Drozdowski nawet w tym tłumie dzielnych i najdzielniejszych wyróżniali się osobistą odwagą i brawurą w skali legendarnej i historycznej.

Po obiedzie postanowiliśmy odwiedzić naszego dobrego znajomego, gen. Korniłowa.

W naszym stosunku do niego ani ja, ani Sawinkow nie mieliśmy sobie nic do wyrzucenia. Sierpniowy bunt Korniłowa przeciwko rządowi republiki miał moralne poparcie Sawinkowa, lecz trudno było się spodziewać, by urzędujący wówczas minister spraw wojskowych poparł otwarcie przedsięwzięcie przeciwko swojemu rządowi, które *nota bene* zorganizowane zostało źle i poza nim. Sawinkow był zdecydowanym przeciwnikiem rządów Kiereńskiego właśnie z powodu stosunku do bolszewików i bolszewizacji armii, o czym wiedzieliśmy wszyscy, a Korniłow w pierwszym rzędzie. Sawinkow miał więc wszelkie powody spodziewać się życzliwego przyjęcia. Ja również po paru miesiącach zgodnej wspólnej pracy z Korniłowem, dowódcą mojej 8 Armii, liczyłem na przyjazne spotkanie z generałem w nowej sytuacji. Nie mówiąc już o tym, że politycznie nasz sojusz z kontrrewolucją przynosił większe zyski im niż nam.

Korniłow przyjął nas natychmiast, lecz przyjął bardzo zimno. Chociaż bardzo grzecznie, z grandezzą hetmana ko-

ronnego, lecz pod ciśnieniem żalów i goryczy, które jak para w kotle syczały na granicy wybuchu. Raz w raz padały słowa-żmije, prześlizgując się niby sentymentalne wymówki, to znów grzmiące basowo pogróżki pod adresem demokracji i demokratów, rewolucji i bolszewików, jakbyśmy byli odpowiedzialni za nich wszystkich.

Cierpliwie i w milczeniu pozwoliliśmy mu się wyszypić i wypienić. Słuchaliśmy nawet w skupieniu, jak ten bohaterski Azjata oskarżał całą kulturalną Rosję, całą jej inteligencję i demokrację o zbrodnie rewolucji, wpadając w jakieś metafizyczne uogólnienia, a przy okazji obarczając i nas obecnych odpowiedzialnością za „zdradę" Kiereńskiego z całym jego ensemblem, z sowietami, komitetami, komisarzami...

Gdy wreszcie skończył, jakby się reflektując, że może niesłusznie nas oskarża, Sawinkow powiedział spokojnie:

— Nie chcę, panie generale, dociekać pana osobistych motywów w obecnym stosunku pana do mnie i mego przyjaciela. Chwila bieżąca jest historyczna, gdyż jest ostatnią chwilą ratowania od władzy komisarzy w Moskwie tej Rosji, którą ja i pan uważamy za swoją. Tamci ją uważają jedynie tylko za odskocznię i teren socjologicznych eksperymentów, zgubnych dla niej bez wątpienia. Należy decydować szybko, bo czasu jest niewiele, czy rozsądniej jest ratować ojczyznę z rozsądnymi i patriotycznymi demokratami do spółki, czy zdać się wyłącznie na siły czarnosecińców, dla których nawet pan, panie generale, jest już zbyt czerwonym lewicowcem i demokratą. Czy sądzi pan, że samymi oficerami i młodzieżą zdoła pan przeciwstawić się milionom oszołomionego pospólstwa? My przynosimy panu niejakie szanse, że do pańskich klasowych formacji za naszą poręką przystąpią rosyjscy żołnierze i będzie pan dowodzić rosyjską armią w imię ogólnorosyjskich, narodowych celów.

Korniłowa jakby zaskoczyły proste słowa Sawinkowa. Odseparowany na chwilę od nastrojów swego otoczenia, zamyślił się, potem oderwał rękę od czoła i rzucił rozkazująco:

— Idziemy razem!

Już w zupełnie innej atmosferze zostały przedyskutowane sposoby wprowadzenia nas do powstałej Politycznej Rady przy głównodowodzącym Ochotniczą Armią. Roli tej rady jeszcze nikt nie sprecyzował, więc i nam było trudno przewidzieć zasięg jej wpływów i działania. Jedno zostało stwierdzone, że nasza w niej obecność ma poszerzyć społeczną hipotekę generalskiego przedsięwzięcia.

Wizyta u gen. Aleksiejewa, następnego dnia, minęła prawie bezbarwnie. Poza formalną aprobatą wniosku gen. Korniłowa o włączeniu nas do Politycznej Rady, generał nie poruszał żadnych zasadniczych spraw. My również. Aleksiejew należał do tej nielicznej grupy generałów, która widząc rozpad państwa cara, obarczała go odpowiedzialnością za stan spraw państwowych i godziła się z koniecznością rewolucji ustrojowej.

Zupełnie inne wrażenie pozostawiła długa i ciekawa rozmowa z gen. Romanowskim. Sawinkowa osobiście przed tym nie znał, ale rozmawiał z nim zupełnie szczerze jako z moim towarzyszem i przyjacielem. Romanowski, jak już pisałem, był i pozostał monarchistą, posiadał jednak umysł otwarty i zmysł liczenia się z realiami. Jak sam mówił, jego monarchizm nie tylko nie przeszkadzał mu w obiektywnej ocenie zjawisk, ale nieustannie zmuszał go do uzgadniania swoich przekonań, uczuć, nawet gustów z powstającymi faktami. W powstałej sytuacji uważał, że nie samo fizyczne unicestwienie bolszewików winno być celem militarnej kontrrewolucji, ale że jej powodzenie zależy od pociągnięcia za sobą mas w ich własnym, dobrze uświadomionym interesie. Tych kontrrewolucjonistów, którym się zdawało, że wystarczy sterroryzować zbuntowane pospólstwo przy pomocy szubienicy, nagana i nahaja, zaliczał do niebezpiecznych awanturników, bardziej szkodliwych dla kontrrewolucji niż dla bolszewickiej rewolucji.

Rozmowa się przeciągnęła na godziny. Gen. Romanowski z wielką uwagą wysłuchał niezbyt optymistycznych uwag Sawinkowa o elitarnej armii, już jakby w założeniu przeciwstawnej masom — „armii panów". Wreszcie gdy zapytał

wręcz Romanowskiego, co sądzi on o naszej obecności i współpracy z Polityczną Radą, Romanowski odpowiedział krótko i twardo:

— Niech panowie wyjeżdżają stąd niezwłocznie. Pojutrze może być już za późno. Wrogowie panów są tu mocniejsi od ich przyjaciół. Niech panowie nam pomagają z zewnątrz.

ZAMACH NA SAWINKOWA

Wróciliśmy o zmroku do naszej kwatery. Prawie jednocześnie z nami wszedł do domu, tyle że przez kuchenne wejście, jakiś nieznajomy oficer. Niezapowiedzianych wizyt nie lubię, a do tego — oficera w kontrrewolucyjnym Nowoczerkasku. Sawinkow miał zupełnie inne usposobienie, był przede wszystkim wszystkiego ciekaw.

Przybyły powoływał się na jakieś swoje dawne związki z partią S-R. Przed pół rokiem był oficerem sztabu 7 Armii, gdy Sawinkow był tam wojennym komisarzem Tymczasowego Rządu. Bardzo szczęśliwy, jak się okazało, zbieg okoliczności. Bo okazało się, że ów oficer przyszedł uprzedzić, że jutro w godzinach poobiednich, najpewniej koło godziny piątej, do pana Borysa zamelduje się pewien sztab-rotmistrz, żeby go zastrzelić.

Wiadomość nie wyglądała na wyssaną z palca. Po odejściu oficera wysilaliśmy dowcip, w jaki sposób unieszkodliwić zamachowca na sekundę przed oddaniem strzału. Każde inne rozwiązanie groziło ośmieszeniem. Przypuszczaliśmy, że jutrzejszy wyczyn rotmistrza będą z wielką uwagą obserwować znacznie wyższe szarże.

Wieczór minął na spożyciu doskonałej kolacji i na bardzo ciekawych rozważaniach starego terrorysty na temat losu, subiektywnych pojęć winy i kary i uznanym przez niego prawie każdego człowieka do życia swego wroga. Na moje próby skierowania jego uwagi na przedsięwzięcie samoobrony w imię moralnych i rozumowych racji, Sawinkow odpowiedział z prostotą:

— Przecież ja przez całe życie robiłem to samo.

Mimowoli przypomniała mi się odręczna uwaga Aleksandra I na raporcie ministra policji Benkendorfa o szykującej się rewolucji: *„Nie mnie karat'"*. Obawiałem się, że jesz-

cze chwila tych psycho-moralnych wynurzeń z głębi rosyjskiego wnętrza, a pan Borys zakończy swój filozoficzny dyskurs o terrorze wnioskiem o zaniechaniu obrony i mnie zmusi do podporządkowania się wyrokowi jego losu. Zachodni Europejczyk zwyciężył jednak jasnopolańskie*) ciągoty. Rozeszliśmy się na spoczynek z otuchą łownej zwierzyny, której nadarza się sposobność pojmania myśliwego w sidła.

Projekt był mój i wykonanie miało być moje. Ułożyliśmy się, że gdy śmiercionośny rotmistrz zadzwoni, ja mu otworzę drzwi, zaproszę do pokoju Sawinkowa, wskażę kanapę, i poproszę, by chwilę zaczekał. Sawinkow ma w tym czasie czekać w moim pokoju, z którego drzwi będą szeroko otwarte, lecz zawieszone portierą, zanim ja nie wrócę i nie ulokuję się na upatrzonej pozycji za portierą, skąd będę miał otwarty obstrzał całego pokoju mego przyjaciela. Moim celem ma być wybicie broni z ręki oficera w stosownej chwili, czyli w ciągu tych paru sekund pomiędzy wyrwaniem przez niego rewolweru z kieszeni czy kabury, a oddaniem strzału. Nie wątpiłem ani przez chwilę, że w odległości czterech-pięciu kroków mój strzał będzie celny.

Skłamałbym jednak mówiąc, że naznaczony dzień mijał dla mnie normalnie i spokojnie Czas się dłużył, wątpliwości się czepiały. A to... a tamto... nigdy nie pudłowałem, ale nigdy może nie miałem strzelać w takim podnieceniu. Podskórnie byłem jednak pewny siebie, i pocieszałem się pewnością, że przewidziałem wszystko. Rychło się pokazało, że jednak nie wszystko.

Po śniadaniu Sawinkow zasiadł do biurka i zaczął coś pisać, często zaglądając do swoich notesów. Mógłbym przysiąc, że nie pisze testamentu. Był tak spokojny i daleki, jakby całkowicie zapomniał o szykującym się teatrze jego własnego dramatu.

Zabrałem się do czytania „Idioty", najbardziej odpowiedniej lektury w sytuacji i nastroju, co chwila rozpraszanego

---

*) Jasna Polana — majątek Lwa Tołstoja (przyp. wyd.).

nawrotami różnorakich wariantów zbliżającego się przedstawienia. Koncentrowałem się na zadaniu, by nie skaleczyć prawej ręki rotmistrza.

Wreszcie z wieży soboru wybiła piąta. Równocześnie z ostatnim uderzeniem zegarowego dzwonu jęknął i zaskowytał u drzwi staroświecki dzwonek, szarpnięty mocno za mocno, by po chwili, jakby przepraszając, leciutko i niezdecydowanie zaskomleć.

Sawinkow bez pośpiechu przeniósł się ze swoimi papierami do mego pokoju. Ja, idąc by otworzyć drzwi, pomyślałem po niewczasie, że drabowi za drzwiami może być całkowicie obojętne, ile razy i w jakiej kolejności pociągnie za cyngiel. Więc jeśli facet nie jest głupi, powinien rąbnąć wprzód mnie. Było już jednak za późno na zmiany i poprawki.

Otworzyłem drzwi szeroko, wpijając się wzrokiem w twarz wysokiego, szczupłego oficera i namiętnie zezując w kierunku jego prawej ręki i kabury nagana. Z ulgą i satysfakcją zauważyłem, że jest nowa i zapięta, a ręka rotmistrza drży. Ze spokojem więc rozpocząłem moją rolę grzecznym zapytaniem, czego gość sobie życzy.

Z bardzo rasowej i żałośnie pobladłej twarzy patrzyły na mnie wpółprzytomne oczy dwudziestoparoletniego młodzieńca, już jakby błagające o pomoc w rozwiązaniu wewnętrznego dramatu. Sztucznym i zrywającym się głosem zapytał, czy może widzieć „Borysa Wiktorowicza" w prywatnej sprawie...

„Dobra prywatna sprawa" — pomyślałem dowcipnie, a jednocześnie płucami zaczerpnąłem głęboko haust neutralnego powietrza, że na ten raz — Bogu dzięki — ja *„ni priczom"*.

Jak z nut zaprosiłem biedaka do pokoju Sawinkowa, usadziłem w rogu kanapy, poprosiłem z czarującym uśmiechem, by zaczekał chwilę, podsuwając jednocześnie pudełko z papierosami i zapałki.

Chwilę obserwowaliśmy przybysza zza kotary. Był w stanie kompletnego rozstroju nerwowego. Chwycił papierosa i

zapałki rozlatanymi rękami, a nie mogąc zapalić, rzucił papierosa na dywan a zapałkę wsunął do bocznej kieszeni frencza. Budził współczucie, a współczułbym mu jeszcze głębiej, gdyby nie zawód, że całe moje pogotowie psu na budę się nie zdało. W tym momencie przypomniałem jednak sobie nasze kadeckie powiedzonko, że z dragonami i wariatami nic nie jest pewne. Chwyciłem więc w garść Smitha, a ruszającego na scenę Sawinkowa przeżegnałem w myśli znakiem krzyża.

Sawinkow, ten wielki artysta gestów i póz, wyszedł spoza portiery uśmiechnięty, z wyciągniętą na powitanie ręką i uwodzicielsko ciepłym głosem zawołał jak do dobrego znajomego:

— Dzień dobry, rotmistrzu!

Rotmistrz skoczył na nogi, za nim skoczyła muszka mego rewolweru, a on zamiast wyrwać nagana z kabury, ciągle zapiętej, porwał dłoń Sawinkowa i dławiąc się wykrztusił:

— Ja przyszedłem zabić pana, panie ministrze.

— Ale za co, za co ma mnie pan zabić? — zakrzyknął serdecznie i życzliwie genialny Sawinkow.

Tak, na psa się zdał mój genialny plan! Przed Sawinkowem nie stał już zamachowiec, ani monarchista, ni terrorysta, ni rotmistrz kawalerii, ale zrozpaczony chłopak, któremu może jeszcze niedawno jakaś szlachetna matka mówiła: „...ale ty, Wołodieńka zawsze bądź *błagorodnym* ...".

Z głupią miną wyszedłem z mojej zasadzki, by pomagać Sawinkowowi w leczeniu cierpiącego. Podałem mu szklanicę dobrego wina, a gdy się trochę opanował, usadziliśmy rotmistrza na kanapie między sobą i wysłuchaliśmy serdecznej spowiedzi współczesnego *Pieczoryna*. Było nam wszystkim tak, że gdyby się w tej chwili ukazał duch Lermontowa, nie bylibyśmy chyba zaskoczeni, a usadzilibyśmy go tak jak rotmistrza między sobą i gawędzili dalej bardzo szczerze i serdecznie. Gdy rotmistrz opanował się całkowicie, powiedział wpatrzony z adoracją w Sawinkowa, a przecież jakby do siebie:

— Nie popełniłem zbrodni.

Rozmowa potoczyła się już zwykłą koleją, zmieniając w

bardzo ciekawą konwersację z bojowym oficerem, kawalerem orderu św. Jerzego na temat wojny, rewolucji, kontrrewolucji i bolszewizmu. Zamówiłem kolację na trzech.

— *S wodkoj ili biez onoj?* — z żartobliwą troskliwością spytał Sawinkow, zaglądając w oczy swego niedoszłego mordercy.

Rotmistrz spłonął, ale po oficersku odpowiedział dziarsko:

— *Konieczno s wodkoj.*

O planowanym zamachu oczywiście już nie mówiliśmy. Tylko po ostatnim pożegnalnym uścisku dłoni młody oficer, wyraźnie zemocjonowany jakąś powrotną falą wrażeń, zwrócił się uroczyście do Sawinkowa:

— Borysie Wiktorowiczu. Proszę zrobić mi zaszczyt i przyjąć ode mnie to — odpiął pas, zsunął z niego kaburę z naganem i położył na stoliku przed lustrem. — Na pamiątkę przełomu w moim życiu.

Widziałem, że Sawinkow był prawdziwie wzruszony. Rzeczowo strofowałem miłego gościa, że przyszedł bez płaszcza, gdy na dworze jest zimno i śnieżno.

Po jego wyjściu dzieliliśmy się wrażeniami. Musiałem przyznać, że jeśli nasz zamachowiec reprezentował przeciętny typ zagorzałego kontrrewolucjonisty, to gen. Romanowski grubo przesadzał, ostrzegając nas przed żywiołową nienawiścią do wszystkiego i wszystkich, reprezentujących w jakimś stopniu jakąkolwiek rewolucję. Dopiero później dowiedzieliśmy się, że inicjatywa zastrzelenia Sawinkowa pochodziła od najbliższych tajnych doradców gen. Korniłowa, oczywiście w tajemnicy przed nim i wbrew jego intencjom. Jednym z nich był Zawojko, farsowy „czerkies", monarchista i patriota spod ciemnej gwiazdy Michała Archanioła, czyli tzw. „czarna sotnia", drugim — operetkowy „ataman" astrachańskich kozaków, niejaki Dorinskij, także bandyta. Ci dwaj cywilni awanturnicy przypętali się nie wiadomo skąd i mieli zupełnie niezrozumiały wpływ na głównodowodzącego Ochotniczą Armią.

Gdyśmy już rozeszli się do swoich pokoi, mój wrodzony sceptycyzm podszeptywał mi złośliwą wątpliwość, czy wszyst-

kie nagany mścicieli przejdą do prywatnej kolekcji Sawinkowa... Na razie jednak zasypiałem spokojnie i w dobrym nastroju.

★ ★ ★

Na razie były to pierwsze i sporadyczne objawy choroby, które bym nazwał zbolszewiczeniem obyczajowym i moralnym. Objęte miały nią być już wkrótce obie strony walczących frontów. Ci, którzy walczyli z rewolucją, nie zdawali sobie sprawy, że są już przez nią zarażeni, że rewolucja dokonała się już w nich samych, obalając wszelkie normy przyzwoitości i wszystkie tradycje rycerskie. Z Niemcami, z Austriakami wojowało się, lecz jakoś nie czuło w nich wrogów osobistych, nie pogardzało się nimi, a gdy ustawały straty, nie strzelało się bezbronnym w łeb. Pamiętam obrazek, zasługujący na przypomnienie. Jestem służbowo u szefa sztabu korpusu wśród kilku oficerów sztabu. Czekam wśród nich swojej kolejki na przyjęcie. Pod ścianą siedzi ponuro austriacki generał, wzięty do niewoli. W pewnej chwili zapytuję swego pułkownika, czy mogę zapalić. Ten, wskazując oczami obcego generała, zwraca mi uwagę, że należy pytać o pozwolenie starszych rangą...

Wszystkie armie czerwone i białe charakteryzowała jednaka nienawiść, pogarda i okrucieństwo w stosunku do przeciwników. Mordowano się w boju, mordowano jeńców, mordowano z donosów, mordowano podejrzanych, wreszcie osiągnięto szczyt obłędu: kto nie z nami — ten wróg, którego należy mordować.

Z poruczników normalnego wojska, jednakowo w armii białej i czerwonej, wyrastali, jak trujące kwiaty z ziemi obficie użyźnionej krwią, generałowie i *komandiry*, atamani i wodzowie, faworyci ślepego losu, okrutni i nieczuli na wszystko co ludzkie. Kędy przeszli ci wielcy i mali, pozostawały zgliszcza, trupy, niepomszczone krzywdy, a sława ich, jak morowa zaraza spadała na przerażone dusze, zapładniając drapieżne serca nowych zbrodniarzy, urzeczonych mistyką zbrodni, zbyt łatwo i pochopnie identyfikowanej z bohaterstwem, obowiązkiem i dyscypliną. Kontrrewolucja i rewolucja łatwo rodziła legendy o krwawych i bandyckich bo-

haterach. A ludowe masy długo będą się żywiły opowieściami o swoich atamanach bandytach, jak Machno, Szczuś, czy Orlik, którzy z jednakową krwiożerczością wyrzynali „panów“ i komunistów.

W szeregu krwawych obrazów tamtych przeklętych lat wciąż stoi mi w oczach stary sługa Boży, pop prawosławny, ojciec Nikodem ze Zwinogródka, jak otoczony zgrają ryczących z zachwytu wykonawców proletariackiej sprawiedliwości chodzi słaniając się w śmiertelnej męce dokoła telegraficznego słupa, z rozprutym brzuchem i wymiotuje parujące na grudniowym mrozie swoje własne trzewia. Początek kiszki człowieka jest przybity gwoździem przez ludzi do słupa.

Ale oto biały wódz, o imieniu głośnym na cały cywilizowany świat, po zdobyciu wielkiego miasta nad Wołgą od czerwonych i wysłuchaniu meldunku o aresztowaniu zarządu miasta, na miejscu feruje wyrok: „Natychmiast powiesić wszystkich“.

To wszystko miało przyjść dopiero potem.

RADA POLITYCZNA CZYLI PIERWSZE POLITYCZNE RYSY NA LEDWO FORMUJĄCYM SIĘ WSPÓLNYM FRONCIE

Po kilku dniach inkubacyjnego okresu Rada Polityczna przy Ochotniczej Armii przyswoiła sobie cechy polityczno-administracyjnego kolegium dla projektowanego „Związku Północno Kaukaskich Państwowych Formacji". W ten enigmatyczny sposób usiłowano ominąć brzydkie dla generalskich uszów nazwy republik, które już powstały (Dońska, Kubańska i Dagestańska) i już zbyt wyraźnej ochoty do solidaryzacji z ogólnorosyjską sprawą nie wykazały. Tymczasem w Ochotniczej Armii, nawet już w jej embrionalnej fazie, ujawniało się dążenie do *„sobiranija ziemli russkoj"*. Trudno zaprzeczyć celowości tej akcji *„sobiranija"*, skoro celem miało być obalenie bolszewizmu, zdobycie Moskwy, wyzwolenie Petersburga i kontrrewolucyjne „odrodzenie". Młode republiki natomiast chciały jedynie bronić swojej nienaruszalności. Zdając sobie sprawę z bolszewickiego zagrożenia, kooperowały o tyle o ile z kontrrewolucją, ale marzyły w sekrecie o uznaniu ich suwerenności i świętym spokoju na swoich ziemiach. Między celem minimalnym (republiki) a maksymalnym (kontrrewolucja) było dość miejsca na harmonijne współdziałanie zwłaszcza w początkowym okresie. Niestety. u wszystkich rosyjskich kontrrewolucjonistów zawsze nad koniunkturalną racją stanu dominowała wczorajsza imperialna duma i wierność wielkomocarstwowości. Ta niewątpliwie szkodliwa cecha wodzów „odrodzenia" osiągnęła po śmierci Korniłowa i Aleksiejewa swój fatalny szczyt w haśle *„jedinoj i niedielimoj"* Rosji, które odepchnęło od Ochotniczej Armii, a szczególnie od późniejszej tzw. „Russkoj Armii" Wrangla wielu potencjalnych sojuszników. Hasło to nie tylko okazało się bezużyteczne, ale

bardzo szkodliwe nawet dla odradzającego się rosyjskiego imperializmu. Było bowiem przedwczesne, skoro walka z bolszewikami nie była skończona, a siły antybolszewickie potrzebne do tej walki rozpraszało. Twórca tego hasła, gen. Dienikin, syn pańszczyźnianego chłopa i matki Polki z zagrodowego szlacheckiego plebsu, nie był przy tym ani pospolitym rusyfikatorem, ani polakożercą, a w swej książce „Droga rosyjskiego oficera" kategorycznie odcinał się od głupiej rusyfikacyjnej polityki carskich rządów w Polsce. Ale ten sam Dienikin byłby bardzo zdziwiony, gdyby ktoś pragnął go przekonać, że Podlasie, Wilno i Lwów to nie „iskoni" rosyjskie ziemie i posiadłości, a właśnie znacznie bardziej „iskoni" polskie, dokładniej polsko-litewskie z okresu wielkiej Rzeczypospolitej, nieco starszej od imperialnej Rosji.

Na żądanie generałów Korniłowa i Aleksiejewa Rada Polityczna przy Głównodowodzącym Ochotniczą Armią musiała nas dokooptować jako przedstawicieli demokracji, wbrew niechęci i odrazie do nas większości jej członków. Od razu jednak na pierwszej wspólnej z nami sesji zaatakowano nas z miejsca, spychając do roli podsądnych.

Oskarżano nas o wszystko i za wszystkich. Broniliśmy się i — popierani przez Korniłowa, Aleksiejewa i Romanowskiego — obroniliśmy się, ale raczej akademicko, nie zyskując ani sympatii panów radców, ani zrozumienia. Przeciwnie: ponieważ okazaliśmy się lepszymi obrońcami, niż oni oskarżycielami, tym bardziej ich ledwo hamowana wrogość rosła. Sawinkow wybrał taktykę natarcia, więc z miejsca przeszedł do kontroskarżeń: — Panowie oskarżacie rewolucjonistów — mówił — że oni zgubili Rosję, a niech mi będzie wolno zapytać panów, gdzieście byli i jaka była wasza współodpowiedzialność za klęski wojny; kiedy rosyjscy żołnierze kłonicami i kamieniami odbijali ataki nieprzyjacielskiej piechoty z braku pocisków i nabojów?...

Ja bardziej pojednawczo powoływałem się na świadectwo obecnego gen. Romanowskiego, byłego szefa sztabu mojej 8 Armii, z którym zgodnie i solidarnie mimo jego monarchizmu a mego republikanizmu walczyliśmy z anarchią żoł-

nierskich mas. Romanowski nie szczędził czarnych kolorów dla odmalowania ponurego obrazu przeszłości, pragnąc mnie wybielić z mojej urzędowej czerwoności, lecz nie na wiele to się przydało mnie, a jemu zapewne zaszkodziło. Mój urząd b. wojennego komisarza wystarczał, bym wśród tych świetnych postaci pozostał trędowatym do końca. Wśród członków Rady szczególną odrazą do nas, a zwłaszcza do mnie, wyróżniali się: Dienikin, doński ataman Kaledin, nie uznający żadnej różnicy między nami a bolszewikami, i najdzielniejsi pomiędzy dzielnymi i może z tego powodu pogardzający nami demonstracyjnie, generałowie Markow i Drozdowski.

Ponieważ jednak obroniliśmy nasze pozycje antybolszewickie, zostaliśmy uprawnionymi członkami Rady z określonymi funkcjami: Sawinkow przejął kierownictwo propagandą zagraniczną, mnie przydzielono sprawy narodowościowe, mniejszościowe.

NINOCZKA

Tymczasem na zupełnie innym planie mijały w Dońskiej krainie moje własne słoneczne dni i tygodnie, zawsze młodsze ode mnie, i całkiem obce polityce, rewolucji, kontrrewolucji, a nawet odseparowane od mego towarzysza i przyjaciela Sawinkowa.

Bo ze mną zawsze było tak: całe życie byłem opóźniony o jakieś 10-15 lat w stosunku do tego, co w młodym człowieku jest dorosłością, dojrzałością w usposobieniu i gustach i zainteresowaniach. Taka dwuosobowość, zresztą starannie ukrywana, ułatwiała w pierwszych dziesiątkach lat moim rówieśnikom poczucie wyższości, często dowcipy, ale jaką rekompensatę zostawiła mi na dziewiąty dziesiątek lat mego życia!...

Tak więc w Nowoczerkasku, w moim trzydziestym drugim roku, poza polityką i radcostwem, duszą i ciałem wyrywałem się w chłopięctwo, jak tylko nadarzała się okazja. A właśnie się nadarzyła na wspaniałej nowoczerkaskiej ślizgawce. W pięknym i rozległym parku wszystkie place i aleje zostały najstaranniej oblodzone doskonałą nawierzchnią, aż dzwoniącą pod stalowymi *turfami* i *amerykanami* niezwykle sympatycznej kozackiej młodzieży, w tym moim pomniejszonym wieku. Już zdążyłem być tam kilka razy, już zawarłem kilka miłych znajomości wśród miejscowych amatorów tego sportu, jedynego zresztą wolnego od konkursowych wyczynów, zawsze tak dla mnie obcych i nawet wstrętnych, najbardziej eleganckiego i zbliżonego prawami równowagi i ruchu do lotu.

Nazywała się Nina, choć w myślach od razu nazywałem ją słodkim spieszczeniem — Ninoczka. Była studentką Pedagogicznego Instytutu w Petersburgu i córką papy o głośnym kozackim nazwisku. W miejscowej hierarchii była nie-

wątpliwie damą. Na ślizgawce była stepową dwulatką, nie tyle piękna, co prześliczna, niemożliwa — zdawało się — do zniesienia w sposób salonowy i pospolity. Taką ją zauważyłem, ogień na lodzie, do którego zbliżyć się było najmilszym szaleństwem.

Naraz, w chwilę po przedstawieniu mnie jej przez jakiegoś ślizgawkowicza według wszelkich zasad starożytnego ceremoniału, zostałem zaskoczony jej niespodziewanym chłodem. Tym bardziej, że jeszcze wczoraj na tym samym lodzie, mijając mnie ze ślicznie rozchwianą dystynkcją urodzonej łyżwiarki, uśmiechała się w biało-szafirową przestrzeń przyjaźnie, oczywiście na pewno nie do mnie, lecz po łyżwiarsku: i powszechnie i swobodnie. I wydawało mi się, że jakiś kryształowy odsetek jej uśmiechów odpadał od szafiru świata dla mnie.

A oto teraz, podając mi swoją szczupłą, lecz niezwykle mocną rączkę przy prezentacji, naraz struchlała w oczach, zesztywniała i nawet pobladła. W jej turmalinowych oczach nagle zgasły wszystkie wczorajsze błyski i jasności, skry sexu, żaru, wesołości i humoru.

Nie rozumiałem co się stało i co to wszystko ma znaczyć, lecz nie było czasu na psychologiczne dociekania, bo słodkie tornado już zaczęło ponosić krew, rozum, logikę.

Popłynęliśmy w głąb parku rączka w rączkę, w ustronne aleje, ja — pełen i coraz pełniejszy zachwytu i radości, ona — coraz powściągliwsza, zmrożona i schowana w sobie, aż nie wytrzymałem i spytałem najgorętszym braterskim szeptem:

— Co się z panią stało?... co pani jest?...

— Ja... wiem kim pan jest — odszepnęła cicho i bez tchu.

Słowa jej spłynęły jak światło z cienia, a w mojej ogłupiałej świadomości błysnęła pospolita myśl o jakimś nowym naganie, tym razem wymierzonym we mnie. Lecz jej niezwykła emocja w tej chwili, jakieś radosne zażenowanie, zapalone błyskiem tkliwości, i ten najcudniejszy szept, posiadający własność gaszenia, tłumienia, zacierania niepamięcią wszystkich innych szeptów, zasłyszanych wcześniej, udzieli-

ły i mnie jakiegoś uroczystego wzruszenia. Chociaż nic jeszcze nie rozumiałem, byłem gotów na nagan, byle z tych drżących rączek.

— Jestem taki a taki — stwierdziłem dość stanowczo, na co Ninoczka spojrzała na mnie z rozumnym i współczującym potakiwaniem.

Umówiliśmy się na jutro. Na pożegnanie wbrew miejscowej etykiecie gorąco ucałowałem śliczną rączkę, która drgnęła, jak dotknięta ogniem, ale wyskoczyć z mojej dłoni nie zdążyła.

Wracałem zamyślony do domu, gdy naraz na pustym bulwarze spostrzegłem idącego w moim kierunku starego i białego jak gołąb gen. Iwanowa, Nikołaja Judowicza, generała-adjutanta jego cesarskiej mości. Jak można opisać moje zdziwienie, gdy oto nagle generał, prostując się w starych kościach i hipnotyzując mnie wzrokiem, oddał mi przepisowe honory, przykładając sztywną dłoń do papachy, jakbym był dyrektorem kadeckiego korpusu, a on kadetem piątej klasy.

Rzecz jasna, brał mnie za kogoś innego. Ale za kogo?

Wieczorem, po posiedzeniu Rady opowiedziałem gen. Romanowskiemu o dziwnym zachowaniu się gen. Iwanowa, myśląc jednocześnie o jeszcze dziwniejszym pięknej Ninoczki.

Romanowski wybuchnął śmiechem.

— Zapomniałem panu powiedzieć, że gen. Iwanow już kilka razy napomykał mi w zaufaniu, że widuje w mieście wielkiego księcia Michała, brata cesarza, w konspiracyjnym przebraniu. To właśnie pana bierze on za wielkiego księcia, i gdy jego zdaniem nikt tego nie widzi, oddaje panu należne honory. Pan istotnie na pierwszy rzut oka jest bardzo podobny do wielkiego księcia Michała.

Śmialiśmy się obaj, lecz z różnych powodów. W moim śmiechu bardziej spostrzegawczy świadek, niż Romanowski, wyczułby nutę goryczy i smutku.

NA MUSZCE WROGÓW

Nazajutrz gdyśmy w spokoju spożywali obiad, zameldował się ordynansowy oficer Głównodowodzącego z poufnym zawiadomieniem od generała, odwołującym naszą dzisiejszą wizytę u niego, gdyż — jak doniósł wywiad — zapowiada się ponowna próba nieznanych terrorystów zlikwidowania nas na ulicy, gdzie generał mieszka.

Sawinkow prosił oficera, by podziękował Głównodowodzącemu i zawiadomił go, że o umówionej godzinie będziemy u niego.

Po odejściu oficera zaczęliśmy analizować rzecz z punktu widzenia fachowego. Gdzie i z jakiego miejsca mogą do nas strzelać? Oczywiście, tylko na bulwarze, przy którym mieszka Korniłow. Ale bulwar jest bardzo szeroki, ma również po środku chodnik, którym oczywiście my pójdziemy. Mogą strzelać tylko z podcienia domów, czyli z odległości co najmniej 30 kroków, można więc liczyć na niecelność strzału, czy strzałów.

— Mogą z dubeltówki i loftkami — wtrąciłem.

— Ach, nie przyjdzie to głupcom do głowy! A w ogóle, już mnie to wszystko zaczyna nudzić! — wybuchnął Sawinkow. — Nic tu nie mamy do roboty, nic tu nie zrobimy. trzeba pomyśleć o wycofaniu się na jakieś inne i z góry upatrzone pozycje.

Do domu Korniłowa mieliśmy przejść przez dwie handlowe ulice, dobrze oświetlone, przeciąć duży plac przed soborem, żeby wyjść na ów bulwar, przy którym mieszkał.

Bulwar tonął w mroku.

Ku naszemu zdziwieniu u jego wylotu czekał na nas ten sam oficer, który już raz zwiastował nam złą nowinę, a teraz powiadomił, że generał kazał wysłać dla nas ochronę.

W cieniu opodal czekało kilku żołnierzy. Oficer wysforował się naprzód w obawie, byśmy widząc kupę uzbrojonych, nie otworzyli do nich ognia.

Sawinkow był wściekły, ja zaś przeciwnie, gdyż miałem potwierdzenie, że przynajmniej Korniłow na nas nie poluje.

Korniłow spotkał nas z rzadkim u niego humorem, a zwracając się do Sawinkowa, pouczająco przypomniał mu rosyjskie przysłowie: „*Lubisz katat'sa, lubi i sanoczki taskat'*".

Po wyczerpaniu tematów politycznych, już przy pożegnaniu, Korniłow, nic nie wiedząc, jak i my w owym czasie, że to jego najbliżsi ludzie na nas polują, powiedział ze smutkiem skargi w głosie:

— Ot, w jakiej anormalnej atmosferze przyszło nam żyć i pracować...

W powrotnej drodze aż do samego domu towarzyszyła nam dyskretna ochrona. Sawinkow był zły i ponury. Chcąc go rozerwać, opowiedziałem mu o pięknej Ninoczce, która mnie bierze za wielkiego księcia Michała. Zakończyłem pretensją do kontrrewolucjonistów, którzy postponując to podobieństwo, zamierzają strzelać do mnie na przesmyku bulwarowym, jak do lisa spod psów.

— Na tym łżemichalstwie może się pan odegrać, gdy wszystko inne zawiedzie — zauważył Sawinkow kąśliwie.

LEDWOŚMY SIĘ ZAPOZNALI, POKOCHALI... JUŻ ROZSTALI

Mój zimowy romans, najidealniejszy i najwznioślejszy w życiu, omal nie skończył się ponurą tragedią.

Zaczęło się, jak zwykle, w mroźny słoneczny dzień, jak zwykle na ślizgawce, oczywiście z Ninoczką, która znów mnie spotkała uroczysta i namaszczona, niczym Maryna swego Samozwańca przy fontannie. Była przy tym tak miła i uwodzicielska, że wyrwało mi się spod serca:

— Ach, Ninoczka, czemu ty nie jesteś spod Oszmiany czy Ejszyszek, bo mi te twoje oczy zwodnicze zielonym niepokojem zaczynają wypełniać pustkę serca, jak przed wielkim szczęściem...

Znów się zaczęły czary stepowej dziewczyny, wzruszonej i przerażonej, że ją, zwykłą staniczną Ninoczkę, adoruje nieznany człowiek, o którym jej w najgłębszej monarchicznej tajemnicy wiadomo, że jest bratem jej nieszczęśliwego cesarza. Chwyciłem jej obie ręce, przycisnąłem do siebie, pochyliłem się do poziomu jej spłoszonych oczu i w srebrnej alei parku wyszeptałem prosto w serce:

— Ninoczka, ja nie jestem wielkim księciem Michałem.

Ach, Ninoczka, Ninoczka! Cały świat mi się rozświetlił blaskiem szczęścia, gdyś gorąco wyszeptała tylko jedno słowo:

— *Pobożitieś!* (przysięgnij)

Mój wielki Boże, błysnęło we mnie, przed takim ołtarzem i w innym celu byłoby szczęściem powołać Boga na świadka.

Z pociemniałych oczu Ninoczki strzeliła wielka radość. Cała jakby się sprężyła do skoku, by już, już objąć w ramiona wizję szczęścia, które przestało być majestatem. Powstrzymała się, ale przytuliła do mnie ramieniem, pochyliła główkę i usłyszałem szept-westchnienie:

— *Moj miłyj Lach ...*

Przy wyjściu z parku, gdy wychodziliśmy z bramy na ulicę, z przelatujących sanek trzasnęły do nas trzy strzały. Ninoczka upadła. Wyśliznęła się spod mojej ręki, wyrywającej broń z kieszeni bekieszy. Gdy ją podniosłem żywą i zdrową, straszliwie czułą, ktoś z kupy ludzi podniósł ze śniegu jej czapeczkę, i podając powiedział: — Przestrzelona. — Pośpiesznie wycofaliśmy się z tłumu ciekawskich. Słaniająca się ze wzruszenia i szczęścia Ninoczkę odwiozłem sankami do domu.

Do jej domu.

* * *

Życzliwi dla nas wodzowie widocznie rozumieli, że klimat Nowoczerkaska coraz bardziej zagrażał naszemu zdrowiu, przeto Rada Polityczna zaproponowała nam wyjazd w charakterze jej delegatów: Sawinkowowi do Moskwy, mnie do Kijowa. Rzecz jasna, że była to najuprzejmiejsza forma deportacji kłopotliwych aliantów z terenu.

PODRÓŻE KSZTAŁCĄ

Zapewne było to w połowie stycznia, kiedy gen. Aleksiejew w imieniu Rady zaproponował Sawinkowowi wyjazd do Moskwy w roli emisariusza Ochotniczej Armii do tamtejszych organizacji antybolszewickich. Delegacja wydawała mi się tak ryzykowną dla życia Sawinkowa, że pozwoliłem sobie niby żartem spytać, czy to nie inspiratorzy zamachów na niego są autorami tej idei? Sawinkow huknął na mnie i poprosił dość ostro, żebym się nie mieszał do nie swoich spraw.

Mnie mianowano zastępcą dyplomatycznego przedstawiciela Ochotniczej Armii przy ukraińskim rządzie w Kijowie. Przedstawicielem jej był już Igor Demidow, b. poseł do Dumy i b. wiceminister Tymczasowego Rządu, którego jeszcze nie znałem, a który później miał się stać moim najbliższym przyjacielem.

Uważałem, że nasz wyjazd w różne strony powinien być tak zakonspirowany, żeby nasi polityczni i osobiści wrogowie nie mieli szans zlikwidowania nas po drodze, lub — co jeszcze łatwiejsze — wydania nas przy przejściu granicy w ręce Czeka, która szybko by wymierzyła nam sprawiedliwość. Sawinkow nie miał zamiaru ukrywać swego wyjazdu, ale gdy w sztabowej kancelarii otrzymał rozmaite dokumenty na wyjazd we czwartek, stałem się do tego stopnia natrętny, prosiłem i przekonywałem, że wyjechał we środę.

Swój odjazd zapowiedziałem na sobotę, dostałem na ten dzień plackartę do oficerskiego wagonu, wyjechałem zaś niespostrzeżenie w piątek w nocy „tiepłuszką", zapchaną kozakami, dezerterami i *„inogorodnimi"*.

Z Nowoczerkaska jechaliśmy według improwizowanego rozkładu jazdy noc i dzień. Dopiero już później w drugą noc dojechaliśmy do punktu, gdzie zaczynała się ziemia niczyja.

z nieliczną grupą pasażerów, poznanych w drodze, zamierzaliśmy próbować szczęścia przesmyknięcia się przez rzadkie posterunki czerwonych wojsk. Był to okres, gdy prawdziwych walk między białymi i czerwonymi jeszcze nie było, chociaż wypady i strzelanina z jednej i drugiej strony już formowały rodzaj frontu. Po kilkunastu kilometrach błądzenia w mroźną stepową noc udało nam się wejść na terytorium już całkowicie opanowane przez bolszewików. I od razu otrzeć się o bolszewicką grozę.

W kilku wyszliśmy nocą z wagonu w pole. Wkrótce dołączyło do nas jakichś dwóch z innej tiepłuszki, sądząc z wyglądu i mowy, mieszczan. Z punktu zacząłem od nich stronić, chociaż w mroku nawet nie mogłem im się dobrze przyjrzeć. Moja instynktowna odraza wzrastała pod wpływem ich gadatliwości i robionej jowialności. Rażąco odbijali od naszej wagonowej grupy, milczącej i skupionej w trosce o pomyślne przekroczenie linii demarkacyjnej.

Po fatygującym kilkugodzinnym marszu po sypkim śniegu, płytką warstwą przykrywającym zgrudziałą drogę, jeden z mieszczan wystąpił z propozycją przenocowania gdzieś pod dachem, co drugi natychmiast podchwycił, mówiąc, że właśnie jesteśmy blisko domu jego dobrego znajomego, gdzie nas chętnie przenocują, może nawet dadzą czegoś „gorącego". — Może nie pożałują i samogonu — dodał kusząco.

I rzeczywiście w niedługim czasie błysnęły na uboczu dwa samotne światełka. Do stacji pozostało jeszcze kilka kilometrów. Czterech z naszej kompanii dało się namówić na nocleg. Ja i dwóch towarzyszy, jakby wzorując się na mnie, uchyliło się od pokusy. Milcząc pomaszerowaliśmy w noc, gdy tamci, zbaczając pożegnali nas wesoło: „Do jutra, spotkamy się na stacji!"

Nie spotkaliśmy się. Nadbiegł wkrótce tylko jeden z nich. Roztrzęsionym przerażonym szeptem powiadomił nas krótko: — Pobili, porżnęli wszystkich, nie zauważyli, że wyszedłem za swoją potrzebą, posłyszałem wrzaski, a przez okienko zauważyłem, co się dzieje.

Był to czas polowań na wszelkiego rodzaju „bieżeńców".

Słusznie przewidywali myśliwi, że każdy bieżeniec niesie z sobą, co ma najdroższego.

* * *

A oto mała stepowa stacyjka. Wczoraj została odbita od białych partyzantów. Wokół niej tłum gawiedzi, niemało żołnierzy. Na podłodze sali bufetowej śpią pokotem żołnierze, chłopi, bieżeńcy.

Zostałem poznany przez żołnierza 8 Armii. Jednak nie zdradził. Pragnąc widocznie zadokumentować przede mną, a zapewne i przed sobą, miarę swojej szlachetności, wyprowadził mnie na drugą stronę stacyjnego budynku, gdzie stało opartych o ścianę kilkanaście zamrożonych i zohydzonych w bestialski sposób nagich trupów. Poinformował mnie, że to kadeci i inni młodzi ochotnicy z rozgromionej wczoraj partyzantki. Wszyscy stali zamrożeni, szarzy, oszronieni i u wszystkich były wycięte męskie organy, i powtykane jednym w usta, innym w rozprute brzuchy.

* * *

Po kilku dniach przerywanej podróży koleją, końmi, później znowu w tiepłuszce w zawszawionym tłoku i zaduchu, wysiadłem późną nocą na wielkiej stacji. Chyba był to Koziatyn, chociaż dziś już zaręczyć nie mogę. Znów gęsty tłum żołnierzy i cywilów. Sala wielkiego dworca zapchana i zaświniona. Chodzę, słaniając się ze zmęczenia i zupełnego upadku woli życia, i wypatruję wśród śpiących na kamiennej posadzce jakiegoś wolnego pół metra, żeby chociaż przed śmiercią dać wytchnienie wymęczonym mięśniom i kościom.

Mam na sobie zszargane cywilne palto, na głowie „uszankę", a na nogach niezłe jeszcze buciki, umyślnie podbite w Nowoczerkasku dziurawą podeszwą. Gębę mam zarośniętą tygodniowym zarostem. Krążąc prawie że nieprzytomnie, łowię naraz na sobie nazbyt ciekawe spojrzenia kilku żołnierzy, stojących przy pustym bufecie.

— Wasze dokumenty, obywatelu — kiwnął na mnie jeden z nich.

Przepycham się do bufetu, rzucam worek podróżny na podłogę i — obojętnie postękując — wydostaję z kieszeni kurtki zatłamszony płócienny pugilares. Rozkładam go na

bufetowej płycie i nie śpiesząc, na oczach tych kilku, zaczynam okazywać po kolei „dokumenta", przekładając z lewa na prawo już pokazane. Była tego cała kupa, oczywiście, wszystkie fałszywe. W międzyczasie dość powierzchownego wglądu w te dokumenty, jeden z żołnierzy zaczyna rozmowę o moich butach.

— A buty, jak widzę, macie mocne. Nam by się takie przydały. Wy, obywatelu, podróżujecie na siedząco po suchym, a my wojujemy po śniegu i błocie w sparciałych...

Podczas gdy tak przemawia do mnie, a jego towarzysze z uwagą oglądają moje buty, ja błyskiem oka spostrzegam, że kolejnym dokumentem do kontroli, który trzymam przygotowany w ręku, jest plackarta Ochotniczej Armii. Jak mogłem zapomnieć ją zniszczyć!!! Piorun w głowę nie wywołałby większego przerażenia. Na chwilę zrobiło mi się słabo, a za chwilę zaczęła się gra o życie.

Trzymając plackartę w ręku i gestykulując nią przed gębą żołnierzy, gorąco broniłem sprawy moich butów. W pewnej chwili, pochylając się do pozycji stosownej dla okazania dziurawych podeszew, położyłem zupełnie naturalnie plackartę na kupkę przejrzanych papierków, chwytając jednocześnie do ręki pozostałe, nie skontrolowane.

— Macie rację. Nie nadają się. Co tam jeszcze macie?... Acha... ludowy nauczyciel. Nu... to wy z nami... To i dziękuję, towarzyszu, odpocznijcie sobie, do Kijowa droga krótka na kilometry, a długa na dni i noce.

Pod wielkim stołem znalazłem wreszcie wolne miejsce, zaczołgałem się pomiędzy śpiących, podłożyłem worek pod głowę... I nie zasnąłem. Gorączkowo i chaotycznie tłoczyły się myśli, wrażenia i obrazy przeżytych dni. Bezsennie próbowałem syntetyzować materiał różnorodnych obserwacji, jakby mi ktoś wciąż natarczywie szeptał: Więc pomyśl i powiedz, kim i czym jest ten rosyjski naród, poprzez którego szał i zbrodnie szukasz własnej drogi do życia i człowieczeństwa?

Wreszcie, jak relikt odległych czasów, nadarzył się jakiś

dziwaczny „kurier“, idący do Kijowa. Do sleepingów I-szej klasy wepchał się w Koziatyniu tłum zawszonych zwycięzców. W jednym wagonie III klasy, prawie próżnym, dojechałem prawie wygodnie i spokojnie do Kijowa.

RZEŹ KIJOWSKA

Podróż moja z Nowoczerkaska do Kijowa trwała co najmniej dziesięć dni. Musiałem kilkakrotnie przekroczyć pieszo kilka frontów walki białych z czerwonymi, a także rozmaitych „atamanów" i „batkiw" bijących się między sobą i ze wszystkimi. Na dworcu w Kijowie dowiedziałem się, że przyjechałem nieco za późno w mojej misji zastępcy delegata Ochotniczej Armii przy rządzie Ukrainy. Rządu tego już nie było. Byli bolszewicy.

Najpierw jednak był dworzec, straszliwie zapluty łuskami siemek i zawalany innym śmieciem, a prawie pusty. Było to tak niesamowite po tych wszystkich zapchanych dworcach, stacjach, kolejach przez które przewalały się hordy niezliczonych rewolucyjnych turystów, jak Rosja długa i szeroka, że teraz my, tzn. ginący w obszernościach dworca tłumek oberwańców, co ze mną wysiadł z pociągu, popatrywaliśmy po sobie zdziwieni i spłoszeni. Po chwili dowiedzieliśmy się, że w Kijowie trwa od kilku dni rzeź „kontrrewolucjonistów".

Był to ów słynny pogrom kijowski, który według późniejszej opowiadanej statystyki, miał kosztować życie trzech tysięcy oficerów, junkrów i młodzieży cywilnej, wymordowanych w ciągu kilku dni przez Czeka i czerń, podjudzoną do masowej zbrodni. Wystarczało mieć wygląd przyzwoitego człowieka, przerażone oczy i pokorę skazańca w wyrazie lub ruchach, by zginąć na miejscu z ręki przygodnych lub urzędowych wykonawców „sprawiedliwości dziejowej".

Indywidualni zwyrodnialcy mordowali niemal każdego napotkanego, w których instynktem, prawie że nieomylnym, wykrywali obcego i wrogiego. Wspomagani przez setki agentów Czeka zabijali ludzi na ulicach, albo wywlekali z mieszkań nieoporne i zrezygnowane ofiary, pędzili gromadami

na zbocza Carskiego Sadu, gdzie dokonywano masowych egzekucji. Zapijanie się alkoholem i narkotyzowanie było zjawiskiem powszechnym wśród katów, jakby nieodłącznym od realizacji ludobójstwa. Inteligenci i półinteligenci z pomiędzy czerwonych aktywistów niemal wszyscy bez wyjątku byli narkomanami, zaś prostacy zapijali się samogonem, którego w tym czasie nie brakło nigdy. Równolegle szerzyło się seksualne rozwydrzenie i wyuzdanie. Widziałem w Kijowie nieletnie prostytutki, jak zakokaizowane, pijane i oszalałe dziecinną żądzą, nieczule na mróz i na wszystko co dziecinne i ludzkie, wykonywały wokół rozpalonych na ulicach ognisk dzikie tańce z zadartymi do pasa spódnicami, wyśpiewując najplugawsze uliczne piosenki.

Wsiadłem do jednej z trzech stojących przed dworcem dorożek, obszarpanych i sproletaryzowanych jak wszystko dokoła. Kazałem się wieźć na róg Proreznej i Kreszczatiku. Stary dorożkarz, nawet zbytnio mi się nie przypatrując, dobrodusznie, jakby sobie w brodę, zauważył:

— Lepiej jedź, baryn, gdzie indziej, na Kreszczatiku jeszcze niespokojnie, tam waszego brata namordowali, że ach!...

Ofuknąłem dziada jak najbardziej po chamsku, że nie jestem żadnym barynem. Na to on lekko się odwrócił, obrzucił mnie raczej przelotnie doświadczonym okiem, i zaśmiał się życzliwie:

— To już panie tak jest, że oficerskiej mordy i cegłą nie odszorujesz.

Ostrzeżenie nie było mi przyjemne. Jeśli pierwszy lepszy dorożkarz kpi sobie z mego proletariackiego wyglądu, to cóż dopiero czekista, wyćwiczony i praktyk. Jednakże nie odwołałem polecenia. W tamtych czasach zdradzenie się ze strachem, czy choćby wahaniem, było niebezpieczne i dawało jak najgorsze wyniki.

Na rogu Prorecznoj wysiadłem i dla zmylenia dorożkarza skierowałem się w górę ulicy, by na następnym rogu zejść na równoległą do Kreszczatiku, kierując się w okolice tanich hotelików. Właścicielka jednego z nich też we mnie

od razu rozpoznała przebierańca, a ja w niej — osobę przerażoną, lecz godną zaufania, i za jej poradą udałem się znowu na Kreszczatik, do Hotelu Europejskiego. — Niech się pan tam zatrzyma, jako polski *bieżeniec*, tam najbezpieczniej. Polaków na razie nie ruszają.

POTRÓJNE ŻYCIE

Los jednak sprzyjał mi przy kijowskim starcie. Na krwawą rzeź właściwie się spóźniłem, mordowanie klasowych wrogów na upatrzonego skończyło po kilku dniach. Wkrótce też bolszewicy zostali przepędzeni z miasta przez hetmana Skoropadskiego, to znaczy przez Niemców.

Po trzech dniach popasania w Europejskim Hotelu, pełnym komandirów czerwonego wojska (między nimi było wielu zakapturzonych białogwardzistów), gdzie spotkałem także kilku polskich ziemian, nie bardzo zorientowanych co się w świecie dzieje, przeniosłem się na Puszkińską, do dużego mieszkania na drugim piętrze, do wynajętego pokoju od dziedzińca. Przedstawiłem się pani domu moim fałszywym nazwiskiem, nic nie mówiącym nobliwej polskiej damie, zwalniając się w ten sposób od nieuniknionych zwyczajowych pytań szlachecko-ziemiańskich: a skąd? a kogo zna? a z kim spokrewniony?... W hotelu zostałem przerobiony przez fryzjera na standartowego rodaka, w międzyczasie przyodziałem się przyzwoicie, zarobiłem więc na dobre wrażenie i wpuszczono mnie do sublokatorskiego pokoju bez zbytnich indagacji. Pozostałem w nim aż do skutku, omal że nie zrealizowanego praktycznie i ostatecznie na szubienicy Łukjanowskiego niemieckiego więzienia, o czym szczegóły będą podane w dalszym ciągu opowiadania.

Zaledwie parę razy na tydzień, zawsze przypadkowo, zdarzało mi się spotykać panią czy pana w przejściu na korytarzu lub na schodach, gdyż całymi dniami bywałem nieobecny, nieraz nawet nie nocowałem w domu. Życie nasze toczyło się obok siebie całkiem różnymi torami i obco. Dopiero po kilku miesiącach zrozumiałem, że nie wszystkie sprawy między nami były sobie obce.

Moje życie w okresie kijowskim potoczyło się trzema to-

rami trzech konspiracji. Pierwszą wyznaczała mi moja misja z ramienia kontrrewolucyjnej Ochotniczej Armii. Drugą robiłem z moimi dawnymi towarzyszami z rewolucyjnego komitetu, stowarzyszając się we wspólnej antyniemieckiej akcji nawet z bolszewikami. Wreszcie przyszła kolej i na POW. Do każdej z nich należałem nie tylko z przekonań, ale łączyła mnie wielka przyjaźń, szacunek, często podziw dla ludzi, z którymi wypadło mi wspólnie pracować. Zacznijmy od charakterystyki poszczególnych grup.

PANNA ALEKSANDRA — CZYLI ROSYJSKA KONTRREWOLUCJA

Igora Demidowa, który miał być moim zwierzchnikiem, jako poseł Ochotniczej Armii przy Ukraińskiej Centralnej Radzie, odnalazłem według tajnych drogowskazów zakwaterowanego na tzw. „punkcie", w dużym mieszkaniu w arystokratycznej dzielnicy Lipki, przy dobrej a cichej ulicy. Mieszkanie było wynajęte na nazwisko panny Aleksandry Kossikowskiej, byłej „frejliny" (damy dworu) starej cesarzowej Marii. O pannie Aleksandrze, z ojca Rosjanina i matki Angielki, było swego czasu głośno w kronikach towarzyskich wielkiego świata z powodu jej niedoszłego małżeństwa z wielkim księciem Michałem, bratem cesarza. Romantyczne narzeczeństwo zostało nielitościwie zerwane przez cara ze względów prestiżowych, piękną panienkę wysłano do Anglii, do rodziny matki, skąd po kilku długich latach cierpienia i żalu wróciła po rewolucji marcowej.

W owym czasie musiała mieć trzydzieści kilka lat. Była w pełnym rozkwicie niewieściej urody, a urzekała niezwykłymi darami osobowości. Wysoka, szczupła, rasowo piękna blondynka, niezwykle naturalna i z natury wesoła, a jednocześnie mądra i wykształcona, a jednocześnie przy okazji opanowana królowa salonów, ofiarna patriotka, szlachetna na co dzień i na każdym kroku, obca wszelkim kompromisom i oportunizmowi. Panna Aleksandra, wkrótce nazywana przez nas najbliższych „Diną", wywoływała podziw i szacunek wszystkich, zaś w naszej gromadce nieprzemijającą przyjaźń i najserdeczniejszą adorację, całkowicie wolną od zmysłowych podniet.

Nazywaliśmy ją *femme inspiratrice*, gdyż była rzeczywiście źródłem wielu dobrych natchnień, niewyczerpanym rezerwatem woli i mądrej rady, a przede wszystkim

nieomylnej wprost intuicji. Zdawaliśmy sobie przy tym sprawę, że w istocie posiadała ona wszystkie cechy femme imperatrice, i nieraz z Demidowem, z którym się serdecznie zaprzyjaźniliśmy, dzieliliśmy się uwagami, jak by inaczej mógł się potoczyć los Rosji, gdyby panna Aleksandra została jej carową. I dziś myślę to samo po kilkudziesięciu latach obserwacji życia i dziejów.

Drugą reprezentacyjną osobą konspiracyjnego domu w Lipkach była panna Katarzyna Meyendorf, mała, krępa i bardzo „ludowa" baronówna, najwierniejsza towarzyszka doli i niedoli spiskowców, prawa ręka panny Aleksandry i nasza administracyjna dyktatorka.

W dalszym ciągu mego opowiadania będę nazywał te dwie panie i Demidowa po imieniu, gdyż wkrótce, po ustaleniu duchowych personalii każdego z nas, postanowiliśmy być ze sobą po imieniu, korzystając z łagodzącej zbytnią poufałość rosyjskiej formy wy. Tylko w tym zespole byłem Karolem, we wszystkich innych środowiskach i okolicznościach byłem Aleksandrem takim a takim.

Dom w Lipkach był centralnym punktem, przez który przeszło bardzo wielu ludzi, często pierwszorzędnych, nierzadko znakomitych, ale tylko naszą czwórkę sprzęgła duchowo wielka, młodością karmiąca się, przyjaźń. Gdy północ Rosji objął płomień bolszewickiej rewolucji, rosyjska arystokracja, a za nią inteligencja i wszyscy, mający takie czy inne, majątkowe czy polityczne powody, jak stada przelotnych ptaków, masowo emigrowali na południe. Na południu była ta sama i taka sama rewolucja, może nawet gorsza, bo raz po raz szarpana i wstrząsana zmianą reżymów, których w ciągu dwóch lat przeminęło kilkanaście, w przerwach jednak wydawało się ludziom coraz mniej wymagającym i coraz bardziej skłonnym do złudzeń, że na południu jest łatwiej i bezpieczniej. W Petersburgu już od końca 1917 roku panował głód, gdy na południu, zwłaszcza w Kijowie, nawet w najgorszych okolicznościach żywności było w bród do końca 1918 roku. Przez dłuższy czas mieszkali na naszym „punkcie" poseł Radiczew, prof. Paweł Milukow, poseł Stiepanow z piękną żoną, książę Gr. N. Trubeckoj, całymi dnia-

mi przesiadywali Piotr Struve, prof. Wiernadski, księżna Gorczakowa, głuchoniema hrabina Lewaszowowa, która umiała „mówić", i wielu, wielu innych przedstawicieli wczorajszej intelektualnej i materialnej potęgi wielkiego państwa.

Wkrótce po wejściu niemieckich wojsk z ukraińskim rządem Hołubowicza, prof. Milukow objął redakcję wielkiego rosyjskiego dziennika „Russkij Gołos", którego donośny głos przeciwko czerwonym szedł w duecie z namiętnym szeptem przeciwko Niemcom, lub za Niemcami, gdyż profesor dość często zmieniał dyrektywy, czasem o 180 stopni.

Na wniosek Demidowa Milukow zaproponował mi współpracę w dzienniku. Do moich kompetencji należał dział zachodni i sprawy polskie w szczególności.

TATIANA — CZYLI TAKTYCZNY SOJUSZ Z BOLSZEWIKAMI

Szybko po przybyciu do Kijowa nawiązałem pozrywane stosunki z moimi towarzyszami z 8 Armii, przede wszystkim z byłym prezesem rewolucyjnego komitetu armii, Nietiosinem, następnie z moim pomocnikiem na stanowisku komisarza rządu, Łoszczyńskim, a przez nich z innymi ludźmi, nadającymi się do organizacji walki zbrojnej z okupantem. Przez nich zadzierzgały się i krzepły z każdym dniem coraz mocniej więzy organizacyjne z masami proletariatu w mieście i z chłopami w terenie, zwłaszcza z taraszczańskim powiatem, skąd pochodził i gdzie rej wodził Łoszczyński.

Nietiosin był partyjnym socjaldemokratą, starym mieńszewikiem. Aczkolwiek był zdecydowanym przeciwnikiem bolszewików, utrzymywał po dawnemu kontakty z działaczami wszystkich socjalistycznych partii, nie wyłączając bolszewików. W owym czasie i ukraińscy socjal-rewolucjoniści (S-R) utrzymywali taktyczną łączność z bolszewikami, przez bolszewickich rezydentów, ukrywających się przed niemieckimi i hetmańskimi władzami, i uzgadniali z nimi polityczne i sabotażowe posunięcia, gwałcąc w ten sposób generalną linię partii es-erów w Moskwie, która w owym czasie była już jednoznacznie antybolszewicka. Lecz na Ukrainie, rządzonej przez prawicowego hetmana pod osłoną wojsk niemieckich, front rewolucyjny wymagał możliwie jak najdalej idącej solidarności międzypartyjnej, przy czym każdemu z partnerów wydawało się, że w odpowiedniej chwili drugą stronę wykiwa. Na razie jednak współpraca dawała efekty.

Ponieważ Kijowszczyzna i Połtawszczyzna były mobilizacyjnym rezerwatem 8 Armii, i wielu, może nawet większość żołnierzy znała mnie osobiście, a z nazwiska wszyscy, uradziliśmy z Nietiosinem i Łoszczyńskim wydać odezwę do

ludności, podpisaną moim imieniem, jako wojennego komisarza rządu, wzywającą do zbrojnego oporu przeciwko wszystkim niemieckim, wojskowym i cywilnym, rekwizycjom i gwałtom oraz do stosowania odwetowego terroru do pojedynczych osób i grup niemieckiego wojska i administracji za każdy gwałt, popełniony na mieniu, zdrowiu lub życiu obywateli.

Napisałem odezwę odpowiednio gorąco i płomiennie, a Nietiosin, zawodowy drukarz i kierownik drukarni, rozmnożył ją w dziesiątkach tysięcy, zaś Łoszczyński zasypał nią prowincję, jak strzechy skrami, żarem mściwych słów.

Rychło też się zaczęły krwawe sprawy. Nie mieliśmy zbyt wielkiego wyboru strategii, a ta, co pozostała, wydawała się prosta i przekonywająca. Oko za oko, ząb za ząb. A że czasem z tej lub tamtej strony wydzierano dwoje oczu za jedno i po całej szczęce za jeden ząb, nie nasza była wina. Takie były czasy. Wiedzieliśmy na pewno, że jeśli słabszy może się bronić, to musi. Ja wiedziałem ponadto, że 2 polski Korpus pod Kaniowem został podstępnie przez Niemców zlikwidowany, że dokoła pierwszego korpusu Dowbora Niemcy gromadzą wojska, by go również zlikwidować, że praktykują szacherkę i szulerkę ze wszystkimi przejawami polskiego życia, że rabują Ukrainę i mordują ludność, i że mnie tego wszystkiego wystarczy aż nadto do przełamania jakowychś wahań.

Najpierw zaczął broczyć krwią Taraszczański powiat, siejąc trwogę wśród zakwaterowanych tam oddziałów. Później rozlało się to szeroko. Prowincjonalne garnizony stanęły przed groźbą wymordowania po jednemu wszystkich, wydalających się poza obszar koszar i obozów. Gdy kilkuosobowe patrole przestały wracać, zwiększono je do dziesięciu i więcej, a gdy i te przepadały bez śladu w ciemnych i mściwych mrokach ukraińskich nocy, strach padł na dumnych i pewnych siebie, i zaczęła ustawać penetracja zaborczej władzy w głąb gmin. Rekwizycje ustały. Polityczne perspektywy niemieckiej okupacji stanęły pod znakiem zapytania.

* * *

Pewnego wieczoru Nietiosin zaprosił mnie na bardzo kon-

spiracyjne zebranie, gdzie miałem spotkać się z osobą, która mogłaby ułatwić przejście przez granicę polskim emisariuszom.

Nietiosin zaprowadził mnie do jakiegoś zatraconego w labiryncie przedmieścia zaułku, wprowadził do piwnicy starego domu, gdzie przy nikłym płomyku jednej świecy odbywało się zebranie. Poza nami w półcieniu majaczyły sylwetki trzech kobiet i kilku mężczyzn, jakby wrośniętych od pasa w mrok. W chwiejącym się płomyku świecy raz po raz wynurzały się i krwawo czerwieniły głowy bez tułowi, targane do wtóru gorących słów i przesadnych akcentów, jak w jakimś somnambulicznym urzeczeniu. Ucieszyłem się, że „osobą", z którą mam nawiązać kontakt w sprawie przerzutu naszych ludzi, co miałem zlecone przez dowództwo POW (Wschód 2), jest młoda, niewysoka, bardzo szczupła dziewczyna, Tatiana. Referowała, że przerzut przez północną granicę *„hetmansztatu"* jest już zorganizowany i bezpieczny. Mówiła te proste rzeczy tak namiętnym piersiowym głosem, że mi się naraz zrobiło dziwnie ciepło w okolicach serca.

Była Żydówką, bolszewiczką bezkompromisową i ogniście ideową. Nietiosin przedstawił mnie jej jak najlepiej, podkreślając, że jako członek Petersburskiego Sowdepu cieszyłem się sympatią towarzysza Trockiego. W małomiasteczkowej Tatianie od razu obudziło to serdeczniejszy odzew. Niezależnie od rekomendacji Nietiosina uczyniłem wszystko, by wzbudzić w zapalonej głowie 18-letniej bolszewiczki ufność do mnie i odrobinę ludzkiej sympatii, nie podbudowanej protekcjami wodzów. Udało mi się to o tyle, że przy wielu okazjach zachowywała się jak prawdziwa przyjaciółka, niemal rzeczniczka konspiracyjnych interesów polskich. Zawdzięczając jej pomocy, udało nam się przeszwarcować na drugą stronę wielu „kaniowczyków", a razem z nimi niejakiego rotmistrza Bolesława Wieniawę-Długoszowskiego.

Na tym samym zebraniu w piwnicy poznałem ukraińskiego esera, niezwykle sympatycznego młodego proletariusza, który się nazywał Borys Donskoj. Miał on wkrótce w ostat-

niej chwili swojego życia zaważyć na moim losie, prawie że na granicy i mojego życia.

★ ★ ★

Moja konspiracyjna „kontrrewolucja“ w Lipkach nie wiedziała nic o mojej rewolucyjnej konspiracji. Sądziłem bowiem, że mimo przywiązania do mnie musieliby się długo biedzić, by zrozumieć moje postępowanie, a tym bardziej je zaaprobować.

P.O.W.

W tym mniej więcej czasie, poprzedzającym na krótko spotkanie z Tatianą, zjechała do Kijowa ekipa piłsudczyków w politycznej i wojskowej misji POW. Omijając austriackie i niemieckie kordony przybyli do stolicy „wolnej" Ukrainy przedstawiciele nowych kierunków myślenia w odradzającej się niepodległej Polsce, entuzjastyczni wyznawcy braterstwa z wolną i niepodległą Ukrainą. Byli to: Andrzej Strug, Michał Sokolnicki, Bolesław Wieniawa-Długoszowski, Bogusław Miedziński i Tadeusz Schaetzel. Wszyscy żołnierze Piłsudskiego, duszą i ciałem oddani jego idei.

Mój dobry kijowski znajomy, pan Władysław Günther, wzór cnót obywatelskich, poświęcenia, odwagi a także zrozumienia dla nurtów społecznych i politycznych, przedstawił mnie emisariuszom legendarnego Komendanta. Spotkanie odbyło się nad urwiskami Carskiego Sadu i było decydujące w moim życiu.

Przynależność moja do rosyjskiej rewolucji i aktywna w niej rola, życzliwie i inteligentnie uwypuklona przez doktora filozofii Günthera, zainteresowała patriotycznych polskich socjalistów i radykałów i ułatwiła im nie łatwą decyzję zaproponowania mi wstąpienia w szeregi Polskiej Organizacji Wojskowej, zamkniętej i zakonspirowanej na cztery spusty pewności i zaufania.

Bez wahania wyraziłem zgodę. Miałem wszelkie powody przypuszczać, że mój udział w podziemnym świecie miejscowym może być użyteczny dla spraw mojej ojczyzny.

Bogusław Miedziński, ówczesny „Świtek", miał mnie zaprowadzić do konspiracyjnego lokalu Komendy, gdzie miałem złożyć przysięgę i zostać przedstawiony komendantowi POW Wschód 2. Dopiero w drodze dowiedziałem się, że jest nim 22-letni chłopiec. Trochę się w sobie stropiłem, jak

najbardziej zresztą dyskretnie, ale niezmiernie intuicyjny Miedziński widocznie coś wyczuł i milcząco zakonotował. Zresztą Miedziński, który miał wówczas jakieś 25 lat, sam wyglądał jak chłopak.

Komendantem był major Lis-Kula. Na tym dziecinnym konspiracyjnym pseudonimie kończyło się całe chłopięctwo jego osobowości. Po godzinnej rozmowie miałem się przekonać, że mam do czynienia z dojrzałym, inteligentnym dowódcą rozległej bojowej organizacji. Był niewątpliwie fenomenem.

Starałem się nie okazywać swego zdziwienia i — bez przesady mówiąc — olśnienia, ale gdy wracaliśmy z komendy i Miedziński z chytrym uśmiechem spytał, jakie odniosłem wrażenie, odpowiedziałem bez namysłu i szczerze: — Nie uważam się za nieomylnego znawcę ludzi i ich kwalifikacji, ale miałem dość dużo styczności z dowódcami wielkich jednostek, którzy by Lisowi nie dorównali. Oczywiście mówię tylko o specyficznej sztabowej inteligencji. Jeśli Lis jest w tym samym stopniu uzdolnionym bojowym oficerem i dowódcą, to, moim zdaniem, jest fenomenem.

Gdy mowa o rodzących się na kamieniu, jakby na cokole własnego pomnika, to nie mogę nie wspomnieć najserdeczniej innego rodaka, też bardzo młodego człowieka, majora 2 Brygady, Bartę de Weydenthal, z którym mnie los blisko zetknął w Kijowie. Barta był fenomenem inteligencji, wszystkiego ciekawej, chłonnej a zarazem twórczej, chłodnej po inżyniersku i jak u artysty szaleńczo śmiałej. Kryjąc się przed policją niemiecką, a zapewne i ukraińską, wiele dni spędził w moim pokoju przy Puszkińskiej. I wiele młodych bezsennych nocy spędziłem na słuchaniu jego opinii o rzeczywistości polskiej, rosyjskiej, europejskiej, zaskakujących trafnością i oryginalnością, otwierających przede mną coraz szersze i dziwniejsze horyzonty na historyczną przeszłość, jak i na antycypowaną przyszłość.

Major Barta zginął w szeregach dywizji gen. Żeligowskiego przy wyjściu z Odessy. Kula, która go zabiła, gdy oddział mijał miejski cmentarz, była, jak się zdaje, przypadkowa. Nieraz później myślałem, że może stało się lepiej, że

zginął zanim stanął na rodzimnej polskiej ziemi w okresie zapalnych spraw publicznych odradzającej się ojczyzny. Barta bowiem nie posiadał cywilnej cnoty podporządkowania się powszechnie uznanemu autorytetowi, a młodemu państwu, formującemu na rubieży dwóch epok swoją doktrynę państwową, ciężko byłoby strzymać obecność potencjalnego zastępcy wodza.

Z polecenia komendanta Lisa-Kuli (którego wkrótce zastąpił p. Stefan Bieniecki, późniejszy wicewojewoda poleski) zasypałem uczynnego Nietiosina i jego drukarnię obstalunkami różnego rodzaju blankietów dla sporządzania fałszywych dokumentów. Dobry falsyfikat rozstrzygał wówczas sprawy życia lub śmierci, a w każdym razie wolności i niewoli. To samo dotyczyło pieczęci, które podrabiał genialny falsyfikator, młody chłopak nazwiskiem Nur, niestety, partyjny bolszewik, lecz od strony Niemców pewny jak mur. Chłopak do tego stopnia przejął się współpracą z Polakami, że zaproponował nam fabrykację fałszywych banknotów, zapewniając, że „nasze" będą lepsze od „ichnich". Uchyliliśmy się jednak od tej niewątpliwie lukratywnej propozycji.

W parę tygodni później stwierdziłem przypadkowo, że w pobliżu mojego mieszkania przy Puszkińskiej pracuje nocami żwawo w piwnicy mennica fałszywych hrywien. Z braku czasu nie udało mi się sprawdzić, czy to Nur drukuje je dla siebie, dla partii, czy z polecenia jeszcze innej, mniej wybrednej organizacji.

Tymczasem miła bolszewiczka Tania nie na żarty zabrała się do współpracy z kontrrewolucyjnymi Polakami i robiła wszystko, o co prosiłem ją w imieniu moich mocodawców. Któregoś dnia poznała mnie w tej samej piwnicy, gdzie ją spotkałem po raz pierwszy, z dwoma starszymi typami. Jeden był Żyd i nazywał się myzykalnie Rubinsztajn, drugi był Rosjaninem, rzekomo głównym bolszewikiem, zostawionym jako „rezydent" we wrogim obozie. Z tymi wodzami musiałem się spotkać kilka razy, wykonywując zresztą dyrektywę komendy POW, lecz unikałem z nimi zbytniej poufałości. Bałem się kłopotliwych pytań w związku z przeszłością, które by mogły ich naprowadzić na ślad mojej działalności

w roli wojennego komisarza Tymczasowego Rządu na froncie.

Aczkolwiek ci dwaj nie byli tak sympatyczni, jak nasza młoda, patetyczna Tania, jednak i oni nigdy nie odmówili żadnej pomocy, czy dotyczyła informacji, czy techniki, czy nawet uzgodnienia strategii podziemnej akcji, co wszakże należało do kompetencji Nietiosina i Łoszczyńskiego. Informacje wojskowe i polityczne bezczelnie przekazywałem na dwie strony, do komendy POW i na punkt w Lipkach, skąd szły do dowództwa Ochotniczej Armii. Należało przypuszczać, że to samo robili i oni, taka to była „współpraca".

KONFRONTACJA „LIPEK" Z POLAKAMI

Panowie emisariusze wyrazili życzenie nawiązania rozmów z obecnymi w Kijowie politykami rosyjskimi, służbowo polecając mi zorganizowanie takiego spotkania. Ponieważ już sam myślałem o tym wcześniej, grunt już był przygotowany, i najbliższego wieczora poszliśmy w Lipki, na nasz „punkt", gdzie prof. Milukow, posłowie do Dumy: Rodiczew, Demidow, Stiepanow i ks. Grigorij Trubeckoj ze zrozumiałą ciekawością czekali na pierwsze zetknięcie z Polakami, już w roli niewątpliwych przedstawicieli niepodległego narodu.

Poczuwając się do obowiązku ogólnej prezentacji, użyłem bardziej sentymentalnej, niż dyplomatycznej formuły, mówiąc:

— Czuję się szczęśliwy, że mogę moim przyjaciołom Rosjanom przedstawić moich przyjaciół i rodaków Polaków.

Moi rodacy byli na razie mocno w sobie zwarci, jakby programowo napięci, robili wrażenie trochę w sobie nastroszonych, oczywiście w ramach nieskazitelnej salonowej ogłady.

„Moi" Rosjanie z największą uwagą przyglądali się wysłannikom już głośnego i po tej stronie „komendanta", dotychczas walczącego po przeciwnej stronie okopów wojny. W programie spotkania nie było żadnych „kwestii" do rozstrzygnięć, bo i nie mogło być. Najważniejszą kwestią było zrobienie najlepszego wrażenia na stronie przeciwnej. Zaraz więc Trubeckoj, a po nim Rodiczew wyrazili w kilku pięknych słowach swój czytelniczy zachwyt dla „znakomitego pisarza Struga".

W odpowiedniej chwili p. Michał Sokolnicki złożył na ręce konstytucyjnych demokratów (ka-detów) Milukowa i towarzyszy wzniosłe wyrazy pozdrowienia dla rosyjskiej rewolucji. Za nim Andrzej Strug, jako pepeesowiec, mocno za-

znaczył w pięknej francuszczyźnie, że wolni z wolnymi, równi z równymi — polscy socjaliści znajdą zawsze wspólny język z socjalistami Wielkiej Rosji (podkreślenie słowa „wielkiej“ było finezją dyplomatyczną, gdyż w stolicy Ukrainy gospodarze kraju dowiedzieli się od samego Struga z satysfakcją, że mówił o socjalistach Wielkorosji).

Rozmowa toczyła się po francusku, chociaż prof. Milukow, w chęci zaimponowania całemu towarzystwu znajomością polskiego, zaproponował, by panowie Polacy mówili po polsku, gdyż Rosjanie niezawodnie wszystko zrozumieją bez tłumacza, „tak właśnie, jak rozmawiali nasi przodkowie w Moskwie z hetmanem Żółkiewskim“.

Następnie zabrał głos Miedziński. Na twarzach starych parlamentarnych wyg odmalowała się zrazu zbyt uprzejma ciekawość dla młodzika, pełna dyskretnej wyrozumiałości, która wszakże szybko stężała w prawdziwą uwagę. Miedziński mówił po rosyjsku płynnie, z lekkim akcentem, a ze sposobu mówienia wyczuć w nim było można pierwszorzędnego mówcę.

— Jaki jest bilans na dzień dzisiejszy stuczterdziestoletniego doświadczenia historii?, Kto i ile zyskał na rozbiorze ziem Rzeczypospolitej Polskiej, na zaborze jej ziem i ludności? Czy Rosja, ta przeogromna Rosja uzyskała korzystną dla siebie implantację w swój organizm Polaków i ich kultury, czy ten organizm z korzyścią dla siebie przyswoił obcą krew i obcego ducha historycznego narodu? Czy sztuczna konstrukcja, oparta na przemocy, wzmocniła w jakiś sposób wewnętrzną więź imperium carów i podniosła jej potencjał zewnętrzny? Czyż nie czas rozważyć nie w płaszczyźnie dumy imperialnej, ale rozsądnej polityki, inne możliwości sąsiedztwa terytorialnego, rasowego i kulturalnego, nie tylko z punktu widzenia socjalistów, związanych wspólną doktryną, ale jako przedstawiciele dwóch narodów, skazanych albo na wzajemne wyniszczenie, albo na wzajemne wzmocnienie na fundamencie prawdziwego braterstwa, a więc równości i równorzędności?

— Stoimy oto przed panami, młodzi Polacy, trzecie i czwarte pokolenie po tych, co polegli w walce o wolność

swego narodu i państwa. Jak nasi dziadowie i pradziadowie chwyciliśmy za broń, bo tak nam nakazywało serce i poczucie honoru. Być może, że i my zginiemy, jak nasi przodkowie, nie liczący zamiarów na siły, lecz jeśli zginiemy zwyciężeni materialną przewagą wrogów naszej wolności, przypieczętujemy znów nasze prawo do istnienia nie w roli podnóżka obcej mocarstwowości, ale jako obrońcy narodowego honoru, który, my w to wierzymy, zostanie kiedyś uznany za honor całej ludzkości.

Żarliwe w treści a spokojne w tonacji przemówienie Miedzińskiego wywołało na Rosjanach głębokie wrażenie. Trubeckoj i Rodiczew poderwali się ze swych foteli, by gorąco uścisnąć młodzieńcowi dłonie. Milukow zdawał się pogrążony w bardzo głębokich, wysublimowanych od politycznej pospolitości, myślach. Wszyscy byli wzruszeni. Rodiczew, jak zwykle skłonny do patosu, ogłosił swoją wyciągniętą rękę, jako symbol rosyjskiej dłoni, wyciągniętej do „braci-Polaków", i uroczyście podniósł znaczenie pierwszego po przeszło stu latach spotkania, jako równych z równymi. Po czym zakończył smutnie: — Obyśmy, biorąc z was przykład, uczynili także wszystko, by jak najrychlej nasze spotkania stały się także „wolnych z wolnymi"...

Trzeba pamiętać, że większość kulturalnych Rosjan uważało zwycięstwo bolszewików za zniewolenie Rosji i jej okupację przez prawdziwego wroga.

DZIEŃ TRWOGI

Już po odjeździe piłsudczyków zaczął się koło nas (Lipki) kręcić wysłannik jakiegoś dywersyjnego rosyjskiego centrum, bardzo starannie zawoalowanego i sam bardzo ostrożny. Według Demidowa zasługiwał na zaufanie, lecz ani on ani ja nie mogliśmy się dopukać, kogo reprezentuje, jakie ma cele, z jakich kontaktów korzystał i o co mu chodzi. Wobec tego zachowałem najdalej idącą powściągliwość, uważając zresztą, że i bez tego mam już dużo obowiązków, a poza tym powinienem dbać o własne bezpieczeństwo ze względu na te ośrodki, z którymi już pracuję.

Wkrótce to tajemnicze centrum dało znać o sobie w sposób niezmiernie dramatyczny. Któregoś wczesnego ranka straszliwe łoskoty, wstrząsy ziemi, chwianie się domów przeraziły ludność miasta. Budynki chwiały się w posadach, w mieszkaniach meble przewracały się lub przesuwały z miejsca na miejsce, szyby wylatywały z okien i wystaw sklepowych, brzęk, trzaski, krzyki i niemilknący huk, jakby tysiąca gromów naraz, przerażały i porażały jednako odważnych jak trwożliwych.

Tłumy na wpół ubranych ludzi, starych, młodych, dzieci, wśród nieprzytomnych wrzasków, przy akompaniamencie ujadania i wycia psów pchały się środkiem ulic w kierunku przedmieść. Na głowy sypało się szkło pękających szyb i leciały drzazgi z porozrywanych okiennych ram. W przerażeniu krzyczano sobie do uszu, że za chwilę całe miasto wyleci w powietrze.

Wysadzono w powietrze dziesiątki milionów kilogramów prochu, dynamitu, piroksyliny i ekrazytu oraz nieznane ilości pocisków artyleryjskich i karabinowych nabojów w centralnych składach w okolicy Ławry, stanowiących bazę zaopa-

trzenia Południowo-Zachodniego, Południowego i Rumuńskiego Frontów wielkiej wojny.

Mimo że sam ledwo żywy, obserwowałem trzęsące się gęby niemieckich żołnierzy, pilnujących pancernych aut na moim dziedzińcu. Wszystkie warty zostały poopuszczane, bramy i drzwi do sztabów, biur i kancelarii otwarte, psychiczne rozbrojenie okupanta wydawało się kompletne. W tysiąc przygotowanych ludzi można było tego ranka skończyć z okupantem niemieckim bez przelewu krwi.

Bogu dzięki, że z tego nikt nie skorzystał. Każde zwycięstwo nad Niemcami, nawet bezkrwawe, w parę godzin później stałoby się zwycięstwem motłochu nad klasami posiadającymi i kulturalnymi, lecz już bardzo krwawym. Zresztą nazajutrz należałoby się spodziewać bolszewickiej okupacji z najbardziej krwawym Czeka. Wszyscy byli również przekonani, że po zwycięstwie czerwonych nastąpiłoby kolejne zwycięstwo Niemców, a więc nowa zmiana reżymu w ogniu walk, bombardowań z odpowiednimi odwetowymi represjami. W owym czasie jeszcze nikt nie przewidywał, nawet najbardziej pesymistycznie, że bliskie jest już ostateczne zwycięstwo bolszewików, które zapewni im panowanie na długie lata.

REPORTAŻ Z PARTYZANCKIEJ WOJNY

Lis-Kula od dłuższego już czasu prowadził systematyczne operacje dywersyjne w pobliżu dawnej austriacko-rosyjskiej granicy, zaś moi rosyjscy rewolucjoniści nocami represyjne wypady, regulując co pewien czas krwawe rozrachunki z niemiecką armią i policją.

Gazeta, w której pracowałem, zażądała od swojego miejskiego reportera oświetlenia tych ciemnych spraw. Sympatyczny młody człowiek, widocznie obdarzony reporterską intuicją, przyszedł z tym do mnie, zapytując, czy nie znam kogoś, do kogo można byłoby się z tym zwrócić bez narażania się na śmieszność.

Ponieważ uważałem, że przed opinią publiczną nie należy ukrywać faktów samoobrony, przeciwnie należy w miarę możliwości cenzury jak najszerzej o nich opowiadać, odpowiedziałem reporterowi, do którego miałem zresztą stuprocentowe zaufanie, że znam taką osobę i że go z nią przy pierwszej okazji poznajomię. Uprzedziłem tylko, że wyjawienie tajemnicy byłoby rzeczą bardzo niebezpieczną dla obu stron.

Przybył co do minuty pomimo trudności policyjnej godziny. Przeraził się, gdy zrozumiał, że ową osobą jestem ja. Jeszcze raz musiałem mu przypomnieć, że słowo honoru w tych okolicznościach nie dotyczy tylko honoru, lecz i życia, a ponieważ na egzekutywę organizacji nie mam żadnego wpływu, ostrzegam go, by był ostrożny.

Zaszyliśmy się w krzaki prywatnego ogrodu w okolicy Bibikowskiego Bulwaru. Zbliżała się północ, przeminęła. Naraz w kilku miejscach na bulwarze zaczęła się bezładna strzelanina, kilka przeraźlnwych, trochę teatralnych krzyków rozdarło ciszę, po czym głucha noc znów przywarła fałszywe wieko. Po paru minutach z oddali zastukotały żołnierskie

buty. Kilkunastoosobowy oddział zamajaczył w małej łunie dalekiego ogniska po środku szerokiej ulicy. Szli wolno, z bronią na „gotój", dwoma rzadkimi szeregami. Gdy już wszyscy wstąpili w czarne cienie parku, z jego głębi trzasnęły salwy rewolwerowe, mieszając się z łoskotami ciężkich granatów. Wrzaskliwe echa strzałów i krzyków runęły we wszystkich kierunkach w ulice, odpowiedziały im inne strzały... i po chwili nastała zupełna cisza. Tylko gdzieś w oddali słychać było łomot buciorów uciekających Niemców.

* * *

Oczywiście żadna dokładna relacja tych ciemnych spraw nie mogłaby ujrzeć światła dziennego, gdyby redakcja naszego dziennika nie uciekła w dymną zasłonę świętego oburzenia, i nie zakończyła „domniemanego" reportażu umoralniającym ostrzeżeniem, że w ten sposób wojować z okupacyjną władzą nie jest wskazane, a z punktu widzenia konstytucyjnych demokratów niezgodne z poczuciem etyki i honoru. Ponieważ partie, które uprawiały te nierycerskie nocne praktyki, miały inne zapatrywania na te sprawy, opinia publiczna zareagowała w rozmaity sposób. Przez jednych z dość obłudną naganą, przez innych ze szczerym aplauzem.

Do dowództwa Ochotniczej Armii poszły od Demidowa raporty dokładne, których sens polegał na stwierdzeniu, że to „lud" w ten sposób walczy z okupantem, jak może i jak umie, spłacając krwawe należności za jego krwawe inwestycje w życiu kraju i narodu. Ponieważ stanowisko Ochotniczej Armii było bez zastrzeżeń proalianckie, ten nieco bandycki sposób walki z nieprzyjacielem został zaliczony do partyzantki, a raczej do tzw. „lasówki", nad którą żadna organizacja państwowa czy wojskowa władzy nie miała, więc i odpowiedzialności za dzikie metody walki brać nie mogła.

NASZE KŁOPOTY Z MIŁUKOWEM I NIEMIECKI SUKURS

Nasze centrum w Lipkach było już od dłuższego czasu w rozterce. Igor Demidow i ja byliśmy z urzędu wyrazicielami i realizatorami politycznej linii dowództwa Ochotniczej Armii, które — chociaż nie posiadało jeszcze wyraźnych programów ustrojowych i polityki zagranicznej — w stosunku do Niemców stało mocno na pozycjach proalianckich, co nas oczywiście obowiązywało. Profesor Miłukow natomiast, niedawny minister spraw zagranicznych Tymczasowego Rządu i niekwestionowany leader partii konstytucyjnych demokratów, wytyczał coraz bardziej skomplikowaną linię postępowania i w stosunku do aliantów i w stosunku do Niemców. Koledzy Miłukowa z partii, do nich należał także Igor, nie sympatyzowali z zawiłą polityką swego wodza, nie ważyli się jednak poddawać jej krytyce. A polegała ona na tym, że z aliantami trzeba być „o tyle o ile" po to, by móc prowadzić przetargi z Niemcami na zasadzie równorzędności. Miłukow więc na proalianckość rosyjskiego środowiska nakładał większe lub mniejsze hamulce zależnie od potrzeb i powodzenia w pertraktacjach z niemiecką stroną.

Niezaprzeczalny realizm tej polityki stawiał „biały front" rosyjski w kłopotliwą sytuację wobec aliantów, dostarczających temu frontowi wszystkich materialnych elementów egzystencji, i obrażał honor białych generałów, uważających wierność sojusznikom za sprawę osobistego i narodowego honoru. Staroreżymni generałowie potrafili łączyć uwielbienie dla historycznych zdobywców cudzej własności z pogardą dla tego rodzaju egoizmu narodowego, jaki reprezentował Milukow. Zresztą przez większość wiernych cara był on znienawidzony jako jeden z tych, co się walnie przyczynił do upadku caratu.

Stosunek do Milukowa ukraińskiego rządu generała Skoropadskiego, tzw. „hetmana", i władz niemieckich był również więcej niż skomplikowany. Wynikało to w dużym stopniu z podejrzanej zawiłości stanowiska profesora do sprawy niepodległości Ukrainy. Niemcy zaś nie kwapili się do uznania tej „równorzędności stron", o którą Milukowowi tak chodziło. Nie wpływała również na klarowność klimatu okoliczność, że premier hetmańskiego rządu pan Lizogub i paru ministrów z p. Wasilenko na czele należeli do partii K-D, której Milukow był ciągle moralnym i politycznym przywódcą.

Sam Skoropadski, jako carski generał, wczorajszy dowódca konnej gwardii i generał-adiutant Jego Cesarskiej Mości, pogardzał Milukowem jako tym, który się przyczynił do rewolucji, lecz jako hetman niezależnej Ukrainy był zmuszony do traktowania go jako *persona grata*, z którą Niemcy prowadzą pertraktacje na poziomie przerastającym problemat Ukrainy i osobiste *sentiments d'épiderme* jej hetmana.

Pan Gaaze (pseudonim księcia Heskiego), rzecznik cesarza Wilhelma, szukał w rozmowach z Milukowem możliwości rekonstrukcji stosunków Niemcy-Rosja na nowej drodze, w aspektach dawnej przyjaźni, oczywiście wrogiej aliantom. Podobno robił to szczerze.

Elementy tzw. *„szczyrej"* narodowej ideologii ukraińskiej w rządzie hetmana nienawidziły Milukowa, jako nieuleczalnego imperialisty rosyjskiego.

Rosjanie w prohetmańskim obozie, którzy przeszli na orientację proniemiecką, jak panowie Bezak, hr. Keller i wielu innych, również brzydzili się Milukowem jako rewolucjonistą i zdrajcą ich cara.

W tych wszystkich zawiłościach i subtelnościach doskonale orientowali się Niemcy, i gdy już mieli dość milukowskiego lawirowania „o tyle o ile" między nimi a aliantami w sytuacji, w której nie mogli już mieć żadnego pożytku z koncesji dla zwyciężonego przeciwnika, postanowili antagonizmy wykorzystać i pana profesora, jako „równorzędnej w rokowaniach strony" się pozbyć.

Pewnego dnia z hetmańskiego pałacu, z którym nasze Lip-

ki były przez księżnę Gorczakow, Katrusię i Dinę jakoś skuzynowane, nadeszła poufna wiadomość, że jutro, najpóźniej pojutrze, pan profesor zostanie aresztowany. Że wobec tego już dziś powinien się ukryć, najlepiej gdzieś z dala od Kijowa.

Natychmiast uradziliśmy, że należy wyprawić profesora do pana Korostowieca, dawnego urzędnika ministerstwa spraw zagranicznych, osobiście z nim zaprzyjaźnionego. P. Korostowiec, obecny na naradzie przyjaciół, miał natychmiast wyruszyć do siebie na wieś, by poczynić odpowiednie przygotowania na przyjęcie swego byłgeo zwierzchnika. P. Korostowiec radził nam słusznie odstawić prof. Milukowa statkiem, idącym w górę rzeki, sam zaś wyjechał autem z hetmańskiego garażu, był bowiem również skuzynowany z rodziną hetmana.

Katrusia Meyendorf natychmiast pobiegła na przystań czarować kapitana statku, który o zmroku miał odbić od kijowskiej przystani, by przyjął dwóch pasażerów ze środka Dniepru z powodu ich możliwego spóźnionego powrotu z majówki. Podałem pomysł tego rodzaju ewakuacji Milukowa w przewidywaniu, że żandarmeria mogła obstawić pasażerską przystań.

Przedwieczorną godziną małe i eleganckie towarzystwo wypłynęło z prywatnej przystani na przejażdżkę po usypiającej rzece. Księżna Gorczakowa, promieniująca wszystkimi urokami niewieściej doskonałości; pani Lewaszowowa, także bezgranicznie wielkoświatowa hrabina, do tego głuchoniema, a mówiąca niezwykle piskliwie i głośno, też musiałaby u łapaczów wywołać jak najlepsze wrażenie; Dina, imperialnie niedosiężna, wreszcie Katrusia i młodziutka i śliczniutka Marusia, kuzynka pani hetmanowej Skoropadskiej. Słowem — wielki świat.

Panie, urzeczone cudami wieczoru, nuciły „Swit“ Czajkowskiego, Igor Demidow dyskretnie im wtórował, ja zaś wiosłowałem, śledząc spoza kapeluszy i chusteczek, czy nie majaczy gdzieś na szerokiej przestrzeni łódź z rzeczną policją. Bohater wydarzenia, Milukow, siedział milczący i ponury, i robił wrażenie ofiary.

Wreszcie i od przystani odbił statek, idący w górę rzeki, potem w górę Desny, wpadającej do Dniepru. Chwilę płynęliśmy obok, zasłonięci kadłubem statku od strony miasta, a gdy było pewne, że jesteśmy poza zasięgiem obserwacji z brzegu, przycumowaliśmy łódź do schodków i ja z profesorem wgramoliliśmy się na statek. Było z góry ustalone, że nie będzie żadnych pożegnań. Stuknęły w dulkach wiosła w mocnych dłoniach Demidowa i prawie natychmiast łódź wsiąkła w zmrok, przez który już przewijały się pasma mgły. Tymczasem żwawo załopotały na pełnej parze koła statku, kierującego się ku ujściu Desny.

Po zimnej i pod każdym względem kiepskiej nocy, alarmowani kilka razy strzałami z brzegu, co podobno było zjawiskiem normalnym, przybiliśmy do górzystego prawego brzegu, gdzie na najprymitywniejszej przystani już czekał nas p. Korostowiec, właściciel polskiego dworu, w owym czasie już odwojowanego od „czerni" przez hetmańskich ziemskich naczelników i niemieckich żołnierzy.

Ucieszony, że moja misja już się skończyła, pożegnałem zaraz obu panów i popłynąłem statkiem w górę rzeki, by następnej nocy z biegiem wody wrócić nim do Kijowa.

ZASKAKUJĄCA PROPOZYCJA

Zdarzyło się to w kilka tygodni po wydaniu i rozpowszechnieniu mojej komisarycznej odezwy do ludności i do żołnierzy 8 Armii. Jedna z ulotek trafiła do redakcji, gdy jeszcze w niej urzędował prof. Milukow. Ponieważ i on znał moje prawdziwe nazwisko, którym podpisałem proklamację, przerażenie jego i Demidowa nie mieściło się w rezerwacie ich konspiracyjnego przygotowania. Szeroko otworzyli oczy, gdy im zakomunikowałem, że rzeczywiście autorem ulotki jestem ja, że nie mogłem postąpić inaczej, gdyż jestem organizacyjnie związany z o wiele radykalniejszym centrum niż nasze w Lipkach, że się to logicznie wiąże z moją przed i porewolucyjną działalnością, że dzięki temu jest znacznie poszerzony zasięg moich wpływów poza względnie ograniczony teren dosięgalności lipkowskiego centrum, i że jeśli oni się z tym nie godzą, gotów jestem natychmiast dobrowolnie ustąpić z zastępstwa Demidowa i z ich organizacji.

Nastąpiła wzruszająca scena, omal że nie łzawego wyznania wzajemnych sentymentów. Milukow srogo zalecił mi ostrożność wilka i przebiegłość lisa, ja zaś, żeby ich uspokoić i rozładować nastrój, zapewniłem obu, że urodzony na pobrzeżu puszczy Kiernowskiej mam przyrodzone czucie rysia, wydoskonalone latami rewolucyjnej konspiracji. A w ogóle, że będzie najlepiej, jeśli oni zapomną, że widzieli tę odezwę i znają człowieka, które obarczył swe sumienie wezwaniami do krwawych rozpraw w odwecie za krwawe okupacyjne praktyki nad ludnością kraju.

Na tym stanęło. Wszystko miało pozostać po staremu.

Mój odbiorczy aparat wyczuł jednak nieznaczne różnice w ich serdeczności, czasem nawet większej, bo zatroskanej. Mimo, że zobowiązałem obu do dyskrecji przed naszymi paniami, czułem, że Dina i Katrusia emanują ku mnie nie-

nym a żałosnym wyrzutem. Rozumiałem, że przyjaźń ich wszystkich do mnie zdała bardzo trudny egzamin, gdy nie odsunęli się ode mnie, wiedząc to, czego nie mogli i nie umieli nie potępić: terroru zza węgła. Inna rzecz jest jednak rozumieć, a inna rzecz odczuwać. Zwłaszcza straty. Tą stratą był dla mnie ów nieuchwytny dystans, jaki wbrew ich woli i chęci oddalił mnie od wczorajszego idealnego wspólnictwa.

Któregoś dnia Demidow wezwał mnie do swojego redakcyjnego gabinetu i uroczyście zaczął od rekapitulacji ideologicznych podstaw naszego wzajemnego stosunku i naszej współpracy. Był przy tym bardzo wzruszony, więc należało się spodziewać, że jest to wstęp przed przypuszczalnymi rozstajnymi drogami w świat. Byłem przygotowany do usłyszenia deklaracji o dozgonnej pamięci, jakie się składa przyjacielowi na przymusowym rozdrożu. Omyliłem się. Okazało się, że pewna grupa rosyjskich patriotów, poważnych i znanych ludzi, zamierza z jego rekomendacji zwrócić się do mnie w sprawie...

Chodziło ni mniej ni więcej tylko o zorganizowanie ekspedycji w celu uprowadzenia byłego cara Rosji i jego rodziny z bolszewickiego więzienia!

Byłem oszołomiony. Uchyliłem się z miejsca od przyjęcia zaszczytnej roli z powodów dla mnie zasadniczych: jako czynny żołnierz POW, który złożył przysięgę wiernej i zrozumiałej dla każdego Polaka służby swojej ojczyźnie. Powiedziałem:

— Znasz moje ludzkie uczucia dla tej nieszczęśliwej i opuszczonej przez wszystkich rodziny. Są takie same, jak twoje. Moje współczucie dla tych tragicznych ofiar losu przerasta wszelkie ograniczenia, narzucane przez poczucie narodowe i programy polityczne. I gdybym był wolny od obowiązków publicznych, wziąłbym bez wahania udział w każdej akcji dla ich ratowania. Nie mogę natomiast stać się czołową postacią tego przedsięwzięcia, bo z punktu widzenia Polaków wyglądałoby to całkowicie paradoksalnie, a dla Rosjan obraźliwie do tego stopnia, iż nie wierzę, by

moja obecność wśród wtajemniczonych nie wywołała chęci wyeliminowania mnie w ten czy inny sposób, i dla mnie i dla całego przedsięwzięcia ryzykowny.

Demidow w milczeniu uścisnął mi rękę i przyznał rację. Nigdy nie wracaliśmy do tego tematu. W parę dni po 18 lipca światem wstrząsnęła wieść o bestialskim zamordowaniu w tym dniu cara i jego rodziny, o porąbaniu zwłok toporami, wrzuceniu do szybu starej kopalni, zalaniu benzyną, zmasakrowaniu szczątków granatami i ich spaleniu.

W REDAKCJI

Trzy razy w tygodniu musiałem dać artykuł do rosyjskiej gazety, która mi płaciła zupełnie przyzwoitą gażę fix, plus honoraria od wiersza. Z POW czerpałem obfity materiał o Polsce i sprawach polskich, co mi ułatwiało kompozycje dziennikarskie i przydawało im aktualności, tak cenionej przez redaktorów. Zanim Milukow nie wyjechał na przymusową wilegiaturę, wyrażał mi nieraz swoje redaktorskie zadowolenie i namawiał mnie, bym się całkowicie oddał dziennikarskiej pracy. Inaczej Demidow, który po nim objął redakcję. Też chwalił moje wypracowania, ale mnie często ostrzegał, bym się zbytnio nie wciągał w dziennikarstwo. Uznawał tymczasową potrzebę publikacji na tematy polsko-rosyjskie, lecz ostrzagał przed zachłannością publicystycznego rzemiosła w normalnych czasach. Nawiasem mówiąc, Demidow był jednym z tych niewielu Rosjan, który do zagadnienia polskiego podchodzili nie spekulacyjnie i politycznie, ale idealistycznie i apostolsko. Odwrotnie niż Milukow, polityk i pozytywista, który ważył wspólną polsko-rosyjską sprawę, jako małą sprawę w aspekcie jej przydatności koniunkturalnej przy rozwiązywaniu zagadnień w skali światowej.

Demidow był ode mnie bardziej wykształcony i głębszy. Jako Rosjanin przewyższał mnie też żarliwością wiary w ideały, w konieczność stosowania ich w praktycznym życiu. Żądał więc i nastawał na mnie, bym wszystkie problemy Polska-Rosja stawiał jak najradykalniej, nie tylko w płaszczyźnie materialnych i terytorialnych rewindykacji, lecz uwypuklając również wyższość polskiego ducha, nieskrępowanego w swoim historycznym rozwoju, w przeciwieństwie do rosyjskiego, zahamowanego i wprzęgniętego w rydwan imperialnej polityki dla celów raczej materialnych niż duchowych.

Nie uważałem, że mogę skorzystać ze światłych i szlachetnych namów przyjaciela. Motywowałem swoją powściągliwość nie tylko względami płatnej gościny w rosyjskiej gazecie: byłem przekonany, że tego rodzaju rozważania historiozoficzne mogłyby mieć wagę wtedy, gdyby się ukazały spod pióra Rosjanina. Demidow w końcu zrozumiał, a także zgodził się ze mną, że i on, jako rezydent Ochotniczej Armii, nie powinien puszczać się na tematy tak obce imperialnej mentalności jej wodzów. Wywołałoby to burzę protestów, więc korzyści byłyby problematyczne, a straty natychmiastowe i dotkliwe.

DOSIĘGA MNIE SPRAWA RODZINNA

Któregoś dnia przyszedłem do redakcji wcześniej niż zwykle, gdy śliczna panna Marusia, ideowa i bezpłatna współpracowniczka w roli sekretarki redakcji i sprzątaczki lokalu, jeszcze gospodarowała ze szczotkami i ścierkami w ręku. Byłem zaskoczony obecnością jakiejś obcej i zbiedzonej figury, na wpół po wojskowemu przyodzianej, a zawzięcie flirtującej z miłą dziewczyną.

— O, przyszedł pan Aleksander! — zawołała panna Marusia.

Przede mną stał mój starszy brat, Bronisław, lecz cóż za metamorfoza!

Ostatni raz widziałem go w sierpniu 1917 roku, gdy jako sotnik oficerskiej organizacji miał likwidować Petersburski Sowdep, którego członkiem byłem również ja, brat wyrodny.

Przywitaliśmy się powściągliwie, tylko jak dawni znajomi. Bronisław na szczęście po wykrzykniku panny Marusi zrozumiał, że ja nie jestem jego bratem, czyli młodszym Witkowskim, bo tak jej się przedstawił.

Wyszliśmy na słoneczny Kreszczatik. Starym zwyczajem zagraliśmy w orła-reszkę, kto ma płacić za wczesne podśniadanie, oczywiście z wódką i zakąską. Jak zwykle przegrał on, a że nie miał przy duszy ani grosza, rzucił niedbale:

— Zapłacisz i zapiszesz na mój rachunek. Później ci zwrócę.

Później?

Po nie wąskim kawałku prosiaka, nadzianego gryczaną kaszą i przesiąkniętego aromatami jarzyn, odpowiednio podgrzanego piekielną kijowską zapiekanką, w wyśmienitych humorach wyszliśmy znowu na ulicę. Świat wokół był piękny i młody, i tak wielmożnie niwelujący wszelkie troski, że nawet widok gęsto szlających się niemieckich oficerów i

gemajnów nie obrażał nas, lecz śmieszył. Wprost zdychaliśmy z wesołości, robiąc uwagi na temat kurduplowatych figur w uniformach, nałogowo przepasanych albo o pięć cali powyżej pasa, albo o dziesięć centymetrów poniżej pępka. Zabawiając się w ten sposób, raczej pastuszy, niż pański, nie bardzo zwracaliśmy uwagę na trzech drabów, postępujących nienaturalnie blisko za nami. Dwóch było niemieckich oficerów, trzeci w rosyjskiej oficerskiej bluzie bez naramienników.

Bronisław, głosem nie nawykłym w ciągu dwudziestu kilku lat dowodzenia jednostkami cesarskiej armii do intymności, gadał, gadał i płótł, co mu ślina na język przyniosła, wreszcie najspokojniej zahuczał:

— A powiedz, co jest z tym twoim Sawinkowem? Czy utrzymujesz z nim jakiś kontakt?

Właśnie w tej chwili, zawracając ku miastu przechodziliśmy koło tej trójki, depczącej nam po piętach.

Kątem oka spostrzegłem, że oni jakoś zareagowali, lecz nie mogłem zdać sobie sprawy, jak?, zresztą nawet nie usiłowałem, może pod wpływem zapiekanki. Panował tak radosny nastrój spotkania i grały tak odmienne od wojennej rzeczywistości nuty serca, że wszystko dokoła utraciło swoją aktualność. Jednakże się obejrzałem. Zobaczyłem, że jeden z nich pośpiesznie oddalcił się od trójki, a dwóch pozostałych spacerowo pociągnęło naszym śladem; wydawali się zajęci rozmową.

Zaprosiłem Bronisława do *chochła* przy ulicy Proreznoj na znakomite pierniki. Ponieważ tamci w tym czasie jakby się do nas znowu przysunęli bliżej, Bronisław już zniecierpliwiony, ale ciągle wesoły, zaczął nucić lwowską studencką piosenkę, której nas nauczył kiedyś nasz cioteczny brat, Henryk Sosonko, student Lwowskiej Politechniki:

— Do d . . y z Gautschem . . . dlaczego Gautsch do d . . y nie chce iść . . . Demonstrował przy tym w niecenzuralny sposób swoją bezgraniczną pogardę dla natrętów.

To wszystko zaczęło mi się trochę nie podobać, jednak słońce, młodość i fala jakiejś piramidalnej głupoty, a co najważniejsza, atmosfera rodzinną zrobiły swoje, więc i ja wtó-

rowałem Bronisławowi roześmianym basem, aż weszliśmy do sklepu *chochla*.

Już kupiliśmy sobie miodowych pierników, już zdążyłem nawet zapłacić, gdy do sklepiku wtargnęło czterech z karabinami. „*Haende hoch!*“

Po chwili wtłoczyło się tamtych dwóch ze spaceru i jeden z nich, kryminalną polszczyzną, ale z humorem zwrócił się do Bronisława:

— Gautsch do d..y nie pójdzie, zaś ale panowie zechcą pofatygować się do komendantury.

Pomyślałem melancholijnie o tym, jak mądrzy byli rosyjscy rewolucjoniści, zakazując swoim członkom wszelkich kontaktów z rodziną.

WITKOWSKI, JA I PAN MAJOR

I oto w biały dzień od rogu Proreznoj szliśmy po ludnym Kreszczatiku w haniebnym czworoboku aresztanckim. Przepalanka wywietrzała nam z głów razem z dobrym humorem. Bronisław nie zdawał sobie sprawy z tego czym ja się właściwie zajmuję, więc moje tutejsze konflikty z prawem sprowadzał do wymiaru własnych, czyli do zamiany prawdziwego nazwiska Wędziagolski na fałszywe Witkowski w celu „straszliwego przestępstwa" przedzierania się do dywizji Żeligowskiego nad Don.

Widocznie już znudzony, a może zaniepokojony, w pewnej chwili zaszeptał do mnie: — A może będzie lepiej powiedzieć im kim jesteśmy...

Zdążyłem tylko wysyczyć przez sparaliżowane wargi: — Milcz i milcz, jeśli ci życie miłe.

Widocznie w tym syku było coś absolutnie nakazującego, gdyż wbrew przyzwyczajeniu całego życia nie upierał się i zamilkł.

Idący za mną Niemiec stuknął mnie lekko kolbą Mauzera i szczęknął gniewnie: — *Ruhig. Still.*

Wprowadzono nas do poczekalni, naszwargotawszy coś przed tym na ucho dyżurnemu pisarzowi, i pozostawiono samych. Pod ścianami niedużego pokoju stały naprzeciwko siebie dwie jesionowe kanapy, z oka zdradzające swe złodziejskie pochodzenie z jakiegoś zrabowanego dworu. Na jedną z nich wywindował się od razu płk Witkowski, układając na szlachetnym meblu swoją prawą nogę w brudnym bucie. Na drugiej usiadłem ja, skromnie i przyzwoicie, jak przystoi niewinnie aresztowanemu. Zdążyłem tylko powiedzieć Bronisławowi, że dla mnie dekonspiracja to pewna szubienica.

Do pokoju wszedł wysoki major, i uprzejmie nas powitał: *Guten Tag.*

Bronisław kiwnął głową, lecz dumnie pozostał w pozycji półleżącej. Ja, widząc zbliżającego się do mnie majora z wyciągniętą ręką, wstałem, oddałem powściągliwie uścisk dłoni, i zacząłem się wygłupiać:

— Czy mówi pan oficer po francusku, czy angielsku, bo ja, niestety, w niemieckim nie jestem mocny?

Dość życzliwie się uśmiechając, major odpowiedział w przyjemnej alzackiej francuszczyźnie, podejrzliwie zezując na rozwalonego Bronisława. W tej chwili wkroczył tenże ze swoją kazańską francuszczyzną, bełkocząc usprawiedliwienie, że leży, po czym dźwignął się z przesadną trudnością, uskarżając na ból przestrzelonej nogi, i przedstawił się jako pułkownik Witkowski. Zakończył rzeczowo:

— Wojnę z panami skończyłem kilka miesięcy temu, jestem w drodze do mojej rodziny w Armawirze, czy pan rozumie, panie majorze, że ja muszę dziś jechać, dlaczego jestem zatrzymany?

Major pośpieszył zapewnić *„Herr Obersta"*, że wszystko się wkrótce wyjaśni, bo to — powiada — na wojnie często się zdarza, że jest więcej nieporozumień niż rozumu. Uprzejmym gestem zrozumienia i współczucia zaakceptował przy tym inwalidzką pozę łże-Witkowskiego, gdy ten chciał podnieść się powtórnie na znak satysfakcji z rozmowy.

We mnie wstąpiła otucha, w Bronisławie wezbrała hucpa.

Teraz grzeczny major, przenosząc uwagę na mnie, grzecznie mnie spytał, z kim w tak smutnej okazji ma honor ...

Zaprezentowałem się uroczyście moją wysoką pozycją współpracownika wielkiego rosyjskiego dziennika, napomknąłem, że właśnie spotkałem dziś w redakcji dawnego znajomego, płk Witkowskiego, że poszliśmy razem na śniadanie, a później spacerowaliśmy w przyjemnym nastroju to rozmawiając, to nucąc wesołe studenckie piosenki, które przechodzący obok panowie Niemcy przyjęli widocznie do siebie i obrazili się do tego stopnia, że nas aż tu przyprowadzono.

Major cierpliwie i grzecznie wysłuchał moich relacji, chwilę się zamyślił, po czym spytał:

— Czy pan zna osobiście Sawinkowa?

Tu niezawodnie instynkt podszepnął mi zbawienną odpowiedź.

— Tak, oczywiście, Sawinkowa także znałem, jak wielu ministrów Tymczasowego Rządu. Był przecież ministrem spraw wewnętrznych — umyślnie pomyliłem ministerstwa — zresztą znam go dawniej z redakcji wielkiej moskiewskiej gazety, „Ruskije Wiedomosti", jako że i ja miałem dziennikarskie stosunki z tym wydawnictwem. Ostatnio, w grudniu zeszłego roku, widziałem p. Sawinkowa w Nowoczerkasku. Pojechałem tam, jako korespondent, gdy się zaczynał „biały" ruch, a Sawinkow tam współdziałał z generałami przeciwko bolszewikom.

Miałem wrażenie, że przyzwoity major jakby się ucieszył i poweselał, słysząc moje łgarstwa. Powiedział spokojnie:

— Bardzo prosta sprawa, dziękuję panu, ale panowie będą musieli tutaj jeszcze jakiś czas poczekać. Obiad dla panów będzie podany.

Dobra nasza!

Bronisław, nic nie rozumiejąc, z politowaniem kiwał głową, słuchając moich bredni. Był przekonany, że ze strachu straciłem rozum i naiwnie przyznaję się do znajomości z Sawinkowem. Niech sobie kiwa głową, ile chce, byle milczał! Byłem przekonany, że na ulicy poznał mnie jakiś Rosjanin, który mnie widywał z Sawinkowem, i on sprowadził na nas Niemców. A gdy z rozgadanych ust Bronisława padło złowieszcze nazwisko, już nie mieli wątpliwości, że w ostępie znajduje się gruby zwierz. Widocznie, i na to mogłem liczyć, ten Rosjanin nie znał lub nie pamiętał mego nazwiska.

Niemcy w owym czasie mieli powody dla wyostrzonej czujności wobec terrorystów. Właśnie przed kilkoma dniami najwyższy dowódca ich wojsk okupacyjnych, feldmarszałek Eichhorn, został w biały dzień na ulicy rozszarpany wybuchem bomby, rzuconej przez ukraińskiego socjalrewolucjonistę, Borysa Dońskiego. Tego samego, którego poznałem w tej samej piwnicy, co Tatianę. Dońskiego ujęto, po-

nieważ był ciężko ranny. Nic więc dziwnego, że gdy usłyszeli z ust rosyjskiego donosiciela nazwisko człowieka-śmierci, zaczęli go sobie kojarzyć z organizacją miejscowego terroru.

Miałem wrażenie, że moje natychmiastowe stwierdzenie, że znałem tego straszliwego Sawinkowa, usposobiło majora jak najlepiej, a mój dziennikarski zawód usprawiedliwiał rozpiętość stosunków i znajomości.

Do Bronisława bałem się zbliżać i cieszyłem się, że i on nie zdradza chęci do konwersacji. Nagle przypomniałem sobie nasze rodzinne podobieństwo. Zacząłem sprawdzać: oczywiście jesteśmy do siebie uderzająco podobni, nie tylko z typu, ale z rysów twarzy, wzrostu, postawy.

Bóg jest wielki! Patrząc spod oka na tego Witkowskiego, rozumiałem, że najniebezpieczniejszą osobą dla mojej skóry jest mój rodzony brat. Życzyłem w duchu, by mu Opatrzność odebrała chociaż na pewien czas mowę.

MÓJ BRAT BRONISŁAW

Obiad podano na stoliku, nakrytym czystą serwetą. Ukraiński barszcz, tak zawiesisty, że więzła łyżka, po barszczu — wieprzowe kotlety ze smażonymi kartoflami i zielonym groszkiem. Gdy zapytałem, czy można dostać do tego coś do picia, gapiowaty lecz usłużny *gemajn* przytaszczył dwie butelki piwa, które się okazało doskonałe i znakomicie wygładziło nasze humory. Witkowski zżarł obiad łapczywie, gdyż od kilku dni żywił się w podróży byle jak albo wcale, a śniadaniowy prosiak w niepomyślnej koniunkturze stracił witaminy. Więc po ostatnim łyku piwa zauważył z aprobatą: — Żyją sobie niezgorzej.

Później siedzieliśmy w milczeniu i cierpliwie do zmroku, gdy nagle płk Witkowski, istotnie nie poczuwający się do żadnych ciężkich przewinień, stracił cierpliwość i zaczął hałasować.

Na hałas przybiegł jakiś żołnierz, wysłuchał protestów w tonacji generalskiej, machnął ręką i znikł za drzwiami. Po nim wszedł porucznik tak woniejący perfumami, że aż dusiło, wysłuchał opinii Bronisława o godności i zasługach płk Witkowskiego i jeszcze czegoś o konwencji genewskiej, zaśmiał się wesoło i przyjaźnie, jak z dobrego *witzu*, i odpowiedział berlińskim akcentem, ale prawie po rosyjsku:

— *Nitszeho nie ponimaj.* — Też znikł.

Właśnie gdy Bronisław już miał wpaść w szał, wszedł major, żartobliwie podniósł dwie ręce do góry, z uspakajającym sza ... sza ... sza ...

— Za chwilę panowie będą wolni i ze względu na policyjną godzinę odprowadzeni pod ekskortą do domów.

Od dzieciństwa pamiętam, że zawsze słońce świeciło jaśniej, gdy burza mijała i czarne chmury odchodziły za lasy. Było mi tak, jakbym miał zaraz wybiec na pełne słońce.

Była okupacyjna noc, jedenasta wieczór.

Od komendatury na Puszkińską nie było daleko, ale wystarczyło i tego małego kilometra, żeby z jednym eskortującym, jak się okazało rodakiem z Ostrowia Poznańskiego, trochę porozmawiać. Drugim był stary bawarski chłop, ćmiący smrodliwą fajkę, obojętny i obcy wszystkiemu, co wokół. Poznaniak z humorem bluźnił zwycięskiej jak dotychczas Germanii, nie wydawało nam się jednak, by czynił to prowokacyjnie. Pod bramą mego domu, żegnając się z nami mocnym uściskiem dłoni, zauważył filuternie:

— Zaś ale pan Witkowski i pan redaktor to tak pasują do siebie, jakby z jednej matki rodzeni.

— I z jednego ojca też — zauważył Bronisław rzeczowo, lecz nie tak, żeby odchodzący żołnierze mogli słyszeć.

Pod bramą odbyła się krótka, lecz niezmiernie treściwa rozmowa Powiedziałem Bronisławowi, że ja się tu zajmuję brzydkimi interesami i gardłowymi sprawami, że uwaga poznańczyka jest dla nas ostrzeżeniem, więc radzę mu zerwać ze mną stosunki rodzinne i towarzyskie natychmiast, i prosto spod tej bramy pójść swoją własną drogą, zapomnieć o mnie i jak najmocniej trzymać się Witkowskiego, gdyż prawdziwe nazwisko może łatwo zaprowadzić na szubienicę nie tylko mnie, lecz jego też.

Wysłuchał, zatait wrażenie, pomilczał i podając mi na pożegnanie rękę powiedział:

— Jeśli nie łżesz, to bądź zdrów.

Zaopatrzyłem go w gotówkę, gdyż nie miał nic, uścisnąłem go serdecznie, nie mając pewności, czy się prędko spotkamy, i czy w ogóle się spotkamy. Odszedł w nocne ulice, kryjąc się w cień domów.

* * *

W kilka lat później, gdyśmy się spotkali w Warszawie, dowiedziałem się, że zaszedł w ten sposób do nieprzyzwoitego „domku", gdzie ideologicznie przenocował, a wczesnym rankiem pomaszerował do Darnicy, wepchnął się w pierwszy pociąg jadący na wschód, i po wielu dniach podróży, przerywanej rozmaitymi „frontami", wyładował się na Kubaniu

w dywizji gen. Żeligowskiego. Wrócił do Polski przez Paryż, jako dowódca pułku czy może dywizji Hallerowskiego Korpusu, wojował pod Markami, lecz na tle sprzecznych strategicznych opinii został przez Hallera zdjęty z dowództwa. Później z Litewsko-Białoruską dywizją skończył wojnę już za Wilnem. Za Litwy Środkowej był dyrektorem Departamentu Kontroli Generalnej, wyróżniając się na tym stanowisku zawziętym tępieniem złodziejstwa i biurokracji już polskiej, która — chociaż młoda — zatruwała życie niezgorzej od zaborczych. Los wiejskich petentów lud ujął obrazowo: „Pan do pana od okienka do okienka posyła, papierosy kurzy, gazety czyta, i choć ty siadszy płacz".

Opowiadano po mieście z dużą aprobatą, że gdy Bronisław po raz pierwszy przekraczał próg swego gabinetu i na drzwiach zobaczył wywieszkę: „Bez meldowania nie wchodzić" kazał ją zdjąć i wywiesić inną: „Wejście tylko bez meldowania".

Później posłował w Wileńskim Sejmie Orzekającym, jeszcze później był przez trzy kadencje posłem w ogólnopolskim Sejmie, był piłsudczykiem i ludowcem, demokratą i chłopomanem, a we Wrześniu spotykał na gościńcu wojska sowieckie, jako sprzymierzone, za co był wywieziony razem z milionem innych bardzo daleko na wschód, więziony i maltretowany nie doczekał zwolnienia i gdzieś pod Uralem dokonał pracowitego i uczciwego żywota z głodu i wycieńczenia w 65 roku swego życia. Powiadomił mnie o tym książę Eustachy Sapieha, prezes Polskiego Czerwonego Krzyża na Bliskim Wschodzie.

Ominął go przywilej spoczęcia na rodzinnym cmentarzu w Jaworowie. Podobno umarł w pociągu, więc zakopano go w stepowym rowie obok toru kolejowego, lub wprost był wyrzucony z wagonu do tego rowu, co wydaje mi się prawdopodobniejsze.

UCIECZKA

Przenocowałem z duszą na ramieniu. Wczesnym rankiem zostawiłem dla właścicielki mieszkania kartkę z zawiadomieniem, że wyjeżdżam w sprawach handlowych na prowincję. Udałem się do domku na przedmieściu mego przyjaciela i wytrawnego towarzysza, Nietiosina. Nietiosin podzielał moje obawy, że wypuszczono mnie na wabia, że nie ma co ryzykować i powinienem się ukryć. Nie w mieście jednak, bo niebezpiecznie, ale za Dniepr. Znał tam jedno takie miejsce pewne na bezludziu, chatkę ptasznika i pustelnika. Trzeba tam jechać.

Demidowa i przyjaciół powiadomiłem przez telefon umówionym zwrotem: „U Aleksandra pożar w domu". Zaopatrzony w chleb, wódkę, kiełbasę i koc udałem się z Nietiosinem nad rzekę, do jego dobrego znajomego rybaka i piaskarza w jednej osobie, który miał nas na drugą stronę przeprawić. O przejściu przez łańcuchowy most nie było co myśleć.

Była już niewczesna godzina, więc na brzegu i rzece panował pracowity ruch. Między 12 a 2 w południe niemieckie motorówki, patrolujące rzekę, miały zwyczaj zjeżdżać do przystani. Trzeba było więc trochę przeczekać. Rybak był świadomym i partyjnym mieńszewikiem i kipiał nienawiścią do Niemców. Z największą więc mściwą ochotą podjął się przewiezienia nas na tamtą stronę.

Dniepr, gdy się na niego patrzy z wysokiego kijowskiego brzegu, wydaje się na całej szerokiej przestrzeni senną i łagodną ruchomą masą, toczącą się w daleki świat. Lecz ze środka rzeki wrażenia są zupełnie inne. Szybki i głębinowy prąd wody gwałtownie reaguje na każdy podmuch wiatru pod prąd, wzniecając złą krótką falę, miejscami wybrzękającą w potoczyste wały, może mijające niewidzialne prze-

szkody w głębi. A cóż dopiero gdy powieje z dołu potężnym czarnomorskim wydechem, rozpędzonym na stepową burzę! Wówczas Dniepr staje się hulaszczy i zły, płynąc na udry z wichurą, dmącą przeciw prądowi dumnej rzeki.

Nawet się nie spodziewałem, ja stary, doświadczony wodniak, że będę się kulał jak perkoz, gdy łódkę naszą wznosiły do góry wielkie garby wody i praskały nią w dół z chrzęstem i rumorem, chlustając rozeźloną pianą, zbieraną wiatrem w grzebieni fal.

Takeśmy się pod błękitnym niebem huśtali, walcząc z prądem i falą, aż naraz spłynęliśmy prawie niepostrzeżenie w lustro cichej, prawie że stojącej wody, szerokiej i jarzącej się słoneczną pogodą dnia. Odetchnęliśmy z ulgą, zwłaszcza my wioślarze, a Nietiosin, rzucając sterowe wiosło, powiedział pobożnie z socjal-demokratycznym westchnieniem:

— *Nu, i sława Bohu.*

Trochę klucząc po starych i ledwie znacznych śladach, odnaleźliśmy chałupę ptasznika. Żadna ścieżka do niej nie prowadziła, tylko kilka nieznacznych ściegów zwichrzonej trawy wskazywały wejście w głąb zarośli, gdzie wśród krzaków ślady były nieco wyraźniejsze.

Sama chatka robiła wrażenie siedliska złej wiedźmy. Pustka wyzierała z wpół przymkniętych krzywych drzwi i z dziury w drewnianej ścianie, gdzie może kiedyś było jednoszybowe okienko. Dokoła było cicho i samotnie, i przerażająco monotonnie, bo we wszystkich kierunkach wszystko było jednostajne w kształtach i kolorze.

Gdy przestępowaliśmy spróchniały próg, ogromna ropucha zrobiła to samo w odwrotnym kierunku Nietiosin, ustępując jej z drogi, zaśmiał się do mnie z lekkim przymusem:

— Lokal wolny, proszę się rozgościć.

Jeden róg izby był zastawiony koślawymi klatkami dla ptaków. Z tej kupy starego drewna dochodziły szmery i piski nawołujących się szczurząt. Cała szczupła przestrzeń była zaciągnięta pajęczynami, których nienaruszone siatki świadczyły, że chatynka nie od wczoraj jest niezamieszkała. Mały zrujnowany piecyk na jedną fajerkę, obok kilka wiązek smolaków, powiązanych kawałkami kabla, dwa niskie pniaki w

miejscu na stół, a między ścianą a piecem wciśnięte wyrko, wyłożone paroma starymi, osmolonymi deskami, zapewne gdzieś kiedyś wydartymi z płonącego budynku. Przez okienny otworek sączył się do wewnątrz zielony mrok, który łącząc się z bardziej jaskrawym kolorem z otworu drzwiowego, rozpraszał ciemność, formując dziwaczne oświetlenie, najbardziej podobne do mętnawego mrzenia na dnie głębszej jamy wodnej.

— No, powabnie tu nie jest — mówił Nietiosin — ale bezpiecznie. Nikt tędy nie przechodzi, nikt tu nie zachodzi, ludzie trochę bali się ptasznika, podejrzewali go czary. Słowem: dobrze, czy źle, nic lepszego nie ma, a w Łukjanowskim więzieniu byłoby na pewno gorzej. Mieszkajcie tu sobie, nim się uspokoi. Jedzenie będę podwozić co drugi, trzeci dzień, jak się uda. Spanie zróbcie sobie ze świeżych gałązek łozowych, noce są ciepłe, tylko nie zapomnieć liściastym wiechciem zatkać na noc okienko od komarów — pouczał. — A ognia proszę nie palić, dym dzisiejszym czasem zdradliwa rzecz, zobaczy kto z łodzi czy z wozu na Czernihowskiej szosie, i zaraz pomyśli: samogon. A wtedy strach przed czarami nie powstrzyma, o nie! . . .

Przy pożegnaniu próbowałem wsunąć przewoźnikowi do garści zapłatę. Nie przyjął. Traktował przysługę partyjnie i ideologicznie.

SAMOTNOŚĆ

Siedziałem w gęstej łozowej kupie na brzegu, niewesoło obserwując daleki świat. Gdy mi się zdało, że łódź z Nietiosinem dobiła już kijowskiego brzegu, powlokłem się do mojej chałupy, starając się stąpać bezszelestnie. Z odległości jakichś 15 kroków ujrzałem przed chatą przez ażurową kratę nieproszonego gościa. Co chwila tykając ryjem ziemię, węsząc i prychając, dreptał i pokręcał się przed progiem — borsuk. Wizyta odludka u odludka napełniła mnie wzruszeniem. W serce wstąpiła mała otucha, zrobiło się raźniej na duchu, stałem nieporuszony, nie chcąc go spłoszyć.

Tymczasem borsuk, chociaż nie spłoszony, ale już nieufny i zaniepokojony pokusztykał w zielone gąszcza. W tejże chwili na dalekiej wieży soboru wydzwoniono czwartą, tradycjonalną godzinę podwieczorku w Jaworowie, nazywanego „herbatą“. Więc i ja postanowiłem zabrać się do posiłku. Miałem ze sobą dwie funtowe bułki, z funt wędzonej słoniny, kiełbasę, tuzin jaj na twardo i butelkę wódki. Wódki brać nie chciałem, bo w tym czasie poza wyjątkowymi okazjami przechodziłem okres abstynencji, ale Nietiosin zmusił mnie do wzięcia gorzałki, na wypadek — jak mówił — przeziębienia lub chandry. Od wódki też zacząłem.

Dorożkarską modą siorpnąłem duży łyk, poprawiłem raz i drugi, a zakąszając każdy łyk, spałaszowałem o wiele więcej, niż mi się z rachunku na dziś należało.

Chęć drzemki przypomniała, że należy przysposobić jakoś posłanie, zanim jeszcze dzień. Czas mijał szybko przy gospodarskich zabiegach, aż słońce zniżyło się nad same krzaki w kierunku Desny i rozpoczął swoje pieczyngowskie czary dnieprowy wieczór.

Gdy kuliki mniejsze i najmniejsze, a za nimi większe wydzwoniły wzdłuż dnieprowej plaży swoje kwestie, a zielony

mrok zasnuwał się coraz gęstszymi cieniami, aż zapadł w nierówną szarość, niepostrzeżenie na wschodzie, od strony Darnicy, niebo zaczęło blednąć, i na jego prześwietlonym tle najpierw zaczerniły się sylwetki wyższych olch, zaraz za nimi gąszcze łozowe zarysowały się ostrym światłocieniem, i światem przepłynął wiew niepokoju. W przypadkowej luce między krzakami ukazała się czerwona i jakby pednocześnie blada maska pełnego miesiąca. Na chwilę zamilkły wszystkie głosy, jakby chwila przełomu planetarnych spraw obudziła wokół cichą baczność. I dopiero gdy już wszystkie przestrzenie nasiliły się wgłąb i wszerz fantastyczną poświatą, zabrzmiały śpiewy i gwary w osobliwym przedsennym podnieceniu przyrody, i bezsenność nocy się wzmogła.

Aż pewnej chwili zmęczony i wyczerpany nasłuchiwaniem zwaliłem się jak wyrobnik na łoże, wysłane grubo loziną, mimo woli słuchając w dalszym ciągu szmerów tysięcy owadów, przyniesionych z lasu w gałązkach. Gdy poleciłem się opiece Opatrzności, natychmiast w tej jedynej i niezwykłej chwili na granicy snu i czuwania, która jest również chwilą graniczną między życiem a małą śmiercią, błysnął i znikł jak skra jakiś marzycielski wątek, izolujący całkowicie od rzeczywistości codziennej a może ziemskiej. Jeszcze ostatkiem świadomości usłyszałem, że gdzieś w pobliżu huknęła sowa, i w tej samej chwili zapewne moja dusza wywędrowała z chałupy, wydarła się z łozowych gąszczy, z konspiracji, wojny i rewolucji, i na skrzydłach młodego snu odleciała w najmilszą nierzeczywistą rzeczywistość.

I takich nocy minęło trzy w pokrzepiającym śnie, który w niejakim stopniu wyrównywał moralne i psychiczne niedobory pustelniczego życia.

* * *

Przez całe życie gustowałem w samotności, nie będąc przy tym odludkiem. Po prostu sam z sobą czułem się zawsze dobrze. Ale to było, gdym sam sobie wybierał samotność. Samotność w cichym domu, w ustronnym pokoju; samotność wśród słonecznych pól; samotność w głębokim

borze, w tłumie pięknych — a zawsze dla mnie żywych — drzew... Mój Boże, ileż ona dawała okazji do snucia myśli i nastrojów, spychanych z taką szkodą poza margines „pożytecznej" egzystencji. A samotność w mroźne, zimowe, księżycowe noce, fantastyczne, a tak realistycznie zespalające z kosmicznością, z wiecznością?... Kochałem samotność, bo tylko w samotności dusza ziemska poznaje swoje przestrzenie i swoją odrębność, która w warunkach wrzawy życia staje się tylko frazesem w zatłoczonej psychiczną wspólnotą ciasnocie.

Lecz tutaj, w tym morzu łozowym, pozbawionym kolorowego wyrazu i wyraźnego leśnego profilu, ze skórą nadgryzaną żarłocznie przez chmary nocnych napastników, być zmuszonym przez rabusiów ludzkiej wolności gnieździć się w brudnej i ubogiej pustce?! — Nie miało to nic z uroków samotności. Myślałem, że gdyby szympans uciekł z przejeżdżającego cyrku i skrył się tutaj, to by także po paru godzinach takiej „wolności" w tych beznadziejnych krzakach zatęsknił za przytulną klatką i dobrym jedzeniem. Argument bezpieczeństwa przed żandarmami bardzo szybko tracił swoją moc przekonywującą i żadną pociechą nie był. Strach przed ludzkim wrogiem bladł w miarę słuchania szelestów, szmerów w łozach i szumów dnieprowej wody, pełnych niepokojących znaczeń. Zaroiło się koło mnie od duchów pomordowanych i potopionych w odwiecznej walce o tę żyzną i piękną ziemię, i mimo woli myślałem: ich bez liku, a ja jeden.

Niknące zapasy wiktu pogłębiały rozstrój nerwowy. Co tu gadać! Kryłow miał rację, mówiąc, że w samotności *„sposobien żyt' nie wsiakij"*.

Czwarty dzień był pierwszym dniem głodu.

Usiłowałem trzymać nerwy na wodzy, chociaż przez mózg przelatywały pierwsze zwiastuny demoralizacji.

Nietiosin nie przyjechał.

Następnego dnia wcześnie zwlokłem się z posłania z bólem w kościach i ponurym wrażeniem pustki w trzewiach, ze złym postanowieniem zdobycia czegoś do zjedzenia za każdą cenę. Złodziejskim sposobem też. Jeszcze nie wie-

działem jak, czułem tylko wyraźnie, że z głodu przesiąkłem zupełnie nowym rodzajem zdecydowania, wyzutym doszczętnie z wczorajszych, od dzieciństwa wpajanych, cywilizowanych reguł. Zdecydowałem się bez wahań i skrupułów, a przeciwnie — ze złością, wyjść na poszukiwania.

Przedarłem się krzakami w pobliże szosy. Trwało to z pół godziny. W pewnej chwili usłyszałem hałasy ciężarówek, zupełnie blisko. Oczywiście, Niemcy. Przeczekałem, aż się oddaliły. Nasłuchiwałem. I nagle w ciszy usłyszałem wyraźnie, chociaż jeszcze dalekie, odgłosy powolnego, cierpliwego krechtania bezresorowego wozu po szosie.

— Mój! — nie tyle pomyślałem, co poczułem brzuchem, i wstyd się przyznać, oblizałem się łapczywie. Uważnie wsłuchiwałem się w kołatanie kół. Wychyliłem się z gęstwiny, widzę: pusta szosa leci w obie strony, a od Czernihowa ku miastu wlecze się samotny wóz. Więc mam kilka minut czasu na przeprowadzenie akcji, albo handlowej, albo bandyckiej.

Jak na złość zapomniałem, jak będzie po ukraińsku „niech będzie pochwalony". Jak grzesznik, chciałem się w decydującej chwili zasłonić chwałą Panu, tymczasem widzę już z bliska, że na wozie siedzi nie chłop, lecz baba.

— *Sława Bohu.*

— *Sława* — zadrżało w młodym głosie przerażeniem. Nie dziwota: gęba nie ogolona, ubranie jak psu z gardła, oczy zapewne chorobliwie błyszczą, a ruchy jak do skoku. Dziewczyna ogląda się w przód i w tył za ludzką pomocą i cmoka na chabetę.

— *Mołodycia, maju hroszy, prodaj chliba.*

Zatargała lejcami. Ale Bóg był łaskaw dla swego głodnego syna, bo kobyła nie chciała iść szybciej, szła wolno, a ja obok wozu, z kupą rubli, marek i hrywien w garści.

— *Ne maju chliba, niczoho ne maju. Idit' z Bohom!*

Tak przestraszyłem się jej odmową, że oszalałem. Wyrwałem łejce z jej rąk, targnąłem kobyłą aż przysiadła, złodziejskim rzutem wzroku sprawdziłem szosę w obu kierunkach, brutalnie zepchnąłem dziewuchę z siedzenia, sycząc w jej przerażone oczy: — *Mowczy, bo ubju!* — Wyszarpałem spod

deski siedzenia sporą kobiałkę z łyka, błyskawicznie zdarłem z niej samodziałową szmatę. Gdy zobaczyłem biały ser, chleb i jeszcze coś pod spodem, wepchnąłem babie wszystkie hrywny, marki i ruble, które miałem w ręku, i roztrzęsionym głosem początkującego aktora, grającego bandytę, chrapliwie naszeptałem w uszy nieszczęsnej ofiary całą kupę gróźb, z uwzględnieniem spalenia chaty i wymordowania całej familii, jeśli choć słowo piśnie Niemcom na moście. — *Za ci hroszi try torby* sobie kupisz.

W radości, że już po wszystkim, że żarcie mam w ręku, a także w oszołomieniu i wstydzie, pamiętałem jednak, by się wsunąć w krzaki po przeciwnej stronie od mojej chatynki. Z ukrycia zacząłem obserwować dziewczynę. Widziałem, że najpierw liczyła pieniądze, na chwilę przerwała, jakby się namyślając, zaczęła znów liczyć, co pewien czas podtykając coś pod siebie, nawet jedną kupkę fortuny wetknęła pod spódnicę, zapewne carskie ruble, później znów się na chwilę zamyśliła, wreszcie zaćmokała na szkapę, jak mi się wydało, wesoło, i zaczęła wykręcać w stronę, skąd przyjechała. Jakiś impuls pchnął mnie znowu na szosę, żeby wykrzyczeć za nią:

— *Ne serdyś, krasawycia, ja wtikaju wid hermanciw, try dny ne jiw!*

Ucieszyłem się, gdy ofiara napaści odwróciła się do mnie twarzą w szerokim i przyjaznym uśmiechu, jak mi się zdało, chociaż to było już na jakieś dobre trzydzieści kroków.

Takie zakończenie nie wydało mi się złe, i poprawiło moje samopoczucie.

Od mostu zatrajkotały motory. Zaszyłem się w gąszczu tak, żeby móc obserwować, jak się zachowa baba. Zachowała się życzliwie, wozów nie zatrzymała, było więc oczywiste, że „kryminał" nie pociągnie żadnych niebezpiecznych skutków.

Tymczasem nadciągnęła burza z ulewnym deszczem w kilku nawrotach. Przemokłem do skóry i całkowicie popsuł się odświętny nastrój przed gruntowną ucztą. Lecz w okropnej chałupie było przynajmniej sucho, rozebrałem się więc do naga, rozwieszając, gdzie się dało mokre ubranie i bie-

liznę, i jak prawdziwy dzik..., rzuciłem się na kobiałkę z jedzeniem. Burza mijała, a mnie wygładzał się humor i wracała otucha.

★ ★ ★

W jasnym, już wysokim słońcu pogodnego poranka rozpoczął się szósty dzień mego przymusowego *camping*. Dygocąc w niedosuszonym ubraniu, krzywiąc się i pojękując od strzykania w kościach i bólu w mięśniach, posiliłem się serem z chlebem byle jak, byle papieros smakował, i wybrałem na brzeg, zabezpieczywszy wprzód moje skarby od szczurzej napaści i przed spostrzegawczością Nietiosina, który przecież wreszcie przyjechać musi.

W nadbrzeżnych krzakach miałem jedno takie miejsce, skąd, niewidziany przez nikogo, mogłem obserwować całą panoramę rzeki, miasta, nieba i słońca. Mewy białymi płatami gęsto kulały się nad wodą. Jerzyki, zawzięcie skrzypiąc, szyły niebo ciemnymi ściegami we wszystkich kierunkach. Inne jaskółki, strzechowe i piaskówki, uwijały się w przeźroczystym błękicie, kreśląc wysoko esy-floresy, to śmigając tuż nad wodą. Wydawały mi się pijane lotem, słońcem i własnym szczęściem. Duże i wielkie ryby fałdowały lustrzaną powierzchnię zatoki kłócącymi się kręgami i kołami, mniejsze i małe ryby chodziły w słońcu tuż pod powierzchnią, budząc we mnie instynkt wydry.

Kiedy na piasku doschło moje spodnie ubranie, wciągnąłem na siebie bieliznę, zwinąłem się psim skrętem i od razu zasnąłem.

Jak na drwinę śnił mi się wielki uroczysty zjazd na wsi. Panowie na biało, panie na czarno, jakieś wspaniałe śniadanie, stół zastawiony smakołykami, w kieliszkach perli się zimny Laffitte, Ludomir Sleńdziński już ma przemówienie, które mu przyjaciele radzą skrócić, słowem: realizm dalekiej przeszłości. Właśnie podchodzi do mnie służący, gdy rozpoznaję w nim majora, który nas trzymał w areszcie, ale nic, nabieram złotej ryby w srebrzystych sosach, gdy major mrużąc złe oczy szepce: „Uwaga, Sawinkow", ryba spada mi z widelca na suknię sąsiadki, ta przeraźliwie coś wrzeszczy, jakby nie była wielką damą. Domyślam się, że to

nasza głuchoniema hrabina Lewaszowa, chcę ją przeprosić, lecz nie wiem, co powiedzieć, budzę się w przerażeniu, gdyż już na jawie słyszę, że to nie jedna, ale kilka hrabin wrzeszczy na mnie. Jestem otoczony przez stado srok, które obsiadły wierzchołki krzaków dokoła mego legowiska, i nie rozumiejąc widocznie czy to kolorowa padlina leży na piasku, czy żywy człowiek, skrzeczą jedna przez drugą, formując pogląd na zagadkową rzeczywistość.

Jeszcze tego brakowało, by swoim wrzaskiem naprowadziły kogoś w moje krzaki! — Poszły do diabła!!!

I taki sen przerwać, i taki kawał ryby zmarnować.

Nietiosina poznałem niemal na środku rzeki. Mała łódź tego samego przewoźnika żwawo mknęła po spokojnej wodzie, przecinając rzekę na ukos, lekko zwróconym ku prądowi dziobem.

Przywiózł mi dużo jedzenia, czystą zmianę bielizny, lusterko i brzytwę i nienajlepsze wiadomości. Mnie wprawdzie nie szukają, ani w mieszkaniu przy Puszkińskiej, ani w redakcji, ale w mieście niespokojnie, dużo aresztowań, chwycili nawet narzeczoną Dońskiego, młodą i Bogu ducha winną dziewczynę. Wszystko to w związku z zamachem na feldmarszałka. A sprawy Niemców na zachodnim froncie stoją wybitnie źle, aprowizacyjnie braki wewnątrz Niemiec są już tak dotkliwe, że niechęć do wojny i niewiara w zwycięstwo biorą górę, podobno — mówił — już nie wystarcza policyjnego aparatu do tłumienia objawów niesubordynacji także w armii.

— A wasze oddziały pod Połowoczyskiem i w okolicach dają się we znaki niemieckiej komunikacji. Napadają i niszczą składy, likwidują poszczególne oddziały na etapach. Macie jednak podobno wielką stratę. W jakiejś potyczce został śmiertelnie ranny wasz dowódca, mówią, że to był główny naczelnik partyzantów. Wybitny, widocznie, gdyż wśród waszych wielka żałoba i poruszenie.

Pomyślałem ze smutkiem, że to zapewne Lis Kula, bo po kimże, jak nie po nim, może być wielka żałoba i poruszenie? Pomyślałem ze smutkiem, że jeśli istotnie zginął

Lis Kula, to słusznie powiadają, że Bóg wcześnie zabiera do swej chwały najlepszych.

Na gorączkowej rozmowie szybko upłynęła godzina i samo przez się tak się złożyło, że na temat rabunku, tak dla mnie żenujący, nie starczyło czasu (zrabowaną kobiałkę przed wyjściem nad rzekę ukryłem). Oblizując się w myślach o smakołykach w worku i plecaku (miały tam być i dary od Diny i Katrusi, „moich kuzynek") porozwieszałem je na sękach z obawy przed szczurami i odprowadziłem Nietiosina do łodzi.

Popołudniowy bryz lekko zaczernił wodę. Szara łódź, nim dosięgła środka rzeki, znikła mi z oczu.

Na następne odwiedziny miałem czekać trzy dni.

O ROZKOSZACH ŻARCIA I PICIA I ICH KRÓTKOTRWAŁOŚCI

Siódmy dzień, bo chyba to już był siódmy, chociaż nie byłem pewien rachunku bardzo podobnych do siebie dni, spędziłem dostatnio, kulturalnie i przyjemnie. Przede wszystkim rozwłóczyłem wbrew przyzwyczajeniu garderobiane i kosmetyczne zabiegi. Zmieniłem bieliznę, najstaranniej oczyściłem ubranie i buty, a wszystko to robiłem rozmyślnie wolno, wyciągając czas, jak żyły z własnej nudy. Starannie umyty, ogolony, i na podziw krzakom: elegancki, zasiadłem do wspaniałej uczty.

Kochane Dina i Katrusia, jakby przeczuwając, że wilegiatura na sposób wilczy wpłynie na zmianę usposobienia, przysłały mi pośród innych wspaniałości także butelkę *Jules Robin (reservé*, oczywiście). Wobec tych smakołyków ukraiński ser i kiełbasy bardzo w moich oczach schłopiały. Zelżał również urok białej główki wobec blasku najlepszego koniaku świata (wówczas jeszcze nie wiedziałem, że w Barcelonie będę pił lepszy). Zacząłem jednak według biblijnych zaleceń od pospolitszych specjałów, by tym entuzjastyczniej ocenić wytworne. Parę łyków gorzałki, prosto z butelki (kieliszka nikt nie przysłał), modą chłopską, zagryzionych kiełbasą, podpartą słoniną, przełożoną jajami na twardo, zrobiło mi dobrze.

Współczuję ofiarom nałogu. Ale jest rzeczą konieczną posiadać oczytanie i znajomość choćby ogólną stylów alkoholowych, konwencjonalnych i szczególnych, przekazywanych zwykle w opowieściach powiatowych z pokolenia na pokolenie. Ponieważ dokoła mnie trwała prawie że pierwotna dziewiczość połowieckich czy chazarskich ziem, wybrałem styl stepowy, to znaczy rąbnąłem sobie wspaniałego koniaku nie na miarę, ale na czas.

Czy próbował ktoś oderwać szczenię gończaka od sutka matki-suczki, gdy przywarło do życiodajnego nektaru? Niechby spróbował oderwać mnie przed czasem od *Jules Robina!* Sto słońc naraz zapaliło mi się w piersi, w trzewia spłynęły strumienie złota, zapalił się impet intelektu i poczułem się tuż przy kuszącym progu czterowymiarowych rewelacji. Lecz wierny sobie powściągnąłem pokusy dosytu, a niedosyt pocieszyłem smakiem wybornej kury. Po tym — nowy łyk słońca i napadłem na sznycle, niczym Zagraj w onym dobrym czasie napadał na skoki szaraka. I oto poczułem się w środku ballady.

Wydało mi się, że to nie kijowskie dzwony prawosławne płyną ponad obcym wieczorem, ponad gruchaniem grzywacza, a że to nad sosnowymi borami mojej strony płynie odzew Świętojańskiego dzwonu na spotkanie sygnaturki z pobliskich Solecznik, dzwoniącej po nieszporach ku przednocnemu wzruszeniu dusz najprostszych, wierzących przyziemnie, za to, jak chleb razowy, mocno. Wydawało mi się, że widzę dom rodzinny, wrośnięty w drzewa, jak w swoją starość, w zieloność rówieśników klonów i lip, otoczony młodzieżą kwitnących bzów i jaśminów.

Nie wiedziałem wówczas, że po latach przypomni mi to marzenie na jawie rodzone dziecko, przeznaczona wczesnej śmierci dziewczynka, ułożonym przez siebie wierszykiem:

Zorze stały nad światem, jak pożoga złota
Z Solecznik biły dzwony, i z tą pieśnią dzwonną
Szła polnymi miedzami wieczorna tęsknota.

Słońce tymczasem widocznie już zaszło. Wzmogła się szarość w otworze drzwiowym, w kątach chałupy stężała ciemność. Więc jeszcze jeden łyk złota! Niech nad tłustym konkretem uda kury uniesie mnie moja fantazja na niedopierzone wzloty i sieroctwo zamieni na chwilę na honorowe obywatelstwo kosmosu! — Szczurzy sublokatorze, przydrożny rabusiu, łowna zwierzyno żandarmów — zachęcałem siebie do opuszczenia mojego trójwymiarowego j a i jazdy w halucynacje.

Z butelki *Jules Robina* wyjrzały przerażone oczy dziewczyny. A z przerażenia zrodził się wyrzut: — Człowieku pospolity, czemuś nie chwycił tych oczu przerażonych razem z kobiałką, do piersi nie przycisnął i nie przywlókł do krzywej chałupy?

Oczy, oczy.

Wszystkie oczy widziane, kochane, przerażone jednakowo od wyrywanych kobiałek i wykradanych serc, i te zacałowane i te nietknięte, łzawe, pokorne i oddane, i oczy odmierzonego z góry oszustwa, oczy fałszywe i zdradliwe a złociście przecherne, jak *Jules Robin*, wszystkie naraz wyjrzały z pustki w przedksiężycowym mroku nocy. Więc musiałem je błagać, by ścieśniły się w jedno spojrzenie, w to jedyne a wierne, w to sądzone mi i ostateczne. Wówczas znikły.

Ocknąłem się. Odważniej i piskliwiej rozruszały się w klatkach szczury. Po ciemku pozbierałem moje zapasy, rozmieściłem w kobiałce i plecaku i na kawałku kabla, zaczepionego do krokwi, zawiesiłem po środku izby.

POGLĄDY PRZEWOŹNIKA I MOJE NA OBSZARNICZO-KUŁACKĄ REAKCJĘ

Każda rzecz i każda sprawa ma swoją miarę. Już wiedziałem, że miara mojej pustelniczej wytrzymałości się wyczerpała. Postanowiłem nieodwołalnie, że gdy się zjawi Nietiosin, wracam z nim do miasta. Niech mi wynajdzie jakąś dziurę na uboczu, będę w niej siedział, jak mysz pod miotłą, czytał, pisał, ostatecznie Niemcy wszystkich domów i domków w Kijowie nie spenetrują. Doszedłem zresztą do tego, że mniej się bałem niemieckiego więzienia, niech nawet szubienicy, niż niebezpiecznego kryzysu, który mi groził z niemożliwej do zniesienia nudy. Nic mnie już nie obchodziły wieczorne i poranne śpiewy ptaków, obojętnie przepływała nade mną pogoda letnich dni, myśl o kiełbasie wydawała mi się śmierdząca, słoniną pogardzałem, ochoty do życia wystarczało zaledwie na tyle, by przypominać sobie w strachu jaworowskie pogaduszki o „urokach" i „nasłaniach", jakie sprowadzają na człowieka niszczące moce, odbierające siły, wiarę i spokój za to, żeś nieświadomie przekroczył jakieś tajemnicze prawa przyrody. A jak ja mogłem znać prawa tych przeklętych krzaków czy tej wielkiej pogańskiej rzeki i jej odwiecznych brzegów, zasłanych kośćmi wszystkich ludów świata?

Obudził mnie Nietiosin. Stał przy moim wyrku, wpatrując się we mnie uważnym, zaniepokojonym wzrokiem.

— Czy pan nie chory?

Zerwałem się, by go najserdeczniej przywitać. Zapewniłem, że się czuję doskonale, i że uważam . . .

— No, to niech się pan śpieszy — przerwał. — Zaraz jedziemy razem. Z Puszkińskiej nic nie sygnalizuje niepokoju,

pański przyjaciel, Demidow, też przekonany, że Niemcy pana nie szukają. Wracamy.

Na brzegu czekał ten sam dobry człowiek, który w mojej sprawie miał się już po raz szósty przeprawiać przez Dniepr. Przywitał mnie bardzo serdecznie, a ponieważ zauważył jakiś ruch na rzece, radził przeczekać Wsunęliśmy się w krzaki, i rozciągnięci na gorącym sypkim piasku gawędziliśmy sobie o polityce. Rybak mówił o nienawiści proletariatu do hetmańskiego prawa, opartego na niemieckich bagnetach. Sam miał sąd ostry, lecz rzeczowy i sprawiedliwy. Z pogardą wyrażał się o organizacji tzw. *chliborobów*, których zjazd powołał do władzy „generała Jego Cesarskiej Mości", zaszczyconego nawet tytułem „świty Jego Cesarskiej Mości" na hetmana Ukrainy. Wiedział, tak zresztą jak wszyscy, że „spontaniczne" decyzje tego zjazdu by'y starannie przygotowane i wyreżyserowane pod życzliwym okiem niemieckiego Oberkommando przez kiłku przedsiębiorczych polskich obszarników.

— Gdyby *chliboroby*, bogaci wiejscy gospodarze, posiadali własną siłę, wielu by ludzi na Ukrainie ich poparło. Może by potrafili zjednoczyć koło siebie i mniej zamożnych chłopów, nawet biedaków. Ale takiej siły u nich nie było. Więc zostali zmuszeni wołać o oddanie pańskich majątków z powrotem obszarnikom. Im to było potrzebne? Nie, nie im, i nie Ukrainie. Było to potrzebne panom, i było potrzebne Niemcom. Bo z majątków łatwiej brać, a Niemcom trzeba żywności. I za to *chliboroby*, panie, zczezną razem z Niemcami. Nam takich nie potrzeba.

Przyznam, że rybak zaimponował mi klarownością swoich racji.

Wielu Polaków, nie tylko ziemian, czynnie a nawet ofiarnie pomagało w owym czasie w montowaniu sojuszu włościańsko-ziemiańskiego, wierząc naiwnie, że hetmańska dyktatura zdoła uratować polski stan posiadania i zjednoczyć zdrowe moralnie i dojrzałe politycznie pierwiastki społeczeństwa dla oporu przed zalewem anarchii i bolszewizmu (w zwycięstwo Niemców, a więc w perspektywę ich stałej pomocy w powstrzymaniu napierającego z północy bolszewiz-

mu, nikt nie wierzył, prócz chyba głupków, których zresztą nie brakowało). Nie potrafili jednak wykorzystać pomyślnej dla siebie koniunktury protektoratu niemieckiego, własnej siły stworzyć nie zdołali i — moim zdaniem — wcale nie dlatego, że to było niemożliwe. Nie potrafili, bo nie umieli, bo nie starczyło rozumu, by obronę stanu klasowego posiadania zsynchronizować z troską o stabilizację nowego państwa na zasadach bezklasowej demokracji. Wielu z nich, to znaczy ziemian i inteligencji, nie potrafiło nawet wykorzystać tej paromiesięcznej przerwy dla ratowania swego życia i części mienia. Ci, którzy uwierzyli, że anarchia i rewolucja są już pokonane, zapłacili życiem swoim i swoich najbliższych za lekkomyślność urojeń i majaczeń w zdradliwym powietrzu ukraińskiej czerwonej febry, nie rozumiejąc, że jest jednakowo śmiertelna po ukraińsku, jak po rosyjsku.

ARESZTOWANIE

Szczęśliwie się stało, że w domu przy Puszkińskiej była obecna tylko służąca, więc obeszło się bez indagacji i tłumaczeń. W pokoju panował wzorowy ład. Sprawdziłem mój tajny składzik pod blachą parapetu za oknem. Wszystko w porządku. Przetarłem pistolet, gdyż od dłuższego czasu był na wilgotnym powietrzu, przejrzałem pobieżnie pocztę leżącą na stole, w tym depeszę bolszewiczki Tani, donoszącą naiwnym szyfrem, że tylu i tylu „waszych" przeprawiła przez granicę. Dalsze porządkowanie odłożyłem na później, z uczuciem wielkiej fizycznej satysfakcji wykąpałem się, i polecając duszę opiece Opatrzności, wcześnie poszedłem do łóżka.

Gwałtowny stuk do frontowych drzwi i przerażony szept obok poderwał mnie na nogi.

— Niemcy.

Piorunem skoczyłem z pistoletem do okna, wsadziłem broń pod blachę, wskoczyłem z powrotem do łóżka i udawałem śpiącego.

— *Hände hoch!*

Dwóch drabów kierowało na mnie mauzery, tuż za nimi wpychało się jeszcze dwóch z karabinami „na gotój", za ich plecami błysnęły przerażeniem oczy mojej wybawicielki.

Była piąta rano.

Ubierałem się bez zbytniego pośpiechu, nie zdradzając żadnych emocji. Tymczasem Niemcy dość bezładnie przetrząsali pokój. Jeden z nich, przerzucając stare gazety na stole, niechcący przykrył depeszę Tani, i tak już zostało do końca rewizji. Łaska Boża czuwała nade mną. W pokoju nic nie znaleziono.

Wychodząc, ucałowałem najserdeczniej rękę pani domu. Chciała mi coś powiedzieć, lecz nie dała rady ze wzrusze-

niem, nie mogła z siebie wydobyć głosu. Głęboki szloch, tłumiony wysiłkiem woli czy konwenansu, wstrząsnął nią całą, usiłowała zrobić ruch ręką, jakby znak krzyża, i też nie potrafiła.

Maszerowałem po mojej ulicy, lecz jakże inaczej niż przed dziesięcioma dniami z farbowanym Witkowskim przy boku. Prowadzono mnie po jezdni. Karabiny mieli odbezpieczone. Zaprowadzono mnie do biura ich wywiadu i kontrwywiadu, które mieściło się także przy Puszkińskiej. Miałem na sobie gabardinowy płaszcz i przypomniałem sobie, że w jego kołnierzu mam schowane obok sporej ilości marek i jakieś papierki. Jakie? — nie pamiętałem, i ani rusz nie mogłem sobie przypomnieć.

Kazano mi czekać w jakimś obrzydliwym pokoju. Rzuciłem płaszcz na krzesło w przeciwległym rogu, jakby nie mój. Sam starałem się skoncentrować i zastanowić nad sytuacją, chociaż nie było o czym myśleć. Okazali się mądrzejsi od nas wszystkich. Co w tym czasie mogli się o mnie dowiedzieć? Jakie zdobyli materiały?

Było czczo i nudno. W południe przyniesiono mi jedzenie, marne, zimne, i zalatujące raczej zapachem pralni, niż kuchni. Zapytałem żołnierza, czy może mi przynieść setkę papierosów i na zachętę pokazałem pięć marek. Poleciał żwawo zapytać, wrócił z wesołą gębą, chwycił kupę hrywien na papierosy i pięć marek dla siebie. Po kwadransie wrócił z papierosami i zapałkami.

Znów mijały godziny. Zacząłem spacer po pokoju i przekonałem się, że jestem strzeżony przez jednego na korytarzu i przez drugiego, który stał pod oknem. Wyjścia w sprawach prywatnych odbywały się w towarzystwie milczącego i ponurego faceta oraz *gemajna* z karabinem.

O 5 pp., po dwunastu godzinach od chwili mego aresztowania, postanowiłem przypomnieć się, symulując święte oburzenie niewinnego człowieka, pozbawionego wolności. Wyjrzałem na korytarz i omal się nie zderzyłem z jakimś umundurowanym osobnikiem. Wyraźnie go nastraszyłem, bo sięgnął do prawej kieszeni po pistolet i tam go miętosił.

— Chcę mówić z oficerem, czy w ogóle z kimś! Jak dłu-

go będę tu jeszcze ni z tego ni z owego siedział i nie wiedzieć na co czekał!?

— Na korytarz nie wolno wychodzić. Proszę wejść do pokoju, zaraz poślę po oficera — odpowiedział grzecznie.

Po paru minutach wrócił i obojętnie zakomunikował:

— Pan porucznik nie życzy sobie z panem rozmawiać.

O zmroku, chyba już było po ósmej, gdy na ulicy zaczęły zapalać się światła, wszedł z dużym hałasem jakiś do pokoju i kazał mi się gotować do drogi. Nawet nie zapytałem, do jakiej drogi?

W drodze zorientowałem się szybko. W asyście trzech landszturmistów i biurowego typa w płaszczu i parabellum na pasie prowadzono mnie do Łukjanowskiego więzienia. Z centrum było to sześć kilometrów, od peryferii nie mniej trzech. Za miastem było ciemno, z czego postanowiłem skorzystać, by pozbyć się kompromitujących papierków. Niosłem w ręku ową setkę papierosów, w tekturowej paczce, owiniętej w zwykły papier do pakowania. Raz po raz zacząłem się drapać za kołnierzem, narzekając na pchły w poczekalni. Gdy uwaga konwojentów oswoiła się z moimi ruchami, symulując świerzb, bez wielkiego trudu wysupłałem spod podszewki kołnierza całą zawartość. Pieniądze wsunąłem do kieszeni, zaś inne papierki dołączyłem do opakowania paczki, którą zaraz zacząłem otwierać i uprzejmie traktować wszystkich papierosami. Pudełko z papierosami poszło z rąk do rąk, ja zaś ostrożnie darłem papier opakowania razem z karteczkami i rzucałem nieznacznie pod nogi. Do Łukjanowskiego więzienia wszedłem czysty i przeźroczysty.

Niemniej, z powodów dla mnie niezrozumiałych, po półgodziny czekania w kancelarii zaprowadzono mnie wprost do karceru.

SZCZURY I LUDZIE

Komendanta więzienia poznałem dopiero przy zwolnieniu, które nastąpiło po przeszło pięciu miesiącach siedzenia. Był nim jakiś starszy inteligent, zmobilizowany w randze kapitana, prawdopodobnie brzydzący się nie zaszczytną funkcją, czego wynikiem była jego stała nieobecność, podczas której rządził brutalnie i samowładnie podoficer Hans. Dwumetrowy drab, dziki sadysta, chudy i płaski. On to wrzaskliwym szczekiem kazał strażnikom odprowadzić mnie do karceru.

Wejście do tej nory było z korytarza, w którym paliła się mała lampa. Jej blask, prześączający się przez małe, brudne i gęsto okratowane okienko w drzwiach, stanowił oświetlenie mojej celi. Miała jakieś sześć kroków na trzy, podłogę betonową, lub ze szczelnie ubitego gruzu, zamiast łóżka trzy deski na krzyżakach, a w górze pod sufitem małą mocno zakratowaną dziurę, zapewne okno na poziomie chodnika. To wszystko zdążyłem zauważyć przy wejściu, nim zatrzasnęły się drzwi. Zauważyłem przecież coś jeszcze. Podczas gdy jeden strażnik wrzeszczał coś na mnie, drugi nieznacznie upuścił coś na podłogę celi. Zgrzytnęły klucze, zostałem sam.

Nie odebrano mi papierosów i zapałek, więc gdy z trzaskiem i zgrzytem zamknęły się drzwi korytarza i głucho zadudniły ciężkie buciory na schodach, zaświeciłem sobie, aby zobaczyć, co upuścił Niemiec. Był to kawałek świecy, owinięty w strzęp niemieckiej gazety. Poczułem wiew otuchy, błysnęła nadzieja. Jeszcze nie jest tak źle, gdy nawet w takiej mordowni można spotkać przyjazną duszę pod wrażym mundurem. Zapaliłem świecę, chwytając jednocześnie wzrokiem szarpnięcie kilku cieni w kierunku ciemnych ro-

gów celi. Znowu szczury! Uważniej świecąc, naliczyłem kilka dziur u styku ścian z podłogą. Owinąłem się, jak mogłem najszczelniej w płaszcz, twarz przykryłem kapeluszem, i natychmiast zasnąłem.

Przez całe życie bałem się szczurów. Nie tylko się brzydziłem, bałem się, u nas w dzieciństwie pogardliwie mówiono: jak baba. Później nabrałem przekonania, że szczury odgrywały jakąś ponurą rolę w moich poprzednich wcieleniach. Może mnie zjadły żywcem, może zżerały mego kolejnego trupa, może w jakichś średniowiecznych mrokach byłem poddawany szczurzej torturze, kto wie, kto odgadnie, wiedziałem tylko, że wrażliwość moja na szczury była echem jakichś minionych mąk, które odbijało się na moich współczesnych nerwach, przerażało je, wbrew wszystkim racjom rozumu, że szczur, to taki sam zwierz jak wilk, czy dzik, wcale nie wzbudzający innych emocji prócz myśliwskich.

Walczyłem z moim strachem przez całą młodość. Za przykładem znakomitego Durowa, znanego z tresury szczurów w swoim popularnym cyrku, zmuszałem siebie do oswajania złowionych do klatki szczurów, by stopniowo przezwyciężyć strach i odrazę. Dochodziłem nieraz do takiej intymności, że mój kolejny wychowanek już mieszkał u mnie w kieszeni, czołgał się pod kadeckim mundurem, nieraz w czasie odpowiadania przy tablicy wysadzał głowę zza kołnierza, a sala ryczała ze śmiechu, ku zdziwieniu nauczyciela, który pojąć nie mógł powodu dzikiego szału wesołości trzydziestu bęcwałów na widok jednego z nich, wypisującego na tablicy trygonometryczne formuły.

Niemniej wystarczyło czasem jednej nocy, by oswojony szczur przy pierwszym zbliżeniu przyjaznej ręki na dzień dobry, chwytał za nią ostrymi jak igły zębami, a wypuszczony z klatki rzucał się jak nieprzytomny w dortuarze. A i mnie również wystarczyło czasem jednej nocy, by znowu czuć strach i odrazę, a sama myśl, że wczoraj ten szczur mieszkał w kieszeni spodni i łaził w rękawie munduru, wywoływała we mnie wstrząs. Trzeba było zaczynać od nowa. Albo ze szczurami, albo ze mną.

Szczury w leśnej chałupie bały się mnie bardziej, niż ja

ich, ponieważ byliśmy jednakowo wolni, ja i one. Tutaj ja i szczury byliśmy zamurowani. Były głodne i agresywne.

Już pierwszej nocy kilka razy budziło mnie lekkie skrobanie przy paznokciach nóg. Raz spędziłem odważniejszego, gdy się dobierał do mego ucha. Wreszcie obudził mnie ból ugryzionego palca, który krwawił. A pomimo wszystko, spałem. Zapewne nadmiar wrażeń przytłumił moją wrażliwość.

SZUKAJĄ WĘZEŁKOWSKIEGO

Następnego dnia zaprowadzono mnie na badanie. Odbywało się w dużym pokoju obok kancelarii. Badało mnie dwóch oficerów. Jeden, w randze majora, tłusty i brzuchaty, przepasany zwyczajem pruskich oficerów podlejszego gatunku pasem poniżej pępka. Twarz miał głupią, która zawdzięczając czerwonym podbródkom mogła sprawiać dobroduszne wrażenie, lecz bezbarwne oczy o połyskach rybiej łuski patrzyły zimno, mądrze i nienawistnie. Drugi, kapitan, był chudy, płaski, o twarzy długiej i znużonej. Oglądał mnie przez chwilę, jak bezwartościowy obraz na kiepskiej wystawie. Siedział do mnie trochę bokiem, prawą ręką bezmyślnie uderzał w stół.

Zaczęło się od stereotypowych pytań, jak się nazywam, gdzie mieszkam, gdzie i kiedy się urodziłem itd. Odpowiadałem na pytania całkiem swobodnie, imponując samemu sobie blagą. Urodziłem się w Paryżu, skończyłem tam normalną szkołę, później byłem na rysunku i rzeźbie w szkole sztuk pięknych, potem wróciłem do Moskwy do rodziny matki, mieszkałem na Preśni, później pojechałem do Petersburga, wciągnąłem się w dziennikarstwo, itd., itd.

Padło wreszcie pytanie o Sawinkowa i Dońskiego.

Odpowiedziałem, że Sawinkowa znałem, a ostatnio widziałem go nad Donem w Nowoczerkasku, zaś Dońskiego nigdy na oczy nie widziałem, chyba że się inaczej nazywał.

W pewnej chwili chudy mnie spytał, czy nie znam niejakiego Węzełkowskiego, byłego komisarza wojennego Tymczasowego Rządu.

Artystycznie wytrzymałem próbę ognia.

— Nie, to nazwisko nie jest mi znane, chociaż jako korespondent prasowy spotykałem wielu komisarzy rządu rewolucyjnego. Lecz nazwiska... — omal że nie płasnąłem

automatycznie: Wędziagolskiego — takiego nazwiska nie spotykałem.

Tępy Niemiec nie zauważył, jak w tej chwili razem ze śliną przełknąłem dotyk stryczka.

Korzystając z okazji, pośpieszyłem dodać, że obecnie pracuję w wielkim rosyjskim dzienniku, prowadzę dział zachodni, głównie niemiecki.

Major wytrzeszczył na mnie złe oczy, lecz nic nie powiedział. Chudy kapitan natomiast obrzucił mnie pogardliwym spojrzeniem i prawie po polsku wyplótł:

— Ale jak panu zbrzydną szczury i samotność, może pan coś ciekawszego doda do swoich opowiadań. Mamy czas.

W tym miejscu pozwoliłem sobie unieść prawą brew, wyrażając w ten sposób wątpliwość, czy tego czasu jest naprawdę tak dużo. Major zawrzeszczał na wartownika, żeby mnie zabierał. Odszedłem z satysfakcją: duchową, że ich tak umiejętnie nabiłem w butelkę, i fizyczną, że mi nogi, skołkowaciałe już od stania w czasie przesłuchiwań, odpoczną.

WROGOWIE I SOJUSZNICY

W półmroku mojej celi możebym nawet nie zauważył menażki z jedzeniem na podłodze, gdyby w chwili mego wejścia od miski nie pierzchła kupa wielkich szczurów. Zapaliłem zapałkę i z odrazą zobaczyłem skry szczurzych ślepiów, wyglądające z dziur. Jakże miałem się ich nie bać, skoro one się mnie nie bały! Namiętosiłem więc chleba, nie poskąpiłem smakowitej zupy, by zwilżać nią chlebowe placuszki, i rozrzucałem je po kątach. Słyszałem piski, z którymi one je porywały. Bezradnie obmyślałem sposoby pozatykania dziur. Już nie obawa, ale pewność niepokoiła mnie, że rozzuchwalone i uświadamiające sobie mój kształt, jako górę mięsa, będą mnie dzisiejszej nocy atakować.

Nadszedł wieczór i pora drugiego posiłku. Znów brzęknęły klucze, przed kratami okienka stanął strażnik z miską i chlebem. Najpierw nawrzeszczał na mnie, ale po otworzeniu drzwi uśmiechnął się porozumiewawczo i spytał szeptem, czy znalazłem świecę. Nawiedzony błyskawiczną decyzją wyszeptałem:

— Szczury, nie mogę wytrzymać, gryzą. Może jakiś kawałek drzewa, by zatkać dziury, bardzo proszę.

Przyłożył palec do ust, coś głośno wrzasnął i zatrzasnął za sobą z hałasem drzwi. Nim zdążyłem zjeść zupę, karmiąc przy tym szczury, wrócił mój dobroczyńca i bez słowa podał mi dłuto i większy kawałek świecy. Nadzieja wstąpiła we mnie i omal że się nie rzuciłem do odbierania szczurom jedzenia.

Z dawien dawna jest wiadomo, że więźniowie mają nie tylko więcej czasu, ale i więcej cierpliwości, niż ludzie wolni. W porównaniu do podkopów, jakie trwają miesiącami i latami, moja praca miała szalone tempo. W ciągu kilku godzin skrobania i kruszenia muru zdołałem naprodukować dosta-

teczną ilość gruzu do gruntownego zaszpuntowania dziur. Gdy po zabiciu ostatniego otworu, już późną nocą, zwaliłem się na moje deski, ze strachem i podziwem usłyszałem odgłosy zawziętego chrobotania ze wszystkich stron. Ostatnią moją myślą przed zaśnięciem było konstatacja, że szczury mają także swoją cierpliwość, lecz że do jutra mam czas.

Obudził mnie dotkliwy ból wielkiego palca u nogi. Zapaliłem zapałkę i z przerażeniem, nie tyle z bólu, co ze świadomości klęski, nasłuchiwałem ich galopady do nor. Zapaliłem świecę, obejrzałem moją pracę. Wszystkie dziury były otwarte.

Nie miałem energii do rozpoczęcia pracy na nowo. Postanowiłem, że jutro poproszę dobrego człowieka o butelki i bitym szkłem zagwożdżę dziury. Włożyłem buty, otuliłem się płaszczem. Postanowiłem nie spać. Zasnąłem natychmiast.

Obudził mnie dozorca, niestety, nie ten, i przy wejściu wrzasnął na mnie z takim smakiem, że nie było wątpliwości, że wróg. Tymczasem on między wrzaskami zaszeptał w ludowej polszczyźnie: — Tu papier i ołówek jeśli chce, może napisać do swoich, czy ja, czy ten drugi, odniesiemy. Zaś ale ostrożnie być z innymi.

Poprosiłem o próżne butelki. Ostrzegł przed Hansem, że bije więźniów do utraty przytomności. Szczeknął na mnie znów po niemiecku, aż echo poszło po podziemiu, a po kilku minutach przyniósł butelki. Znowu wrzasnął, trzasnął, zaryglował.

Rzuciłem się do pracy z gorączkowym pośpiechem. Tłukłem drobniutko szkło, zasypywałem nim dziury, upychałem gruzem, najstaranniej sprzątnąłem podłogę, a dłuto schowałem w rozworze krzyżaków tuż pod deskami. Spieszyłem się w strachu, że lada chwila nadejść może obcy strażnik. Nie omyliłem się. Przyszedł Hans. Zaczął coś wrzeszczeć, z czego nie mogłem nawet zrozumieć ani słowa, wyszedł trzasnąwszy drzwiami i odszedł korytarzem, waląc buciorami po podłodze trochę sztucznie. Nie minęły dwie minuty, gdy znów wpadł niespodziewanie i z łomotem, ale że „złapał mnie“ na siedzeniu z pochyloną głową na moich deskach, a więc w pozycji skruszonej i zwyciężonej, wyco-

fał się, przekręcił klucz w zamku i poszedł na dobre. Głupi Hans nie podejrzewał, że zauważyłem, iż po pierwszym jego wyjściu nie zaryglował drzwi, lub może myślał, że mnie przyłapie, jak będę to sprawdzał.

★ ★ ★

Napisałem do Demidowa, że mnie badali, pytali o Sawinkowa i jakiegoś Węzełkowskiego, że siedzę w karcerze, trochę mi głodno, ale nie czuję się nieszczęśliwy.

Otrzymałem odpowiedź, że Dina przez swoją najserdeczniejszą przyjaciółkę (wielką księżnę Olgę, rodzoną siostrę cara, po mężu Kulikowską) porusza niemieckie niebo i ziemię, by mnie uwolnić. Poza tym masa czułości, błogosławieństw i słów otuchy.

POD SZUBIENICĄ

Czternastego dnia pobytu w karcerze wyprowadzono mnie wczesnym rankiem na więzienny dziedziniec. To, co ujrzałem, obaliło we mnie na jedną chwilę i odporność, i sztuczność dumy wobec wroga. Na całe późniejsze życie dowiedziałem się, co znaczy „ostatnia chwila".

Na niedużym placu, okolonym czterometrowym murem, stała szubienica. Obok szubienicy stał stolik, przy którym na więziennych taburetkach siedzieli: major, chudy kapitan i jeszcze jakiś oficer. Na uboczu stał pop, którego w pierwszej chwili nie zauważyłem. Widziałem kilku żołnierzy z bronią u nogi i Hansa z parabellum na pasie.

Panowie przy szubienicy chciwie wpatrzyli się we mnie. Ta ich łapczywość pozwoliła mi się od razu opanować. I oto wprowadzono Dońskiego. Pod presją wrażeń zupełnie o nim zapomniałem. Postawiono go pod szubienicą, mnie kazano stanąć na przeciw w odległości kilku kroków. Oficerowie groźnie powstali, a ten trzeci podszedł do Dońskiego, i wskazując mnie, spytał w skaleczonym rosyjskim języku:

— Czy znasz tego człowieka? Powiedz, gdzie go spotkałeś i jak się nazywa?

Wpatrywałem się w Dońskiego z nieznanym dotąd wzruszeniem. Wydawało mi się, że widzę zupełnie kogoś innego, niż znałem. Twarz miał okaleczoną, może biciem, może wybuchem bomby, którą rzucał. Przez ciało jego co chwila przebiegały jakieś drgawki, czy bolesne skurcze. A mimo to oczy jego patrzyły zimne i niepokonane. Głosem twardym, nieswoim, wycharczał z trudem, lecz wyraźnie:

— *Niet, nie znaju.*

Skończyła się konfrontacja z podpatrywaniem szpiegowskich oczu. Na znak majora żołnierz narzucił ofiarze na szyję petlę. Podszedł pop. Coś cicho mówił do skazańca,

ten pochylił głowę i delikatnie odsunął go od siebie. Potem wszedł na skrzynkę. Za chwilę zawisł. Targnął kilka razy głową, jakby wyrywając się z pętli, drgnął na całym ciele i skonał.

ZNOWU WŚRÓD LUDZI

Do karceru już nie wróciłem. Odprowadzono mnie do dużej wspólnej *kamery*, w której mieszkało już siedmiu więźniów. Wszedłem na ósmego do towarzystwa, które po mojej ciemnicy wydawało mi się nadzwyczaj sympatyczne.

Najbardziej efektowną postacią był pan Prekuł, besarabski szlachcic, prokurator jakiegoś okręgowego rosyjskiego sądu, postawny, przystojny przy swojej wczesnej czterdziestce, nienagannie światowy, a przy tym inteligentny i towarzysko łatwy. Po nim szedł Rotmistrz. Nie podaję nazwiska, gdyż miał być w celi „kapusiem", a w pół wieku później, jeśli się nie mylę, widywałem go w trzeciorzędnych filmach amerykańskich w drugorzędnych rolach czarnych charakterów i bandytów. W owym czasie Rotmistrz był młodym lotnikiem i agentem jakiejś monarchistycznej organizacji. Później się dowiedziałem, że miał dużo chlebodawców, którym nie tyle wiernie, co lukratywnie służył. Bystry, odważny i chwytliwy, na zewnątrz *chłopak-rubacha,* wewnątrz zimny kalkulator, rozkochany w ryzykownym „*udalstwie*" i zdolny sprzedać wszystko temu, kto więcej płaci, był modelowym neuropatykiem. Sądzę, że miał już za sobą doświadczenia mordercy „wrogów ojczyzny", czyli demokratów, socjalistów, liberałów i Żydów. Trzymałem się przed nim na baczności, chociaż ustaliły się między nami stosunki przyjazne, na jowialnej kadeckiej osnowie podtrzymywane, na szlacheckiej równorzędności i kodeksie towarzyskich dobrych manier oparte.

Pan Krasowski z kolei, głośny onego czasu naczelnik kijowskiej policji, którego sensacyjne zeznania, jako świadka w procesie rytualnego mordu, zaważyły w dużym stopniu na uniewinnieniu Bejlisa, nie emanował żadną wspólnotą, koleżeńskością czy towarzyskością, żył w ogólnej celi życiem

samotnika, zawsze milczący i zamyślony. Dopiero gdy kiedyś na spacerze, chodząc gęsiego po dziedzińcu, zauważyłem nadlatującą słonkę i — jak na myśliwego przystało — zawołałem gorącym szeptem do Krasowskiego, bo szedł przede mną: — *Smatritie, waldszniep letit'!* — Krasowski życzliwie się uśmiechnął i przyjaźnie stwierdził:

— A, pan widocznie też jest myśliwym.

Od tego zdarzenia chętnie ze mną dyskutował na myśliwskie tematy, mniej chętnie na polityczne, za to często mi opowiadał ciekawe historie ze swej policyjnej praktyki.

Stary Żyd, pan Rubin, odsiadywał karę za ideologiczny anarchizm. Zawracał wszystkim głowę Bakuninem i Krapotkinem, twierdząc, że nawet książęta, o ile są uczciwi, trzymają z anarchią a nawet jej przewodzą.

Ukraińcy z naszej celi — dwaj cywile i jeden siczownik, dawny oficer carskiej armii, chłopski syn spod Jekatierynosławia, trzymali się swojej kupy, prawie zawsze coś nucąc, a czasem, gdy było pewne, że Hansa nie ma w więzieniu, śpiewali pełnym głosem, a tak pięknie i uwodnie, że się zapominało o więzieniu, sercem leciało z nimi na kozackich czajkach w dół Dniepru ku sułtańskim brzegom, nie spostrzegając nawet, że śpiewacy zamiast *„byty Lachiw i rizaty Żydiw"* biją wszy na rozłożonych koszulach na podłodze.

W jednej z sąsiednich cel siedzieli razem byli ministrowie poprzedniego rządu ukraińskiego. Czasem wieczorem z ministerialnej *kamery* dochodził przyciszony śpiew chóralny gabinetu ministrów, wypełniony muzykalnym wyrazem tak wielkiego uczucia dla *„neńki* Ukrainy", że nie tylko moje serce polskie, lecz i imperialne rosyjskie były do samej głębi wzruszone. Więc gdy Rada Ministrów kończyła swoje, my wszyscy, pod batutą „siczowego", śpiewaliśmy najserdeczniej ukraińskie dumki i pieśni.

Właśnie wtedy ponauczałem się ich dużo, nie przeczuwając, że los mi szykuje właśnie na stepie towarzyszkę całego późniejszego życia, Polkę rozmiłowaną w kresowym eposie ukraińskim, która w nasz litewsko-polski dom wniosła cały repertuar zaporoski, i każdy widok *„słonka nyzeńkiego"*, czy *„weczoru błyzeńkiego"* wywoływał wśród naszych

borów i pól serdeczny odzew i sympatię, jakby przyrodzoną. Często zdarzało się na spacerach, że chodziłem między Hołubowiczem, byłym premierem rządu ukraińskiego, a ministrem spraw wojskowych tegoż rządu, panem Żukowskim. Jeśli Hans nie był obecny, rozmawialiśmy półgłosem. Obaj byli bardzo sympatycznymi przedstawicielami ukraińskiej młodości państwowej, może nawet nieletności, która przejawiała się nie tylko nacjonalistyczną drażliwością, lecz również całkowitym zaniedbaniem politycznych i technicznych realiów. Ich wielka pogarda dla „malowanego hetmaństwa", wywodząca się raczej z kompleksu niższości klasowej, niż z politycznego antagonizmu, nie mogła wymazać faktu, że suwerenność ich „Centralnej Rady" była też malowana, i to tą samą niemiecką farbą. Wychowani na rewolucyjnym romantyzmie Szewczenki, z duszą od dziecka zwilżoną płaczem *„Ukrainy bezditnoj wdowicy"*, sami bardziej poeci-impresjoniści niż politycy-realiści, praprawnuki swoich praojców pamiętnych krzywd od polskich panów, nie byli łatwi do zrozumienia idei naszej wspólnej zbiorowej suwerenności. A jednak, nawet te nasze półgodzinne, po złodziejsku kradzione, konwersacje szeptem, nie bardzo płytkie, niech nawet nie bardzo głębokie, starczyły dla wzbudzenia wzajemnych sympatii i życzliwej pamięci na całe życie.

ODWIEDZINY DINY

Po trzech miesiącach moi przyjaciele uzyskali pozwolenie odwiedzenia mnie i zaopatrywania w żywność. Pierwsza ukazała się z ramienia „Komitetu Pomocy Więźniom", śliczna i nieznana mi dotychczas panna Leclairc, Polka i kijowianka, urocza dziewczyna. Przyniosła mi jedzenie, bieliznę i łzy w oczach. Później się dowiedziałem, że litość była jej, a łzy od kogo innego. Podobno wyglądałem strasznie żałośnie. Ponieważ Komitet posiadał jakieś arystokratyczne poparcie w Oberkommando, wizyty pięknej dziewczyny powtórzyły się jeszcze dwa razy. Wreszcie doczekałem się, że przyszła panna Kossikowska.

Ucieszyłem się jak dziecko. Z prawdziwym bohaterstwem wstrzymałem skurcz szlochu, żeby się nie rozbeczeć, nie rzucić nieprzytomnie do rąk tej niedoszłej obcej carowej, a tak mi bliskich i drogich, jak najrodzeńszych. Dina tymczasem, jak zwykle bardzo arystokratyczna, a na tę okazję specjalnie majestatyczna, w jedwabiach i brylantach, urągających murom, kratom i prostactwu otoczenia, pokonała więzienne żołdactwo. I tylko raz, nieznacznie, by żandarmi nie dostrzegli, utopiła swoją dumną twarz w zwojach szala. Gdy ją podniosła, znów uśmiechniętą przez brylantowe łzy, szepnęła mi najgoręcej, że pani Kulikowska z domu Romanow, napisała już do któregoś z Hohenzollernów w mojej sprawie, i błaga, żebym uwierzył, że wszystko będzie dobrze.

A mnie i bez tego w tej chwili było tak dobrze!

Dina naniosła górę prezentów od wszystkich. Jakiś młodzian typu światowego wolontariusza raz po raz wnosił paczki. Żandarmi zdziwieni i jakby zmaleli, nie protestowali, nawet się służbowo prężyli przed majestatem naszej *femme imperatrice*, już i na mnie popatrując innymi oczyma. To znaczy tak, jak posterunkowy na ulicy popatruje na opar-

szywiałego zbłąkanego pieska, którym się zaopiekowała elegancka dama z karety.

Katrusia nasłała pączków chyba na całą *kamerę*, Igor parę czesunczowych koszul, jako ratunek od wszy, prof. Milukow swoją nową rozprawę na temat porewolucyjnej taktyki partii Ka-De, a kucharka Teofila, moja krajanka z Wilna, pamiętając, że kocham faworki, po naszemu „chrust", przysłała ich całe pudło od kapelusza pani Stiepanow, kruchych, doskonałych, rozpływających się w ustach.

Nasza *kamera* i Gabinet Ministrów miały balowanie. Przez cały następny dzień byłem bohaterem cel, a nawet częściowo strażniczego korytarza.

KONIEC OKUPACJI I SAMOSĄD NAD HANSEM

Zmorą naszego życia były wizyty Hansa w kamerze. Żądał byśmy wszyscy wstawali, gdy wchodził. Wreszcie nam to obrzydło i umówiliśmy się, że nie wstaniemy. Prokurator Prekuł i Rotmistrz przypadkowo znajdowali się najbliżej drzwi, kiedy niespodziewanie wtargnął Hans. Zostali przez niego pobici. Bóg był dla nas reszty łaskaw, lecz przeżyliśmy zniewagę towarzyszy jak własną. Zaprzysięgliśmy uroczyście odwet według surowego prawa wojny. Nie tylko zresztą za siebie. Alzatczyk (ten co mi pierwszego dnia podrzucił świecę) i poznaniak (ten co nosił moje grypsy) opowiadali, jak Hans sadystycznie katuje uwięzione kobiety. Narzeczoną Dońskiego miał co wieczór gwałcić, krępując ją przed tym kablem na stołku tortur własnego pomysłu. Aż któregoś wieczoru, poznańczyk, wyprowadzając mnie do ubikacji, szepnął, że Hans zbił Alzatczyka, podpatrzywszy, że ten się szepcze z prokuratorem Prekułem, i wsadził go za karę do „*chambeau*", gdzie ten siedzi już od kilku godzin, najzupełniej przeciw przepisom, zanurzony do połowy w kloakę.

Nie zdążyłem jeszcze opowiedzieć towarzyszom w celi o nieszczęściu naszego przyjaciela i opiekuna, gdy wleciał do kamery niemiecki żołnierz w towarzystwie strażnika i głośno po niemiecku obwieścili straszną nowinę, że w Niemczech rewolucja, Kajzer uciekł do Danii, że nowy rząd prosi aliantów o pokój, słowem — koniec.

Fala niezwykłego podniecenia przeszła przez więzienne cele i korytarze i wsiąkła w straszliwych wrzaskach Hansa. Z wczorajszego rozpędu jeszcze panował, ale już nie straszył.

Nazajutrz zwalniano nas po kolei z więzienia. Protekcja Diny przez siostrę cara była spóźniona. Natrafiła na zmierzch Hohenzollernów.

Przy załatwianiu formalności z odbieraniem dokumentów zobaczyłem po raz pierwszy nominalnego komendanta więzienia. Grzecznie się przedstawił, aż mnie korciło, by mu w tym samym tonie odpowiedzieć: „Wędziagolski jestem..." Powstrzymałem się jednak w porę, uścisnęliśmy sobie dłonie na pożegnanie.

Hans stał obok biurka, podobny raczej do szubienicy, niż do wczorajszego pana swych ofiar. Katastrofę przeżywał jak koniec świata. Nie wiedział, że miał to być także koniec jego życia.

Wywołał go o zmroku do bramy Alzatczyk, zastrzelił go poznańczyk. Jak było umówione, stawiliśmy się na egzekucję wszyscy z naszej celi, oprócz pana Krasowskiego. Po akcie zemsty, który nas ostatecznie zbratał, uciekaliśmy razem, wczorajsi więźniowie i dwaj strażnicy w noc i w wolność.

NOWA WOJNA

Tymczasem w mieście już panowała gorączka wynosin i wywozin. Niemcy wynosili się z Ukrainy i Kijowa, rekwirując chciwie i naukowo, włącznie do czarnoziemnego humusu z pól. Zmobilizowani chłopi pod przymusem karabinów ładowali na lory swoją pszeniczną i buraczaną karmicielkę na wywóz w głodny świat. Eszełony niemieckie spotykały na każdym przelocie na razie tylko warkliwe grupy powstańczego ukraińskiego wojska, by już po kilku dniach niezdecydowania zagrały na dobre karabiny i armaty, a ewakuacja zmieniła się w ruchomą wojnę, z każdym dniem coraz krwawszą.

W przebraniu w szpitalne ubranie, z zabandażowaną dla niepoznaki głową, w sanitarnym wagonie niemieckiego dowództwa wyemigrował z ziemi praojców ostatni hetman Ukrainy. Pawlo Skoropadski. Jednocześnie ze wszystkich kierunków stepu, groźnymi aproszami zbliżały się do stolicy wojska atamana Petlury.

Niemieckie wojska usiłowały taktycznie uchylać się od frontalnych spotkań z oddziałami Petlury. Ograniczały się do torowania sobie odwrotu przez partyzantkę. Rozkaz natomiast bronienia miasta otrzymały ochotnicze formacje rosyjskie, pozostające pod komendą wojennej ekspozytury Ochotniczej Armii nad Donem. Wkrótce się okazało, że te formacje monarchistyczne, mające bronić dostępu do miasta Petlurze, w imię „jednej i niepodzielnej Rosji“, to są male oddziałki, źle uzbrojone, składające się przeważnie ze studentów i gimnazistów, nie powiązane żadnym planem strategicznym i żadną bojową dyspozycją. Wmówiono w tych obrońców Kijowa, że są forpocztami jakichś poważnych sił, które w rzeczywistości nie istniały.

Wyglądało to w praktyce tak, że kilku czy kilkunastu

straceńców otwierało ogień karabinowy, w wyjątkowych wypadkach kulomiotowy, do zbliżających się ukraińskich rot, by po paru minutach zginąć w zmasowanym ogniu przeciwnika lub od bagnetów rozwścieczonych siczowców czy innych kureniowców. Sztaby wsiąkły bezpiecznie, bohaterscy młodzieńcy byli z góry skazani na zagładę.

Zginęło ich niemało, a nie było nikogo do liczenia ani tych śmierci, ani bohaterstwa, ni rozpaczy, straszniejszej od śmierci, w ostatniej chwili załamania się wiary w przywódców i w sens wycyganionej na dziecinnej nieodporności ofiary. Ci, którym udało się wycofać do centrum miasta, zostali wyłapani, jak nieopierzone wróble z gniazd, i spędzeni do gmachu Muzeum. Po mieście lotem błyskawicy rozeszła się wieść, że wszyscy mają być rozstrzelani.

Z LOJALNOŚCI DLA OCHOTNICZEJ ARMII DEKLARUJEMY SIĘ JAKO JEJ POLITYCZNE ANTYTEZY

Demidow, aktywizując naszą „dyplomatyczną“ placówkę, wezwał mnie do próby ratowania życia niefortunnych ochotników niefortunnej imprezy Ochotniczej Armii. Uważał, że my ich porzucić nie możemy. Nie było to zbyt wdzięczne pole do popisu dyplomatycznej aktywności.

Znów jak przed rokiem miasto przycupnęło trwożliwie do ziemi. Ulice nawet za dnia zdawały się całkowicie należeć do zbrojnych kup, jakby wyludnione ze zwykłych mieszkańców. Ciszę nocną rozdzierały to wrzaski, to nagła strzelanina, nie wiedzieć w kogo wymierzona. Na Kreszczatiku i Bulwarze znów zapłonęły zimowe ogniska, wokół których w niesamowitych orgiach rej wodziły prostytutki wśród pijanych zwycięzców.

Nastał drugi dzień okupacji przez „swoich“. Zbyt zróżnicowana była ludność tego wielkiego miasta narodowościowo, klasowo i w opiniach, by to „wyzwolenie“ zasługiwało na inną nazwę niż okupacja. Triumf „swoich“ nie zapowiadał też bynajmniej ładu i spokoju. Zaopatrzeni w neutralne dokumenty, Demidow w prawdziwe, ja w fałszywe, polecając się opiece Opatrzności, udaliśmy się pod wieczór do Komendy Placu.

Demidow zamierzał legitymować się tytułem posła do Dumy Państwowej, ja — kartą członka redakcji wielkiego rosyjskiego dziennika, na razie nie przymkniętego. Zdawało nam się, że to wygląda dostatecznie poważnie, lecz gdy weszliśmy do poczekalni Komendantury, nasze tytuły poszarzały nam w oczach, a całe zamierzenie wydało się bezużytecznym wysiłkiem przeciwstawienia się burzy. Ścisk, wrzawa i całe obejście hałasujących tam *samostijnykiw* miały charak-

ter nieokiełznanego żywiołu przyrody. Dyplomatyczne *démarches* pasowały do tej atmosfery, jak przysłowiowy kwiatek do kożucha.

Przycupnęliśmy zrezygnowani na jakiejś skrzyni i każdy z nas zatonął w jakieś swoje myśli całkiem bezmyślnie. Wokół huczało. Obok nas ulokował się na ławce jakiś małokrwisty typ i od niechcenia przysłuchiwał rzadkiej wymianie zdań pomiędzy nami.

— Może ty, jako minister demokratycznego Tymczasowego Rządu, miałbyś większe szanse — zauważyłem w pewnej chwili.

Sąsiad nasz wstał, przepchał się do drzwi gabinetu komendanta, i nie pytając o pozwolenie wszedł do środka. Za chwilę z gabinetu wybiegł młody oficer i w wybitnie galicyjskiej ruszczyźnie rzucił w powietrze:

— *Chto tu je minister?*

Szczypnąłem Demidowa w udo i popchnąłem na zaporożca. Bardzo uprzejmie zostaliśmy wprowadzeni do gabinetu.

Pułkownik, który tam urzędował, usadził nas w fotelach, przysunął papierosy, i zacierając salonowo ręce spytał w takiej samej ruszczyźnie, czym nam może służyć. Igor czarująco wyłożył naszą sprawę. Na twarzy komendanta pozostał ten sam uśmiech dyplomatycznej uprzejmości, jednak już o ton chłodniej zareplikował, że sprawa jest bardzo trudna.

— Próbujcie panowie bezpośrednio u komendanta warty w Muzeum. Może się uda zrobić coś dla doraźnej pomocy... Tam się zebrało do dwóch tysięcy ludzi, a my nie jesteśmy jeszcze zorganizowani, są trudności w zaopatrzeniu, gdyż intendentura... Może społeczeństwo, może Czerwony Krzyż, czy jakiś komitet pomocy... Próbujcie, ja stąd nic nie mogę poradzić.

Wyglądało na to, że komendant placu nie jest w stanie zagwarantować nie tylko wyżywienia jeńców.

Odmówił wydania nam pisemnego skierowania do owego komendanta Muzeum. Motywował, że los jeńców należy do kompetencji *Siczowych Strielców*, którzy są całkiem au-

tonomiczną jednostką w ogóle, a tym bardziej w stosunku do Komendy Placu. Kazał nam jedynie z własnej uprzejmości wystawić przepustki, uprawniające do chodzenia po ulicach w godzinach zastrzeżonych stanem wyjątkowym.

Była już późna noc, gdyśmy wchodzili do gmachu Muzeum. Tu dopiero huczało. Hałas w komendanturze wydał się nam grzecznym i pracowitym szumem roju wobec grzmotu gigantycznej młockarni. W bramie, na dziedzińcu i w westybulu tłoczyły się kupy siczowników, uzbrojonych od stóp po zęby, podnieconych, hałaśliwych, strasznie pewnych siebie, i bardzo nieżyczliwych dla dwóch podejrzanych cywilów o wybitnie europejskim i kapitalistycznym wyglądzie. Pomimo nieprzyjemnych wrażeń nie pozostawało nam nic innego, jak brnąć do końca przez wszystkie realia tego dziwacznego okresu. Widziałem, że Demidow jest już tym wszystkim zmęczony, więc objąłem rolę szaperona. Przecież, do licha! wcale się nie czułem obcy w tym fermencie, z którego wyrastała, uczuciowo mi droga, wolność narodu, z którym braterstwo powinno być gwarancją naszej i ich wolności. Myślałem wprawdzie, w trochę wymęczonym nawiasie, że mogliby trochę sympatyczniej się prezentować, mniej pokazowo, bardziej wojskowo, ale jakie to miało znaczenie wobec poczucia głębokiej z nimi solidarności?!... To poczucie dodawało mi pewności siebie.

— *Chto tu starszyj?* — zawołałem z polska po ukraińsku w ekonomskiej tonacji.

Miałem rację. Hałas dokoła nas trochę przychylnie przycichł, a paru grzeczniejszych pośpieszyło z pytaniem „per pan", czego sobie życzymy.

— Do pana komendanta — rzuciłem dość sucho.

Nawet nie pytając o dokumenty i przepustki, z demokratycznym zaufaniem, poprowadzili nas gromadą do wielkiej sali, gdzie już było dużo petentów, wśród których przeważały kobiety. Zameldowaliśmy się u młodziutkiego oficera, urzędującego w rogu sali.

Nieprzyjemnie i nieżyczliwie zmierzył nas od stóp do

głów i — strojąc głos od razu na wrzask — plasnął, jak z bata: — A kto wam pozwolił tu wejść?!

Demidow ogarnął przenikliwym wzrokiem yogi postać młodego człowieka i sugestywnie cicho odpowiedział:

— Nam nikt nie zabraniał. Jesteśmy delegatami demokratycznej społecznej instytucji i pragniemy rozmówić się z panem komendantem.

Żując w zębach, jak wędzidło, jakąś zapewne trzypiętrową replikę w języku Szewczenki, czubaty *striłec* jednak się opanował, wskazał nam ręką drzwi obok i wszedł przez nie pierwszy. Zbliżył się do oficera przy stoliku, na oko jeszcze młodszego od siebie, i coś mu poufnie do ucha naszeptywał, popatrując na nas. Kilku oficerów i żołnierzy odwróciło się ku nam z niechęcią, robiąc przy tym głośne uwagi pod naszym adresem, niekoniecznie wykwintne. Udawaliśmy głuchych hrabiów. Wreszcie poderwał się od stolika ów szczupły mały chłopak, podskoczył ku nam z wrzaskiem i nienawiścią w oczach, i koślawym ukraińskim, zalatującym bardziej tarnopolską polszczyzną niż zaporoską ruszczyzną zaczął wygrażać:

— Ja was każę aresztować! ... Czego tu wypatrujecie! ... Tu więzienie, nie muzeum! ... Dokumenta!

Jeszcze nigdy nie zdarzyło mi się widzieć tak wielkiego naczelnika w tak nikczemnym podnieceniu. Okazaliśmy dokumenty, by znowu usłyszeć wrzask: — Jaki tymczasowy rząd, nie uznajemy bolszewickich rządów ... Jaki minister ... Jaki russkij gołos ... tu w stolicy wolnej Ukrainy ... I bardzo długo w tym stylu retorycznych pytań, jak na kiepskim wiecowym występie. Wiedziałem, że im się więcej i dłużej wykrzyczy, tym dla nas i dla naszej sprawy będzie lepiej. Więc nie próbowaliśmy mu przerywać żadnym wyjaśnieniem. Widać było, że faceta poniosło w paroksyzmie gniewu czy samozachwytu nad swym gniewem. Rzucał się, groził, pluł na potęgę Moskwy, Berlina i całego świata, aż piana mu z ust ciekła, a gdy wszystkich zwyciężył, a sam się zmęczył, zamilkł nagle i był gotów.

Gdy już ledwo dychał, zażyłem go z najbardziej niespodziewanej strony:

— Tak, tak... Niestety, to wszystko prawda — westchnąłem niby to do siebie, ale tak głośno, że w całej sali było słychać.

Gdyby mi kto wtedy zagroził kulą w łeb, jeśli nie wyjaśnię, co znaczyło to „wszystko", i do czego odnosiła się ta „prawda", nie byłbym w stanie odpowiedzieć do rzeczy. Ale mój ton był tak głęboko przekonywujący, a stwierdzenie spadło na głuptaków tak niespodziewanie, że niemal wszyscy zakiwali ze zrozumieniem głowami i atmosfera uległa psychologicznemu rozładowaniu. Aby ich dobić, zapytałem elegancko:

— Czy pozwoli pan komendant zapalić papierosa?

Nawet nie przypuszczałem, że skutek idiotycznego kawału będzie natychmiastowy i tak pomyślny. Jak typowym neurastenikom przystało, już się odmienili w sobie, już byli przychylni, życzliwi, zwłaszcza pan komendant. Prawie wszyscy sięgnęli po papierosy i zapałki, a ja się posunąłem w swojej bezczelności tak daleko, że podsunąłem komendantowi swoją papierośnicę pod sam nos, i on, zanim się zreflektował, już brał z niej papierosa.

— Wy Polak?

— Nu.

— To pan mówi po polsku.

— Ależ naturalnie. — I zaczęła się bardzo spokojna i przyjazna rozmowa z tym bardzo zmęczonym, a nie bardzo osadzonym w sobie młodym człowiekiem. Wkrótce się bez zaprzeczeń wyjaśniło, że Demidow był wiceministrem pierwszej i ostatniej prawdziwie demokratycznej republiki rosyjskiej, a nie żadnej bolszewickiej, „Russkij Gołos" zaś stoi na stanowisku absolutnej suwerenności Ukrainy, jak również Związek Odrodzenia Demokratycznej Rosji, jaki my tu reprezentujemy, uznaje całkowite prawa wolnej i suwerennej Ukrainy. Po tych wyjaśnieniach przystąpiliśmy do sprawy jeńców.

Komendant znów się uniósł, ale granic przyzwoitości nie przekroczył:

— Ci ludzie strzelali do nas i zabijali naszych żołnierzy

w imieniu jedynej i niepodzielnej Rosji, to śmiertelni wrogowie Ukrainy.

— Panie komendancie — ozwał się Demidow. — Sądźcie tych, którzy ich posłali, nie zaś tych młodych, często ze szkolnej ławy, którzy są za młodzi, żeby myśleć sami krytycznie, odróżniać patriotyzm od demagogii, a w ogóle operować pojęciami politycznymi. Dla tych młodych racja, to jest rozkaz zwierzchnika. Zechcijcie wreszcie zrozumieć, że oni zostali wprowadzeni w błąd, gdyż im powiedziano, że wy jesteście również bolszewikami i komunistami.

Jedno głośne i wybitnie nacjonalistyczne — Aaaach... — było odpowiedzią na to fałszywe pomówienie. (Zresztą wcale nie tak fałszywe, jakby się mogło z pozorów i wyglądu narodowych sztandarów wydawać. Zwolennicy narodowej idei byli oczywiście i poza wszelką wątpliwością przeciwnikami rosyjskiego bolszewizmu, lecz masy, niezależnie od narodowych haseł, były potencjalnie i psychologicznie tuż-tuż typowo bolszewickich rozwiązań praktycznych.)

Stanęło na tym, że sprawa każdego jeńca ma być rozpatrywana indywidualnie według klucza: kto wypełniał tylko żołnierski rozkaz, a kto jest prawdziwym wrogiem państwa ukraińskiego. Poza tym komendant zgodził się, by Komitet Opieki rozpoczął swą akcję, zaopatrując jeńców w żywność, koce i ciepłe ubrania.

Przy pożegnaniu nie mogłem się powstrzymać, by ściskając dłoń komendanta, nie spytać żartobliwie:

— *A jak tam bude u naszim Lwowi?*

— *My z pid Tarnopola.*

Jednak zgadłem.

POWRÓT

Nadszedł wreszcie czas i mego powrotu do domu. Na razie była nim cała Polska, gdyż mój rodzinny dom był jeszcze zajęty przez obcych.

Zaopatrzony we wszystkie możliwe przepustki i zaświadczenia, polskie, niemieckie, rosyjskie, ukraińskie, wszystkie oczywiście na fałszywe nazwisko, dnia 18 grudnia 1918 roku, opłakany, wyściskany i namaszczony krzyżami dwojga wyznań, wlazłem do ciemnego pociągu-widma, idącego na Hołoby. Co miało być za tymi Hołobami, nikt na razie nie wiedział.

Nie zdążyłem nawet wybrać sobie miejsca wśród ciemności, gdy z okien, pozbawionych szyb, wionęło ostrym chłodem ruchu. Wskutek nieznanych przyczyn natury wojennej pociąg odszedł o godzinę wcześniej. Miałem szczęście, gdyż był to ostatni pociąg pasażerski, idący na zachód.

Przypadkowość i niepewność losu czuć było na każdym kilometrze naszej podróży. A jednak była to najszczęśliwsza podróż w moim życiu, rodzaj podróży poślubnej z wolnością do swojego domu.

Jechaliśmy niespokojnie. Pociąg zatrzymywał się na całe godziny w polu, to mijał duże stacje całym rozpędem. Cały kraj stał w ogniu. Mijaliśmy „fronty" rozmaitych *batkiw*, którymi w owym czasie zakwitła Ukraina, jak step czertopołochem. Rejony białych partyzantów, czerwonych, zielonych. Wjeżdżaliśmy w zony regularnych ukraińskich formacji, przemieszane z bandami uzbrojonego chłopstwa, które przy pomocy karabinów i armat rewindykowało swoje prawa do cudzej ziemi, pogwałcone przez hetmańskich starostów. I nigdy nie było dokładnie wiadomo, jaką my, bezbronni, potęgę mijamy.

Zdarzyło się raz w jasny zimowy dzień, że nasz pociąg

na pełnym, chociaż nie kurierskim biegu, zaczął tak ostro hamować ze zgrzytem rozpalających się hamulców, że nasze walizki i koszyki posypały się na głowy i nikt nic nie rozumiał, tym bardziej, że po kilku rozpaczliwych drgawkach pociąg, już ku zupełnemu przerażeniu pasażerów, gwałtownie targnął i potoczył się wstecz, z każdą chwilą nabierając coraz większej szybkości. Później się okazało, że przytomności maszynisty zawdzięczamy całość naszych kości, albo — jak komu sądzone — i życia. Nasz maszynista mianowicie ujrzał z oddali pędzącą na nas samotną lokomotywę. Nie stracił się i nie zmarnował ani jednej sekundy: zahamował na granicy katastrofy, rozpędził pociąg wstecz do szybkości śmiertelnej lokomotywy, przyjął ją z lekkim zderzeniem, jak prawdziwy artysta w swoim fachu, wszedł na dziką maszynę, przełożył lewary, i we dwie lokomotywy wjechał na najbliższą stację.

Dziki parowóz został wypuszczony na nasz pociąg przez jakiś odział powstańczy, któremu ze strachu, lub na podstawie fałszywego alarmu, wydało się, że na stację leci karny pancerny pociąg dla wyrównania rachunku za wczorajsze wycięcie w pień małego, miejscowego garnizonu niemieckiego w chwili przeprowadzanej ewakuacji. Nerwowa imaginacja zwycięzców była zrozumiała, więc radość, że nie jesteśmy pancerką niemiecką była tak żywiołowa i szczera, że się obeszło bez rewizji dokumentów i szykan z nieuznawaniem przepustek władz centralnych. Bolszewickie hasło *„wsia władt' na miestach"* było w owych czasach najbardziej popularne i ze smakiem stosowane przez wszystkie ludowe władze jednako bolszewickie i antybolszewickie, jako odruchy autonomicznej, często zaledwie powiatowej, suwerenności i bezkarności. Zresztą bolszewickie, czy antybolszewickie — były w istocie tym samym, okresowo tylko różniąc się tym, że do siebie strzelały. Ale pod wpływem najbłahszego przypadku mogły się łączyć, by strzelać do kogoś trzeciego, jako do wspólnego wroga.

Bez zwłoki wypuszczono nasz pociąg ze stacji.

Krótko się opowiada, jeszcze krócej się opisuje, lecz dłu-

go się jedzie, gdy się jedzie na los szczęścia. Nikt nigdy nie wie, ile tego szczęścia jest komu zapisane, a przecież iluż szczęśliwych dojechało, nawet w owych straszliwych czasach, do swego celu cało i właśnie: szczęśliwie.

Do Hołobów dojechaliśmy późną nocą 22 grudnia 1918. Ciemno, zimno i śnieżnie wokół, pusto, ludzi nie widać i nie słychać, tylko my, mała gromadka zaślubionych wolności na granicy swojego państwa. Już w pociągu zrośliśmy się w bardzo miłą kompanię. Przewodził jej ostatni przy mnie komendant POW — Wschód, Stefan Bieniecki, późniejszy wicewojewoda poleski. Roztaczał specjalną pieczę nad kilkoma miłymi, ładnymi i bardzo młodymi panienkami, zagorzałymi peowiaczkami, którym matkowała moralnie i ideologicznie również młoda i miła panna Krystyna Pawłowiczówna, późniejsza wojewodzina łódzka, a jeszcze później wołyńska. Już w pociągu śpiewom legionowych i patriotycznych piosenek nie było końca, jak również zaczepno-obronnym flirtom, więc czas zbytnio się nam nie dłużył. Z jedzeniem było zupełnie źle. Lecz my wszyscy, pomni gorszych wydarzeń, zamiast odżywczych kalorii chłonęliśmy w płuca, a głównie w serca, pożywne powietrze wolności, więc chociaż głodni, wcale nie czuliśmy się nieszczęśliwi.

KULIG

W opustoszałych, zrujnowanych Hołobach pan Stefan, jak prawdziwy wódz, szybko się zawinął, i jak spod ziemi wytrzasnął w środku nocy trzy furmanki. Były to płaskie, najprymitywniejsze chłopskie sanie, zwane z rosyjska „*rozwalnie*", obficie wysłane słomą i przykryte workami od sieczki. Załadowaliśmy się według wskazówek wodza i — okryci od wiatru i mrozu gorącością młodej krwi — ruszyliśmy przed siebie. Przerwa w torach kolejowych sięgała kilkunastu kilometrów. Małe koniki biegły żwawo, usposabiając do wesołości, lecz pan Stefan surowo nakazał ciszę ze względów strategicznych. W milczeniu nocy mknęliśmy więc chyżo wśród krzaków i zarośli, i tylko świst nie kutych płozów, albo ćmaknięcie woźniców na konie zdradzały nasz przyczajony kulig.

Tylko Bieniecki i ja zdołaliśmy przeszwarcować broń. On w paczce wzorów mineralogicznych, ja w bochenku chleba. Bieniecki wsiadł w pierwsze sanie razem z wianuszkiem peowiaczek, ja w ostatnie z chłopakami, którzy przysposobili sobie jakieś kłonice, gdyż w okolicy, według relacji woźniców, było niespokojnie. Ostrzegali nas, że w rejonie opuszczonej cegielni, niezbyt odległej od naszej leśnej drogi, grasuje banda rosyjskich dezerterów, która napada podróżnych. Żadne władze jeszcze nie funkcjonowały, więc bezkarność ośmieliła rabusiów i rozzuchwaliła do tego stopnia, że prawie otwarcie używali cegielni jako stałego punktu wypadowego na okolicę. Ale że w dniu wczorajszym dokonano napadu na innej drodze, bo droga na cegielnię odstraszała podróżnych, na wspólnej naradzie z woźnicami postanowiliśmy ją właśnie obrać w przewidywaniu, że bandyci operują w okolicy bardziej profitującej.

Trzęsąc się z zimna, zamiatani razem z saniami na zakrę-

tach do granicy wykulenia w śnieg, mknęliśmy krętą dróżką w przyprószonym świetle bladego i mętnego księżyca. Śnieg nie tyle padał, co opadał, wolno i cicho i bardzo melancholijnie.

Za nami na wschodzie, gdzieś bardzo daleko, raz po raz, to tu, to tam, połyskiwało niebo, a jeśli na chwilę udawało się przebić słuchem ciszę, to się wydawało, że słyszy się jakby podziemne buczenie, głuche i przeciągłe, to znów krótkie i pojedyncze, z błyskami na niebie nie zsynchronizowane. To Ukraina huczała i błyskała, paląc miasta i wsie swojej ziemi, mordując swoich ludzi w obronie swojego przyszłego losu, ku likwidacji wiekowych rachunków i ku odkupieniu pierworodnego grzechu Pierejasławskiej Umowy.

Czy to z zimna i głodu, czy z niewiary w pozytywny rozum na tej urodzajnej ziemi, mimo moich najbardziej serdecznych i braterskich myśli, przyszłość Ukrainy nie wydawała mi się ani jasna, ani pocieszająca. Przeminął mi rok na obserwacjach z najbliższego dystansu jej spraw i przemian. Na moich oczach załamała się Rada z na wpół świętymi idealistami wolności na czele; przeminęli ukraińscy bolszewicy, jak krwawy karnawałowy bal w maskach i barwnych kostiumach, okrywających moskiewskich prowodyrów; skończył się okres gwardyjskiego hetmana z niemieckim reżyserem za plecami; nastała demokracja Petlury, znów apostoła idealnej wiary w lud; i wszystkie te realizacje nie wykazały dostatecznie silnej więzi z narodem, który jak wzburzone morze niósł na rozhukanych falach wątłe stateczki rządów, z załogami z konieczności amatorskimi. Na masztach łopotały coraz inne chorągwie, lecz morze ludowe, obojętne na znaki i kolory sztandarów, żyło własnym życiem. Ni czerwona chorągiew z sierpem i młotem, ni niebieska z trójzębem świętego Jura nie porwały serca ludu. Morze wciąż huczało, sztandary wznosiły się i upadały, burza trwała własnym rozpędem, nieświadoma straszliwego uciszenia, które miało niebawem nastąpić przez krwawy gwałt i wymordowanie czwartej części ludności.

A jednak niewątpliwie Ukraina.

Nie Rosja, nie Polska, nie pańska, nie inteligencka, ale

chłopska, czarnoziemna od podkarpackiego *Sława Bohu* do *Sława Bohu* na podkaukaskim Kubaniu, ukraińska Ukraina w zagadkowym i cierpliwym dojrzewaniu idei i ludzi.

Naraz przednie sanie stanęły.

Podsunęliśmy się do nich, podbiegłem do pana Stefana. Okazało się, że jesteśmy o paręset metrów od cegielni, i że z tamtej strony trzasnął karabinowy strzał. Rzeczywiście, w mglistej szarości śnieżnej nocy coś majaczyło w oddali przez rzadziznę krzaków. Bieniecki kazał mi przesiąć się do pierwszych sań i jechać stępa, zabrał mój pistolet, uzbroił nim któregoś z chłopaków i razem z nim przepadł w krzakach.

Ruszyliśmy wolno, usiłując nie utracić równoległości z Bienieckim i jego towarzyszem, osłaniających nas od cegielni, przyczajonej już z dość bliska i czerniejącej czeluściami rozbitych murów. Nasi opiekunowie przesuwali się krzakami, gotowi każdej chwili niespodziewanie uderzyć we flanki atakującego nieprzyjaciela. Z pewnym zażenowaniem myślałem, że chyba po raz pierwszy w życiu znalazłem się w sytuacji ochranianego barana. Lecz nawyk do posłuszeństwa i zamiłowanie do dyscypliny szybko uregulowały resentymenta, by było tak, jak kazano.

Posuwaliśmy się krok za krokiem. Właśnie droga zawinęła najbardziej pod cegielnię. Naraz padły strzały karabinowe i krótka seria pistoletowa, i zaraz po nich wrzask z obrzydliwie ochrypłego gardziela:

— *Stoj, a to ubju!!*

Zapląskały nasze dwa pistolety. Dla bandytów zapewne niespodziewanie. Z nieprzyjemnym uczuciem liczyłem strzały, pamiętając o ładowności magazynków i braku zapasowych.

Koło cegielni umilkło. Posuwaliśmy się gorączkowym krokiem, wypatrując z niepokojem swoich. W jakimś miejscu droga odchylała się niemal pod prostym kątem od cegielni. Właśnie w tej chwili z gęstych krzaków zwalił się na sanie Bieniecki, szturchnął w plecy woźnicę i zasyczał: — *Hani!*

Chłopcy w drugich i trzecich saniach doświadczyli za nas wszystkich emocji, gdyż wokół nich zaćmokały kule napastników. Tylko chwilę. Bandyci byli dobrze obeznani z topo-

grafią okolicy i celowością w jej warunkach strzałów. Dali za wygraną.

Podnieceni dzieliliśmy się wrażeniami zamiast chlebem i kiełbasą.

Na wschodzie niebo zaczynało blednąć, i już można było widzieć, jak nasze panienki wpatrywały się natchnionymi oczami w pana Stefana, z podziwem i ubóstwieniem.

W naszym parafialnym kościele w Małych Solecznikach nad głównym ołtarzem Święty Jerzy w konnym szyku poraża smoka, według militarno-katolickiej idei mego ojca, twórcy obrazu. Jakże często obserwowałem z naszej ławki spojrzenia ludowych dziewic, wbite w bohaterskiego świętego z zachwytem i nadzieją. Teraz zrozumiałem:

To były świętojerskie peowiaczki.

Część IV
WARSZAWSKI EPILOG

WARSZAWSKIE DEBIUTY

W KOŃCU grudnia 1918 roku, po czterech z górą latach nieobecności w kraju, przejechałem do Warszawy.

Zamieszkałem w starym „Europejskim", najsympatyczniejszym hotelu na świecie, bardziej staroświeckim z panującego w nim ducha arystokratycznych właścicieli, niż starym z powodu sfatygowanych wiekiem murów, jeszcze nie zhańbionych dobrodziejstwami technicznego postępu, za to przestronnych i bardzo przytulnych, jak ściany gościnnego dworu, do którego zjeżdżano ze wszystkich stron dawnej Rzeczpospolitej, z Litwy, Białej Rusi i Ukrainy.

Widokowo Warszawa zrobiła na mnie przygnębiające wrażenie. Na każdym kroku w oczy rzucała się powszechna bieda. Drożyzna. Artykuły pierwszej potrzeby były niesłychanie drogie, i droższe z każdym dniem, zaś rzeczy i przedmioty wartościowe sprzedawano i kupowano za psi grosz. Kilo masła było w cenie dziennego zarobku inteligenta, dochody stróża kamienicy przekraczały pobory profesora uniwersytetu, a za cenę dwóch paczek kiepskich krajowych papierosów osiągało się uprzejmość pierwszorzędnej ulicznej dziewczyny, też krajowej. Bilet kolejowy do niewyraźnych jeszcze granic państwa był w cenie kilograma słoniny. Dobre obrazy, stylowe meble, biżuteria, futra, brązy i srebrne zastawy były do nabycia po cenach konkurencyjnie niskich, rzadko zresztą znajdując nabywców krajowych. Zagraniczni goście kupowali je za dolarowe centy i masowo wywozili z kraju.

Prosperowali tylko nieliczni wybrańcy. W dzień milczkiem dorabiali się na „pasku", zaś nocami korzystali z darów przyrody i łask Fortuny, weseląc się do upadłego w nielicznych, lecz sympatycznych, nocnych lokalach.

Pieniądzem obiegowym była wciąż „marka", galopująca nieprzytomnie w dół. Na rynkach, gdzie chłopi sprzedawali żywność, panowała zupełna samowola cen, podniecana i przez głupotę i przez chciwość bez umiaru.

Pomimo jednak tej dziwaczności gospodarczej, pomimo powszechnej troski o jutro, nastroje były dobre, odświętne i uroczyste. Klasy posiadające, czyli tzw. w porewolucyjnym słownictwie „burżuazyjne", inteligencja i światłe mieszczaństwo były upojone ziszczonym snem o wolności. Z pogardą i niechęcią odwracano się od niepokojących widoków na wschodzie, gdzie odbywało się ponure misterium rzekomego wyzwalania ludu, zwłaszcza proletariatu. Wyżywano się spontanicznie w uroczystościach i przystępnych realizacjach triumfującej idei narodowej, romantycznie polskiej i wzniośle katolickiej.

Proletariat natomiast zmagał się w wewnętrznej walce. Z jednej strony — tradycje walk wyzwoleńczych pociągały do łączenia się z narodem w radosnym świętowaniu, w patriotycznych obchodach i manifestacjach, z drugiej — czary dalekiej Moskwy kusiły socjalistyczną świadomość proletariuszy blaskami nowej ery, nieodwołalnie obiecującej realizację złotego snu biedaków o sprawiedliwości społecznej i powszechnej szczęśliwości, całkowicie odmiennej od obcego klasowo, „pańskiego" patriotycznego i romantycznego uniesienia. Serca się dwoiły, umysł gubił w wątpliwościach, gdy tymczasem dzień po dniu Wschód obwieszczał epokowe przemiany, grożąc przezwyciężeniem narodowo-katolickich wzruszeń i przeciągnięciem na swą korzyść wahań polskiego proletariatu.

Rząd w Lublinie*) nie budził żadnego entuzjazmu wśród tych, którzy się poczuwali jako bardziej powołani do reprezentacji woli narodu, niż ci nieznani i nieuznawani panowie z powojennej koniunktury. Lubelscy rządcy wycofywali się śpiesznie z pierwszego etapu realizacji polskiej wolności,

*) Tymczasowy Rząd Ludowy Republiki Polskiej, utworzony 7.XI.1918 r. w Lublinie składał się m.in. z Daszyńskiego, Rydza-Śmigłego, Moraczewskiego, podał się do dymisji 11.XI, składając władzę w ręce Piłsudskiego (**przyp. wyd.**).

gdyż już wracał do stolicy człowiek wybrany, może naznaczony przez los, chociaż jeszcze nie uznany przez wszystkich, lecz już poprzedzony legendą szczęśliwego gracza, który już wygrał pierwszą stawkę w długoletniej grze, wydającej się od dawna beznadziejnym marzycielstwem wieszczów i proroków.

Obok i wbrew powierzchownej i nieżyczliwej famie, nieścisłej i złośliwej informacji przeciwników, głęboko i szeroko już się toczyła spodem polskiej ziemi głucha wieść, coraz bardziej dobijająca się do ludzkich serc, że przybywa człowiek opatrznościowy, szermierz honoru i wolności ojczyzny, mądry, mocny i sprawiedliwy.

Pytano wokół kim był? Rzadko życzliwie i rozumnie, często chytrze i podstępnie, zanim rychło nie zrozumiano kim jest.

Jakieś niepospolite duchowe, klasowe i rasowe, mistyczne i materialne pierwiastki skumulowały się w najbardziej paradoksalnym ładzie wokół indywidualnej duszy ostatniego potomka wysokiego rycerskiego rodu, by na przełomie dziejów powstał nieugięty żołnierz, wódz i twórca nowej rzeczywistości, którego gorące serce stało się napiętym piorunem woli, wymierzonym we wszystkich wrogów ojczyzny. Obdarzony niezwykłym umysłem, posłusznym wykonawcą woli wiernego serca, urzekł swoją miłością Polski wpierw nieliczną gromadę natchnionych straceńców, później cały naród. Obecnie wracał, jako komendant garstki wybranych, wierzących w Wodza, jak w Boga, posłusznych przeznaczeniu, idących za nim ślepo, rzucających w zimny i obojętny świat żałobną nutę swego losu... na stos... na stos...

A gdy się stał codzienną rzeczywistością i dosięgnął serc szerokich mas, wtedy zespolił naród w polskiej wierze i stłumił na historyczną chwilę powszechną rozbieżność sobiepańskiego widzimisię wszystkich urodzonych wodzirejów wybitnie niesfornego plemienia. Do niedawna jeszcze prawie że samotny orędownik najważniejszej zatraconej sprawy, naraz zajaśniał wśród najgęstszych cieniów nocy niewoli, jak pochodnia wyzwolenia, jej ogniem przeniknął sumienia i tchnął w ziemskie dusze wiarę w cud, rzucając jednocześnie

w oczy pospolitemu szachrajstwu świata, zawsze chętnie ustępliwemu przed bezprawiem, jeśli jest ono siłą, nieodwołalną wolę zmartwychwstałego narodu do wolności. Rychło skłoniły się przed nim pospolite i koronowane głowy, gdyż stał się twórcą odrodzenia narodu, syntezą naturalnych i nigdy nie przebrzmiałych praw, symbolem jego prawdziwego zjednoczenia. Wpierw zwalczany przez politycznych przeciwników, zawodowych zagończyków ideologicznego i taktycznego warcholstwa, szkalowany w sposób uwłaczający honorowi pokolenia, zastraszany infamią i śmiercią, kalany zdradą — szedł do swoich polskich celów, szarpany sprzeciwem „zaplutych karłów"*). Budował zbiorową siłę cnoty i woli ku chwale narodowego i ludzkiego ducha, usiłował wskrzesić w sercach stuletnich niewolników wiarę nie tylko w wolność, lecz i w wielkość poprzez braterskie współżycie z ludami historycznie bliskimi. I tego celu nie osiągnął. Nie wiedzieć: czy nie zdążył, czy też długoletnia niewola padła zarazą na dusze współczesnych, kusząc ich do ucisku słabszych. To nie tylko przemoc obaliła jego budowę. W niemocy własnej narodu wygasł nakaz wodza, że wielkości materialnej musi przewodzić wielkość ducha, zaś wolności własnej towarzyszyć poszanowanie wolności cudzej, nie tylko jako równej w imię koniunktury, lecz również i przede wszystkim, w imię mądrej potrzeby serca.

I oto przybywał na zdewastowane przez obcych gospodarstwo, jako opatrznościowy i zapobiegliwy gospodarz, brał w swoje ręce główną sprawę, która dla świata już była pogrzebana i przebrzmiała, a dla wielu swoich niekłopotliwie ustabilizowana pod opiekuńczymi skrzydłami trzech obcych orłów. Wbrew obcemu światu stawał przed swoim narodem, jako budowniczy nowego domu, pod błogosławiącym Orłem Białym w królewskiej koronie.

★ ★ ★

Szybko nawiązałem kontakty z moimi przyjaciółmi z Kijowa i z członkami POW Wschód 2. Odwiedziłem wszyst-

---

*) Epitet, jakim Piłsudski określał opozycję polityczną (przyp. wyd.).

kich. Rtm. Wieniawa Długoszowski urzędował przy Naczelniku Państwa. Miedziński pod kierownictwem gen. Sosnkowskiego, wiceministra Spraw Wojskowych, zakładał fundamenty pod polityczny departament tego ministerstwa, tzw. Oddział II. Ignacy Matuszewski przewodził wywiadowi i kontrwywiadowi w Sztabie Generalnym. Władysław Günther był już wysokim urzędnikiem Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Andrzej Strug pisał, gdyż powszechnie otworzyły się twórcze upusty, zaś pana Michała Sokolnickiego nie udało mi się zlokalizować, bo z polecenia ministra Leona Wasilewskiego już gdzieś krążył po Europie w ważnych dyplomatycznych misjach. Pan Tadeusz Schaetzel sekundował Matuszewskiemu.

Poza tymi barwnymi postaciami z naszego POW Wschód 2, odwiedziłem wielu znajomych i przyjaciół z Kijowa spod innych politycznych znaków. Niezmiernie mi życzliwi pp. Wiktor Gutowski, Józef Kożuchowski (późniejszy wiceminister skarbu) i ogromnie troskliwy o mnie Władysław Günther uważali za swój obowiązek poszerzanie kręgu moich znajomości, mnożąc towarzyskie i polityczne kontakty dla coraz szerszej popularyzacji moich antybolszewickich a prorosyjskich planów, republikańskich i demokratycznych. Przez nich poznałem w owym czasie wielu nowych i ciekawych ludzi.

Modą stołeczną i wielkoświatową zaczęli mnie zapraszać na śniadania i kolacje, trochę jako dobrego przyjaciela i znajomego, trochę jako osobliwość, przybyłą z pożaru rewolucji, o której się na ucho mówiło, że była jednocześnie podpalaczem i strażakiem od gaszenia, a w gruncie rzeczy nic na pewniaka nie wiadomo. To jeszcze bardziej podniecało ciekawość.

Dla jednych byłem rewolucjonistą z dość wysoką szarżą, więc ci, jak Andrzej Strug, pepeesowiec, literat i romantyk, a z nim wszyscy w jego typie, darzyli mnie wielką sympatią i wróżyli sobie po mnie partyjne korzyści, jeśli by rozwój spraw narodowych i demokratycznych w kraju przybrał bardziej ostre kształty konfliktu wewnętrznego. Strug, bracia Downarowicze, Śliwiński i wielu innych, których na-

zwiska wypadły mi ze starej i zużytej pamięci, śpieszyli z okazaniem mi swojej uwagi, przyjaźni i gotowości roztoczenia nade mną opieki. Ludzie natomiast o zupełnie odmiennych poglądach na społeczne sprawy tego świata, jak panowie ukraińscy, pan Stefan Podhorski, cieszący się wśród nich wielkim mirem, pan Wiktor Gutowski, pan Kotiużyński, trzech hrabiów Potockich, wszystko wielcy i potężni obszarnicy, Karol Jaroszyński, którego fortunę jakaś specjalna komisja francuska oceniła na dwa miliardy złotych rubli, mój krajan pan Władysław Tyszkiewicz z Landwarowa szeroko spopularyzowali przesadzone opinie o moich kontrrewolucyjnych przewagach na stanowisku wojennego komisarza Tymczasowego Rządu. Uśmierzenie przeze mnie pijanego buntu dwóch rezerwowych dywizji w Besarabii było główną osnową szeptanego mitu, że w rzeczywistości jestem rodzajem współczesnego Wallenrodzika, białogwardyjskim dywersantem, zakonspirowanym w rewolucjoniście przeciw Zakonowi rewolucji. Także konserwatyści z okolic „Tygodnia Ilustrowanego“, krakowskiego „Czasu“, czy nawet „Gazety Warszawskiej“ i mieszczańskiego „Kuriera Warszawskiego“ podejrzewali we mnie zakutego kontrrewolucjonistę i reakcjonistę, choćby z tytułu ziemiańskiego i szlacheckiego pochodzenia, wyglądu i zawsze nienagannych manier.

Wszystko to było dość zabawne i niełatwe do zbilansowania w zwykły sposób. Starałem się wszystkim dogodzić, bo dla mojego głównego zamysłu ważne było posiadanie jak najwięcej sprzymierzeńców. Dla jednych i dla drugich byłem wart wydatku na kolację, a że gościnność zobowiązywała mnie do rewanżów, nie mijał tydzień w tym głodowym czasie bez sutej bomblerki z przyjaciółmi, wśród znajomych, a czasem i obcych. W ten epikurejski sposób rozpoczęła się moja publiczna aktywność, żeby nie powiedzieć — praca.

KONCEPCJA POLSKO-ROSYJSKIEGO POROZUMIENIA

Opierałem się, jak większość ludzi w tym czasie, na przekonaniu, że panowanie bolszewickie wkrótce się skończy. Uważałem wobec tego, że już obecnie należy nawiązać łączność z rosyjskim obozem demokratycznym i republikańskim, korzystając z pomyślnej koniunktury dla rozwiązania odwiecznego „polsko-rosyjskiego sporu" z korzyścią dla obu stron. Nie miałem powodów wątpić w szczerość intencji moich rosyjskich przyjaciół ze „Związku Odrodzenia Rosji". Spodziewałem się i wierzyłem, że i po naszej polskiej stronie nie zbraknie ludzi, rozumiejących nieodwołalną potrzebę zapoczątkowania nowej ery sąsiedzkiego współżycia, jako prawdziwie wolnych z prawdziwie wolnymi, nie zaś z tzw. przez patriotyczną taniochę „barbarzyńcami ze wschodu".

Korzystałem z każdej okazji, by wskazywać Polakom na zmiany już dokonane w psychice rosyjskiej, jednako białej, jak i w czerwonej, zresztą nieuniknione po przegranej wojnie. Tak jak przedkładałem Rosjanom pilną konieczność uregulowania „słowiańskiego" sporu, właśnie przez odjęcie mu bezsensownego tytułu „słowiańskiego", wzbudzającego z góry u Polaków odrazę, a u Rosjan szkodliwą ambicję pierwszeństwa, opartą zresztą na fałszywym rachunku przez odpisanie mongolskiej krwi. Niech ten spór będzie załatwiony po sąsiedzku, po chłopsku, jak spór o zagon, bez mistyki, bez nieomylności prawosławnej czy papieskiej, bez licytowania się wyższościami kulturalnymi.

Moja dobrowolnie podjęta misja natrafiała na różnego rodzaju opory, wśród których sloganowy, bardziej małomiasteczkowy niż państwowy, patriotyzm odgrywał niepoślednią rolę. Nieraz musiałem się tłumaczyć przed rodakami z mojej politycznej dwustronności polsko-rosyjskiej, któ-

ną się bardzo lekkomyślnie nazywało w owym czasie „zruszczeniem“, epitetem rozdawanym hojnie i bez sensu, aż z tego ziarna ksenofobii wyrósł później fatalny i obcy tradycjom Rzeczpospolitej stosunek do współobywateli Litwinów, Białorusinów, Ukraińców, Żydów i swoich Rosjan. Zapewniałem, że owa polsko-rosyjska dwustronność w niczym nie nadwyręża mojej polskości, a w dużym stopniu ułatwia zrozumienie tak dobrej, jak złej woli strony przeciwnej. Czyż moje zbliżenie do rewolucjonistów rosyjskich nie było podyktowane w pierwszym rzędzie wiarą, że tylko oni mogą się w stosunku do nas wyrzec przemocy i siły? Jakiż bowiem inny mógłbym mieć interes, należąc do klasy uprzywilejowanej?

Ten mój dualizm nie tyle polsko-rosyjski, co polsko-rewolucyjny, najłatwiej zrozumiał Piłsudski, a po drugiej stronie naszego obozu... Dmowski. Profesorowi Askenazemu musiałem długo i szeroko się tłumaczyć, nie osiągając zrozumienia, tym mniej aprobaty, czy nawet sympatii. W późniejszym czasie natomiast moje marzenia o polsko-rosyjsko-ukraińskim trójprzymierzu znalazły oddźwięk i zrozumienie Edwarda Rydza-Śmigłego..

Sytuację moją ułatwiała okoliczność, że jaki taki dorobek moich zasług rewolucyjnych rosyjskich w żadnym stopniu nie stanął na przeszkodzie bym w odpowiednim czasie stał się szeregowym żołnierzem POW, i moja polityczna działalność w ramach tej organizacji została przez zwierzchników nienajgorzej oceniona, a przez Niemców oceniona dosadniej w ciągu pięciu miesięcy ciężkiego więzienia w cieniu szubienicy.

Rzecz paradoksalna, najodporniejsi na wszystkie moje próby przyciągnięcia do współpracy przy tworzeniu polsko-rosyjskiego porozumienia byli pepeesowcy, radykałowie i postępowcy różnych odcieni. Odmawiali zaufania „dobrym“ Rosjanom, jakby byli urzeczeni stuletnim dorobkiem patriotycznej poezji, literatury i historii. Im, tzn. Strugowi, Hołówce, Moraczewskiemu, Downarowiczom, Arturowi Śliwińskiemu i wielu, wielu innym sprawiedliwym mężom i zacnym moim opiekunom i protektorom, którym moja re-

wolucyjność rosyjska była sympatyczna, przyczyniłem dużo smutków moją gorącą wiarą w demokratycznych a antybolszewickich Rosjan. Chociaż podświadomie czuli niebezpieczeństwo dla Polski ze strony bolszewickiej rewolucji, ze wszystkimi cechami imperialistycznej zachłanności, nie czuli w sobie tej nieodzownej dla walki nienawiści do bolszewików, powtarzając raczej postawy Kiereńskich, Ceretellich, Skobielewych i tysiąca innych z prześwietnego *ensemble'u* wodzów rosyjskiego (może nie tylko rosyjskiego) socjalizmu w 1917 roku.

O ile jednak życzliwość tych ludzi bardzo mi pomogła w stawianiu pierwszych kroków, o tyle ich opór w stosunku do popularyzowanej przeze mnie idei nie szkodził, a przeciwnie pomagał. To był jeszcze czas, gdy dla znakomitej większości społeczeństwa słowo socjalista było synonimem złodzieja, bandyty i bezbożnika. W mentalności więc tzw. szerokich mas tzw. burżuazji opozycja socjalistów polskich do poczynań rewolucjonisty była zachętą do zajęcia stanowiska „na udry".

W sposób o wiele bardziej paradoksalny moi prawdziwi sojusznicy, sojusznicy bez zastrzeżeń, sojusznicy, których nie potrzebowałem przekonywać, popierali mój program na zasadzie niejakiego nieporozumienia. Przedstawiciele wielkiego ziemiaństwa, zwłaszcza z Ukrainy, wiedzieli, że moi najlepsi przyjaciele rosyjscy, rosyjscy demokraci, prowadzili walkę na śmierć nie na życie z bolszewikami. Więc ci, wydziedziczeni co tylko z pięknych fortun i rodowych siedzib, nawet mnie nie pytali czy w programie polsko-rosyjskiego porozumienia jest punkt, który obiecuje i gwarantuje zwrot prawym właścicielom ich zrabowanego mienia w postaci miliona hektarów czarnoziemnego gruntu. Takiego punktu nie było, o czym ja dobrze wiedziałem. Jednak nie wypadało mi pytać ziemian czemu mnie o to nie pytają? I tak to trwało, a z ich przychylności, opartej na żywiołowym optymizmie, moja sprawa od polskiej strony miała poważny profit.

Nie obyło się jednak bez tzw. „głupich sytuacji".

PROPONUJĄ MI ZAMACH NA PIŁSUDSKIEGO

Bez mojej wiedzy zostałem przeznaczony do dziejowej roli pogromcy „ludowcowo-pepeesowskich i piłsudczykowskich ciągot w polskim narodzie". (Tak jakby ludowcowość i lewicowość były rodzajem okowity, którą się opiły zbuntowane przeciw odwiecznemu porządkowi rzeczy rzesze, niczym te dywizje rosyjskiej piechoty w Besarabii.) W przekonaniu pana Stefana Podhorskiego i jego przyjaciół, w tym kilku rotmistrzów kawalerii pod wodzą c/k generała, polityka Naczelnika Państwa ulegała wpływom lewicy i wyraźnie zmierzała do zaprzedania ojczyzny moskiewskim bolszewikom.

Któregoś wieczoru odwiedził mnie w hotelu pan Stefan, niezmiernie mi sympatyczny człowiek, postać barwna, stepowy magnat o wyraźnym profilu polsko-ukraińskiego satrapy, duch niespokojny i niezwykle dynamiczny. To on właśnie był onego czasu twórcą hetmańszczyzny Skoropadskiego w Kijowie i organizatorem tzw. „chliborobów", w nomenklaturze bolszewickiej — „kułaków".

Po paru wstępnych deklaracjach o wzajemnym zaufaniu i o powadze chwili, o nieszczęściach, wiszących nad Polską i całym światem, rządzonym przez demokrację, pan Stefan z impetem zaproponował mi ni mniej ni więcej tylko objęcie od jutra stanowiska ministra spraw wewnętrznych. W rządzie który się uformuje jutro po przewrocie.

Myślałem, że zwariował.

— Czy na pewno, panie Stefanie, ten rząd od jutra obejmuje władzę? — zapytałem wesoło dla rozładowania napięcia. W sercu czułem narastanie trwogi, myślałem poważnie, że zachorował. Mój Boże, po tylu przejściach, po stracie tak ogromnej fortuny, jeszcze wczoraj magnat, dziś wygnaniec bez jutra, nie byłoby nic dziwnego w nagłym

nerwowym kryzysie... Wiedziałem przecież, że nie jest matołkiem, i wydawało mi się, że powinien posiadać tyle rozeznania w sytuacji żeby zrozumieć, iż zamach stanu w Polsce to nie to samo co intronizacja generała cesarskiej gwardii na stolec hetmański Ukrainy.

Najgrzeczniej odmówiłem przyjęcia teki. Najtkliwiej prosiłem by wycofał się z zamierzenia i innych przywołał do opamiętania.

Zapytał mnie groźnie:

— Czy zamierza pan zdemaskować nas przed władzami?

— Panie Stefanie — przedkładałem jak najserdeczniej — pańskie oświadczenie spadło na mnie, jak cegła na głowę. Nie mam żadnego wyboru, nie mogę zdradzić pana, który mi zaufał... Chwileczkę... Zrobię, co innego. Niech mi pan pozwoli, że w jego obecności przeprowadzę pewną rozmowę telefoniczną.

Muskuł nie drgnął na atamańskiej twarzy Podhorskiego, gdy się łączyłem z Adiutanturą Generalną. Poprosiłem rtm. Wieniawę do telefonu, wręczając Podhorskiemu drugą słuchawkę.

— Tu Wieniawa.

— Mówi Aleksander. Czy możesz mnie oświecić z jakiego to powodu na mieście czuje się jakieś podniecenie, nawet niepokój? Czy coś jest, czy ma być coś ekstra?

— Oczywiście! Paru panów z Klubu Myśliwskiego umówiło się na jutro przejąć władzę i rządy państwa z rąk Komendanta. Czy to prawda, że jesteś wśród nich? — zarechotał Wieniawa, aż trzasło w słuchawkach.

— Naturalnie — odpowiedziałem wesoło. — Uważaj na siebie. Cześć.

Nie zdążyłem nazajutrz wyjść na miasto, gdy już w recepcji mnie powiadomiono, że rewolucyjny wybuch, rodem istotnie z Klubu Myśliwskiego, który się zaczął w „Bristolu", skończył się niesławnie tuż obok w Komendzie Miasta.

Główni sprawcy dostali surową naganę (pana Stefana między nimi nie było), kilku poszło do kryminału, gen. Zagórski poniósł karę za wszystkich. Sprawiedliwość w imieniu

Rzeczypospolitej była bardziej piłsudska niż polska. Jednemu z wodzów projektowanego przewrotu, księciu Eustachemu Sapieże, Naczelnik Państwa lapidarnie powiedział: „Zamiast robić bzdurne zamachy, które kompromitują nie tylko zamachowców ale i Polskę, niech książe lepiej jedzie do Londynu pracować dla Polski, na stanowisku jej ambasadora".

Takim oto dyktatorem i okrutnikiem był ten dziwny człowiek.

Po tego rodzaju likwidacji „zamachu stanu", Naczelnikowi Państwa przybyło więcej piłsudczyków, niż opozycji ochotników do przyszłych zamachów.

ROSYJSKI PARTNER

Do „Związku Odrodzenia Rosji", organizacji powstałej na ruinach przedpaździernikowej rzeczywistości, należeli najświatlejsi i najuczciwsi Rosjanie, niezależnie od ich politycznych lokacji. Z obozu socjalistów obok Sawinkowa należeli, o ile się nie mylę, Czajkowski i Plechanow. Wśród członków zarządu byli moi dobrzy znajomi i przyjaciele z Kijowa: Rodiczew, Demidow i Fiłosofow (podówczas już w Warszawie), wszyscy z partii konstytucyjno-demokratycznej, w skrócie „kadetów". Za nimi przystąpiło do Związku wiele czołowych postaci rosyjskiej inteligencji, rozumiejących potrzebę rosyjskiego odrodzenia nie tylko przez mechaniczne pokonanie bolszewików. Ich stosunek do mniejszości narodowych w Rosji, które nawiasem mówiąc, wydawały się w owym czasie większością, był na wskroś liberalny.

Warto przecież zanotować, że w politycznym języku rosyjskim w latach 1917-1918 Polska nigdy przez nikogo nie była wtłaczana do pojęcia „mniejszości". Związek Odrodzenia Rosji zaś na naczelnym miejscu swojego programu umieścił tezę całkowitej odrębności i niezależności państwa polskiego od Rosji. Zupełnie inny był stosunek do suwerenności innych narodów, wchodzących w skład imperium rosyjskiego, które się jej zaczęły także domagać. Były one traktowane poważnie, przychylnie i nawet patetycznie we wszystkich publikacjach i enuncjacjach Związku, ale nigdy nie osiągnęły w świadomości Rosjan, nawet najbardziej radykalnych, poziomu nieodwołalnej konieczności i ideologicznej potrzeby, tak jak sprawa Polski.

Utrzymywałem szyfrowaną korespondencję z członkami Związku, którzy pozostawali pod śmiercionośną opieką Czeka, głównie z Igorem Demidowem, moim najserdeczniej-

szym przyjacielem, człowiekiem tego typu i klasy, jakiego spotyka się raz w życiu. Przez Demidowa utrzymywałem także łączność z moimi towarzyszami z Rewolucyjnego Komitetu byłej 8 Armii. Za każdym razem przekazywałem Miedzińskiemu lub Matuszewskiemu wszystko to z tej korespondencji, co mogło interesować organa naszego wojskowego i politycznego wywiadu.

Wkrótce jednak miałem się przekonać, że moja przyjaźń z tymi oficerami — przyjaźnią, a ich służba — służbą. Szyfrowane listy od Demidowa, zanim trafiały do moich rąk, były odszyfrowywane przez Ignacego Matuszewskiego. Zupełnie wypadkowo dowiedziałem się również, że na skutek tych systematycznych perlustracji mojej korespondencji, zapewne w tę i tamtą stronę, zostało definitywnie ustalone w całej rodzinnej parafii, że po pierwsze nie jestem niczyim szpiegiem, ani bolszewickim, ani białogwardyjskim, a po drugie, że Demidow, pisząc do mnie, zawsze się zwraca per *„dorogoj brat"*.

W PRZYGOTOWANIU POLSKIEGO PARTNERA

Na życzenie Naczelnika Państwa, którego jeszcze w tym czasie nie znałem osobiście, wezwano mnie do Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Pan Władysław Günther, mój szlachetny przyjaciel, przedstawił mnie ministrowi Leonowi Wasilewskiemu, wątłemu i blademu panu, sprawiającemu wrażenie nieobecności na codziennym planie bytowania, a później — kilku młodym dyplomatom, w których rękach od niedawna spoczywały sprawy rosyjskie. Spoczywały snem spokojnym, o czym się mogłem w lot przekonać. Lecz kwalifikacje osobiste tych młodych ludzi, że wymienię tylko Romana Knolla, zresztą mego znajomego z Kijowa, Juliusza Łukasiewicza, Mirosława Arciszewskiego, Mariana Szumlakowskiego, rokowały im lepszą przyszłość. Jeden w drugiego bowiem wydali mi się olśniewająco zdolni, umieli stawiać pytania tak samo inteligentnie, jak odpowiadać na moje, i rozumieli, że do problemu rosyjskiego nie można podchodzić li tylko emocjonalnie, z uwzględnieniem opinii babci Maryni, wdowy po powstańcu 1863 roku.

A powszechny klimat w społeczeństwie i narodzie, w którym po stu kilkudziesięciu latach niewoli należało reaktywować politykę zagraniczną był właśnie taki: wierny uczuciowym tradycjom i spojrzeniu na świat z dworskiego salonu. Mentalność ta ciążyła nie tylko na stosunku do byłych państw zaborczych. Jak mi to ktoś dumnie oświadczył, aby zgnębić moje federacyjne projekty: „Zgadzam się na narodową autonomię tylko dla karaimów z Trok. Z surowym *numerus clausus*, ograniczającym uprawę ich ogórków by moim w Garwolinie nie robiły konkurencji".

Gorzki żart byłby splunięcia wart, gdyby wszystko, z czym się na każdym kroku spotykało, nie było właśnie w tym samym duchu, nie obezwładniało woli, nie stawało w poprzek

każdej rozumnej próbie przestawiania psychiki, urobionej niewolą, na samowiedzę ludzi wolnych, szanujących cudzą wolność, jak swoją. Łatwo było zrozumieć, że ewolucja, jaka dokonywała się gdzie indziej z roku na rok, tu dokonać się powinna, przeskakując stulecie, wyskarżone, wymodlone na wiecznych klęczkach, co w pojęciu wielu wystarczało i jako spełnienie narodowego obowiązku i jako immunitet zwalniający od traktowania innych jak siebie samego. Łatwiej to było zrozumieć, niż się z tym pogodzić, a jeszcze trudniej coś robić przeciw wzniosłym oparom sloganów, za którymi kryła się na wskroś powiatowa wielkomocarstwowość.

Moje coraz częstsze i bliższe kontakty z naszymi młodymi dyplomatami budziły we mnie nadzieję, że moje wysiłki na terenie nie urzędowo-politycznym znajdą w nich właściwych kontynuatorów i realizatorów już na gruncie dyplomatycznym i międzynarodowym. Były one zaaranżowane przez ministra, lecz sympatycznego uroku dodawała im pewność, że rozkaz przyszedł z góry. Rozmowy moje z młodymi dyplomatami odbywały się przeważnie w gabinecie Knolla i miały najczęściej charakter przyjaznych pogawędek, na które przez ciekawość wpadali najrozmaitsi panowie z innych wydziałów ministerstwa. Rychło też stosunek do mnie, „obcego" lub wręcz „czerwonego" reprezentanta zupełnie innego świata, ułożył się przyjaźnie, pozbawiony całkowicie wszelkiego rodzaju małpich min i akcentów wyższości gospodarzy dyplomatycznego Olimpu w stosunku do zwykłego śmiertelnika. I zawsze z przyjemnością wspominam ile miłych chwil i treściwych godzin spędziłem w towarzystwie tych świetnie zapowiadających się przedstawicieli naszej młodej dyplomacji. Jak łatwo było i przyjemnie dzielić się z nimi, tak bardzo specyficznymi elementami rosyjskiej rzeczywistości, która z mojego długiego przybliżenia wyglądała oczywiście inaczej, niż z ich oddalenia. I tylko raz jeden wynikła ordynarna scena, niezmiernie kłopotliwa dla gospodarzy, o której dla ożywienia moich relacji opowiem.

Wśród obecnych w gabinecie Knolla znalazł się razu pewnego salonowy lewek, przystojny i wyrośnięty jak dębczak, nieskazitelnie elegancki i z tego pewno powodu bardzo pew-

ny swoich talentów dyplomatycznych, niewątpliwy ulubieniec płci pięknej i nadzieja narodu w oczach starszych pań. Przez dłuższy czas obdarzał mnie pogardliwym spojrzeniem dwustowłókowego magnata z Mohylewszczyzny (gdzie zresztą, jak wiadomo, wszyscy są wicehrabiami) i popatrywał na mnie, jakbym był osobiście odpowiedzialny za wywłaszczenie jego, czy jego rodzicieli, z ojcowizny i fortuny. Właśnie ten salonowy dyplomata i nadberezyński arystokrata i latyfundysta, korzystając z herbacianej przerwy w bardziej poważnej rozmowie, zapytał mnie ironicznie co znaczą w moim pełnomocnictwie od Związku Odrodzenia Rosji słowa: „...okaziciel niniejszego, Aleksander taki a taki, jest upoważniony do informowania polskiej opinii politycznej, urzędowej i społecznej, o dążeniach i celach Związku, również poleca się jemu, jako członkowi-„sorewnowatielu" (nie do oddania po polsku w tym kontekście) tegoż Związku, informowanie jego centralnego organu o obecnych ideologicznych kierunkach i politycznych perspektywach, interesujących społeczeństwo polskie w odniesieniu do problematu polsko-rosyjskiego". To znaczy, że pan szanowny jest informatorem Moskali i bolszewików o tym co się w Polsce dzieje?

Knoll, mój dawny znajomy z Kijowa, i tam i tu towarzysko i politycznie niezmiernie mi bliski, słysząc tę patriotyczną interpelację, a zwłaszcza *„le ton qui fait la musique"*, skoczył, jakby go giez ugryzł w pośladek. Zażądał od młodego człowieka przeproszenia mnie natychmiast i wyjścia za drzwi. Jednocześnie już sam mnie przepraszał:

— Przepraszam pana w imieniu tu obecnych za prostactwo tamtego pana!

„Tamten pan" tymczasem czmychnął. Był już przebrany w smoking, więc zapewne pośpieszył wprost na proszoną kolację, by takim samym jak on dumnym karmazynom opowiedzieć niesłychaną historię o międzynarodowym szpiegostwie, któremu patronują najwyższe w państwie czynniki.

Wszyscy byli wzburzeni, prócz mnie jednego. Być może dlatego, że Opatrzność obdarzyła mnie jedynym prawdziwym talentem. Z dobrego pistoletu zawsze trafiam, dokąd celu-

ję. Zabić zbrodniarza nie tylko można, ale trzeba. Głupiego nie wolno.

Nawiasem mówiąc, ten mój talent odegrał pewną rolę w kilku ważnych i przyjemnych spotkaniach. Do „ważnych" odnoszę spotkanie z terrorystą Sawinkowem (w roku 1907 czy 1908), który dla mojej niezawodności w strzelaniu chciał mnie przyciągnąć do swojej terrorystycznej organizacji. Z ludobójstwa nic nie wyszło, a ze znajomości wynikła osobista i polityczna przyjaźń, która od 1917 roku połączyła nas we wspólnej, trudnej i dramatycznej akcji antybolszewickiej. Do przyjemnych spotkań zaliczam konkursowe strzelanie kulą do rzutków na dziedzińcu Witolda Godlewskiego w Brazylii, gdzie do startu stanęli mistrzowie świata, Konstanty Czartoryski (według brazylijskiego paszportu: książę Czartoryski-Habsburg) i Stefan Tarnowski, w pełnym brzmieniu hrabia a prywatnie „kalosz", którym ja jednak w ich jaśnie oświeconej i jaśnie wielmożnej sztuce strzelania nie ustąpiłem. Z czego wynikła wielka i serdeczna przyjaźń na długie lata wygnania. Więc Bogu dzięki za ten talent kłusownika syberyjskiego, który wiewiórce trafia w oko, by nie popsuć futra.

Ale dyplomata nie był wiewiórką. Bogiem a prawdą, dyplomatą też nie był.

AUDIENCJA U NACZELNIKA PAŃSTWA

Którejś późnej godziny Adiutantura Generalna powiadomiła mnie, że mam wyznaczoną audiencję u Naczelnika Państwa na godzinę pierwszą po północy.

Po kolacji, spożytej w miłym towarzystwie kijowskich znajomych, pojechałem do Belwederu. Wprowadzono mnie do dużego pokoju na piętrze. Po jego przekątnej chodził tam i z powrotem starszy pan, bardzo pochylony w plecach, ubrany w siwą kurtkę bez żadnych dystynkcji.

Stanąłem przed nim, wyciągnięty w strunę według wzoru i fasonu cesarskiego kadeta. Piłsudski podszedł do mnie blisko, bliżej niż to się praktykuje, głęboko i uważnie spojrzał mi w oczy, po czym podał rękę i z uśmiechem powiedział:

— *Ja oczeń rad poznakomitsia. Pojdiom popjom czajku.*

Odpowiedziałem wesoło po polsku:

— Dziękuję, Panie Naczelniku, za zaproszenie. Cieszę się, że mam okazję przedstawić się Panu z moim rodowodem. Rodzina moja przybyła na Litwę po rozgromieniu Jazdowa w pierwszej połowie XIII wieku, jak wynika z dokumentów, które sam czytałem w Departamencie Heraldii w Petersburgu. Przez przeszło sto lat pisała się, czy nawoływała Jazdowski-Wędziagolski, później dopiero zaczęła używać tylko jednego nazwiska patrymonialnego z tytułu władania litewskiego Wędziagoła. Prababka mojego pradziada, chorążego husarskiej chorągwi województwa wileńskiego była Stankiewiczówna i rodziła się z Billewiczówny. Przez rodziny Michałowskich, Grużewskich, Koziełłów, Kopańskich, Kognowickich, Szabuniewiczów, Szadurskich, Hoppenów, Radzymińskich, Frąckiewiczów, Brunoffów byliśmy niejednokrotnie z rodziną Pana Naczelnika spokrewnieni lub spowinowaceni.

— Doskonale pan to wszystko wie i pamięta, i dobrze,

że pan pamięta. Tak, ja wiem, my wszyscy na Litwie byliśmy ze sobą bliżej czy dalej spokrewnieni, czy spowinowaceni. Jest mi tym bardziej przyjemnie poznać pana. *No czajku to my s wami wypjem.*

Podano herbatę, usiedliśmy przy małym stoliku pod ścianą, i popijając doskonały, chyba prawdziwie chiński, specjał, odmierzaliśmy wielkie przestrzenie nieznajomości, likwidując obcość. Piłsudski pochwalił moją pracę w POW w Kijowie, po czym rozmowa zeszła na personalia polityczne i charakterystykę rosyjskich rewolucjonistów, z których wielu znał osobiście, a pomiędzy którymi byli i tacy, których i ja znałem. W pewnej chwili, ogarniając mnie uważniejszym spojrzeniem, niezmiernie, jak mi się wydało, życzliwym, powiedział:

— Proszę nadal zachować przyjazne stosunki z Rosjanami, bo czy my chcemy, czy nie chcemy, czy lubimy, czy się brzydzimy, musimy z nimi żyć o miedzę, a to wcale nie jest łatwe ani proste... Tylko uważajcie — po raz pierwszy Piłsudski użył zwrotu wy — ja ich znam dobrze i dawniej, niż wy ich znacie. Pamiętajcie, że dusza Rosjanina, jeśli nie każdego, to prawie każdego, jest przeżarta duchem nienawiści do każdegóo wolnego Polaka i do idei wolnej Polski. Oni są łatwi i zdolni do uczucia nawet wielkiej przyjaźni i będą was kochać szczerze i serdecznie, jak brata, dopóki nie poczują, że w sercu swoim jesteście wolnym człowiekiem i boicie się ich miłości, w której dominującym pierwiastkiem jest żądzą opieki nad wami, inaczej mówiąc: władzy. To jest skaza urodzeniowa ich duszy, dziedziczna i kilkusetletnia, za ich niewolę, za Tatarów, za Iwana, za opryczników, za odwieczne bunty topione we krwi... Jeśli własna wolność jest nieosiągalna, wolność cudza wzbudza zawiść i odrazę. Jesteśmy od wieków zbyt bolesnym dla nich wzorem, zaprzeczeniem ich własnego losu. Obawiam się, że dużo czasu upłynie, zanim oni zrozumieją, że nikt i nic, chyba śmierć, odbierze nam prawa do wolności.

Po tym wstępie, który tu streściłem, Piłsudski spytał mnie czy wolałbym zostać urzędnikiem ministerstwa, czy pozostać niezależnym, zachowując nadal kontakt z ministerstwem?

Odpowiedziałem bez namysłu, że wolę zostać niezależny, gdyż jako urzędnik zamknąłbym bilans moich osiągnięć prawie na zerze. Tymczasem w charakterze nie urzędowym mogę rozwijać o wiele szerszą działalność. Opowiedziałem Naczelnikowi, że właśnie z Władysławem Tyszkiewiczem z Landwarowa, Aleksandrem Lednickim, prof. Petrażyckim, prof. Zielińskim, Stefanem Ossowieckim i wielu mymi przyjaciółmi z Kijowa mamy zamiar założyć w Warszawie Towarzystwo Polsko-Rosyjskiego Zbliżenia Kulturalnego, ściągnąć do niego kilku rosyjskich demokratów o głośnych nazwiskach i nadać tej inicjatywie charakter organizacji, która by oddziaływała na cały duży obszar emigracji rosyjskiej. Powiedziałem, że na razie myślę o Borysie Sawinkowie, moim bliskim znajomym, a gdybym z nim uzgodnił zapatrywania na zasadnicze cele przyszłej organizacji rosyjskiej w Polsce, on ze swej strony mógłby szukać poparcia wśród polityków tej miary, co Rodiczew, Czajkowski, Demidow, może nawet Milukow, i wśród przedstawicieli rosyjskich intelektualistów, jak Mereżkowski, Fiłosofow, Zenaida Gippius, i nawet bardziej inteligentnych wojskowych, jako aliantów dla prawdziwie demokratycznej próby odwojowania od bolszewików wolności i demokracji w Rosji.

Naczelnik Państwa całkowicie zaaprobował moje plany. Życzył mi powodzenia, kazał mi być w kontakcie z Miedzińskim, którego poznałem swego czasu w Kijowie.

Odjechałem z Belwederu ze skrzydłami u ramion. Dochodziła trzecia. Miałem uczucie, że zacząłem bardzo wysoki lot, lecz bardziej od dumy rozpierała mnie radość, że stanąłem do szeregu służby publicznej, ważnej służby, pod wysokim dowództwem prawdziwego wodza. Praktycznie odczuwałem to, jako blask wielkiego imienia w narodzie, który padł tej nocy na mnie.

Nie uwierzyłem jednak Piłsudskiemu, że wszyscy Rosjanie są skażeni urazem polskim. Co prawda, powiedział wyraźnie, że prawie wszyscy, więc zgodziłem się traktować moich przyjaciół rosyjskich, jako tę drobną resztkę od „prawie wszystkich".

Pomimo późnej pory w restauracji „Europejskiego" było szumnie i gwarno. Prawie wszystkie stoliki były zajęte. Z gabinetów dolatywały wybuchy niewieściej wesołości, którym basowały zwycięskie głosy panów, tu i tam przerywane i zagłuszane nastrojowym motywem, jak szumem wielkiej wody: „Wołga, Wołga...". Oznaczało to, że *„katoliki"* już są pod gazem. „Katolikami" nazywano ironicznie podówczas w Warszawie tych Polaków z kresów, często niedawnych oficerów carskiej armii, a dziś najwierniejszych synów odrodzonej ojczyzny, kaórzy jednak w pokolacyjnym błogostanie zamiast „rozmarynów" i „jak to na wojence ładnie", zaciągali ze smakiem i na wskroś orientalnym zacięciem piękną kawaleryjską pieśń-pobudkę *„marsz wpieriod trubiat w pochod czornyje gusary"*, lub inne *udałe* przeboje rosyjskiego wojennego eposu.

Raz jeden, z któregoś odosobnionego gabinetu dały się słyszeć smutne tony „Pierwszej Brygady", które na parę chwil jakby spłoszyły hałasy na sali i przyćmiły „Wołgę", lecz prócz kilku powściągliwie ironicznych uśmiechów większego wrażenia nie wywołały.

Szybko się pokrzepiłem łykiem mocnej gorzałki i gospodarską porcją cielęcego bryzolu, po czym udałem się do swego pokoju. Przechodząc przez salę zauważyłem, że największe ożywienie panowało przy dużym stole, gdzie królowała piękna pani Lubimow, żona byłego wileńskiego gubernatora, też obecnego tutaj w gronie Rosjan i Polaków, którym zdawał się przewodzić pan Lubański, dziedzic pięknej Worończy w Mińszczyźnie. Policzyłem to sobie za dobrą wróżbę, wpisując ich wszystkich na listę przyszłych członków polsko-rosyjskiego zbliżenia. Zgasiłem w sobie bezużyteczne mściwe wspomnienie sprzed 12 laty, jak to ten sam Lubimow odmówił mi pozwolenie na broń. Przyznałem teraz, że był rozsądny. Wtedy to bowiem moi towarzysze rewolucjoniści namawiali mnie bardzo bym strzelił do niego w lesie, kiedy jechał z wizytą do pana Maksimowa, naszego sąsiada z Białego Dworu nad Mereczanką. A nuż dałbym się namówić!

PISZĘ ARTYKUŁ PO ... WĘDZIAGOLSKU

Moi przyjaciele, panowie Władysław Günther, Józef Kożuchowski, a najbardziej Andrzej Strug, cierpliwie i wytrwale przekonywali mnie, że jest moim obowiązkiem dać do codziennej prasy popularną charakterystykę ruchu bolszewickiego, obiektywną analizę jego wartości społecznej i politycznej, uprzystępnić wizerunek jego przywódców i wskazać prawdziwe cele, w imię których realizują oni swój antyludzki system. A także przedstawić stosunek ich sił do organizujących się lub już zorganizowanych sił demokracji i reakcji, które zbrojnie i z poparciem z zewnątrz dążą do obalenia nowego reżymu.

Nie uważałem żeby mnie obowiązywać miały przedziały i antagonizmy partyjne. Zwłaszcza w sprawie, która w moim przekonaniu obchodzić powinna w równym stopniu wszystkich. Dałem więc szereg artykułów do „Gazety Warszawskiej", organu Narodowej Demokracji, i do zachowawczego „Kuriera Warszawskiego". W ciągu paru tygodni ukazywały się one tam na poczesnym miejscu, budząc duże zainteresowanie u czytającej publiczności.

Nim jednak do tego doszło, miało miejsce zabawne wydarzenie. Pierwotny tekst moich dość obszernych wypowiedzi został uznany przez Władysława Günthera i Andrzeja Struga za bardziej *wędziagolski* niż polski. Postanowiono więc zwrócić się do Adama Grzymały-Siedleckiego z prośbą o spolszczenie mego utworu.

Pan Adam chętnie się tego podjął, całkiem ideologicznie, i spolonizował moją pracę do tego stopnia ofiarnie, że gdy wróciła do mnie, nie poznałem jej. Zaproponowałem bez żartu i urazy, żeby pan Adam podpisał rękopisy swoim nazwiskiem. A skończyło się na tym, że znów przysiadłem fałdów, i wzorując się na wspaniałym stylu i słownictwie pana

Adama, napisałem wszystko na nowo. Według opinii moich przyjaciół tym razem już prawie po polsku.

Poza szczegółową informacją dawałem w moich artykułach wyraz przekonaniu, że bolszewicki przewrót, dokonany przez znikomą garstkę artystów rewolucyjnego fachu, nie ma żadnych szans trwałej egzystencji i stabilizacji. Oczywiście, był to mój błąd, by nie powiedzieć bardziej dosadnie. Mylili się wszakże w owym czasie wszyscy, i znacznie mądrzejsi ode mnie, i ci, którym nie wolno było się mylić.

Dziś bym napisał inaczej. Dziś bym napisał, że garstka, która dokonała przewrotu, została wyniesiona i wsparta falą powszechnej anarchii nieprzytomnych mas. Bolszewicy potrafili tę anarchię wykorzystać, a potem ujarzmiać w imieniu „woli ludu", oczywiście sfałszowanej, ale popartej uchwałami tysięcy sowietów i terrorem, podczas gdy „biali" mieli przeciwko anarchii tylko terror. Jestem pewny, że na dłuższy dystans i bolszewikom zabrakłoby siły do opanowania anarchii, gdyby im nie pomogli niemądrzy biali generałowie, bojowo bohaterscy, strategicznie niezrównani i wygrywający wszystkie bitwy, a przegrywający wszystkie wojny: nad Donem, pod Petersburgiem, nad Wołgą, pod Archangielskim i na Syberii. Bolszewicką rewolucję wygrał, jak w baka, od socjalistów i demokratów rozum Lenina, zaś bolszewicki reżym uratowali biali wodzowie i — nie mniej ważne — wojenny geniusz Trockiego. Gdyby nie Trocki, biali generałowie, nawet błądząc i partacząc, zwyciężyliby czerwonych; lecz gdyby nie błędy i partactwa białych generałów, i geniusz Trockiego nie potrafiłby uratować bolszewickiego reżymu od pogromu.

Wprowadzony poprzez łamy konserwatywnych pism na szerszy plan stolicy, jako rewolucjonista sympatycznie zakamuflowany dla wzroku i opinii burżuazyjnego społeczeństwa w postaci aktywnego wroga bolszewizmu, tym intensywniej zabrałem się do realizacji szerszych projektów, pewny aprobaty Naczelnika Państwa, poparcia urzędów, no, i życzliwości owej opinii.

Nie przejąłem się zbytnio ostrzeżeniami niektórych moich

przyjaciół, że Piłsudski będzie mi miał za złe ogłoszenie moich poglądów w opozycyjnej prasie. Spodziewałem się, że mnie właśnie pochwali, iż opinie, całkowicie przez niego aprobowane, popularyzuję przez prasę, która go zwalcza. Okazało się później, że to ja miałem rację, a nie moi przyjaciele piłsudczycy, niedokładnie wyznający się w taktyce Piłsudskiego. W przyszłości analogiczne sytuacje miały się powtórzyć nieraz.

Zresztą Andrzej Strug, tak bardzo mi przyjazny, nawet mnie nie zapytał dlaczego nie dałem moich publikacji do „Robotnika". Jako człowiek rozsądny widział, wiedział i rozumiał, że „Robotnik" w owym czasie nie mógł w tak demonstracyjny sposób przeciwstawiać się programowi i taktyce rządu Komisarzy Ludowych w Moskwie na ich własnym terenie. Byłoby to ryzykowaniem konfliktu z nieustabilizowanymi jeszcze nastrojami i opiniami polskiego proletariatu, który w rozterce ducha żywił nadzieję, że wbrew temu, co mówią i piszą wrogowie bolszewików, tam właśnie, w Moskwie zaświtała zorza wyzwolenia dla wszystkich biednych i upośledzonych.

SZUKAM KONTAKTU Z SAWINKOWEM

W atmosferze niepokoju o los wojny domowej, która toczyła się w Rosji, powstało nasze Polsko-Rosyjskie Towarzystwo Zbliżenia Kulturalnego. Na jego czele stanął pan Władysław Tyszkiewicz z Landwarowa, ja zostałem wiceprezesem obok prof. Petrażyckiego i pana Fiłosofowa ze strony rosyjskiej. Poufnie uradziliśmy nie śpieszyć się zbytnio z ilościowym rozwojem Towarzystwa, nim podstawowa organizacja rosyjska nie nabierze realnych kształtów. Tymczasem, w porozumieniu z Tyszkiewiczem, jako wyrazicielem społecznej opinii zachowawczej, i z Miedzińskim, rzecznikiem opinii urzędowej, starałem się propagować ideę wojskowej irredenty rosyjskiej z polskiego terenu, pod opieką polską, może bardziej społeczną niż ministerialną. Napisałem list do mego przyjaciela Sawinkowa do Paryża z zapytaniem co on, i inni wybitni przedstawiciele rosyjskiej demokracji, znajdujący się w Paryżu i Londynie, myślą o akcji, która byłaby próbą obalenia bolszewickiej dyktatury już nie generalsko-arystokratyczną szablą, ale bagnetem rosyjskiego chłopa i robotnika, pod dowództwem znanych rosyjskich demokratów, z nim na czele.

W liście zrekapitulowałem szczegółowo nasze opinie, od dawna uzgodnione, tak na bolszewicką rewolucję, jak i generalską kontrrewolucję. Problem wyzwolenia Rosji stawiałem w bezpośrednim związku z zagadnieniem wyzwolenia poszczególnych narodów z imperialnej zależności od Rosji. Pisałem, że jest nie do pomyślenia, by walka rosyjskich demokratów z czerwonymi mogła dać pomyślny wynik, gdy jednocześnie narody Ukrainy, Kaukazu i krajów Bałtyckich będą w ich zwycięstwie widziały zwycięstwo Rosji nad ich wolnością narodową. Pisałem:

„Jeśli Pan trwa w zamiarze walki z bolszewikami nie tyl-

ko o wyzwolenie, lecz i o odrodzenie Pańskiej Ojczyzny, jeśli Pan w dalszym ciągu wyznaje wzniosłe i mądre zasady manifestu „Związku Odrodzenia Rosji", przez Pana podpisane, niech Pan przyjeżdża do nas, by po wschodniej stronie polskich okopów zacząć odwojowywanie, wyzwalanie i odradzanie Pańskiej Ojczyzny, kilometr za kilometrem, powiat za powiatem, nie tylko samym mieczem, lecz przede wszystkim tą prostą a odwieczną prawdą, że wszyscy ludzie posiadają jednakowe prawa do wolności, niezależnie od rasy, klasy i zgubnych doktryn przeszłości".

„My Panu dopomożemy, rozumiejąc obopólne korzyści wspólnej sprawy".

List rozmyślnie wysłałem poza dosięgalnością naszego wywiadu czy cenzury, bo szczerze pragnąłem, by moje wzniosłe idee nie zostały na samym początku ich realizacji przypieczętowane urzędową aprobatą lub uległy takim czy innym melioracjom przez niechętną czy sabotującą krytykę. Po kilku dniach, gdy już miałem pewność, że Sawinkow mój list otrzymał, wręczyłem odpis ppłk Miedzińskiemu, który jeszcze tegoż dnia przeczytał tekst Naczelnikowi Państwa.

Sawinkow w tym czasie przebywał w Paryżu, gdzie z właściwą sobie umiejętnością i namiętnością usiłował utrzymywać sprawę walki z bolszewizmem na najgorętszym ogniu aktualności. Opinie Sawinkowa, zwłaszcza wśród bardziej radykalnych sfer, były z uwagą słuchane, miał szeroki dostęp do prasy, i miał ten dodatkowy atut, że był zbyt szeroko znany, jako słynny terrorysta-rewolucjonista, żeby prokomuniści mogli skwitować jego wypowiedzi mianem reakcyjnych zmyśleń.

Przy okazji któregoś spotkania z Miedzińskim, który mi zakomunikował, że mój list do Sawinkowa nie wywołał żadnych zastrzeżeń Naczelnika Państwa, poprosiłem go żeby zaniechał systematycznego kontrolowania mego biurka przez agentów wywiadu. „Nie zapominaj — powiedziałem — że może się zdarzyć, że rewizji moich szuflad będzie dokonywał facet z twojego wywiadu, któremu dodatkowe premie

płaci inny wywiad, niekoniecznie dla ciebie i dla mnie przyjazny".

Miedziński uśmiechał się enigmatycznie, coś w sobie rozważał, wreszcie spytał skąd doszedłem do takiego podejrzenia. Odpowiedziałem, że partacze rujnują niedostrzegalne „repety" na szufladach, które zostawiam, a w ogóle... — Gdybym był na twoim miejscu, kazałbym robić to samo z każdym moim przyjacielem, tym bardziej, gdyby przyjaciel przybywał ze wschodu, i utrzymywał z tym wschodem szyfrowaną korespondencję.

Trochę później Miedziński po przyjacielsku mnie zapewnił, że ostatni list Demidowa do mnie, zaszyfrowany dość trudnym szyfrem w oparciu o londonowskiego „Syna Słońca" (list był z Kijowa), ostatecznie rozwiał wszelkie wątpliwości i wobec tego mogę zaprzestać stawiania repet. Jednak przez dłuższy czas jeszcze się tym zabawiałem, nim młodzieńcy innego na ten raz gospodarza bezpieczeństwa, pana Ignacego Matuszewskiego, nie poniechali rewidowania mego biurka i zrywania zużytych bibuł z mojej suszki.

W BELWEDERZE

Znowu zostałem wezwany do Naczelnika Państwa. Audiencja, jak zwykle, wyznaczona była na godzinę bliską północy. Przyjechałem po jedenastej i w salonie na dole zastałem sporo ludzi, przeważnie mi nieznanych, oczekujących na przyjęcie. Oficerowie Adiutantury robili honory domu, zabawiając konwersacją na tematy sejmowe, towarzyskie, lekkie i zajmujące, byle czas gościom zbytnio się nie dłużył. Nadszedł Wieniawa-Długoszowski, który przedstawił mnie ministrowi Robót Publicznych, panu Narutowiczowi, płk Kazimierzowi Świtalskiemu, Adamowi Kocowi i paru innym panom.

Pan Narutowicz, któremu moje wybitnie litewskie nazwisko nie było obce ze względu na jego własne litewskie parantele, z miejsca zainterpelował mnie o wspólnych znajomych. Wkrótce przeszliśmy na tematy myśliwskie, a gdy pan profesor sprawdził w chytrych i podchwytliwych pytaniach, że nie łżę o moich podarktycznych łowach, a także, że potrafię odróżnić łoszę od krowy gajowego bez wzlędu na ilość wypitej starki, rozmowa nasza nabrała wkrótce cech najintymniejszej zmowy dwóch kresowców w kąciku Belwederskiego pałacu.

— Pojedziemy z panem do Ogarkowa na niedźwiedzia, pojedziemy nieodwołalnie!

— Pojedziemy, panie ministrze, na głuszce, nawet nie czekając toków. Zobaczy pan, doświadczy pan niezwykłych wzruszeń strzału spod psa do ptaka, niemal przerażającego za każdym razem psa swoim ogromem. Niektórych myśliwych też.

(Nigdzie nie pojechaliśmy. Może by do tego doszło, gdyby wkrótce ten uroczy człowiek, znakomity uczony nie dos-

tał dwóch kul w serce, jako Prezydent Rzeczypospolitej, z ręki szaleńczej i zbrodniczej polskiego nacjonalisty.)

Byliśmy przy tych głuszcach, a może łosiach, gdy z góry zbiegł piękny por. Olszamowski, mój dawny znajomy z Petersburga, z wezwaniem mnie do Naczelnika Państwa. W oczach niektórych obecnych moja amatorska szarża od razu podskoczyła o kilka stopni. Domyśliłem się, że był to jeden ze sposobów Piłsudskiego wprowadzania ludzi w świat.

Piłsudski swoim zwyczajem chodził po pokoju.

Przywitał się ze mną jak z dobrym znajomym, po czym ze znaczącym, jak wydało mi się, uśmiechem powiedział:

— Zapraszam na herbatę.

Z miejsca zaczął mi opowiadać o Wilnie, starszym od mojego o jakieś dwadzieścia lat. (Dokładnie o 18.) Towarzysko jednak należeliśmy nie tylko do jednego środowiska, lecz prawie i pokolenia, toteż do opowiadań Piłsudskiego o życiu wileńskim, do charakterystyk ludzi, zwłaszcza z tzw. „sosjety wileńskiej", do osobliwości szlachecko-inteligenckiej społeczności miasta i kraju, chociaż elitarnej, a w dużym stopniu prowincjonalnej, i ja mogłem raz po raz dorzucić parę szczegółów, nazwisk, opowiadań i facecji, niezmiernie dla starszego pana ucieszných i przyjemnych. Właściwie ludzie, o których mówiliśmy, ich sprawy i rzeczy, które interesowały nas dla zabawy, były te same dla niego i dla mnie. Piłsudski m.in. wspominał dziwactwa Adama Platera, gubernialnego marszałka szlachty, dynamiczną wzniosłość regionalnego potentata Józefa Montwiłła, przypomniał plejadę swoich rówieśników z Witoldem Abramowiczem na pierwszym miejscu, szereg świątobliwych pań z „biskupem" Jeleńską na przodzie, zahaczał o arystokrację i jej szlacheckich satelitów, jednym palcem trzymających się pańskiej klamki, a całą dłonią przesłaniających się od mieszczaństwa.

W pewnej chwili Piłsudski podszedł do stolika i na skrawku papieru coś napisał ołówkiem, a podając mnie, spytał, czy wiem co to znaczy? Były tam trzy litery M†K†B, tak dobrze wszystkim znane z Trzechkrólowych napisów kredą na kuchennych drzwiach prawie każdego wileńskiego miesz-

kania. W regionalnym dowcipie jednak miały one oznaczać inicjały trzech dyrektorów Wileńskiego Banku Ziemskiego: Montwiłła, Kończy i Bortkiewicza, trzymających w swoich życzliwych rękach losy 90% wileńskich, kowieńskich, mińskich, grodzieńskich i witebskich ziemian. Piłsudski, pamiętający ową wileńską symbolikę, przenoszącą splendory Melchiora, Kaćpra i Baltazara na panów dyrektorów Banku, nie chciał wprost wierzyć, że i za moich czasów, gdy się widziało te trzy litery, to myślało najpierw o ratówce (już dawno przeterminowanej), której uregulowania nie da się uniknąć nawet za wstawiennictwem biblijnych królów.

Kwadranse mijały na zegarze wraz ze wspomnieniami młodych lat. Piłsudski prawie ciągle chodził po pokoju, ja wtedy stawałem w pozycji na „spocznij" mimo że mnie namawiał do siedzenia. Robiłem to rozmyślnie. Gorszyły mnie zawsze zbyt poufałe maniery legionistów wobec swego Komendanta, starałem się więc na przekór podkreślać staroświecką grzeczność w stosunku do zwierzchnika, w dodatku znacznie starszego wiekiem i pełniącego urząd Głowy Państwa!

Nagle Piłsudski przerwał wileńskie faramuszki:

— Trzeba żebyście, nie odkładając, pojechali do Paryża, a jeśli macie kogo na widoku w Londynie, to i do Londynu. Musicie odnowić swoje kontakty rosyjskie z waszymi przyjaciółmi z rewolucji. Może się coś uda z nimi wspólnie zrobić, ostatecznie mamy z nimi dość poważnego wspólnego wroga, który nie przebiera w środkach, by nas zgnębić, gdyż to my stoimy mu w poprzek drogi na szeroki świat.

Piłsudski pochwalił mój list do Sawinkowa. Rozwinął tezę, że we wspólnym interesie tak Polski, jak Rosji, jest jej wycofanie się w granice państwa narodowego, gdyż imperialny monolit państwowy okazał się złudą. W pewnej chwili powiedział:

— Czy to sami Rosjanie dokonali przewrotu bolszewickiego? Po co to Rosjanom było potrzebne? Polakom, Ukraińcom, Żydom i wszystkim innym było to istotnie bardzo potrzebne. Wy róbcie swoje, gdyż to, co robicie, robicie w dobrej wierze. Wy wierzycie, że znajdziecie Rosjan, którzy

dojrzeli do poziomu naszego rozumienia wspólnej sprawy. Szukajcie. Być może, takich znajdziecie, i daj Boże. Ale polityka polega między innymi i na trafnych przewidywaniach nie tylko dobrych i pomyślnych perspektyw, lecz przede wszystkim złych. Może się stać, że znów będziemy zmuszeni do obrony naszych praw i racji przy pomocy armat. Ponieważ polskich armat może nie starczyć, musimy zawczasu myśleć o aliantach, którymi z natury rzeczy są wszyscy wokół nas, kochający swoją wolność. Rozpoczęła się era rozkwitu aspiracji narodowych i ludowych. Z tego mogą powstać nowe koncepcje polityczne na zasadzie wspólnych celów i zamierzeń.

— Sprawy ukraińskie poleciłem Sławkowi — ciągnął. — Jak wrócicie, musicie z nim się porozumieć i ustalić stały kontakt. Nie zniechęcajcie się do jego pozornej nieprzystępności i chłodu. Sławka trzeba poznać i dopiero, dobrze poznawszy, ocenić nie według wzoru przeciętnego typu współczesnego, rozgadanego, rozkrzyczanego i wszystko wiedzącego lepiej.

(Nawiasem: gdy poznałem Sławka, to się szybko przekonałem, że istotnie nie był rozgadany i rozkrzyczany, niestety natomiast, wszystko co wiedział, wiedział lepiej.)

Następnie Piłsudski spytał czy wolę wyjechać urzędowo, czy jako osoba prywatna. Jak za pierwszy razem odpowiedziałem, że dla obcych posiadam wystarczający modny tytuł rosyjskiego rewolucjonisty i wypróbowanego demokraty, co się zaś tyczy swoich, zwłaszcza dyplomatów i misjonarzy *sprawy polskiej* z *Narodowej Demokracji*, którzy by mi mogli rzucać kłody pod nogi, to myślę, że mi przyjazna protekcja Patka wystarczy.

Piłsudski powiedział:

— Dam wam list do naszych ludzi, w którym was przedstawię, jako mego przyjaciela i zaufanego człowieka.

Byłem głęboko wzruszony.

(List taki otrzymałem, lecz nie miałem okazji skorzystać z niego nie tylko przez przesadną skromność i dyskrecję. Po powrocie z Paryża oddałem go Miedzińskiemu z wytłumaczeniem, że nie chcę być narażony na pokusy przez po-

siadanie tego rodzaju glejtu. Jakże później nie raz żałowałem mojej spartańskiej skromności!)

Byłem do tego stopnia oswojony uczuciowo, że w pewnej chwili najzwyczajniej w świecie powiedziałem:

— Późno już jest, Panie Naczelniku Państwa, — było po drugiej — pora Panu odpocząć.

Widocznie mój parafiańsko-totumfacki wyskok jakoś zestroił się z nastrojem, bo Piłsudski, zamiast wyrzucić mnie za drzwi, odpowiedział:

— Dobrze, dobrze, do widzenia więc. Ależ naplotkowaliśmy sobie dziś po wileńsku, ile wlazło.

Wszyscy na dole, zmęczeni oczekiwaniem na przyjęcie, pożegnali mnie dość zimno. Wszyscy prócz Narutowicza. Ten potrząsnął mną za ramiona jak leszczyną i nakazał groźnie utrzymywać z nim myśliwski kontakt.

Do drzwi odprowadzały mnie spojrzenia znaczące, zdziwione, może trochę niechętne.

NASI ZAGRANICĄ: GOŚCIŃCE I TRANSAKCJE

Szybko załatwiono mi wyjazdowe formalności i któregoś dnia późnego lata czy wczesnej jesieni pognałem pośpiesznym pociągiem w szeroki świat na zachód. Jechałem na Wiedeń, Zurich, Bazyleję, gdyż przez Niemcy nie miałem ochoty. Do Paryża przyjechałem po 48 godzinach wygodnej podróży, niezmiernie dla mnie ciekawej, przez kraje tak zupełnie niepodobne do leśno-błotnych płaszczyzn północnej Rosji, gdzie przez lata mieszkałem, do leśno-jeziornej Wileńszczyzny, z którą byłem związany jakąś serdeczną pępowiną, do pszeniczno-topolowych równin Królestwa, które poznałem w czasie wojny. Jeśli nie spałem, to pochłaniałem chciwym okiem nowe obrazy, usiłując przez nie zrozumieć co ludzi dzieli.

Wagon restauracyjny wysilał się na wybredne, jak mi się zdawało, śniadania i kolacje dla kilkunastu zaledwie pasażerów pięciowagonowego pociągu. Wszystko było straszliwie luksusowe i dla mnie mocno żenujące, więc raz po raz musiałem tłumić w sobie wyrzuty parafiańskiego sumienia i powiatowej cnoty oszczędności. Przed samą granicą szwajcarską jacyś spóźnieni partyzanci rąbnęli w przebiegający kurier kamieniami, krusząc szyby restauracyjnego wagonu, Bogu dzięki, bez nieszczęśliwego wypadku z ludźmi.

Przed wyjazdem z Warszawy kupiłem starym tatarskim obyczajem dla paryskich przyjaciół Rosjan trochę prezentów. Wziąłem także piękne ojcowskie futro. Tak, to widocznie była już jesień. Może to przywożenie gościńców było także starym obyczajem rosyjskim i polskim, nie wiem, lecz że to był dobry i rozumny zwyczaj, przekonałem się rychło, gdy pani Eugenia Sawinkowa po otrzymaniu ode mnie wspaniałej nurkowej etoli w ciągu paru dni spopularyzowała wśród zbiedniałej rosyjskiej emigracji osobę polskiego Na-

baba, który przybył do Paryża w ważnych sprawach rosyjskich. Nabab zachował dla siebie, że skorzystał z paradoksalnej warszawskiej koniunktury; w owym czasie właśnie piękne futra należały do najtańszych artykułów niecodziennej potrzeby. Dla kilku innych pań i panów kupiłem mniej efektowne obiekty dziwacznego polskiego rynku. Prezenty te, nie nadwyrężając zbytnio mojej skromnej fortuny, podnieciły ku mnie ciekawość i sympatię, albowiem zamożność nawet socjalistom i demokratom jest do twarzy, czyniąc ich bardziej interesującymi i sympatycznymi.

Gdy wyjeżdżałem z Warszawy, kupiłem sporo franków po pięć polskich marek za franka. W Paryżu byłem trzy miesiące, mieszkałem w średnim hotelu, na jedzeniu nie robiłem żadnych oszczędności, a chociaż zbytnio się nie bawiłem, wydałem kilka śniadań dla kilku osób, dwie kolacje na kilkanaście osób, i pewnego dnia poczułem się finansowo skrępowany. Wówczas to właśnie przeprowadziłem parę genialnych operacji, jedną handlową i jedną hazardową. Najpierw sprzedałem mojemu znajomemu, mężowi mojej znajomej jeszcze z Petersburga, doktorowi medycyny Motzowi moje bobrowe futro, jeszcze ojcowskie, lecz nieskazitelnie piękne i reprezentacyjne za 5 tysięcy franków. W kilka dni później byłem z Sawinkowem i jego francuskimi przyjaciółmi z prasy na wyścigach w Saint Cloud. Jak na prowincjonalnego fryca przystało, postawiłem na konia, na którego nikt nie stawiał. Nazywał się „Loisir". Zapłacono mi sześć tysięcy za sześćdziesiąt franków. Sawinkow nie omieszkał natychmiast przetłumaczyć na francuski rosyjskiego przysłowia: „*Wieziot, kak niezakonnorożdiennomu*" (wiedzie się jak bękartowi). Gdy wróciłem do Warszawy, płacono już 50 polskich marek za franka. Więc gdy resztę franków wymieniłem, dostałem kupę pieniędzy, z czego wynikało, że mnie podróż i pobyt w Paryżu nie tylko nic nie kosztowały, lecz jeszcze na tym zarobiłem. Oczywiście, że to był tylko urok cyfr. Marka leciała w dół. Księgowo jednak wszystko wyglądało bardzo pomyślnie, chociaż paradoksalnie. Tak zresztą, jak wiele innych bilansów w życiu.

ZNÓW W PARZE Z SAWINKOWEM

Sawinkow ucieszył się niezmiernie z mojego przyjazdu. Dla mnie również spotkanie towarzysza tylu dramatycznych przejść nie mogło być obojętne.

Zaraz z Dworca Północnego kazałem się wieźć w okolice Trocadero, gdzie przy rue Jules Martin, a może trochę inaczej, mieszkał mój przyjaciel. Nie zamierzałem u niego stanąć, bo z natury nie lubię tego rodzaju serwitutów znajomości. Zamierzałem u starego paryżanina zasięgnąć informacji, gdzie zamieszkać, żeby hotel był wygodny, a na moją kieszeń.

Pan Borys posłał natychmiast służącą po moje rzeczy, by zwolnić taksówkę, obiecując skierować mnie później do sympatycznego a niedrogiego hotelu w okolicach Opery. Tymczasem wepchnął mnie do łazienki, sam zaś z gościnnością prawdziwego Rosjanina pod dowództwem pani Eugenii zakrzątnął się dokoła śniadania, które miało być czymś odpowiednim do charakteru i znaczenia przyjacielskiego spotkania.

Zabawnie było widzieć w Paryżu, na tle wspaniałego apartamentu, eleganckiego pana, tegoż samego Sawinkowa, z którym zmykało się onego ponurego czasu kapuścianymi ogrodami w zimowy wieczór w Pskowie, z którym się później mieszkało w rozstrzeliwanej Moskwie, a jeszcze później przekradało przez granicę między czerwonym a białym Donem w niezupełnie udanej roli kontrrewolucjonistów.

Wspomnienia, wspomnienia, gdzie Rzym, gdzie Krym... A przecież polityka polityką, niewątpliwie rzecz ważna i w wiadomy sposób łącząca ludzi, lecz hazard gry, w której stawką jest życie, wiąże silniej i trwalej.

Teraz dopiero poznałem piękną panią Eugenię z domu Zylberberg (nie ręczę), żonę a niegdyś rowarzyszkę najnie-

bezpieczniejszych przedsięwzięć Sawinkowa w ramach akcji terrorystyczno-rewolucyjnej. Patrząc na tę wytworną damę, nie chciało się wprost wierzyć, że to te same delikatne i wątłe palce, stworzone, zdawałoby się, do haftu tylko lub harfy, ładowały kapryśny, samodziałowy dynamit do form i pudełek, by zabijać ludzi.

— Pański list — powiedział Sawinkow — był głosem archanielskiej trąby na pustyni, nawracającym zbłąkanego pielgrzyma na właściwą drogę.

Oceniłem wyrobienie Sawinkowa, który nie zapytał, co znaczy w moim liście zagadkowy zwrot: „my wam pomożemy".

Powiedział natomiast: — Zainicjował pan ważną akcję i jestem pewien, że zanim życie potwierdzi słuszność pańskiej inicjatywy, pański naczelnik państwa pierwszy zrozumie jej doniosłość.

— Już zrozumiał — odpowiedziałem krótko.

Nie mogłem się powstrzymać, by kątem szpiegowskiego oka nie pochwycić błysku wielkiej kontentacji w oczach mego przyjaciela. Z wyraźnym nasileniem gościnności nalał też do dużych płaskich kieliszków koniaku, wbrew bontonowi prawie po brzegi, i podnosząc ostentacyjnie w górę swój do ust, najpierw go wychylił, dodając post factum: za pańskie... Zatknęło go, czy to wzruszenie, czy koniak, potem zatykało nas obu, ale co użyliśmy, to użyliśmy, chociaż to nie były kolejki pokoju, a zwiastujące wojnę.

PRZECIW BIAŁEJ KONTRREWOLUCJI

Naszkicowaliśmy z grubsza plan wspólnej akcji i wytyczne samodzielnych wystąpień każdego z nas z osobna.

Do wspólnej akcji należały wysiłki przekonania jak najszerszych środowisk społecznych i politycznych rosyjskich, że walka białych generałów nad Donem, nad Wołgą i w Syberii jest prowadzona beznadziejnie źle, nie wzbudza w szerokich masach zaufania, bo nie jest żadnym budowaniem lepszego życia, lecz krwawym odwetem. Ani u Denikina, ani u Kołczaka, ani u Judenicza demokraci, a tym bardziej socjaliści nie mają nic do powiedzenia, są najwyżej tolerowane poszczególne jednostki bez wpływu na bieg i charakter rzekomo odrodzeńczej walki. Należy więc stworzyć zbrojny ruch odrodzenia, zupełnie niezależny od apolitycznych generałów, którzy odrzucili demokrację, nie zdobyli zaufania na zewnątrz i życzliwej oceny światowej opinii demokratycznej dla planów pokonania przeciwnika i zapoczątkowania prawdziwego moralnego i politycznego odrodzenia Rosji.

W owym czasie w Paryżu mieszkało wielu Rosjan, dawnych rewolucjonistów-emigrantów, którzy po nieudanej rewolucji marcowej w 1917 roku szybko wrócili „do siebie", to znaczy do Paryża. Do nich doszlusowywały później masy nowej emigracji, już nie koniecznie rewolucyjnej, a raczej zdecydowanie reakcyjnej. Pomiędzy nimi było znacznie więcej przedstawicieli nie tyle kontrrewolucji, co ludzi opanowanych uczuciową reakcją, nienawidzących wszystkiego i wszystkich, w jakimkolwiek stopniu związanych z „kierieńszczyzną", a więc nawet umiarkowanych demokratów, liberałów, wolnomyślicieli, których obwiniali w czambuł za nieszczęścia ojczyzny i własną degradację.

Oczywiśice ani Sawinkowa, ani mnie ci ludzie w żadnym

stopniu nie obchodzili. Zaprojektowaliśmy szereg spotkań z obecnymi w Paryżu członkami KC eserowskiej partii, później z przedstawicielami mieńszewików, w końcu z członkami partii konstytucyjno-demokratycznej. Poza tym z wybitnymi osobistościami rosyjskiej demokracji, jak Czajkowski, Makłakow (b. ambasador Tymczasowego Rządu w Paryżu), Burcew. Z ich współdziałaniem chcieliśmy popularyzować ideę polsko-rosyjskiego porozumienia w celu organizacji patriotycznego ruchu zbrojnego pod sztandarami „Związku Odrodzenia Rosji".

Moich przyjaciół z kijowskiego „punktu" jeszcze w Paryżu nie było. Niektórzy już się zaczepili o Berlin, inni starali się zadomowić w Jugosławii lub Pradze czeskiej. Był tu natomiast prof. Milukow, jednak z mocno zachwianą pozycją. Był to oczywisty przykry skutek jego polityki w Kijowie, gdy, zupełnie słusznie moim zdaniem, doszedł do przekonania, że interesy jego ojczyzny mają pierwszeństwo przed lojalnością wobec aliantów.

Sawinkow zamierzał również wprowadzić mnie do grona swoich przyjaciół Francuzów, polityków, dziennikarzy, publicystów i intelektualistów, przewidując z tego niejaki pożytek dla naszych planów.

POZNAJĘ PARĘ PRZYSZŁYCH MORDERCÓW SAWINKOWA

Pierwszy dzień zakończył się smaczną kolacją w małej, znakomitej restauracji „A la Bécasse", niedaleko Madeleine, dokąd mnie zaprosił pan Borys. Tam poznałem parę najbliższych i najzaufańszych „współpracowników" mego przyjaciela Sawinkowa. Byli to państwo Dikgoff-Derenthal. On sprawował przy Sawinkowie funkcję łącznika politycznego. Jego małżonka, pani Aimée (Luba) była też Rosjanką, bardzo zagadkowego pochodzenia, od dawna zamieszkałą w Paryżu, przy czym rodzice jej przezywali się nazwiskiem jednej z najstarszej linii francuskiej arystokracji (dokładnego brzmienia już dziś nie pamiętam).

W tej samej chwili gdy ujrzałem tę parę (a pani była bardzo urodziwa), tajemniczy odbiornik mojej wrażliwości zagrał odrazą, taką samą, jak w wypadkach, które opisywałem, gdy chodziło o zamach na moje życie.

Moje złe przeczucie miało się i tym razem sprawdzić, w przyszłości wprawdzie dalszej niż okres zamknięty w tych moich pamiętnikach. Miałem przed sobą parę wyrafinowanych zbrodniarzy. W streszczeniu i po zestawieniu post factum różnych okoliczności i szczegółów, ponura historia przedstawia się tak: pani Derenthal najpierw wciągnęła Sawinkowa w słodki romans, któremu pan Derenthal przyjaźnie patronował. Dla kochanki pan Borys porzucił żonę i syna, i pomimo ostrzeżeń bardzo bliskich ludzi, a w Warszawie nawet poufnych ostrzeżeń naszego wywiadu, zignorował wszelkie poszlaki, które co najmniej powinny były zbudzić podejrzenia u starego wygi konspiracji. W tym wypadku Sawinkow był ślepy i głuchy, zaufał miłości.

Państwo Derenthal jeździli do Rosji, rzekomo konspiracyjnie, rzekomo na „robotę" kierowaną przez Sawinkowa.

Wreszcie i on pojechał rzekomo przetartą i pewną konspiracyjną drogą... wprost w objęcia, przebranych za konspiratorów, agentów Czerezwyczajki.*) Nigdy nie miałem wątpliwości, że elegancki baron i jego piękna pani Luba byli już w tym czasie w Paryżu najzwyklejszymi agentami sowieckiego wywiadu, przystawionymi do najgroźniejszego wroga bolszewików.

Lecz w ten pogodny jesienny wieczór w sympatycznym lokalu nie chciało się słuchać niewyraźnych podszeptów instynktu, by nie psuć sobie nastroju. I dla prowincjusza w Paryżu nie było niemiłe, że pani Luba koncentruje na sobie spojrzenia wielu panów i pań na sali, zaś wytworny pan Derenthal brylował francusko-rosyjskim salonowym polo-

*) Wciągnięty w pułapkę G.P.U. Sawinkow nie oparł się pokusie przechytrzenia bolszewików. Dzierżyński obiecał mu wolność za współpracę. Sawinkow liczył zapewne, że po odzyskaniu swobody ruchów potrafi raz jeszcze zbiec, albo w roli Wallenroda przyśpieszać „ewolucję od wewnątrz", której mirażami karmili emigrację rosyjską agenci-prowokatorzy rzekomo konspiracyjnego „Trustu", tym łatwiej, że prowokacja była zsynchronizowana w czasie z liberalnym kursem N.E.P.u. Uzgodniwszy z oskarżonym warunki, bolszewicy zainscenizowali swój pierwszy wielki proces pokazowy. Korespondentów zagranicznych dopuszczono tylko na „ostatnie słowo" oskarżonego i ogłoszenie wyroku. Sawinkow wygłosił patetyczną mowę w tym sensie, że wrócił dobrowolnie do Sowietów, aby ponieść zasłużoną karę za winy, wynikające z błędnego rozeznania rewolucji bolszewickiej, albo móc je okupić lojalną współpracą z partią i rządem. Wszystko odbyło się jak w teatrze, tylko zakończenie zaskoczyło głównego aktora. Dostał wyrok śmierci z zamianą na 10 lat więzienia. Po pokazowym procesie Sawinkow stał się z kolei „pokazowym" więźniem. Ulokowano go w dwupokojowym apartamencie, umeblowanym z przepychem, w więzieniu „na Butyrkach" sprowadzano dziennikarzy, którym udzielał wywiadów, zachęcano (czy zmuszano) do korespondowania z przyjaciółmi zagranicą. Dzierżyński nadal łudził szybkim zwolnieniem. Mniej więcej w miesiąc po procesie, 12 maja 1925 r., ogłoszono komunikat, że Sawinkow popełnił samobójstwo. Ponieważ jednak trupa nie pokazano dziennikarzom zagranicznym, a wkrótce znaleźli się tacy, którzy go rzekomo mieli rozpoznać na ulicach Moskwy, na emigracji do oskarżeń o zadanie ciosu ruchowi antykomunistycznemu przez publiczne „pokajanie" dołączyły się podejrzenia, że Sawinkow był sam prowokatorem „Trustu", a nie ofiarą prowokacji. Do gorących obrońców pośmiertnej czci Sawinkowa należał Winston Churchill, m.in. w pamiętnikach pt. „Wielcy współcześni". **(Przyp. wyd.).**

rem, swobodną uprzejmością dyplomaty i czarem wielkiego pana.

Zostało gościnnie ustalone, że w chwilach wolnych od polityki pan Derenthal będzie mi pokazywał Paryż.

DMOWSKI

Złożyłem półoficjalne wizyty kilku naszym dyplomatom, przejętym przez MSZ w sukcesji po Komitecie Narodowym w Paryżu. Próbowałem też od czasu do czasu bardzo ogólnikowo zaznajamiać bystrzejszych rodaków z osobliwymi cechami polsko-rosyjskiego problematu. Szybko dałem za wygraną. Żaden z nich nie wyszedł poza banały i tradycyjne oklepanki, nie mające nic wspólnego z aktualną rzeczywistością, za to mocno przytroczone do ułańskiego siodła sto pięćdziesiąt lat temu. Jeśli to byli zawodowi i młodzi dyplomaci, to żyli tak pochłonięci załatwianiem codziennych i zawsze szybkobieżnych duperelek służbowych i tak przejęci ważnością swojej roli, że aż głusi i ślepi na wszystko co wykraczało poza obręb codziennej papierowej potrzeby. Poza tym kwestie przyjęć, strojów, plotek o dzisiejszych i wczorajszych romansach dyplomatycznych wedet, znajomość zgrabnych kawałów i sprośnych dykteryjek, obok kwestii orderów, wstęg, wyścigów, gatunków win i marek samochodów stanowiły rdzeń ich zainteresowań. Bogu dzięki, nie polowania, bo prawdziwi myśliwi rzadko się pchali do dyplomacji, chociaż dyplomaci tłumnie pchali się do polowań. Tematy na pojutrze, dotyczące zagadnienia, by Polska przestała być w polityce zachodnio-europejskiej małą wice-Rosją, nikogo nie obchodziły poza jedynym Polakiem, którego miałem wkrótce spotkać.

Listu Naczelnika Państwa nikomu nie okazałem prócz ministra Patka, i tym jedynym razem wcale nie z politycznej potrzeby, lecz z serdecznego odruchu wobec kogoś, z kim się odnawia dawną, sprzed lat dziesięciu, znajomość. Co się tyczy mojej politycznej misji, całkowicie wystarczył mu mój krótki referat. Zrozumiał, nie okazał entuzjazmu, jak wszyscy spod znaku PPS, ale obiecał pomóc w każdej potrzebie.

Dziś już nie mogę sobie przypomnieć gdzie się spotkałem z panem Józefem Wielowieyskim, narodowym-demokratą, imponująco wytwornym wielkim panem, przy tym niezmiernie ujmującym i przyjemnym człowiekiem. Pamiętam tylko, że stało się to w środowisku francuskim. Albo u państwa Petit, dokąd mnie zaprowadził Sawinkow, albo w rodzinie mojej bratowej, Mikołajowej, Francuzki z urodzenia. Pan Petit był szefem kancelarii premiera Clemenceau, a żona jego, z domu Bałachowska, dziedziczka wielkiej cukrowniczej fortuny na Ukrainie, była wielką adoratorką krwawej rewolucyjnej chwały pana Borysa. Bratowa zaś moja pochodziła z bardzo konserwatywnej i katolickiej rodziny francuskiej. Mikołaj Wędziagolski, były rotmistrz lejbgwardii kirasjerskiego pułku Jego Cesarskiej rosyjskiej Mości (tzw. „żółtego", bo był również pułk kirasjerów Jej Cesarskiej Mości — niebieski), robił był karierę dyplomatyczną, nim rewolucja nie pozbawiła go najpierw pozycji i fortuny, a później życia.

Tu czy tam poznałem się z p. Wielowieyskim, który chociaż „prawicowiec", z miejsca otworzył mi kredyt szczerej sympatii. (Nawiasem mówiąc, dziś u schyłku nazbyt długiego życia przychodzę do wniosku, że sympatie i antypatie między ludźmi pochodzą ze źródeł jeszcze nie bardzo zbadanych.) Gdy mu powiedziałem w tonie żartobliwym, że jestem protagonistą sprawy polsko-rosyjskiej w całkiem nowym, porewolucyjnym aspekcie, którego on jest zapewne antagonistą, Wielowieyski mi żywo zaprzeczył. Zrozumiałem, że moja salonowa mimikra wobec tego wybitnego endeka jest zupełnie zbędna. Pod koniec uprzejmej rozmowy zapytał grzecznie, czy mam zamiar złożyć wizytę prezesowi Komitetu Narodowego. Odpowiedziałem, że oczywiście, tylko jeszcze się nie orientuję czym to umotywować. Pan Wielowieyski wyjął notes, odnotował adres, telefony, godziny. I tak do tej wizyty któregoś dnia doszło.

Dodać wypada, że wymagało to z mojej strony pewnej odwagi i samodzielności inicjatywy, chociaż w istocie to nie odwaga, ale rozwaga pokonała piłsudczykowskie tabu i zwyciężyła kult wodza. Rozumowałem najbardziej po pros-

tu, że Dmowski ma w Paryżu ustaloną pozycję, więc może być bardzo użytecznym dla sprawy, która nie jest ani sprawą Piłsudskiego, ani sprawą Dmowskiego, lecz sprawą polską. I rzeczywiście w kilku wypadkach dopomógł rozumną radą i szeregiem posunięć, uprzejmie wprzód ze mną uzgodnionych.

Jak na pierwszą wizytę zasiedziałem się nazbyt długo, lecz z inicjatywy gospodarza przez parę godzin opowiadałem szczegółowo i o moich rewolucyjnych doświadczeniach, i o projektach i planach, i o przeszkodach i trudnościach, jakie im stają na drodze, głównie emocjonalnych. Moje podniecenie tematem nie przeszkodziło mi w pewnej chwili spostrzec, że w bez zarzutu grzecznej uwadze, z jaką mnie Dmowski słuchał, jest także spora doza obserwacji mówiącego. Przyhamowałem się więc trochę w obronnej baczności i przyśpieszyłem zakończenie referatu.

Dmowski uprzejmie zgodził się z moją opinią, że w problemacie — my i Rosja — powstała próżnia, a czas jest najodpowiedniejszy dla zainicjowania zupełnie nowej i długodystansowej polityki ze wschodnim sąsiadem. Po wymianie nieco rozbieżnych charakterystyk wspólnie nam znanych Rosjan, jak Milukow, Rodiczew, Trubeckoj, Demidow, Stiepanow, Makłakow, Guczkow, Dmowski zapytał o Sawinkowa, lecz w taki sposób, by raczej delikatnie się dowiedzieć czy moja z nim zażyłość nie sięga dawnej wspólnoty w mordowaniu ludzi. Był wyraźnie usatysfakcjonowany, gdy mu odpowiedziałem w te same słowa, którymi odmówiłem niegdyś Sawinkowowi mego współudziału w akcji terrorystycznej: „Jestem człowiekiem wierzącym, więc nie mogę zabijać ludzi z tego powodu, że myślą inaczej niż ja, a poza tym, jako myśliwy z dziada pradziada nie uznaję kłusowniczych polowań na zasiadkę".

— Zresztą — dodałem — nie jestem socjalistą, lecz wyznaję potrzebę radykalnych reform społecznych w naszej ojczyźnie. Wierzę, że nieodzownym warunkiem jej bezpieczeństwa jest przyswojenie dwudziestu milionom rzymskokatolickich chłopów świadomości, że są również Polakami, czego bez reform praw i obyczajów dokonać się nie da.

Nie wydało mi się by Dmowski wysłuchał tej mojej maksymalistycznej deklaracji z ukrytym ubolewaniem. Rozmowa zeszła na naszych wspólnych znajomych wśród Polaków petersburskich. Zrozumiałem wywiadowcze intencje i wymieniłem nazwiska prof. Ziemackiego, prof. Petrażyckiego, Władysława Żukowskiego, mecenasów Wincentego Kopańskiego i Bolesława Olszamowskiego, inż. Bęrkiewicza, Konstantego Platera i wszystkich wybitniejszych młodzieńców z terenu Zabałkański 20 (Polska Kuchnia Studencka), wśród których niemało było endeków, pod wodzą najsympatyczniejszego i najbardziej prawego człowieka, Mieczysława Engla, mojego krajana z Litwy.

Celowo zataiłem moją pozapartyjną, lecz dość przyjazną komitywę z przywódcami SDKP i L., z którymi łączyły mnie okolicznościowe sprawy rewolucji rosyjskiej i zamiłowanie do częstych wycieczek krajoznawczych do Finlandii. Nie chciałem rzucić cienia wątpliwości na moją antybolszewicką hipotekę.

W czasie mego pobytu w Paryżu widywałem Dmowskiego często, nabrałem do niego szacunku i zachowałem dużą wdzięczność, gdyż wiele skorzystałem z jego znajomości terenu i ludzi. Tym bardziej, że zaimponował mi przy tym wcale nie endecką subtelnością, niemal elegancją. Mianowicie nigdy, ani jednym słowem, dwuznacznikiem czy akcentem nie zaczepił osoby Piłsudskiego i w najmniejszym stopniu nie złamał dobrych manier w stosunku do swych zaciętych antagonistów, sprawujących rządy w państwie.

(Po powrocie do Warszawy zostałem ostrzeżony przez moich przyjaciół piłsudczyków, że Piłsudski każe mnie wyrzucić za drzwi za moje nadprogramowe koneksje z Dmowskim. Omylili się tak samo, jak ze sprawą moich publikacji w endeckiej prasie. Piłsudski mnie pochwalił, z użyciem paru niecenzuralnych epitetów pod adresem Dmowskiego, a wysłuchawszy szczegółów, krótko powiedział: — Dobrze zrobiliście.)

SZCZEGÓŁY: O POLITYCZNEJ SZTUCE WYBIERANIA MENU I GOŚCI

Przy którymś kolejnym spotkaniu zapytałem Dmowskiego czy zechce przyjąć moje zaproszenie na śniadanie, na które zaproszę również kogoś z moich rosyjskich przyjaciół. Dmowski odpowiedział żywo, że i owszem, ale nieco później, gdyż wprzód on urządzi dla mnie spotkanie ze swoim przyjacielem, panem Auguste Gauvain, redaktorem *Journal des Débats,* człowiekiem bardzo wpływowym, i jak się Dmowskiemu wydaje, przygotowanym do zrozumienia wielu zawiłości w stosunkach na wschodzie Europy.

Śniadanie miało miejsce u uroczystego *Larue*. Pan Gauvain wyglądał jakby zszedł z portretu jakiegoś nobliwego przodka. Wysoki, szczupły, godnie wyprostowany mimo zaawansowanego już wieku, bystry w ruchach i błyskach inteligencji, uroczo indywidualny bez cienia pozy, wzbudzał spontaniczny szacunek, ciekawość i sympatię.

Interesowały go specjalnie zagadnienia dawnych posiadłości Rzeczypospolitej, współcześnie nazywane „kresami". Obaj z Dmowskim wykorzystywaliśmy jego konserwatywny pietyzm dla zasięgu łacińskiej kultury, i wskazywaliśmy na żelazną polskość inteligencji tego obszaru, na tradycjonalną rzeczpospolitość mas ludowych między Niemnem i Dźwiną, a częściowo i Dnieprem, na nieprzezwyciężony w warunkach stukilkodziesięcioletniego prześladowania katolicyzm północnego kraju, duchowo i cywilizacyjnie dominujący nad prawosławiem. Dystansując galopem temperamentu swobodę językową, mówiłem z polotem o religijności mieszkańców polnych, leśnych i wodnych obszarów kresowych ku wyraźnej satysfakcji pana Gauvain, katolika. Przypadły mu także do francuskiego gustu moje młodzieńcze idee budowania wiecznego pokoju z Rosją na zasadzie równorzędności pol-

sko-rosyjsko-ukraińskiej, i nie zawahał się stwierdzić, że tego rodzaju rozwiązanie jest jedyne dla zakończenia kilkusetletniego sporu i musi się spotkać z aprobatą całego cywilizowanego świata. Serdecznie obiecał poparcie naszych planów w swoim wydawnictwie — i obietnicy dotrzymał.

Podczas śniadania zauważyłem, że Dmowski lubił i umiał dobrze wybrać i ze smakiem zjeść. Śniadanie było wykwintne i smaczne, mimo że zupełnie nie odpowiadało moim prowincjonalnym pojęciom o smacznych i dobrych rzeczach na stole. Parę kolejek *Calvadosu*, w których pan Gauvain udziału nie brał, przypieczętowała polską modą delikatna sałatka „*Olivier*" i jakaś bardzo smaczna ryba w migdałowym sosie. Później comber sarni, wbrew politycznym gustom Dmowskiego gęsto żydowską modą czosnkiem i masońskimi smakami wysadzany, dalej cuda jarzynowe, bardzo wykwintne, najzwyczajniejszy *Château Laffitte*, ale prawdziwy, już należący do rzadkości. Po apetycznych wetach kawa, mocna i gorąca jak piekło, do niej mały *Jules Robin (réservé*, oczywiście) przysporzył smaku życia i utrwalił świadomość jakiejś w nim roli. Mówię o sobie.

W ciągu całego śniadania jacyś lordowie, poprzebierani za kelnerów, butlerów i zwyczajnych służących wciąż nam za coś dziękowali w głębokich ukłonach. Mimo woli zauważyłem, że do tych wersalskich manier zupełnie nie pasowały wybitnie hyclowskie miny niektórych z nich, co na Dmowskim i Gauvainie nie robiło żadnego wrażenia, mnie natomiast przerażało. Kalkulowałem, że uczta z takimi honorami będzie kosztowała Dmowskiego fortunę. Później sprawdziłem u Sawinkowa, że powinna kosztować sto kilkadziesiąt franków. Wkrótce zaś, płacąc sam za śniadanie dla Dmowskiego i Sawinkowa, przekonałem się, że nawet z lekką ekstrawagancją na korzyść „lordów" koszt jego wyniósł 200 franków. Piliśmy jednak nie we dwójkę podwójnie, a w trójkę poczwórnie, bo takie mieliśmy polsko-rosyjskie i piłsudczykowsko-endeckie wspólne upodobania.

Maklakow, b. ambasador Tymczasowego Rządu, nazywany teraz złośliwie *l'embarcadeur de la grande impuissance*, wymówił się chorobą i nie przyszedł.

Dmowskiemu Sawinkow raczej się podobał, Dmowski natomiast Sawinkowowi znacznie mniej. Może przyczyną tego była znacznie silniejsza pozycja Dmowskiego w Paryżu. Wprawdzie w owym czasie akcje polityczne Sawinkowa, jako wroga bolszewickiego reżymu, wzrosły w związku z jednostronnym przekreśleniem przez rząd komisarzy ludowych wszystkich rosyjskich długów i zobowiązań na kilka miliardów w złocie. Jednakże reprezentował tych co przegrali, gdy Dmowski tych co wygrali.

★ ★ ★

Któregoś wieczoru Sawinkow wydał wielkie przyjęcie u *Prunier*, na które sprosił swych znajomych i przyjaciół, dziennikarzy, literatów i intelektualistów z francuskiej lewicy. Głównym celem było oczywiście spopularyzowanie i wywołanie zainteresowania dla naszych zamiarów i projektów. Pan Borys przedstawił je na tle niefortunnych politycznie i wojskowo usiłowań rosyjskiej kontrrewolucji. Chociaż międzynarodowy zasięg przewrotu bolszewickiego nie był przez nikogo kwestionowany, jak zauważyłem, obecni nie zdawali się specjalnie zaniepokojeni.

Gdy przyszła kolej na mnie, a było to po dobrej kolacji, skorzystałem z wiedzy, że satysfakcja brzucha wzmaga tolerancję ducha, i zaatakowałem mocno niemrawy stosunek do bolszewizmu, który dla wielu obecnych a dla wszystkich prawie nieobecnych wydawał się raczej kontynuacją i odmianą francuskiego *liberté, egalité et fraternité* — a dla najbardziej płytko myślących rodzajem ludowego, kolektywnego Iwana Groźnego. Nie oszczędzałem słuchaczy. Niedwuznacznie podkreśliłem, że na całym świecie, nie wyłączając Francji, nie braknie palnego materiału, pozostającego całkowicie do dyspozycji moskiewskich podpalaczy.

Ponieważ wstęp do mojej improwizacji wygłosił bardzo mi życzliwy pan Annet, inspirowany przez Sawinkowa, dowoli używając sobie w przesadzie moich rewolucyjnych wyczynów i demokratycznych zasług, a przy tym zgrabnie, prawdziwie po francusku, ozdobił moje republikańskie przewagi intrygującymi aluzjami o moim kredycie zaufania u Naczelnika Państwa Polskiego, przychylność znakomitych słuchaczy

dla mego krótkiego wykładu wydawała się zupełnie szczera.

Pan Pertinax, słynny ze zjadliwości pióra, zadał mi kilka dodatkowych i rozumnych pytań, podziękował serdecznie w imieniu swoim i zebranych, a gdy go poprosiłem o zajęcie życzliwego stanowiska w naszej sprawie, zamyślił się głęboko i odpowiedział w te słowa:

— Drogi panie. Gdybyśmy mogli, gdybyśmy potrafili przekonać naszych proletariuszy, że obraz, który pan odmalował jest prawdziwy, wyzbylibyśmy się połowy kłopotów wewnętrznych i mogli naszym braciom Rosjanom podać silną pomocną rękę.

Cały ciężar tego oświadczenia zawisł nad jednym słowem g d y b y ś m y.

Polityczny cel przyjęcia u *Prunier* został jednak osiągnięty. Począwszy od następnego dnia w dziennikach stołecznych zaczęły się ukazywać na poczesnych miejscach artykuły i notatki, których ogólny sens polegał na ostrzegawczym apelu do demokracji, by nie lekceważyła niebezpieczeństwa bolszewickiego dla całego świata, z drugiej zaś strony były podkreślane wszystkie korzyści dla Francji, jakie przynieść by mogło trwałe porozumienie między jej dwoma naturalnymi sojusznikami: Polską i Rosją. Agencja „Argus" zasypała nas wycinkami prasowymi, gdzie były cytowane poszczególne wypowiedzi i wystąpienia uczestników przyjacielskiej agapy.

Popularyzacja w prasie mego nazwiska zelektryzowała jedynie nieprzychylną uwagę moich rodaków. Zaszkodzić mi to nie mogło, gdy miałem za sobą i Piłsudskiego i Dmowskiego, ale gorączkowe podpiekanie mi pięt odczułem.

... ŻEBY DWOJE CHCIAŁO NARAZ

Ambaras polegał na tym, że do aliansu polsko-rosyjskiego obie zainteresowane strony bynajmniej się nie kwapiły. A czas naglił. Mobilizując opinię francuską dla naszej sprawy, Sawinkow zamierzał pośrednio wpływać na opinie swoich rodaków w Paryżu. Wpływaliśmy na nią i bezpośrednio, konferując, agitując, „bywając", spotykając się, redagując.

Pewnego wieczoru, wolnego od politycznego programu, Sawinkow zaprowadził mnie do cichego i dystyngowanego domu Walentina Gieorgijewicza Plechanowa, twórcy rosyjskiego socjalizmu i międzynarodowego bolszewizmu, z którego Plechanow natychmiast się wycofał, jak tylko Lenin zaczął go realizować. W nieobecności gospodarza (nikt z nas jeszcze nie wiedział, że Plechanow już umarł w Petersburgu z głodu, z rozpaczy i choroby) honory domu robiła niezwykle miła i prosta żona wielkiego teoretyka z młodą i śliczną córką, w typie polskiej panienki z białego dworku. Ze zdziwieniem stwierdziłem, że dla panny Plechanow, niczym nie zdradzającej socjalistycznych upodobań, ja też musiałem się wydać typem turgieniewskiego młodziana, i tak między nami z miejsca ustalił się serdeczny stosunek dwojga młodych ludzi, którzy nie doświadczyli nigdy chwili zdecydowanego natchnienia, by przekroczyć próg, za którym zaczyna się banał. Jak tylko czas pozwalał, biegłem odwiedzać panie Plechanow, z miłą panienką spotykaliśmy się dla wycieczek do muzeów i parków, a pomimo żeśmy się z sobą nie nudzili, wszystko pozostało jak na początku. *I razoszliś kak w morie korabli* — jak mówi piękny rosyjski wiersz. (I rozeszli się jak na morzu okręty ...)

W Paryżu mieszkał inny wielki socjalista, Nikołaj Czajkowski, stary już człowiek, jak mchem porośnięty tradycją rosyjskiego wojującego radykalizmu XIX w., osobistość nie-

zmiernie szanowana przez swoich i obcych, szczególnie Anglików. Bolszewików nienawidził, nastawał na walkę z nimi ogniem i żelazem, aprobował naszą inicjatywę wojskowej organizacji rosyjskiej na terenie Polski, lecz ważności samego problemu polsko-rosyjskiego nie rozumiał. Polaków znał mało, polskość uświadamiał sobie niemal bukolicznie, Piłsudskiego, którego znał osobiście ze spotkań w Londynie, wspominał zimno i obojętnie. W pewnym momencie spytał, z handlową rzeczowością, ile by miała kosztować Rosję i Rosjan proponowana przez nas kooperacja? Sawinkow dowcipnie uściślił realizm starszego pana uwagą, że to raczej Polacy mieliby słuszny tytuł do zapytania ile ich będzie kosztować restauracja demokracji w Rosji, a ile regeneracja braterskich z nią stosunków.

Bez entuzjazmu — może w ogóle był już z niego wyczerpany wiekiem i sceptycyzmem zawiedzionego w nadziejach rewolucjonisty — Czajkowski zgodził się bez dalszych oporów na umieszczenie swego nazwiska na liście przyszłego rosyjskiego komitetu politycznego w Warszawie.

Mieszkał w Paryżu z córką, panną już ponad trzydziestkę, piękną, chłodną i uroczystą, przy której nawet zwyczajne wypicie herbaty wymagało natężonej uwagi. Bywaliśmy u Czajkowskich co pewien czas, spotykając się tam z wieloma Anglikami i Francuzami, nigdy z Rosjanami. Właśnie z ich domu wywodziła się moja znajomość z angielskim generałem Spearsem, jego żoną pisarką. i ze znakomitym Reilly, nie tylko znakomitym szpiegiem, lecz sympatycznym kompanem w gabinetowych naradach, w jaki najłatwiejszy sposób i z najmniejszym kłopotem dla rządu Jego Królewskiej Mości dałoby się zlikwidować rząd komisarzy ludowych w Moskwie. Porozumienie z nim było tym łatwiejsze, że pracując w Intelligence Service jako Anglik, chciał być przede wszystkim rosyjskim inteligentem, i umiał nim być. Może to właśnie zdecydowało o jego nieuchwytności dla Czeka, przez długie lata, gdy rezydował w bolszewickiej Moskwie. Skończył jak inni, z kulą nagana w potylicy, ale przed tym był wymyślnie i długo torturowany, odpowiednio do czasu w którym wodził czekistów za nos.

Najważniejsze dla nas zebranie z przedstawicielami demokratycznych ugrupowań rosyjskiej emigracji odbyło się w salonach państwa Ceytlin. Państwo Ceytlin, spadkobiercy zachowanej w dolarach fortuny, świecili w biedniutkim emigracyjnym światku nie tylko dobrobytem materialnym. Oboje reprezentowali najwyższą klasę rosyjskiej inteligencji, usuwającą kwestie fortuny na bardzo odległe tory. Ich dom stał się intelektualną oazą, gdzie ludzie kulturalni, nie krępując się ciasnotą programów partyjnych, mogli swobodnie się dzielić swoimi opiniami, najbardziej nawet skrajnymi lub sprzecznymi z ogólnie panującym nastawieniem takich czy siakich odłamów i koterii. Intelektualna swoboda, niejako obowiązująca w tym domu, była najsympatyczniejszą cechą salonów państwa Ceytlin.

A jednak czułem przez skórę, że wieczór wydany na moją cześć zapowiada się trudno.

Przybyło kilku panów z kadeckiego (K-D) obozu, kilku bezpartyjnych publicystów i pisarzy, i w kilkunastoosobowym składzie Centralny Komitet partii eserów. Wśród nich Ilia Bunakow-Fondaminskij, Mark Wiszniak, publicysta i teoretyk linii partyjnej, „babuszka rosyjskiej rewolucji" Jekatierina Breszko-Breszkowskaja, Wiktor Czernow, i stary eser Iwanow, może jedyny prócz Sawinkowa i państwa Ceytlin, do którego by pasowało określenie polonofila.

W owym czasie Sawinkow był już na moralnym indeksie u socjalistów i za stare grzechy, czyli antykiereńskie stanowisko w ostatnim okresie istnienia demokratycznej republiki, i za grzech śmiertelny solidaryzacji z generalską kontrrewolucją nad Donem. Mój skromny współudział w tych grzechach, dobrze znany obecnym, nie wróżył mi z tej strony sympatycznego przyjęcia. Wszystko na razie odbywało się pod pokrywką uprzejmych uśmiechów i konwenansów towarzyskiej etykiety, co bynajmniej nie ułatwiało nam zadania. Ułatwił ją niespodziewanie towarzysz Wiszniak.

Większy teoretyk niż krasomówca, a już w żadnym wypadku nie człowiek dobrych manier, Wiszniak zaczął przemawiać do mnie jak do młodszego towarzysza w Petersburskim Sowdepie, wobec którego nie trzeba zbytnio przebie-

rać w słowach żeby mu przemówić do rozumu i wybić mu z głowy szkodliwe iluzje. Więc molestował mnie za mój optymizm co do wyników polsko-bolszewickiego starcia, komunikując mi i zgromadzonym zupełnie rewelacyjne szczegóły o polskim wojsku, dowodzonym przez „paniczyków", przebranych w „papuzie uniformy i pobrzękujących szabelkami", które służą im przeważnie do obcinania bród starym Izraelitom.

— Czyż jest możliwe — wróżył w natchnieniu — by ta operetkowa armia mogła się oprzeć bolszewickiej armii, która jest przecież niezwyciężoną rosyjską armią?

Sawinkow, hipnotyzował mnie wzrokiem, jakby chciał uspokoić znanym żydowskim kawałem: „daj go mówić!"

Mnie natomiast przez chwilę wydało się, że Wiszniak wyraża to co myśli całe zgromadzenie, i już myślałem jak ukręcić łeb tej całej konferencji, Sawinkow miał jednak rację. Po Wiszniaku zabrał głos Iwanow. Iwanow był odwiecznym rewolucjonistą i — aczkolwiek nie należał do czołowych postaci rewolucji — jego waga partyjna była mierzona ilością lat katorgi. Iwanow przede wszystkim zwrócił uwagę na nieprzyzwoitość obrażania gościa, przyjaciela i towarzysza Polaka. Podkreślił, że obraźliwe oskarżenia polskiej armii pochodzą z ciemnych, a może nawet bolszewickich źródeł. Wskazal, że właśnie ja powinienem być tu tym, kto udziela informacji. I wobec tego prosi mnie w imieniu zebranych, bym możliwie jak najszerzej opowiedział im o walkach z bolszewikami o wolność naszej ojczyzny, które są także walką o wolność demokratycznej Rosji.

Nie zdążyłem jeszcze ust otworzyć, gdy zabrzmial niski i ochryply glos czcigodnej „babuszki" Breszko-Breszkowskiej: — Towarzysze, Pilsudski jest starym socjalistą, godnym szacunku i zaufania, obrońcą ludu pracującego. Piłsudski jest także wodzem armii polskiej, i przepraszam towarzysza Wiszniaka, ale ja nie wierzę, by w jego armii głównym zajęciem oficerów były dzikie wybryki antysemickie!

Przyszła kolej na mnie. Najpierw bardzo grzecznie podziękowałem pani Breszko-Breszkowskiej za interwencję, po tym

wygarnąłem Wiszniakowi i to co myślę o „niezwyciężalnej armii rosyjskiej“, w której byłem przez wiele lat, i to co myślę o tych, co uzurpują sobie wyłączność praw do walki z bolszewizmem, ale się do niej nie kwapią, i Żółkiewskiego w Moskwie i starsze od rosyjskich tradycje demokratyczne polskie, i wreszcie dzisiejszy wkład narodu polskiego, we przeszło milion ochotników, zmobilizowanych na poczekaniu, inteligentów i proletariuszy, socjalistów i burżujów, panów i chłopów, którzy dziś walczą o wolność swoją, to prawda, ale chcąc nie chcąc wyręczają w tym innych.

— Może towarzysz Wiszniak ma rację — mówiłem — że zostaniemy zwyciężeni przez „niezwyciężoną‘ bolszewicką armię, którą on nazywa „rosyjską“. Ale wówczas wierzę w horoskop obecnego tu pana Sawinkowa, że jeśli czerwona armia przejdzie po trupach polskich w granice Prus, to przy dzisiejszej koniunkturze nie ma takiej siły fizycznej i moralnej, która by mogła jej się przeciwstawić, i pan, panie Wiszniak, będzie zwyciężony także tu nad Sekwaną.

— Ja jednak wierzę — kontynuowałem — że się obronimy, i dlatego powziąłem śmiałą myśl zaproponowania panom, którzy reprezentują rosyjską demokrację, stworzenie po wschodniej stronie obronnej linii polskiej, rosyjskiej siły zbrojnej, nie generalskiej, spod upadłej gwiazdy „jedinoj i niedielimoj“, ale republikańskiej i demokratycznej. Pan Wiszniak stara się temu zapobiec obrazkami jakichś papuzich paniczyków, potrząsających fryzjerskimi szabelkami. Tylko od panów zależy, czy chcecie tę ofertę wykpić, czy ją przyjąć.

Wygarnąłem to wszystko w dużym podnieceniu, niezupełnie zdając sobie sprawę kogo obrażam, kogo zniechęcam, a kogo przekonywuję. Dopiero gdy skończyłem, mogłem zauważyć, że nastrój zebrania wyraźnie przechylił się na moją korzyść. Nie wiadomo zresztą ile w tym było mojej zasługi, a ile zasługi wiszniakowskiego prostactwa. Zebranie miało mieć charakter informacyjny, więc można było snuć najwyżej domysły kto z obecnych ozdobi swoim nazwiskiem polityczne czoło wojskowej akcji przeciw uzurpatorom bolszewickim. Jedno było samo przez się zrozumiałe, że centralną postacią politycznego i wojskowego przedsię-

wzięcia może być tylko Sawinkow. Dla niektórych było to tym łatwiejsze do zaakceptowania, że na wypadek fiaska zostanie skompromitowany człowiek, poważnie już obarczony w opinii socjalistów i demokratów, a do tego podejrzewany o skłonności dyktatorskie. Nie bez powodów, jak myślę.

Wszyscy jednak rozumieli, że jeśli coś ma być, to tylko z Sawinkowem na czele.

POWRÓT NAD WISŁĘ

Minął trzeci miesiąc mego pobytu w stolicy świata, a mnie się wydawało, że już lata całe przebyłem w tym najłatwiejszym mieście na kuli ziemskiej. Już czułem się starym paryżaninem. A jednak to nie kurier północny wiózł mnie z powrotem ku wschodowi, to najradośniejsza i ponad wiek dziecinna dusza leciała na niecierpliwych skrzydłach ku swoim.

Wczesnym rankiem pociąg wleciał na warszawski dworzec, który dla wielu pozostał po dawnemu „Wiedeńskim" bez uszczerbku dla uczuć narodowych. Byłem tak wzruszony, że zapomniałem, że wróciłem nie do Wilna i nie do Jaworowa, więc z przyzwyczajenia, jak głupi, zapytałem dorożkarza: — No i co słychać dobrego? — zanim się opamiętałem, że to nie wileński „zwoszczyk", i nie jaworowski Antoni. Starszy obywatel z kozła zaczął opowieść: — A to słychać, że milicja ludowa się skończyła, że pan Moraczewski ustąpił, bo przyjechał pan Paderewski, a pan Piłsudski bardzo się gniewa na bolszewików, co patrzą na Moskwę, aż im oczy wyłażą, a na Pelcowiźnie był wielki pożar, a owies podrożał i konie staniały, ale nie za bardzo... Dużo, panie, słychać, a co z tego wszystkiego będzie, Bóg raczy wiedzieć. — Starowina odwalił mi nowiny od początku roku.

W owym czasie pokój w Hotelu Europejskim był rodzajem wygranej na loterii. Lecz ponieważ ja zawsze wygrywające bilety trzymałem do spółki z p. Musiołem, głównym portierem, znów trafiłem do swego pokoju na drugim piętrze, i znowu odnalazłem się „w domu".

Mnie samego zastanawiało, jak ja, typowy „wschodniak", tak szybko, tak łatwo i tak serdecznie wrosłem w Warszawę, jakby była bliżej Jaworowa, niż Jaworów Petersburga. Mówiąc szczerze i uczciwie, w Petersburg byłem wrośnięty głę-

biej. Zresztą wrastałem w niego przez kilkanaście najpiękniejszych lat życia. Majestatyczność pięknego miasta, jego międzynarodowość, koloryt północy, zawsze mi tak bliski, stepowa bezbrzeżność morza na tle moich młodych lat, ściślej mówiąc: moje młode lata na tle tego granitowego pomnika gwałtu okrutnego cara nad błotnistą, północną równiną, wrosły mi w duszę głębiej, niż by się należało. Mając stale skłonność do wysnuwania mojego małego życia z kosmicznej kądzieli, i tu podejrzewam, że moje dziwne dopasowanie do obcego miasta posiadało powody związane z prabytowaniem. Bo jeszcze bardziej na północ, w małym zatraconym Gawryłowie na Półwyspie Murmańskim, poczułem naraz, jakbym wrócił z dalekiej i długiej podróży do swego domu, do prawdziwego mojego domu.

Kilka razy w życiu doświadczyłem takiej pewności poznawania miejsc. Najpewniej kiedyś byłem Eskimosem. Do dziś przepadam za rybą, lubię tłusto zjeść i nigdy mi to nie szkodzi, żaden mróz nie jest mi ani przykry ani straszny. Zapewne to było bardzo dawno, może o tysiąc lat przed tym, nim zostałem marynarzem na pirackim statku w moim hiszpańskim okresie, a znacznie później od moich interesujących przygód w okolicach Czarnohory i Popa Iwana w inkarnacji karpackiego niedźwiedzia.

Po zimnych wspaniałościach Paryża Warszawa późnojesienna radowała i wrastała w serce sensem i bezsensem widoków i wrażeń, kolorowością spraw, powitań i uciech.

Pod tanecznymi stopani, zawsze śpieszących nie wiadomo dokąd, pań i panienek, chodniki grały dziarskie staccato. Dziewczątka ze sztuczną i srogą powagą z pośpiechem wymijały chłopców, wzgardliwie wydymając usteczka, by w ostatniej chwili błyskawicznym strzałem pałającego wesołością i zaczepnego wzroku zaalarmować niedość wrażliwy sex wroga, uchylając przed nim rąbka piekielnych talentów temperamentu, po czym natychmiast z wyrazem bezdennej pogardy ubić na śmierć wszelką nadzieję. O warszawianki, warszawianki! Tyle w was uroku i kultu dla sztuki, ile w paryżankach szacunku dla franka!

Wisła w wielkim, chociaż już niskim, słońcu pławiła się w

blaskach, szeroko od brzegu do brzegu, bezwstydnie świecąc łachami piasków, a jednak urągając stepową wielmożnością wielkoświatowej Sekwanie, nieruchomej i zaciśniętej w zabrukowanych brzegach, skutej, jak kajdankami, przęsłami niezliczonych mostów. Wolałem Warszawę.

U Naczelnika Państwa, który mnie przyjął nazajutr po przyjeździe, jak zwykle koło północy, w obecności Bogusława Miedzińskiego i pana Patka, zostały ustalone zasady politycznej działalności organizacji rosyjskiej w Polsce, której głównym celem miała być mobilizacja Rosjan w bojowe jednostki. Dokładnie zostały określone granice ich autonomiczności i zależności od władz cywilnych i wojskowych polskich. Ppłk Miedzińskiemu polecił Naczelnik Pańtswa wojskowo-polityczne kwestie tej organizacji, zaś w odniesieniu do spraw dyplomatycznych, jeśli by takowe powstały, miał je załatwiać p. Juliusz Łukasiewicz, i jako jego zastępcy pp: Arciszewski i Szumlakowski.

Mnie upoważnił Naczelnik Państwa do wglądu we wszystkie szczegóły rosyjskiej organizacji, tak polityczne, jak wojskowe, w roli zaufanego doradcy i obserwatora. Piłsudski zlecił mi także zawiadomić mego przyjaciela Sawinkowa w Paryżu, że jego przyjazd do Warszawy jest pożądany.

BOLSZEWICKA OFENSYWA

W tym miejscu urywa się film mojej pamięci.

Wyjechałem na parę dni do Jaworowa. W sypialnym przedziale zostałem zatruty jakimś zastrzykiem. Jak przez mgłę pamiętam, że przez chwilę widziałem kogoś w moim przedziale, w którym sam jeden spałem, zamknięty od wewnątrz. Na mojej stacji w Jaszunach wyniesiono mnie na wpół żywego, ale już przytomnego, ułożono na słomie w drabiniastym wozie, gdyż w mojej bryczce jechać nie mogłem. Musiałem pozostać w Jaworowie przez dłuższy czas, zwolna wracając do zdrowia. (Nawiasem mówiąc, miałem i inne okazje się przekonać, że mój organizm jest odporny na pewne rodzaje trucizn.) Może to właśnie w tym czasie nastąpiła wizyta Sawinkowa i Czajkowskiego u Naczelnika Państwa, o czym pisze Pobóg-Malinowski. Ja tego nie pamiętam i trochę wątpię co do Czajkowskiego.

Natychmiast po powrocie do Warszawy zameldowałem się w Belwederze. Marszałek Piłsudski spotkał mnie ze wzruszającą życzliwością, szczegółowo wypytując o okoliczności wypadku w sypialnym wagonie. Dziwił się, że się nie obudziłem, kiedy morderca wchodził do przedziału. Powiedziałem, że tylko w błysku resztki świadomości przed jej całkowitym zanikiem zanotowałem bezszelestnie znikający cień człowieka. Piłsudski przez chwilę uważnie wpatrywał się w moją twarz, naraz wesoło się zaśmiał: — No to wam, jak i Rasputinowi, i cjankali nie da rady! Szczęście, że nie rąbnął was jakimś żelazem, czy nie dźgnął nożem... Bądźcie ostrożni. Oni mają wiele powodów was nie lubić, a sposobów unieszkodliwienia i doświadczenia w tym kierunku im nie brak.

Przechodząc do spraw bieżących, Piłsudski krótko stwierdził, że Sawinkow robi dobre wrażenie i umiejętnie zabiera

się do swojej sprawy, która się zapowiada na dość poważną dywersję polityczną i militarną.

Prace nad ukonstytuowaniem się rosyjskiego komitetu politycznego i sztabu rosyjskiej siły zbrojnej zostały teoretycznie ukończone na wiosnę 1920 roku. W rzeczywistości trwały w permanentnej improwizacji bez przerwy, co nikogo nie dziwiło. Już się bowiem rozpoczęła wielka ofensywa bolszewicka.

Na czele Komitetu stanął Borys Sawinkow. Zastępcą jego i wiceprzewodniczącym został Włodzimierz Fiłosofow, członkami Rady Komitetu: Dymitr Mereżkowski, Zinaida Gippius, Mikołaj Bułanow i kilka jeszcze osób na razie zagranicą, wśród nich, jeśli mnie pamięć nie myli, Mikołaj Czajkowski, Igor Demidow, Fiodor Rodiczew i książę Trubeckoj. Do Rady Wojennej weszli generałowie: Peremikin-Starszy, von Głazienap i hr. Pahlen. Sekretariat objął... pan Derenthal.

Do dyspozycji Komitetu został oddany Hotel Brühlowski. Dowództwo siłami zbrojnymi było całkowicie podporządkowane politycznie prezesowi Komitetu, zaś pod względem strategicznym i administracyjnym wszystkie formacje rosyjskie były uzależnione od naczelnego dowództwa armii polskiej. Gen. Pahlen objął tymczasowe dowództwo, później zastąpił go von Głazienap, a po nim, aż do końca istnienia rosyjskich jednostek — gen. Peremikin-Starszy.

Organizacja oddziałów wojskowych odbywała się szybko i dość sprawnie. Młode ochotnicze formacje rosyjskie, słabo uzbrojone i zaopatrzone z demobilu po okupantach, już jako pułki i nawet dywizje szykowały się w miejscach koncentracji do wystąpienia obok polskich sił zbrojnych. Te polskie siły zbrojne, również źle uzbrojone, z największym wysiłkiem opierały się masom czerwonych wojsk. Cały polski wschód już płonął pożogą i ział zniszczeniem. Przerażenie ludności przed inwazją nieprzyjacielskich, na wpół zdziczałych dywizji, powodowało masowy exodus ludności.

Spod Kijowa wracały pod naciskiem przeważających sił przeciwnika i pod podstępną presją partyzantki zbolszewiczałej ludności, wojska gen. Śmigłego, zachowując wszelkie

cechy opanowanego i celowego odwrotu. Z nad Berezyny, od Dźwiny toczyły się wstecz już rozsypanymi falami polskie pułki i dywizje, istotnie nie mogąc stawić czoła wrogowi, lecz nie wszędzie rozbite. Front był ponad miarę szeroki.

Padło Wilno, krwawo bronione przez regularne formacje i bohaterskich ochotników Dąbrowskiego.

Szosami i bocznymi piaszczystymi drogami, które od Nowogródzkich i Świsłockich puszcz prowadzą na zachód, nieskończonymi brzozowymi gościńcami wlokły się w skwarne dnie i księżycowe noce wszelkiego rodzaju zaprzęgi, szli piesi, ciągnęły stada bydła i tabuny koni, wszystko co posiadało nogi uchodziło przed groźbą rabunku, zniszczenia i śmierci, nazywanej przez najeźdźcę „wyzwoleniem"...Szczerniali, wychudli, zgnębieni ludzie wszystkich stanów, kobiety, starcy i dzieci, ziemianie, oficjaliści dóbr i folwarków, dzierżawcy i zamożniejsi chłopi, wszyscy, wszyscy, jedni w powozach i na wozach, wielu konnych, tłumy pieszych cierpliwie odmierzały dzień po dniu męczące kilometry w kierunku tych progów, których wróg przestąpić nie zdoła.

Front nieprzyjacielski, potknąwszy się na chwilę o Niemen, zajął Grodno, oskrzydlił Białystok i wreszcie żałobną ciszę Warszawy przerwały artyleryjskie kanonady. Nocami łuny obejmowały wschodnią stronę nieba i już nie było żadnej wątpliwości: wróg stanął pod stolicą.

W tym czasie siły rosyjskie składały się już z jednej dywizji piechoty pod dowództwem doskonałego oficera, gen. Peremikina-Młodszego, jednej mieszanej konno-pieszej dywizji gen. Bułak-Bałachowicza, z brygady jazdy na wpół kozackiej na wpół kawaleryjskiej esauła Jakowlewa i wreszcie z nie kompletnej brygady piechoty ze zwerbowanych żołnierzy białogwardyjskiej dywizji gen. Bredowa, internowanej w Polsce. Kto dowodził tą brygadą. nie pamiętam.

CZAS BYŁ NAPRAWDĘ TRAGICZNY . . .

W przeddzień wyjazdu Naczelnika do wojska, dla osobistego pokierowania śmiertelnym sztychem w trzewia wroga, zostałem wezwany do Belwederu. Nie wiedziałem przed tym, i nie wiedziałem po tym, czemu zostałem wezwany. Żadnych dyspozycji nie oczekiwałem, gdyż nie było żadnych spraw, odpowiadających powadze chwili.

Twarz Piłsudskiego była strasznie wymizerowana i zmęczona, a oczy płonęły złowrogo. Widziałem przed sobą i czułem całym jestestwem tak wytężone skupienie ducha człowieka przed nieznanym jutrem, jakby to był duch Polski przed wyrocznym progiem, za którym albo zwycięstwo-życie, albo porażka-śmierć. Już nie pamiętałem, że stoję przed Naczelnikiem Państwa, Naczelnym Wodzem, Piłsudskim: widziałem przed sobą tylko człowieka w chwili zaświatowego, nietutejszego natężenia woli wielkiego ducha, który był duchem narodu. Zbliżyłem się i najbardziej i najzwyklej po synowsku mocno uściskałem ramiona mojego wysokiego zwierzchnika, a ten mój odruch, najzupełniej wykraczający poza wszelką etykietę, i do niczego przepisowego niepodobny, widocznie rozładował w nim napięcie i koncentrację złej aury. Piłsudski, odpowiadając mocnym uściskiem, ostro zapytał:

— No . . . i co myślicie? Zatrzymamy?

Nigdy w mojej świadomości ni wstecz, ni później, nigdy w moich ustach prawda uczuć, przeczuć i przekonania, opartego na spirytualnej wnikliwości zmysłów, nie znalazła mocniejszego i sugestywniejszego wyrazu:

— Wierzę, jak w Boga, że tu się skończą!

Może w tych słowach było coś bardziej treściwego od mojego osobistego optymizmu, ale co, ja sam nie wiedziałem, lecz Piłsudski wyczuł. Widziałem w jego twarzy, że z

moich prostych słów wyczuł jakby posłanie, pochodzące z innego planu, całkiem irracjonalnego, lecz nieomylne, które w jakimś stopniu, chociażby na chwilę, troskę serca rozproszyło.

Polecił mi, bym za kilka dni zabrał Sawinkowa do Głównej Kwatery. Pożegnał jak syna, a na dowód, że potrafiłem go rozchmurzyć, uśmiechnął się i po swojemu zażartował:

— *Nu, tak doswidańja.*

— *Doswidańja w iskoni ruskom gorodie Wilnie* — odpowiedziałem tym samym tonem.

Piłsudski mściwie się zaśmiał.

POD WYSZKOWEM

15 sierpnia wyjechaliśmy z Sawinkowem pod front, by na własne oczy widzieć, jak wygląda wielka bitwa o wolność Polski.

Tuż za spalonymi Markami wjechaliśmy samochodem belwederskim na gorące ślady wczorajszej walki. Po drodze z pewnym zdziwieniem oglądaliśmy obok szosy szereg pozycji najcięższej artylerii, o której istnieniu nie wiedzieliśmy. Wzdłuż drogi stały spiżowe olbrzymy, ośmio i więcej calowe potwory z zadartymi na daleki zasięg lufami. Koło nich żwawo uwijali się jacyś dziwni artylerzyści, raczej podobni do doktorów filozofii niż do ogniomistrzów, pod komendą *fejerwerkerów* starej rosyjskiej, niemieckiej i austriackiej armii. Strzały tych kolubryn ogłuszały do granicy wytrzymałości uszu, lecz jakże radowały nasze serca.

Pod Wyszkowem szosa wpadała w piękny sosnowy las, który wielkim łukiem przylegał do Bugu, tuż przed miastem po drugiej stronie rzeki. W Wyszkowie jeszcze nieprzyjaciel.

Kazano nam porzucić wóz w lesie. Po okazaniu właściwych upoważnień pozwolono dołączyć do kompanii młodzików, szykujących między sosnami skok za Bug. Z któregoś nadbrzeżnego domu miasteczka zawzięcie i bez przerwy terkotały w naszym kierunku karabiny maszynowe, może trzy, może cztery, gniozdo niezbyt groźne dla ukrytych od ognia, lecz poważna przeszkoda dla otwartej przeprawy na drugą stronę rzeki. Plaskały również niezbyt gęste strzały karabinów, bolszewicy strzelali podle, kule szły górą, siekąc przeważnie konary drzew, lecz wśród żołnierzy już byli ranni. W rzadkich chwilach przerwy ognia i ciszy słychać było jakby daleki i kłótliwy turkot wielu konnych wozów za miasteczkiem.

Dwa mosty spalone, tylko pale sterczą, brodów na Bugu mało, ale przybywa z tamtej strony jakiś cywil i gorączkowo melduje kapitanowi, że bolszewicy uciekają, że tabory już wyszły, a w mieście panika, bo soldaty chodzą po domach, rabują i mordują. Jednocześnie, lawirując między rzadkimi sosnami, nadjeżdżają dwie armaty. Ustawiają się jedna za drugą w odległości stu metrów na różnych poziomach spadku leśnego wzgórza i po paru minutach otwierają ogień ze strasznie hałaśliwych gardzieli. Ta na wzgórzu usiłuje, jak się orientujemy, wymacać kuliomioty. Wali w jakąś bardziej wyniosłą kamieniczkę nad rzeką, strzela trzy razy i karabiny milkną. Z kamieniczki, całkiem wypaproszonej, pozostaje kupa cegieł na ziemi i obłok kurzu w niebie. Drugie działo, ulokowane niżej i bliżej rzeki w jakimś dołku, strzela wyraźnie w niebo i milknie. Czarny jak cygan porucznik ze słuchawkami na uszach coś wtedy szybko notuje. Znów pojedynczy strzał, znów chwila wsłuchiwania się w słuchawki, wreszcie gęba cyganowi rozpływa się w wesołym śmiechu, krzyczy coś niecenzuralnie, rzuca się do swoich przy armacie, coś im tłumaczy, biegnie na górkę do drugiego działa — i po chwili cały las, a jak nam się podłym cywilom wydawało, cały świat zagrzmiał nieprzerwanym dwugłosem, raz po razie, bez jednej chwili przerwy, aż w uszach huczało i dech zapierał radosny domysł, że coś się dzieje bardzo dobrego.

Wreszcie się dowiadujemy: nasi artylerzyści wymacali dokładnie szosę za Wyszkowem na długi dystans. Okazuje się, że już dobrze nawiązano łączność. Szosę obłożono ogniem bez ochyby, a myśmy się radowali, wyobrażając sobie, jaka tam się zaczęła bezlitosna masakra. Piękny to musiał być widok, jak to się tam wszystko wymieszało, splątało wzdłuż i w poprzek wozy w rowach, poranione i pozabijane konie, setki rannych i zabitych, żywi w zupełnie nieprzytomnym przerażeniu uciekają, gdzie oczy poniosą, przeważnie w krzaki. A te dwa działa, narzędzia sprawiedliwości, grają i ryczą, sięgając to dalej, to bliżej, i grzmią bez przerwy.
sę, sama młodzież poniżej dwudziestki. Biegną ku rzece, bo
Kapitan wyprowadza kompanię czy cały batalion na szo-

można się przeprawić po sterczących palach mostu — wyjaśnił ten cywil. Nadchodzi wiadomość, że po tamtej stronie już są dwa szwadrony jazdy, wyczekujące końca artyleryjskiej kośby, by niebawem zacząć swoje kawaleryjskie żniwo.

Źle się działo tego dnia bolszewikom pod Wyszkowem, źle się działo i w innych miejscach, i już się nie poprawiło aż do końca kampanii.

W czasie tej krótkiej wizytacji frontu, gdzie bili się Polacy z Rosjanami, uważnie obserwowałem spod oka mojego rosyjskiego przyjaciela. Musiałem stwierdzić, że nie grał ani inteligenckiej tragedii, ani dyplomatycznej komedii. Był szczerze i gorąco przejęty powodzeniem sprawy, za którą opowiedziało się jego sumienie i rozumienie. Może nie jeden Polak mógłby się zawstydzić swojej powściągliwości w entuzjazmie, obserwując ogień zwycięskiego triumfu w oczach tego Rosjanina na widok pogromu jego braci.

Wracaliśmy do Warszawy w doskonałych humorach, podniesionych jeszcze zawiadomieniem, że mamy obiecaną audiencję u Naczelnego Wodza w m. p. Kwatery Głównej.

W Markach podejmowała nas gościnna „księżna miłosierdzia", Franciszka Woroniecka, mocnym koniakiem i jeszcze mocniejszą kiełbasą, zarządzając jednocześnie i bezapelacyjnie władowanie do naszego belwederskiego Cadillaca trzech rannych żołnierzy.

— Mama zawsze tak — pocieszała nas pani hrabina Potocka.

NA WYPADEK KLĘSKI

Dla pamięci warto odnotować, że na kilka dni przed 15 sierpnia, tzn. gdy się jeszcze ważyły losy, mjr Marianowi Kościałkowskiemu zostały polecone bardzo delikatne sprawy przyjęcia w odpowiedni sposób wojsk nieprzyjaciela już w murach miasta. Pan Marian szybko porozumiał się ze starą peowiacką gwardią, która była i nie była w szeregach walczących, podzielił ją na sekcje i każdemu oddziałowi powierzył określoną rolę, czynność i broń. Ludzi zmobilizowanych w tym celu było podobno, jak mnie informowano, z górą tysiąca z perspektywą przyłączenia się dziesiątków tysięcy już w ogniu. Należałem do oddziału Krakowskiego Przedmieścia i Saskiego Placu, a w samym Hotelu Europejskim było nas chyba z pół setki. Skrzynki z granatami i ręczną bronią były przywiezione w największej tajemnicy, jako bagaże gości, i zamagazynowane u naszego dowódcy, którym był szef recepcji, pan Musioł, stary żołnierz i gorący patriota.

Mój brat Bronisław, dowódca którejś dywizji piechoty, właśnie odstawiony od dowodzenia przez gen. Hallera, podobno „niesprawiedliwie" i z powodu osobistych animozji, mieszkał na tym samym korytarzu co ja, i chociaż do sprzysiężenia nie należał, żądał kategorycznie przydziału granatów. Nie mogłem się na to zgodzić, będąc świadom zawziętości Bronisława na niesprawiedliwość opatrznościowego generała.

Bóg zrządził wszystko inaczej. Ominęło nas jeszcze jedno szaleństwo, słusznie nazywane przez poetów bohaterstwem, a przez zwykłych rozsądnych ludzi — katastrofą.

NA WYPADEK ZWYCIĘSTWA

Ogólna liczebność rosyjskich formacji na polskim froncie, walczących pod egidą Rosyjskiego Komitetu Politycznego dochodziła do 80.000, z czego na froncie było 2/3. Resztę stanowiły kadry przyszłych formacji i garnizony baz (Ostrów Poznański).

W Radzie Komitetu Politycznego Sawinkow reprezentował ideę porozumienia polsko-rosyjskiego, tak jak była uzgodniona i ze stroną polską i wielokrotnie zaakceptowana przez Związek Odrodzenia Rosji. Zapewne nie wszyscy Rosjanie w Polsce dzielili jego poglądy, prawdopodobnie dla większości wytworzona sytuacja wydawała się czymś pośrednim między *„smutnym wremieniem"* ze Stefanem Żółkiewskim w Moskwie, a rodzajem politycznego benefisu *„prekrasnoj"* pani Krzesińskiej, gościnnie podejmującej we własnym domu przyjaciół-Moskali. Wszyscy jednak członkowie Komitetu, jego współpracownicy i wyżsi dowódcy wojskowi należeli do naszego Towarzystwa Polsko-Rosyjskiego i tłumnie odwiedzali jego zebrania i odczyty, stopniowo sobie uświadamiając, że ten *„Priwislanskij Kraj"*, to jednak wytwór tysiącletniej historii, kultury i odrębnego obyczaju. Przełamaniu starych nawyków myślowych służyła także wydawana przez Sawinkowa w Warszawie gazeta „Za Swobodu". Na łamach tego dziennika ukazywały się artykuły znakomitego publicysty Włodzimierza Filosofowa, który przesiąkł nawskroś romantyką nowej ery w stosunkach polsko-rosyjskich, i Dymitra Mereżkowskiego, wielkiego rosyjskiego pisarza w skali międzynarodowej, mistyka, nadającego walce z bolszewizmem sens krucjaty przeciw rządow Antychrysta. Na Mereżkowskim Piłsudski przy osobistym parokrotnym zetknięciu zrobił ogromne wrażenie. Ujrzał w nim męża wybranego na zbawcę ludzkości od bolszewizmu,

któremu pragnął włożyć do prawicy dońską kontrrewolucyjną kozacką szablę, a do lewicy Krzyż. W kilku swoich odczytach w Warszawie, wygłaszanych po francusku i po rosyjsku pt. „Krzyż i Pentagram", na które śpieszyła cała kulturalna publiczność stolicy, Mereżkowski, biorąc naszych wieszczów na świadków, nadawał aktualnym politycznym sprawom wizjonerskie aspekty posłannictwa Narodu Polskiego.

Ton emigracyjnej prasy rosyjskiej na zachodzie był jednak inny. Hasło „jedinoj i niedielimoj" zaledwie maskowano obłudą, co skwapliwie wykorzystywała propaganda bolszewicka, która obiecywała na prawo i lewo niepodległość wszystkim narodom Rosji w jak najszerszych granicach. Toteż ani Ukraińcy, ani narody bałtyckie, ani grupy narodowe kaukazkie kontrrewolucji nie poparły, a często jej się wręcz przeciwstawiały.

W tym czasie wprawdzie już się zaznaczyła, najzupełniej zresztą teoretyczna, konsolidacja wszystkich wodzów ruchu antykomunistycznego wokół rządu admirała Kołczaka, który miał być uznany za rząd wszechrosyjski. Sawinkow, popierany z Paryża przez swoich przyjaciół Rosjan i Francuzów, miał do niego wejść jako minister spraw zagranicznych, wysuwając ze swej strony głośne nazwiska socjalistów i liberałów. Generałowie, wodzowie białych armii, widzieli jednak w Sawinkowie przede wszystkim mordercę carów (w. książę Sergiusz) i jego ministrów (Plehwe), i tępili go, jak mogli. Zresztą większość z nich walczyła nie tylko z bolszewicką rewolucją, ale z każdą rewolucją, i łatwo się było domyślać, że w razie ich zwycięstwa droga do władzy i pracy dla byłych rewolucjonistów, choćby najbardziej nieprzejednanych wrogów bolszewizmu, byłaby szczelnie zamknięta. Demokraci ze swej strony, chociaż w skrytości ducha sami rozczarowani do swojej rewolucji, na zewnątrz nie byli skłonni do ustępstw w podstawowych sprawach przyszłego ustroju. Wszyscy szczerze pragnęli zguby bolszewików, lecz jeden przed drugim niecierpliwie wyczekiwali upadku ubiegających się o honor zbawców ojczyzny od bolszewickiego „*iga*". Między Paryżem, Omskiem i Krymem krążyły telegramy, pisma i noty, uwijali się nieśpieszni kurierzy

i emisariusze, lecz szczerego poparcia dla rządu Kołczaka nie było.

Rosyjscy kontrrewolucjoniści nie potrafili budować swojego „odrodzenia", jak rosyjscy rewolucjoniści-demokraci nie potrafili bronić swojej demokracji przed bolszewikami. Nie pomogły apele liberalnej prasy, nie pomogły głosy znanych całemu światu demokratów, ani tanki francuskie, ani karabiny angielskie, wszystko ginęło w bezrozumnych „czystych rękach" ortodoksyjnych reakcjonistów, którzy w rewolucji nie dostrzegali wielkiej historii, a tylko „bunt czerni".

Wszystkie późniejsze wielotomowe dzieła historyczne białych wodzów nie wyglądają przekonywająco, gdyż nie mówią nigdzie o błędach ich polityki i administracji, podnosząc tylko wzniosłe cele i heroizm swoich żołnierzy, oskarżając aliantów, a głównie nas, Polaków, o wycofanie poparcia. Jak gdyby Polska w dalszym ciągu była generał-gubernatorstwem warszawskim, zobowiązanym do militarnej solidarności z ich strategicznym działaniem.

Rosyjski Komitet Polityczny w Warszawie w swych odezwach do ludności rosyjskiej przyszłej demokratycznej Rosji jak najbardziej odcinał się od wszelkiej ideologicznej wspólnoty z generalską krucjatą o wyzwolenie ojczyzny. W wyzwalanych gminach pozostawiano „sielskie sowiety" (rady gminne), z których usuwano tylko aktywistów-komunistów. Rosyjski Komitet stawiał na tzw. „kułaków", czyli zamożnych i rozumnych gospodarzy, zaciętych wrogów komunizmu. Może ze wszystkich prób obalenia moskiewskiej dyktatury siłą, wysiłki Komitetu były jedynym rozumnym, konstruktywnym działaniem.

Niestety, na jego realizację nie starczyło czasu i sprzyjających okoliczności.

W KWATERZE GŁÓWNEJ NACZELNEGO WODZA

O świcie pomknęliśmy w kierunku Białegostoku, mijając go przez nieporozumienie. W Wołkowysku dowiedzieliśmy się, że dywizja, do której nas skierowano, gdzie rzekomo miał nas przyjąć Naczelny Wódz, posunęła się naprzód walcząc, lecz napotkawszy opór nieprzyjaciela, obecnie znajduje się w manewrze. Uznaliśmy wobec tego, że wizyta nasza jest odwołana. Tymczasem odnalazł nas kurier na motocyklu, który przywiózł zaproszenie Naczelnego Wodza i Naczelnika Państwa dla prezesa Rosyjskiego Komitetu Politycznego na śniadanie o pierwszej w Głównej Kwaterze, mieszczącej się w wagonach na bocznych torach stacji kolejowej Białystok.

Pędząc na złamanie karku doskonałym belwederskim wozem, zdążyliśmy na czas.

Piłsudski spotkał Sawinkowa ze szczególną serdecznością. Wesoło i znacząco potrząsając jego dłoń, powiedział po rosyjsku:

— *Nu, czto?... Idiom wpieriod...*

— Za panem nie nadążyć — odpowiedział Sawinkow w tej samej tonacji po francusku, witając się jednocześnie z obecnym gen. Niesselem, jego dawnym znajomym z Peterburka, i gen. Żeligowskim, dowódcą dywizji Litewsko-Białoruskiej

Obecnych rozsadzono przy osobnych stolikach wagonu restauracyjnego. Przy jednym siedział Piłsudski, Niessel, Sawinkow i Żeligowski; przy drugim szef sztabu gen. Rozwadowski z jakimś francuskim oficerem i dwoma polskimi pułkownikami; przy trzecim adiutant Wieniawa-Długoszowski, dwóch oficerów i ja; dalej parę stolików zajmowali oficerowie sztabu i korespondenci prasy stołecznej. Z wyjątkiem pierwszego stołu nastrój u wszystkich był nieco hałaśli-

wy, być może zbyt podniecony, co było zupełnie zrozumiałe przy tak szczęśliwym obrocie wojny.

Przy pierwszym stole, jak się wkrótce dowiedziałem, Piłsudski, wymownie popatrując na francuskiego generała, usilnie przekonywał Żeligowskiego, by nie podnosił rokoszu i nie groził zajęciem swoją Litewsko-Białoruską dywizją *„iskoni russkowo goroda“* Wilna, gdyż to może wywołać dezaprobatę wysokiej rady alianckich ambasadorów w Paryżu. Żeligowski natomiast zaklinał się na Cudotwórną Ostrobramską, że jeśli on się nie zbuntuje, to jego dywizja się rozproszy i zdezerteruje: jedni do Litwy, drudzy na Białoruś.

Podobno było zabawne, że Żeligowski mówił w tzw. „niżegorodskiej francuszczyźnie“, której Niessel całkiem nie rozumiał, dyplomatycznie tylko kiwając głową. Wobec czego Piłsudski był zmuszony tłumaczyć generałowi najbardziej interesujące repliki „rokoszanina“ na potoczny język francuski.

Piłsudski, nie przekonawszy Żeligowskiego, a nie chcąc korzystać ze swojej władzy Naczelnego Wodza — jak informował mnie Sawinkow — przerwał dyskusję o buncie, i zaczął się rozpytywać o sprawy Komitetu Rosyjskiego, o przypływie ochotników, i przepowiadał rychłe wyjście wojsk Komitetu na terytorium rosyjskie. Zapytałem Sawinkowa, co Piłsudski rozumiał i określał, jako rosyjskie terytorium. Odpowiedział z ożywieniem i przekonaniem, że określał jego granice całkiem realnie.

STANISŁAW BUŁAK-BAŁACHOWICZ

— Nie szukajcie w nim cech sztabowego generała, to nie będziecie mieli rozczarowań — instruował mnie i Sawinkowa Piłsudski, gdy nas wysyłał na inspekcję wojennej aktywności, na froncie i poza frontem, gen. Bułak-Bałachowicza. — Jest to typowy partyzant i warchoł, raczej doskonały ataman rozbójników, niż oficer w europejskim stylu, lecz w warunkach tej wojny niezrównany dowódca. Bije bolszewików w wielu wypadkach lepiej niż sztabowi generałowie, bo sam jest bolszewikiem, zresztą genealogicznie z nich się wywodzi. Nie żałuje cudzego życia, cudzych mąk, zupełnie jak własnych, jeśli trafi w ich ręce. Dajcie mu być sobą, bo innym być nie potrafi. Nikt z rysia nie zrobi cnotliwego wyżła.

Wkrótce na własne oczy mogliśmy się przekonać o słuszności tej charakterystyki.

  

Gen. Bułak-Bałachowicz na czele swoich pskowskich i witebskich *rezunów* praktykował rzeczywiście swoją własną strategię, i bił się z bolszewikami nie na życie ale na śmierć. Brał kupami jeńców i na poczekaniu przeobrażał ich w swoich żołnierzy. Podejrzewać wszakże można, że tych jeńców, a także dezerterów z Czerwonej Armii, bardziej pociągała legenda wodza-rozbójnika, niż polityczny program kontrrewolucji. Bijąc się i mobilizując na prędce, Bałachowicz miał już wkrótce pełną dywizję piechoty, pułk jazdy i brygadę artylerii. Wojsko jego było prawdziwym „*zbrodem*". Składało się z jego dawnych żołnierzy z armii gen. Judenicza, rozgromionej na przedpolu Petersburga, z pskowskich oczajduszy, zaprawionych w boju i rabunku, niczym kopia Kmicicowej Kupy z poprawką na współczesne sposoby wojowania i rozboju. W kawalerii obok paru książąt-awantur-

ników nadawało ton kilku doskonałych oficerów rosyjskiej jazdy, przeważali jednak pskowscy, dziśnieńscy i dźwińscy hycle spod ciemnej gwiazdy, co w chwilach wolnych od wojennego trudu sławę kontrrewolucyjnej szabli usiłowali utrzymać na godnym poziomie w bezlitosnych rozprawach ze wszystkimi podejrzanymi o bolszewizm. Przy czym za nieomylne kryterium służyło każdorazowe widzimisię i pokusa rabunku.

Trzeba jednak sprawiedliwie przyznać, że obok wariackiej odwagi Bałachowicz odznaczał się niezwykłą pomysłowością w wojenym rzemiośle, był niezrównany w oszukiwaniu czujności przeciwnika, zaskakiwaniu go i wyprowadzaniu w pole, czemu zawdzęczał nie tylko sukcesy, lecz trwalszą od sukcesów ... legendę.

Bolączka gen. Bałachowicza, nigdy nie ukojona, pochodziła z goryczy, że nie on jest naczelnym wodzem wyzwoleńczej armii Rosyjskiego Komitetu Politycznego.

Tymczasem kadrowi oficerowie, jak Pahlen i Głazienap, którzy już w 1914 r. byli pułkownikami armii carskiej, bardzo krytycznym okiem popatrywali na „generała" Bułak-Bałachowicza, który w tymże samym 1914 r. był oficjalistą w jakichś dobrach dziśnieńskiego powiatu, a dopiero w 1915 r. został „*wolnoopriedielajuszczym*" (ochotnik z cenzusem), a już w 1917 r. sał się generałem brygady i niezmiernie popularnym wodzem partyzantki w armii gen. Judenicza. Nawet gen. Bonaparte nie robił tak szybkiej kariery. Trzeba również dodać, że Bałachowicz przeszedł na stronę „białą" z Czerwonej Armii, gdzie również bohatersko, lecz w odwrotnym kierunku ideologicznym dowodził czerwonymi partyzantami, zresztą tymi samymi obwiesiami i zbóiami, gdyż zdradził bolszewików na czele wszystkich swoich pskowskich wojaków.

Zawziętość bałachowców na bolszewików, ekscytowana pewnością, że niewola jest stokroć większym nieszczęściem niż śmierć, w wielu wypadkach podniecana pomstą osobistą, regionalną, rodową, powiatową, czy wsiową jego żołnierzy, usprawiedliwiała do pewnego stopnia zdziczenie obyczajów,

równe bolszewickiemu, tzn. kolidujące z najbardziej liberalnie pojętymi prawami wojny.

I tak przez dłuższy czas po przeciwnej stronie działał pewien politruk, oczywiście czekista, który już wielu rannych czy wziętych do niewoli bałachowców obłupił ze skóry i przed śmiercią przysmażał na blachach polowej piekarni. Po naszej stronie był znany pod zawołaniem „*Wierzila*" (Drągal) lub „*krasnaja Wierzila*", gdyż miał powyżej dwóch metrów wzrostu. Podobno student, czy nawet seminarzysta prawosławnego seminarium (jak Stalin) wyróżniał się wśród okrutników niezwykłym sadyzmem. Ponieważ przed kilku dniami czerwonemu oprawcy umknął w las i wrócił do swoich bałachowiec, częściowo obdarty ze skóry, ale jeszcze nie przypalony, pskowiczanin, posiadający na tamtej stronie żelazną sitwę krewniaków, tu i tam zaprzysiężono na krzyż złowić kata i przerzucić żywego na drugą stronę. Zapolowano i złowiono. Przyprowadziło go ciemną nocą trzech krasnoarmiejców, ale też pskowiczan, i kumów obłupionego ze skóry swojaka.

Właśnie kiedyśmy z Sawinkowem przyjechali na inspekcję wojsk Bałachowicza, gdzieś w zatraconych kątach Polesia, zaprezentowano nam tę osobliwość, dopiero co przytransportowaną do sztabu dowództwa. Ponieważ Bałachowicz lubował się w niewybrednych efektach, i tym razem skomponował amatorskie przedstawienie, które jednak omal że nie skończyło się krwawym fiaskiem.

Po dokonaniu inspekcji oddziałów rezerwy, zaproszono nas na obiad do kwatery „armii", która mieściła się w najlepszym domu w miasteczku. Gdyśmy weszli do zaimprowizowanej jadalni, w której stał stół nakryty wspaniałym obrusem z radziwiłłowskimi mitrami na rogach, zastawiony zakąskami i butelkami, ujrzeliśmy w rogu pokoju ogromnego człowieka, długorękiego, posiniaczonego na twarzy prawie dziecinnej, z biegającymi małymi oczkami i winnym uśmiechem wyżła, który przed chwilą nie dotrzymał stójki i spędził leniaka. Stał wyprężony pod ochroną dwóch brodaczy, gościnnie uśmiechających się do nas.

Odprawiwszy ochronę, Bałachowicz zwrócił się do Sawinkowa i do mnie:

— Panowie pozwolą przedstawić sobie politruka 101 czerwonej dywizji, Łomowa, który własnymi rękami męczył a później mordował naszych żołnierzy i towarzyszy — Prezentacja była wypowiedziana jakby mimochodem, najnaturalniejszym tonem, przy odpinaniu pasa z rewolwerem i rzuceniu go na stolik pod ścianą, a zacieraniem rąk, i zaraz po tym z uprzejmym zapytaniem: — A jakiej wypijemy na rozgrzewkę? Na co dziś pan minister ma ochotę: jarzębiaka, czy czystej z lodu?

Z ciekawością przyglądaliśmy się zbrodniarzowi, gdy tymczasem panowie oficerowie, a było ich kilku, odpinali pasy z szablami i rewolwerami, lokując na stole pod ścianą swoje nagany, colty i wielkokalibrowe Smithy. Łomow stał pod ścianą nieruchomo, lecz w miarę jak na stoliku wyrastała kupa broni, jego rozlatane, wpółprzytomne oczka zdawały się tężeć w jakiejś nowej uwadze. Nikt prócz mnie i Sawinkowa nie zwracał na niego najmniejszej uwagi. I tylko my dwaj cywile w tym towarzystwie wojskowych i partyzanckich wyg podnieśliśmy nasze kieliszki lewymi rękami, gdy Bałachowicz zwrócił się teatralnie serdecznie do zbrodniarza:

— Daruje pan politruk, że go nie zapraszam do stołu, lecz proszę być obecnym, może któryś z pa...

Nie skończył. Łomow już był przy stoliku, lecz nim zdążył schwycić pierwszy z brzegu pistolet w kaburze, padł suchy strzał w sufit, po czym spokojny głos Sawinkowa: — Ręce przy sobie.

A ja już go trzymałem na muszce parabellum, z którym tak łatwo, jak panowie oficerowie, nie mam zwyczaju się rozstawać.

Na strzał wpadło kilku żołnierzy, by zakończyć przedstawienie, które omal nie stało się najgłupszym dramatem.

Bałachowcy skręcali Łomowi ręce wtył, zawiązując dłonie polowym kablem i dość łagodnie wypchnęli go z pokoju. Przed śmiercią wyliczą mu dokładnie najwyszukańszymi mękami rachunek wszystkich jego zasług, niczego nie zapomną, i nic nie darują.

EPILOG

Inne oddziały wojskowe, jak piechota gen. Peremikina-Młodszego i jazda pod dowództwem esauła Jakowlewa, też biły się z bolszewikami prawdziwie po bratersku, tzn. ze śmiertelną nienawiścią, tak zawsze charakterystyczną w konfliktach Rosjan z Rosjanami, a może ludzi z ludzmi tego samego plemienia. Już było tak, że mając na zapleczu armię Rzeczypospolitej, organa administracynje Rosyjskiego Komitetu Politycznego rozpoczynały odbudowę swojej demokratycznej ojczyzny za okopami polskich granicznych placówek, w zamiarze odwojowania w dalszym ciągu gminy za gminą, i powiatu za powiatem, wzbraniając surowo powtarzania tragicznych, czy głupich błędów białych generałów.

Wkrótce jednak wojska Komitetu znalazły się oko w oko z bolszewickimi dywizjami najzupełniej osamotnione. Rząd polski bowiem, najskrupulatniej i uczciwie przestrzegając warunków zawartego z bolszewikami rozejmu, a wkrótce pokoju, przerwał natychmiast wszelką pomoc wojskowym oddziałom Komitetu poza granicami kraju, i był zmuszony do natychmiastowego rozbrajania i internowania każdej jednostki w granicach swego terytorium państwowego. Armia Czerwona zaś, choć rozbita w wojnie z Polską, była dziesięciokrotnie liczniejsza, lepiej zaopatrzona i uzbrojona od operujących poza linią rozejmu oddziałów Jakowlewa, Peremikina-Młodszego i Bałachowicza.

Kilkadziesiąt tysięcy żołnierzy Komitetu Politycznego internowano w obozach, głównie na zachodzie Polski. Sam Komitet przestał istnieć, stopniowo likwidując swoje agendy i sprawy. Nagle, gdy w Warszawie zainstalował się bolszewicki poseł Karachan, wiceminister Spraw Zagranicznych, Jan Dąbski, na jego żądanie wymógł na rządzie polskim wyda-

lenie z granic państwa w ciągu 24 godzin wszystkich członków Rady Rosyjskiego Komitetu Politycznego.

Nie posiadałem żadnego urzędowego tytułu do oceny tej represji wobec wczorajszych kombatantów. Miałem natomiast wiele argumentów etycznych i politycznych, gdyż w grę wchodził także prestiż Polski, dla potępienia tego rodzaju policyjnej likwidacji wczorajszych sojuszników i przyjaciół na żądanie wczorajszych wrogów. Brutalne wyrzucanie za pomocą policji moich przyjaciół Rosjan spadło na mnie jak grom, głęboko wzburzyło i w dużym stopniu przyćmiło konwencjonalne poczucie rzeczywistości.

Godzina deportacji była naznaczona na następny dzień. Pojechałem z Sawinkowem do Sejmu, i tam przez moich osobistych znajomych posłów, niekoniecznie piłsudczyków, spowodowałem prywatne zgromadzenie około stu osób, przed którymi zobrazowałem w skrócie historię i charakter powstania Komitetu, cele i przebieg jego działalności w Polsce, politycznej i wojskowej. O roli Piłsudskiego w tej akcji nie wspomniałem.

U wielu posłów widziałem objawy tych samych uczuć, jakich doświadczałem sam.

Poseł Stanisław Grabski w imieniu obecnych wypowiedział kilka słów, bardzo mętnych i nie *à propos*, ale że były serdeczne, Bogu dzięki i za nie. Sawinkow, jako prezes Komitetu, w imieniu wszystkich jego członków podlegających deportacji, podziękował w pięknej polszczyźnie posłom, jako gospodarzom kraju, za gościnę. Jego króciutkie przemówienie, prześlizgujące się lekko nad doznaną krzywdą, było nieskazitelnie grzeczne w formie i bez miary gorzkie w treści.

Napisałem do ministra spraw wewnętrznych i do kilku innych ministrów prywatne listy, w których podniecenie i żal zapewne górowały nad formą. Po paru godzinach zostałem uprzedzony przez przyjaciół z Rady Ministrów, że mogę być pociągnięty do odpowiedzialności przed sądem za obrazę wysokich urzędników państwowych, a nawet prewencyjnie pozbawiony wolności.

Nie uwierzyłem temu. Nie było wskazane robienie z brzydkiego wydarzenia głośnej sprawy.

Późnym wieczorem zostałem przyjęty przez Naczelnika Państwa, który w niezmiernie serdecznych słowach okazał współczucie dla mego wzburzenia. Uważnie wysłuchał moich bezładnych argumentów i żalów, lecz gdy zakończyłem pożegnalnym meldunkiem z powodu natychmiastowego wyjazdu z Warszawy na stałe, do siebie na wieś do Jaworowa, Piłsudski wściekł się i zaczął krzyczeć na mnie, że także to już ma szczęście do Polaków, których za uszy ciągnie do Polski, a w ręku mu zostają tylko uszy. Bogu dzięki, nie wyszczególnił jakie.

Wysłuchałem wszystkich dosadnych wyrażeń ze stoicyzmem i zaciętością regionalną, a gdy Naczelnik Państwa skończył i trochę odsapał, głosem tragicznym poprosiłem o pozwolenie odmeldowania się.

Wówczas ten niezwykły człowiek i czarodziej zbliżył się do mnie, jakby już ktoś zupełnie inny, położył mi rękę na ramieniu, i najserdeczniej powiedział:

— Jedźcie sobie teraz do Jaworowa i odpocznijcie wśród naszych pól i lasów. Trzeba się nauczyć zapominać o przykrych obrotach w sprawach publicznych, jak na wojnie o śmierci. W budowaniu tych spraw, jak w wojowaniu, trzeba mieć twarde serce. Do widzenia. Będziecie mi jeszcze potrzebni.

KONIEC

Książka wyróżniona:
Nagrodą „Wiadomości" (1972)
Nagrodą Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie (1972)
Nagrodą literacką Fundacji Alfreda Jurzykowskiego (1973)

„Pamiętniki" Karola Wędziagolskiego są w memuarystyce polskiej pozycją wyjątkową, dziś już „klasyczną". Wyjątkowa przewrotu bolszewickiego i wojny domowej w „niemego" świadka wydarzeń, lecz bezpośredn osób, które odgrywały wówczas istotną rolę. Au Sawinkowa, był w 1917 r. komisarzem 8 Arı antybolszewickiego i animatorem przyszłego po kratyczną Rosją. W swej książce porusza szer spraw dotyczących wydarzeń lat 1917–1920, w należy ocenić jako najistotniejsze w historii ś

Książka Wędziagolskiego tuż po ukazaniu bestselerem. Miała znakomite recenzje i uzyskała wiele literackich nagród. Znakomicie napisana, czyta się ją „jednym tchem", nie jest lekturą dotyczącą wyłącznie tamtych czasów. Jest książką o ważnych i na dzień dzisiejszy analogiach.

Warto również podkreślić, iż autor nie należy do tych osób, które dopiero po wielu latach i tragicznych przejściach (np. łagry) przejrzały i pojęły istotę systemu komunistycznego. Wędziagolski bowiem był od początku po właściwej stronie. Był antykomunistą.

Marek Ostrowski

GRYF
warszawska oficyna wydawnicza
1989